wolnelektury.pl

Józef Ignacy Kraszewski

Dwie królowe

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Dwie królowe

Dwie królowe

Powieść historyczna

(Bona i Elżbieta)

Drogim cieniom
ALEKSANDRA Hr. PRZEZDZIECKIEGO,
którego poszukiwania opowiadaniu temu dostarczyły treści,
poświęca je
Autor.
Drezno 27 stycznia 1884.

TOM I

Wieczór jesienny ciepły był jeszcze, ale w powietrzu czuć się dawała ta woń, która każdą porę roku odznacza. Lekki wietrzyk od Wisły i łąk a pól, od dalszych lasów i zarośli przynosił wyziewy liści więdnących, usychających traw, kiełkujących zbóż zasianych, które żywo wśród pożółkłych ścierni się zieleniły, i mgły niewidocznej jesieni. Niebo złociło się, rumieniło, barwiło sinemi i liliowemi obłokami, z pod których blady, zielonawy lazur północy przeglądał. Z dali żaden głos nie dochodził, nie widać było na błoniach ruchu i życia. Jak mrówki przesuwały się tylko gdzieniegdzie trudne do rozpoznania postacie na płowych ścieżkach i gościńcach, które pola i łąki krzywemi przerzynały paskami.

Cisza wieczoru i jesieni kołysała świat Boży do spoczynku...

W otwartem oknie krakowskiego zamku, na pierwszem piętrze, siedziało przepiękne dziewczę.

Odblysk wieczornego światła cudownie lice jej łagodnym swym blaskiem oblewał. Siedziała jakby za wzór służyć miała do obrazu Luiniemu, Bellinowi, jednemu z tych mistrzów włoskich, którzy ostatnie ideały niewieście, jakby żegnając się z niemi, na płótno przenieśli.

Twarzyczka dziwnie regularnych rysów, świeża acz blada, przypominała też Kameę ręką mistrza na kamieniu drogim wyrzeźbioną.

Smutek i tęsknota poetyczny wyraz nadawały temu obliczu madonny.

Patrzała przez okno na dalekie błonia, lecz pewnie nie widziała nic, oprócz tego co się na tle ciemnem jej duszy malowało. Przechodziły po niem jakieś cienie przeszłości czy nadziei.

Nieruchome oczy czarne pływały jakby we łzie, która napełniała powiekę i upaść z niej nie mogła, tak jak tęsknica jej z duszy się na świat wydobyć.

Była to piękność niezwyczajna. Klasycznego wdzięku rysy marmurowe, śmiałemi ale łagodnemi razem liniami wyrzeźbione, otaczał bujny włos, spleciony w części i na ramiona w puklach puszczony, tej barwy osobliwej, którą weneccy upodobali malarze. Ciemne brwi, czarne oczy, odbijały dziwnie od warkoczów złocistych, jaskrawych nawet, tak barwa ich była silną. Maleńkie usteczka, ściśnięte teraz, boleśnym się zamknęły uśmiechem i zdawały się wyrzucać zawód losowi i światu, przeznaczeniu i ludziom.

Jakby stężała tym bólem, siedziała nieporuszona, ręce spuściwszy na kolana. Wypadła z nich dawno robota, haft kolorowy na jedwabiu, leżała razem z kłębuszkiem u nóg jej — we wgłębieniu okna, które w grubym murze siedziało, oprawne jakby w ramę, maleńką wykutą w nim izdebką.

Strój dziewczęcia był smakowny bardzo i wytworny. Suknia z ciężkiej jedwabnej tkaniny mieniąca się zielono i płowo, cała była naszywana wstęgami, jedwabnemi sznury, kokardami i paciorkami szklannemi. Odpowiadał jej bogato ozdobny pas wysadzany z torebką, a trzewiczek, którego koniec z pod sukni wystawał, także był do całego stroju dobrany.

Komnatka oknem tem słabo oświecona, nie zbyt przestronna, sklepiona wdzięcznie w górze, malowana i złocona, pomimo półmroku jaki w niej panował, miała w sobie coś młodego i wesołego, jakby na szczęśliwe gniazdko przeznaczoną była.

Smutna twarz na jej tle wydawała się dziwnie.

Wszystko co w tym wieku XVI., lubującym się w wytworności, woni, kolorach, przepychu, nagromadzić było można, aby jak cacko przyozdobić mieszkanie pieszczoszki-dziewczęcia, złożyło się na ubranie pokoiku.

Posadzkę marmurową, której tylko u progu domyślać się było można, okrywał wschodni kobierzec przedziwnej harmonii farb najśmielej pożenionych z sobą... marmurowy komin zdobiły dwie karjatydy niewieście, uśmiechające się mimo ciężaru gzemsu, który dźwigały. Opasywały je wieńce kwiatów i liści z wielkim kunsztem rzucone. Po nad niemi wisiało weneckie zwierciadło w ramach jak brylanty połyskujących z ozdób szklannych, a na gzemsie stały cudne fraszki ze szkła, majoliki, złota i srebra wyrzeźbione.

W jednem z naczyń wiądł bukiet kwiatów jesiennych.

Przy jednej ze ścian stały siedzenia z drzewa misternie rzeźbionego, po których biegały jakby nici złociste. Stół okryty lekkim kobiercem cały prawie zarzucony był też fraszkami,

które kształtami swemi pociągały oczy. Stały na nim skrzyneczki sadzone na hebanie, kością słoniową, bursztynem i złotem, puszki form wykwintnych, na których pokrywach unosiły się posążki, kubki przeróżnych wielkości i postaci. Razem z rzuconą niedbale na nie chustą jedwabną, składały także obrazek wdzięczny i bogaty.

Na jednem z krzeseł widać było od niechcenia ciśniętą piękną cytrę, również wysadzaną kunsztownie, ze wstęgą niebieską. U komina, w przyciemnionym kąciku, pół otwarte drzwi, które przysłaniała ciężka przed niemi zawieszona draperya, dozwalały dojrzeć w drugiej izdebce łóżko o rzeźbionych słupkach, o jedwabnych płotkach, nad którego pokryciem unosiły się piór bukiety.

Wszystko tu miało wyraz miękkości, rozpieszczenia, rozkochania się w życiu, rozmarzenia w rozkoszy. Smutne dziewczę wśród tych zbytków i cacek raziło jak sprzeczność niezrozumiała.

Wczoraj jeszcze wszystko tu być musiało śpiewem, szczęściem, weselem, zapomnieniem smutków życia — a dziś?

Dziś z opuszczonemi bezwładnie białemi rączkami, na których palcach połyskiwały pierścienie kosztowne, siedziało dziewczę jak ptaszek w klatce, zadumane, skamieniałe.

Wieczór zwolna tracił jaskrawe blaski zachodu, barwy oddalenia szarzały i mgła jakaś jak pół przejrzysta zasłona zdawała się je od patrzącej oddzielać.

Jedna po drugiej niknęły barwy, zacierały się kształty, zlewały przedmioty — dal ginęła już w pół mrokach. Tylko na rzece odbijał się jeszcze gorący blask słonecznych promieni... i gdzieniegdzie maleńkie szybki domostw połyskiwały jak oczy dziwotworów. Lecz dziewczę lub nic albo mało co widzieć się zdawało.

Nagle czy chłód wieczorny owiał ją, czy myśl jakaś wstrząsnęła całą istotą — zadrżała, żachnęła się, rękę przyłożyła do czoła, i westchnienie z piersi w świat poleciało niesłuchane, stracone. Dziewczę tak było w sobie i tęsknicy swej pogrążone, iż nie słyszało nawet, z cicha wprawdzie ale coraz wyraźniej dających się słyszeć kroków, które z drugiej komnaty ku drzwiom się zbliżyły. Z szelestu szat domyśleć się było można kobiety.

Powoli szła, szukając oczyma i nie znajdując smutnej mieszkanki tego wesołego kątka.

Stanęła w drzwiach, ciekawie wypatrując za nią, i teraz można ją już całą widzieć było.

Była to pani lat średnich, na której licu nieco zmiękłem i rozlanem, znać było szczątki nadzwyczajnej piękności. Wszystko, czego wiek nie mógł zepsuć i nadwerężyć, świadczyło o niej.

Włos niegdyś jasny, oczy dziwnej barwy nieoznaczonej a jeszcze osobliwszego wyrazu, rzymski nosek, nieco wypełniony już podbródek, czyniły razem wziętą fizyognomię tę podobną do jakiejś żony Cezara ze starej rzymskiej monety.

I wyraz też godził się z tym charakterem.

Namiętny był, despotyczny, jakby pragnący i wyzywający do walki. Nic łagodnego, niewieściego, dobrego w tej chwili nie rozjaśniło tego profilu pełnego dumy i namiętności.

Głowa w bogatych klejnotach i zawiciu, wyniosła szyja biała, popiersie pełne a kształtne jeszcze, godziły się z figurą majestatyczną i pańską.

Strój, pomimo wieku, bo młodą już nie była, wytworny a nadewszystko bogaty i wspaniały, okazywał, że do najwyższego społecznego kręgu należeć musiała. Suknię czarną, dobrze barwą obrachowaną, aby świeżość płci podnosiła, aksamit, atłasy, koronki, jedwabne wstęgi i szycia ubierały bogato. Na piersiach miała złoty łańcuch misternej, delikatnej roboty, wyrób weneckich lub genueńskich złotników — podobne ozdoby widać było u pasa, a białe, pulchne ręce tak okrywały pierścienie kosztowne, iż niektórych palców końce zaledwie widać było.

W tej chwili namarszczone groźno brwi, zaciśnięte wargi blade, wzrok zaostrzony niepokojem, nadawały przybliżającej się pani wyraz, który mógł przerazić słabą istotę.

Lecz nadchodząca nie zdawała się przybywać tu dla wywarcia tego gniewu, który niosła w sercu, szła ostrożnie, nie chcąc przestraszyć. Stanęła w progu, jakby potrzebowała się namyślać czy wnijść miała.

Wpatrzyła się w dziewczę zadumane, ręką uchyliwszy ciężką zasłonę u drzwi, i stała, stała długo, nim w końcu umyślnie poruszyła portjerę, aby dać znać o sobie.

Dziewczę porwało się przestraszone, potrzebując chwili do opamiętania gdzie było.

Zatopione w myślach, straciło poczucie i pamięć rzeczywistości.

Wchodząca pani, która od progu powolnym ku niej przybliżała się krokiem, nadała twarzy przed chwilą gniewnej i zasępionej, wyraz nienaturalny, wymuszony, dobroci i łagodności.

Lecz, pomimo wysiłku, tak nie przystawał on i niezwyczajnym był licu nawykłemu do swobodnego wyrażania gwałtownych namiętności i wybuchów woli żelaznej, że jak gość przelotny, mający zniknąć rychło, zdał się pożyczanym i fałszywym.

Dziewczę zobaczyło nadchodzącą i jakby zawstydzone, na uczynku schwytane, drobnemi kroczkami pospieszyło znijść z dwóch wschodków, które wgłębienie okna od pokoju oddzielały.

Stanęła naprzeciw tej, która tu widocznie panią była.

Z politowaniem przysunęła się niewiasta starsza do dziewczęcia, i nie mówiąc nic jeszcze, ręką białą pogłaskała ją po twarzyczce, która zwisła na piersi smutnie.

Oczyma rzuciła po izdebce; tuż u stołu, jakby nagotowane dla niej, stało krzesło wielkie, jedyne jakie się tu znajdowało. Przybyła rzuciła się na nie, oparła twarz na ręku i przed chwilą łagodne rysy znowu posępnym gniewem zciemniały.

Dziewczę stało zwrócone ku niej.

— Płakałaś, Dżemma! widzę to po twoich ślicznych oczach! — odezwała się po włosku, ale w jej ustach nawet ta mowa muzykalna nie brzmiała harmonijnie; szorstko, ostro leciały z pod warg drżących wyrazy. — Dziecko jesteś!...

Wiesz już! tak! wszyscy wiedzą! Nie mogłam zapobiedz! tak! ale biada temu, co ze mną rozpocznie wojnę; ja nigdy nie uznam się zwyciężoną i nie złożę oręża. Ja zawsze na swojem postawić muszę. Żenią go więc z Austryaczką!

Uśmiechnęła się złośliwie.

— Teraz, Dżemma, ty mi jesteś najpotrzebniejszą, teraz zdobędziesz trwale, na zawsze serce jego. Biada tej istocie, która tu mimo woli mojej się wciska, aby mi syna odebrała!

Nigdy! nigdy! — zawołała, zapominając się i tupając nogą.

W czasie gdy to mówiła więcej sama do siebie niż do słuchającego pokornie z oczyma spuszczonemi dziewczęcia, ręce jej były w ruchu nieustannym, twarz mieniła się i wykrzywiała, brwi ściągały, usta momentami karykaturalnej maski przybierały charakter. Straszna jakaś burza wrzeć musiała w żywo falujących piersiach.

— Słuchaj, Dżemma! — rzekła podnosząc się nieco. — Nie czas płakać, nie powinnaś mi być smutną, musisz być piękniejszą niż kiedykolwiek; musisz to serce jego, które miałaś, któregoś nie straciła, nietylko zachować, ale je okuć w kajdany... Ja na ciebie rachuję, tyś moim orężem... ale w zamian ci dam...

Tu wstrzymała się nieco i dodała:

— Obsypię cię złotem, dam ci najświetniejsze obok tronu stanowisko... wybierzesz je sama! Zrobię cię księżną, panią ziem szerokich...

Dżemma sobie obiema rękami oczy zakryła.

— A! królowo! pani — odezwała się głosem słabym — ja nic, nic, niczego nie żądam oprócz serca jego. — I łzy polały się z jej oczów.

Uśmieszek przesunął się po bladych ustach królowej, położyła palec na wargach.

— Cichoż! nie płacz! Pracować potrzeba, wytężyć wszelkie siły, aby zwyciężyć. Nie masz się obawiać czego. Powinnaś mnie znać. Jesteś przy mnie prawie od dzieciństwa... patrzałaś na to ilem tu walk zwodzić musiała, a zwyciężyliż mnie kiedy oni?

Wszyscy ci sędziwi, poważni senatorowie, całe to mądre duchowieństwo, krzykliwa ich szlachta, mówcy, intryganci, wysilali się na to, aby wpływ mój osłabić, aby mi go odebrać, a mimo to rosnął on z każdym dniem. Nigdy mocniej nie czułam się panią, nigdy nią nie byłam tak...

Tu przerwała sobie królowa.

— Powiesz mi, że to małżeństwo przeprowadzili przeciwko mej woli. Tak, ożenieniu zapobiedz całkiem nie było podobna, kraj cały się go domagał. I ja nie chcę aby zmarł bezpotomnym, ale na to czas wielki jeszcze. Teraz mi go żona odebrać nie powinna, bo panować z nim, jak panowałam z ojcem, potrzebuję.

Dopuściłam Austryaczkę — mówiła ciszej, po komnacie wodząc oczyma niedowierzającemi — dlatego że ten wątły kwiatek prędko tu zwiędnąć musi... dlatego, że każda inna mogłaby zwycięzko wyjść z tej próby jaka ją czeka, ona zaś paść musi!

Wstała z siedzenia.

— Dżemma! pociesz się — poczęła żywiej. — Wiozą mu tę żonę, ale to jedzie ofiara przeznaczona na zgubę. Z zarodem śmierci tu przybędzie... On, on nigdy mężem jej rzeczywistym nie zostanie...

Dla dziewczęcia słuchającego chciwie wszystko to były rzeczy mało zrozumiałe, nie rozwikłane, lecz nawykła wierzyć w słowa tej, która przyszła ją pocieszać, uczuła w sobie odradzające się męztwo... Twarzyczka jej blada poczęła zlekka się zarumieniać, piękne czarne oczy śmielej podniosły, duch znowu wstąpił w znękaną.

Milcząc schyliła się do ręki królowej i złożyła na niej pocałunek, za który pogłaskanie zapłaciło.

— Nie dręcz się, nie smuć — mówiła pani, starając się głosowi nadać łagodność, choć gniew brzmiał w nim jeszcze. — Nic nie szkodzi piękności nad troski, a ty, ty szczęśliwa nie masz się troskać o co! On ciebie jedną kochał i kocha, od czasu jak się ta miłość zrodziła.

To dziecko moje, dla mnie on nie ma tajemnic! Dżemmo! trzeba przetrwać tę burzę, która będzie może gwałtowną ale krótką. Powtarzam ci, nie byłabym nigdy zezwoliła na to małżeństwo, gdybym pewną nie była, że je rychło śmierć rozerwie.

Mimowolnie wzdrygnęło się dziewczę słuchając.

— Nic bój się — odparła śmiejąc się królowa — nie potrzebuje jej tu zabijać nikt, śmierć ona sama z sobą przynosi.

Oczy dziewczęcia domagały się odkrycia tej zagadki, ale brwi królowej zbiegły się groźno i dodała:

— To moja tajemnica!

Palec przyłożyła do ust.

— Bądź wesołą... gość ten przemknie się jako cień, a ja nie dopuszczę, aby on ciebie dla niej na chwilę opuścił... Będzie żoną i królową, ale ani jego serca, ani panowania nie dotknie... To ofiara!... Cóżem winna, że nam ją narzucono?

Dżemma chwytała słowo każde, ale się odezwać nie śmiała.

Mrok wieczora poczynał coraz większe ciemności rozpościerać w tych mało oknami rozjaśnionych komnatach. Królowa silnie klasnęła w dłonie raz i drugi, i z za zasłony od sypialni ukazała się główka niewieścia.

— Światła! — zawołała pani... i prędko złożywszy pocałunek na czole Dżemmy, czekała tylko natychmiast zjawiających się świec, aby szybko za niemi wyjść z mieszkania Włoszki.

Mając ją już opuścić, szepnęła jeszcze na ucho:

— Dżemmo! bądź piękną i wesołą... Smutnej twarzy on nie lubi. Udawaj że nie wiesz nic... Śpiewaj mu i uśmiechaj się do niego. Tyś panią i tyś serca jego królową...

To mówiąc, wyszła poważnym krokiem, a pozostała w miejscu Dżemma oczy sobie zakryła i trzymała tak ręce przytulone do twarzy, aż póki służąca powracająca ze światłem, z zadumy ją nie rozbudziła.

Dwie młode służebne królowej czekały na nią ze świecami w ciężkich srebrnych lichtarzach, a drugie dwie, jednako ubrane wszystkie, iść miały za panią, niosąc wachlarz, rękawiczki, chustkę i okrycie. Wolnym krokiem postępowała pani, przechodząc naprzód izby, które dwór jej żeński mieściły, mniej daleko wytworne niż pokoje Dżemmy, potem kurytarzy część i galeryj zamkowych, z których widok był na podworca wewnętrzne.

Baczne oko królowej rozpoznawało tu wśród koni, służby, kolebek i orszaków osób, które się na zamku znajdowały, barwę każdego dworu i zaprzęgi panów. Naprzemiany ruchoma i wrażliwa twarz jej dumna to się rozjaśniała, to chmurzyła.

Byli to jej sprzymierzeńcy i nieprzyjaciele, bo wyższe klasy społeczeństwa dzieliły się wówczas na dwa obozy nieprzyjacielskie, walczące ze sobą jawnie, które choć się czasem ocierać musiały o siebie, przejednać się nie mogły. Na czele jednego z nich stała królowa Bona, która sama wszystkiem rządzić chciała i wymagała, aby się jej Polska poddała a legła u stóp pani, aby mogła czynić z nią co jej się żywnie podobało — drugiemu zdawał się przewodniczyć król Zygmunt Stary, ale w tej dobie życia dziwnie zobojętniały, z góry spoglądający na wszystko, co się działo na świecie, nie miał ani sił, ni ochoty do wojny.

Z majestatyczną powagą, z rodzajem filozoficznej ironii patrzył on, uśmiechając się, na igraszki losu, na gniewy aż do wściekłości posuwające się żony, na opór, który jej dostojni mężowie senatu stawili, na zwycięztwa kolejne swoich przyjaciół i zauszników Bony. Coś z milczącego, zimnego, wytrzymałego charakteru ojcowskiego miał w sobie Zygmunt i w wielu razach go przypominał, przewyższając tylko wielkim majestatem, dostojnością, o którą dbał, i ociężałością, jaką lata ostatnie ściągnęły.

Przyjaciele, zausznicy, sprzymierzeńcy, ulubieńcy Bony brali z każdym dniem górę, a król nie zdawał się oceniać nawet klęski jaką ponosił.

W jednej tylko sprawie małżeństwa syna z powinowatą blizko Elżbietą, wnuczką Władysława czeskiego, bardzo dawno umówionem, któremu Bona uparcie się sprzeciwiała — król właśnie energiczniejszym objawem woli zwyciężył. Małżeństwo zostało postanowione. Bona się oprzeć temu nie mogła, ale poprzysięgła zawczasu zemstę i prześladowanie tej, która mimo jej woli miała przybyć, odebrać serce syna, może męża, i dzielić, jeśli nie wydrzeć, jej panowanie.

Przechodząc kurytarze, królowa rzucała oczyma roztargnionemi, z wyrazem gniewu, na ludzi, których pomijała.

Wszyscy oni niemal, znając tę twarz pani, starali się przesuwać niepostrzeżeni — Bona była rozdąsana i gniewna!

W tych chwilach rozdrażnienia wiedziano, jak najmniejsza rzecz do szaleństwa mogła przyprowadzić panią, która namiętności swych ani ukrywać, ni hamować się nie starała.

W komnatach, które zarówno do izb króla i królowej prowadziły, gdzie się wielu oczekujących na posłuchania gromadziło, gdzie spoczywali dworzanie pana i pani, komornicy królewscy, dwór duchownych przybywających na zamek — niedaleko od tych podwoi, któremi Bona wnijść miała na pokoje swoje — stał jakby umyślnie na przesmyku postawiony mężczyzna w cudackiem ubraniu, z niemniej oryginalną fizyognomią, na którego patrząc zdala dworzanie chichotali, ukazując go sobie.

Wystrojony ów średnich lat mężczyzna, wcale się na to zważać nie zdawał.

Za panowania Zygmunta w Polsce, jak nigdy, namnożyło się było strojów tak rozmaitych, tak dziwacznych, z różnych stron świata pochwyconych, iż narodowej sukni, jak świadczą współcześni pisarze, prawie oznaczyć nie było podobna.

Staroświecka, prosta opończa jedna ją zastępowała.

Wśród tej mnogości ubrań włoskich, tureckich, francuzkich, niemieckich, czeskich, wiele raziły dziwactwem, ale właśnie przez to tych co je nosili pociągały. Zwracały oczy na nich, czegoby w inny sposób nie dostąpili.

Stojący u drzwi mężczyzna, Petrek Dudycz, na teraz komornik królewski, choć komory pańskiej wcale nie patrzył, wyglądał nader osobliwie.

Nie młody, przystroił się kuso, nader barwnie, niby z włoska, bez smaku, a jego sucha, długa, koścista figura w obcisłej odzieży, jeszcze się chudszą i przeciąglejszą wydawała. Na obnażonej szyi opalonej, którą żyły oplatały, siedziała głowa niewielka, z włosami rzadkiemi, starannie utrefionemi i twarzą pocieszną a brzydką.

Krągła, płaska, oprócz mocno wystających policzków, z oczkami małemi, twarz ta się odznaczała nosem ledwie dostrzeżonym, siedzącym na niej jak spore zaczerwienione ziarno bobu, i niezmiernie od niego oddalonemi ustami szeroko od ucha do ucha rozciętemi. Przestrzeń stosunkowo wielką pomiędzy noskiem a gębą chciał zająć wąsik, wymęczony ale nieobfity i nastrzępiony.

Brzydki był okrutnie Dudycz, a bardzo mu się pięknym być chciało, co dowodził ów ubiór z włoska, wykwintny, kosztowny, krojem wymuszonym — czyniący go jakąś maszkarą.

Dudycz, niegdy ubogie chłopię, wątpliwego szlacheckiego pochodzenia, służył na dworze owego sławnego podskarbiego Kościeleckiego, po którym Boner wziął żupy.

Kościelecki ten nieszczęśliwy rozmiłował się w Szlązaczce owej, którą ze sobą dawniej przywiózł Zygmunt, matce Janusza z książąt litewskich, i poślubił ją, mimo że kochanką królewską była.

Nie przebaczyli mu tego bracia, zerwawszy z nim, i takie go od nich i od panów a szlachty spotykały despekta, że zagryzłszy się zmarł biedny.

Przy tym wielkiego męztwa, najpiękniejszych duszy przymiotów mężu, który serce tylko miał miękkie, Dudycz spędził długie lata — a że do żup był przez niego przeznaczonym, z soli się dorobił majątku i stał się człowiekiem dostatnim.

Śmiali się z niego ludzie, bo i zająkliwym był i śmiesznie wyglądał, ale kaletę miał nabitą, więc mu się podczas i kłaniał niejeden.

Jakim sposobem Dudycz dostał się na dwór pański i komornikiem go mianowano, o tem on tylko wiedział jeden.

Na zamek się dostawszy, umiał tak się z ludźmi obchodzić, że choć królowi służył, choć ks. Maciejowskiego w rękę całował, niemniej nizko kłaniał się Gamratowi, a na pokoje królowej miał wstęp dozwolony.

Nikt go tak dalece nie kochał, ale też nikt nie wzdragał się i nie odpychał.

Dudycz miał pewnie lat przeszło czterdzieści, był dotąd nieżonatym, i teraz dopiero zamyślał wstąpić w święty stan małżeński... serce miał miękkie i wielką miłością zapałał dla — nie do uwierzenia — najpiękniejszej z dziewcząt dworu królowej Bony, dla tej uwielbianej, opiewanej Dżemmy (Gemma) Pagliari, na której cześć poeci składali ody... a po cichu mówiono, że młody król Zygmunt August oddawna śmiertelnie w niej był rozkochany.

Zuchwalstwemby to było niedarowanem Dudyczowi, gdyby Dżemma nie była ubogą, ubogą jak myszka kościelna, a on nie patrzał już na pana.

Wiedziano, że pan komornik kilka wsi posiadał w Krakowskiem, a oprócz tego na groszu mu nie zbywało.

Dziewczę patrzeć na niego nie chciało, mówiło, że wstręt w niej wzbudzał nie do wyrażenia... ale królowa Bona opiekunka Dżemmy, zajmująca się jej losem, wiedziała dobrze o tem, iż Dudycz wzdychał do pięknej Neapolitanki, uśmiechała się czasem złośliwie i nie wypędzała go, nie zrażała. Owszem zdawać się mogło czasami, że do wytrwania zachęcała, że mu jakieś czyniła nadzieje.

Dudycz był jej widocznie na coś potrzebnym.

Ci, co na zamku krakowskim i na dworze królewskim stosunki mieli a wiedzieli co się tam działo, utrzymywali, że królowa zarówno miłostkom syna pobłażała, nietylko na nie patrzyła przez szpary, ale nieznacznie do nich dopomagała i ułatwiała je tajemnie.

Dżemma była u niej w wielkich łaskach, a od niejakiego czasu mianowicie pieszczotką i ulubienicą. Królewicz ze swej strony, matka od siebie obdarzali śliczną dzieweczkę, obsypywali wszystkiem, czego tylko zapragnąć mogła.

Jak się u królowej starej godziło protegowanie Dudycza i sprzyjanie miłości syna, dla wielu było zagadką.

Jak dziś, tak niemal codzień Petrek Dudycz szukał wszelkich zręczności pokazania się i przypomnienia Bonie, pochwycenia od niej słówka, rozkazu, skinienia, na których budował nadzieje.

Stał i teraz na przesmyku, spodziewając się że wracająca królowa obdarzy go choć uśmiechem, ale nadchodząca pani niosła na twarzy zachmurzonej jak noc, w brwiach zmarszczonych, tylko gniewu i złości zapowiedź.

Spojrzała na stojącego u drzwi długiego Dudycza i zatrzymawszy się na oka mgnienie, skinęła mu aby wszedł za nią. Komornik posłuszny wcisnął się we drzwi razem z idącemi za królową dziewczętami. Bona dała im znak, aby szły dalej, a sama podniosła oczy na Dudycza, który pochylony czekać się zdawał rozkazów.

Przez chwilę namyślała się królowa. Myśl jakąś musiała rozważać jeszcze. Dudycz nie mówił po włosku, ale ze szkół i życia wyniósł trochę łaciny, a królowa doskonale, wprawnie i wytwornie mówiła tym językiem.

— Cóż Dudycz? — zapytała — masz tam dużo do roboty przy starym panu?

Petrek się uśmiechnął.

— Nic a nic — rzekł jąkając się powoli — moja służba stać kilka godzin w antykamerze, aby gawiedź się śmiać miała z kogo. Nikt nigdy nie raczył mnie użyć do niczego. Marszałek oczy odwraca.

— Bo jest ich tam dosyć przy moim panu — dodała Bona żywo, chcąc skrócić rozmowę. — Powinieneś szukać innej służby... Młody król się żeni, wiesz? — dodała ze

złośliwym przekąsem — wiesz? Służby więcej albo dla siebie lub dla żony potrzebować będzie. Życzę ci, abyś się tam zapisać starał.

Dudycz skłonił się posłusznie.

— Byleby mnie przyjęto — zamruczał.

— O to się postaramy — dokończyła Bona, już zwracając się jakby w głąb pokojów swych pilno jej było — ale Dudycz ma pamiętać, że gdziekolwiek jest i będzie, przedewszystkiem *moim* ma być sługą.

I ręką wskazawszy na siebie, Bona oddaliła się krokiem nieco przyspieszonym.

Dudycz krótką chwilę pozostał zadumany w progu, sam jeden — otworzył potem drzwi i powrócił do antykamery, w której cichy gwar dworzan i komorników panował.

Na ławach pod oknami w pół mroku niektórzy grali w warcaby i szachy, inni śmiejąc się stłumionemi głosami coś sobie rozpowiadali. Siedzieli jedni, przechadzali się drudzy, a niektórzy śmielsi, przez drzwi otwarte i tylko kurtyną z kobierca oddzielone od antykamery, zaglądali do dalszych pokojów, w których głębi dopiero król stary swych gości przyjmował.

Dudyczowi wśród tego towarzystwa, dla którego się czuł obcym, było też nieswojo. Nikt spotykając się z nim nie okazywał ochoty do rozmowy, żaden z dworzan nie zbliżył się do niego. Dlaczego tego wieczora dłużej chciał tu pozostać, sam może nie wiedział. Spodziewał się li jakim przypadkiem choć przesuwającą się zdala widzieć Dżemmę?

Po krótkim namyśle Dudycz ostrożnie się przesuwając, tak aby nikogo z zebranych tu kupkami nie potrącił, doszedł do kurtyny, podniósł ją i cicho stąpając wsunął na puste pokoje.

Szeregiem stały one otworem, mało co oświecone, nie było w nich prawie nikogo. Przesuwały się pacholęta niosące do króla dzbany srebrne na misach złocistych, służba zamkowa i jakieś postacie do rozpoznania trudne.

Z ostatniej komnaty dość oddalonej, w której król zasiadał, zaledwie niekiedy głosy tu dochodziły. Ciszą i mrokiem obleczone stały puste izby te, dosyć wspaniałych rozmiarów, ale jak na królewskie dość przybrane skromnie.

Ławy okryte poduszkami i kobiercami stały ciężkie, krzesła na których poręczach rzeźbionych gdzieniegdzie połyskiwało złocenie, na ścianach obrazy ciemne, na innych malowania spłowiałe, od sklepień wiszące świeczniki z niepozapalanemi żółtemi świecami — nie widać było nic więcej.

Dudycz wszedłszy tu, zwolnił kroku, mógł spocząć na ławach pustych i rozmyślać bez przeszkody... Nikt mu tu ani śmiechem, ni rozmową nie wadził. Posunął się, przeszedłszy pierwszą komnatę, do drugiej, w której więcej cokolwiek światła było. Oprócz kilku świec przy ścianach, przez okno na podwórce wychodzące wpadał blask pochodni, których kilka niezgaszonych palili woźnice i pachołkowie pańscy.

Petrek miał już siąść w kącie i opatrywał miejsce, gdy zwróciwszy w głąb oczy, zobaczył naprzeciw siedzącego na ławie, rozpostartego wygodnie, z nogą na nogę założoną, starca.

Należeć on musiał do dworu, a nie był ani wysokim urzędnikiem, ani pospolitym posługaczem.

Sam wiek jego podeszły świadczył, że tu jakieś odrębne stanowisko zajmował.

Dudycz zobaczywszy starca, zatrzymał się z pewną obawą i poszanowaniem razem.

Postać była niepowszednia.

Blask od okna bijący oświetlał ją ostro, wydatnemi czyniąc rysy, którym starość nie odjęła życia, jakie w nich drgało.

Twarz była długa, czoło wysokie, wypełzłe, usta ironiczny, łagodny uśmiech trzymał jakby obojętnością zamknięte na wszystko, co oczy przeszywające chwytały. Marszczki niezliczone, fałdy i zapadliny, jakby siecią poszarpaną okrywały policzki aż do czoła, które było wygładzone i lśniące... tam na sklepieniu, gdzie królowała myśl, panowała pogoda.

Rodzaj litościwej wzgardy wybitny charakter nadawał pięknej tej głowie filozofa.

Nie w rysach, ale w ich znaczeniu było coś Sokratycznego.

Widać było, że człowiek ten wiele cierpieć, wiele przebyć a wszystko już lekceważyć musiał. Salomonowe *vanitas vanitatum* mówiło z każdej z tych uśmiechających się marszczek. Lecz gniewu w tym śmiechu nie było.

Ubiór wcale się na królewskie nie nadawał pokoje. Miał na sobie suknię długą na kształt opończy, z kapturkiem, pod którą innego domyślać się było można stroju.

Rękę jedną suchą, pomarszczoną, żylastą trzymał opartą na rodzaju kija, który sam tylko tłómaczył kim był ten starzec, spoczywający tu na ławie jak gdyby był u siebie w domu.

Do kija tego pstrego przyczepionych było kilka lisich ogonów i dzwonków, którym serca wyjęto, aby brzękiem nieustannym nie dokuczały.

Starcem tym był ów sławny królewski trefniś, Stańczyk, który już trzem królom, trzem braciom rzucał w oczy prawdę gorzką, sarkazmem nielitościwym i gryzącym.

Kto on był, ów Stańczyk, którego szanowali wszyscy, bał się każdy — starzec, co innego życia nie pożądał i spoczynku nie zapragnął, o tem już nawet pamięć się zatarła.

Mówiono go szlachcicem i miał powagę swego stanu, podanie głosiło niegdyś żołnierzem, który życie ledwie uniósł z Bukowiny za Olbrachta... a potem? jak się wyrzekł szczytu i nazwiska, jak spadł czy podniósł się aż do trefnisia na dworze, gadki chodziły różne. On sam o sobie nie mówił nigdy. A znał całą Polskę, wszystkie rody, ludzi, związki, charaktery, jakby żywą był kroniką.

Na prawdę nie trefnisia on tu miał urząd i obowiązki, bawił rzadko, chociaż boleśnie często, odzywał się mało. Błądził po zamku i uśmiechał się sam do siebie. Gdy kto mu rzucił pytanie, jeżeli na nie odpowiedzieć raczył, to po długim namyśle i kilku krótkiemi słowami, często jak ostrze noża włoskiego, wbijającemi się w pierś i pozostającemi w pamięci na zawsze.

Nie dziw, że Dudycz niewymowny, bojaźliwy, znalazłszy się oko w oko wobec tej potęgi, której się lękał, nie wiedział co ma począć — cofnąć się po cichu, czy pokłonić, odejść spiesznie czy się zbliżyć.

Stańczyk już miał wlepione w niego oczy. Karykaturalna ta postać bawiła go... usta zamknięte nieznacznie się ściągnęły.

— Siadaj Petrek — odezwał się stary wskazując na ławę. — Cóżeś się ty tak dziś wystroił jakby w swaty lub na wesele? A po nocy tu u nas wszystkie koty czarne i moja stara opończa warta twojego nowego sajanika.

Dudycz nie wiedział co odpowiedzieć, lecz nie śmiejąc się sprzeciwiać, zajął miejsce na ławie w przyzwoitem od trefnisia oddaleniu.

Stańczyk za nim powiódł głową.

— Słuchajno — rzekł — tyś się to do bab tak przystroił? Czy one jeszcze nie dojadły ci dosyć?

Powstał Dudycz i głową potrząsnął.

— Jam ich znać nie miał czasu.

— A teraz osolony, bezpieczny — rzekł Stańczyk — myślisz na drugie pół wieka puścić się gonionego! Hej! taniec to niebezpieczny!

Spuściwszy głowę słuchał nauki Petrek, nie ważył się ust otworzyć.

— Powiał wiatr żeniący — zamruczał Stańczyk — młodemu królowi dają panią. Zaprawdę czas aby miał jedną, nakosztowawszy się ich tylu...

Drgnął Dudycz niecierpliwie i poruszenie to ławie zapewne a Stańczykowi się czuć dało.

— Fraucymer starej pani odetchnie — mówił — gdy królowę przywiozą, a piękna Dżemma oczy śliczne wypłacze!!

Na wspomnienie swej bogini, bo tak ją Dudycz nazywał, żywo się znowu poruszył dworzanin.

— Dżemma! — powtórzył głosem dziwnym, w którym więcej coś brzmiało, niż pytanie obojętne.

Stańczyk popatrzył nań złośliwie.

— Włoszkę chciałbyś sobie wziąć — przerwał trefniś — ale dla nas Polaków, powiadam ci, wszelka włoszczyzna niezdrowa. Zjeść ją można, smakuje czasami, strawić trudno.

Mówił nie spuszczając oczu z Dudycza, a twarz śmiała mu się smutnie, tą mięszaniną bolu i ironii, która jest zwątpienia ludzkiego cechą.

Niekiedy zjawia się ona w fizyognomiach filozofów, czasem na licu szalonych. Schodzą się w niej mądrość i obłąkanie.

Dudycz wahał się ust otworzyć, wstyd mu było przed tym szydercą do słabości swej się przyznać.

Stańczyk, który zgadywał czego wiedzieć nie mógł, czytał w tym biednym Petrku jak w otwartej książce.

— Po co ci się kręcić i wisieć przy dworze — począł z cicha. — Dorobiłeś się z soli chleba, możesz mieć do woli jednego i drugiego... a służyć ci się chce! Nałóg do jarzma! kark świerzbi, gdy go co nie gniecie! Jechałbyś rzepę siać i Boga chwalić.

Dudycz się czuł dotkniętym.

— Cóż to ja? dworum nie wart? prostak taki! — zamruczał.

— Hę! — zawołał stary — może ten dwór nie wart i ciebie!

Ramiona mu się poruszyły, odwrócił głowę. Petrek pod nosem sobie coś mruczał nadąsany.

— A wy? czemu przy dworze wisicie? — dało się słyszeć w końcu. — Hm!

Trefniś twarz skierował ku mówiącemu, wyciągnął ogromną rękę swą i ciężko rzucił ją na ramię Dudyczowi.

— Prawdę mówisz — rzekł — i jam tu na nic. Stary król ogłuchł, więc nie słyszy co Stańczyk prawi, młody słuchać nie ma czasu, królowe tylko trefnisiów lubią... a no, mnie już tu nie długo i nie mam dokąd, a ty...

Rozmowa przerwaną została. W sąsiedniej komnacie króla słychać było ruch i podniesione żywiej głosy, jakby goście, którzy tam byli, zabierali się do wyjścia. Dudycz zmięszany, nie chcąc aby go tu z trefnisiem razem na jednej ławie widziano, wstał żywo i nie pożegnawszy starego pospieszył ku drzwiom bocznym uchodząc.

Stańczyk pozostał... zadumany — obie ręce sparłszy na ławie, zgarbiony, z głową spuszczoną — nie podniósł nawet oczów, gdy głośno otwarły się drzwi komnat pańskich i na jasnem tle ich ukazały się poważne postacie senatorów niewielu, żegnających starego pana.

Przodem szedł podkanclerzy Maciejowski.

Na zamku krakowskim, który podówczas ciągle jeszcze restaurowano i przyozdabiano, ku czemu też z Włoch mnogich ściągano kamieniarzy, budowniczych, rzeźbiarzy, co kolonię italską, już i tak liczną z każdym dniem powiększało — na zamku nie było izb tak wiele, aby nawet najpotrzebniejszych królowi senatorów pod bokiem jego umieścić.

Znaczną część komnat zajmowały kobiety, służba, dwór starej królowej, która dla siebie ludzi wielu potrzebowała, a w miarę jak wpływ jej rosnął, około Zygmunta stawało się puściej coraz, przy Bonie ludniej.

Ci nawet, których król nieustannie radzić się i posiłkować niemi musiał, na mieście szukali kwater u dostatniejszych kupców. I najwierniejszego a najniezbędniejszego doradzcę pańskiego biskupa płockiego Maciejowskiego los ten spotkał, że na zamku gościem bywał tylko, choć tu kancelarye się jego mieściły. Może też dostojny mąż ów rad był temu, że choć przez chwilę jedną dnia swobodniej, szpiegów, oczu i uszu niechętnych nie lękając się, mógł odetchnąć a z przyjacioły swemi się naradzić i spocząć.

Smutne zaprawdę było położenie tych niewielu doradzców króla starego, którzy przy nim stojąc, resztę jego dostojeństwa ratując, całemu wojsku licznemu, nieprzebierającemu w środkach, zauszników Bony czoło stawić musieli. Coraz trudniejszą walka się stawała, a rycerzy do nich brakło. Szeregi zacnych mężów się przerzedzały... Król z każdym dniem starzał i stawał się słabszym. Dawna energia uparta Jagiellonów, żelazny opór ojca, miękły złamane chorobą i umiejętnemi napaściami Bony, która znała dobrze małżonka i nie wahała się dla postawienia na swojem, uciekać do ostatecznych środków.

Naprzeciw Maciejowskiego ze spokojem, męztwem i powagą wiodącego bój ten z królową, stał ów osławiony, z małego wyrosły Gamrat, dzisiaj przeciwko kościelnym prawom i obyczajowi razem zasiadający na dwóch najwyższych stolicach biskupich, Gniezna i Krakowa. Kto był ten Gamrat, do którego się Sulimowie niechętnie dawniej przyznawali, o którym prawiono jak o Ciołku (a był jego wychowańcem i domownikiem), że w kurpiach z Podgórza, pieszo o kijku do szkół krakowskich przywędrował?

Człowiek-zagadka był niezawodnie wielce zdolnym i równie przewrotnym, odważnym, zuchwałym dorobkowiczem.

Ciołek, co z syna karczmarza doszedł za łaską Aleksandra najwyższych w kościele dostojeństw, był mu wzorem, królowa Bona narzędziem, jak on jej sługą i powiernikiem.

Pomimo króla, który go nie lubił, pomimo wszystkich zacnych i poczciwych, co się nim brzydzili... mimo niesławy jaką był okryty, Gamrat dobił się czego tylko pragnął, i był wraz z Boną panem niemal Polski tej, której słabnący Zygmunt zwał się królem.

Około biskupiego pałacu przy Gamracie gromadziło się co służyło Włoszce, przy Maciejowskim i Tarnowskim hetmanie co wiernem pozostało królowi.

Kamienica, którą w rynku zajmował Maciejowski, gdy do willi swej nad Prądnikiem uciec dla spoczynku nie mógł, wprawdzie na zewnątrz od innych się nie różniła wielce, ani od nich była piękniejszą, ale wszedłszy wewnątrz łatwo się poznawało mieszkanie człowieka, który wykwintnego nabył smaku, długim za granicą, szczególniej we Włoszech pobytem.

Stosunki ówczesne dwu krajów były tak ścisłe, jakby ich wielkie nie dzieliły przestrzenie.

Małżeństwo królewskie z Boną ze Sforziów ożywiło je, lecz ono też było skutkiem bardzo dawnych i nieustannych Polski z Włochami związków.

Dość jest przerzucić spisy ówczesnych dostojników kościoła, profesorów akademii, lekarzy naszych, panów, wodzów, aby się przekonać, iż mało który z nich nie uczył się we Włoszech, nie wywiózł z nich idei, nauki, smaku, kierunku przyszłego życia.

Nie było miesiąca w roku, ażeby ktoś z Krakowa nie został wysłany do Rzymu, lub ztamtąd nie wrócił. Roiło się młodzieżą naszą w Padwie i Bononii. Uczyli się tam i katedry zajmowali Polacy, jak ów Struś, najsławniejszy z lekarzy w Polsce, który dla niej katedrę medycyny porzucił.

Podkanclerzy Maciejowski, liczny — dla samych spraw, które się w jego kancelaryi gromadziły — dwór młodzieży utrzymywać musiał. Ztąd mieli wyjść ci, co później zasłynęli na najwyższych dostojeństwach... tu się młodzież kształciła do praktycznego życia.

Oprócz niej, do Maciejowskiego się garnęło wszystko co z boleścią patrzyło na rządy Bony, faworytów, Gamrata, cudzoziemców bez miłości kraju wyzyskujących go... Tu, jeżeli radzić nie było można, zaboleć otwarcie było wolno.

A bolano tem więcej, że przyszłość nie obiecywała się jaśniejszą, bo młody król Zygmunt August, którego teraz żenić miano, był więcej wychowańcem królowej niż króla, Włochów niż Polaków, fraucymeru Bony, niż rycerzy z pod Obertyna.

Liczny szereg izb na pierwszem piętrze składał biskupa Samuela mieszkanie, gdy na dole dwór i służba się ściskała, jako tako jak śledzie w beczce, niby na obozowisku żyjąc.

Nie było przepychu około biskupa Samuela, bo on sam skarbów nie miał, nie zbierał ich i nie trwonił, ale komnaty się odznaczały poważną wytwornością wielkiego smaku.

Włoskiego pęzla obrazy, włoskie marmury i bronzy, flamandzkie opony, rzeźby z drzewa ubierały izby, którym prosty człek nie bardzo się dziwił, bo nie błyszczały nadto, ale znawca miał tu na co patrzeć.

Wieczór nadchodził właśnie i biskup Samuel powróciwszy od króla spoczywał u siebie, domowników przywołując i łagodnie im dając rozmaite rozkazy.

Piękną, jak dusza Samuela, była zewnętrzna postać jego, pańska bez dumy, dostojna bez wyniosłości, szlachetna bez wymuszenia, miła oczom, choć się o to nie starała.

Wiek nie wiele ją potrafił nadwerężyć. Rysy oblicza zachowywały się tym spokojem mężnym duszy, który daje spokój sumienia i wiarę w cel żywota.

Maciejowski widział go przed sobą, w służbie kościołowi i krajowi. Stan kapłański do obojga go namaszczał.

Siedząc przy stole, rozmowę prowadził ze spartym na nim marszałkiem dworu swego, gdy w dalszych pokojach szmer zmusił go przerwać naradę.

Wieczorni przybywali goście, na których tu nigdy nie zbywało. Nie bywało tu tłumów, bo nie było biesiad, zabaw i gwaru, ale też nigdy pustkami komnaty nie stały.

W tej obwili przybywał Tarło biskup przemyski, a tuż za nim szedł żupnik Seweryn Boner, gdy na wschodach świecono Andrzejowi z Górki, kasztelanowi poznańskiemu, wielkorządzcy wielkopolskiemu.

Wszyscy oni spodziewani byli, pożądani.

Brakło tylko dnia tego hetmana Tarnowskiego, który doma dla pilnych spraw swych był wstrzymany.

U progu witał Maciejowski przyjaciół swych, do których wkrótce i mniej głośnych, a niemniej mu wiernych garstka się przyłączyła.

Twarze widać było wesołe... lecz po tej wesołości umiarkowanej, cichej, znać było ludzi, którzy ani boleć krzykliwie, ani się wrzaskliwie bawić nie umieli.

Tarło począł Maciejowskiemu winszować zwycięztwa.

— Przemogliście owe mocy nieczyste — rzekł. — Króla młodego żenicie, a przez to go może z pod władzy matki wydobędziecie, oddzielicie od niej.

Przebóg! — dodał — cóż to za czasy, co za położenie nasze, gdy musimy cieszyć się, żeśmy syna matce wydarli.

— Dałby to Bóg — przerwał pan z Górki, rycerskiego wielce oblicza mąż, który wraz z Tarnowskim laury zdobył pod Obertynem — lecz dzieło niedokonane jeszcze...

— A! i daleko do końca — rzekł Maciejowski siadając sam, gdy drudzy goście zwykłe miejsca swoje zajmować zaczęli. — Zdaje się, że w końcu małżeństwo to u kolebki obiecane, ciągle będące na celu, przyjdzie do skutku, mimo oporu Bony... ale co za los czeka tę biedną młodą panią!

Milczenie odpowiedziało na ten smutny wykrzyk, który się wyrwał z piersi biskupa.

— Młodziuchna, nieśmiała, a co gorzej pono wątła i słabowita — rzekł Tarło — jak ona tu sama jedna potrafi temu (tu zniżył głos) potworowi się opierać.

— Przypomnijcie legendy stare — rzekł Maciejowski — Bóg staje w niewinności obronie, a ma ona siłę, której rozum nie potrafi ocenić. Ileż takich dziewic, potworom na pastwę rzuconych, niewidzialne ręce aniołów osłoniły...

— Co daj Boże! — westchnął Tarło.

— Królam nie widział jeszcze — odezwał się pan Andrzej z Górki, zwracając ku biskupowi — jakże jest?

Maciejowski nie odpowiadał długo, jakby mu ciężko było otworzyć usta — smutkiem się okryło oblicze.

— Nie łudźmy się, kasztelanie — rzekł powolnie. — Wprawdzie ja, obcując z nim oddawna codziennie, nie widzę schyłku jego jako drudzy, a mimo to, król straszliwie osłabiony, znękany, zobojętniały... niepodobna nie dopatrzeć, nie można zaprzeczyć...

— Miał on zawsze chwilki słabości — odezwał się pan Andrzej — gdy go niewieści pisk i krzyki zmogły, ale w nim owa Kaźmirzowa ojcowska stałość myśli mieszkała, że się chwilowem ustępstwem z prawej drogi sprowadzić nie dawał.

— I dziś on widzi jasno — rzekł biskup Samuel — ale spokojny jakiś fatalizm starości go ogarnął. Mówi snadź sobie, iż Opatrzność ludzkie sprawy do pewnego wiedzie końca, i choć ulega, niebezpieczeństwa w tem nie widzi.

Maciejowski wstrzymał się chwilę i dodał z uśmiechem:

— Miłość jego dla przewrotnej tej gadziny włoskiej dawno ostygła, zna ją lepiej od nas wszystkich. Na wskróś przegląda każde jej słowo, zamiar i czynność, niekiedy łaje i w oczy ją głupią zowie albo szaloną... cóż potem? Gdy przywiedziona do ostateczności stara pocznie krzyczeć, płakać, rzuci się na ziemię, poszarpie suknie na sobie, włosy rozrzuci, bluzgać pocznie i Polskę przeklinać... Zygmunt w końcu woła: Idź, idź, rób co ci się żywnie podoba.

W milczeniu słuchano, aż przerwał biskup Tarło.

— Króla mi i pana mojego żal — rzekł — boć w nim wielki mąż był i monarcha wielki.

— Bez wątpienia — potwierdził Maciejowski. — Nadszedł wiek, sędziwe lata, choroba uczyniły swoje. Nie tym jest, jakim był w początkach. Widzi jasno, poczynać nie ma siły; ratuje się więc w sumieniu swem, tem com wskazał... wiarą w Opatrzność. A jabym ją, taką jaka ona jest, rychlej fatalizmem nazwać mógł. Dobre jest zdanie się na wolę Bożą, bo bez niej nic się nie dzieje, aliści i człowiekowi dana wola w pewnej mierze, której zażyć ma obowiązek.

— *Qiud sine viribus ira!* — szepnął Tarło wzdychając. — Tem też nasza Polska wdzięczniejszą być wam powinna bracie Samuelu, żeście z panem hetmanem przy małżeństwie młodego króla obstali i przyszłość niem ocalili.

— *Utinam!* — westchnął Maciejowski. — Uczyniono co było można, ale nie łudźmy się, powtarzam. Stanęliśmy do walki, jeden Bóg wie przy kim będzie zwycięztwo.

— Przy dobrej sprawie — zawołał p. Andrzej z Górki.

— Tak, ale my, co walczymy za nią, garstką jesteśmy, a złych co przeciw stoją, ćmy i legiony — rzekł gospodarz.

— Jakże Włoszka przyjęła porażkę? — odezwał się p. Seweryn Boner, żupnik, mężczyzna rozumnej twarzy, choć niepięknego oblicza kwadratowego i rysów dość pospolitych.

— Złość swą musiała wywrzeć za kurtyną na karlicach i sługach, na tych co jej służyli a zawiedli... lecz gdy raz uchwała stanęła — mówił Maciejowski — co począć miała? Uśmiechnęła się ironicznie, wyzywająco, jakby mówiła: nie otrąbiajcie zwycięztwa, pókiście go niepewni.

— A cóż pocznie? — spytał Tarło.

— Mój Boże! — mówił Maciejowski — spytajcie raczej czego nie pocznie? azali włoskich sztuk nie znacie? Pewna rzecz, że tam w tym kraju i wszelkiego dobra i siła złego się nauczyć można. Krew u nich żywiej płynie a ludźmi miota.

Nie wiecież co tam może trucizna, sztylet i straszniejsza nad nie przewrotność? Wszystkiego tego zażyć przeciwko nam mogą, przeciw tej niewinnej ofierze.

Zamilkł urywając nagle.

— Grzesznymbym był — dodał — gdybym bez dowodów, iż się to stać może, tak srodze obwiniał... lecz patrzyłem, widziałem i wiem wiele. Dałby Bóg, byśmy pokonali tę potworę, która w herbie Sforziów dziecko pożera! *Omen* to jest!

Wzdrygnął się Tarło i rękę podniósł jedną do góry.

— Młody król przecież żonę umiłować musi; godzi się na niego rachować, że jej przeciwko matce bronić będzie.

Wstał pan Boner potrząsając głową.

— Przeciwko miłości dla żony, jest tu miłostek bez miary, coraz świeżych, a coraz poważniejszych, są dawne ulubienice... a ona matka, Boże mi przebacz porównanie, jak ona Neronowa Agryppina nad umysłem syna potęgę ma wielką.

— Tak jest — potwierdził biskup Samuel — Patrzaliśmy na wychowanie królewicza, które na to jedynie obrachowanem było, aby władzę wielką nad umysłem jego osięgnąć.

Domagali się głośno a mocno panowie wszyscy, aby młody pan wychowanie odebrał męzkie, rycerskie, bo choć chwilami pokój mamy, nigdy bezpiecznemi od sąsiadów nazwać się nie możemy. Wojna jest przeznaczeniem naszem, wojna rzemiosłem. Nie dała Bona uczynić syna wojownikiem, odebrała i w fraucymerze zawarła, pieszcząc go aby zmięknął... od ojca go trzyma daleko, od ludzi oddziela, od świata zasłania podwiką... czegóż się po nim spodziewać?

Wtem pan Seweryn Boner przerwał.

— Tak ci ostatecznie źle może nie jest, jakby być mogło — rzekł. — Znam ja młodego króla od dziecinnych lat jego. Pan niepospolitych umysłu przymiotów, a i serca wielkiego, szlachetności wielkiej.

— Co po tem, jeśli zniewieściał? — spytał Tarło. — Słabość w mężczyznie przywarą wielką... sprężyny nie ma, półzegarze nie idzie... cóż dopiero w panującym, który wolę winien mieć za tysiące?

— No — odezwał się pan Andrzej z Górki — przyszłością się nie trapmy do zbytku, gotówem i ja ze starym królem zostać fatalistą! Bóg się ulituje nad nami. Tymczasem myśleć potrzeba jako tej młodej pani, która tu przybyć ma, zastęp utworzyć, obrońców zjednać, czuwanie zapewnić.

— Ja — rzekł po małem milczeniu Maciejowski — najwięcej liczę na starego króla. Szczególną bowiem w nim zawsze upatrywałem miłość dla tej narzeczonej syna, a tak blizkiej powinowatej.

Krew ci to nasza, wnuczka Władysława czeskiego, i czy temu, czy jej młodości, czy myśli zawcześnie powziętej a długo piastowanej, winna Elżbieta, że ją już dziś Zygmunt jak własne dziecko miłuje.

Żadnej ze swych córek, nawet Izabelli, ulubionej Bony, nie kochał tak, a Dantyszek i Lutalski, co ją widzieli, twierdzą, że miłość ta jest całkiem usprawiedliwioną.

Śliczne ma być dziecię, skromne, miłe, obyczaju pięknego, wychowane w bojaźni bożej, serca przedziwnego, umysłu rozbudzającego się; a że wcześnie ją naszemu Augustowi przeznaczano, że listy nawet pisywali do siebie, więc w młodem sercu już jest uczucie dla przyszłego męża.

— I ta to gołąbka niewinna — zamruczał głową potrząsając Andrzej z Górki — ma paść ofiarą sępów!

— Znajdzie obrońców! w Bogu nadzieja — dodał Maciejowski.

Czasu tej rozmowy, jak pospolicie u biskupa Samuela wieczorami, gdy widziano światło, ten i ów z przyjaciół jego wchodził. Znaleźli się Bojanowski rozumny, Lupa Podlodowski i kilku innych. Ale na nich nie zważając, bo wszyscy swoi byli, rozprawiano dalej, a nikt się z myślą swą nie ukrywał.

Wtem u drzwi szelest powstał i niektórzy głowy zwrócili ku nim, bo się ktoś śmiałym, posuwistym krokiem zbliżał ku rozmówcom... a był człowiek, dla nieznajomych wielce oczy ściągający i niepospolitej powierzchowności.

Takiego się najmniej na pokojach biskupa Samuela spodziewać było można, bo tu wszyscy pańsko i bardzo ochędożnie wyglądali, a przybywający, choć mu na fantazyi nie zbywało, bardzo z prosta i zaniedbanie był odziany.

Strojów onego czasu dziwnych nie brakło, a co człek, można było niemal coraz inną modę widzieć na nim, ale po wchodzącym trudno było poznać, do jakiego należał narodu.

Buty miał długie jakie w Polsce pospolicie noszono, spodem suknię jak sajanik skrojoną, ale wytartą i wyblakłą, choć materya na niej była niegdyś kosztowna i piękna. Wierzchem zaś na niej, wyszarzanym aksamitem okryte miał futerko z popieliczych wiewiórek, jakieby ledwie staremu słudze na powszedni dzień przystało. W ręku zaś trzymał kołpaczek futrzany, tak dobrze stary jak odzież cała. Za paskiem na sajaniku zatknięta była para rękawic wyszywanych, zużyta — u boku ani miecza ani szabli, tylko pod pachą laskę kutą niósł.

Niepozorny ten człek, średnich lat, przed czasem postarzały, głowę miał ogromną, nad którą czoło wypełzłe jak bania sterczało; twarz chuda, długa kończyła się spiczasto. Brzydki był, ale w oczach tyle rozumu miał, a w tej twarzy życia tyle, iż poszanowanie jakieś wzbudzał. A musiał się mieć za niepośledniego sam on, gdyż owi dostojni mężowie, owe bławaty, szaty i łańcuchy, między które poufale tak wchodził, bynajmniej go nie onieśmielały.

Ci co na drodze mu stali, ustępowali z ukłonem, zdala będący witali go z uprzejmością wielką, a ks. Samuel ręką wcześnie go pozdrawiając, życzliwie się uśmiechał.

Zbliżywszy się do stołu nowy gość, z tą śmiałością z jaką wszedł, dokoła się pokłonił i stanął.

— Gościem wy u mnie rzadkim a wielce pożądanym, Strusiu miły — odezwał się biskup — bądźcież pozdrowieni!

Struś głowę skłonił nieco.

— Dzięki Bogu, mnie tu nie było potrzeba — rzekł — a gdzieindziej mus iść i konieczność. Doktorowi wszyscy radzi, a no bodaj go nie wołać.

Struś ten był naówczas najzawołańszym z lekarzy w Krakowie; choć tu na nich nie zbywało, bo i Polaków co się we Włoszech uczyli, i Włochów i różnych cudzoziemców siła było można naliczyć.

Struś bodaj innych nauką i bystrem okiem w rozpoznawaniu chorób ludzkich i temperamentów przechodził. Szanowano go powszechnie z nauki wielkiej, ale i z charakteru niemniej pięknego. Jako to lekarzom wielu się trafia, codziennie z widokiem śmierci oswojonym i sprawy ludzkie nawykłym widzieć jak marnemi są, Struś swobodę umysłu i mowy w pośród najdostojniejszych osób zachowywał, a nie korzył się przed nikim. Tak mu było prawdę łatwo powiedzieć królowi, jako parobkowi, a zawsze była zdrowa i jędrna. Nie lękał się też nikogo, gdy jego wszyscy pożądali.

Ostatnie wyrazy rozmowy toczącej się o królewnie Elżbiecie, wchodząc Struś pochwycić musiał, bo gdy się uciszono, rzekł.

— Nie radbym przerwał *Encomium* przyszłej pani naszej, a dowiedziećby mi się było miłem, że też dosyć siły a zdrowia mieć będzie, aby tu i miłości jednych i nienawiści drugich podołać mogła biedaczka.

— Co do zdrowia jej — zniżając głos rzekł biskup z powściągliwością pewną — różne wieści krążą, daj Boże, nieprawdziwe a złośliwe... Słabowitą być ma a wątłą.

Strusiowi się słuchając rozrosłe brwi pod wysokiem czołem ogromnie marszczyły.

— Jam coś też zasłyszał — rzekł — i dlatego pytam. Powiadają, że matka jejmości niedobrego jest zdrowia, a i w ojcu pewne przypadłości mogły z niego przejść na dzieci...

chociaż to koniecznem prawem nie jest, aby one dziedziczyły je. Trafia się ten spadek często, lecz niewszędzie, jedne dzieci mija, drugie obarcza.

Maciejowski milczał zamyślony.

— Zkąd ja to wiem — rzekł — nie raczycie mnie badać; słyszałem wszakże od tych, co często ostatniemi dniami królową starą widywali, że ma pociechę z tego wielką, acz może przedwczesną, iż u przyszłej królowej o chorobie jakiejś skrytej wie, która jej życia długiego nie obiecuje...

Wszyscy chwilę milczeli, a pan Seweryn Boner po cichu szepnął biskupowi Tarle, obok którego siedział:

— Może zawczasu choroby przepowiadają, aby się jej nie dziwowano, gdy potem włoskim kunsztem ją w kubku lub woni zadadzą!

Struś dosłyszawszy smutnie się uśmiechnął.

— Zowiecie to włoskim kunsztem — odezwał się — chociaż on i we Francyi i po równi w innych krajach, pod ten czas zły do wielkiej doskonałości doprowadzony został.

Zaprawdę ohyda to i smutek, gdy człowiek rozumu swego i nauki na to zażywa, aby potajemnie i bezkarnie broił.

Doszliśmy do tego, że i Lokusta lepiej smażyć nie umiała nad nasze trucicielki.

Srom wyznać, że i pomiędzy doktory są tacy, którzy nad tem pracują, aby jak najsubtelniejsze trucizny urządzać umieli, które potem nie na wagę złota, ale za ogromne sumy sprzedają...

— Ale sąć antidota — odparł po chwili biskup — i mówią o kamieniach takich, które nosząc nigdy otrutym być nie można.

Struś się uśmiechnął.

— Przeszła do nas ta wiara od starożytnych, tak jako o ametyście głoszą, iż upić się nie daje, ale cudny to by kamień być musiał, żeby samo nań wejrzenie i noszenie go, połknięty jad niszczyło... Baśnie to są.

— A toż prawda? — zapytał Boner — że i zapachem zabić można?

— Prędzej niż wejrzeniem na kamień uleczyć — rzekł Struś — lecz smutna to treść rozmowy... rzućmy ją lepiej.

— O wesołą bo trudno — przerwał biskup Samuel.

Po tych słowach rozdzielili się mówiący i każdy z nich pojedynczo z kimś cichą zawiązał gawędę. Wszystkie zaś one mniej więcej jednego się tyczyły przedmiotu — młodego króla i królowej przyszłej, na których wielkie pokładano nadzieje... tak jak Bony i królowania jej coraz się rozwielmożniającego lękali wszyscy, tem pocieszając tylko, iż ono z żywotem starego pana ustać miało.

Słowo to było w ustach wszystkich, i dosłyszawszy je biskup Samuel, rzekł: że i to niepewna, ażali Bona, która na pozyskanie serca syna pracowała od dzieciństwa jego, nie potrafi go zatrzymać, tysiączne na to mając sposoby.

— Jakie one są — mówił znowu podniósłszy głos Maciejowski — wszyscy wiemy, bośmy na nie patrzyli. Młody pan wiele potrzebuje, bo do wykwintnego i zbytkowego życia jest nawykły, kocha się we wszystkiem co piękne, a co piękne jest, szacowne być musi.

Stary król nie rad na fraszki mu dostarcza i ostrzejby go chciał wziąć, czemu Bona nie przeszkadza, zarazem okazyę mając tajemnie ze skarbca go swego zasilać, co miłość jedna i utrzymuje. Jest w Chęcinach na zamku z czego wszelki zbytek żywić.

Gorsze drugie — kończył biskup oczy spuściwszy — boć na krewkość wielką młodego króla obrachowane. Ma Bona zawsze przy sobie podostatkiem pięknych dziewcząt, Włoszek i Polek, a przez szpary patrzy na miłostki syna.

— Cośbym i ja o tem powiedzieć umiał — szepnął Struś — wczoraj bowiem młody król przez dworzanina mnie swego prosić kazał, abym nie wyjawiając, że to z jego naprawy poszło, Włoszce Dżemmie coś radził, gdyż chorą być ma.

— To wiadomo — wtrącił Boner — iż piękna bardzo Włoszka, bo to perła na dworze królowej, oddawna młodemu panu w oko wpadła... a źli ludzie mówią, iż Bona sama tego życzyła i ułatwiała.

— Byliście na zamku u niej? — zapytał ciekawie Andrzej z Górki.

Struś głową potrząsł.

— A jakżebym chorej i królowi odmówić miał? — rzekł. — Dworzanin Merło, co mnie prowadzić miał, tak się starał czas i drogę wybrać, aby nas nie baczono.

Nie wiem czy kto dojrzał mnie po pustychb łądzącego kurytarzach, zanim Merło przodem pobiegłszy dał mi znak, iż wnijść mogę.

Gdym na próg wstąpił — mówił dalej Struś — w tejże chwili u drugich drzwi opadała kurtyna, i nie mylę się, bom młodego pana uchodzącego poznał. W komnatce tak ochędożnej a przybranej, jakiej nigdy królewny nasze nie miały, bo około tych skromnie jest i ubogo, zastałem ową piękność, u której nóg jeszcze świeżo porzucona lutnia leżała i struny jej niedograną pieśnią cicho dźwięczały. Ujrzawszy mnie zapłoniła się wielce i stała nieruchoma jak posąg, tak żem czas miał się dobrze przypatrzeć zbliżając powoli.

Oczów na mnie długo podnieść nie śmiała.

— Na prawdę bardzo piękna! — odezwał się Boner.

— Ani we Włoszech nawet takich wiele — potwierdził Struś — choć tam niewiasty za młodu słyną pięknością, tylko że ona nietrwałą jest, gdy naszych jejmości, jak się trafi hoża, to i w pięćdziesięciu leciech między dziewkami stanąć może... gdy Włoszka do trzydziestu ledwie doszedłszy, już stara.

Ozwałem się do wylękłej, pytając czy chorą była.

Podniosła dopiero oczy śliczne na mnie i cicho rzekła: — Nic mi nie jest.

Ująłem za rękę i puls badałem, który bardzo pospieszny był i nieregularny. Niepokój duszy we krwi się czuć dawał.

Na pytania moje ledwie mi odpowiadać chciała, wciąż na drzwi spoglądając, których zasłona drgała, jakby za nią kto stał ukryty.

Chorą ją nie znalazłem, ale zdrową się nazwać nie godziło, bo z takiego niepokoju w całem ciele ludzkiem srogie nieporządki powstać mogą i śmierć nawet sprowadzić.

Ani tu moje leki aptekarskie mogły być skuteczne. Rzekłem więc aby w sobie spokój starała się utrzymać i dobrą myśl, rozrywki szukała, muzyki zaniechała.

Ziółko też usypiające i uspokajające przysłać obiecałem.

— Łacno odkryć tej choroby przyczynę — przerwał pan Boner. — We dworze już wiedzą wszyscy, bo i stara królowa języka utrzymać nie umie nigdy, że król młody się żeni. Ztąd kochanicy troska sroga, bo że była i jest Augustową miłośnicą, o tem na dworze nie wątpi nikt. Królowa stara obsypuje ją łaskami, a przez nią syna przy sobie trzyma i zachować go się spodziewa.

— Niewątpliwa, iż plan taki jest osnuty — przerwał Maciejowski — łacno go i podpatrzeć odgadnąć, aliści nie wiem czy równie będzie lekko przywieść do skutku.

Zamilkli wszyscy.

— Na to królowa stara wcześnie obmyśla sposoby — odezwał się Górka — czasu ma dosyć.

Rozsiewają już wieści, że przyszła żona chorobę jakąś wiezie z sobą, nie dla czego innego, tylko aby do niej zrazili. Będzie to dobry powód aby oddalić Augusta, którego Dżemma pocieszać nie zaniedba...

Westchnął biskup Samuel, ale wtem marszałek dworu otworzył drzwi jadalni i oznajmił, że wieczerza podaną była, i jakby dla niej wszedł też śmiejąc się brat biskupa — a wszyscy razem, oprócz Strusia, który za chleb wieczorny podziękował, ruszyli do sąsiedniej sali.

Zdawna dwór biskupi krakowski, choć na nim siedział Oleśnicki i kardynał Jagiellończyk, takiego przepychu i świetności nie zaznał, jak pod ten czas za Gamrata.

Stara to i udowodniona prawda jest, iż ten co od kolebki nawykł do dobrego bytu, do dostatków, mniej do chlubienia się nim jest pochopnym.

O Gamracie mówiono, że w łapciach przyszedł z Podgórza, tak jak o Ciołku, że karczmarza czy szewca synem był, a oba oni bez wielkich zbytków się obejść nie mogli.

Nadworne straże, liczni komornicy, służba, aż do najmniejszego pachołka, jeżeli nie na codzień, to na uroczystości Gamratowi w takich strojach, zbrojach i przyborach towarzyszyli, iż gasili barwą swą i rynsztunkiem najmożniejszych domów poczty.

Prawda iż arcybiskupstwo razem gnieznieńskie i biskupstwo krakowskie dzierżąc, dwa książęce beneficya, mógł Gamrat starczyć na przepych książęcy i sprostać choćby Tarnowskiemu, Górkom, Zebrzydowskim i najmajętniejszym magnatom.

Gdy u innych wspaniałość z wytwornym smakiem połączoną była, Gamrat się szczególniej w tem kochał, co oczy pospólstwa zachwycało i połyskiem je pociągało.

Więc od złotych bramowań były barwy, kapy na konie, złotem świeciły i szkarłatem kolebki, a i liczba pocztów dostojności odpowiadała. Dwór jego więcej na świeckiego pana orszak, niż na duchownego drużynę wyglądał — ale i on sam też, mimo najwyższego dostojeństwa w hierarchii kościelnej, o kapłańską mniej stał powagę.

Panem przedewszystkiem chciał być, przeto i dobroczynnym bywał po pańsku, bo gdy w podróż się puszczał po dobrach swych, szły za nim wozy odzieżą i chlebem dla ubogich naładowane. Sypał tak hojnie, jak mu zbierać łatwo było.

Nie poskąpiła natura szczęśliwemu dziecku wyposażenia, dając mu oblicze piękne, choć się ono już w tych leciech jego znacznie było rozlało i zgrubiały rysy — postawę przytem miał wspaniałą, wzrost i tuszę pańską. Z oczów tryskał rozum i przebiegłość, jako też umysłu był prędkiego i odgadywał łatwo to nawet, czego się nigdy nie uczył.

Głębokiej nauki Maciejowskich i Tomickich nie miał nigdy, ale dowcip żywy i giętki, słowo łatwe i rodzaj wymowy bujny i kwiecisty, który stał za mądrość.

Z ludźmi, których sobie pozyskać chciał, był tak miłym a tak się szczerym zdawał, choć nim nie był, że za serce łatwo chwytał.

W środkach wcale nie przebierał, i życiu jego jawnie wiele zarzucić było można, lecz o to nie dbał. Namiętności swych poskromić nie umiejąc, gdyby nawet cnotliwego udawał, nikogoby nie oszukał.

Gdy z jednej strony obyczajów jego uniewinnić niepodobna było, miał jednak ten srom jakiś w sobie, że za nie płacić usiłował głośnemi czyny.

Sypał pełną garścią na ubogich, szczególniej tam gdzie nietylko lewica, ale tysiące oczów z prawej i lewej strony widzieć to mogło. Młodzieży do nauki pomagał chętnie, grosza na to nie żałując, dla przyjaciół hojnym był, a im głośniej mógł co sprawić, tem ochotniej robił.

Ale tak samo jak się z dobrem chwalił, tak złego nie ukrywał, i miłośnica jego z Sobockich Dzierzgowska, a jej rodzina, niemal na dworcu arcybiskupim zamieszkiwała. Wizerunek pięknej pani wisiał w pokoju na ścianie, a gdy się arcybiskup w podróż puszczał, szła za nim kolebka tej, którą żoną arcybiskupią publicznie zwano.

Ona się też nie sromała być ulubienicą Gamratową, a ośmielać ją musiało to, że u królowej Bony na pokojach także włoskiego pęzla wizerunek jej widzieli wszyscy i stara pani mówiła o miłości arcybiskupa dla niej, jako o rzeczy godziwej i uprawnionej.

Zżymało się na to duchowieństwo, bo od Pawła z Przemankowa zgorszenia podobnego na stolicy krakowskiej nie widziano. Rozwięzłe życie wiódł kardynał Jagiellończyk, ale osłaniano je przecie, aby w oczy nie biło.

Gamrat się z niego prawie chlubił, a zwano to z przekąsem „włoskim obyczajem".

Pospolicie, gdy królowa stara na zamku krakowskim mieszkała, Gamrat jej nieustannie bywał potrzebnym. Obejść się bez niego nie umiała, i do rady i do wykonania służyć musiał, więc znaczniejszą część dnia spędzał na Wawelu i późno powracał.

Ale rzadki dzień się obszedł potem bez nocnej biesiady, bo biskup i jeść dobrze i pić lepiej jeszcze lubił, a gdy jadł lub pił nigdy sam nie siadł do stołu, towarzystwem się otaczając wesołem, ludzi coby go zabawić mogli i dobrej myśli przyczynić.

Przy owych tedy sławnych Gamratowych wieczerzach, które letnich dni nieraz trwały do poranku, brano na zęby wszystkich co do obozu królowej nie należeli, a słowo grube i żart plugawy nie były nowiną.

Na niczem tym biesiadom nie zbywało, cokolwiek rozbudzić i rozochocić mogło, ani na trefnisiach, ani na muzykantach, ani na pochlebcach dworujących faworytowi, tylko na pomiarkowaniu i skromności.

Niewiastom też z panią Dzierzgowską wstęp nie był wzbronionym, choć duchowni u stołu przeważali liczbą.

Lecz kto z nich u Maciejowskiego bywał, ten u Gamrata nie postał, i nawzajem. Gdy zmuszony czasem profesor akademii, prałat jaki u stołu zajął miejsce, przed końcem uczty się wynosił, bo im ona dłużej się ciągnęła, tem swawola była większa.

A taka jest moc nieszczęsna władzy, znaczenia i wszelkiej siły, że choć sam Gamrat w prawie powszechnej był ohydzie, kłaniało mu się możnych ludzi coraz więcej, gościło dostojnych coraz mniej tu spodziewanych.

I najgłośniejszych imion ludzie, jak Opalińscy, jak Kmita, nie uchylali się od arcybiskupa, bo co stało przy królowej, z Gamratem trzymać musiało. Szczególniej w ostatnich latach, gdy król coraz widoczniej starzeć począł, a żona nad nim przewagę coraz większą brała, Gamrat też rosnął i potężniał. Ani do urzędu, ani do ucha króla dobić się nie było można bez niego. Nie starczył datek, choć królowa sobie za wszystko płacić kazała — pokłon był niezbędnym.

A im kto dłużej kłaniać się nie chciał, tem potem niżej musiał.

Wieczoru tego na dworcu się też gotowano z wieczerzą, gdy biskup powróci, i z otwartych okien kuchni aż na podwórze dolatywała woń zamorskich korzennych przypraw, bez których żadna się pańska kuchnia nie obchodziła. Smakowały one komu czy nie, dla samej swej ceny używać się kazały, aby okazano, że stać na to było, by imbierem, szafranem, muszkatelą, cynamonem półmiski zaprawne były.

Liczny dwór dosyć nieswornie kręcił się w podwórcu ze śpiewkami na ustach, pobrzękując na cytrach, odprawując gonitwy takie, jakby to nie był księży dwór i duchownego mieszkanie. Zbrojnej też gawiedzi więcej oko spotykało niż sukni kapłańskich, które wielu zrzucało lub tak przykrawywało, że się świeckim nadać mogły.

Synody wprawdzie ostro nakazywały i tonsurę i sutanny, i bezbronność i wyrzeczenie się świecideł, lecz sam pasterz stroił się i nikomu nie ganił tego, kto mu przyjaznym był.

Kolebka Gamratowa jeszcze nie nadążyła z zamku, gdy Sobocki, którego naonczas na województwo gwałtem siostra forytowała, wraz z nią zajechał kolebką szkarłatną ze świecidłami mosiężnemi przede drzwi główne.

Z jejmością razem (Dzierzgowską) przybywała druga jej towarzyszka i pokrewna, Sobocka także. Stryjeczny brat jej, który je przeprowadzał, stał na stopniu kolebki, trzymając się balasów, na których pokrycie spoczywało... Mężczyzna był tak urodziwy jak siostra, z której łaski u Gamrata był w zachowaniu, ale już wiekiem i życiem roztyły, ociężały i na twarzy zbyt rumianej, napiętnowany od napojów gorących... Stroił się jednak młodo, dbał o swą piękność i chciał się nią jeszcze chlubić.

Wysiadająca z kolebki Dzierzgowska, ulubienica Gamrata, cała w jedwabiach, łańcuchach, klejnotach, forbotach i plecionkach złotych, niewiastą była już przeszło trzydziestoletnią, pięknej kibici, kształtna, silna, rumiana i biała.

Twarz zalotnie uśmiechnięta, z wielkiemi oczyma szafirowemi, mówiła równie jak malinowe usta, że jejmość wesołe życie lubiła. Śmiała się wysiadając, gdy ją Sobocki wraz z nadbiegającym marszałkiem dworu na ręku niemal wynieśli z powozu. Tuż za nią szła druga Sobocka, piękna też, ale niemogąca z siostrą się równać. Mniejsza od niej, pulchna, pełna, tylko białem licem i zbyt nastrzępionym odznaczała się strojem. Marszałek arcybiskupi w progu oznajmił, że arcybiskup dotąd z zamku nie powrócił.

— A! — zawołała śmiejąc się Dzierzgowska — gdyby Bona nie była starą i królową, byłabym zazdrośną. Godzina dobrze druga lub trzecia na całym zegarze... jużby doma dawno spocząć powinien.

Marszałek poruszył ramionami.

— Opóźnienie — rzekł cicho i poufnie — toby jeszcze nie było nic. Wiadomo, że nasz arcypasterz na swej głowie i ramionach tyle dźwiga, iż mu podołać trudno. Nic się nie dzieje bez niego. Gorsza to, że od dwóch dni już chodzi ks. arcybiskup jak struty, z troską jakąś, której nic rozproszyć nie może. Jeszczem go takim nie widział nigdy.

Zmarszczyła się pani Dzierzgowska.

— Ale cóż mu się stało? — zawołała nasępiona — mieliżbyście nie wiedzieć nic?

Rozmawiając tak, weszli do wielkiej sali rzęsiście oświeconej, w której stół wspaniale był nakryty. Na drugim obok stały wyzłacane nalewki i takież misy, z ręcznikami szytemi bogato, przygotowane dla gości do umywania rąk przed wieczerzą. Służba w kącie gotowa była na skinienie.

— Nie wiecie nic? — zapytała Dzierzgowska.

Marszałek pokręcił wąsa i usta wydął.

— Nie tai nic przedemną — rzekł — ale tym razem nie mogłem się dowiedzieć co mu jest. Rzecz tem osobliwsza, że wczoraj kładąc się spać był najlepszej myśli, śmiał się, żartował... Położył się potem, a rano wstał blady, spotniały, zmęczony, do siebie niepodobny, tak żem po pana Strusia lub innego lekarza chciał słać, ale ofuknął że go nie potrzebuje. Przez cały czas gdy się odziewał, wzdychał zadumany, co nie jest jego obyczajem. Dziś we dnie jeszcze się te chmury nie rozproszyły...

Dzierzgowska i Sobocki spoglądali na siebie, badając się wzajem. Marszałek stał nasłuchując czy kolebki arcybiskupiej, której oczekiwał, turkotu nie posłyszy. Ale cicho było dokoła, tylko z podwórca dolatywały śmiechy, śpiewki i gwary.

Upłynęło tak ze ćwierć godziny w oczekiwaniu, gdy w ostatku zatętniało w dali i marszałek naprzeciw pana swojego pospieszył razem z Sobockim, a dwie kobiety same w sali pozostały, zbliżając się tylko nieco ku progowi. Pochodnie mignęły u okien, arcybiskup przybywał.

Po chwili zjawiła się piękna jego postać we drzwiach, ale tak zasępiona, z wyrazem takiej trwogi jakiejś i srogiego niepokoju na twarzy, iż pani Dzierzgowska się przelękła.

— Co wam jest? — zapytała żywo.

— Co mi jest? — butnie odparł arcybiskup, zmuszając się do uśmiechu — a któż wam mówił, że mi się co stało?

— Z twarzy to widać!

— Lica kłamią pod czas jak i usta — zawołał Gamrat. — Zmęczony człek wydaje się zatroskanym, znużony smutnym...

W chwili, gdy arcybiskup do sali jadalnej wchodził jednemi drzwiami, drugiemi z bocznych komnat już na niego oczekujące zwykłe codzienne towarzystwo cisnęło się tu także. Duchowni strojni jakby niemi nie byli, świeccy po włosku, po usarsku, po węgiersku, po niemiecku poubierani, dwa karły, trefniś, wszystko się to razem wtoczyło.

Marszałek, który rozkaz już odebrać musiał, natychmiast misy na stół przynosić kazał, a Gamrat już szedł do nalewek, któremu wodę chłopięta na ręce zlewać poczęły... Zatem i paniom i innym gościom podstawiano misy i podawano tuwalnie.

Gwar wesoły rozszedł się po sali oświetlonej i błyszczącej od sreber i szkła weneckiego. Wszyscy jednak ku arcybiskupowi spoglądając widzieli zarówno, że nie takim przybywał jak zwykle... Zły ten humor powszechnie przypisywano temu, że i królowa stara i Gamrat, pobici zostali w sprawie małżeństwa młodego króla.

Żeniono go pomimo nich — zapowiadały się burze i ciężkie walki.

Gdy Gamrat zajął swe siedzenie, obok którego po obu stronach Dzierzgowska i Sobocka się umieściły, a inni też wedle dostojeństwa krzesła zasiedli, zapach polewki rozszedł się po izbie i słychać było przez czas jakiś tylko brzękanie łyżek i dźwięczenie mis potrącanych niemi.

Arcybiskup ledwie tknąwszy jedzenia, porzucił je, nalać sobie kazał wina, wypił nie mieszkając i siadł oparłszy się na ręku.

Nawykli przy biesiadach widywać go zawsze rozbudzonym, do wesela powołującym, ochoczym, zdumieni potrącali się łokciami.

— Co mu to jest?

Na to pytanie nikt nie umiał odpowiedzieć, bo takim go nigdy nie widziano, takim on nigdy nie bywał.

Dzierzgowska cicho badać go zaczęła. Spojrzał z góry na nią, chciał się łagodnie uśmiechnąć, lecz skrzywił tylko i rzekł:

— Źle się czuję na zdrowiu. Sam nie wiem, co mi jest. Do melancholii nie miałem nigdy skłonności, ani mnie hipochondrykiem kto widział, raczej cholerykiem niekiedy. Przejdzie to wszakże i zwolna się zatrze... Bądźcie wy dobrej myśli, abym ja z niej się cieszył, gdy własnej nie mam.

— Mówicie tak — odparła Dzierzgowska czule — dobre to dla drugich nie dla mnie, która mam to szczęście dobrze was znać. Strapienie jakieś wam dolega, a ciężkie nad miarę być musi, gdy tak widocznem się stało.

Westchnął Gamrat nic nie odpowiadając.

Więc i Dzierzgowska, Sobocki i marszałek i wszyscy ci, którym szło o to wielce, aby wesołym pana widzieli, poczęli szeptać, krzątać się, różne wymyślając sposoby.

Wystąpił tedy włoski lutnista i pobrząknąwszy o struny, na ławie pod oknem zajął miejsce, śpiewać poczynając pieśń starą, którą arcybiskup lubił, bo mu młode lata w Rzymie przy Ciołku spędzone przypominała. Spojrzał Gamrat ku lutniście, czoło mu tęsknota jakaś oblała... i zasłuchał się w pieśni.

Nie rozjaśniło mu się oblicze.

Skończył śpiewać lutnista, któremu kubek podał sam Gamrat dziękując, a przy stole cisza panowała. Ci co zwykle tu rej wodzili, dziś się czuli bezsilni...

Wystąpił z kąta trefniś, którego Pokrzykiem zwano, co znaczy toż jak włoska: Mandragora, upatrywano bowiem w niezgrabnej jego postaci jakieś z dziwaczną tą rośliną podobieństwo.

Krzywy, na obłączystych nogach, garbaty szpetnie, z głową jak garnek ogromną i niekształtną — Pokrzyk słynął jeśli nie z dowcipu trefnego, to z cynizmu wielkiego, który też nazwisko mu nadane usprawiedliwiał.

Zbliżywszy się do stołu, Pokrzyk rozpoczął błaznowanie... śmiech obudził w kilku, ale Gamrat nie zdawał się go ani słyszeć ni rozumieć. Napróżno się wysilał na coraz śmielsze wybryki, wszystkie pozostały bez skutku.

— Co to ci ojcze nasz dobry? — spytał niemal pod łokieć mu się wciskając.

— Chciałżeś abym jak ty szalonym był? — zapytał Gamrat.

— Krzta szaleństwa i rozumnym mężom nie szkodzi — odparł Pokrzyk — zwłaszcza przy biesiedzie.

Ano, patrzcie, nietylkoście wy smutni, ale wszyscy pociemnieli... tak jak gdy słońce zajdzie, a mrok padnie na ziemię.

Arcybiskup ręką rzucił, a potem nią czoło znużone potarł i od trefnisia się odwrócił.

— Hm! — rzekł Pokrzyk na ucho Dzierzgowskiej — rychlej wy niż ja poradzicie na melancholię, ja ręce umywam...

I od stołu odstąpił.

Ten i ów z gości, zwłaszcza ci co więcej w dowcip swój ufali, poczęli się z tem i owem wyrywać głośno, sądząc że chmurnego i zadumanego rozruszają. Nie pomogło nic.

Wieczerza owa, co miała podochocić wszystkich, zeszła posępnie, a pod koniec jej, czoła się wszystkim pofałdowały i gdy znowu do mycia rąk przyszło, milczenie panowało trwożliwe.

Nawet dla Dzierzgowskiej Gamrat nie miał słówek tych słodkich, któremi ją był zwykł karmić...

Zaraz więc po krótszej niż zwykle biesiedzie, poczęli się goście mieć ku wyjściu. Ten i ów żegnał się i znikał, rada nie rada Dzierzgowska z siostrą pożegnały Gamrata, który ich nie wstrzymywał, i do kolebki siadły.

Sobocki tylko pozostał, odprawując je, z mocnem postanowieniem wybadania arcybiskupa i wyjścia z tej trwożliwej niepewności, w jaką go niezwyczajne zasępienie jego wprawiało.

Gdy kobiety odjechały, goście się rozeszli, a Gamrat sam został z domownikami i Sobockim, skinął na niego i z komnat pustych przeprowadził za sobą do komorki zacisznej, małej, która do sypialni przytykała.

Ulubione to było jego gniazdo, do którego tylko najpoufalsi przystęp mieli; całe kobiercami wysłane, dokoła miękką szeroką obwiedzione ławą, zaciszne, wygodne i obcym nieprzystępne.

Arcybiskup zajął tu miejsce na rozłożystem siedzeniu, które tak urządzone było, że na niem położyć się mógł, zeprzeć i jak chciał umieścić. Sybaryta tylko mógł podobne wymyśleć.

Obok pod ręką stało zawsze na nizkim stoliczku wszystko, czego tylko przy spoczynku pożądać było można... Dzban z wodą zimną, nalewki z winem gotowanem i surowem, łakocie różne i owoce w cukrze kandyzowane.

Sobocki zajął miejsce nieopodal od niego.

— Pietrze — rzekł do niego poufale, gdyż byli z sobą jak bracia i wzajem tajemnic nie mieli — drugim sobie mów co wola twa, a no mnie tem się nie zbędziesz. Coś cię dotknęło okrutnie, nigdym cię takim nie widział.

— Zaprawdę — westchnął Gamrat — bom nigdy nie był takim!

Zamilkł krzynę i mówił dalej.

— Niemałom żył, a tego co mi się przygodziło dziś nocą, nie doświadczyłem nigdy. Dlatego zbliżanie się godziny nocnej tak mnie trapi i przeraża.

— Nocą? — podchwycił niespokojny Sobocki.

Gamrat skinieniem głowy to potwierdził.

— Idź — rzekł — opatrz drzwi, aby nawet z domowników moich nikt nas nie podsłuchał. Przed tobą mogę, przed nikim innym z tegobym się nie potrafił spowiadać dla sromu.

Znasz mnie, że ducha mężnego mam, a zmogło go.

Poszedł natychmiast Sobocki za drzwi na oględziny, i prędko, niespokojny powrócił.

Siadł naprzeciw Gamrata, w twarz jego wpatrując się z trwogą.

Arcybiskup milczał czas jakiś, odetchnął po tem ciężko i cichym głosem tak opowiadać zaczął:

— Znałeś Kurosza? Wiesz jak blizki był sercu mojemu. Pierwszy to człowiek, który do mnie przystał gdym maluczkim był, i został mi wiernym do zgonu.

Płakałem po nim, jak nigdy po nikim jeszcze.

Pomnisz co to on za życie prowadził i czasu peregrynacyi swych za granicą i powróciwszy do kraju. Tak zuchwałego hulaki a zawadyaki nie wskaże mi nikt drugiego. A życia zażywał pełną... Gdy zmarł, już pewnie nie zostało nic na tej ziemi czegoby nie sprobował, z czemby się nie zmierzył, czegoby nie zakosztował choć zakazanego... A co zakazane owszem najlepiej mu smakowało...

Dość powiedzieć: Kuroszem był... bo drugiego takiego, sądzę, nie znajdzie ani u nas ni w żadnym kraju.

Do dziś dnia go opłakać nie mogę... Ten mi jeden przyjacielem był, choćbym krwi od niego zażądał.

Westchnął Gamrat.

Sobocki słuchał, nie pojmując jeszcze jaki zmarły Kurosz ze smutkiem Gamrata mógł mieć związek, gdy ten dalej ciągnąć począł.

— Wczoraj do łoża szedłem jako zwykle wesołej będąc myśli, nie mając powodu do żadnej trwogi, ani troski. Z zamku wyjechawszy, przetrząsałem w głowie wszystkie środki, jakie stara królowa zwierzyła mi, że ich przeciw młodej pani zażyć zamierza.

Położyłem się rozmyślając o nich, a nie wątpiąc, że wszystko się uszykuje gwoli naszej.

Zasnąłem twardo.

Nagle zdało mi się jakbym oczy otwierał, choć powieki miałem zawarte... W sypialni światło jakieś, jakby od ognia dalekiego łuna odbita, się zjawiło.

Na tle jego stał ktoś naprzeciwko mnie, którego mi rozpoznać było trudno.

Tymczasem światło rosło i wkrótce rozjaśniło tak całą komnatę, żem wszystko w niej mógł rozeznać, i tego który naprzeciwko mnie stał, wpatrując się we mnie, poznałem też... Kurosz był.

Osobliwa rzecz. Pamiętałem we śnie, iż go między żywemi nie ma, a zjawienie się jego wcale mi się nie wydawało dziwnem.

— Miły mój Kurosz — odezwałem się — pozdrawiam cię. Jako tam dzieje się z tobą?

Patrzał na mnie długo z politowaniem jakiemś, nim mówić począł.

— Bogu miłosiernemu i przenajświętszej Matce jego niech będą dzięki — rzekł. — Tam jestem, gdziem się dostać nie spodziewał.

A gdym milczał zdumiony bardzo, ciągnął dalej.

— Życie moje pomnisz, boś jego świadkiem był. Zbluzgany i obłocony niem zszedłem z tego świata, a jeśli mnie ciężar grzechów nie miał na dno pchnąć piekielne, długa i sroga czekała pokuta.

Tego słowo ludzkie nie wyrazi jako burzliwym wirem porwana dusza moja z ciała wyszła, przez ciemności straszne lecąc ku pożarnemu morzu płomieni.

Wtem zaszeleściły skrzydła aniołów, pęd się ten powściągnął, i jasna biała światłość oblała mnie. Po nad sobą ujrzałem gwiazdami siany płaszcz, który spadał z ramion białej, w jasności wielkiej stojącej dziewicy... Maryi. Chwyciłem rąbek jego i natychmiast pierzchnęło co mną rzucało. Lekki stałem w powietrzu, a głos z góry dał się słyszeć:

— Ten czci mojej był obrońcą.

Naówczas przyszła mi na myśl przygoda owa w hiszpańskiej ziemi, gdym pijanego a zuchwałego heretyka, który przeciw Matce Bożej bluzgał słowy wszetecznemi, na rękę wyzwał za to i ubiłem go.

Skrucha za grzechy wstąpiła we mnie tak potężna, iż naraz całego przeistoczyła. Czułem jako opadały grzechów mych sprośne łupieże i trądy, jakom znowu do dziecinnej powracał niewinności.

Tak mówił Kurosz, a słowa jego przejmowały mnie grozą wielką, trwogą i bolem.

— Słuchaj Gamracie — dodał — żywota masz jeszcze dwie lecie i kilka miesięcy. Pójdziesz potem rachunek zdać z niego. Jakom cię niegdy miłował, tak cię dziś żałuję. Czas jest kajać się, czas upamiętać, pora pokutować... Pomnij na to, a nie wątp o miłosierdziu Bożem.

To gdy rzekł Kurosz, jakby we mgle się rozpłynął i z oczów mi zniknął. Światło w izbie zagasło, a ja dopiero teraz rzeczywiście powieki podniósłszy, przebudziłem się.

Cóż chcesz, Sobocki, ze snem tym chodzę dzień cały, pozbyć się go nie mogąc. Widzę ciągle przed oczyma, słyszę głos jego.

Sobocki, który z natężoną słuchał uwagą, nie rzekł nic zrazu.

— Cóż o tem sądzić — odezwał się pomyśliwszy trochę. — Sen to jest jako drugi: sen mara, Pan Bóg wiara, o czem za dnia człowiek myśli, to mu nocą powraca mimowoli. Za duszę Kurosza mszęby odprawić.

— On jej już nie potrzebuje — odparł Gamrat.

— Albo... albo... — wtrącił Sobocki. — Ja to mam za ułudny sen zwykły.

— A ja za widzenie prorocze — przerwał Gamrat. — Dwie lecie i para miesięcy... a potem...

Spuścił głowę.

— Za pół wieku grzechów, mało czasu na pokutę!

— A! — zawołał Sobocki — nie jesteście więcej grzeszni nad innych, a Pan Bóg tym co brzemiona wielkie noszą, więcej niż innym przebacza.

Godzina była spóźniona — Gamrat podumawszy szepnął, znak dając Sobockiemu, aby się zbliżył.

— Słuchaj bracie, trwogę mam przed tą nocą, a nikomu się z nią zwierzyć nie chcę. Spij obok w drugiej izbie, raźniej mi będzie, gdy nie sam pozostanę.

To mówiąc powstał Gamrat i drzwi do sypialni otworzywszy, klasnął w dłonie na służbę.

Sobocki, mało co odzienia zrzuciwszy, pas odpiął i legł na ławie.

Jak noc upłynęła, powiedzieć potem nie mógł, nie pamiętał nic. Gdy pozostał sam, było mu jakoś nie ochoczo i sen z powiek uciekał, więc ze dzbana wina sobie korzennego spory kubek nalawszy, jednym łykiem go wypróżnił, po czem gdy zasnął, nie zbudził się aż o dniu białym.

Arcybiskup stał nad nim już odziany, ale z twarzą od wczorajszej nielepszą.

Zapytał go po cichu Sobocki, czy noc spokojnie przeszła? — na co nie otrzymał odpowiedzi, ale blade i zachmurzono lice świadczyło, że wczorajsze wrażenie jeszcze się nie zatarło.

Następnego dnia, król stary wcześnie się udał na spoczynek, czując znużonym; poufała gromadka domowników około Bony, na jej pokojach gwarzyła jeszcze.

Izby te, które Włoszka zajmowała, choć im na wygodach nie zbywało, dziwnie się wydawały ogołocone i jakby na czas krótki tylko przybrane w to co było niezbędnem, przepych królewski łączył się z zaniedbaniem jakiemś i skąpstwem dziwacznem. Gdyby Bona, co się trafiało często, wyruszyć ztąd chciała do Chęcin lub jednego z licznych zamków swych i posiadłości, łatwo było ztąd zabrać wszystko i nie zostawić nic nad ściany nagie. Cały sprzęt kosztowniejszy był przenośnym. Pewien nieład i pospieszne a obojętne urządzenie na prędce, było widocznem.

Królowa razem skąpą była, chciwą i o powagę majestatu swego zazdrośną — usposobienie to dawało się poznać w tem co ją otaczało.

Komnata, w której przyjmowała, dość oszczędnie była oświeconą, służba wieczorem już powszednie szaty przywdziała, a karły i panny, które się posługując pokazywały, niemal ubogo były przyodziane.

Obok królowej przy stole, Gamrat, wyrocznia jej, pierwsze miejsce zajmował; reszta mężczyzn, między któremi widać było Opalińskiego, ochmistrza młodego króla, w drugim końcu rozmawiała po cichu. Około arcybiskupa troskliwie chodziła królowa, od dni kilku widząc go jak nigdy ponurym i zasępionym.

Nawet po tej sławnej scenie publicznej, tak upokarzającej, gdy Gamrata do tego przywiedziono, że wstał dziękować za biskupstwo, którego nie miał otrzymać, i musiał zawstydzony siąść, aby Chojeńskiemu ustąpić — nie był tak w sobie zanurzonym i przybitym. Zwykle przynosił z sobą męztwo, uspokajał, rozweselał niecierpliwiącą się panią — teraz ona jego musiała ośmielać, dodając mu odwagi.

Wymowny i wielomówny, jakby się wyczerpał, siedział tego wieczora milczący, blady, drżący za każdym szelestem, a przyczyny Bona dobadać się nie mogła. Była tem widocznie podrażnioną, wszystko co się opierało, zawsze gwałtowny jej temperament wszelkiemi sposobami podbić, ujarzmić, przełamać usiłował.

Mściwa, chytra, przewrotna, nie miała powściągliwości i panowania nad sobą, gdy szło o pokrycie uczuć. Z trudnością przychodziło jej coś ukryć w sobie... wybuchała, aż do szału się unosząc, choć ją to zdradzało i narażało na szyderstwa nieprzyjaciół.

Tak samo postępowała z mężem, gwałtownością zdobywając wszystko; tak samo z synem, tak z innemi. Potrzeba było ostateczności, najwyższego niebezpieczeństwa, aby się potrafiła na krótko poskromić. Naówczas milczała, zacinała usta, próbowała kłamać, ale tak niezręcznie, iż każdy zgadywał co się w jej duszy działo. Wszystkie środki dobre dla niej były, gdy szło o to, aby na swojem postawić — panowanie nad sobą i cierpliwość ze wszystkich przychodziły najtrudniej.

Gamrata smutek, zmiana humoru nagła, mocno ją dotknęły. Znała człowieka, nie mogło to być bez przyczyny. Badała napróżno. Gniew nią miotał już, bo miała przed sobą tajemnicę, a domysły ją przerażały.

— Mów, co ci jest? — nalegała na niego.— Trwożysz mnie. Sądzić muszę, że ukrywasz przedemną większą klęskę niż ta, którąśmy jawnie ponieśli.

Gamrat musiał w końcu usta otworzyć.

— Miłościwa pani — odezwał się — na tę cześć i poszanowanie, jaką mam dla niej, przysiądz mogę, że chwilowe strapienie, którego przemódz nie zdoławszy, przyniosłem je z sobą, nie tyczy się ani osoby miłości waszej, ani żadnej ze spraw ważnych, ale tylko mnie samego.

— Masz więc sprawy, które taisz przedemną? — odparła Bona nie ustępując.

— Dlatego tylko, iż małe są, liche, a uszu miłości waszej nie warte — rzekł biskup.

— A przecżże cię tak mocno obchodzą?

— Bom czasami słaby jak dziecko — rzekł Gamrat. — Łaski miłości waszej mnie popsuły.

Pomyślała chwilę królowa

— Wiem już — odezwała się — pewnie Dzierzgowska ci czem dokuczyła... Lecz niech mi się nie pokazuje na oczy! Niewdzięczną jest.

Gamrat nie stanął w obronie przyjaciółki, chcąc się w ten sposób zbyć natrętnego nalegania. Usiłował się otrząsnąć z czarnych myśli, co mu się nie powiodło; w ostatku wygadał się z tem, że przepowiednia krótkiego życia we śnie strwożyła go.

Bona wzięła to do serca...

— Sny są bałamutne — rzekła — najczęściej je na odwrót tłómaczyć trzeba... Na to zresztą są astrologowie, aby pewniejszego coś wywróżyli; ale pytać ich nie trzeba, bo człowiek potem trwoży się i ochota mu do wszystkiego odpada... nie myśl o tem. Ja — dodała zagadując żywo — o co innego musiałam mojego astrologa i doktora badać; chcę wiedzieć, co gwiazdy prorokują młodej królowej. Z Wiednia dostałam horoskop jej, Da Bari pracował już nad nim.

Gdy to mówiła, ciemne jej oczy złośliwą pałały uciechą.

— Nie długo cieszyć się nią będziemy — dodała — słabowita jest i wrażliwa... Narzucili nam ją gwałtem, niech się nie dziwią, że tu jej posłania na różach nie gotujemy.

Mój syn się do niej przywiązać nie może, ja dopilnuję tego... Jednego jego mam, nie mogę narażać na to, aby obcując z chorą sam zdrowie postradał...

— Chora jest? — zapytał Gamrat.

Królowa dziwnie ściągnęła usta.

— Jeżeli chorą nie jest, to nią będzie — dodała cicho — a na to nie potrzeba ani filtrów zadawać, ani szukać sposobów mądrych. Dziecko wątłe, matka była słabowita... pieścić ją nie będziemy.

Mówiła przerywanemi słowy.

— Nie dopuszczę, aby syn mój żył z nią — powtórzyła dobitnie na wpół do samej siebie i całej myśli swej nie chcąc wypowiedzieć. — Król codzień na siłach upada. Syna muszę być pewną, abym moją władzę utrzymała. Jeżeli kiedy, to teraz wszyscy mi potrzebni jesteście... rachuję na was, liczę na Kmitę.

Gamrat nieznacznie bardzo głową potrząsnął. Królowa to spostrzegła.

— Wątpisz o kasztelanie? — zapytała gorączkowo i ciekawie.

— Nie miałem dotąd powodu — odparł arcybiskup — niewątpliwie trzyma z nami, ale z nim jak z ogniem potrzeba obchodzić się ostrożnie. Ogień to jest, przy którym i ogrzać się można i oparzyć. Buta straszna, krew gorąca, życie gotów stawić jednej chwili za to, co jutro oknem wyrzuci. Wszelki opór go drażni. Któż przewidzi, co jutro mu w tej głowie zaświta... ambicya nienasycona.

— Możeż się skarżyć na mnie? — zapytała królowa. — Mimo wszystkich jego wybryków, wbrew królowi, z największą trudnością go doprowadziłam do najwyższego dostojeństwa.

— Tak, a jutro mu wasza miłość będziesz musiała fraszki odmówić i dla tej fraszki stanie się nieprzyjacielem. Nic go to kosztować nie będzie.

— Ja tak czarno go nie widzę — przerwała Bona — nie miałam powodu uskarżać się na niego. Oprócz Kmity mamy wielu innych, a tych, których potrzebować będziemy...

Bona cynicznie uderzyła się po kaletce uwieszonej przy pasie i szepnęła:

— Kupię resztę!

Zdawała się być tak pewną siebie, że Gamrat nie śmiał jej przeczyć.

— Tych ludzi jak Maciejowski, jak Tarnowski — mówiła dalej — których pozyskać nie można, zostanie garść nieznaczna, ci groźnymi nam być nie mogą. Liczba zawsze przemaga...

— Młody król — wtrącił Gamrat.

Bona mówić mu nie dała.

— Dotąd jest moim. Czuwam nad tem, trzymam go przy sobie, pieszczę, dogadzam... Król stary dla niego surowy, królewscy stronnicy przeciwią się mu, wymagają rzeczy wstrętliwych, chcą go mieć rycerzem i wodzem. Obawia się ich, odstręczony jest i nieufny. Zresztą i on tu także...

Dodała wskazując na kaletkę.

— Nie dają mu dosyć... ja go żywię, ja mu pieniędzy daję na fantazye, a potrzebuje wiele, bo charakter ma szlachetny i upodobania pańskie. Od króla wraca zawsze namarszczony i smutny, przychodzi skarżyć się do mnie... wie, że staram się życie mu osłodzić. Każdy krok jego mi wiadomy, Opaliński o wszystkiem donosi... między sługami mam moich, staram się go otoczyć takiemi, którzy popsuć nie mogą.

Godzina była spóźniona, Gamrat posępny i nierozmowny wstał nakoniec znużony i całując podaną rękę królowej wyszedł, aby powrócić do siebie.

Troskliwy o niego Sobocki czekał w przedsionku.

Zwolna światła pogasły na zamku, ucichł ruch i straże tylko zwolna przechadzające się słychać było w mroku przy bramach i murach.

W tej tylko części zamku, którą zajmowała królowa, od czasu do czasu dawały się widzieć przemykające światełka, naprzemian ukazujące się w różnych oknach, niknące nagle i wracające po chwili, jakby tu życie nie ustawało.

Niespokojna, niezmordowanie czynna, podejrzliwa, zawsze coś mająca do spełnienia, co się tajemniczo i w ciemnościach dokonywać musiało, zdawała się nie usypiać nigdy, tak jak jej służba spoczynku nigdy nie miała. Wstawano tam, gdy wszyscy się spać kładli, zasypiano na chwilę gdy inni wstawali, a gorączkowe krzątanie się i niepokój, wszędzie otaczały Bonę.

Oprócz znanych ludzi co ją otaczali i któremi się posługiwała, nie było dnia, ażeby tu nowi, obcy przybywający z różnych stron świata się nie zjawiali. Włosi ze wszystkich prawie państewek i miast, Niemcy, cudzoziemcy z zachodu, a teraz też Turcy i Grecy, z któremi Bona ukrywać się musiała, prowadząc politykę na swą rękę dla Izabelli w Węgrzech.

Pod różnemi pozorami, jako kupcy, jak mnichy zbierający jałmużnę na klasztory wschodu, zjawiali się tu wysłańcy z Konstantynopola, szpiegi i ludzie z listami.

Z mnogich majętności, które królowa trzymała w różnych częściach Polski, z jej księstw włoskich, ze wszech krajów świata krzyżowali się tu jej posługacze i pomocnicy.

Najpilniejszy nadzór nie mógł odkryć tych wszystkich nici tajemnych, jakiemi ona oplątywała starego króla, oszukiwała najbaczniejszych stróżów, częstokroć w niwecz obracała wszystkie zabiegi przeciwników swoich.

Skąpa i chciwa, tam gdzie było potrzeba szafowała pieniądzmi i rachowała nadewszystko na nie, rzadko się myląc w rachubie.

Zaledwie noc przeszła i na brzask się zbierało, najwcześniej też w części zamku przez Bonę zajmowanej ruch się dał uczuć i ludzie snuć zaczęli.

Królowa zaledwie zbudzona przyjmowała jednych w łóżku, drugich powstawszy z niego, nie tracąc chwili jednej. Z rana i wieczorami ułatwiały się te sprawy, których dzień i światłość nie powinny były oglądać.

Nieodstępna faworyta pani, jak ona niespoczywająca nigdy, na zawołanie ciągle przy niej, zjawiająca się na skinienie, była wychowana i ułożona przez nią do tej służby, do milczenia, do posłuszeństwa niewolniczego, dziewczyna Włoszka, którą zwano mniszką Maryną. Przydomek mniszki winna ona była czarnemu, niepozornemu, krojem niemal zakonnym ubraniu, i kwefowi który nosiła, nigdy nie zmieniając tego stroju, i pokornej a skromnej, nic niemówiącej twarzyczce.

Mniszka Maryna nie opuszczała jej ani dniem, ani nocą. Obojętna na wszystko, dla wszystkich była to nie już sługa, ale martwe jakby narzędzie. Na jej licu wyżółkłem rysów nieregularnych, które ją starą przed czasem czyniły, nikt nic wyczytać nie mógł. Były jak kamień niezmiennie jedne, bez wyrazu. W oczy nikomu nie patrzyła, ani sobie zajrzeć nie dawała. Mówiła rzadko i półsłowami tylko. Obawiali się jej wszyscy, nikomu się do siebie zbliżyć nie dawała.

Kiedy i gdzie odpoczywała mniszka Maryna, nikt nie wiedział; o północy równie jak nadedniem przychodziła na znak ubrana zawsze jednako, gotowa zawsze do posługi. Bona nie potrzebowała mówić z nią wiele, Maryna rozumiała jej wejrzenie.

Pod rozkazami tej sługi, acz niewidocznie, cały fraucymer królowej czuł się i zostawał.

Jedno słowo Maryny często stanowiło o niełasce i wygnaniu, a prosić jej o pobłażanie było próżnem.

Nie gniewała się nigdy, to jest nie okazywała nikomu gniewu, lecz mściwą była bez litości i nieprzebłaganą dla tych, co się jej narazili.

Do pomniejszych posług stało zawsze u drzwi kilka panien, a w izbie w kącie para karłów. Nocą i dniem ktoś zawsze czuwać musiał w antykamerze, ktoś na posyłki gotów był, bo w godzinach najniezwyczajniejszych królowa wydawała rozkazy, które bez zwłoki spełnione być musiały.

I następnego poranka, nim około komnat starego króla życie się powoli objawiać zaczęło, a stróże cicho wymiatający korytarze, drzwi otwarli na krużganki, u królowej paliły się światła, i Bona w krześle ostawionem poduszkami, nogi sparłszy na podnóżku, przy stole czytała papiery, które czekały od wczora i te które Maryna rano jej przyniosła.

Cicho przesuwali się już w ciemnościach ludzie do tego dworu należący.

Pierwszym, który nie pytając otworzył drzwi i wsunął się do izby, był lekarz zwykły Bony, Jan Antonio z Maceraty, Włoch i sługa jej zaprzedany.

Doktorów kilku i astrologów miała przy sobie Bona, Jan Antonio był jeśli nie najcudowniejszym, to tym, który ją znał najlepiej i najzręczniej obchodzić się z nią umiał.

Bona miała w nim zaufanie, chociaż i on, gdy lekarstwo dać musiał królowej, podlegał temu prawu co inni: sam wprzódy zmuszony będąc się go napić, aby nie było trucizną.

W obawie o swe życie, posądzała nieprzyjaciół, że na nią czyhali. Nie zrzucała też z palca i z piersi kamieni i amuletów, które wedle ówczesnych przekonań antidotami przeciwko truciznom być miały.

Jan Antonio był mężczyzną w sile wieku i czystej krwi Włochem, z tą fizyognomią ruchomą, pełną wyrazu i życia, z temi gestami dobitnemi rąk, głowy i całej postaci, od których Włochom wstrzymać się tak trudno. Zwano go na dworze pospolicie Maceratą, a słynął z niezachwianego dobrego humoru, którego nie mając często, silił się zręcznie z nim popisać. Obracać zwykł był w żarty najgroźniejsze rzeczy, o tyle, o ile Bony wzrok pozwalał... Znał on swą panią tak dobrze, iż niemal z fałdów sukni mógł odgadnąć, w jakiem była usposobieniu.

Nim skłoniwszy się w progu doszedł do stołu, przy którym siedziała pani, Macerata już wiedział, że Bona była podrażnioną i niespokojną.

Trzymała w ręku rozłożony półarkusz papieru, którego zgięcia listu się kazały domyślać. Spojrzała nie rzucając go na Maceratę.

Nic nie mówiąc ujął podaną mu rękę i chwilę potrzymał. W milczeniu popatrzył na język, i skłonił się.

Wyszeptane słowo cichutko miało oznaczać, że wszystko znalazł w jak najlepszym porządku, Bona milczała. Czekał stojąc rozkazów. Rzuciła papier na stół.

— Giovantonio — odezwała się — pilno mi czuwaj nad Dżemmą! Jestem o nią niespokojna.

Macerata głowę pochylił.

— Zdrowa jak rybka — rzekł pokazując zęby białe.

— A czyni się chorą? — przerwała Bona.

— Kaprysy rozpieszczonego dziecięcia — rzekł lekarz.

— Którym do czasu dogadzać potrzeba — szybko dodała Bona.

Macerata dał do zrozumienia miną, iż doskonale wiedział o co chodziło.

Królowa palec przyłożyła do ust.

Włoch nachylił się ku niej i szeptać coś począł.

Wtem w przedpokoju ledwie dosłyszany szmer pochwyciło ucho starej pani, wyprostowała się i Maceracie wskazała drugie drzwi do wyjścia, w których za kurtyną blada twarz czujnej Maryny się pokazała. Cichemi kroki wyniósł się na palcach idąc Giovantonio.

Maryna podbiegła ku drugiemu wnijściu, uchyliła drzwi, i w nich ukazał się słusznego wzrostu mnich w czarnych sukniach zakonników św. Franciszka. Czarny, bujny włos wieńcem okalający mu wygoloną nieco głowę, wielkie oczy wypukłe, twarz rysów pięknych ale zbyt grubo wyciosanych, szerokie usta z wargami mięsistemi, rozumnego ale namiętnego zapowiadały człowieka. Pokory tej i uniżoności, jakiemi odznaczali się mnisi tej reguły, wcale w nim widać nie było. Wchodził śmiało i pewien siebie.

Królowa nie ruszyła się na powitanie i nie okazała mu zwykłego dla duchownych, będącego w obowiązku uszanowania. Ukłonił się kilka razy zbliżając ku niej, na co ledwie skinieniem głowy odpowiedziała.

Maryna już w drugich drzwi zasłonie znikła, gdy się do stołu przybliżył.

— Padre Francesco — odezwała się Bona — dlaczego tak was dawno na zamku nie było?

I nie dając mu się tłómaczyć, niecierpliwie ciągnęła dalej.

— Wiesz, prosiłam was, abyście mi młodego króla zabawiali. Wiesz jak go wasze kościelne te kwestye zajmują, jak rad czyta i słucha o nich. Powinniście mu dostarczać ksiąg, starać się go rozrywać waszą rozumną rozmową...

— Miłościwa pani — odparł Ojciec Franciszek Lismanin — nie jestem na dworze zbyt dobrze widzianym przez duchowieństwo polskie, sarkają na mnie, podejrzywają nawet o herezyą.

— Co cię to ma obchodzić — zawołała Bona — nie powinieneś się ani lękać ich, ani zważać. Arcybiskup Gamrat obroni was zawsze.

Lismanin głową pokręcił.

— Szanuję Jego Eminencyę — rzekł — ale w tych sprawach, gdy o herezyę chodzi, obawiam się jej... Któż tu w Polsce inkwizycyę tak surową zaprowadził? kto dał spalić staruszkę Malcherowę, która nie wiedziała sama co plotła?

Bona poruszyła ramionami.

— Gamrat zrobi co mu każę — rzekła. — Młody król właśnie te wasze drażliwe kwestye śledzi i niemi się zajmuje... on przecież was nie zdradzi.

— Tak — ale mury mają uszy — rzekł Lismanin.

— Boisz się aby i ciebie nie spalono? — rozśmiała się Bona, ruszając ramionami. — Proszę cię, otrząśże się z tych dziecinnych postrachów. Bądź dzisiaj u młodego króla, potrzebuje roztargnienia... Przynieś mu jakie księgi nowe... Kocha się w nich.

Lismanin słuchał nie odpowiadając.

— Po księgi — dodał po chwili — należałoby właściwie jechać za granicę. Tu ich niedostać, bo duchowieństwo polskie surowo czuwa i nad tem co z Niemiec idzie, i cokolwiek bibliopole przywożą.

— Poślij kogo! — szepnęła Bona.

Lismanin ręce złożył.

— Nikomu, nikomu w tej sprawie zawierzyć nie można — rzekł pospiesznie — o gardło idzie. Ja sam musiałbym się chyba ważyć, i to nie inaczej jak polecenie mając królewskie, bo by mi celnicy na granicach zabrali co tylko drukiem pachnie.

Poruszył ramionami mnich.

— Pojadę jeśli W. K. Mość rozkażesz — dodał.

— Nie teraz — szybko i kwaśno przerwała królowa i rzuciwszy nań okiem, dokończyła:

— Idź dzisiaj do młodego króla!

Skłonił się mnich. Posłuchanie było skończone, franciszkanin wychodził po cichu. Zasłona ledwie za nim zapadła, gdy pięknej postawy, dorodny mężczyzna, typ prawdziwie polskiej krwi i wielkiego rodu, ukazał się w progu.

Spojrzawszy na tę twarz pogodną, jasną, na oczy śmiało spoglądające, na całe oblicze nacechowane odwagą i rycerskim wyrazem, zadziwić się było można, znajdując ją tu o mroku w komnacie starej królowej. Lepiej się dopiero wpatrzywszy w zwodnicze te rysy, dostrzedz w nich się dawała skryta przebiegłość jakaś i udanie otwartości pokrytej butą szlachecką.

Królowa z przyjemnością wpatrywała się w piękne to męzkie oblicze. Nowy gość był ochmistrzem młodego króla, Opalińskim.

Przyciągnęła go tu do Bony w części ambicya wielka, która z jej pomocą spodziewała się zaspokoić, po części nieprzyjaźń z Maciejowskiemi i Tarnowskim różniąca.

Opaliński jawnie i skrycie służył Bonie, on jej donosił o każdym kroku syna, o każdej myśli, zamiarze, pragnieniu jego. Pomniejsza służba przekupiona pomagała jej do skontrolowania tego co Opaliński przynosił.

Bona uśmiechnęła mu się wdzięcznie, dając ręką znak aby się zbliżył. Jako oznakę łaski białe pulchne palce, okryte pierścieniami, wyciągnęła do pocałowania.

— Nic nowego u nas — odezwał się Opaliński — ale też nic złego. Król zdrów i chmury smutku powoli uchodzą. Staramy się go rozrywać i weselem naszem obudzać w nim myśl dobrą.

— Co robił wczoraj wieczorem? — spytała Bona.

Znakiem tylko jakimś niezrozumiałym, wskazując ręką odpowiedział Opaliński, i dodał prędko.

— Czekamy na wysłańca, który miał nam rzeźbione kamienie zamówione we Florencyi i medale przywieźć. Niecierpliwie król ich wygląda, chociaż — rzekł ciszej — nie wiem czy je będziemy mieli czem opłacić.

Królowej ta wiadomość nie zdała się być przykrą, uśmieszek usta jej przebiegł.

— A! tak — szepnęła — będzie się musiał uciec do matki, bo ojciec skarciłby go tylko surowo. Wie że na mnie rachować może, choć i mnie bardzo jest ciężko... Moi rządzcy i dzierżawcy źle się wypłacają. Pieniędzy nie ma a rachunków podostatkiem!

Opaliński złożył papier na stole, cichym szeptem go objaśniając. Bona włożyła go za pas sukni... krótkie posłuchanie się skończyło.

W oknach coraz jaśniejszy dzień przeglądał z za zasłonek, dzwony w katedrze wołały na ranne nabożeństwo, na zamku słychać było rżenie i tentent koni, turkot wozów, wołanie pachołków.

Maryna przyszła niepotrzebne już zabrać światło... a w progu pokazał się pokornie bardzo, do ziemi kłaniający się szlachcic, niepocześnie ubrany starą modą. Rękę, w której trzymał czapkę, tak wyciągnął, że nią prawie zamiótł ziemię.

Gdy podniósł potem wygoloną głowę, nie śmiejąc przystąpić bliżej — twarz się ukazała ogorzała, wąsata, rysów pospolitych ale energią napiętnowana... Pozdrowił królowę po łacinie. Był to Stanisław Falczewski, rządzca ówczesny Krzemieńca, który królowa trzymała.

Przyjeżdżał z pieniądzmi i raportem. Pierwsze już wczoraj oddał był do skarbca, drugi miał złożyć ustnie.

Począł więc od utyskiwania. Nigdzie i nigdy trudniej iść nie mogło, jak Falczewskiemu w Krzemieńcu. Wadzili mu tu wszyscy: mieszczanie, żydzi, sąsiedzi, duchowieństwo... Ponosił same klęski, nie mógł zapobiedz stratom, ledwie żyw już broniąc interesów swej pani, zwlókł się aby uniewinnić i prosić o pomoc, o listy królewskie, o większą władzę itp.

Całej tej mowy królowa wysłuchała spokojnie, nie okazując aby ją bardzo poruszyła. Spoglądała to na Falczewskiego, który się wysilał na retorykę, to na posadzkę, a gdy nareście wyczerpawszy się skończył — zaczęła zadawać pytania.

Zdumiewać się było potrzeba tej pamięci z jaką badała Bona o stan swych krzemienieckich posiadłości i pan Stanisław nieraz słuchając powiódł ręką po czole, bo poty nań biły.

Królowa pamiętała o wszystkiem, o mostach, młynach, stawach, o swoich karczmach, o szynkach, o sporach granicznych, o najmniejszych gospodarskich szczegółach.

Falczewski ledwie na wszystko odpowiedzieć umiał i zająknął się nieraz.

Nastąpiły rozkazy i rozporządzenia, którym równie zdumieć się było można, tak rozumne były i obrachowane, aby stan posiadłości polepszyć.

Na różne pojedynczych ludzi prośby i skargi odpowiadała w większej części odmownie. Falczewski nie mógł wyjednać wiele.

Królowa też czasu już nie miała na dłuższą z nim naradę, w drugich drzwiach czekały na nią córki, które przychodziły z rannem pozdrowieniem do matki, a godzina się zbliżała, w której Bona zwykle starego króla odwiedzała.

Ciszej, spokojniej, było w komnatach, które Zygmunt zajmował. Około Bony wrzało nieustanne życie, tu wszystko obrachowanem się zdawało, aby sędziwemu panu pożądanego nie zakłócić pokoju.

Tam pośpiech widać było wszędzie, tu rozważną powolność. Na swych miejscach z rozpoczynającym się dniem byli dworzanie, urzędnicy, służba i ci, których król pierwszych mógł potrzebować.

Duchowieństwo w większej liczbie razem z świeckiemi panami dwór składało.

Cierpiący na bole w stawach, na łamanie w kościach, znużony długiemi życia walkami, król był ociężałym i zobojętniałym, milczącym i smutnym.

Rzadko bardzo i to na małą chwilę uśmiech blady twarz jego zasępioną ożywiał.

W młodości już miała ona wyraz surowy, który z wiekiem i cierpieniem stał się prawie groźnym, choć natura łagodną była i dobrą.

Nigdy Zygmunt nie miał wymowy Olbrachta, ani żywości charakteru kardynała, teraz słowo dobywało mu się z ust trudno, krótkie i rzadko weselsze.

Ulegał Bonie, bo sił już w sobie nie czuł do walczenia z nią, a Włoszka aż do szaleństwa się posuwała, jeśli opór znalazła... i padała na ziemię krzycząc, aby na swojem postawić.

Widok też królowej teraz czynił na nim wrażenie przykre. Wiedział że nigdy mu nic nie przyniesie dobrego, ale wymówki, wyrzuty, żądania lub narzekania na ludzi, których on znał najlepszemi przyjaciółmi swojemi.

Z obawą też wyglądał przyjścia — i szelest jej sukni jeszcze czarniejszą chmurą twarz jego posępną oblekał.

Lecz ile razy mocniej zachorzał, rozbrajała go Bona nadzwyczaj wielką troskliwością o jego zdrowie. Naówczas nocami nie odchodziła od jego łoża, sama mu podawała lekarstwa i pokarmy, żadną siłą od niego oderwać jej nie było można.

Wstał był król późno i z kapelanem odmówił zwykłe modlitwy, po których przybyli lekarze opatrzyć nogi, dowiedzieć się jak noc spędził... i przyniesiono ranną polewkę i śniadanie.

Król siedział jeszcze za stołem, na którym naczynia stały z resztkami jadła, gdy Bona, czarno ubrana, z głową zakwefioną ukazała się na progu.

Przyjście jej zawsze było znakiem dla służby i dworu, ażeby się oddalili i nie zjawiali chyba na zawołanie.

Często rozmowa ta ranna, z początku cicha, stopniami coraz głośniejsza, przeradzała się w tak krzykliwą i gwałtowną, że dworzanie truchleli o pana, bo po każdej potem odboleć musiał i godzinami siedział jak martwy, odrętwiały, milczący.

Poprzedzającego dnia królestwo źle się rozstali z sobą, Bona czyniła mężowi wymówki, podnosiła głos, rzucała się, zaciskała pięści, chwytała się za włosy, król milczący patrzał i chwilami mruczał: — Głupia (Fatua). Wyrzuty wszystkie tyczyły się małżeństwa z Elżbietą, którego nie życzyła sobie Bona — król obstał przy swojem. Rozeszli się nieprzejednani. Wieczorem króla chwyciły w nogach i stawach boleści, ale zakazał dać o tem znać Bonie; lekarz zwykły, Polak, Błoński go opatrzył.

I tego więc dnia spodziewać się było można burzy, wybuchu, wznowienia walki, chociaż ona już królowę do niczego doprowadzić nie mogła, bo układy ostateczne w Wiedniu zostały zawarte i na przyszłą wiosnę oznaczono termin przybycia młodej pani.

Znając niepokonany upór Bony, król z rezygnacyą wyglądał nowej napaści. Siedział ponury, spojrzał ku wchodzącej zimno, surowo i nie spieszył jej pozdrowić.

W izbie, oprócz króla, znajdował się jeden stary jego sługa Lula Skotnicki, który jeszcze czasy szczęśliwsze Barbary Zapolij, pierwszej małżonki Zygmunta pamiętał, i kapelan ks. Słomka. Oba oni natychmiast się przez najbliższe drzwi wycofali. Małżeństwo pozostało same.

Stary oczekiwał już zgryźliwego jakiego słowa, gdy powtórnie wejrzawszy na królowę, spostrzegł na jej twarzy znany sobie wymuszony spokój, który wprawdzie nie obiecywał nic dobrego, ale chwilowe zawieszenie broni zapewniał.

Długie pożycie z tą kobietą nauczyło Zygmunta wszystkich jej podstępów wojennych, manewrów strategicznych. Gdy chwilowo tego co zamierzała do skutku przyprowadzić nie mogła — królowa wówczas przybierała tę upokorzoną postawę zwyciężonej — a choć udawanie przychodziło jej ciężko i nikogo właściwie oszukać nie mogło, oznaczało, że wyczekiwać postanowiła.

W tym stanie ciała i ducha, w jakim król się znajdował — i ten chwilowy spoczynek był mu pożądanym. Osłabły rad był spocząć czas jakiś. Nie łudził się wygraną, bo znał nieprzyjaciela, lecz miło mu było nie słyszeć wrzawy i nie znosić nieznośnego krzyku.

Bona, jak gdyby o dniu wczorajszym zapomniała, zbliżyła się, kręcąc głową, sznurując usta i cichym, złagodzonym głosem dopytując małżonka o zdrowie.

Wyciągnięte na podnóżku i okryte futrem nogi świadczyły już same że był cierpiący. Zygmunt spojrzał na nie i wskazał ręką.

— Jak zawsze — rzekł — miałem nocą boleści w kolanach, w stawach, ale mi Błoński dał smarowanie, które ulżyło nieco.

— Dlaczegóż nie dali mi znać o tem? — żywo odparła królowa — jabym była sama dopilnowała... i przyprowadziła z sobą Maceratę.

— Nie potrzeba go było — rzekł Zygmunt.

— Wolisz swoich Polaków? — zaczęła Bona z przekąsem — choć to są zarozumiałe nieuki. Lecz my wszyscy Włosi straciliśmy pańską łaskę, a jednak powinniśmy byli zasłużyć na nią, bo bez wymówki, wieleśmy tu przynieśli z sobą.

— A! nie przeczę! — odparł król z uśmiechem — wdzięczen jestem. Włosi się na mnie skarżyć nie mogą. Służyli mi, alem niewdzięcznym nie był.

Królowa siadła na krześle, sparła się na ręku u stołu, twarz starając uczynić smutną, cierpiącą, jakby zbolałą.

Natura jej gwałtowna nie dozwalała długo utrzymać się w mierze, musiała, choć z innego tematu, wznowić żale.

— Kraj ten byłby dotąd na pół barbarzyńskim — odezwała się — gdyby nie nasi budowniczowie, kamieniarze, artyści. Teraz on inaczej wygląda, dzięki Włochom.

— Włosi też twoi dość ztąd pieniędzy wynieśli — rzekł król — bo kazali sobie płacić dobrze.

— Zapracowali na to — odparła królowa.

Zygmunt rękę położył na stole, przebierać zaczął palcami po nim, wpatrzył się w podłogę i milczał. Ból w stawach nowy wycisnął z ust jego syknienie, królowa poruszyła się zaraz dopytując czyby nie potrzebował czego.

— Nie, nie, przeszło to już — zamruczał stary.

Bona usiadła, milczenie panowało chwilę.

— Gamrat też chory czy nie wiem co mu jest — odezwała się po przestanku. — Na twarzy i humorze się zmienił, posmutniał, jakieś przeczucia krótkiego życia go opanowały.

Zygmunt brwiami poruszył i potrząsł głową.

— Gamrat? — powtórzył — ależ nie stary wcale jest i życiem się nie zmęczył, chyba nadużyciem...

Królowa się zżymnęła.

— Zawsze te potwarze — odparła. — Zaprawdę nie gorszy jest od innych, ale wielu solą w oku. Naraził się i heretykom i katolikom, bo nam służył wiernie.

— My też jemu! — zamruczał Zygmunt. — Lepiej się nie obliczać, bo niewiadomo ktoby został dłużnym.

I jakby znużony już temi odpowiedziami, król na piersi zwiesił głowę. Bona znała go, że mówić wiele nie lubił. Dała mu spocząć nim się znowu odezwała.

— Cóżeście postanowili — rzekła — dla syna? Panowie litewscy ciągle się go dopominają, aby jechał do Wilna uczyć się rządy sprawować, ale zawczasu go zaprzęgać, nie widzi mi się.

— W tem jesteśmy zgodni — odparł Zygmunt. — Później zobaczymy. Naprzód ożenić go potrzeba i widzieć jak się to stadło dobierze. Władzy rozdwajać nie myślę. Nie mam jej nadto, abym się nią dzielił. Na każdym kroku opór spotykam.

— Zbytnią powolnością ich rozzuchwaliłeś sam — rzekła Bona. — Miałeś przykład na włoskich książętach wielu, którym miasta i patrycyusze z ludem także stawili opór nieraz; kilka głów spadło... i panowanie się ustaliło.

— Krwi rozlewu nie lubię — rzekł król krótko, poruszając głową znacząco — inny kraj, inny obyczaj. Polska nie Włochy.

— Widzi mi się, że tuby łatwiej jeszcze pożyć ich można — wtrąciła Bona — ale dziś zapóźno: kto zawczasu nie począł, porywać się później nie może.

Nie odpowiedział Zygmunt.

— A! to małżeństwo — wyrwało się jakby mimowoli starej pani, której oczy się zaiskrzyły i usta sfałdowały namiętnie — a! to małżeństwo. Napróżnom odradzała, próżno błagałam, twoi przyjaciele postanowili mnie na przekór.

— Wiesz, że to zdawna było umówione w Wiedniu. Byli dziećmi, gdyśmy ich zaręczyli — zamruczał król niechętnie — daćby już pokój zapóźnym żalom.

— A! wiem bardzo dobrze — poczęła ożywiając się Bona — że to dziś już wszystko próżne. Stało się, co się stać nie było powinno. Dajecie mu żonę, z którą on żyć nie będzie mógł.

Król spojrzał z rodzajem podziwienia.

— Mówiłam wam: to dziecko schorowane, wątłe, które odrazę nie miłość wzbudzić może...

Nie chcąc odpowiadać Zygmunt, niememi ustami poruszał. Zrezygnowany był słuchać wyrzutów i pogróżek, nie podsycając rozmowy o niemiłym przedmiocie.

Wszystko to już słyszał nie raz i nie raz odpowiadać na to był zmuszonym. Zadumany nie zważał nawet na sypiące się z ust Bony słowa, i królowa spojrzawszy na niego, przekonać się mogła, że był myślami gdzieindziej.

Nie wstrzymało ją to od tych narzekań, które, jak wczora, nie przerodziły się wprawdzie w krzykliwe i gniewliwe wyrzuty, ale niemniej dokuczliwemi były.

Król zdawał się wyglądać i czekać na coś, coby go wybawiło.

Bona w końcu umilkła, widząc niemożność wywołania sporu, od którego stary się bronił milczeniem.

Kilka spraw mniejszej wagi było na porządku dziennym. Zażądała podpisów na przywileje dla swoich miasteczek. Rów miała na Bar przerobić. Dla swoich przyjaciół chciała tytułów i urzędów. Zygmunt na wszystko przystawał. Małemi temi ustępstwami rad był pokój okupić. Zgadzał się, poruszeniem głowy tylko okazując, że się nie przeciwi.

Dnia tego nawet czynił zadość żądaniom daleko łatwiej niż zwykle — znużonym był.

Bona otrzymawszy co chciała, powstała z siedzenia, powtórzyła raz jeszcze, aby kanclerzowi i podkanclerzemu król listy wyprawić nakazał, i głową żegnając męża zdala, wyszła.

Na twarzy Zygmunta, gdy zasłona opadła za nią, odmalowało się widocznie uspokojenie. Oddychał swobodniej teraz. Myśl starca pobiegła w przeszłość i łza zakręciła się w oku. Przypomniał sobie tego anioła, Basię swą, pierwszą żonę, z którą pożycie było tak szczęśliwe, którą kraj cały kochał z nim razem, a po zawczesnym zgonie dotąd opłakiwał.

Sam się widząc, ostrożnie dobył król ze stolika, w kształcie pugilaresu złożonej książeczki... otworzył ją i wpatrzył się w wizerunek Barbary. Łagodnie, smętnie ona też patrzyła nań z tego obrazka, na którym malarz wyobraził ją młodziuchną, taką jaką tu raz pierwszy przybyła, pokorną, pobożną...

Przez całe też życie nie zmieniła się dobra, pół święta pani, której modlitwom i postom przypisywano powszechnie zwycięztwo pod Orszą odniesione.

Jak anioł cicho, sypiąc dobrodziejstwy, łagodząc bole, zapominając o sobie przeszła przez ten świat, nie skarżąc się nigdy i opuszczając go z modlitwą na ustach.

Po Barbarze nie miał męzkiego potomka, po cóż go naówczas panowie senatorowie zmusili wziąć drugą żonę? po co pięknością Włoszki i jej bogactwami ujęci posłowie tak mu ją zalecali?

Tak prędko owa dziewica pełna rozumu, nauki, nieporównanego wdzięku postaci, zmieniła się w zrzędnicę nieznośną, która i królowi i królestwu nie dawała pokoju.

Tak! ale ona dała obojgu tego upragnionego potomka płci męzkiej, w którym płynęła krew Jagiellonów i z niego rozrodzić się miała.

Westchnął Zygmunt, zaszeleściło około drzwi, schował prędko pugilares zamknięty, przeszłość szczęśliwa musiała pierzchnąć ustępując rzeczywistości.

W progu pokazał się ten sam Lula Skotnicki, stary, siwiejący już dworzanin królewski, który przed królową ustąpił. Zaglądał on do pana, czy nie potrzebował czego. Zygmunt zwrócił ku niemu łagodnie rozjaśnione oblicze.

— Lula — szepnął — zobacz czy nie ma ks. Samuela?

— Oddawna w kancelaryi czeka — odparł Skotnicki.

— Niech przyjdzie — rzekł Zygmunt.

Dworzanin pośpieszył z rozkazaniem i po chwilce ks. Samuel z wiązką papierów i pargaminów stał przed królem, który milcząco witał go poruszeniem głowy.

Zobaczywszy brzemię, które niósł podkanclerzy, uśmiechnął się brwi w górę poruszywszy.

— Jest co podpisywać miłościwy panie — zaśmiał się biskup, który na rogu stołu złożył listy i przywileje. — Poprzednicy miłości waszej nie zadawali sobie pracy rękę własną przykładać do listów, dość było pieczęci...

— Ha! — zaśmiał się król — trzebaż okazać, że król choć pisać umie.

I wskazał miejsce Maciejowskiemu, który nie spiesząc do pracy spytał o zdrowie.

— Cierpiałem w nocy — rzekł król — we dnie zawsze bole mi folgę dają. Jesień nadchodzi, jest to pora w której najwięcej cierpię, trudno *senectus ipsa est morbus*[1].

— Pomnijcie, miłościwy panie, na dziadka waszego Jagiełłę — rzekł Maciejowski — krew macie i siłę jego, a ten do późniejszej starości zachował moc i zdrowie.

— Tak — odparł Zygmunt — ale żył inaczej. Jam może przeszedł go siłą, bom łamał podkowy w rękach i gniótł puhary srebrne, ale dziś już i spruchniałego kija bym nie skruszył.

Westchnął stary i zadumał się.

Nie mówili o tem więcej.

— Młodego (król czasem tak zwał syna) nie widzieliście? — zapytał Zygmunt.

— Od wczoraj nie — rzekł Maciejowski.

— Nie wiecie jak przyjął wiadomość o postanowionem małżeństwie? — dodał stary król.

— Wcześnie przeciwko niemu go starano się usposobić — począł Maciejowski — trudno się spodziewać, aby temu wpływowi oparł się o własnej sile. Lecz rzecz to nie nowa. Narzeczoną swą zna z listów, wie że mu serce zawczasu przeznaczone przyniesie,

[1] *senectus ipsa est morbus* (łac.) — sama starość chorobą (Terencjusz, *Phormio*, akt IV, scena I). [przypis edytorski]

że jest pobożnie przez matkę wychowaną. Nie daje nic znać po sobie... miłostki młode zapomnieć się muszą, aleby dobrze było zawczasu im tamę położyć.

Król począł się marszczyć.

— Jak? — spytał krótko.

— Ze dworu królowej oddalić miłośnicę — szepnął cicho Maciejowski.

Zygmunt oburącz głowę objął... nie mówiąc nic okazywał, jak wielką w tem widział trudność.

— Wydaćby ją za mąż wyposażywszy — dodał ks. Samuel — znajdzie się nie jeden, co się o ładną lalkę pokusi...

— Nikomu jej dziś nie dadzą — szepnął Zygmunt — nadto jest potrzebną. Musiałbym o nią rozpocząć wojnę.

— Nie moja rzecz intrygę zwalczać intrygą — mówił dalej, ciągle szepcząc Maciejowski — stan mój na to nie pozwala, charakter się tem brzydzi. Ktoś innyby to powinien dokonać i uwolnić nas od niej zawczasu.

Nie odpowiadał król długo, ale myślał zasępiony, westchnął razy parę i w końcu zamruczał.

— Na co się to zdało? alboż druga w jej miejsce podstawiona się nie znajdzie, gdy jej za narzędzie użyć będzie potrzeba?

Jest ich dosyć we fraucymerze, co się chętnie podejmą kusić...

Zamilkł.

Ks. Samuel, jakby zwyciężony tym argumentem, milczał także; ale myślał że popróbować usunąć tę o której wiedziano powszechnie, iż młodemu panu najulubieńszą była, nie szkodziłoby jednak — wstręt miał wszakże do takich się uciekać sposobów, choć w poczciwej sprawie. Oręż to był nieprzyjaciół, nie jego.

Zwrócił się ku papierom i przerzucać je zaczął, przysposabiając się do poddania ich królowi, który już do blizko stojącego kałamarza i pióra sięgnął, aby się do podpisywania przysposobić.

Podkanclerzy czytał treść każdego dokumentu, a często nie potrzebował nawet do końca jej dopowiedzieć, bo Zygmunt dawał mu znać iż rzecz, o którą chodziło, pamiętał.

Dziwnem to było, że złamany na ciele i na duchu, często się zapominający w potocznych sprawach, gdzie o ważniejsze chodziło, budził się jakby z uśpienia Zygmunt i całą dawną żywość umysłu odzyskiwał.

Gdy niewieści krzyk i swar mu nie dokuczał, wracała pamięć, rozwaga, rozum — starość czuć mu się nie dawała. Lecz teraz były to błyski pogody rzadko trwające długo, każda waśń z Boną, każda przeżyta godzina jej wyrzutów, odbierały mu siły i pogrążały go w tej odrętwiałości, z której potem trudno mu dźwignąć się było. Naówczas wszystko przyjmował obojętnie, zimno, milcząco, zdając się mówić: Dziej się co chce! Opatrzność niech rządzi! Stanie się co jej wola!

Temi nawet słowy zniechęcony odpowiadał czasem ks. Samuelowi, wyrzekając się walki, z której nie spodziewał się wyjść zwycięzko.

Tym bezsilnym chwilom zobojętnienia, z których umiejętnie korzystała Bona, winna ona była wzrost swej władzy stopniowy, i zwątpienie ogarniało przyjaciół króla, przewidujących, że wkrótce wszystkiem ona jedna zawładnie.

Młody król mieszkał na zamku, choć ten nadzór nieustanny, na jaki go wystawiał pobyt pod bokiem ojca i matki, ciężył dwudziestokilkoletniemu panu.

Litwini domagający się od dawna, nalegający aby go im dano na wielkie księstwo, mieli w nim chętnego ale milczącego sprzymierzeńca. Więcej swobody pragnął i wyrwać się był rad dawno z pod opieki rodziców.

Któż wie? król byłby zezwolił może, aby się zawczasu wprawiał do przyszłych rządów, aby pracował więcej a mniej się rozrywał, ale królowa opierała się temu potajemnie, wymyślała niebezpieczeństw tysiące, była przeciwną ofierze choć najmniejszej cząstki władzy, którą całą sobie chciała przywłaszczyć.

Zabiegi o to czyniła tak skrycie, iż syn nie domyślał się w niej przeciwnika, widział go w ojcu.

Matka zresztą najczulszą była dla niego, ale chciała, aby wszystko co miał, otrzymywał z jej ręki, aby jej winien był wszystko.

Zygmunt August wychowany przez nią, choć miał kilku Polaków przy sobie, choć dwór jego z nich się składał, dzięki wpływowi i staraniom matki, wychował się raczej na książątko kosmopolitę, niż na polskiego tronu następcę.

Nawykły do pieszczot, elegancyi, ogłady włoskiej, do świata wytwornego, choć umysłowo rozwinął się jak najszczęśliwiej, umiał wiele — najmniej był rycerzem, tam gdzie przeważnie królowi nim być przystało.

Przepowiednia owa starego szlachcica, gdy z pierwszej wyprawy królowa strwożona doniesieniami zawróciła go do Krakowa — przepowiednia, iż na wodza i rycerza nie urośnie, w pełni się ziściła.

August lubił księgi, muzykę, sztukę, wszystko piękne i wytworne, żołnierska sprawa była mu jeśli nie wstrętliwą to obcą.

Do łowów nawet, tej ulubionej Jagiellonów zabawy, której tak namiętnie oddawał się Jagiełło, Kaźmierz, nawet stary Zygmunt — August nie czuł pociągu żadnego.

Pięknej i pańskiej postawy, oblicza poważnego i zawczesną jakąś tęsknotą łagodną obleczonego, miał w sobie wdzięk arystokratyczny krwi starej panów. Jagiellońska dobroć łączyła się w nim ze Sforzów umysłową bystrością. Władzami ducha przechodził pewnie wszystkich swych poprzedników, lecz energii ich, siły, uporu mu brakło.

Matka zawczasu starała się go zmiękczyć, obezwładnieć, aby nim rządzić — powiodło się to jej w zupełności...

Były to zresztą ostatki może lat najszczęśliwszych życia Zygmunta Augusta, w których nic na nim nie ciężyło. Nie miał żadnych obowiązków... a matka starała się, aby wszelkie jego pragnienia młodzieńcze zaspokojone zostały...

Przysposabiał się do życia, nie przeczuwając w niem żadnej walki, lecz samo tylko rozszerzenie pragnień i swobodę używania...

Mógł marzyć, bawić się, słuchać lutnistów, uczyć się pieśni, wpatrywać we wdzięczne twarzyczki, które mu się wyprzedzając uśmiechały... dobierać przyjaciół, jeżeli oni Bonie nie zdawali się niebezpiecznymi, fantazyom chwilowym dogadzać... królowa pierwsza zawsze o nich wiedziała, aby z jej pomocą mogło się spełnić czego pożądał. Życie upływało jakby w jakimś półśnie rozkosznym. Trosk dotąd tak jak nie znał. O przyszłej swej żonie słyszał oddawna, pisywali do siebie, miała być piękną, lecz małżeństwo w początku zdawało się tak dalekiem, a do miłostek sposobność tak blizką.

Bona przez szpary patrzyła na zawiązywane i rozwiązujące się stosunki z pannami swojego dworu. Zawsze w porę znajdował się ktoś, co pomógł do uniknienia skandalu, do zapewnienia milczenia. Z kolei piękna Dżemma była kochanką młodego króla, najpiękniejsza z dziewcząt, to mało, najwykształceńsza z nich: umysłem, dowcipem, talentami przechodząca o wiele swe współtowarzyszki.

Królowa od dziecka widząc w niej nadzwyczajne zdolności, zajmowała się nią szczególnie. Miała mistrzów, nauczycielki, wychowywała się tak starannie, może świetniej niż królewne. Z tamtemi obchodzono się dosyć surowo, ta była pieszczoną.

Królowa, która umiała zużytkować wszystko, rachowała na nią jako na potężne narzędzie, które zawsze użytecznem być mogło... Nie miała może na myśli syna w początku, potem miłostki z piękną Dżemmą przyszły jej w porę i na rękę.

Despotycznej zdawać się mogło, że potrafi gdy zechce pokierować niemi, zawiązać gdy będzie potrzeba, rozwiązać łatwo, gdy się staną zawadą. Myliła się w tem jednakże, nie dosyć znając charakter dziewczęcia, którego podstawę stanowiła duma i rozkołysana wyobraźnia. Była to Włoszka w całem znaczeniu tego wyrazu, z namiętnościami gwałtownemi i niepohamowanemi, z pojęciem o miłości idealnem. I piękność i umysł i talenta, w jej przekonaniu, powołać ją mogły choćby do tronu a przynajmniej na jego stopnie.

Płochych miłostek nie rozumiała Dżemma; miłość ze sztyletem w dłoni, z trucizną w czarze, walczącą i gotową na śmierć.

Wykarmiona poezyą włoską, pieśniami włoskiemi, które o miłości mówiły jako o najważniejszej sprężynie żywota — Dżemma wierzyła w nią i czekała na nią. Przyszła do niej w postaci ładnego, młodego, rozmarzonego królewicza.

August powoli skradał się do niej, jakby przeczuwał, że raz zawiązany stosunek nie da się łatwo rozwiązać... ale zbliżywszy, poznawszy ją lepiej, znalazł w niej kobietę swo-

ich marzeń. Pierwsze jego miłostki były płoche i dziecinne ta odrazu przedstawiała się tragicznie i nęciła tem właśnie.

Bonie się zdawało, że gdy raz nie będzie potrzebną Dżemma, łatwo się jej pozbędzie jak innych, wydając za mąż; trzymała na to gotowego, rozmiłowanego, majętnego Dudycza, który był i dostatecznie ślepy i jak należy zakochany.

Dżemma patrzyła teraz na niego z pogardą, ale wszystko to zmienić się musiało, gdy stara królowa rozkazała.

Dosyć zawsze pieszczona Dżemma, teraz gdy miała serce syna odciągnąć od młodziuchnej królowej przyszłej, i została na to przeznaczoną, z nadzwyczajną troskliwością pielęgnowaną była przez królowę.

Wbijało ją to w pychę i utwierdzało w tem przekonaniu, że wielkie i świetne losy czekały na nią w przyszłości.

Nic nie uchodziło oka Bony, która szpiegów swych miała wszędzie, wiedziała więc o każdym kroku syna, o każdem słowie Dżemmy. Dudycz miał być ze dworu starego króla przesadzony do młodego pana, aby i on donosił o nim. To rozporządzenie nim było dosyć niezręczne, lecz Bona nie rozumiała, aby się jej kto mógł sprzeciwić... zresztą Dżemma po królewiczu była dla Dudycza jeszcze aż nadto wielkim skarbem.

Mieszkanie młodego króla łączyło się zblizka korytarzami z izbami królowej i jej fraucymeru. Przejście do Dżemmy było łatwe i nie narażało na spotkanie z nikim obcym.

Zygmunt August żył tu, zawsze w oczekiwaniu jakiejś zmiany, bo mu wysłanie na Litwę obiecywano, jakby na obozowisku; ale do czasu musiał około siebie zgromadzić, co życie znośnem czyniło.

Lubił wszystko piękne, pokoje więc pełne były darów królowej i nabytków różnego rodzaju ciekawych i odznaczających się artystycznem wykończeniem. Zbroje, których nigdy prawie nie wdziewał, zachowane tu starannie, były arcydziełami kunsztu płatnerskiego połączonego ze złotniczym. Szyszaki, napierśniki złotem nasadzane tysiącami dukatów opłacano dla niego.

Oprócz tego zbiory pierścieni, gemm, medalów, rzeźb małych, stanowiły już mały skarbiec, który młody król namiętnie coraz nowemi nabytkami powiększać się starał. Cokolwiek się tu znajdowało, musiało się czemś niepospolitem odznaczać. Od szyszaków rytych i złoconych, do mieczów, których rękojeści rzeźbione podziwiać trzeba było jako cacka, do kobierców i pokryć na konie, wszystko prawdziwie królewskim jaśniało przepychem.

Szkatuły pozamykane, szafki zamczyste, skrzynie rzeźbione z drzewa, na stołach zamykały te zbiory, któremi król bawić się lubił i chwalić niemi przed poufałemi. W sypialni i komnatce przy niej, stoły oprócz tego zarzucone były księgami, tak zachowanemi, aby nie każdy mógł je przepatrywać i dowiedzieć się co królewicz czytywał. Tu nie każdy miał przystęp. Księgi sprowadzane z zagranicy, we wspaniałych acz prostych oprawach ze skóry dziczej, gromadziły się przy sypialni. Treść ich byłaby zdziwiła ciekawego badacza, tak nadzwyczaj urozmaiconą była.

Począwszy od poezyi do rozpraw teologicznych, do historycznych badań, było tam wszystko, co w obecnej chwili świat zajmowało. Pisma surowo zakazane niemieckich reformatorów, rozprawy Melanchtonów, Rotterdamusa, Lutra obok namiętnych traktatów politycznych obrońców katolicyzmu. Z zakładek i znaków widać nawet było, że pierwsze z nich pilniej czytywane były.

Obok tego poeci włoscy, łacińscy, księgi o sztuce, opisy krajów, historyę państw, nawet rozprawy o czarnoksięztwie znaleźć było można.

Zygmunt czytał wszystko lub przynajmniej przerzucał tak aby mu nic obcem nie było.

Na dworze mało czuć się dawał ten prąd idei polemicznych, które wiodły z sobą walkę o swobodę sumienia.

Właśnie w tych latach panowała jakaś cisza pozorna. Gamrat ustanowił inkwizycyę. Spalono staruszkę Malcherowę, wielu duchownym zagrożono... trwoga wywołała milczenie. Lecz pod tą ciszą łatwo się było domyśleć nurtujących potajemnie prądów, które tem były niebezpieczniejsze, im mniej się na oko pochwycić dawały.

Zygmunt Stary pobożnym był, nie będąc zbyt gorliwym; Bona modliła się i obchodziła z duchowieństwem na sposób włoski, posługując się niem i płacąc mu za to, ale

wymagając posłuszeństwa. Z Rzymem wolała być dobrze, lecz nie szanowała go zbytecznie — a gdy tam nie mogła przeprowadzić co chciała, łajała i zżymała się namiętnie...

Pod takiemi wpływy Zygmunt August się wychował, w rzeczach religijnych raczej obojętny i zimny, niż gorliwy.

Dopiero ruch reformatorski w Niemczech, który jak fala tłukł o granice Polski i wdzierał się tu pod najrozmaitszemi postaciami, obudził w młodym królu zajęcie tą polemiką, która go zabawiała.

Lismanin, któregośmy widzieli u królowej, przebiegły Włoch, siedzący na dwu stołkach a skrycie sprzyjający reformatorom, przychodził, ostrożnie badając stan umysłu króla, oswajać go powoli z gotującym się wielkim przewrotem w kościele.

Lecz jakkolwiek młody i żywy, król tak był w sobie zamknięty i ostrożny, iż słuchając go, nigdy poznać nie dał po sobie, gdzie się jego sympatye skłaniały.

Tak samo jak tą teologią namiętną, zajmował się chętnie muzyką August, słuchając jej z przyjemnością. Naostatek miał jeszcze upodobanie w pięknych koniach, których nie często dosiadał, ale lubił mieć osobliwe i już naówczas myślał o ich hodowli i stadach.

Takim jakim był naówczas młody pan, można go było sądzić wielce obiecującym na przyszłość. Nad wiek poważny, dbały o każdy krok, nie rażący żadnym wybrykiem, umysłowo wykształcony, mógł monarchę znakomitego zapowiadać.

Szlachta i panowie polscy możeby go innym mieć byli woleli, otwartszym, więcej rycerskiego ducha, mniej ostrożnym Włochem, lecz odmówić mu nie mogli nad wiek dojrzałości i taktu.

Mało się czem zajmował, ale to nie było jego winą — nie pociągano go do pracy. Królowa starała się go od niej odsuwać, stary Zygmunt też nie powoływał.

Były to, bądź co bądź, lata szczęśliwej młodości dla młodego króla... mógł marzyć, zabawiać się jak chciał, iść za swemi skłonnościami i upodobaniami, a jeśli ojciec mu skąpił i był dlań surowym, matka za to płaciła, starając się serce i zaufanie pozyskać.

Dnie upływały swobodnie. Często kilka ich uchodziło a August nie widział ojca, przychodził do niego na chwilę, niewiele słów zamieniał, i powracał do swoich lub królowej apartamentów.

Bona za to widywała syna nie raz ale po kilka na dzień razy, zapraszała go do siebie, starała się zabawiać... Zrana przejeżdżał się konno, polował rzadko, jadł z rodzicami lub matką, czytał, przeglądał swe kamienie i medale, przyjmował tych, których królowa dla towarzystwa jego dobierała. Wszyscy oni tem się odznaczali, że nigdy o państwowych sprawach, o polityce nie mówili z Augustem. Mało się też nią zajmował, lub przynajmniej nie dawał znać po sobie, że go to pociągało. Ale wzrok miał bystry, a szkołę milczenia przeszedł w dzieciństwie i umiał nosić w sobie największe brzemiona, nie zdradzając ich ciężaru.

Tego dnia królowa zastała go nad księgą, którą szybko złożywszy i zasunąwszy między inne, na stole nagromadzone, wyszedł na jej spotkanie.

Bony czułość dla niego zawsze się namiętnie objawiała, jakby jego miała jednego. Dla córek, oprócz Izabelli, była surową i nieprzystępną, dla Augusta wylaną.

Oczyma, wszedłszy, przebiegła pokój, aby z najmniejszej jakiejś oznaki poznać usposobienie syna... Znalazła go smutnym, więc zapragnęła być wesołą... usiłowała wyciągnąć na słowo jakieś, lecz nic się dowiedzieć nie mogła. Poleciła mu na dworzanina Dudycza, chwaląc go jako posłusznego sługę — August przyjął to obojętnie. W chwilę potem, poszeptawszy jeszcze, biegła napowrót do swoich pokojów.

Zaledwie wyszła, czując się już swobodnym, August poprawił na sobie włoski strój czarny, i cichemi kroki przemknął się korytarzem do Dżemmy.

Siedziała znowu, tak jakeśmy ją widzieli, w oknie małej komnatki swej, i lutnia leżała przy niej i szycie miała w ręku, choć nie zdawała się niem zajmować. Zwróciła głowę gdy drzwi się uchyliły, rumieńcem oblała się twarz, wstała spiesząc na spotkanie króla, który rzucił się obejmując ją i przyciskając do piersi.

W tym niemym uścisku upłynęła chwila... Patrzyli sobie w oczy... Dżemma i on, oboje byli smutni, ale wielkie szczęście czasem się tak czarno ubiera umyślnie... Szeptali z początku tak, że ledwie sami się słyszeć mogli.

Dżemma poszła zwolna wiodąc go za sobą ku krzesłu, a August obyczajem dawnym na podnóżku u kolan jej usiadł, patrząc w piękne oczy.

— Nie prawdaż? zdrowszą dziś jesteś? — szeptał król. — Uwierzyłaś że niemasz trwożyć się czego?

— A! — przerwało dziewczę, machinalnie ręką białą sięgając ku leżącej blizko lutni, a drugą poprawując pukle ciemnych włosów króla — a! nie ma miłości bez trwogi! Każdy skąpiec drży o skarby swoje.

— Bojaźńby szczęście zatruła, gdyby tak zawsze dręczyć nas miała — odparł August. — Drogich chwil szkoda jej dawać na pastwę.

— A chwile te tak krótkie! — westchnęła Dżemma — obliczone! niestety.

Zmarszczył się król i ujął rękę jej w dłonie.

— Nie przewiduj gorszej przyszłości niż się ona obiecuje — począł mówić. — Niestety, królowie żenić się nawet, tak jak żyć muszą nie dla siebie ale dla poddanych, za to małżeństwa ich serca nie wiążą. Zmusić mnie mogą do podania ręki przed ołtarzem, ale serca mojego nikt nie weźmie gwałtem... to do ciebie należy.

— Na długo?

— Na zawsze! — zawołał August — dopóki twoje dla mnie bić będzie, piękna Dżemmo!

Zwolna kołysać się zaczęła piękna jej główka, a uśmiech smętny błąkał się po wargach

— Dzielić się będę musiała z nią — mówiła — a! nienawidzę tę kobietę!

— To dziecko — rzekł August — zabawiać ją będzie stary król, który podobno kocha bardzo synową... a mnie zasłoni matka, która wie co mnie szczęśliwym uczynić może, i żyje tylko dla mnie.

Gdy to mówił, wejrzenia ich się spotkały, Dżemma zacisnęła usta, Augustowi zdało się, że w oczach jej znalazł wyraz wątpliwości i niedowierzania.

— Dżemma! — zawołał — ty jej nie znasz, ty ją sądzisz jak drudzy. Ona co czyni wszystko dla mnie, i jeśli się naraża ludziom, ja tego jestem przyczyną. Od kolebki pamiętam ją zawsze tak czułą, tak dla mnie wylaną. Siostry nawet zaniedbuje.

Włoszka nic nie odpowiadała, lecz wejrzenia jej nie okazywały aby przekonaną była.

— I ciebie — dodał król — winienem jej! Ona, tak surowa dla drugich, nam zostawuje swobodę, nami się opiekuje... ciebie kocha jak dziecię własne.

Podniósł głowę ku niej, jakby się domagał odpowiedzi. Dżemma jeszcze milczała, westchnęła tylko.

— Daj Boże — odezwała się po przestanku — aby się to nie zmieniło... Widziałam nieraz królowę przechodzącą z miłości do nienawiści tak skoro, tak gwałtownie.

— Nigdy bez przyczyny — począł król — oburza ją niewdzięczność, nie umie przebaczyć zdrady... a my na dworze, wśród ludzi, których łaskami obsypujemy, wystawieni jesteśmy ciągle na niespodziewane ciosy... Bona po królewsku wdzięczną być umie, lecz też i po królewsku karze.

Wzdrygnęła się ze strachu jakiegoś Dżemma.

— My we dwoje — ciągnął król dalej — my się przynajmniej od niej nie mamy czego obawiać, a wszystkośmy jej winni. Przyrzekła mnie bronić od przyszłej małżonki, z którą żyć nie będę zmuszony.

— A stary król? — spytała Dżemma.

— Ojciec nie zdoła nic, gdy królowa się oprze — mówił August. — Zmusi go ustąpić i pozostać obojętnym.

Myślała długo Włoszka, której lice się rozjaśniło nieco.

— Mówią, że was z nią, z nią — poczęła, z przyciskiem wymawiając wyraz ostatni — chcą wyprawić na Litwę... a ja! a mnie!

August głową potrząsnął.

— Ach nie — odparł — król jest temu przeciwny, matka mnie obronić potrafi. Litwa się oddawna domaga w. księcia, ale polscy senatorowie obawiają się rządów osobnych. Kraje połączone na pozór, ciągle się rozdwajają... trzeba unikać wszystkiego co je rozdziela.

— Co za życie! — ręce podnosząc i zakrywając twarz niemi, przerwała Włoszka. — Drżę na myśl jej przybycia, tego wesela, tej niewoli! Widziałam jej portret u królowej, piękna jest i młodsza odemnie!

— Nie! — gwałtownie zawołał August — ani krasy twojej ani duszy twojej nie ma, dziecko trwożliwe... Matka powiada że chora i że słabość jej wstręt obudzić musi.

Ale dlaczego ty mnie zmuszasz — dodał — karmić się tą rozmową okrutną? po co przewidywać? na co zawczasu goryczą się poić... Zaśpiewaj, marzmy!

I głowę złożył na jej kolanach.

— A, nie! to nie jest śpiewu godzina — odezwała się rzucając lutnię Włoszka — ja nie mogę śpiewać, gdy w duszy mam łzy... ani nakazać sobie pieśni, gdy mi się serce ściska... nie, nie...

Król nie nalegał.

W milczeniu ujął jej rękę białą i całując palce po jednemu lubował się tak, marzył, uśmiechał. Dżemma schyliła się nad skroń jego i położyła pocałunek na niej.

Tak byli zatopieni w sobie, że żadne z nich ani dosłyszało, ani postrzegło, jak cichutko podniosła się w drzwiach sypialni zasłona i twarz Bony z oczyma iskrzącemi ukazała.

Królowa patrzyła na nich długo z radością jakąś, ostrożnie opuściła kurtynę i znikła.

Dżemma podniosła się, August wstał, objął ją wpół i poszli razem stanąć w oknie, szepcząc niepochwyconemi wyrazy. Były to przysięgi miłośne.

Coś się zdawało czuwać nad niemi, w kurytarzach nie było najmniejszego ruchu, od komnat dalszych nie dochodził szelest żaden. Zapomnieli się tak długo, długo, i wchodząca dopiero karlica rozbudziła ich do życia.

Król natychmiast opuścił komnatę.

W nieszczęśliwą godzinę biedny Petrek Dudycz podniósł oczy i serce swe skłonił ku Włoszce. Zdawało mu się, że dla ubogiej sieroty, która nic oprócz łaski królowej nie miała, jego osoba i majętność były czemś bardzo ponętnem.

Karykaturalnej postaci, Dudycz którego wyszukane stroje czyniły brzydszym i śmieszniejszym jeszcze, na wiele rzeczy był ślepym... a im dłużej się tą spoźnioną miłością rozgrzewał, tem mocniejszego nabierał przekonania, że ona mu piękną Dżemmę zjednać musi.

Przystęp do niej, jak do innych panien fraucymeru, wprawdzie napotykał trudności i przeszkody, lecz Petrek wiele ich podarkami i groszem umiał zwyciężać.

Skąpy dopóki z soli fortunę budował, teraz rozkochany gotów był na największe ofiary.

Nad polskim fraucymerem królowej naówczas zwierzchni miała dozór ochmistrzyni wdowa, nie młoda już jejmość Klara Zamechska. Winna ona była to miejsce jedynie temu, że za młodu obracając się w kołach mieszczan i kupców włoskich w Krakowie, których za Kaźmierza dosyć tu napłynęło, nauczyła się nieźle po włosku.

Otyła, ociężała ale zdrowa i silna Zamechska, chodziła namarszczona, udając surową, starała się królowej przypodobać — ale ani Bona jej polubić, ani ona królowej pokochać się nie nauczyła.

Obawiała się i nienawidziła.

Lecz że obyczaj wymagał ciągłych zapewnień miłości, wierności, poświęcenia, ochmistrzyni miała je ciągle na ustach.

Dudycz, który znał dobrze dwór, nie znalazł sobie lepszego nad nią sprzymierzeńca. Wiedział, że Zamechska chciwą była — począł od obsypania ją podarkami.

Baba kuta doskonale wiedziała o co chodziło, śmiała się w duszy z poczwarnego eleganta... ale go nie odtrąciła. W zbliżeniu się do niego nie było niebezpieczeństwa, bo Dudycz miał pewne zachowanie u królowej.

Petrek znalazł wreście raz wieczorem zręczność rozmówienia się sam na sam ze starą ochmistrzynią.

— Jejmościuniu — rzekł — śmiej się ze mnie jeśli chcesz; powiesz może, że w starym piecu djabeł pali, ale com ja temu winien, że oczy mam i serce w piersi. Zakochałem się..

— We mnie? — odparła biorąc się w boki Zamechska.

Dudycz począł się śmiać i w rękę ją pocałował.

— W Dżemmie — szepnął.

Zamechska ręce załamała.

— A toś się wybrał! — rzekła — prawda że późno, ale za to smacznego ci się kąska zachciało. Na całym dworze piękniejszej nie masz.

— Pewnie — odparł z dumą Petrek — bo ja smak mam; ale ta piękność uboga jest, a ja, dzięki Bogu, węzełek sobie przysposobiłem.

— I dzięki soli — szepnęła Zamechska.

— Sól zdrowa — rzekł Dudycz. — Sądzę, że królowa pani moja najłaskawsza, nie będzie temu przeciwną.

— A dziewczyna? — spytała ochmistrzyni.

— Kto ją zgadnie? — począł Dudycz — raz patrzy tak jakby się gniewała, czasem jakby się litowała.

— No... a jakby się kochała? — przerwała Zamechska — hę?

Dudycz głową potrząsnął.

— Nie — rzekł — ale toby może z czasem przyszło. Jabym ją złotem obsypał, jabym... — nie mógł dokończyć, ręce jego wyrażały tylko, że gotów był dla niej poświęcić wszystko.

Stara Zamechska miała czasem poruszenia dobrego serca. Żal się jej zrobiło tego człowieka śmiesznego, brzydkiego, który całe życie pracował na to, aby dla jednej dziewczyny, wyśmiewającej się z niego, patrzącej wysoko, wszystko a może nawet i życie w końcu stracił. Zbliżyła się do siedzącego i położyła mu rękę na ramieniu, litościwie spoglądając na niego.

— Słuchaj Dudycz — rzekła — chyba oczów nie masz. Żyjesz na dworze, a nie widzisz tego co wszystkim wiadome... Dżemmę kocha młody król, ona szaleje za nim... nasza pani na to przez szpary patrzy. Gdzieś tobie się z nim mierzyć!

Petrek słuchał na wpół osłupiały.

— Przecie się z nią nie ożeni! — dodał pomilczawszy.

Ochmistrzyni się rozśmiała.

Dudycz dodał spuszczając oczy.

— To co? — albo się ludzie z wdowami nie żenią?

Upór był nie do przełamania, Petrek począł dalej ciągnąć rzecz swoją.

— No, tak, pracowałem życie całe, uciułałem grosza. Chodziłem w prostej opończy dziurawej długo, a teraz widzicie jak się stroję. Otóż na to pracowałem, żeby mieć wszystko jak drudzy. Bławaty, aksamity, łańcuchy, woźniki, kolebki i żonę taką, aby mi jej ludzie zazdrościli. Innej nie chcę jak ta, a tę muszę mieć, niechaj będzie co chce...

I pięścią uderzył się w kolano.

— Cóż z tobą mówić — odparła ochmistrzyni. — Ja ci nic nie pomogę, ona teraz na ciebie patrzeć nie zechce.

— A potem? — zapytał Dudycz podnosząc oczy.

Śmiała się Zamechska; patrząc na śmiesznie wystrojonego, brzydkiego, niezgrabnego człowieka, razem litość i śmiech ją porywał.

— Mam ja ci to tłómaczyć — rzekła — czegoś się powinien sam był domyśleć? Królowej ona teraz potrzebna, aby młodego króla od tej żony, którą dla niego przywieźć mają, odciągała. Młody pan i stara pani nasza obsypują Włoszkę podarkami, ona teraz pierwsze oko w głowie... cóż ty możesz przeciwko nim?

Dudycz wstał z krzesła i zbliżył się do ucha prawie Zamechskiej.

— Nie takim ja głupi — odparł zniżając głos i ręką osłaniając usta. — Królowa i młody pan będą ją pieścili, bo im potrzebna, ale stary król także też coś znaczy; ks. Samuel, hetman, podskarbi, także ręce mają... Oni pewnie się zechcą pozbyć Włoszki... hę?

— A ty myślisz, że oni wszyscy, ile ich jest, naszej starej Włoszce i młodej podołają? — odparła ochmistrzyni.

— Młoda królowa także też coś będzie znaczyła — rzekł Dudycz.

— Więc żonę chcesz wziąć na upartego? gwałtem? a co ci potem będzie z niej? — spytała Zamechska. — Dasz jej radę?

Gburowata, głupowata twarz Dudycza przybrała na chwilę jakiś wyraz dziki i dziwny, błysnęły oczy — i Zamechska zrozumiała, że w tym człowieku, który się układał na dworaka, był drugi ukryty... z wolą żelazną i nielitościwym uporem.

Petrek milcząco spuścił oczy.

— To moja sprawa — rzekł. — Mówiłem jejmości: chcę mieć piękną i pokaźną żonę... jak ją dostanę, to ją sobie ułożę.

— Znalazłbyś przecie łatwiej drugą — przemówiła Zamechska.

— Kiedy mi ta w oko wpadła — rzekł Dudycz. — Ja wiem, że niełatwo ją przyjdzie uchodzić, alem na wszystko gotów... na wszystko...

To mówiąc, z kieszeni płaszczyka Petrek zaczął coś dobywać starannie obwiniętego w jedwabną chusteczkę. Ochmistrzyni przypatrywała się tym przygotowaniom z ciekawością.

Powolnie, systematycznie Dudycz rozwinął węzełek i dobył naprzód piękny pierścień z okiem, który, milcząc, sam włożył na palec ochmistrzyni. Nie opierała się temu i podziękowała mu skinieniem głowy i uśmiechem. Stara lubiła klejnoty, które wówczas zresztą wszyscy, mężczyzni i kobiety, nosili i cenili daleko więcej niż dzisiaj.

W chustce było jeszcze jedno pudełko, które Dudycz otworzył niemal z poszanowaniem. W niem, na dnie atłasowem, leżała spinka, w złoto oprawny rubin duży, który sam przez się był cenny, ale wartość kamienia nikła przy cudnej oprawie. Poznać było łatwo w robocie tej rękę włoskiego mistrza, który z miłością i zapałem rzeźbił to arcydzieło. Kamień obejmowały dwie figury kobiet, które się go dźwigać zdawały. Ciała ich, lekkie draperye, wieńce kwiatów oplatające dokoła ramę, były z różnobarwnego złota, srebra i emalij.

Zamechska patrzała zdumiona, a Dudycza twarz uśmiechała się tryumfem.

— Myślicie — rzekł — że tę fraszkę łatwo za psie pieniądze kupić było? Ho! bo! wioseczkęby może dostał za to, co mnie ona kosztowała. Królowaby się nie powstydziła jej nosić.

To mówiąc, zwolna zamknął pudełko i wręczył je ochmistrzyni.

— Znajdźcie sposób oddać to odemnie pięknej Dżemmie — rzekł. — Ja o nic w zamian nie proszę, nic a nic, nawet o spojrzenie. Chcę żeby przyjęła i nosiła...

— A jak nie przyjmie? — spytała Zamechska.

Roześmiał się Dudycz.

— Nie byłaby Włoszką — rzekł. — Naprzód jej pokażecie, niech się przypatrzy, potem...

Dudycz wydał się ochmistrzyni nie tak głupim jak wprzódy.

— Nawet Bóg zapłać nie żądam — dodał. — Nic, tylko żeby czasem to cacko włożyła. Są klejnoty, które mają czarodziejską siłę...

Stara, która święcie wierzyła w czary, pudełeczko bojaźliwie postawiła na stole.

Petrek się uśmiechnął.

— Będę wam bardzo wdzięczen, gdy jej to oddacie i powiecie tylko że odemnie, który jestem i będę jej sługą i niewolnikiem.

Ochmistrzyni milczała, nie miała już co mówić z upartym, który wszystko przewidywał a niczem zrażać się nie dawał.

Dudycz też, jakby spełnił to po co się tu wcisnął, pożegnał zaraz Zamechską. Miał już na myśli co innego. Otworzyły mu się oczy. Zamiast protekcyi starej królowej, potrzebniejszą mu była daleko pomoc tych ludzi, którzy przy starym królu stali, bo tym Włoszka miała się stać zawadą.

Dudycz miał z niektórymi stosunki a szczególniej z Bonerem, który w sprawach żup solnych jako doświadczonego radził się nieraz. Oprócz tego łączył ich z sobą stosunek inny, wątły wprzódy, lecz teraz dla Petrka nabierający wagi.

W milczeniu, niepostrzeżenie prawie reforma Lutra szerzyła się w Polsce. W tej dobie, zwłaszcza na oddalonych krańcach, miała ona charakter wcale różny od tego, jaki przybrała później, gdy jawnie wybuchnęła.

W historyi nowych religijnych idei za mało zwracają uwagę na ten peryod, który pierwsze symptomata prądu reformatorskiego dzieli od stanowczego zerwania z Rzymem.

Można śmiało powiedzieć, że w początkach trzy czwarte tych, którzy chwytali chciwie idee nowe, jak je u nas zwano, nowinki, nie przypuszczało nigdy, ażeby one do zupełnego rozbratu z papieztwem i katolicyzmem doprowadzić mogły.

Bardzo wielu duchownych, którym ciężyło narzucanie corteggianów z Rzymu do beneficiów, rząd po za granicami, nadużycia różne — bardzo wielu marzycieli, którym religia zdawała się wymagającą oczyszczenia, uproszczenia, uczynienie popularną językiem i t. p., bardzo wielu humanizmem doprowadzonych do niewiary i theizmu — nakoniec ogromny lik ludzi, co nie rozbierając nowości, na wędkę ich pochwycić się dają, cisnęło

się do nowatorów. Nikt jednakże rozprawiając o tem, dając schronienie apostołom reformy, z kościołem nie zrywał. Wielu ograniczyć się chciało tem co nazywano puryfikacyą. Żądano wiele, lecz ograniczyliby się gardłujący i mniejszemi ustępstwami.

Gamrat, który spaleniem Malcherowej i ustanowieniem inkwizycyi zatrwożył nowatorów, na kilka lat wstrzymał jawne ukazanie się protestantyzmu... Spiskowano po cichu, wielu na dwu stołkach siedziało — Boner, Decyusz sprawiali urzęda syndyków przy kościołach katolickich, a w domach swych gospodę dawali przybywającym z Niemiec apostołom.

Znaczna część duchowieństwa młodszego, żwawszego umysłem a niemającego nic lub niewiele do stracenia, biegła słuchać predykantów i żwawo roztrząsała zasady przez nich głoszone.

W poufałych kółkach, szczególniej niemieckiego pochodzenia mieszczan krakowskich, było modą rozprawiać o bałwochwalczej czci obrazów, o spowiedzi, o obrzędach, o bezżeństwie księży, i t. p.

Prąd ducha czasu jest jak owe burze wielkie, które obalają gmachy, ale też kurzu tumany podnoszą. Tak samo i wielkie umysły porywają idee, i najpłytsze zawracają. Niejeden idzie wprost za drugiemi przez naśladownictwo, tak samo jak sprawia czapkę i pas nowym krojem.

Otóż Dudycz, który nagle został elegantem i nosił włoskie suknie, chcąc się do przyzwoitych ludzi zbliżyć, począł szukać nowatorów i z niemi zawiązywać stosunki.

Ich propaganda czyniła przystępnemi.

Człowiek majętny, który w swoich dobrach na wsi mógł dać schronienie jakiemu zbiegowi, pobudować zbór, postarać się o druk księgi — był pożądaną zdobyczą. Dudycz miał wszystkie te warunki, a w dodatku zdawał się dosyć ograniczonym, tak że nim zawładnąć było można.

Przez któregoś z dworaków, bo tych wielu chadzało na reformatorskie koncyliabuła, Dudycz się wcisnął pomiędzy spiskujących. W istocie nie można ich było naówczas nazwać inaczej. Kryli się jeszcze, przysposabiając umysły starego króla, ale nadewszystko Zygmunta Augusta.

Lismanin, którego suknia mnisza długo od podejrzeń broniła, mający wstęp do starej królowej, przez nią się wwiódł do młodego pana, umiał mu podobać, stał się potrzebnym, i przygotowywał go do uznania wolności sumienia, jako dopełniającej swobody prawami poręczone narodowi.

Dudyczowi wiadomem było, że w domu Bonera, przy Floryańskiej ulicy, za wielkiem pierwszem podwórcem, na tyłach, w miejscu mniej dostępnem i widocznem, w izbie bardzo przestronnej zbierali się nowej wierze pozyskani uczniowie. Odbywały się tu ciche modlitwy, narady i rozprawy, tu zwykle przybywający z Niemiec stawali gospodą, albo się o nią dowiadywali.

U Bonera, który na pozór katolikiem był i miał nawet wziętość u ks. Samuela, a unikał rozmów drażliwych — ogniskowały się wszystkie zabiegi protestantów, przygotowujących do lepszej, jak sobie obiecywali, przyszłości.

Kamienicę tę znał Dudycz, ale pewna obawa wstrzymywała go dotąd od uczęszczania na nowe nabożeństwa, a w rozprawach chyba jako słuchacz mógł uczestniczyć — i na prawdę niewiele go one obchodziły. Człek praktyczny myślał tylko o tem, jak z każdej sposobności dla siebie skorzystać.

Tym razem nie do zboru, ale do pana Seweryna Bonera zbliżyć się mu było potrzeba. Obrachował, że jako sprzymierzeniec mógł służyć tym, co popierali sprawę młodej królowej. Rozumował po gburowsku, zprosta, i szedł prosto też do celu.

Zmierzchało już gdy znalazł się przy ogromnych wrotach kamienicy, w której kancelarye czynnego Bonera, jego dwór, rodzina, domownicy i skarbiec się mieściły. Ruch tu zawsze był wielki, bo Boner miał niezmiernie rozgałęzione stosunki, interesa ogromne i rozliczne, a zajmował stanowisko wyjątkowe. Szlachta go miała za swego, mieszczanie widzieli w nim też brata i wodza, bo z ich stanu wyrosnął. Był to zarazem pan, majątkiem magnatom równy, urzędnik skarbowy mający króla zaufanie, kupiec i handlarz, a jak na owe czasy i bankier, bo przez niego najpewniej przesyłały się pieniądze w najdalsze kraje.

Mało który cudzoziemiec zawitał do Krakowa, nie mając do niego listu polecającego, karty na odebranie pieniędzy.

Wszystkim wiadomem było, że ta potęga stała po stronie króla Zygmunta Starego, ks. Samuela i hetmana.

Boner nie wojował jawnie z Boną, czynił jej nawet małe przysługi, lecz tak się ująć, jak ona chciała, nie dawał.

Dudycz potrzebował się z nim rozmówić. Wchodził właśnie we wrota, gdy młodego znajomego sobie mieszczanina Krieglera spotkał, który spojrzawszy nań tylko, ujął pod rękę i z sobą poprowadził, nie pytając nawet po co i do kogo idzie.

Dudyczowi zdawało się, że i on pewnie Bonera szuka. Dopiero w połowie podwórza, gdy ciągle jeszcze szli dalej, dowiedział się od Krieglera, który mu to szepnął na ucho, iż właśnie wieczorne miało się odbywać nabożeństwo. Ponieważ na niem spodziewał się zobaczyć Bonera, a przytomnością swą polecić mu i zyskać ufność jego, Dudycz się dał poprowadzić.

Izba przeznaczona na ten zbór tymczasowy, znajdowała się w samej głębi drugiego podwórza na pierwszem piętrze, na które po ciemnych wschodach drapać się było potrzeba. Szło z niemi razem osób kilka. Nie sprawdzał nikt kto wchodził i czy miał tu znajdować się prawo, bo się zdrady nie obawiano. Czujność wielka, uśpiona kilkoletnim pozornym spokojem, ustała.

Weszli do przyciemnionej sali, którą teraz dopiero kilku świecami zaczęto oświecać. W głębi stał okryty kobiercem i białym obrusem stół, a na nim krucyfiks srebrny. Żadnego zresztą obrazu, godła, sprzętu zwykłego miejscom modlitwy, widać nie było. Oprawna w skórę biblia leżała pod krzyżem.

W sali było już osób kilkanaście, które oczekiwać się zdawały — jedne siedząc na ustawionych we dwa rzędy ławach bez poręczy, drugie po cichu rozmawiając gromadkami. Twarzy przytomnych trudno było z początku rozpoznać w mroku, ale więcej niż połowa przytomnych tu miała na sobie odróżniające ich od świeckich suknie duchownego kroju. Barwa czarna dla mężczyzn i kobiet była w tej epoce wielce używaną i modną, ona więc sama nie stanowiła różnicy... ale płaszcze, birety, pasy, sutanny a nawet tonsury wskazywały duchowieństwo. W znaczniejszej części byli to ludzie młodzi a buta i gorączka patrzyła im z twarzy. Oglądali się niespokojnie zdradzając trochę obawy, nadrabiając zuchwałą miną.

Dudycz, którego Kriegler u drzwi opuścił, został sam, a wszedłszy niemal mimowoli i zbytniej nie mając ciekawości, usiadł sobie na ławie.

Zwolna pusta izba napełniać się zaczęła, a rozproszeni goście zajmować miejsca na ławach. Petrek postrzegł zdala i Seweryna Bonera i znanego wszystkim Justa Decyusza, i kilku innych przewódzców.

Po upływie ćwierć godziny, w sposób bardzo prosty, rozpoczęło się owo zapowiedziane nabożeństwo. Zanucono psalmy po niemiecku, niebardzo głos podnosząc. Czuć było, że się nie chciano zdradzić. Śpiewy szły nie dosyć sworno i niepotrwawszy ustały. Naówczas mężczyzna czarno ubrany, w sukni długiej kroju duchownych przypominającego, wystąpił za stół przed krucyfiks i mówić rozpoczął. Głos jego w początku był cichy, twarz blada, oczy nieśmiało biegały po słuchaczach, ale wnet rozgrzał się i własnemi słowy i okazywanem mu jawnie współczuciem. Oczy wszystkich chciwie były zwrócone ku niemu, niektórzy na palcach z dalszych ław do bliższych się przesuwali, aby lepiej słyszeć mogli. Kaznodzieja mówił po niemiecku, Dudyczowi język ten nie był całkiem obcym, lecz rzecz cała dla niego zbyt ponętną nie wydawała się — pozostał więc na swej ławie zdala, i z mowy ledwie kilka frazesów mógł pochwycić.

Predykant przybyły z Witenbergi, gwałtownie występował przeciwko despotyzmowi Rzymu — powtarzał wszystko, co przeciw papieztwu naówczas głoszono, starając się je oczernić i wstrętnem uczynić. Mówił o kościele Chrystusowym, o idealnym grodzie Bożym, o przyszłej szczęśliwości świata odrodzonego i oczyszczonego z bałwochwalstwa. W końcu jakiś szał proroczy nim owładnął, i to co mówił stało się prawie niezrozumiałem. Apokalypsis, wyciągi z ksiąg proroczych, zastosowane do czasów nowych, fantastyczne obrazy — ognistemi rysy piętnowały się w umysłach słuchaczów.

Wrażenie było ogromne, a gdy skończywszy uznojony apostoł zamilkł... cisza zapanowała grobowa i, choć inni mówcy zapowiedzeni byli, nikt się odezwać nie śmiał.

Po długich szeptach i naradach zanucono pieśń dziękczynną także po niemiecku i na tem skończył się ów obrzęd wieczorny.

Dudycz postrzegł jak potem kołem otoczono bladego predykanta, który jeszcze będąc pod wpływem natchnienia, jakie mu kazanie jego dyktowało, ocierał czoło i ust prawie otworzyć nie mógł.

Niektórzy z duchownych zbliżyli się ku niemu. W sali poskupiały się gromadki. Wszyscy byli pod naciskiem tych wyrazów natchnionych, widocznie napełniały ich one jak najlepszemi dla przyszłości tego kościoła nadziejami.

Petrek patrzał, słuchał, lecz naprawdę pragnął, aby się to wszystko jak najprędzej skończyło i żeby wychodzącego ztąd gospodarza przyłapał. Ale ten był tak oblężony, że Dudycz w końcu postanowił się wymknąć i czekać na niego w dziedzińcu.

Tu już ciemno się tak zrobiło, że po chwili przeniósł się do bramy, i długo czekać musiał, nim nareszcie spostrzegł idącego Bonera, którego pośpieszył pozdrowić.

Roztargniony podskarbi niebardzo nań zważał i byłby pominął, gdyby Petrek nie szepnął mu, iż chce z nim mówić na osobności.

Boner, w sile wieku, pańskiego oblicza, postawy pięknej mąż, zmierzył go od stóp do głów oczyma, jakby pytał: co on, biedny człeczyna, z nim *privatim* mieć może do czynienia? Ale snadź przypomniał sobie, iż sam go kilkakroć używał do porady w sprawach żupy, i kazał mu iść za sobą do mieszkania.

Wewnątrz kamienica tego bogacza i możnego dygnitarza nie ustępowała najwspanialszym domom książęcym.

Zbogaceni mieszczanie lubili okazywać, że razem z fortuną nabyli upodobania pańskie, więc przepych był wszędzie. A że stosunki dozwalały im z zagranicy, z krajów przemysłu i sztuki z łatwością i szybko sprowadzać wszystko — nowości kosztowne zaledwie się gdzie zjawiły, wnet się tu znaleźć musiały.

Przeszedłszy szereg izb tak strojnych, że Dudyczowi jak obraz zaczarowanego jakiegoś pałacu mignęły przed oczyma — Boner wprowadził go do małej komnatki, która do poprzedzających ją izb wspaniałych wcale nie była podobną.

Tu oprócz stołu, kilku krzeseł i ław dokoła, a rzeźbionej szafy, nie było nic. Włoska lampka olejna czekała na gospodarza stojąc na stoliku, zarzuconym kartami papierów, listów i księgami wązkiemi a długiemi, zawierającemi rachunki.

Panu Bonerowi jawnie było pilno, wskazał siedzenie Dudyczowi, i z obojętnością wielkiego pana, który rad zbyć się natrętnego klienta, rzekł do niego.

— No, Dudycz, cóż ty mi przynosisz ze dworu? Masz co do mnie?

Petrkowi jakoś wytłómaczyć się na razie było ciężko; niewymówny, szukał po głowie od czegoby miał począć.

— Ja do W. Miłości w mojej własnej sprawie przychodzę — odezwał się nieśmiało.

— Mówże, proszę.

— Chciałbym — dodał Dudycz niezgrabnie — chciałbym się żenić...

— A któż ci broni? — śmiejąc się odparł Boner. — Jesteś pełnoletni oddawna.

Zczerwienił się Dudycz.

— Ale bo — rzekł — idzie tu o pannę z fraucymeru królowej JMci.

— I chcesz, aby ci król JMć był swatem — począł Boner wesoło. — Ale, Dudyczu mój, to ci rychlej zaszkodzi niż pomoże. Stara pani nasza dąsa się na nas.

— Ja to wiem — począł Petrek widocznie skłopotany tem, jak przystąpić do sprawy — ale właśnie się tak rzeczy składają, że moje ożenienie królowi staremu będzie bardzo na rękę, więc myślałem że mi do niego pomoże.

— Królowi? twoje ożenienie? — rozśmiał się Boner, z góry spoglądając na biednego zafrasowanego petenta — nie rozumiem, mów jasno.

Dudycz zniżył głos i począł nieśmiało.

— Mówią, że młody król na tę samą pannę rzucił okiem i że królowa, aby go od przyszłej małżonki odstręczyć, patrzy na to przez szpary... hm!...

Boner zrozumiał, ale się zmarszczył.

— Mówisz o pięknej Dżemmie? — zapytał.

Głową potwierdził Dudycz, a uśmiech politowania prześliznął się po ustach pana podskarbiego.

— Żal mi cię, mój Dudycz — rzekł — ale na miłość, jak na śmierć, lekarstwa nie masz!

Poruszył ramionami i zamilkł.

— Czegóż tedy właściwie chcesz? — odezwał się po dość długiej przerwie, w czasie której Dudycz się jaśniej nie zebrał tłómaczyć. — Król nie ma mocy nad fraucymerem żony; jeżeli Bona sobie tego nie życzy, Włoszka owa także pewnie młodego króla będzie wolała, niż starego dworzanina... w czemże my ci pomódz możemy?

Petrek podniósł oczy.

— A jeśli staremu panu dokuczy to, że młoda królowa przybywszy, źle będzie przyjętą... bo młody król gdy się rozkocha... nie zechce do niej przystać? Juścibyście się Włoszki pozbyć radzi zawczasu, a ja ją gotów jestem wziąć.

Boner słuchał, ale obojętnie i dumnie.

— Wiesz Dudycz — rzekł w końcu — rachunek twój nie głupi, to prawda, ale przeciwko nam, to jest przeciwko najjaśniejszemu panu naszemu, może kto chce używać broni intryg nikczemnych, podstępów i zdrady, on nigdy, nawet w obronie najświętszych praw, tej podłej broni nie użyje. Stara królowa niech czyni co chce, spodziewamy się ją zwyciężyć w sposób bardzo prosty i jasny, młode małżeństwo usuwając z pod jej wpływu. Naostatek, mój Dudycz, łowisz ryby przed niewodem, wszystko to tylko projekty i domysły.

Przykro było taką obojętną odpowiedzią zbytemu, z niczem odchodzić Dudyczowi... siedział jeszcze zadumany. Boner tymczasem z innego tonu, poufalej rozpoczął mówić do niego.

— Żal mi cię, mój stary — rzekł — bo wcale już młodym nie jesteś, że się ważysz na prawdziwe szaleństwo... Po co ci to? Padniesz w każdym razie ofiarą...

— A kiedy komu to miło! — odparł Dudycz. — Dziewczyna mi się haniebnie podobała... chcę mieć taką piękna, żeby mi jej wszyscy zazdrościli. Na to całe życie pracowałem, abym miał za co szaleć na starość!

Rozśmiał się Boner.

— Znałem takiego — odparł — co widząc człowieka zarzucającego sobie pętlę na szyję, aby się powiesić, stał, patrzał i ani się ruszył, a powiadał potem: wolna wola jego! kiedy mu życie obmierzło... Jabym ci też to powinien rzec.

Skłonił się Dudycz nic niezmięszany.

— Wątpię, abyś Włoszkę miał za sobą, jeżeli młodemu panu w oko wpadła — odezwał się podskarbi.

— Teraz pewnie patrzeć na mnie nie będzie, ale poczekawszy — rzekł chłodno Dudycz i na chwilkę zamilkł, kończąc potem:

— Poczekawszy, panie podskarbi... jam nie prorok, ale powiem panu, że i król stary i wszyscy wy będziecie radzi, że ja ją sobie zechcę wziąć. Otóż ja zawczasu się polecam...

To mówiąc skłonił się.

Boner, który go znał i nigdy o nim wielkiego nie miał wyobrażenia, teraz tak był zdumiony i miłością tą i cierpliwą jej rachubą i przewidywaniami Dudycza, że stał moment nie wiedząc co powiedzieć.

— Zwierzyłeś mi się — rzekł w końcu — ja ci za to nie mogę inaczej zawdzięczyć jak dobrą radą: nie rozplątuj zawczasu niepotrzebnie, co w końcu sam może później będziesz musiał porzucić i zaniechać.

Energicznie podniósł głowę Petrek.

— Nigdy w świecie — odparł stanowczo — ja co sobie raz postanowię, panie podskarbi, to muszę dokonać. Mało nie trzydzieści lat o chlebie i wodzie pracowałem, żeby się dorobić grosza... no, mogę lat kilka starać się o taką żonę, jaką sobie mieć zapragnąłem.

Skłonił się mówiąc to i wziął za beret włoski, który był na krześle położył.

Boner patrzył za odchodzącym w milczeniu. Poruszył ramionami i tak się rozstali.

W znanej nam pięknej komnatce z oknem na szerokie błonia za Wisłą, siedziała następnego ranku piękna Dżemma, ale dnia tego wyglądała całkiem inaczej. Twarz miała świeżą, rozweseloną, odmłodzoną, uśmiechającą się, dumną... promieniała zwycięztwem. W ręku trzymała robotkę, jedwabną chustkę, którą wyszywała we wzory, ale myślała

o czem innem, a wzrok jej niekiedy zwracał się na komnatę, w której widać było rzuconą na poręcz krzesła sztukę atłasu różowego, cudnej barwy, i wiązkę złotych forbotów, przeznaczonych do jej przyozdobienia. Tuż na stoliku leżał przepiękny różaniec z koralów oprawnych misternie w złoto. Były to, jak się łatwo domyślać można, dwa świeżo otrzymane podarki. Ale nie one może tę wesołość na lica wywołały, coś więcej miała w duszy, gdy tak zwycięzko na świat patrzyła. Kiedy niekiedy srebrnym głosem, ale zcicha próbowała włoską jakąś nucić piosenkę, lecz myśli jej przerywały.

Wtem zaszeleściało od strony drzwi, które do sypialni prowadziły, i weszła młoda, piękna, ze śmiałem czarnych oczu wejrzeniem, dziewczyna. Rysy twarzy świadczyły, że Włoszką była i choć młoda, już postradała przedwcześnie tę dziewiczo-dziecięcą świeżość i urok, jakim Dżemma czarowała. Namiętny wyraz tłómaczył prędkie rozstanie się z młodością. Pomimo to była i czuła się jeszcze bardzo piękną, a wdzięk stracony zastąpiła pewność siebie i jakaś zuchwałość, która też ma wielką siłę. Szła na palcach, jakby Dżemmę podchwycić na czemś chciała...

Typ to był zupełnie odmienny, a najpospolitszy pod włoskiem niebem: bujny włos kruczej czarności, nieco kędzierzawy, oczy jak węgle, brwi bujne, usta koralowe, pełne, owal twarzy wdzięczny, formy bogate i już rozwinięte nieco zanadto może. Biała, bez rumieńców prawie, w twarzyczce miała wypisaną nieustraszoną odwagę, energię i jakby urąganie się światu. Usta i oczy piętnowało usposobienie namiętne...

Po chodzie musiała ją Dżemma odgadnąć, rzuciła robotę, podniosła oczy, czekała...

— Pracowita pani z ciebie — zawołała szydersko przybywająca, której oczy padły na różowy atłas i koralową koronkę i usta się uśmiechnęły. — Trzebaż było choć te dary pochować.

— Chcę się niemi nacieszyć — odparta Dżemma — a kryć się z niemi nie myślę.

— Szczególniej przedemną — szydersko i ze śmiechem zawołała czarnooka, która już w białych paluszkach trzymała atłas a wejrzeniem pożerała złote forboty. — Szczególniej przedemną — powtórzyła — która to wszystko wiem na palcach, bo... bom i ja to przeżyła, odplakała...

Dżemmy brwi się ściągnęły.

— Bianko moja — odezwała się dumnie — nie wiem czy to coś ty przeżyła czeka mnie, ale mi się zdaje, że między tobą a mną jest wielka różnica.

Blade lice Bianki zarumieniło się nieco.

— Sądzisz? — podchwyciła — a! zobaczymy wkrótce, moja droga! Na co ci mam krótkie dni szczęścia zatruwać...

Wypuściła z rąk atłas.

— I ja odbierałam takie podarki, atłas tylko był innej barwy, a różaniec z kamieni...

Rozśmiała się szydersko, lice Dżemmy powlokło się chmurą.

— Zazdrościsz mi! — szepnęła.

— Nie, już teraz, nie — rzekła Bianka — bo wiem, że te rozkosze nie mogą trwać i że je potem łzami zapłacić potrzeba, a raz płakałam już długo, długo... i ze łzami poszła miłość.

Ręką w powietrzu pokazała, jakby ptaszek uleciał.

— On był naówczas młodszy — poczęła po małym przestanku — a taki namiętny!... Zaprzysięgał kochać mnie całe, całe życie... a jam wierzyła w to święcie... Tymczasem Carita dorastała i wypiękniała, a nakoniec i tyś najpiękniejsza z nas, zakwitła... Jam była zawsze pewną, że ten los cię spotka...

Dżemma słuchając w początku cierpliwie, w końcu rzuciła robotę z ruchem namiętnym.

— Nie mów mi tego — zawołała. — On wie, że z mojem sercem tak jak z waszemi igrać nie można... Ono raz tylko w życiu może kochać...

— Dżemmo — odezwała się spokojnie Bianka — moje też kochało raz, a teraz się bawi.

— Mojeby pękło, gdybym miała być zdradzoną — przerwała Dżemma.

Bianka spojrzała na nią z politowaniem, zbliżyła się do niej z powagą starszej, objęła wpół i lekki pocałunek złożyła na jej czole.

— Siadaj — rzekła — uspokój się; ja jestem niepoczciwa, że cię poję tą goryczą, lecz tak mi żal biednej Dżemmy zawczasu.

Włoszka siadła znowu w oknie jak wprzódy i sparła się na ręku zadumana. Tymczasem Bianka kręciła się po komnatce, zaglądając wszędzie, przypatrując się wszystkiemu. Na chwilę rozmowa została przerwana.

Bianka Giorgi miała już rozpocząć ją na nowo, gdy ciężki chód dał się słyszeć u drzwi od kurytarza, uchyliły się one ostrożnie i okrągła, rumiana, rozlana twarz ochmistrzyni Zamechskiej w nich się ukazała.

Dżemma jako Włoszka nie należała do jej wydziału, mało widywała i niebardzo lubiła... Domyślała się więc jakiegoś szczególnego powodu tych odwiedzin, które przyjęła dość zimno.

Ochmistrzyni mówiła wprawnie po włosku.

— Tak dawno, dawno nie widziałam pięknej Dżemmy — rzekła wchodząc — iż mijając jej drzwi nie mogłam się oprzeć pokusie... Pozwolisz się pozdrowić?

Ulubienica młodego króla i starej królowej była teraz tak z pochlebstwy oswojoną i do dworowania sobie przywykłą, że ją to nic nie zdziwiło. Przyjęła wymuszonym uśmiechem ochmistrzynię.

Bianka, której brwi się ściągnęły, bo musiała mieć jakiś wstręt szczególny do Polki, zakręciła się tylko i wyszła.

Zamechska na pierwszem krześle najbliższem okna usiadła.

— Ślicznie mi wyglądasz dziś, moja królowo — odezwała się do Dżemmy — choć ty zawsze jesteś tak piękna!

— A wy, tak łaskawi! — szepnęła kwaśno Włoszka.

Nie wiodło się z rozmową. Ochmistrzyni wspomniała o kilku dnia tego wypadkach, o tem co królowa rozkazała, co na jutro się gotowało, o pannach wyznaczonych na służbę... Dżemma milczała główką potrząsając.

Tymczasem zwolna, jakby od niechcenia Zamechska poczęła z bocznej dobywać kieszeni pudełeczko, które uwagę Dżemmy zwróciło na siebie.

— Ty co piękną będąc lubisz i umiesz cenić wszystko co piękne — poczęła zwolna ochmistrzyni — powinnaś zobaczyć to cacko... Właściwie zaszłam do ciebie tylko, aby ci je pokazać. Co też ty powiesz na nie?

I zwolna otworzywszy pudełko, Zamechska na kolanach Dżemmy położyła ową spinkę z rubinem, którą Dudycz jej wręczył.

Włoszka nic się pewnie tak nadzwyczaj pięknego nie spodziewała, zwróciła oczy obojętnie, lecz po chwili uchwyciła pudełeczko i wpatrzyła się zachwycona w maleńkie arcydzieło. Klejnot ten na chwilkę ją rozchmurzył.

— Prześliczna! — zawołała, kładnąc na kolanach pudełko.

— A! ja się na tem nie znam tak jak wy — odparła ochmistrzyni — ale i mnie się zdawało, że to klejnot godzien królowej.

— I zapewne należy też do najjaśniejszej pani — przerwała Dżemma.

Zamechska głową potrząsnęła.

— A czyjeż to jest? — spytała ciekawie.

Uśmiech jakiś niewytłómaczony dla Włoszki, przebiegł po szerokich wargach Zamechskiej.

— To moja tajemnica — rzekła — ale że u mnie nie ma gdzie nawet schować tak drogich rzeczy, tymczasem zostawię spinkę u ciebie. Będziesz mogła przypatrzeć się jej i nacieszyć.

Wejrzenia ich spotkały się, podziwienie odmalowało na twarzyczce Dżemmy. — Milczała.

— Co to ma znaczyć? — zapytała.

Namyślała się Zamechska z odpowiedzią dość długo.

— Hm — rzekła — toby mogło znaczyć, że ktoś się w tobie kocha gorąco, szalenie i radby bóstwo swoje przystroił, ale się lęka przystąpić do niego.

Dżemma natychmiast pochwyciła pudełko, zamknęła je i milcząc położyła na rękach ochmistrzyni.

— Ja podarków nie przyjmuję — rzekła sucho.

— Nawet gdy za nie dziękować nie trzeba? — dodała uśmiechając się Zamechska — możesz nawet nie pytać kto ci to przesyła.

— Nie jestem ciekawa — odezwała się Dżemma.

Pudełeczko leżało zamknięte, stara jejmość otworzyła je znowu, wyjęła spinkę i podnosząc ją w palcach przeciwko światłu, całą jej piękność starała się ukazać. Zwolna oczy Dżemmy spuszczone, zwróciły się na prześliczne cacko i spoczęły na niem długo.

— Bądź co bądź — mówiła Zamechska składając nazad spinkę na atlasowe posłanie — będę cię prosiła, piękna Dżemmo, abym spinkę mogła przynajmniej zostawić u ciebie. U mnie tyle się ciekawych dziewcząt kręci, a ja tak zapominam zamykać, otwieram tak często...

Dżemma nie mówiła nic, ale usta się jej skrzywiły dumnie.

— Królewski podarek — szepnęła ochmistrzyni, i wstawszy z krzesła położyła pudełko na stole obok różańca.

Oczy Włoszki szły za nią, nie zaprotestowała przeciwko temu. Starej zdawało się, że o ile mogła i umiała, spełniła co jej zlecono. Nie obiecywała więcej. Klejnot miał w rękach Dżemmy pozostać i czarowna jego siła powoli działać na kobietę, dla której był przeznaczony.

Uśmiechem i poruszeniem głowy pożegnawszy siedzącą, zadumaną Włoszkę, Zamechska z pośpiechem, nie dając jej czasu na odpowiedź, wyniosła się za drzwi.

Zaledwie się one za nią zamknęły, gdy Dżemma wstała ze swego w oknie siedzenia. Zbliżyła się żywo do stolika, pochwyciła pozostawione pudełko, dobyła z niego spinkę i powróciła z nią do okna.

Teraz dopiero mogła się przypatrzeć ze wszelkiemi szczegółami temu arcydziełu nie złotnika ale rzeźbiarza, który maleńkim figurkom taki wdzięk i takie umiał nadać życie. Zapomniała pewnie o pochodzeniu tego tajemniczego podarku, cała była przejęta zachwytem. Spinka wydawała się jej niezrównanej piękności.

Po długiem obracaniu jej na wszystkie strony, szła już złożyć do pudełka z westchnieniem, gdy w otwartych nagle drzwiach ukazał się powracający z przejażdżki Zygmunt August, w czarnych włoskiego kroju sukniach, w płaszczyku na ramionach... piękny a tak królewsko wyglądający, iż w nim każdy musiał domyślać się pana.

Nim miała czas schować spinkę Dżemma, król młody już ją zobaczył. Był on miłośnikiem wielkim drogich kamieni i wytwornych, kunsztownych robót złotniczych, których później ogromne po nim zostały zbiory.

Widok klejnotu, w ręku tej której on tylko teraz miał prawo przynosić podarki, zdumiał go i zaciekawił. Postąpił żywo i pochwycił spinkę, a uśmiech po ustach mu przeleciał.

— Nieprawdaż? cudnie piękna! — zawołał. — Znam ją, bo mi przynoszono na sprzedaż, ale była za droga, a ja bez pieniędzy. Więc dobra matka moja kupiła, aby kochaną Dżemmę w nią ustroić. O! jakże wdzięczen jestem...

Włoszka się zarumieniła mocno, lecz nie śmiała czy obawiała się zaprzeczyć od razu... milczała. August trzymał w ręku spinkę i oczy mu się do niej śmiały.

— O! ci Włosi — zawołał — ci Włosi... co są za kunsztmistrze; żaden naród w świecie nie pochlubi się takiemi jak oni malarzami, rzeźbiarzami, rękodzielnikami. Ani Francuzi, którzy piękne też robią cacka, ani Hiszpanie, których broń bywa cudną, walczyć z Włochami nie mogą.

Król położył spinkę na stole, a oczy zwrócił na Dżemmę, która spragniona wejrzenia tego czekała. Obejrzał się dokoła, przyciągnął ją ku sobie i pocałunek złożył na ustach...

— Czekają na mnie — szepnął — do widzenia wieczorem...

Aż do progu towarzyszyła mu Włoszka... jeszcze jedno pocałowanie i sama wróciła do — nie do okna i siedzenia, ale do spinki zaczarowanej. Wzięła ją w ręce. Dziwne myśli plątały się po główce...

— Dla młodego króla spinka była za drogą! — mówiła sobie — a ten ktoś nieznany kupił ją... dla mnie!

Któż to być może? Bogaty więc. Może który z książąt co na dworze bywali, co ją widywali przy królowej? Ostrogski jaki? szlązkie książątko czy niemieckie?

W myśli przebiegała ich wszystkich, ale obojętnie, szydersko, bo sercem i duszą była z Augustem. Na co jej byli ci wszyscy panowie, ci rozmiłowani książęta! miała jego jednego, a ten starczył na całe życie... Była pewną jego serca, kochał ją mocno.

Wtem na myśl przyszła jej Bianka i zarumieniła się z gniewu i dumy.

Jak ta dziewczyna śmiała swoje płoche miłostki z młodziuchnym królewiczem porównywać do tej miłości wielkiej, poważnej, poprzysiężonej, która ją, Dżemmę, łączyła z królem, która nigdy ustać nie mogła!

Co ją to obchodziło, że go ożenić miano! On nigdy kochać nie mógł ani żyć z żoną. Narzucono mu ją, zadano gwałt — był królem, musiał to uczynić dla korony, dla starego ojca.

W Bonie miała Dżemma taką opiekunkę, matkę, obronicielkę.

A potrzebaż jej było innego sprzymierzeńca nad własny uśmiech i wejrzenie, nad siłę jaką miała?

Piosenka wyrwała się z piersi wesoło...

Patrzyła na spinkę jednakże i mówiła sobie, ot tak, przez ciekawość pustą: ktoby to mógł być taki?

Zgadywała, ale odgadnąć nie mogła.

Potrzeba było spytać Zamechską, która tajemnicy czynić z tego nie potrzebowała.

Zaczęła klejnot układać znowu na jego atłasowem posłaniu, chciała zamknąć, ale się go napatrzeć nie mogła — taki był śliczny.

Wypadałoż go zatrzymać? Trzeba go było oddać?

Nie żądano zań nic a nic... więc dlaczego nie miała zachować podarku. Wejrzenie jej padło razem na piękny różaniec koralowy, który się wydał pospolitym i ubogim. Nie mógł iść w porównanie z rubinem, który miał w sobie coś gorącego jak ludzkie spojrzenie?

Dobrą godzinę przemarzyła Dżemma sam na sam ze spinką, i tak jakoś z nią się poprzyjaźniła, tak się do niej przywiązała, że się już wydawało niepodobieństwem ją zwrócić.

August król był tak roztargniony, tak mało zazdrośny, że pewnie już ani mógł spytać o pochodzenie podarku tego. Wyobraził sobie, że był ofiarą starej królowej i więcej pewnie się o to nie troszczył. Tylko przy Bonie spinki wziąć i pochwalić się nią nie było można. Oko starej królowej widziało wszystko i wiedzieć musiała wszystko co się tu działo. Onaby się nie dała zbyć domysłem, spytałaby i doszła kto przysłał, a może pogniewała się?

Ale czyż królowa sama podarków nie brała?

Wieczorem miał przyjść król jak zwykle; ale przed tą godziną spodziewała się Dżemma Zamechskiej, którą wypytać chciała.

Coś jej mówiło, że przyjdzie.

W istocie przed zmrokiem wsunęła się stara i uśmiechem na szerokich wargach.

— A co! królowo moja — rzekła — przypatrzyłaś się tej śliczności?

Dżemma nie taiła zachwycenia.

— Prawda! — zawołała — cudnie ładne cacko; ale, gdybym nawet miała ochotę je zatrzymać, cóż powiem królowej, królowi? Zwrócą na nie oczy?

Ochmistrzyni się zadumała.

— Mnie się zdaje — rzekła — że byleś chciała i umiała, król pomyśli że to dar matki, a królowa że dar syna... Nie zmuszą cię do tłómaczenia...

Czulej niż zwykle Włoszka zbliżyła się do Zamechskiej, wdzięcząc do niej jak dziecię pieszczone.

— Ale wy powiecie mi, od kogo ten dar pochodzi? — szepnęła.

— Siądźmy no — odparła ochmistrzyni — ja jestem ociężała, cały dzień na nogach i stać mi trudno. Mam z tobą mówić otwarcie?

Dziewczę głową rzuciło żywo:

— A! proszę cię.

Pochyliła się ku niej Zamechska.

— Miarkujesz, że taki podarek książęcy wielkiej miłości dowodzi. Czy ona tobie miła czy nie, czy za nią zapłacisz lub nie dasz nic... co ci ona szkodzi? Mieć w zapasie miłość mężczyzny, choćby dla przyszłej zemsty... zawsze rzecz dobra.

Kochanek może nie podobać się wcale, ale zda się dlatego!

Westchnęła ochmistrzyni.

— Tobie dziś o tem mówić, wiem że cię oburzy — dodała — ale jam stara, przeżyłam wiele. Wierz ty mi, królów miłość nie trwa długo...

Dżemma się oburzyła.

— Miłość nie równa miłości! — zawołała.

— Tak, moja droga, ale i najgorętsze się kończą, a która z nich najżywiej się pali, tem prędzej w popiół obróci... Króla młodego ożenią.

Włoszka potrząsała głową.

— Przysiągł... nie opuści mnie.

Zamechska zamilkła.

— Powiedz mi tylko, kto przysłał ten podarek? — zapytała Włoszka.

Stara się mocno zakłopotała.

— Jeżeli sądząc z niego, będziesz go szukała wysoko — rzekła — to się omylisz srodze. Człowieczek mały, biedny, ale cię kocha okrutnie.

— Mały! biedny! — powtórzyła Dżemma — i brwi się jej zmarszczyły, a usta dumnie wydęły.

— Mały, biedny... i śmiał oczy podnieść na mnie! — zawołała zcicha wlepiając wzrok w posadzkę jakby w niej szukała słowa zagadki.

Ochmistrzyni przestała mówić.

— Któż taki? kto? — nalegała Dżemma — ja trafić nie mogę...

— Bo nie wiem czyś nawet kiedy na tego biedaka spojrzała, a jednak zawróciłaś mu głowę. Cóżby to było, gdybyś chciała go sobie pozyskać? Naówczas nie spinkę dałby dla ciebie... życie. Mieć człowieka tak oddanego sobie... a! Dżemmo! to coś warto.

Włoszka podniosła się z siedzenia z powagą królowej.

— Dla mnie? — odparła dumnie — ale zapominasz, że ja mam za sobą królowę, która tu jest wszechmocna, i młodego króla, który jeśli nie ma jeszcze w ręku berła, to jutro je mieć będzie! Na cóż mi inni pomocnicy?

— Jeśli ty nie przewidujesz, aby ci byli potrzebni — odezwała się Zamechska — cóż ja ci mam mówić?

— Chcę jednak wiedzieć, kto mi spinkę przysłał! — nalegała Dżemma.

— Dobrze, z jednym warunkiem — rzekła ochmistrzyni — jeśli mi dasz słowo, że ją bądź co bądź zatrzymasz... On żadnej nie żąda wdzięczności, nie, nie!

— Zgoda — wesoło odpowiedziała dziewczyna. — Co mi tam! klejnot bardzo ładny, choćby człowiek co go ofiaruje był brzydki.

— Zgadłaś — odparła śmiejąc się też stara. — Juściż musisz wiedzieć o Petrku Dudyczu?

Krzyk wyrwał się z piersi dziewczyny, która załamała ręce.

Ten śmieszny, niezgrabny, wystrojony na pokaz i pośmiewisko, stary, gburowaty dworzanin, z którego dwór cały drwił sobie... ten, śmiał na nią podnieść oczy.

Gniew i oburzenie nie dało jej mówić. Chciała biedz po pudełko, aby je rzucić pod nogi Zamechskiej, która patrzała na nią cierpliwie.

— Nie gniewajże się! — rzekła. — Słońce i żabom świeci! Śmieszny jest, ale pan całą gębą. Nie jeden z tych, co tu paradują jako magnaci, nie wyrówna mu zamożnością. Możesz z podarku wnosić, że mu o pieniądze nie trudno.

— Ale ja nie chcę znać ani jego, ani bogactw tych — zawołała Włoszka zrozpaczona. — Nie zniosę aby się miał zbliżyć do mnie, nie pozwalam aby na mnie patrzył! Nie, nie...

— Tego trudno mu zabronić — przerwała Zamechska — ale od ciebie on nic nie żąda.

To mówiąc ochmistrzyni, która za pierścień się wypłaciła, wstała, nie chcąc dłużej przedłużać rozmowy. Poszeptała coś cicho Dżemmie i wyszła a spinka została.

Co się później działo z Dżemmą, aż do tej godziny uroczystej, gdy ustrojona, z lutnią w ręku przyjęła wchodzącego po cichu młodego króla, ile razy wzdrygnęły się jej białe ramiona na wspomnienie Dudycza, jak sobie obiecywała przy pierwszej zręczności wzrokiem go spiorunować... jak postanowiła zniechęcić i odstręczyć, opowiadać nie będziemy.

Nazajutrz Petrek wiedział już, że podarek przyjęty został, i zatarł ręce wielce szczęśliwy, jakby mu nie szło o nic więcej.

Ochmistrzyni razem nie kryjąc się przed nim opowiedziała jak go przyjęto — jak dziewczę było dumne, nieprzystępne — i jak mało mógł się po niem spodziewać.

Wszystko to na Dudyczu zdało się bardzo mało czynić wrażenie. Miał jakieś własne swoje pojęcia, plany i rachuby. Dziękował ochmistrzyni jakby mu największą wyświadczyła łaskę.

Z jednej strony rachując na zachowanie dobre u starej królowej, z drugiej na pewne stosunki z ludźmi otaczającemi króla... mając obietnicę umieszczenia u boku młodego pana, wahał się teraz do jakiego obozu przystać było najkorzystniej.

Sympatyi szczególnej nie miał dla nikogo, przedewszystkiem kochał siebie.

Iść pod wodzą pana Bonera przeciwko Bonie i młodemu królowi, mogło coś obiecywać; ale Włoszki się obawiał. Z Boną trzymać? znaczyło że musiał długo czekać nimby Dżemma jej stała się niepotrzebną?

W tej niepewności, jak dawniej tak i teraz pozostał na stanowisku neutralnem, wypatrywać, czekać, a pierwszą zręczność nadającą się zużytkować.

Wiedział, że za kilka miesięcy przybyć miała młoda królowa... Walka rozpocząć się musiała natychmiast po jej przyjeździe, a pociągnąć długo nie mogła, bo Bona powoli działać nie umiała... Król był stary i coraz słabszy... Nie taił przed sobą, że ciernistą miał do przebycia drogę; ale gdy spojrzał zdala na to cudo piękności, które miało być trudów nagrodą i powiedział sobie: Będzie moją!... żadna ofiara nie zdała mu się za wielką.

Wszyscy mieli Dudycza za bardzo ograniczonego człowieka; trudna i niezgrabna jak on sam mowa, jeszcze mocniej przekonanie to utwierdzała — żartowano sobie niemal z jego głupoty. On sam nigdy się za bardzo rozumnego nie miał, ale czuł że teraz jakaś gorączka, na pół ambicyi, pół miłości, nadawała mu siły i rozum jakich nie miał nigdy.

Patrzał na ludzi i zdawało mu się, że ich na wskróś widział i rozumiał, obmyślał plany i czuł że nie były najgorsze. Nie odznaczały się one wymysłami zbyt skomplikowanemi, proste były niezmiernie, lecz znajomość pospolitej natury człowieka służyła im za podstawę. To pewne, że kto na słabości ludzkie, miłość własną i próżność, chciwość, pragnienie zemsty itp. rachuje, ten się rzadko myli.

Dudycz też nie był teraz tak głupim, jak go sądzono.

Parę razy pokazał się przy dworze starego króla, do którego zawsze jeszcze się liczył, nawijał się na oczy Bonerowi i innym, ale nikt go tu ani potrzebował, ani nawet raczył na niego spojrzeć. Poszedł więc na przesmyku czatować, ażali stara królowa okiem na niego nie rzuci, nie powie mu dobrego słowa... Tu mu się powiodło lepiej.

Bona wiedziała wszystko i zdaje się, że miłość śmiesznego Dudycza dla pięknej Dżemmy nie była dla niej tajemnicą, może więc już teraz rachowała na niego, gdy się Włoszki pozbyć będzie potrzebowała.

Znała syna, przewidywała, że miłostki te ostygnąć i skończyć się muszą. Naówczas Dudycz służyć mógł na to, aby się pozbyła ciężaru. Czy z tego powodu, czy że potrzebowała sług wielu, a oderwać ich chciała przeciwnikom, królowa łaskawą twarz okazała Petrkowi.

Przechodząc w parę dni potem około niego, stanęła.

— Masz tam co do czynienia przy królu? — spytała.

— Tam mnie nie potrzebują — odparł Dudycz.

Bona głową skinęła i poszła, ale upłynęło sporo czasu, a zapytanie to żadnych nie wydało owoców.

Petrek regularnie przychodził na zamek, najdziwaczniej ubrany, jakby śmiechy chciał wyzywać, stawał to tu, to ówdzie w oczekiwaniu rozkazów — nikt mu ich nie dawał. Do wieczora męczył się tak błądząc po antykamerach, przysiadając na ławach, ofiarując posługi, których nie przyjmowano; najczęściej późno powracał do miasta, kogoś sobie potrzebnego zaprosiwszy na wino.

Unikano Dudycza, bo jego towarzystwo ośmieszało ludzi, co z nim trzymali, lecz ci co potrzebowali pieniędzy, przypochlebiali mu się. Dudycz, gdy wyrachował że datek się opłaci, dawał choć oszczędnie.

Od czasu ofiarowania spinki pięknej Dżemmie, chociaż Włoszka wzgardliwie, ostro, dumnie patrzała na niego i widocznie unikała — Petrek niezrażony, uparcie się jej nastręczał.

Łajała go czasem — kłaniał się — a nazajutrz miała znowu przed sobą tę niezgrabną postać z małym nosem, szerokiemi ustami i chudym wąsem na przestronnem polu.

Wielce ją to niecierpliwiło, gniewała się, a w końcu Zamechskiej powiedziała, aby Dudyczowi zakazała tego prześladowania.

Mówić do niego o tem, było to groch rzucać na ścianę — słyszał ale nie słuchał.

Spinka była przyjęta.

Dudycz łamał głowę, coby teraz miał posłać takiego, tak pięknego i ponętnego, ażeby Włoszka na żaden sposób odmówić przyjęcia nie mogła...

Wiedział, że drugi podarek trudniej daleko będzie jej narzucić niż pierwszy, a stał przy swojem, że ujmie piękną dziewczynę książęcemi podarkami.

Sam on nie znał się tak dalece na wyrobach kunsztu i nie umiałby był może rozróżnić włoskiej roboty od domowej, ale miał Włocha artystę, którego ujął był sobie. Kazał mu szukać znowu co najprzedziwniejszego klejnotu. Nie zbywało na nich naówczas w Polsce, bo stosunki z Włochami i handel wszelkiego rodzaju wyrobami ożywiły. Z Wenecyi i Genui płynęły tak misterne filigranowe łańcuchy, pasy, naszyjniki, pierścienie. Zwyczaj dawania podarków, przedaż ich zapewniał — wielu możnych miało takie w klejnotach upodobanie, że niemi całe skrzynie napełniało.

Łatwo więc przyszło Dudyczowi, który na to pieniędzy nie żałował, napatrzyć pas filigranowej roboty, tak piękny, iż się ludzie oglądać go zbiegali. Był bardzo drogi, ale Petrek nie dbał o to, chodziło mu aby nie miał równego. Z kolei więc z dziesiątek uproszonych znawców prowadził, aby pas ocenili i powiedzieli jak się im wydaje. Wszyscy uznawali go arcydziełem. Dudycz potargował się trochę, zapłacił i zabrał. Łamano sobie głowy, dla kogo? a że niemłody był i niezgrabny, wyśmiewano się z niego.

Jednego ranka Zamechska zobaczyła go wchodzącego znowu. Zaczął od tego, że po przywitaniu złożył jej w ofierze kilka par drogich naówczas, szytych misternie, wonnych i bardzo ozdobnych rękawiczek. Poznała zaraz, że czegoś od niej żądać będzie.

— W. miłość jużeś raz mi okazała łaskę swoją... ja znowu się cisnę pod jej skrzydła...

— A! panie Pietrze — żywo odparła stara — skrzydeł nie mam, a co się raz udało, to drugi już pewno się nie powiedzie.

Dudycz głową potrząsnął i dobył z pod płaszczyka pudełko, nie mówiąc słowa, otworzył je i pokazał złocisty pas — istne cudo. Zdawał się z cieniuchnych jak włos nici upleciony, wydzierzgany, wyhaftowany. Każde kółko, każde ogniwo, każda cząstka tyle miała w sobie splotów, zgięć misternych, fantazyjnych linij, że oko się w tem gubiło. Jakiej to pracy i cierpliwości, ile czasu było potrzeba, aby z tych cząsteczek tak ślicznie i starannie wykonanych, utworzyć dzieło tak bogate i rozwinięte szeroko?

Zamechska stanęła osłupiała i zamyślona.

— Jak ten człowiek ją kocha! — myślała sobie.

Dudycz uśmiechał się.

— A co? — rzekł — albo dar nie wart królowej? Niech się nim zabawi, ja nic za niego nie chcę, nic... nawet żeby na mnie spojrzała; niechaj tylko wie, żem uparty...

— Ale do czegóż ci to — rzekła zafrasowana Zamechska — kiedy tem sobie serca nie pozyskasz?

— Co w. miłości szkodzi, że się głupi człek durzy? — odparł pokornie Dudycz. — Byle przyjęła, byle się nim opasała, ja więcej nie chcę nic...

— Toć ludzie zobaczą! — zawołała Zamechska.

— Pomyślą, że ją tak król stroi — odparł Dudycz.

— A król?

— Król na to zważać nie będzie.

Ochmistrzyni się wahała jeszcze, gdy Petrek w rękę ją pocałował, pudełko porzucił i poszedł.

Iść z tym darem nie miała stara odwagi.

Dumała i namyślała się długo.

W południe gdy panny wszystkie były przy królowej, stara ochmistrzyni ostrożnie się wkradła do komnaty Dżemmy, pudełko położyła na stole i wyśliznęła się niepostrzeżona.

Wkrótce potem piękna Włoszka wróciła do swego mieszkania. Siadła w oknie odpoczywać, była smutna i nierychło szukając roboty na stole, spostrzegła pudełko.

— Król był i musiał je zostawić! — zawołała klaszcząc w dłonie.

Z niecierpliwością otworzyła i krzyknęła z podziwu i radości. Takiego właśnie coś życzyła sobie — filigranowy ów pas to było jej marzenie!

Ubrała się natychmiast. Tak przypadał jej do pasa, do sukni, do miary, jakby robiony był dla niej. Chciała w nim przyjąć wieczorem Augusta...

Lecz jakież było zdumienie pięknej Dżemmy, gdy August zimno a nawet trochę gniewnie oświadczył jej, że nie on ten pas tu położył, że wcale nie wiedział o nim.

Królowa dać go nie mogła, był zanadto kosztowny, a ona zwykle małemi podarkami zbywała nawet najulubieńszych sobie.

Późno już, niespokojna pobiegła do Zamechskiej.

Ochmistrzyni była do tych odwiedzin przygotowaną.

Włoszce twarz się paliła z gniewu... może nie żeby ją podarek obraził, ale że musiała go odrzucić, nieprzyjąć, a tak szkoda pozbyć się było tej ozdoby, którą przez chwilę miała już za swoją.

Zamechska się zaparła. Nie wiedziała o niczem...

— Może być i najpewniejsza to, że on ci go przysłał — rzekła — nikt inny, ale nie przezemnie. Użył kogo innego... Ja o tem nic nie wiem, a ty siedź cicho. Schowaj go i nie łam sobie głowy.

Rozprawiwszy się burzliwie z ochmistrzynią, Włoszka z pasem wróciła do siebie. W nocy myślała i przemyśliwała długo. Bona, która wiedziała o wszystkiem prędzej, później i o tem się dowiedzieć musiała. Nie pozostawało nic, tylko jej wyznać prawdę i poddać się rozkazom. Ona miała osądzić winowajcę.

Codzień prawie rano królowa sama obchodziła mieszkania żeńskiego dworu swojego, gdzie nic jej oka nie uchodziło. U Dżemmy siadała czasem odpocząć chwilę, ta była w łaskach teraz.

Zaledwie królowa zajęła miejsce zwykłe, gdy Dżemma u kolan jej uklękła. Miała skargę, żal wielki do powierzenia swej pani. Opowiedziała otwarcie o zabiegach Dudycza, o tem zuchwałem narzucaniu podarków, prosiła o karę na przestępcę.

Zimno wysłuchała opowiadania Bona i kazała sobie poprzód pokazać klejnoty, na których widok okrzyk zdumienia z ust się jej wyrwał. Umiała doskonale ich wartość ocenić. Potrząsała głową i śmiech szyderski zakończył wykrzykniki i pochwały.

Gniewu nie okazała najmniejszego.

— Schowaj to — rzekła — nigdy podarków, zwłaszcza tak pięknych i kosztownych, odrzucać nie należy. Co ci to szkodzi, że stary szaleje za tobą!

— To mi dokucza! to niemal mnie śmieszną czyni! — odezwała się Dżemma. — Ściga mnie oczyma, chodzi za mną, miłość jego mi uwłacza.

Bona słuchała zimno.

— Chcesz się go pozbyć na czas jakiś?

— A! radabym na zawsze — odparła Dżemma.

Dziwnie spojrzała na nią królowa.

— Nie zważaj na niego — dodała — tymczasem ja się postaram o to, abyśmy z Krakowa go się pozbyli! Naganić mu nie mogę, że się w tobie kocha... miłość wszelką przebaczyć potrzeba. Szkoda, że tak brzydki i stary.

Łzy stanęły w oczach Dżemmie.

— A! ja żadnej miłości, nikogo na świecie nie potrzebuję — odezwała się.

Bona wstała nie odpowiadając jej na to, przeszła w milczeniu komnaty i zostawiła ją samą.

Wieczorem Dudycz stał na przesmyku, aby się królowej pokłonić i przypomnieć, i sądził że go pominie jak zwykle, gdy Bona zatrzymała się i skinęła aby się zbliżył.

— Przyjdziesz do mnie jutro rano!

Miało-li to oznaczać łaskę, czy przeciwnie, skarcenie może — nie odgadł Dudycz. Twarz starej Włoszki nie zdawała mu się zbyt gniewną. Łamał sobie głowę domysłami, i raniuteńko był w przedpokoju.

Tu czekać musiał dosyć długo, nim go, po innych wielu, wpuszczono.

Bona siedziała w swem rannem poduszkami ostawionem krześle ogromnem, z głową zawiniętą czarną chustą koronkową, z nogami wyciągniętemi na wysłanym wysoko podnożku, w rękach przebierając papiery, któremi stół przy niej stojący był zarzucony.

Szydersko popatrzyła na strwożonego nieco Dudycza, który na to ranne posłuchanie ustroił się równie pretensyonalnie i dziwacznie jak zwykle na pokoje. Strój ten od fizyognomii zestarzałej i brzydkiej odbijał w sposób rażący, czyniąc ją śmieszną.

W chwili gdy się spodziewał napomnienia może, Petrek usłyszał głos dosyć łagodny.

— U króla nie masz pono co robić — rzekła — jest ich tam bez ciebie dosyć; a mnie trzeba pewnego posła. Prosiłam aby mi cię użyć pozwolono.

Pojedziesz z listem.

Tu królowa jakby naumyślnie się wstrzymała. Pojedziesz z listem, mogło oznaczać zarówno kilkomilową podróż i najdłuższą w świat wędrówkę. Dudyczowi opuścić teraz Kraków było tak okrutnie trudno! Lecz królowej się sprzeciwić, starać wymówić nie było sposobu. Najmniejsza rzecz ją obrażała... Dudycz się skłonił.

— Pojedziesz z listem — powtórzyła po chwili.

I znowu nastąpiło drażniące niepewnością milczenie. Stał biedny ale jak na żarzących węglach.

Dokąd miał jechać.

— Przygotuj się do podróży — dodała Bona —a potem przyjdź po list. Pojedziesz do Wiśnicza do Kmity, lub gdziekolwiek on jest, bo i w Przemyślu może przyjdzie go szukać. Musisz mi przywieźć odpowiedź...

To powiedziawszy królowa, wzięła papier inny, a Dudycz wyszedł oddychając wolniej. Podróż do Wiśnicza była bardzo małą przejażdżką, a w każdym razie Kmita nie mógł być daleko.

Cały dzień ten Dudycz poświęcił swemu wyborowi w drogę. Nadchodziła zima, czas był do jazdy niezbyt miły, ani też wygodny — ale odległość nie wielka. O Kmicie, gdzieby on był, naówczas w Krakowie z pewnością się dowiedzieć nie mógł. Mówiono różnie...

Dudycz w każdym innym razie mógł śmiało wycieczkę tę odbyć z jednym konnym sługą, ale jako poseł królowej i jako możny człowiek pragnął przyzwoicie wystąpić. O ile dotąd skąpił i łatał stare opończe (które zamknąwszy się sam na sam i teraz donaszał), o tyle jako zbogacony ziemianin krakowskiej ziemi, a przyszły mąż pięknej Włoszki, pragnął świetnie się okazywać, aby nikt nie wątpił, że do możnych należy. Jak cię widzą tak cię piszą, powtarzał sobie.

Zamiast więc jednego pacholika, brał jezdnych pięciu i rodzaj jednostajnej barwy, jednakie rzędy na konie, oręż itp. musiał im obmyśleć. Na rzeczy szedł wóz okryty skórami, w którym mieściło się co potrzebnem było do podróży i dla wystąpienia na pokojach.

Kmitę znał dotąd Dudycz z tego wielkiego rozgłosu jaki miało jego imię, z opowiadań które o nim krążyły, zdaleka go widując gdy w Krakowie przebywał. Chociaż z listem tylko od królowej jechał do niego, przystęp do człowieka takiego, jakim głoszono Kmitę, wcale tak prostą rzeczą, jak się wydawało, nie był.

Kmita już naówczas był jedną z najwybitniejszych, najgłośniejszych osobistości w Polsce, którą jedni wynosili pod niebiosa, drudzy czynili warchołem zuchwałym i niebezpiecznym.

On i hetman Tarnowski, nieprzejednani wrogowie, wiedli z sobą walkę, która o ile hetmanowi była obrzydłą i nieznośną, o tyle Kmicie dogadzała, bo go podnosiła.

Można powiedzieć o tym panu, że on pierwszy w nowszych dziejach wewnętrznych Polski uosabiał całą butę zuchwałą magnata-szlachcica, ze wszystkiem co ona miała w sobie szlachetnego i zgubnego. Nienasyconej ambicyi, niezrównanej dumy, wszędzie i zawsze pragnący być pierwszym, Kmita nie wzdragał się sobie do tych stopni, których chciał dosięgnąć, drogę torować mieczem i krwią. Gdzie nie mógł dojść godziwemi środkami, gotów był dobijać się sposobami najniegodziwszemi. Miał czy nie słuszność, kto mu się opierał, zwyciężyć musiał, bodaj to niewiem co kosztować miało.

Dla rozgłosu, dla sławy, dla potęgi, tak samo ponosił ofiary czyniąc dobrze, pomagając ludziom, zakładając klasztory, wyposażając duchownych.

Lecz z drugiej strony, po nadaniach dla kościołów i zakonów, nazajutrz przez chciwość, bo był żądny grosza zawsze, zabierał dziesięciny, zajeżdżał pola, grabił majątki duchownych.

Pieniądze jednego dnia rozrzucał z marnotrawnością niezmierną, nazajutrz rabował najcyniczniej.

Czysta, wspaniała, bohaterska postać spokojnego hetmana Tarnowskiego, górująca po nad innemi tego czasu, ten ideał wodza i obywatela, był dla niego solą w oku.

Obok Tarnowskiego postawiony, w istocie musiał się wydawać Kmita przy całej swej potędze magnata, jakim został po śmierci brata, warchołem tylko i awanturnikiem.

Gdyby nawet zmienił obyczaj później i nabrał potrzebnego umiarkowania, wspomnienie wybryków młodszych lat ciężyłoby na nim i prześladowało go. Ale ani temperament wiekiem nieposkromiony, ani nałogi nabyte, ani naostatek ludzie, któremi się otaczał, nie dozwalali mu się odmienić.

W Przemyskiem drżało cokolwiek z nim sąsiadowało i teraz... a dwór Kmity, złożony z ludzi po większej części wywołańców, znano niemal jako szajkę rozbójniczą. Nie było między niemi ani jednego, któryby głośnym nie był z kilku popełnionych morderstw — ni jednego, któryby opuszczony przez Kmitę nie godził się pod miecz katowski. Protekcya i osłona marszałka dawała im jednak bezpieczeństwo. Rozumie się, że on życie ich trzymając w swem ręku, rozporządzał też niemi jak chciał, i że na rozkaz jego musieli być na wszystko gotowi. Dla pokazania mocy swojej, Kmita tak samo teraz dawał na dworze schronienie wszystkim, co byli w walce z władzą duchowną i kościołem. On się opiekował Orzechowskim ożenionym, on wychowywał Marcina z Opoczna i Krowickiego. Nie zrywał z katolicyzmem jednakże, liczył się do gorliwych nawet, lecz gdy szło o popis potęgi, gotów był na wszystko. Jemu bezkarnie uchodziło najpoczwarniejsze urąganie się z prawa.

W człowieku tym, jak w wielu jemu podobnych, było dwu ludzi: jeden gładki, okrzesany na cesarskim niegdyś dworze, postacią piękną i pańską, słodką mową ujmujący — drugi rozpasany, dziki, niepohamowany.

W Krakowie, w pośród magnatów i książąt, otoczony świetnym dworem, który żadnemu innemu nie ustępował, Kmita należał do tych wybranych wychowańców zachodu, ówczesną Polskę najwytworniejszym dworom europejskim czyniących równą i podobną. Tu tylko olbrzymia duma mogła go odróżniać od uczniów innych akademij włoskich, od dworzan królów rzymskich i cesarzów, bo miała w sobie coś dzikiego niemal.

Zupełnie innym znowu był Kmita u siebie w domu w Wiśniczu, na łowach, we dworach swoich w Przemyskiem, gdy go otoczyli owi osławieni Szczerbowie, Pełkowie, Rozborscy, Kumelscy i Odolińscy.

Kmita z niemi zapominał się, zrzucał swe dostojeństwo i rozpasywał w ucztowaniu, które się często krwawo kończyło.

Biesiad tych pamięć pozostała długo... On sam może ich się wstydził, lecz wyrzec się nie umiał. Skąpy, nienasycony w chciwości złota, przy stole gdy się napił, rozsypywał je, rozdawał ziemie, marnotrawił co wczoraj wydarł i w towarzystwie zbójów dziczał a szalał. Następowało potem obrzydzenie ich i samego siebie, lecz kto się raz związał z takiemi ludźmi, temu pozbyć się ich, mimo ohydy, trudno. Kmita zresztą ich potrzebował tak jak oni jego, bo ambicya, współzawodnictwo z Tarnowskim, mnodzy wrogowie, jakich sobie życiem przysporzył, pokoju nie dawały. Musiał się bronić — gwałt jeden wywoływał drugie.

Dudycz wybierając się do Wiśnicza, myślał o tem wszystkiem co kiedykolwiek słyszał o Kmicie, nie był bez pewnej trwogi tego spotkania się z faworytem i powiernikiem królowej; a byłby daleko mocniej się frasował, gdyby mógł przeczuć co wiózł pod pieczęcią w liście Bony...

Było w nim pozdrowienie, kilka słów niełatwych do zrozumienia i żądanie do marszałka, aby przywożącego list starał się przez czas jakiś zatrzymać u siebie, choćby pod pozorem odpowiedzi.

Królowa, chcąc Dżemmę oswobodzić od natrętnego wielbiciela, wyprawiła go, a do instrukcyi należało, jeśliby Kmity nie znalazł w Wiśniczu, jechać za nim tam, gdzie się mógł znajdować.

Z osławionej gromady Kmitowczyków, Dudycz znał kilku. Pełka, Janko i Piotr Biały gościli u niego niegdyś w pobliżu Wieliczki i był z niemi dosyć dobrze. Na te stosunki z dworem marszałka liczył też Petrek wiele.

Nie dojechał jeszcze do Wiśnicza, gdy na nocleg zaciągnąwszy do gospody we wsi Kościelnej, gdy konie zobaczył wierzchowe u żłobu, a rozpytywać począł czyjeby były, dowiedział się, że w izbie u żyda w betach leżał ranny właśnie ten Pełka, którego znał dawniej.

Na rękę mu było dowiedzieć się coś od niego, wszedł więc do alkierza, z którego gwałtem wyrzuciwszy rodzinę gospodarza, rozgospodarował się w nim Jacek Pełka. Z poduszek i pierzyn, w które się zaszył sławny rębacz i zbój, ledwie wąsata a wygolona głowa wyglądała i oczy w niej krwią zabiegłe. Nie poznał go zrazu jęczący od ran sługa Kmity, dopiero gdy mu się Dudycz przypomniał, spojrzał nań łagodniej.

Drugi dzień temu na popasie tu Pełka zjechawszy się z dwoma ziemianami, gdy o postawienie koni do sporu przyszło, dobywszy szabli głowę mając zapruszoną, tak się zciął z niemi, że padł na ziemię krwią zlany. Uciekli oni wiedząc z kim mieli do czynienia, a Pełka musiał czekając na wóz położyć się w gospodzie, ledwie rany poobwiązywawszy.

Zaczął więc rozmowę od opowiadania i wyklinania tych, co się ośmielili napaść odeprzeć i klął się, że oba dwory popali, a ich powiesza.

Nierychło się Dudycz mógł od niego coś dowiedzieć, oznajmując, że z listem od królowej jedzie do Kmity do Wiśnicza.

— Darmo go tam nie szukaj — odparł Pełka. — Wybrali się z Rozborskim nad San, ziemian uczyć rozumu. Kupa ich pociągnęła duża i że zwycięzko wyjdą a na swem postawią, wątpliwości nie ma; ale potem tryumfy obchodzić będą i jak ucztować poczną, nierychło się wytrzeźwią, by do Wiśnicza mogli powrócić!

Dudyczowi wcale nie smakowało gonić za tą wyprawą, do której czynnie się mięszać nie chciał, bo z Kmitą idąc mógł też łatwo za niego oberwać. Wolałby był oczekiwać na marszałka w Wiśniczu, lecz rozkaz królowej był wyraźny.

Wątpić o tem, co Pełka powiadał, nie miał najmniejszej przyczyny; nikt nad niego lepiej wiedzieć i przewidywać nie mógł, gdzie się Kmita obraca.

Trzeba więc było ciągnąć nad San, dalej, a choć rad był spełnić polecenie królowej jak najrychlej, iść w ogień nie miał ochoty. Postanowił więc ciągnąć dalej, nie śpiesząc zbytecznie, opiece Opatrzności się polecając.

Pełka, któremu w betach żydowskich z ranami tęskno było, zmusił go niemal dzień z sobą pozostać i musiał z nim warcabami się zabawiać a na rybie po żydowsku poprzestać.

Za to dalszą drogę mu tak dobrze wytknął Jacek, iż nie potrzebował już rozpytywać nikogo. Pełka bywał w tych wyprawach przemyskich nieraz, znał drogi, był pewnym że Kmita innemi się nie uda. Zyskał więc Dudycz zawsze na spotkaniu, a że nazajutrz i wóz po Pełkę nadciągnął, pomógłszy go w nim umieścić, kabłąki przymocować i okryć — sam, w imię Boże, ruszył tropem Kmity ku Sanowi.

Jechał Dudycz smutny bardzo, choć miał raz pierwszy w życiu tę przyjemność, że po drodze go, dla towarzyszącej pokaźnej kawalkaty i wozu, z pewnem poszanowaniem przyjmowano.

Drogi były okropne, pora najprzykrzejsza w roku. Przejście z jesieni do zimy, z zimy do wiosny, zwłaszcza w tych latach, gdy zima nie ostrą ma być i niełatwo się ustala, w naszych krajach nieznośnem się staje. Mróz naprzemiany z wilgocią, błoto z grudą, śnieg z deszczem, wichry gwałtowne, czas ten najmniej sposobnym do podróży czynią. A że Dudyczowi nietyle może siebie (zahartowanym był) ile koni paradnych żal było, wlókł się więc opieszale.

Zbliżając się ku teatrowi owej wyprawy na krnąbrnego sąsiada, Dudycz dostał wcześnie języka o Kmicie. Głośnym on był na dalekie przestrzenie, bo się nie obeszło, aby i sąsiadom sąsiada i powinowatym a przyjaciołom nie dostało się, gdy Kmita moc swą chciał okazać. Drżeli więc i dalsi obawiając się, aby mu droga kędy nie padła około nich.

Jak się spodziewać było można, głoszono, iż Kmita a raczej Rozborski, bo marszałek wyprawiał go ze Szczerbą tam, gdzie trzeba było ścisnąć i wieszać a palić, sprawiedliwość już sobie uczynił, że dwu ziemian ubito, nowe granice pozarąbywano i kopcami obsypano, i że wkrótce wszystko być miało skończone.

Na ostatek prawie do miejsca krwawych tych zajść dotarłszy, nazajutrz Dudycz spodziewał się spotkać z Kmitą. Dzieliło go od niego parę mil tylko.

Drugiego dnia gdy z noclegu ruszył, niespodzianie zerwała się śnieżna zawieja, i Petrek tak dobrze pobłądził, że, gdy się z południa rozjaśniło, znalazł się w tem samem oddaleniu od Kmity jak był zrana. Złożyło się więc, że go albo wieczorem chyba w jego własnym dworze w Sanicy znajdzie, lub przybycie do rana odłoży. Tymczasem nocować z końmi nie było gdzie, pod noc więc ciągnąć musiał.

Po drodze już Rozborskiego i Szczerby widome ślady były... Tam gdzie stał dwór szlachcica sąsiada, około którego przechodził gościniec, natrafił Dudycz na świeże, dymiące jeszcze zgliszcza, a nad samą drogą kilka trupów leżało. Wilcy je nocą poszarpali okrutnie. Widok był przerażający, bo oprócz tego na dwu drzewach trupy wisielców wiatr okręcał. Ze wsi, ze dworu, wszystko co żyło w lasy zbiegło, psy tylko wyły w pustkach i opalonych płotach i ścianach.

Dudycz wiedział bardzo dobrze, iż tak srodze pokarany ziemianin innej winy na sobie nie miał, oprócz że własności swej przeciwko silniejszemu panu bronić próbował.

Petrkowi nader było niemiłem zawsze gdzie się dwu za łby brało, ze swoim przybywać, którego bronił i szczędził — i tu po nim ciarki przeszły, myśląc, czy aby ta rzecz była skończona, a do nowych zapasów nie przyjdzie?... Lecz do Sanicy bądź co bądź zdążać na nocleg musiał.

Na noc się zbierało, gdy chłopek powracający z lasu, wskazał Dudyczowi wieś dużą i dwór zdala światłami gorejący, w którym Kmita się miał znajdować. Podjechawszy bliżej okazało się jakby na prędce we dworze rozbite obozowisko, moc wielka wozów, koni, ludzi i spędzonego bydła.

Zaledwie tentent koni Dudyczowych tu posłyszano, czy się napaści lękano, czy odwetu, ruszyło się wszystko z wrzaskiem ogromnym, i możeby z bronią w ręku przywitano gościa, gdyby Dudycz jednego ze swoich nie wyprawił przodem z oznajmieniem, że poseł od królowej z listem jechał, nie kto inny.

Uspokoili się tedy upojeni i rozpasani żołnierze Kmity, a Dudyczowi na podwórze wrota otwarto. W niem jednak i dokoła w zabudowaniach, szopach, pod płotami, gdziekolwiek daszek był, taki tu ścisk znalazł, iż ani się było myśleć umieścić.

Dwór cały stał rzęsisto oświecony, a gwar, śpiewy i brzękanie dzikiej muzyki słychać z niego było. Z ludzi, którzy naprzeciwko przybywającemu wyszli, ani jednego Dudycz trzeźwym nie znalazł. Wpadłszy w ten wrzątek, niedobrze wiedział co miał począć, gdy naprzeciwko niemu wyszedł znajomy, cioska jego Piotr Biały.

Biały był jednym z najzapamiętalszych zbójów u boku Kmity. Małego wzrostu, krępy, z krzywemi nogami, zajadła bestya, który ani swojej ani cudzej krwi nie żałował; słynął z tego, iż z okrucieństwem łączył dzikie szyderstwo, i zabijając ryczał ze śmiechu. Kto Białemu popadł w ręce, nie mógł się litości spodziewać. Potrzeba było kata, Biały się ofiarował męczyć i uśmiercać.

Wychodzący w przedsień, gdy Dudycz zsiadał z konia, poznał go Biały i krzyknął z podziwu.

— Co! tyś się tu zawieruszył!

— Królowa mi listy zwierzyła i kazała szukać z niemi marszałka.

Biały się zadumał.

— Toś go znalazł — rzekł — ale chyba dziś do niego nie przystąpisz. My do przyjmowania posłów nie gotowi. Pan nasz odpoczywa, a nie lubi, żeby mu dobrą myśl przerywano.

— Dajcież mi aby posłanie gdzie w ciepłej izbie i gdzie konie postawić — odparł Petrek — jam też zmęczony, poczekam chętnie do jutra.

Skinął na niego Biały. Weszli wewnątrz dworu, którego wszystkie izby pełne się być zdawały, a wrzawa w nich i krzyki panowały takie, jakby żaden dygnitarz się nie znajdował, ale rozpojone żołdactwo tylko. Nikt na nowo przybywającego nie spojrzał. Przez sień przeprowadził go Biały do ciemnego ganku, a z niego do pustej komory, podobno jedynej w której nikogo nie było, bo ciasna nie nadała się do ucztowania. Przytykała ona jedną ścianką nie bardzo szczelną do ogromnej izby, w której Kmita ze swemi ulubieńcami już drugi dzień za stołami siedział.

Przez szpary Dudycz nietylko słyszeć mógł ale widzieć wszystko co się tu działo. Na spoczynek i nocleg kąt był nieosobliwie dobrany, lecz gdy innego nie miał, musiał się Petrek nim zaspokoić. Biały mu tu obiecał przysłać wszystko czego mógł potrzebować, aby głodnym nie był i położyć się miał na czem. Oprócz tego zapewnił, że o ludziach, służbie i koniach mieć będą staranie. Nakoniec rzekł.

— Kto z obcych naszego pana zobaczy takim, jakim on teraz jest, temu on tego póki żyw nie daruje i nie zapomni. Jutro gdy go widzieć będziecie, strzeżcie się mu dać poznać, żeście cokolwiek tu widzieli lub słyszeli.

To mówiąc, Biały palec podniósł i pogroził Dudyczowi, który i bez tego już był dość nastraszony.

Nocleg wprawdzie miał pod dachem i w dosyć ciepłym kącie, a wkrótce potem przyniesiono mu kawał pieczeni sarniej, misę klusek i spory dzbanek wina; ale to co go otaczało, nie dawało spokojnie się posilić. Dwór drżeć się zdawał od tego co się w nim działo. Tuż przez cienką ścianę Kmita dokazywał ze swemi, a Dudycz, który za młodu był nawykły nieraz się znajdować wśród pijanego tłumu robotników z żup w Wieliczce, parobków, woźnic i najdzikszej gawiedzi — choć oswojony z tem bladł ze strachu, takie wrzaski, śpiewy, kłótnie, krzyki o uszy się jego obijały. Było to istne piekło.

Ostrożnie i z obawą Petrek wyszukał sobie szparę, przez którąby mógł przypatrzeć się temu sabatowi zbójów, i przyłożywszy oko do ściany, już go nie mógł oderwać.

Sala była wielka, a raczej szopa prosta na grubych słupach drewnianych sparta, oświecona pochodniami, których płomień dymiący czerwonem światłem oblewał biesiadujących u ogromnego stołu zastawionego w pośrodku niej.

Kmity zrazu spostrzedz nie mógł.

Siedział w końcu, nad stołem biesiadników, na podwyższeniu okrytem suknem szkarłatnem, w krześle nakształt tronu, mając przed sobą stolik osobny, bogato zasłany obrusem szytym złotem. Na dwu mniejszych stołach po bokach ustawione były naczynia srebrne i beczułki takież, konwie, dzbany i kubki.

Rozparty w krześle swem, na pół leżąc marszałek, okryty delią futrem podbitą, w kołpaku sobolim z kitą, którego nie zrzucił z głowy, zwrócony był ku biesiadnikom.

Twarz jego piękna, szlachetnych rysów, ale płonąca ogniem, zaczerwieniona, lśniąca od potu, z oczyma jakby łez pełnemi i iskrzącemi się razem namiętnością, miała wyraz niesłychanej dumy i siły. Ręką jednak trzymał się w bok i z góry spoglądał na swych współbiesiadników. Dwóch z wygolonemi głowami wyrostków za podniesieniem, na którem on siedział, stało tuż, gotowi do spełnienia rozkazów; stary, chudy, bogato odziany, z łańcuchem na szyi marszałek jego dworu, za niemi na straży.

Na jedną chwilę nie spoczywał Kmita. Rzucał się na siedzeniu, rękami w powietrzu ciągle coś wskazywał, krzyczał, dawał rozkazy, zrywał się, padał na siedzenie, pił, nalewać dawał kubki i to je rozsyłał współbiesiadnikom, to sam spełniał a raczej pochłaniał żarłocznie.

Lice mu się paliło, ręce drżały, oczy piorunowe rzucały wejrzenia, był jakby w gorączce jakiejś szalonego wesela i rozpasania... Dudycz słyszał nieraz o tych ucztowaniach Kmity najczęściej krwawo się kończących, lecz nic podobnego nie mógł wyobrazić sobie. To co widział przechodziło jego pojęcie.

Strach go ogarniał patrząc, i choć ściana dzieliła od Kmity, obawiał się oczów podnieść ku niemu, zwłaszcza gdy dostrzegł miecz obnażony, który miał tuż pod ręką.

Niżej nieco przy stole zasiadali wodzowie i ulubieńcy Kmity, jego zemsty posługacze, katy i zbóje, dla których nic świętego nie było.

Każdy z nich, jak mówił Rozborski, na rodzonegoby ojca się rzucił, gdyby mu Kmita go wskazał.

Twarze też tych ludzi, oprócz Kumelskicgo, powiadały od razu co zacz oni byli.

Na każdej z nich wycisnęły się długie lata życia tego, pomiędzy mieczem kata a zbójectwem, bez nadziei powrotu do spokoju i do pospolitego trybu ludzi. Wiedzieli oni wszyscy, że żaden z nich śmiercią swą w łóżku nie umrze, ale gdzieś padnie w walce, albo na dnie wieży zgnije.

Żaden z tych wodzów nie miał domu, w którymby mógł choćby jedną noc bezpiecznie przepędzić. Ci, którym Kmita dawał u siebie schronienie, bez broni stąpić nie mogli i bez straży; ci, co jak Rozborski mieli własne wioski, gośćmi się w nich tylko ukazywali.

Kumelski różnił się od nich powierzchownością mogącą oszukać, choć od innych lepszym nie był. Natura dała mu pozór osobliwy pieszczonego papinka, eleganta, człowieka co na dworaka grzecznego wyglądał, choć zbój był srogi, a okrutnik od innych sroższy.

W ręce Kumelskiego się popaść, znaczyło dostać się człowiekowi, który męczył dla przyjemności znęcania się i wyciskania krzyków boleści.

Czynił on to z udaną grzecznością, z szyderstwem, z zaciętością szatana. Ale kto go widział wystrojonego na dworze Kmity, z rękawiczkami u pasa, z beretem na uchu, we

włoskich kosztownych sukniach i łańcuchach, z ustami słodyczą namaszczonemi, wątłego na pozór i delikatnego, brał go za stworzenie bezsilne i wyżyte.

Tymczasem żelazną wytrzymałością tak samo jak okrucieństwem Kumelski innych przechodził. Był to ulubieniec Kmity, robił z nim marszałek co chciał, bo ten każdą rolę odegrać potrafił.

Inni, począwszy od Białego, dwaj Szczerbowie, Pełka, Baranowski, Odoliński, Jurko, na policzkach posiekanych krwawemi bliznami pozapisywane mieli lata swej służby u Kmity.

Za niemi dalej zajmowali miejsca wychowańcy, młodzież, która się pod wodzą tych nauczycieli usposabiała na toż samo życie zbójeckie.

To także była okrutna i niezbłagana gawiedź na wszystko gotowa, aby dowieść, że już była dojrzałą i że na własną rękę puścić ją było można.

Ogromne płótnem poobwijane deski, na których leżały pieczone mięsiwa, poobrzynane ze wszystkich stron przez biesiadników, zajmowały stół, zastawiony oprócz tego misami z polewką, kaszą, kluskami, owocami, serem w dużych gomółkach i twarogiem. Dzbany gęste przy każdym prawie z biesiadników stały pod ręką, a oprócz nich Kmita, to temu to drugiemu posyłał od siebie nalany przedniejszem winem kubek srebrny, często kosztowny, który spełniwszy biesiadnik śmiejąc się chował pod ławę i nie powracał już więcej.

Niektórym rozochocony Kmita, dowodząc jak im wdzięczen był, posyłał dzbany i misy. Przed jednym nawet stało półmisię pełne złotych pieniędzy.

Skąpy pan, gdy się przy biesiedzie rozraczył, nierzadko tysiące rozposażał, czego potem żałował. Zbóje umieli z tego upojenia jego korzystać i po całych dniach i nocach go strzymywali u stołów.

Kmita, który w towarzystwie dostojniejszem, z cudzoziemcami umiał się znaleźć po pańsku, dobierać słów i okazać żeć przecie nie darmo dworował przy cesarzu, tu się zdawał lubować w mowie rozpustnej, dzikiej, bezwstydnej. Najpospolitsze łajania witał uśmiechem, a gdy się gbury z sobą waśniły i porywały do siebie, przyklaskiwał im, jątrzył, pokaleczonych dopiero każąc rozrywać; przy stole też co chwila powstawały takie pojedynki słów i grożono sobie pięściami, a na pokrwawionych twarzach nie zbywało.

Dudycz przyległszy do ściany, z początku ani wyraźnie nic rozeznać nie mógł, ani w tej wrzawie coś dosłyszeć. W oczach mu się ćmiło i w głowie zawracało.

Gdy hałas zbyt był wielki, naówczas marszałek stojący za Kmitą, z jego rozkazu podnosił laskę swą białą do góry i po kilkakroć uderzał nią silnie o ziemię — cisza powoli wracała.

Biały właśnie przystąpił do pana z doniesieniem, ale Kmita nic posłyszeć nie mógł. Nakazano uciszyć się wrzawie.

Dudycz naówczas mógł wyraźnie rozmowę usłyszeć.

— Dworzanin przybył z Krakowa od starej królowej — odezwał się.

Namarszczył się Kmita.

— Aż tu? — krzyknął — potrzeba mu było mnie gonić? Nie mógł to czekać w Wiśniczu?

— Pono miał takie rozkazy — rzekł Biały.

— Czegoż to stare babsko chce odemnie? — zapytał pogardliwie marszałek. — Spokojnie chwili usiedzieć jej trudno.

Coście z tym posłańcem zrobili? kto on taki? — zapytał Kmita.

— Dworzanin starego pana, Dudycz, stary też.

Marszczył się Kmita.

— Dać go było na folwark gdzie, aby mnie tu nie podpatrywał. Pyski mają rozpuszczone sługi królewskie.

— Schowałem go do kąta, zmęczony jest — dodał Biały — nie macie się miłość wasza co troszczyć o to. Rad że spocznie.

— A list królowej? — kwaśno zapytał na pół podnosząc się Kmita.

— Mówił mi, że go do własnych tylko rąk miłości waszej zdać może — odezwał się Biały.

Wiadomość o przybyciu Dudycza, która ochotę przerwała, nie w smak była marszałkowi. Twarz jego przybrała wyraz posępny i prawie gniewny.

Chciał już odchodzić Biały, gdy się zwrócił ku niemu.

— Mówiłeś z tym posłańcem? — spytał — nie przywiózł on jakiej wiadomości?

— E! nic tam pewnie nowego nie ma — rzekł Biały — oprócz tego co nam wiadomo, że małżeństwo młodego pana postanowione, i że stara królowa się niem gryzie.

— Hę! — krzyknął Kmita — ona się gryzie? powiedz lepiej, że zagryzie młodą tę owieczkę, gdy ją tylko szponami swemi dosiądz potrafi. Oh! dostać się w ręce Bonie...

I rozśmiał się dziko.

— Kumelski jej nie zrówna! — dodał spoglądając ku rozpartemu nieopodal wystrojonemu ulubieńcowi.

Ten skromną przybrał postawę.

Przymusowa cisza trwająca około stołu, gwałtowne to zamknięcie ust wszystkim, powiało jakimś chłodem po biesiadnikach i odbiło się nim na Kmicie, któremu ta przerwa dała się czuć dotkliwie.

— Katby ją porwał tę starą babę — zawołał — z jej listem i posłańcem... nie daje mi spocząć tu nawet i zażyć uciechy, jaka mi należy.

Nieuszanowanie, z jakiem się odzywał o królowej Kmita, choć był jej sługą i liczył się do zaprzedanych zwolenników, zdumiało bardzo Dudycza. Zdało mu się niepojętem takie lekceważenie tej potęgi — osłupiał.

— Zabawną komedyę będziem mieli na dworze — począł Kmita głośno — dwie królowe! Stara jak szatan zła, jak on zazdrosna, z trzosem nabitym, z Gamratem i całem wojskiem sług i służek z jednej strony; z drugiej stary król zmęczony i młoda dzierlatka, obca tu, nieoswojona... a po której stronie stanie młody król August, hej! któż to zgadnie?

Śmiał się Kmita.

— Hm — dodał — my żołnierze, a gdzie wojna się toczy, choćby między babami, zawsze się coś upiecze dla wojska...

Gdy to mówił Kmita, wrzawa, która była ustała, w drugim końcu stołu na nowo się powoli wszczynała, a że biesiadnicy wszyscy nietrzeźwi byli, wkrótce rosnąć i wzmagać się jęła tak, że Dudycz reszty słów Kmity dosłyszeć nie mógł.

Dolatywały go tylko nadzwyczaj zuchwałe wykrzyki przeciwko Bonie i Włochom i wyśmiewanie się ze starego króla, które go zgorszyło wielce.

Cóż to się dziać musiało gdzieindziej, gdy tu na dworze przyjaznego Bonie pana, który stronę jej trzymał jawnie, tak sobie pozwalano?

Dudyczowi, przypatrującemu się biesiadnemu stołowi, jeść i pić się odechciało, o spoczynku, którego tak pragnął, zapomniał. Prawda że o ścianę od tych burzliwych biesiadników, sen był trudny.

Krzyki ich, tupanie, bicie kułakami o stoły, szczęk naczyń, padających mis i dzbanów, tłuczonych kubków i szklanic, śpiewy dzikie, śmiechy do ryczenia podobne, zlewały się w jeden chór szatański, który uszom Kmity wcale się nie zdawał dolegać. Nie bronił swoim przyjaciołom tak się tu znajdować jak im się zachciało. Dopiero gdy do bójki przyszło na dobre, występowali rozjemcy i gwałtem rozrywali pobitych, bo nigdy zawczasu nie zapobieżono porywającym się do siebie.

Noc była późna bardzo, gdy naostatek stojącemu u szpary Dudyczowi nogi się poczęły uginać, i musiał rzucić się na przygotowane mu posłanie. Była to garść słomy, siana i skóra wytarta niedźwiedzia.

Znużony, wylękły legł Petrek, nie zapomniawszy pacierza, gdyż nie bardzo się tu czuł bezpiecznym, i Bożej opiece chciał się polecić.

Położył się myśląc, że mimo hałasu ze zmęczenia zasnąć potrafi, ale czy ono nie było jeszcze tak wielkie, czy wrzawa zbyt okrutna, oczu zamknąć nie mógł, kleiły mu się stokroć do snu, ale natychmiast łomot jakiś lub krzyk przerażający budził, a gdy naostatku drzemać zaczął, dostał jakby gorączki i zdało mu się, że go zbójcy napadają, a on bronić się im musi. Rzucał się i krzyczał też w niebogłosy, ale nikt go szczęściem posłyszeć nie mógł.

Przez całą noc do białego dnia trwało to ucztowanie szalone, i Kmity głos towarzyszył mu do końca. Zwolna wreście uciszać się zaczęło, Petrek zasnął.

Gdy się obudził, zobaczył nad sobą stojącego Białego z palcem na ustach.

— Wstawaj a żywo — rzekł do niego — odziej się, bo przyjdę po ciebie abym do pana zaprowadził.

Pacholę Dudycza stało już z wodą, ręcznikiem i odzież miało przygotowaną. Zerwał się więc poseł co żywo i nie tracąc czasu ubierać się począł w co miał najlepszego.

W sali obok, która wczoraj noc całą trzęsła się od wrzasków, panowała cisza grobowa. Dudycz zajrzał przez szparę, stała pustą, a na stołach walały się niezebrane szczątki wieczerzy. Mroczno wyglądała i brudno.

Zaledwie czas miał wdziać na siebie strój włoski, list królowej w jedwabną chustkę zawinąć i włożyć za suknię, gdy Biały wszedł.

Dziś tu i on i wszystko wyglądało do wczorajszego dnia wcale niepodobnie. We dworze panował spokój, cisza, a nawet pewien porządek.

Biały wyprowadził gościa drugiemi drzwiami w podwórze, na którem obóz był rozłożony; nic tu nie widać było rozpasanego, po za wrotami chodziły straże. W pośrodku na drągu wysokim powiewała chorągiew Kmitów ze Śreniawą.

Marszałka mieszkanie było w drugiem skrzydle rozległego dworu. Tu u drzwi, oprócz straży zbrojnej, w barwie bogatej stali dworzanie i urzędnicy możnego pana, utrzymujący karność. Ci co wczoraj dokazywali u stołów, dziś tu chodzili wytrzeźwieni, jak inni ludzie, ledwie śmiejąc po cichu szeptać do siebie.

Przeszedłszy sieni pełne służby, dostał się Dudycz do antykamery, w której co dostojniejsi byli zebrani dworzanie, poubierani wytwornie, z twarzami blademi, ale poważnemi i surowemi.

Kazano czekać Dudyczowi, na którego oczy wszystkich się zwróciły. Dopiero gdy ze drzwi zapuszczonych kobiercem wyszedł jakiś dorodny mężczyzna, w sukni księżej, marszałek skinął na Petrka i drzwi mu kazał otworzyć.

W izbie bogato przystrojonej, stał za stołem z papierami Kmita — jakby inny człowiek: postawa pańska, duma na czole, powaga wielka — ani go było poznać.

Dudycz się tak zdumiał, iż języka w gębie zapomniał i dwakroć musiał się odezwać do niego marszałek nim zebrał się na odpowiedź. Dobył chustę z listem i papier wręczył Kmicie, który z uszanowaniem wielkiem wziąwszy go w ręce, spytał tonem łagodnym.

— Jakże się ma Miłość Jej, królowa nasza? Jak król stary? Nic złego mi, spodziewam się, nie przynosicie?

— Sądzę że nie ma ani złego, ani zbyt nowego nic — odparł Dudycz — ale królowa JM. radaby zawsze wiedzieć o tych, których liczy do przyjaciół swoich.

Spojrzał, Kmita skłonił głową. Zwolna rozwarł list i poszedł z nim do okna.

Petrek śledził go oczyma, usiłując odgadnąć co pismo zawierało; ale twarz Kmity to tylko zawsze okazywała co chciała, i dowiedzieć się z niej tajemnicy trudno było. Czytał list zmarszczywszy brwi, powoli, parę razy z ukosa popatrzył na Dudycza, powrócił do pisma, zatopił się w niem znowu, zamyślił. Nie ruszył się od okna, choć widocznem było, że list skończył czytać dawno.

Zadumany potem przeszedł się po komnacie, jakby nie wiedział jeszcze co pocznie. Nie było mu pisanie to zbyt miłem, tego zdawał się módz dorozumiewać Dudycz.

Zbliżył się wreście ku stojącemu u drzwi.

— Masz waszmość kogo znajomego na moim dworze? — spytał Kmita.

— Kilku, między innemi i Biały mi zdawna z Krakowa znany.

— To dobrze — przerwał, nie dając dokończyć Kmita. Niechże on waść tu przyjmuje i ugaszcza, bo ja mam na głowie spraw wiele, ważnych, pilnych, a to co królowa życzy sobie bym jej doniósł, trzeba wprzódy zbadać. Potrzebuję czasu na to. Czekać musisz!

Dudyczowi się chłodno zrobiło.

— A! gdyby miłość wasza raczyła mnie nie wstrzymywać — zawołał — bardzo mi pilno z powrotem.

Bystro spojrzał mu w oczy Kmita i zmarszczył się.

— Aleś waszeć sługą królowej, i nie o was tu idzie, ale o jej sprawę — zawołał. — Czy wam pilno czy nie, to mi wszystko, zaprawdę, jedno. Gdy mówię, że się zatrzymać potrzeba, nie ma odpowiedzi.

Dudycz zamilkł.

— Prosiłbym miłość waszą — odezwał się po chwili milczenia — przynajmniej o tę łaskę, abym wiedzieć mógł jak długo to czekanie potrwać może?

Kmita się zżymnął.

— Ciekawym jesteś do zbytku — odrzekł dumnie i kwaśno. — Ja sam nie wiem jak długo to trwać może. Nie jesteście tu z woli własnej i nie rozporządzacie sobą.

Zbladł Dudycz, z człowiekiem tym nawet się rozmówić było trudno. Zląkł się nieco, obawiał go więcej zniechęcić. Czekał już tylko odprawy.

Kmita przeszedłszy się po izbie, klasnął w dłonie. Weszło pacholę.

— Zawołać mi Białego — odezwał się marszałek.

Nie mówił nic do Dudycza, a nawet nie patrzył na niego. Po małym przestanku wtoczył się na swych krzywych nogach Biały.

Kmita wskazał mu Dudycza.

— Jest to posłaniec królowej JMci, który tu ma oczekiwać na odpowiedź moją, a ta nierychło być może daną. Znasz go, jak powiada, weźże w opiekę. Proszę aby mu na niczem nic zbywało, rozumiesz?

Masz z sobą ludzi? — zapytał.

— Pięciu — rzekł z dumą Dudycz.

Kmita ramionami ruszył.

— Ludziom i jemu nie ma zbywać na niczem — mówił do Białego Kmita — ale bez mojej wiadomości nie ma się ztąd oddalać.

Widzę — dodał — że mu się bardzo czekać nie chce.

— Ale gdy w. miłość rozkazuje — przerwał Dudycz.

Kmita dał znak jakiś Białemu.

— Umieśćże go, karm i pój, i niech czeka... niech czeka!

To mówiąc, rozśmiał się marszałek dziwnie, przypatrując się szyderczo Petrkowi, który jak zawsze w swym stroju jaskrawym włoskim dosyć pociesznie wyglądał.

Skłonił się Dudycz pokornie.

Wyszli razem z Białym nic nie mówiąc aż w podwórze. Po namyśle krótkim, opiekun poprowadził posła do dworku o kilkanaście kroków odległego.

— Nasz pan w liście coś musiał niedobrego wyczytać — rzekł Biały.

— Najgorsza to, że ja tu siedzieć muszę — zawołał Dudycz — bo mnie pilno do Krakowa. Mówiłem o tem panu.

— Toś niedobrze zrobił — przerwał Biały — bo on na przekorę czynić lubi. Będzie was naumyślnie trzymał.

Załamał ręce Dudycz.

— Ale za to — rzekł śmiejąc się Biały i klepiąc po ramieniu gościa — mogę wam zaręczyć, że głodu ni pragnienia nie doznacie.

Nie wiem czy was do stołu wzywać będą, rozumie się do marszałka dworu, bo Kmita pospolitego czasu sam jada lub tylko z równemi sobie... no, ale ja w tem, że nie poskarżycie się na nas.

— A wy tu długo siedzieć myślicie? — zapytał Dudycz, któremu nowe mieszkanie wskazywał Biały.

— Było się spytać Kmity — śmiał się krzywonogi — byłby ci tak odpowiedział jak na pierwsze pytanie. Z nim nigdy nikt nie wie co on jutro postanowi. Możemy tu siedzieć pół roku, albo wyruszyć nagle wieczorem.

Nie było już co pytać więcej. Dudycz rzucił się na ławę i rzeczy swoje znosić kazał do izby. Zdało mu się, że go w niewolę wzięto.

Do stołu dworzan Kmity dnia tego nie powołano go, ale obesłano wszystkiem, czego mógł potrzebować w obfitości.

Zjadłszy Dudycz, z rozpaczy spać się położył, a że wczorajszą noc spędził w gorączce i bezsenności, teraz mu się sen tak udał, że noc była gdy się przebudził na wieczerzę.

Nikt tu do niego nie zajrzał, nawet Biały.

Na zapytanie, co się działo we dworze, ludzie mu odpowiedzieć nie mogli. Wysłano jakiś oddział zbrojny, Kmita siedział zamknięty.

Z biesiadowania nocnego, jakby ono marzeniem jakiemś było, nie pozostało teraz nic — ani wspomnienia, ni śladu. Nikt się nie ważył mówić o niem.

Pomiędzy dworem, strażą, ludźmi panował znowu rygor i porządek największy.

Dla Dudycza, który nie miał się do kogo przyczepić, a prawdę rzekłszy, nie śmiał — pobyt dłuższy zapowiadał się bardzo ciężkim.

Nie wiedział co robić z sobą?

Wyjść się lękał, aby nie pomyślano, że podpatrywał i szpiegował, coby pana Kmitę rozgniewać mogło.

Biały nie zjawił się aż nazajutrz rano.

Znalazł Dudycza milczącym i przybitym.

— Wyspałeś się? — zapytał.

— Cóżem miał robić?

— Najedz się teraz — śmiał się Biały — a gdy nie stanie zajęcia, pij. Co wolisz? Miód jest dobry, piwo niczego, wino nie pochwalę się.

Dudycz wzdychał. Biały, już zapewne wtajemniczony przez Kmitę, uśmiechał się. Zawadyaka, do wybitej doskonały, bo się nikogo i niczego nie uląkł nigdy, tajemnicy żadnej ukrywać nie umiał.

Popatrzył na zbiedzonego, milczącego Dudycza.

— Powiedz mi — odezwał się nagle — co ty królowej przewiniłeś, że cię tu za karę wysłała do nas?

— Jak to, za karę? — obruszył się Dudycz — ale ja u Miłościwej Pani mam wielką łaskę.

Biały począł się śmiać, spoglądając z politowaniem na towarzysza.

— Tak ci się nieboraku zdaje — odezwał się. — Kto tę Włoszkę zrozumie i spenetruje. To djabeł jest nie kobieta. Uśmiecha ci się, a (tu się w piersi ogromną pięścią uderzył) ja powiadam tyś coś przeskrobał.

Dudycz aż się z ławy pochwycił.

— Zkądże tobie to przyszło? — krzyknął.

— Tego nie pytaj — rzekł Biały — tylko powiadam ci, porachuj się dobrze z sumieniem.

Zamyślił się Dudycz głęboko.

— Nie może to być — odparł — gdybym nawet chciał, czemże ja, mały człeczyna, mogłem tej miłościwej pani, która u nas wszystkiem trzęsie, zawadzić albo się narazić. Naostatek ja jej łaski potrzebuję, służę jej... nie... to być nie może!

Biały walczył z wielką chętką wygadania się.

— Nie zdradzisz mnie? — szepnął.

Petrek palce na palce założył i krzyż z nich zrobiony pocałował.

— No, to ci powiem — szepnął Biały — że w liście do marszałka stoi nic więcej nad to, aby ciebie starał się jak najdłużej zatrzymać przy sobie, nie dając ci odpowiedzi.

Zbladł słuchając biedny Dudycz, bo rozkaz ten nie mógł mu się w ciasnej głowie pomieścić. Nie pojmował co mogło tę banicyę spowodować.

Siadł zrozpaczony na ławie.

— Źle ci u nas nie będzie — dodał Biały — Kmita swoim czasem poskąpi obroku, ale obcym nigdy, bo chce wielkim panem być w oczach ludzi. Tylko się tu zamęczysz... no, i kto wiedzieć może, nuż przyjdzie do jakiej rozprawy, i guza gotóweś oberwać.

Nie odpowiadał Dudycz, tak był w sobie zatopiony, Biały, który przez okno zobaczył w podwórzu jakiś nieład, nie żegnając go wybiegł. Został tedy z ciężkiemi myślami sam na sam.

Niepodobna mu się było dorozumieć co znaczyło postępowanie królowej, bo że ono było w związku z Dżemmą, tego się wcale nie domyślał.

Pozostać tu długo było dla niego męczarnią niewysłowioną, właśnie z powodu Włoszki, której oblężenie podarkami rozpoczął.

Narozmyślawszy się długo, postanowił w końcu do kogoś list napisać do Krakowa, prosząc o ratunek, ale nie umiał wymyśleć komuby się mógł powierzyć.

Nierychło dopiero przyszedł na pamięć pan kasztelan biecki Boner, bo wyrozumował, że kiedy królowa chciała go mieć daleko, to może właśnie dla króla dobrzeby było, gdyby się znajdował blizko?

Napisanie listu myślą było szczęśliwą, bo jeden z pięciu ludzi, co mu towarzyszyli, mógł go zawieźć cichaczem do Krakowa; szło tylko o to, jak list napisać.

Dudycz nie odebrał żadnego prawie wychowania. Wprawdzie przypominał sobie, że chodził do szkółki w Wieliczce przy kościele, nauczył się tu czytać drukowane, a co do pisania, do tego nie mając zdolności, później dopiero, gdy rachunki trzymać musiał, nauczył się sam grzyzmolić naśladując litery drukowane. List więc jego, sam on to czuł, wiele musiał zostawiać do życzenia, a posłużyć się na tym dworze kimkolwiekbądź, nie było bezpiecznie. Westchnął na to, że nie przewidział, jak się pisanina w życiu na wiele przydać mogła.

Następnych dni nie było co robić. Biały, chociaż nie zapominał o gościu, nadto był zajęty, ażeby przy nim godzinami siedział. Najadłszy się, napiwszy, wyspawszy, dowiedziawszy do koni, pogawędziwszy ze starszym sługą, Dudycz zostawał sam i nie miał co innego do czynienia, oprócz, że na ławie w oknie siadłszy, w podwórze patrzył.

Ta zaś część jego, którą miał przed oczyma, zbyt urozmaiconego nie dawała widoku. Przeprowadzano tędy konie do wodopoju, przenoszono siano i obroki do stajen, szli parobcy, przeciągali żołnierze, a pod wieczór wiatr zamiatał rozsypane siano i śmiecie, lub resztki suchego śniegu, który już pruszyć zaczynał.

Biały, niewymowny, prawie codzień jedno powtarzał przyszedłszy.

— Najadłeś się?

— A jakże.

— Napiłeś?

— Dziękuję.

— Połóżże się spać, bo więcej do roboty nie masz nic.

Nierychło bardzo Dudycz wpadł dopiero na myśl, że może miłość jego dla pięknej Włoszki, wygnania tego mogła być przyczyną.

— Ochmistrzyni mnie zdradziła! — mówił sobie.

We dwa tygodnie dopiero ruszył się Kmita nazad do Wiśnicza, a z jego dworem i ów niewolnik, o którego odprawieniu do Krakowa mowy nawet nie było.

Dwie królowe

Powieść historyczna

(Bona i Elżbieta)

TOM II

Zbliżała się wiosna i umówiona pora przybycia młodej królowej do Krakowa.

Po dosyć ciężkiej do przebycia zimie, król Zygmunt Stary, jakby odżywiony nadzieją ożenienia, którego tak bardzo pragnął dla syna — czuł się i powiadał silniejszym. Doktorowie znajdowali, iż w istocie zdrowie się jego poprawiło.

Biskup Samuel, który codziennie starego swego pana widywał, przypisywał to zarówno zbliżającemu się weselu, którego król wielce sobie życzył, jak zmianie zaszłej w obejściu się z mężem starej królowej.

Niczyjej ona baczności nie uszła, ale ją sobie tłómaczono różnie.

W czasie, gdy między Wiedniem, Pragą a Krakowem toczyły się ostateczne układy o owo małżeństwo z młodziuchną Elżbietą, Bona wszelkimi sposobami przeszkodzić mu się starała.

W jej miejsce pochlebiała sobie, że potrafi wyjednać dla syna francuzką księżniczkę, córkę Franciszka I. Nienawiść jej dla cesarza i dla ojca Elżbiety, przyszłej synowej, podsycana tem, że jej trudności robiono w sprawach posiadłości neapolitańskich, a w Węgrzech i Siedmiogrodzie ukochanej córce Izabelli stawiano zawady w popieraniu interesów małoletniego syna — nienawiść bezsilna, podbudzała do bezrozumnego szału. Obawiała się wystąpić jawnie przeciwko cesarzowi dla Baru, przeciwko ojcu Elżbiety dla Izabelli, tem więc zajadlej męża starała się zmusić do zerwania z niemi.

Stary król znosić musiał codziennie wyrzuty, sceny ze łzami i krzykami — wybuchy takie, że Bonę często wynosiły kobiety na rękach, a król po przebyciu takiej kryzys kładł się do łóżka.

Gdy, pomimo wszelkich przestróg lekarzy, powtarzały się ciągle te utrapione waśni, a Zygmunt po raz może pierwszy złamać się nie dał, bo mu szło o cześć, o słowo dane i o piastowaną dawno mrzonkę: ożenienia syna z wnuczką brata — choroba i osłabienie króla znacznie się wzmogły, stały niemal groźnemi.

Później nieco, kiedy nieodwołalnie już termin ślubu i wesela został naznaczony, listy wymienione, warunki wszystkie postanowione, Bona nagle prawie złagodniała, zamilkła, poddała się nieuchronnemu następstwu zobowiązań i — zaprzestała zupełnie napaści i wymówek.

Pokój ten niespodziewany wydał się rzeczą tak nienaturalną dla tych, co znali upór Włoszki, iż co chwila spodziewano się powrotu wojny. Tymczasem królowa pozostała całkiem spokojną.

Przychodziła codziennie do męża ze sprawami różnemi, troszczyła się wielce o jego zdrowie, sprawy małżeństwa nie poruszyła nigdy, a jeśli wypadkiem potrącono o coś będącego z nią w związku, zacinała usta, zmuszała się do milczenia.

W prostocie ducha król Zygmunt niezmiernie uradowany tą poprawą, przypisywał ją jedynie okazanej stałości charakteru.

Wdzięczen był niewymownie żonie, że wojny zaprzestała i doznany zawód starał się jej wynagrodzić ulegając we wszystkich innych sprawach, czyniąc jej ustępstwa chętne, a nawet przeciwko Maciejowskiemu często skłaniając się na jej stronę.

W istocie Bona teraz chodziła tak spokojna, zrezygnowana, jak gdyby z myślą tego związku zupełnie się przejednała.

Jedni z królem razem cieszyli się z tego, drudzy, jak Maciejowski i Boner, nie dowierzali pokojowi. Pan kasztelan biecki powtarzał księdzu Samuelowi:

— Mówcie, co chcecie, to podstęp... ja się go boję. Najstraszniejszy mi nieprzyjaciel, kiedy się przyczai... a znając naturę Włoszki, można się spodziewać, że niedarmo wymogła na sobie tę pokorę.

Mota ona coś i czeka.

— Ale cóż? — odpowiadał ks. Samuel. — Gdy się raz pobiorą, co ona zrobić im może?

— Nie wiem — mówił Boner — ale o tem przekonany jestem, że królowa nie dała za wygranę. Trzeba się więc, nie zaniedbując, mieć na baczności i nie otrąbywać zawczasu zwycięstwa.

Podskarbi miał pewne oznaki, z których wnosił niepłonnie, że to, co się nazywało spokojem i zgodą, było tylko *treugą*, rozejmem, służącym do zebrania sił i przygotowania oręża.

Z obowiązku swojego codzień bywając w zamku, ocierając się o ludzi, których sprawy pieniężne czyniły zależnemi od niego, Boner miał sposobność więcej się dowiadywać niż inni. Bystrzejszym też był może w rozpoznawaniu czynności, które drudzy obojętnemi sądzili.

Wiedział dobrze, iż królowa, zwykle tylko pobłażająca miłostkom syna, gdy one nie wychodziły za obręb jej fraucymeru, ale zachowująca pewne *decorum* i niemieszająca się do nich czynnie na pozór, teraz prawie jawnie opiekowała się Dżemmą i posiłkowała synowi do zawiązania z nią, w przededniu ślubu, jak najściślejszych stosunków.

Do tych nietylko że przeszkód najmniejszych nie było, ale matka je widocznie osłaniała jak najtroskliwiej — a miłość jej dla pięknej Włoszki rosła tak, że w całym dworze zazdrość obudzała.

Chociaż miłostki były niby okryte tajemnicą, wiedział o nich cały dwór, a Dżemma, dumna przywiązaniem Augusta, nie wstydziła się wcale okazywać, jakie miejsce w sercu jego zajmowała.

Uderzało i to, że skąpa zwykle królowa dla Włoszki nic nie żałowała, obsypywała ją darami, stroiła, okrywała klejnotami, a synowi dostarczała pieniędzy dla zaspokojenia najdziwniejszych fantazyj ukochanej.

Wszystko to w pierwszych miesiącach 1543 r. stało się tak bijącem w oczy, iż Boner, zebrawszy dużo wiadomostek na poparcie swego twierdzenia, jednego dnia, widząc króla zdrowym i silniejszym, odważył mu się o tem napomknąć.

Z twarzy Zygmunta, która się bardziej jeszcze niż zwykle zasępiła, mógł się przekonać, że dotknął przedmiotu wielce niemiłego.

Król wysłuchał, chociaż dawał oznaki niecierpliwości, a gdy Boner dokończył — rzekł: że wszystko to za wielce przesadzone uważa.

— Wszyscy wy niedowierzacie królowej — mówił dalej — a ja powiadam wam, iż nic złego na myśli nie ma. Słaba dla syna, bo go kocha, ale małżeństwu przeszkadzać nie będzie, bo się przekonała, iż wszystko to byłoby napróżnem.

Boner spełniwszy obowiązek nie nalegał, ale król, choć oświadczył mu, że nie wierzył doniesieniom, wziął rzecz do serca, gryzł się jakiś czas; naostatek, trzeciego dnia rano, gdy Bona przyszła go pozdrowić, wystąpił z tem, ażeby swoje dziewczęta miała na oku i trzymała surowo, gdyż plotki chodzą, że młody król miłostki tam zawiązuje — a gdyby o tem wieści doszły do królowej Anny, w chwili gdy tu córkę wysyłać miała, mogłaby się niepokoić.

Bona, która długi czas była spokojną, wybuchnęła nadzwyczaj gwałtownie, obwiniając swych nieprzyjaciół o potwarz, męża o łatwowierność, i wybiegła płacząc i trzaskając drzwiami.

Zarządziła natychmiast poszukiwania, kto w tych dniach u króla bywał i mógł mu donieść o Dżemmie. Podejrzenie padło na Bonera.

Zapisanym mu to zostało zapewne w jego rachunek, lecz dalszych następstw zaraz nie miało. Król milczał, Bona gniew stłumiła w sobie, a w postępowaniu młodego króla z Włoszką, na włos się nic nie zmieniło.

Zygmunt nie wznowił niemiłego przedmiotu.

Codzień za to sam dawał coraz nowe rozporządzenia tyczące się przyszłego wesela, które chciał aby było wspaniałem i świetnem.

Pamiętał nawet o woźnikach do kolebek, o kolebkach samych. Życzył sobie może, aby stara królowa sławną swoją całą srebrną kolebkę szkarłatnym aksamitem wybitą dała do wjazdu dla młodej królowej — lecz się okazało, że była połamana, w naprawie, a ci co koło niej pracowali, tak rychło jej wystroić się nie obiecywali. Nie nalegano więc, i trzeba się było obejść innemi.

Ucichło potem.

W mieście i na zamku wiedziano o tem, że stojący przy królu starym, w myśl jego wcześnie starali się na uroczysty wjazd młodej królowej przygotować poczty jak najświetniejsze. Ks. Maciejowski, hetman Tarnowski, pan Andrzej z Górki, pan kasztelan

biecki, nie licząc innych, teraz już zakupywali barwy, szyć kazali, aby wystroić swe dwory z niewidzianą okazałością.

Zbroje, rynsztunki, sprowadzano z zagranicy.

Na przekorę temu przepychowi, w początku królowa, jak odmówiła swej srebrnej kolebki, tak chciała aby jej przyjaciele jak najskromniej i wcale się nie wysilając, tylko z konieczności wzięli udział w tym wjeździe, który chciano uczynić tak świetnym.

Ale tu, Gamrat stanął na przeszkodzie. Nowy człowiek, który zarazem trzymał dwie najbogatsze stolice biskupie, z ich dochodami, nie mógł na to pozwolić, aby go inni zaćmili, iżby on przy nich stanął ubogo i skromnie.

— Nie może to być — zawołał, przybywszy do królowej. — Wojna wojną, a tam gdzie tysiące oczów patrzeć na nas będzie, nie możemy się wystawić na pośmiewisko.

Niech inni czynią, co chcą, ja oświadczam wbrew miłości waszej, że nietylko jak największy poczet postawię, ale go wystroję jak najkosztowniej, choćby mi moje srebra zastawić przyszło. Nie dam arcybiskupa-prymasa na urągowisko... Kmita sobie postąpi wedle myśli swej, chociaż sądzę, że i on się tu zatrzeć nie dopuści... ja nie mogę! Zowią mnie tu wszyscy plebejuszem, co bez butów przybył z Podgórza, choć Gamratowie starą są szlachtą, niegorszą od innych. Otóż im pokażę, że potrafię i nie pożałuję wystąpić.

Taka była powaga Gamrata i wiara królowej w słowo jego, że Bona się nie sprzeciwiała. Ona sama postanowiła się nie wysilać wcale, ale nie chciała bronić drugim, postąpić jak sami życzyli.

Ks. arcybiskup nietylko że chciał wystąpić, ale postanowił zagasić najmożniejszych — i gdy inni po kilkudziesięciu, po stu lub mało co więcej ludzi przygotowywali do wjazdu, Gamrat zapowiadał, że zbierze ich do trzechset.

Nigdy może w Polsce, jakeśmy już mówili o tem, stroje nie były bardziej urozmaicone, jak w końcu XVI. wieku i począwszy od tej epoki. Właśnie ten wjazd dla cudzoziemców miał być powodem podziwienia razem i szyderstwa, bo niemal każdego pana poczet inaczej strojono. Gamrat swój miał ubrać po polsku.

Inni silili się na najniezwyczajniejsze ubiory od stradyotek począwszy, do długich opończy moskiewskich i kołpaków, do tatarskich, tureckich, hiszpańskich, niemieckich, węgierskich przybrań.

Barwa czarna była w wielkiej modzie, lecz na uroczystość tę jak najjaskrawiej się stroić miano, a szkarłat nadewszystko miał górować. Oprócz sukni i zbroi, które musiały być szmelcowane i złocone, a tych trzeba było szukać zagranicą, bo ich mało w kraju robiono, same konie i sprzęże poszóstne a poczwórne, które dobierać musiano, stanowiły i trudność wielką i wydatek niemały.

A że koń każdy musiał iść pod bogatą szytą deką, zawczasu więc dniem i nocą haftowano je złotem i perłami, tak że niektóre z nich niemal równie bogato jak ornaty kościelne wyglądały.

Tylko Bona jedna najmniejszych przygotowań niezwykłych nie czyniła.

Chlubić się nawet nie chciała z tą swą sławną kolebką srebrną, o której wyżej, i nie myślała jej światu okazać.

Tłómaczyła się tem, że ona i król na synową oczekując w zamku, cale się o wjazd troszczyć i uczestniczyć w nim nie potrzebowali.

Co się tyczy młodego króla, szczodra dla niego w innych razach, matka ścisnęła dłoń.

— Ci, co cię żenią gwałtem, niech do wesela pomogą — rzekła. — Ja go nie życzyłam, nie chcę i nie myślę się na to ekspensować.

Gdy podskarbi Boner doniósł o tem królowi, Zygmunt mu polecił aby nie skąpiąc, dostarczył Augustowi wszystkiego czego mógł potrzebować, aby wystąpił godnie siebie i jak najwspanialej.

Miano na ten cel i klejnotów ze skarbca pożyczyć, i zakupić co było potrzeba.

Podskarbi poszedł sam się w tym przedmiocie naradzić z młodym panem, ale znalazł go tak nieśmiałym, niepewnym, wahającym się i widocznie z obawą oglądającym na matkę, iż sam musiał większą część niezbędnych przygotowań obmyśleć.

August nie sprzeciwiał się, ale stawił z obojętnością uderzającą — i nieustannie odwoływał się do matki. Był widocznie jeszcze pod silniejszym wpływem jej niż zwykle.

Boner dobrze to zrozumiawszy, nie wahał się wziąć na siebie wiele. Jak zwykle Bona wiedziała o wszystkiem, co mówiono i postanowiono u męża, co przygotowywano, kto był najczynniejszy, ale nie stawiła przeszkód.

Osłoniła się najdziwniejszą obojętnością pozorną, jakby ją to wszystko nic a nic nie obchodziło.

Ci, co z twarzy młodego króla chcieli czytać wróżbę jakąś przyszłości, niewiele mogli w niej znaleźć. Zawsze wobec obcych panem siebie będąc, milczący i dosyć zamknięty, król młody okazywał się ostygłym, zimnym jak matka.

Powoływany często do ojca, który starał się go ożywić i natchnąć tą miłością dla Elżbiety, jaką on sam miał dla niej — August słuchał go z poszanowaniem, oświadczał się z gotowością spełnienia rozkazów, ale nie zmieniał w niczem.

Wszystkie wieczory do późna spędzał zwykle albo sam na sam z Dżemmą, lub u matki. Naówczas Włoszka wystrojona powoływaną była na pokoje, i gdy Bona rozmawiała z Gamratem, ze swemi przyjaciółmi i protegowanemi, młody król mógł swobodnie w drugiej komnacie siedzieć z Dżemmą, której parę panien towarzyszyło, ale miały rozkaz stać na uboczu.

Czasami wieczorem sprowadzano włoskiego lutnistę, śpiewaka jakiego, lub jedna z panien popisywała się nucąc włoskie pieśni. Czas więc upływał tu mile i bardzo szybko, a dla Bony może za prędko, bo potrzebowała się przygotować do wojny. A choć pożądała jej i uważała ją za nieuniknioną, wiedziała że będzie upartą. Gromadziła więc sprzymierzeńców gdzie i jak tylko mogła.

Plan postępowania zawczasu był osnuty: Bona postanowiła syna trzymać jak najdalej od żony, niedozwolić mu ani się z nią poznać lepiej, ani pokochać. Miłość dla Dżemmy służyć miała dla odparcia tej, której się obawiała.

Znała bardzo dobrze syna, iż łatwym był do zajęcia się kobietami, że nowość dla niego stanowiła ponętę; obawiała się więc Elżbiety, o której wiedziała, że była młodziuchną, najpiękniejszą z córek królowej Anny, bardzo starannie wychowaną i pełną uroku.

Unosił się nad tym jej wdziękiem wielki znawca niewieściej piękności Dantyszek, świadczyły przywożone portrety, które Bona rzucała precz z gniewem.

Jeden z nich przeznaczony dla syna, nie mogąc mu go odebrać, Bona zakryła tak aby nie miał na oczach.

Wybór Dżemmy z pomiędzy mnogich dziewcząt Włoszek i Polek fraucymeru królowej, dowodził bardzo trafnej znajomości serca ludzkiego. Włoszka była rozmarzoną, rozkochaną w istocie w królu, i namiętnie mu oddaną.

Kochała go nie jako przyszłego mocarza i pana, ale jako młodego, pięknego chłopca; a nic tak nie przywiązuje jak miłość.

Ani piękność, ani talenta, ani żaden urok w świecie nie ma tej potęgi jaką włada uczucie. Ono wywołuje wzajemność.

Dżemma od lat wielu dorastając patrzała na królewicza jak na ideał, rozmiłowaną w nim była daleko wprzód nim on to postrzegł, gdy jeszcze bawił się z Bianką i innemi dziewczętami, które wprędce rzucał dla coraz nowych. Dżemma nie miała ambicyi, nie rachowała na żadną przyszłość, potrzebowała być kochaną...

— A potem? — pytała ją szydersko Bianka.

— *E poi? morir!* (a potem? umrzeć!) — odpowiadała Dżemma, mężnie jej patrząc w oczy.

Miłość tę swą pierwszą wzięła Włoszka z pieśni, z poetów, z powieści, z własnego wreszcie serca i temperamentu. Nie była nigdy ani płochą, ani zalotną.

Lubiła wszystko co piękne, co wielkie, szlachetne — lubiła wytworny strój i starała się być czarującą, ale tylko dlatego, aby godną była wyboru Augusta.

Teraz, gdy ją nareszcie spotkało to szczęście niewysłowione, że on ją kochał — reszta świata, wszystko znikło z jej oczów. Widziała tylko jego jednego i siebie... nic ją nie obchodziło. Gotową była cierpieć, być prześladowaną, byle on jeden nie zmienił się dla niej.

Bona może w tę namiętność nie wierzyła, bo wcale się jej nie lękała, a można było nastraszyć się zstąpiwszy w to serce, które patrzało w przyszłość, w śmierć, w męczarnie, nieustraszone niczem.

Zygmunt August zawcześnie zużyty miłostkami, które dla niego spowszedniały, w tem nowem przywiązaniu odżył i odmłodniał.

Nie był to stosunek do żadnego z poprzedzających podobny, tak jak Dżemma do żadnych z dziewcząt zapomnianych podobną nie była.

Pomiędzy niemi, z tym diademem miłości heroicznej na czole, występowała jak królowa. Nie kryła się, nie wstydziła, nie rachowała z niczem.

August też, choć wystygły, chwilami przy niej czuł powracającą młodość, i miłość jego rosła razem z doznanem szczęściem niespodzianem.

W początkach kwietnia, nadzwyczajny ruch tych przygotowań całe miasto zaprzątał; nie mówiono o czem innem, nie widać było nic innego nad tę gorączkę popisu, z jaką Kraków chciał wystąpić. Wiedziano dobrze, iż na dworze cesarskim o przyjęciu królowej będą zawiadomieni z najmniejszemi szczegółami — szło o to, aby stolica Polski i monarcha, który tak wysoko stał w szacunku powszechnym, nie zostali upośledzeni.

Nie mógł naówczas gród pod-wawelski iść w porównanie z Wiedniem, a nawet z Pragą, ale mieszczaństwo tutejsze uboższem od innych nie było i barbarzyńskiem okazać się nie chciało.

Tak samo magnaci i duchowni, prawie wszyscy bez wyjątku, wychowani i obeznani z obyczajem zagranicznym, z Włochami, Niemcami, Francyą, mniej cywilizowanym nad inne narodem w obyczaju być nie chcieli. Może aż nadto też starano się o nadanie wjazdowi barwy obcej, a najmniej chciano go polskim uczynić. Z pocztów pańskich kilku zaledwie charakter ten miejscowy zachowało.

Na ratuszu rozprawiano i rozglądano się w podarkach dla młodej królowej, gdyż miasto nie mogło obejść się bez nich, a ubogo się okazać wstyd było. Klejnotów ofiarować nie mogło, zgodzono się na kosztowne wyzłacane naczynia i misy, których robota więcej od kruszców wartą była.

Podskarbi sam je wybierał.

Całe to tak żywe zajęcie, rozbijało się jak fale morskie o skałę — o wyrachowaną oziębłość Bony. Nie chciała widzieć nic, choć o wszystkiem była zawiadomioną — udawała obojętną, głuchą i ślepą.

Ilekroć przyszła do króla i trafiła tu na rozmowę o przygotowaniach, bo stary Zygmunt tak się niemi zajmował, że nawet suknię syna, jaką miał włożyć dla powitania żony, sam chciał oglądać i rozkazał, aby była niemieckim krojem, choć August życzył sobie włoskiej — ilekroć trafiła na taką rozmowę, Bona rozpoczynała o czem innem, a spytana o zdanie, zbywała potrząsając głową, milczeniem.

Zygmunt August też aby matce się przypodobać, która mu teraz szczególną miłość okazywała, a może zajęty mocno Dżemmą, zachowywał się zimno i obojętnie.

W tym usposobieniu utrzymywał go przy boku będący Opaliński, który służył interesom Bony. Ten, ilekroć sam na sam był z królem, rozpoczynał użalać się nad losem jego, nad narzuconem mu małżeństwem z chorowitą i dziecinną królewną, z którą pożycie szczęśliwem być nie mogło.

August słuchał najczęściej nie odpowiadając, lecz powtarzane te ubolewania powoli czyniły na nim wrażenie.

Im bardziej zbliżał się czas naznaczony na przybycie królowej, tem Bona niepostrzeżenie miłość ku Dżemmie podsycać się starała i uczynić namiętną.

Nie występowała czynnie, używała ku temu najrozmaitszych sprzymierzeńców, najczęściej takich, którzy sami może nie wiedzieli, iż narzędziem jej byli. Mieszkanie Włoszki stało się dla panien dworu, dla ochmistrzyń obu prawie niedostępnem; August w każdej porze mógł tu przyjść, nie obawiając się spotkać z nikim — Dżemma wymykała się często wieczorami do pokojów młodego pana. Opaliński pilnował, aby się tu z nikim nie spotykała.

Cóż dziwnego, że w młodej parze miłość ta, dla Dżemmy pierwsza w życiu, dla króla najgorętsza z tych jakie prześnił, dosięgła do błogiego jakiegoś szału i zapomnienia.

Z takiem uczuciem w sercu któż myśli o przyszłości? kto pamięta na jutro?

Gdy August smutniejszy czasem przychodził do matki, Bona tłómaczyła natychmiast smutek ten ożenieniem i pocieszała go zapewnieniami, że tę natrętną małżonkę potrafi z dala od niego trzymać.

— Panowie polscy dla swoich jakichś rachub mogli ci niemiłą narzucić małżonkę... niechaj się nią nazywa, ale żyć z nią nie masz obowiązku; a przywiązać się do chorej, do ciągle zagrożonej, ciągle potrzebującej leków, niepodobna. Szczęście możesz znaleźć gdzieindziej...

Między Krakowem a Wiedniem ciągle trwała prawie tycząca się ożenienia korespondencya, z obu stron pełna najuroczystszych zapewnień przyjaźni, szczera ze strony starego Zygmunta, który w istocie Elżbietę, wnuczkę po bracie, kochał sercem ojcowskiem. W Wiedniu jednak przez tych, którzy do Krakowa jawnie i potajemnie dojeżdżali, przez Herbersteina i innych wysłańców doskonale wiedziano jak na dworze polskim rzeczy stoją. Cesarz i król ojciec nie wyobrażali sobie tylko, ażeby Zygmunt mógł względem żony być tak słabym, i rachowali zbytnio na jego opiekę. Oprócz tego ojciec Elżbiety dla Izabelli w Węgrzech mógł wiele, musiała go Bona oszczędzać, a cesarza dla neapolitańskich posiadłości.

Obu jednak przebiegła pani spodziewała się pozorami uwieść, a na swojem postawić.

Dlatego usuwała się od wszystkiego, na pozór nie czyniła nic, a posługiwała się narzędziami... aby tego co zajdzie, wyprzeć się mogła.

Gdy się to działo w Krakowie, nieszczęśliwy Dudycz, o którym zupełnie zapomniano, siedział na pokucie w Wiśniczu, i byłby może tam pozostał niewiedzieć jak długo, gdyby w końcu nie odważył się drukowanemi głoskami najdziwaczniejszego listu wystylizować do Bonera, o litość go prosząc.

Podskarbi wpół żartem szepnął o tem staremu królowi i prosił go, aby on Bony o dworzanina swego spytał, a o powrót się dopomniał. Boner dodał śmiejąc się, że zesłano Dudycza dlatego, aby miłostkom Augusta nie był na przeszkodzie.

Zygmunt, choć powierzchowność Dudycza nie zdawała mu się dla nikogo niebezpieczną, przy pierwszym spotkaniu królowę zagadnął o dworzanina i dodał:

— Jest mi potrzebny...

Bona teraz go sobie dopiero przypomniała, a że wcale już się teraz natręctwa z jego strony nie obawiała, posłała do Kmity, aby jej gońca napowrót z listem odprawił.

Groziło już Petrkowi na tem wygnaniu, że się na piwie marszałkowskiem mógł rozpić, bo nie mając nic do czynienia, zimnego i grzanego nadużywał, gdy szczęściem Biały przyszedł do niego z wesołą nowiną, że list dziś otrzyma i do Krakowa powracać może.

W godzinę niespełna Dudycz był gotowym, i w podróżnych sukniach poszedł do Kmity z pożegnaniem i podziękowaniem za gościnne przyjęcie. Niebawem też, ścisnąwszy rękę Białemu, który, choć z niego drwił, ale się nim opiekował — był już Petrek na koniu i w drodze. Komu innemu możeby to przetrzymanie w Wiśniczu i długie oddalenie od ulubionej, z głowy ją i z serca wyrugowało, bo się domyślał, że go od niej chcą odsunąć. Dudycz miał naturę upartą, a jego miłość cała w głowie mieszkała. Włoszka mu była potrzebną dla popisu przed światem, a że, zdaniem jego, żadna inna jej pod tym względem zastąpić nie mogła — trwał więc uparcie w zamiarze wzięcia jej w spadku po młodym królu.

Być bardzo może, iż w głowie ciasnej Dudycza wspomnienie Kościeleckiego, ożenionego ze Ślązaczką, kochanką Zygmunta Starego, pobudzało go do naśladowania dawnego pana.

Nie miał on nikogo, coby, jak Kościeleckiego bracia, mógł go prześladować za to. Roił zapewne, że Zygmunt August nim i żoną jego opiekować się będzie, a może nawet zrobić go żupnikiem. Wszystko to upor jego wzmagało i najmocniejsze postanowienie zabiegania, aby mu kto Włoszki nie pochwycił.

Jak teraz miał postępować, kogo się trzymać: czy Bonera i króla, czy królowej starej — tego nie umiał rozwiązać jeszcze.

Zaledwie powróciwszy do Krakowa, gdzie się czuł tak szczęśliwym jakby się na nowo na świat narodził, pobiegł naprzód szukać którego z dworzan dla rozpytania się co się tu działo.

Nikt prawie mówić z nim nie chciał, tak wszyscy byli zajęci i roznamiętnieni tym wjazdem, w którym brać udział mieli.

Stawił się więc do Bony z listem. Stara królowa nie przypuściła go do swego oblicza nawet, list kazała oddać na ręce swojego kanclerza, a Dudycza odprawiła z niczem.

Od niej pośpieszył do Zamechskiej, która na widok jego ręce załamała.

— Wróciłeś więc żyw! — zawołała.

— Dzięki Bogu — rzekł Dudycz.

— Patrzajże, daj pokój Włoszce, aby cię za drugim razem dalej jeszcze nie zesłano.

Petrek chudego wąsa pokręcił.

— Wybili ci ją z głowy? — zapytała Zamechska.

— Nie — stanowczo odparł Dudycz.

Ochmistrzyni się przeżegnała.

— Trwasz przy swojem? — zawołała zdziwiona.

Kiwnął głową Petrek.

— Cóż myślisz?

— To się okaże — rzekł po namyśle stary, przybierając oblicze zagadkowe — o jedno proszę miłość waszą, raczcie mi zachować łaskę swą.

— Ja więcej w tę twoją niedorzeczną sprawę rąk nie umoczę — odezwała się Zamechska. — Nie dokażesz tu nic, a ja się mojej pani narażać nie myślę.

Przystąpiła bliżej do Petrka i szepnęła:

— Król młody na zabój rozkochany w niej, ona w nim... gdzież tu dla ciebie jaka nadzieja.

— Żeni się — rzekł Dudycz.

Ochmistrzyni ramionami ruszyła.

— To co? — zapytała.

Niewymowny Petrek nie chciał się szerzej tłómaczyć, pocałował ją w rękę i poszedł.

Tegoż dnia dano mu w zamku zajęcie, bo teraz wielu potrzebowano ludzi i nawet taki Dudycz mógł się zdać na coś. Rozumie się, że go do żadnego orszaku nie zaciągnięto, ale na pokojach powierzono pacholęta i wyrostków posługujących pod komendę, część kredensów i sreber do dozoru.

O! te dni wiosenne, te dni młodości, jak to do siebie podobne! Najpiękniejsza pogoda zrana, słońce obmyte rosami u wschodu błyszczy złotem, ani jednej chmurki na niebie lazurowem. Nagle, jak plamka niedostrzeżona zjawia się obłoczek, rośnie i rozciąga się, czernieje, pół niebios objął, zasłonił i zaciągnął całe, burza wre ponad ziemią przelękłą, pioruny biją, wicher obala bory... a z za rąbka chmury widać już szafir pogody — wszystko przeleciało i przeszumiało, słońce śmieje się znowu.

Nie tak-li w młodości zakochanych, pogoda z uraganem się mieniają, łzy z uśmiechami krzyżują ciągle...

Dżemma, choć wychowana pod niebem północy, miała w sobie krew włoską, gorącą, niemogącą spocząć i ostygnąć. Miłość jej była jak ona: niespokojną, do szału szczęśliwą, do rozpaczy w chwilę potem roznamiętnioną.

Najmniejsza rzecz starczyła, aby śmiech jej w krzyk się przemienił, szczęście obróciło w zwątpienie. Gdy wieczorem słowy słodkiemi ukołysał ją August, a pozostała potem samą, przychodziło marzenie niedając usnąć i w miejscu szczęścia obrazów, przynosiło z sobą groźby i postrachy.

Wyobrażała sobie opuszczenie, zapomnienie, zobojętnienie, pogardę. Wszystko to tak żywo stawało jej przed oczyma, że się zrywała z pościeli płacząc, jak gdyby dokonało się już to, czego lękała.

Nazajutrz rano król znajdował ją z oczyma zapłakanemi, z głową na piersi zwisłą, jak zwiędły kwiatek... pół żywą.

Potrzeba było nowych orzeźwiających pocałunków, przysiąg i długiego rozpraszania ciemności, które noc w jej sercu nagromadziła. Wracała pogoda, przychodziły uśmiechy, odzyskiwała wiarę, rzucała mu się na szyję, była szczęśliwą, szczęśliwą — na jak długo?

Czasem szczebiotanie ptaszka, niekiedy paplanie Bianki, przypomnienie słowa jakiegoś nagle brwi jej ściągało, sprowadzało niepokój i burzę.

Wszystko to August znosił z uśmiechem cierpliwym, bo w tem widział dowody przywiązania, które niekiedy bywało jarzmem, ale słodkiem.

W miarę jak kwiecień upływał, Dżemma stawała się coraz niespokojniejszą i słoneczne dnie rzadszemi. Bianka, która tu często przychodziła, znajdowała ją jakby skamieniałą

jakiemiś myślami i starała się odpędzić chmury dowodząc, że jej nie były do twarzy. Czasem udawało się tak dobrze rozbawić Dżemmę, że swawoliły jak dzieci, i August je znajdował szalejące po komnatach, co mu się bardzo podobało, bo potrzebował aby jego smutek coś rozpędziło.

Jednego wieczora Dżemma była przy starej królowej, gdy August wszedł do jej mieszkania, a spodziewając się rychłego powrotu, zasiadł na zwykłem swem miejscu i zapatrzył się w okna, na siną dal pól i lasów. Wtem uchylono zasłonę i zamiast Dżemmy, stanęła we drzwiach Bianka, wspomnienie młodości swawolnej, dziś już obojętne. Bianka zawahała się czy wnijść miała, wiedziała że Dżemma była straszliwie zazdrośną, ale mogłaż ją posądzać?

Od tych lat, gdy trzpiotowata czarnooka Włoszka dawała się ściskać i całować ledwie dorastającemu Augustowi, upłynęło czasu wiele. Teraz było to dziewczę bardzo dojrzałe, śmiałe aż do cynizmu, lekceważące sobie przyszłość, niewiele ceniące ludzi, ale na dnie serca noszące wiele zawiedzionych nadziei i trochę miłości dla istot wybranych.

Taką dla Dżemmy była Bianka, nad którą miała politowanie, bo przewidywała los dla niej taki, jaki samą spotkał — okrutniejszy może, bo w inny ufała i wierzyła.

Ostrzegała często biedną, ale ona słuchać nie chciała.

August zobaczywszy ją, gdy się spodziewał kogo innego, niebardzo rad był może, lecz śmiała Bianka weszła.

— Dżemma jest przy królowej — rzekła — a gdym W. Miłość tu zastała — odezwała się podchodząc — bardzom rada, bo dawno noszę na ustach słowo, prośbę, której nie mogłam wypowiedzieć.

August podniósł oczy, był pewny, że chodzi o jakiś podarek, który śmiałe dziewczę w imię dawnych wspomnień chce wyłudzić.

— Cóż chcesz, moja Bianko? — zapytał.

— Nie dla mnie — odparła zatrzymując się w pewnem oddaleniu — coś dla Dżemmy bym wyjednać chciała.

— Dla niej? Cóżby to mogło być, czego ona nie chce zażądać sama?

— A! ona tego nie może ani żądać, ani się domyślać — dodała poważniej Bianka. I spojrzała królowi w oczy smutnem a surowem wejrzeniem.

— Miłość wasza gotujecie Dżemmie los straszliwy — poczęła powoli. — Ona wierzy w miłość wieczną i ani się domyśla jak prędko się te pajęcze nici rozerwą. Ze mną było co innego, jam nigdy bardzo nie ufała nikomu, nawet W. Miłości, gdyś mi poprzysięgał kochanie, które w trzy miesiące rozwiało się i znikło... ale Dżemma rozkochana, rozmarzona Dżemma... ją straszny los czeka. Ona sobie może odebrać życie, oszaleć... ja nie wiem. Jeżeli ją kochacie, przygotowujcie ją lepiej zawczasu do tego co nieuchronne. Biedne dziecko!

Westchnęła Bianka. Młody król słuchał zmięszany nieco, przestroga z ust dziewczyny była tak dziwna, że odpowiedzieć na nią nie umiał.

— Ja wierzę — dodała Bianka — że wy ją szczerze kochacie dziś, że miłujecie gorąco, że nie chcecie przewidywać jak się to skończy... ale możeż się to inaczej skończyć jak — opuszczeniem! Wam przywiozą żonę młodą, powoli zyska ona wasze serce. Dżemma znudzi ciągłemi skargami i samą swą natarczywą miłością.

Ze mną było wam łatwo, odwróciliście się odemnie do Maryi, a ja śmiałam się wkrótce do kogo innego, bo mam taką naturę... ale Dżemma kocha inaczej! Ona nie da wam spokoju, bo go sama nie odzyszcze więcej... ona może umrzeć. Jej bogato wydać za mąż nie potraficie, bo ona niczyją być po was nie zechce. Nie rozżarzajcież tego pożaru, w którym ona spłonąć może. Nie będzież wam żal tej istoty, tak stworzonej do szczęścia i do uszczęśliwiania?

— Ja ją kocham — odparł król zasępiony. — Wierz mi Bianko, że wcale się z nią rozstawać nie myślę.

— Ale Miłość Wasza wiesz dobrze, że to trwać nie może — rzekła pośpiesznie Bianka. — Kochaliście nie mówię mnie, ja byłam może dla was zabawką... a Marietta, a Giulietta, a Rosa...

Podniosła rączki trochę duże ale kształtne do góry.

— Królu mój, któż zdobycze wasze policzy! — zawołała. — Przypomnijcie Mariettę! Nie kochaliście jej jak Dżemmę, a przecież...

Nie dokończyła. August oczy spuścił.

— Nie rozumiem czego chcesz odemnie — rzekł sucho.

— A mnie się trudno wytłómaczyć jaśniej — szepnęła Bianka. — Biedna Dżemma, ona tak wierzy! tak ufa! tak jest pewną...

Mówiła jeszcze Włoszka, gdy król dał jej znak, posłyszał a raczej przeczuł nadbiegającą Dżemmę, która posłyszawszy zdala rozmowę przyspieszała kroku, leciała zadyszana, zarumieniona, rzuciła się wprost na Biankę, która krzyknąwszy uciekła, a potem podbiegła do króla.

Brwi się jej strasznie ściągnęły.

— A! ta podła Bianka! — krzyknęła — korzysta z tego że mnie nie było, aby się zalecać.

Rozśmiał się August, wstając i podchodząc do zagniewanej, którą objął, chociaż odpychać go chciała.

— Bianka, przysięgam ci, mówiła tylko o tobie! — rzekł łagodząc.

— O mnie? to zapewne aby mnie, tak jak ona umie, uczynić śmieszną, aby serce ostudzić? — zawołała.

— Mylisz się, nie masz lepszej nad nią przyjaciółki, brała twoją stronę!

— Przeciwko komu? — krzyknęła Dżemma.

— Przeciw własnym przywidzeniom — dodał król — zdało się jej, że ja cię nie tak kocham, jak powinienem.

— Żartujesz ze mnie — rzekła nadąsana Włoszka łagodniejąc.

— Mówię prawdę — potwierdził król — wierz mi, Bianka jest płochą ale dobrego serca dziewczyną.

— A ja? — wtrąciła żywo Dżemma — ja zapewne nie płochą ale złą za to!

August się śmiać zaczął.

— Dziwaczysz! — rzekł.

Wolnym krokiem odstąpiła od niego piękna Włoszka i poszła usiąść na swem krześle. Twarzyczka się jej nie rozjaśniała, milczeli dosyć długo, spoglądając ku sobie.

— A! — poczęła wreszcie nie mogąc się dłużej utrzymać Dżemma — co ja cierpię! Zazdrość mnie spali!

— O kogoż jesteś zazdrośną?

— O tę, która przybywa — mówiła Włoszka. — Wy mnie nie chcieliście pokazać jej wizerunku, chociaż wiem że go macie. Alem widziała u królowej. Młoda bardzo, piękna.

— Nie tak jak ty?

— Ale ja.. żoną nie jestem! — westchnęła Włoszka. — Ona mieć będzie wszystkie twoje godziny, ja kradzione. Przez ten czas, gdy ani widzieć ani słyszeć was nie będę, zazdrość mnie zadławi. Umrę...

Porwała się z siedzenia.

— Nie, nie, tak pozostać nie może — dodała. — Mam do was prośbę, mylę się, mam żądanie, które spełnić musicie. Noszę się z niem.

Spojrzała mu w oczy.

— Spełnisz je? — zapytała.

— Jeżeli jest w mojej mocy — rzekł August.

— Nie, choćby nie było w mocy waszej, musicie wszelkiemi sposoby postarać u matki, aby się tak stało jak ja chcę.

August czekał, aby się jaśniej wytłómaczyła.

— Naznaczone będą panny do dworu młodej królowej — rzekła — ja muszę być w ich liczbie, być przy niej i stać na straży...

August ramionami poruszył.

— Abyś siebie i mnie swoją niecierpliwością zdradziła — zawołał — co za myśl dziwna! Stałabyś się niewolnicą...

— Wolę to, niż stać zdaleka, nic nie widzieć i zagryzać się domysłami — rzekła Dżemma.

— Ja o to królowej prosić nie mogę — odezwał się August — wątpię, ażebyś ty potrafiła, a matka moja nigdy na tę myśl nie wpadnie.

— Nie wiem kto i nie wiem jak się to ma zrobić — odezwała się Dżemma — ale wiem, ja tego chcę, pragnę, że wszystkom uczynić gotowa, aby się to stało i stać się musi.

Nogami uderzyła w podłogę, śliczne oczy jej spojrzały ogniście...

— Ja się zamęczę domysłami, ja roić będę... i łzami się zalewać — mówiła znowu. — Będąc przy niej, będę patrzyła, będę się poiła trucizną, ale ona nigdy tak gorzką być nie może, jak moje marzenia. Któż wie, przy boku królowej potrafię może odstręczyć was od niej.

— Ja jej nie kocham, Dżemmo — rzekł August spokojnie — wiesz o tem...

— Ale ona o twą miłość starać się musi i będzie, temu ja chcę przeszkadzać...

— Dziecko — odezwał się młody król pomilczawszy — z twoim temperamentem, niecierpliwością, narażać się na to, aby twoją i moją tajemnicę natychmiast odkryto.

Dżemma ruszyła ramionami.

— Jaką tajemnicę? — odparła. — Ja nie mam żadnej, i wasza, jeżeliście z waszej miłości dla mnie czynić ją chcieli, dla nikogo nie jest zakrytą. Wszyscy wiedzą, że ja was kocham. Chcę aby to na cztery strony świata otrąbiono na krakowskim rynku... Co mi tam! Tak, jestem niczem więcej jak kochanką młodego króla, ale mam jego serce, a tamta będzie żoną i nie dostanie nic... oprócz pierścionka i zimnej dłoni.

Gdy to mówiła, król wsparty na ręku milczał, słuchał i przestrogi Bianki może mu na myśl przychodziły. Dżemmę trudno pohamować było, a on, łagodny dla niej, słaby bo rozkochany, mniej mógł to niż ktokolwiek inny.

Nie otrzymując odpowiedzi Dżemma, zbliżyła się do siedzącego, położyła mu obie ręce na ramionach, zbliżyła usta do czoła, starała się dobyć słowo, wyjednać obietnicę.

August milczał.

— Mów, dopomożesz do tego? — szeptała — królowa teraz dla ciebie zrobi wszystko... a ona może co zechce.

— Wiesz, iż ona jak najmniej mięszać się zamierza do tego, co się tyczy młodej pani. Chce pozostać z daleka i obcą — mówił August po cichu. — Na przekór jej sprowadzono moją narzeczoną; miała zamiary inne...

— Tak, ale nawet nie będąc czynną, królowa może wszystko — mówiła uparta Włoszka. — Stary król aby ją zaspokoić na wiele się zgodzi, a wielkaż to rzecz jednę dziewczynę we fraucymerze pomieścić?

— Z ręki mojej matki? obawiać się jej będą — rzekł król — tembardziej gdy, jak sama powiadasz, wszyscy wiedzą, że ja kocham ciebie. W ostatku, królowa Elżbieta prowadzi z sobą Niemki swoje, ochmistrzynię własną, cały dwór.

— I wy ją otoczoną temi obcemi zostawicie, aby one spiskowały? — zawołała Dżemma.

Przerwała nagle, odstąpiła kroków kilka.

— Powiedziałam wam co mam na sercu; jeżeli mnie kochasz, uczynisz, postarasz się zrobić co Dżemma pragnie... lub twoja Dżemma powoli wyschnie i umrze z zazdrości i gniewu, gdy nic widzieć, niczemu zapobiedz nie będzie mogła.

— Gorzej jeszcze męczyłabyś się — odparł król — patrząc, widząc i nie mogąc nic...

— Ja lepiej wiem czego i dlaczego żądam — odezwała się Włoszka — a od tego nie odstąpię! nie!

— Ale to jest niepodobieństwem!

Zatknęła sobie uszy Dżemma i odbiegła kilka kroków.

August się zasępił — rozmowa przerwała.

Postrzegła wreście Włoszka, iż zły humor, który dziwaczne jej żądanie wywołało, potrzeba było rozpędzić... Siadła na podnóżku przy królu, położyła główkę na jego kolanach, i oczyma szukała jego wejrzenia.

Zaczęli szeptać po cichu.

Zapukano do drzwi zlekka. Zerwała się Włoszka gniewna. Od komnat wewnętrznych przychodziła Bianka, niosąc na srebrnej misie łakocie, wodę i wino.

Podawano je zwykle w tej godzinie.

Bianka zmierzyła wzrokiem oboje, uśmiechnęła się do Dżemmy i szepnęła jej na pociechę, że sama królowa przysłała owoce i cukry.

Lecz dzień to był, w którym się krzyżowało wszystko i Bianka jeszcze nie wyszła z pokoju, gdy do drugich drzwi zapukano, a z samego uderzenia w nie domyślił się August, że ktoś przychodził do niego. Wyjrzał przez drzwi. Stał za niemi Opaliński.

— Stary król was wezwać kazał — odezwał się zcicha.

Godzina niezwyczajna była — ale teraz tyle drobnych spraw nieustannie się nastręczało, że niczemu się dziwić nie było można. W istocie Zygmunt korzystał z tego, iż mu doniesiono, że Bona była z Gamratem na radzie, chciał ze synem rozmówić się sam na sam.

Pomiędzy synem a ojcem stosunek nie był nigdy zbyt poufały — Zygmunt, pamiętny własnej młodości, znajdował obowiązkiem być dosyć surowym dla jedynego, którego kochał, nad którym czuwał, ale okazywać mu zbytniej czułości się obawiał. Powaga ojcowska, którą utrzymać się starał, cierpiałaby na tem, zdaniem jego. Gdy przed nim zbyt wychwalano Augusta, najczęściej powtarzał to co mu później w usta kładną.

— Zostawcie też co naganić.

Im bardziej pieściła Bona, tem król był zimniejszym, lękał się zbytniego rozmiękczenia tam, gdzie męzka siła i wola były niezbędne.

Gdy Zygmunt raz rozkazał i objawił, czego żądał, nie było żadnych wymówek. August posłusznym być musiał.

Domagano się teraz dla dwudziestokilkoletniego pana więcej swobody, jakiegoś w rządach udziału — ojciec się na to nie zgadzał. Obchodził się zawsze z synem jak z wyrostkiem.

W sercu Augusta poszanowanie dla ojca było wielkie — miłość obudzić się nie mogła, zwłaszcza gdy Bona tłumić się ją starała w zarodku, zawsze we własnym interesie, stając po stronie dziecka przeciw ojcu.

Idąc do ojca przewidywał August, iż rozmowa tyczyć się będzie tego, około czego teraz obracały się wszystkie rozmowy — małżeństwa; lecz najdrobniejszy szczegół ubioru, koni, powozu, mógł być powodem do wezwania. Nie przywiązywał do niego zbytniej wagi.

Godzina była wieczorna, stary Zygmunt spoczywał już na łożu swem i jeden dworzanin stał u drzwi, który na znak dany przez niego natychmiast zniknął.

August ucałował rękę ojca, który mu się przypatrywał długo, bacznie, nim mówić począł.

— Listy dziś z Wiednia nadeszły — rzekł powoli, rzucając słowo po słowie. — Elżbieta wkrótce wyrusza w podróż. Jest to chwila w życiu twem ważna, o przyszłości stanowiąca. Bóg świadek, żem dla przyszłego szczęścia twojego uczynił co było w mej mocy. Żonę mieć będziesz wychowaną pod okiem dostojnej matki, dziecię miłe, łagodne, posłuszne... kochać je i z miłością przyjąć potrzeba.

Stary król westchnął.

— Matka ma uprzedzenia, nie lubi jej, nie życzyła sobie — ciągnął dalej — wiem o tem i spodziewam się, że się to odmieni. Nie dajże w siebie przelać tych uprzedzeń i niechęci.

August stał słuchając niemy.

— Z tego dziecięcia — mówił stary — bo to jeszcze jest niemal dziecię, wszystko uczynisz co zechcesz... Bierzemy je i za szczęście jego jesteśmy odpowiedzialni. Rozumiesz?

Syn skłonił głowę.

— Nie daj się zniechęcić zawczasu — dodał ojciec.

Nie było odpowiedzi. Zygmunt Stary dużo mówić nie lubił, zamilkł patrząc na syna, który ze spuszczonemi oczyma stał milczący.

— Miłostkom, które się młodości przebaczały — dodał ojciec — trzeba dać spokój... i o nich zapomnieć. Nie przystałyby dzisiaj, a zatruły pierwsze stadła waszego początki.

I znowu chwila milczenia przykrego rozdzieliła mowę Zygmunta, który się namyślał w syna wlepiając oczy.

— Matka się dąsa, babskie to są kaprysy — rzekł. — Wszystko to przejdzie, minie, zmieni się gdy ty rozum mieć będziesz... Na tobie teraz wiele zależy. Nie mogła ci się Elżbieta nie podobać z wizerunku, ja kocham ją już jak własną córkę. Nakłoń ku niej serce swoje.

— Nie znamy się jeszcze — szepnął August.

— Pisywaliście do siebie — odparł stary. — Piękna jest, młoda i jak najlepiej wychowana. Niemka, to prawda, ale my z niej zrobimy co zechcemy... to od ciebie zależy... Taką była nieboszczka matka nasza, a daj Boże, aby wszystkie jak ona żonami były i mat-

kami przykładnemi... Nie kochał jej ojciec gdy się żenił ale przywiązał potem najczulej, i szczęście znalazł w małżeństwie.

Zygmunt westchnął głęboko, przypomniawszy sobie że on go nie miał, tylko przez ten krótki przeciąg czasu, gdy żył z Barbarą. Drżącą ręką nieznacznie otarł łzę z oka.

— Żądają odemnie Litwini, życzą sobie i panowie koronni, abym się z tobą władzą podzielił i dał ci zakosztować panowania — mówił dalej powoli. — Chcą abym patrzył i kierował. Zacznijże od tego, byś u siebie w domu z żoną rządzić się umiał i znalazł potemu wolę własną.

August mógł zrozumieć alluzyę do matki, ale podnosić jej nie mógł.

— Spodziewam się po tobie, że mi nie zatrujesz tych dni, które starość czyni ciężkiemi do noszenia.

Milczenie przerwało znowu tę naukę ojcowską, która z piersi starego powoli i z trudnością się dobywała.

— Rozpuszczają fałszywe wieści — rzekł ciszej — że Elżbieta jest słabowitą i cierpi na jakąś tam chorobę zmyśloną. Wszystko to są bajki tych, którzyby radzi serce twe od niej odciągnąć. Słyszałeś o tem? — zapytał.

Nie mógł August zaprzeczyć.

— Matka mi o tem wspominała — rzekł krótko.

— Nie lubi jej, więc przyjmuje wszelkie baśnie, które ją usprawiedliwić mogą — ciągnął dalej Zygmunt. — Ja mam lepsze wiadomości... fałsze to są. Delikatna, wątła, pokrzepić się powinna, gdy się uczuje u nas miłością otoczona. Ja będę jej najczulszym ojcem... a ty?

Dał czas do odpowiedzi. Syn skłonił się.

— Zastosuję się do woli waszej — przebąknął zimno.

— To nie dosyć, nie dosyć — żywo przerwał Zygmunt — musisz ją pokochać z własnej woli, bo na to zasługuje.

Po ostatnich słowach milczenie nastąpiło tak długie, iż August sądząc rozmowę skończoną, już się chciał oddalić, gdy król rzekł jeszcze.

— Nie daj się powodować babskim intrygom. Staraj się matkę nawrócić, tego oczekuję i wymagam po tobie.

Wyciągniętą rękę ucałowawszy, syn powoli odszedł ku drzwiom i zaledwie je przestąpiwszy znalazł w drugiej komnacie, jakby oczekującego na siebie biskupa Samuela.

Maciejowski przystąpił do młodego króla z wyrazem wielkiej uprzejmości i poszanowania i zatrzymał go, gdy chciał iść dalej.

— Król JMość — rzekł — uprzedził mnie o rozmowie, jakiej sobie życzył z miłością waszą; zlecił mi też poufnie, abym w tym przedmiocie mówił z wami.

Spojrzeli sobie w oczy. August stał, jakoś biernie się zachowując i raczej gotów do słuchania niż do mówienia. Jagielloński to był obyczaj, bo wszyscy, z małym wyjątkiem, skąpi bywali na słowa. Jeden Jan Olbracht i kardynał różnili się od braci.

— Król stary się tem niepokoi — począł Maciejowski — iż was zawczasu starają się do młodej pani zniechęcić. Dla serca ojcowskiego byłby to cios bardzo bolesny, gdybyście jego miłości dla narzeczonej swej nie podzielali. Król ją kocha jak dziecię własne.

— Wiem o tem — rzekł August — ale odemnie, który jej nie znam wcale, niepodobna wymagać wczesnego afektu.

— Tak, byleby wczesny i nieusprawiedliwiony wstręt go nie uprzedził — rzekł Maciejowski. — Na dworze, a dzieje się to na wszystkich dworach, intryg krzyżuje się mnóstwo, nie dajcie się w nie uwikłać.

— Ja nawet ich nie widzę dotąd — odparł August.

— To może tem gorzej — rzekł biskup z uśmiechem — bo my, co je dostrzegamy, lękamy się ich dla was.

August poruszył nieznacznie ramionami.

— Królowa JMość ma żal do nas wszystkich — mówił ks. Samuel — żeśmy związek z wnuczką króla Władysława popierali, lecz myśmy to czynili stosując się do woli pana naszego. Spełniliśmy czego najgoręcej żądał... Małżeństwo ze wszech miar rokuje się szczęśliwem.

August z oczyma spuszczonemi słuchał.

— Nie godzi mi się — dodał biskup — syna przeciwko matce jątrzyć, i niech Bóg mnie od tego uchowa, lecz królowa czuje się obrażoną, iż jej nie usłuchano... to wszystkiego przyczyną.

— Ale miłość wasza — przerwał August — zaprzeczyć nie możesz, że matka, równie jak ojciec, pragnęła dla mnie szczęścia; któż dziś może rozsądzić, czy się omylił ojciec czy ona?

— Szczęście to — miłościwy panie — żywo odpowiedział ks. Samuel — zależy zupełnie od was. Wszystko, co je dać może, znajduje się w osobie przyszłej królowej... nie trzeba tylko odtrącać.

— Alem nie zasłużył, aby mnie o to posądzano — odparł August — nie jestemże posłusznym?

Biskup skłonił głowę.

Kilka słów zamienili jeszcze, i gdy młody pan poruszył się jak gdyby chciał odejść, ks. Samuel go nie wstrzymywał. Pożegnali się grzecznie lecz zimno.

Królowa Bona już wiedziała o synu; na drodze zastąpił mu dworzanin wzywający go do niej. Nie była samą, wieczorni goście właśnie do *Collazione* na sposób włoski zasiadać mieli. Komnata jadalna królowej była oświecona, stół zastawiony i goście już byli przy nim.

Bona była więcej niż rządną, znano jej skąpstwo: nie było w podaniu zbytku ani dla oka, ani dla podniebienia. Tylko ulubieniec Gamrat, o którym pamiętano, dostawał wino jakie lubił, łakocie które jadał i przysmaki dla niego przeznaczone. Królowa nie lubowała się zbytnio w jedzeniu, a wówczas już poczynała być cierpiącą. Siedziała za stołem, mając u krzesła swego dwie panny, a jedną z nich była Dżemma, która po chodzie poznawszy Augusta, odwróciła się ku wchodzącemu i pierwsza powitała go wzrokiem śmiało zmierzonym ku niemu.

Obok Gamrata siedziało dwu starszych urzędników. Biskup, od niejakiego czasu ponury i smutny, teraz też rozchmurzyć się jeszcze nie mógł i siedział posępny.

Bona przypisywała to Sobockiej, chociaż nikt właściwie przyczyny tej zmiany humoru odgadnąć nie mógł. Kto dawniej znał wielomównego, wesołego, ożywionego, aż nadto wesołości i zaufania w sobie okazującego Gamrata, teraz go ledwie mógł poznać w surowym i milczącym, nagle starzejącym i jakby strwożonym czemś człowieku. Wzrok jego zdawał się widm jakichś szukać dokoła. Pobłażający dawniej dla duchowieństwa, stał się teraz nad miarę surowym i ścisłym w postrzeganiu karności. Słowem Gamrat to był inny. Przywiązanie jego tylko do królowej i wierna stałość w jej usługach, pozostały jak były. Trzymał stronę Bony we wszystkiem.

Widząc wchodzącego młodego króla, podniósł się Gamrat — miejsce obok matki oczekiwało na niego. Bona oczyma już w twarzy syna czytać się starała, co z sobą przynosił.

Zaledwie usiadł, Dżemma pośpieszyła podać mu wodę i ręcznik, ale młody pan jeść nie chciał i podziękował jej za nie.

Matka schyliła się ku niemu.

— Byłeś u ojca?

Tu się posypały zapytania, a biskup nachylony słuchał razem z królową odpowiedzi. Ale August zbył krótko, mówiąc, że ojciec zwykłe mu powtórzył nauki i przestrogi.

Z zaciśniętemi ustami i szyderskim twarzy wyrazem słuchała Bona, zdając się mówić: Napróżno walczyć myślicie ze mną!

Dla Gamrata, a razem dla syna, którego smutek od dni kilku coraz się powiększał, Bona oprócz wieczerzy przygotowała rozrywkę.

Włoch Monti, sławny muzyk i śpiewak, miał przyjść z lutnią i kilka Canzon odśpiewać. Monti od niedawna przybył do Polski, umyślnie na dwór królewski, spodziewając się czasu wesela dobrego żniwa dla siebie.

Było wówczas w obyczaju, że nietylko ci co śpiewaka w swym domu mieć chcieli, opłacali go, ale goście dostojni, którym się podobał, obsypywali go podarkami. A że próżność niejednego skłaniała do popisu z hojną ofiarą, śpiewak w ten sposób mógł się dobrze obłowić.

Kilka, kilkanaście dni weselnych, turniejów a po nich uczt zwykłych starczyły, aby długą podróż opłacić i do domu wrócić z zapasem. Dawano pieniądze, pierścienie, łańcuchy, kubki i inne kosztowności.

Monti, Włoch najczystszej krwi, o którego pochodzeniu mówiono różnie, bo go nawet do bardzo świetnych koligacyj z lewej ręki liczono, odebrał był wychowanie staranne i miał wszystko co go zalecać mogło, w dodatku do pięknego głosu.

Przedewszystkiem śmiałość i brawurę w występowaniu, wiarę w siebie, a przytem zamiłowanie w stroju i elegancyi. Był to mężczyzna lat około trzydziestu mający, urody pięknej, brunet z czarnemi ognistemi oczyma, z włosami kruczemi w puklach spadającemi na barki. Każdy ruch jego, krok, sposób, w jaki wdzięcznie powyginanemi palcami lutni dotykał, ukłon, uśmiech, wszystko było obrachowane zalotnie. Stroił się kosztownie, a obcisłe suknie uwydatniały budowę ciała posągową. Oczy też wszystkich, nadewszystko dziewcząt, zwróciły się na czarodzieja, który lutnię niosąc w ręku, krokami tancmistrza zbliżał się do królowej.

Czarny ubiór czynił go smuklejszym jeszcze niż był w istocie i płeć białą podnosił. Na szyi miał łańcuch, dar cesarza, kosztowny, a na stradjotce krótkiej, rzucony lekki płaszczyk. Na palcach błyszczały piękne pierścienie.

Królowej Bonie podobał się nietylko z głosu i postawy, ale z pochlebstw któremi ją obsypywał. Zawczasu mu się uśmiechała.

Cisza nastała w salce, gdy Monti się zbliżył, a gdy na rozkaz królowej podano mu taboret, którego zająć odmówił, najmniejszy szelest ustał, tak że pryskanie palących się świec woskowych usłyszeć było można.

Monti, chociaż na taborecie byłby może równie malowniczo wyglądał, wolał przecie stać bo tym sposobem piękna jego figura jeszcze się zręczniejszą wydawała i ruchy, któremi towarzyszył pieśni, miał swobodniejsze. Można było powiedzieć, że nie śpiewał, ale odgrywał swe pieśni, tyle było mimiki w wejrzeniach, w podnoszeniu i spuszczaniu głowy, w wyrazie ust, w gestach rąk, które lutnią to szarpały namiętnie, to dotykały jej zaledwie.

Namiętny śpiew i gra, nie dziw, że na słuchaczach ogromne czynił wrażenie. Gdy pierwsza pieśń przebrzmiała, pochwałom nie było końca, a artysta wodząc oczyma po przytomnych, odbierał nieskończone dzięki w spojrzeniach ognistych kobiet.

On — on, choć nie gardził i najskromniejszą sympatyą, zdawał się głównie dbać o to, aby się królowej starej i stojącej za nią Dżemmie podobał. Ścigał ją, oblegał swym ognistym wzrokiem, a piękna Włoszka, choć jej to pochlebiało wielce, w końcu czuła się obrażoną i surową ukazała twarz, odwracając od niego oczy.

Po pierwszej Canzonie, poszła druga i trzecia, po smętnej wesołe, po tych figlarne, a w żadnej z nich, jak przewidzieć łatwo, nie zbywało na motywie miłośnym.

Monti był szczęśliwie usposobiony.

Gamrat podał mu kubek wina, który on, przyklęknąwszy spełnił za zdrowie królowej.

I August nieco się rozweselił słuchając ślicznych śpiewów, które go w jakiś lepszy, jaśniejszy świat przenosiły.

Kwiecień upływał, gdy w Krakowie sposobiono się na przyjęcie królewnej, matka i ojciec jej z trwogą oczekiwali dnia rozstania, gdy młodziuchną, słabą, wylękłą istotę mieli oddać w ręce obce.

Spodziewano się wiele po starym królu Zygmuncie, lecz wiedziano też zawczasu, jak była usposobioną i co tu znaczyła Bona. Król ojciec tem siebie i matkę pocieszał, że losy córki Bony, Izabelli i jej syna miał w swych rękach, że cesarz brat jego mógł neapolitańskie księztwa podległe mu, jeśli nie odebrać królowej, to zagrozić jej prawom do nich.

Spodziewano się więc tutaj, że młoda pani, mając opiekę ojca i stryja, musi na dworze polskim być dobrze przyjętą.

Matka, która najczulej do tego dziecka przywiązaną była, obmyśliła też środki, aby młodziuchne dziewczę, nagle się przenosząc w ten świat nieznany, miało u boku troskliwą piastunkę i służbę własną, do której była przywykłą.

Elżbieta w istocie potrzebowała tej opieki i czuwania; był to kwiatek zaledwie się rozwijający, ale wątły, blady i trwożliwy. Pieszczoszka i ulubienica matki, ciągle przy niej, nawykła do objawów miłości wielkiej rodziców, potrzebowała jej jak powietrza do życia. Nie zbywało jej na piękności, a nadewszystko na niewinnym, dziewiczym wdzięku, któremu nieśmiałość dodawała wyrazu... Chód jej, wejrzenie, każde słowo zdradzały duszę

łagodną, potrzebującą, aby ludzie w obejściu się z nią, poszanować ją umieli. Pragnęła się wszystkim podobać, a nikogo nie chciała zaćmić — tak była pokorną i skromną.

Matka napróżno chciała jej wmówić, aby więcej nabrała odwagi, a mniej się korzyła przed ludźmi — odpowiadała jej uśmiechem i naiwnem słowem:

— Kiedy nie umiem być inną.

I podnosiła oczy ku matce, która jej rozczulonym odpowiadała uściskiem.

Elżbietka taką była od dzieciństwa. Więcej energii życzyli jej rodzice, wiedząc o losie jaki ją czekał, ale z wiekiem nie zmieniła się łagodność, nie ustąpiła bojaźliwość. Miała jakby przeczucie przyszłych swych losów. W Polsce czekały na nią złota korona Jadwigi, cierniowy wieniec i męczeńska aureola... Wszystkiego byłaby się chętnie wyrzekła, lecz los ją czynił ofiarą — musiała iść jako zakładnik pokoju, przymierza, jako węzeł dwu panujących rodzin.

Z Polski i Herberstein i inni przywozili zatrważające wieści. Ale tu im wierzyć nie chciano, sądzono je przesadzonemi.

Młoda królowa miała oprócz króla, najdostojniejszych mężów w Polsce za sobą. Matkę zastępować jej miała ochmistrzyni, kobieta, na którą najwięcej liczono, energiczna, rozumna, mężna Kätchen Hölzelinowna. Ochmistrzyni ta, na której rękach wychowała się Elżbietka, pochodziła z rodziny, której kilka pokoleń już służyło na dworze, a przywiązanie jej do wychowanki było macierzyńskie. Niezamężna, sama na świecie Hölzelinowna, nie miała na nim nikogo, oprócz Elżbietki swej i dla niej gotową była poświęcić życie.

Silnie zbudowana, zahartowana latami, czynna, pracowita, Kätchen miała ten spokój siły i ten takt zimny, który w boju szczególniej jest niezbędny. Wiedziała ona dobrze, co ją w Krakowie czekało i zawczasu się zbroiła. Poprzysięgła wcześnie królowej matce, że w żadnym razie, postrachem ani intrygą nie da się odciągnąć od Elżbiety i na krok jej nie odstąpi. Wszystkie zresztą sługi mające towarzyszyć młodej pani do Polski, z równem były dobrane staraniem. Matka na ich wierność i poświęcenie mogła rachować.

Cesarz Karol V. powtarzał z dumą trwożącej się bratowej, że przecież synowicy jego nic się złego stać nie może!

A jednak w chwili rozstania, wyjazdu, gdy potrzeba było ruszyć w tę podróż — przeznaczenia, polały się łzy boleśne. Król ojciec, oprócz tych, co otaczali córkę, należąc do jej orszaku, potajemnie wysyłał ludzi, aby zasięgnąć wieści, jak tam ją przyjmować się przygotowywano. Wszystko brzmiało jak najpomyślniej.

Ze strony króla Zygmunta nie zaniedbano nic, aby młodej pani na pierwszym kroku dać jak najlepsze wyobrażenie o kraju, który miał być dla niej nową ojczyzną. Wybór nawet pory roku zdawał się mieć na celu, by w majowej zieleni, w wiosennych szatach, młodej królowej Polska wydała się uroczą.

Zajęcie przybyciem Elżbiety, z przykrością dla Bony, tak powszechnie opanowało umysły, tak się stało gorączkowem, tyle współzawodnictw wywołało — iż ona, która chciała je ignorować, pozostać zimną, bierną, wśród tego poruszenia, znalazła się odosobnioną i czuła jakby straciła na znaczeniu i powadze.

Kmita, Gamrat, Opaliński, inni jawni i potajemni sprzymierzeńcy królowej, w tej chwili razem z jej nieprzyjaciółmi pracowali tylko, aby przy wjeździe uroczystym nie dać się zaćmić.

Codzień przybiegali niemal posłańcy oznajmujący o podróży Elżbiety, o zbliżaniu się jej ku granicom.

Na przyjęcie tu, oprócz wysokich dygnitarzy, król Zygmunt Stary uprosił dwie najdostojniejsze niewiasty, które do ulubionych Bonie nie należały. Jechała z dworem licznym żona hetmana Tarnowskiego, Szydłowiecka z domu, i siostra jej księżna na Oleśnicy.

O tem wszystkiem mówiono codzień wszędzie, i w otoczeniu Bony, która słuchała zimno i dosadnie starała się okazywać, że ją to bynajmniej nie obchodziło. Kosztowało ją to wiele, bo zbliżała się walka, do której z namiętnością tem większą, iż gwałtem tajoną, przysposabiała się Włoszka.

Dwór przyszły królowej młodej i króla, do którego wyboru Bona się mięszać nie chciała, przez samego króla został wyznaczony.

Dżemma, która postanowiła się wcisnąć do orszaku młodej pani, z zaciętością starała się przyprowadzić do skutku myśl dziwaczną, ale spotykała nieprzełamane do tego zawody.

August nie mógł się wstawić za nią, Opaliński się nie ważył. Ochmistrzynie obie lękały się o tem napomknąć Bonie, rozdrażnionej i nadąsanej, nielubiącej najmniejszej wzmianki o Elżbiecie i tem co się jej tyczyło.

Dżemma rzucała się próżno na wszystkie strony, i w końcu musiała, padłszy do nóg Bonie, sama się ważyć na to, aby ją prosić o zalecenie młodej królowej do jej orszaku.

Gniewem naprzód wybuchnęła pani, i nierychło się uspokoiła, dając przebłagać. Dżemma mogła jej być pomocną, lecz razem niebezpieczną.

Niechcąc mówić nawet o tem dłużej, odprawiła ją rozpłakaną z niczem.

Ostatnia wiadomość zapowiadała przybycie Elżbiety, po rozstaniu się z matką w Korneuburgu, do Ołomuńca.

Tu na nią posłowie polscy czekali. Panie, orszak przygotowany spotkać miał w Oświęcimiu. Seweryn Boner, w pięknym swym dworze w Balicach gotował się pierwszy pokłonić młodej pani, której sprawą gorliwie się zajmował.

W Balicach, czwartego maja, była już tak jak w Krakowie i tu zatrzymano się tylko, aby na dzień następny ów wjazd, co tyle pracy i zabiegów kosztował, urządzić i zgotować na dzień następny.

Z wyjątkiem pokojów Bony, na których pusto było i cicho, na całym zamku wieczorem, przez noc całą, ruch nie ustawał. Młody król temi przygotowaniami tak był zajęty ciągle, iż do matki nawet zbiedz nie mógł, a Dżemma zapłakana próżno czekała na niego do późnej nocy.

Na każdy szelest w korytarzu zrywając się i biegnąc ku drzwiom napróżno, wracając potem zawiedziona Włoszka na przemiany płakała i przeklinała.

Było już blizko północy, gdy weszła do niej litościwa Bianka. Ta już była rozebraną jak do łóżka, i narzuciła tylko lekki płaszcz łaziebny na siebie, a czarne długie włosy, których związać nie miała czasu, spływały jej na białe ramiona.

Dżemma sukni nawet dotąd nie zdjęła.

Zobaczywszy ją z chustką na oczach, w sznurówce, w pasie i całym stroju, Bianka rozgniewana, podszedłszy ku niej uderzyła w ręce.

— Dżemmo moja! — zawołała z macierzyńską troskliwością — co się z tobą dzieje! Dziecko nieszczęśliwe, oczy wypłakujesz nadaremnie, gdy ci właśnie najpiękniejszą być potrzeba.

Ale porzućże te łzy Aryadny, bo nie jesteś opuszczoną!

Królowej starej będziesz teraz najpotrzebniejszą, na rękach cię nosić każe.

— Przez cały dzień nie był u mnie! — wykrzyknęła Dżemma, ręce łamiąc — ostatniego dnia, gdy mogliśmy jeszcze być sami.

Bianka słuchała z uśmieszkiem.

— Bądź pewna, że go za to zobaczysz jutro, bo zatęskni za tobą... ale dziś on sobą nie władał.

Zrzućże te suknie, połóż się, spocznij, abyś była piękną; my dwie musimy gdzieś sobie wyszukać miejsce, z któregobyśmy wszystko, wszystkich jak najdoskonalej widzieć mogły. Nieprawdaż? Stara królowa z zamku się nie ruszy krokiem, a my otrzymamy pozwolenie łatwo.

— Ja nic widzieć nie chcę! — zawołała Dżemma — nic, nic!

— Jakto! nawet twojego króla, gdy będzie śliczny taki paradował na koniu.

— Przy jej kolebce — zawołała Włoszka.

— A tak! i jej powinnaś być ciekawą, jak blada i strwożona jechać będzie na te królewskie gody, które dla niej staną się męczarnią królewską!

Dżemma podniosła się.

— Ostygnij i pomyśl — dodała Bianka. — Co ci pomoże siedzieć tu w kącie, gdy możesz pokazać oblicze i tryumfować, bo nie ma wątpliwości, że jesteś od niej piękniejszą.

Tomek, dworzanin króla, właśnie z Balic powraca, widział ją jak wysiadała do dworu drżąca, iż pod boki musiano trzymać, bo się słaniała biedna. A była blada jak ściana, i wydawała się chorą, strwożoną, zmęczoną. To dziecko, a ty...

Słuchała Dżemma z zajęciem.

— Wiesz — mówiła Bianka, zwolna poczynając ją rozbierać — musimy się wyprosić na miasto. Znajdziemy dworzan co nas wyprowadzą zawczasu i znajdą w kamienicy pomieszczenie, z którejby widać było dobrze orszak cały.

Monti, piękny śpiewak, który się w tobie kocha.

Dżemma ręką białą zamknęła jej usta. Śmiała się Bianka.

— Nie rozumiem ciebie — rzekła — nie chcesz nawet pozwolić na to, aby się w tobie kochano! Lecz cóż ci to szkodzi? płacić za to nie potrzebujesz. Ja zaś zawsze rada jestem, gdy ich jak najwięcej około mnie biega i oczyma się modli. To obudza zazdrość i miłość jedyną wzmacnia.

Dżemma rozbierała się machinalnie, zadumana i smutna.

— Jedziemy jutro patrzeć na wjazd, czy nie? — zapytała Bianka — mów, bo ja nie wytrzymam. Ja wszystko widzieć muszę. Na zamku zmięszają się poczty, nic zobaczyć nie będzie można. Królowa nam pozwoli. Mówiłam z ochmistrzynią. My tu jutro nie będziemy potrzebne.

Bianka napróżno czekała odpowiedzi; zatopiona w myślach Dżemma nie słyszała może jej szczebiotania. Nagle zwróciła się drgnąwszy ku niej.

— Masz słuszność! — rzekła żywo — potrzeba nietylko widzieć jutro, ale się pokazać. Niech August widzi mnie wesołą, aby mu zabolało serce! Przez cały długi dzień na jedną chwilkę nie wpadł do mnie!

— Rano więc na miasto? nieprawdaż? — odparła Bianka uradowana. — Ja wszystko przysposobię, przygotuję, urządzę i będziemy miały okno najlepsze.

Zaczęły szeptać. Dżemma z gniewem i namiętnością gotowała się do zemsty.

— Uśmiechnę się szydersko, gdy spojrzy na mnie! — szeptała ciągle zajęta miłością swoją — bo że spojrzy, choćby nie chciał, tego ja jestem pewną. Ja czuję zdaleka wzrok i myśl jego, on mój gniew i wejrzenie musi przeczuć.

Ruszyła ramionami Bianka.

Musiała wziąć w opiekę towarzyszkę, nad którą się litowała. Zaryglowała drzwi od korytarza, na którym ruch ciągle słychać było, zgasiła światło, przeprowadziła Dżemmę do łóżka, położyła ją, okryła, pocałowała w czoło i wesoło pobiegła sama odpocząć.

Ale tej nocy mało kto zasnął na zamku. Bianka musiała wstać rano, ażeby sobie i Dżemmie zapewnić pomieszczenie w jakiej kamienicy w rynku, dla widzenia orszaku. Nie wątpiła, iż stara królowa na prośbę swojej teraźniejszej faworyty pozwoli na to. Lecz trzeba było użyć kogoś, coby stosunkami lub pieniądzmi okienko od ulicy wyjednał i to takie, któregoby się panny królowej wstydzić nie potrzebowały.

Bianka szukała w głowie kogoby użyć do tej spóźnionej negocyacyi, gdy jej na myśl przyszedł pocieszny Dudycz, o którego passyi dla Dżemmy wiedzieli wszyscy.

Nie miała nikogo pod ręką, komuby z większą pewnością skutku powierzyć to mogła.

Petrek miał nadzór części kredensów i służby, ale co to obchodziło zuchwałą Włoszkę? powinien był usłużyć, bądź co bądź.

Dniało zaledwie gdy przyodziawszy się pobiegła tam, gdzie się Dudycza znaleźć spodziewała. Spał on jeszcze na garści słomy w komórce, w której część sreber była złożona, ale, ponieważ go w nocy nawet budzono, na pół ubrany odpoczywał.

— Wstawaj śpiochu! — krzyknęła drzwi uchylając Bianka. — Przychodzę z rozkazem. Nie od króla ani od królowej, ani od marszałka, ale od signory Dżemmy. Jej Piękność i moja Brzydkość chcemy doskonale się przypatrzeć wjazdowi, a wasza Usłużność powinieneś w rynku dla nas wyprosić lub kupić okno, z któregobyśmy i patrzeć mogły i być widziane. A masz wiedzieć, że w ladajakiem towarzystwie i u małego okienka pannom królowej pokazać się nie godzi!

Nogi za pas! panie Dudycz, w drogę i za godzinę masz się stawić z odpowiedzią: że okno w wieńce ustrojono, a ławki dla nas kobiercami obleczono.

Petrek zaledwie przebudzony słuchał oszołomiony niewiele rozumiejąc w początku — naostatek wiedząc o co chodziło, wstał się ubierać, aby zdawszy na towarzysza srebra i ludzi, natychmiast biedz na miasto. Rzecz na pozór łatwa do wykonania, z powodu opóźnienia mogła się stać bardzo trudną; lecz Dudycz gotów był zapłacić, byle ubóstwianej rozkaz został spełniony.

Jakoż w godzinę potem powrócił spotniały i przez Zamechską oznajmił Biance, że w kamienicy naprzeciwko św. Wojciecha na rogu, na dole osobną izdebkę dostał dla panien.

Nie przyszło mu to łatwo, lecz o tem nie mówił. Najwięcej dolegało biednemu, że on sam z powodu służby, pannom towarzyszyć nie mógł. Na to jednak chciał poradzić, potajemnie kogoś zostawując na miejscu swojem. Dla Dżemmy ofiara żadna nie była za wielką.

Rankiem więc, gdy na zamku wyciągano pozłociste aksamitem purpurowym i suknem szkarłatnem wybijane kolebki, gdy ubierano konie, ściągano ludzi, gdy orszaki księcia Albrechta i księcia Cieszyńskiego ściągały z miasta dla towarzyszenia młodemu królowi, który naprzeciwko narzeczonej miał wyjechać, Dudycz okupiwszy swobodę, w komórce się z pomocą chłopca przystrajał najdziwaczniej. Wiemy że stroić się lubił, ale dnia tego, gdy wszyscy się zmagali na najwspanialsze ubiory, niełatwo było Petrkowi tak się wyelegantować, aby na siebie oczy mógł ściągnąć.

Skutkiem nadzwyczajnego wysiłku na najosobliwszy strój włoski, uczynił się jeszcze śmieszniejszym niż kiedy. Nie patrzał bowiem na to, jak się pojedyncze stroju części zgadzać będą z sobą, ale dobywał co miał najwytworniejszego. Zawiesił aż dwa łańcuchy na szyi, do beretu przypiął pióro najkosztowniejsze, a suknię i płaszczyk, choć się kłóciły z sobą wziął najdroższe. Pstro wyglądał jak papuga starej królowej, a twarz znużona jeszcze się dnia tego wydawała starszą niż zwykle.

Dżemma tymczasem ubrała się naumyślnie cała czarno, i w tej żałobie cudnie jej było.

Ponieważ z zamku na Rynek wkrótce, dla natłoku i nieustannie przybywających i odpływających wozów i ludzi, przecisnąć się mogło być trudno, dwie panny musiały zawczasu dostać się do miasta. Dudycz w całej paradzie czekał na nie w korytarzu, spodziewając się przy tej zręczności choć wejrzenie otrzymać jako zapłatę.

Bianka, jakby dla kontrastu, ubieliwszy się i uróżowawszy, jasne i młodsze, niż jej przystało, wdziawszy sukienki, zawczasu była gotową. Dżemmę niełatwo wyciągnąć jej przyszło.

Spodziewała się raz jeszcze tu na zamku, choć przechodzącego, zobaczyć Augusta i ledwie jej oczekiwanie Bianka mogła wybić z głowy.

Zapuściła czarny kwef na twarz, tak aby twarzy jej nikt rozpoznać nie mógł i naostatek wyciągnąć się dała.

Dudycz stojący na straży poszedł na przywitanie, lecz ani słowa ni wejrzenia nie zyskał, a co gorzej, w tejże chwili, niewiedzieć zkąd dowiedziawszy się o tej wyprawie rannej Monti (może Bianka się z nią wygadała), o kilka kroków przyłączył się do idących.

Piękny śpiewak w nader smakownem ubraniu zupełnie zaćmił nieszczęśliwego Petrka, którego zaledwie raczył poprosić o pozwolenie towarzyszenia panienkom.

Dudycz gniewny, chciał za pośrednictwem Bianki wytłómaczyć mu, że miejsca dla niego brakło, ale Monti nie słuchał i nie słyszał.

Dżemma nie milszą była dla tego drugiego adoratora jak dla pierwszego, jednakże przynajmniej się obejrzała ku niemu. Chciał rozpocząć rozmowę, zbyła go milczeniem.

Bianka mówiła za dwie.

W podworcu cudowny widok się już oczom ich stawił, bo właśnie orszak młodego króla gromadził się tu i wypełniał. Nie był on zbyt licznym może, lecz świetnością, przepychem, rozmaitością barw zachwycał. Składali go nie zwykli dworzanie, lecz młodzież najpierwszych, najmożniejszych rodzin w kraju; a że każdy chciał i z bogactwem się popisać i ze smakiem, a nie było prawidła i granicy żadnej w doborze sukni i zbroi, jeden więc drugiego starał się zaćmić, a wszyscy razem składali obraz osobliwej piękności, który, w świetle pogodnego majowego poranku, wywoływał zdumienie i okrzyki.

Nie było może stroju i narodowości, któraby tu reprezentowaną nie stała w najwyższym blasku i przepychu. Przerozmaite węgierskie, tureckie, włoskie, hiszpańskie, polskie, niemieckie suknie, nakrycia głowy, zbroje, tarcze, rzędy, okrycia na konie, pancerne skrzydła, szyszaki z piórami i godłami, grupowały się prześlicznie, a ci co przywdziali ubiory wspaniałe niemniej się odznaczali urodą, postawą, młodością kwitnącą lub powagą.

Wesołe uśmiechy i wykrzyki przelatywały nad temi gromadkami, którym właśnie w tej chwili, z otwartego okna na dole, stary pan się przypatrywał z radością na licu i dumą.

Augusta jeszcze tu nie było, giermek jego tylko przywiódł królowi na okaz ślicznego gniadego konia, przeznaczonego dla młodego króla, okrytego białą deką, szytą złotem i perłami, które jak krople rosy zdawały się spływać we wzory misterne.

Bona, której mąż chciał pokazać przygotowania te, odmówiła przyjęcia i oglądać ich nie chciała.

— Powiedzcie królowi — odparła nadąsana marszałkowi — że ja się dziś dosyć namęczę do wieczora, niech mi teraz da spocząć. Nie ciekawam.

Król zmilczał.

Oprócz towarzyszów młodego pana, orszaku ks. Pruskiego i Cieszyńskiego, podwórze pełne było służby różnej, wozów i koni, tak że Dudycz i Monti z trudnością drogę kobietom utorowali ku bramie.

Ruch był niezmierny i na przekorę Bonie wesoły, ochoczy, a dzień, chociaż gorący, zwiastował się słoneczny i piękny.

Cała przestrzeń pomiędzy zamkiem a Rynkiem tak samo mrowiła się ludem poubieranym świątecznie, wesołym, ożywionym, pomiędzy którym krążyli przekupnie z koszykami przekąsek i napojów.

Ulice miasta przystrojone były świątecznie. Z okien powywieszano kobierce, makaty, drogie tkaniny wzorzyste, wieńce zielone i wiązanki kwiatów.

A choć do wjazdu było jeszcze długo czekać potrzeba, teraz już ulice, okna, drzwi, wrota ciekawych pełne były.

Kiedy niekiedy przez te tłumy przedzierał się spóźniony jeździec strojny ze skrzydłem na barkach, lud sykał a wskazywał go, ustępując mu z drogi.

Straże miejskie, viertelnicy i dozorcy z trudnością porządek wśród ciżby utrzymać mogli. Ponad tem górą wesoło grały dzwony kościołów, a w niektórych z nich odzywały się organy i śpiewy.

Miasto widocznie gotowało się do obchodu jednego z tych dni pamiętnych, o których pokolenia potem opowiadają, jako o uroczystościach co się w ich pamięci wyryły więcej uczuciem jakie wzbudziły, niż wielką świetnością swoją.

Młoda królowa dla wielu, jeśli nie dla wszystkich, była zwiastunem lepszej przyszłości, wybawicielką tą, która z pod despotyzmu Włoszki chciwej, przewrotnej, oswobodzić miała.

Zygmunt Stary obudzał poszanowanie i miłość, lecz ona, towarzyszka jego, co go obezwładniła i w sromotnej trzymała niewoli, oprócz garści swoich służalców, nikogo za sobą nie miała.

Elżbieta mogła przynieść wyswobodzenie — i radość wszystkich zausznicy Bony przyjmowali chmurno i niespokojnie. Ona sama patrzeć na nią nie chciała, czując, że przeciwko niej wymierzoną była.

Na całej drodze do kamienicy narożnej naprzeciwko św. Wojciecha, ciągle się przedzierać było trzeba nie bez trudności. Dudycz i Monti szli przodem, bo Dżemma żadnemu z nich ręki podać nie chciała.

W końcu stanęli u wrót i Petrek z kluczem pobiegł przodem drzwi komnatki najętej otworzyć.

Staraniem jego była ona wykadzoną, ukwieconą i jedyne jej spore okno opatrzono siedzeniem wygodnem z podnóżkami, tak że kobiety mogły się ztąd doskonale przypatrywać ulicy, a pod oknem zbity tłum stał niżej i widoku nie zasłaniał.

Dudycz, który wpuścił rad nie rad Włocha, nie życzył już tu sobie więcej nikogo i gotów był drzwi zamknąć za wchodzącemi, gdy w progu ukazał się mężczyzna, nieznajomy mu, ale natrętny do niepozbycia.

Średnich lat, słuszny, suchy, bardzo ciemnej płci i rysów twarzy wcale niepięknych, ale ożywionych i wyrazistych, ubrany przyzwoicie, lecz niejaskrawo i jak wiekowi poważniejszemu przystało, chwycił za rękę Petrka i żywo począł po łacinie, potem po włosku coś mówić — czego on niebardzo chciał słuchać i rozumieć.

Nieznajomy był upartym, nie puszczał go, a oblicze jego wyrażało zniecierpliwienie. Szeptał mu coś na ucho.

Dudycz, który się opierał wpuszczeniu do izby, po chwili mrucząc zrobił mu miejsce.

Natręt z gibkością na swój wiek szczególną, wyłamując się i wyginając jak wąż wsunął do środka i w progu jeszcze długo coś Petrkowi szeptał do ucha, ukazując karteczkę, na którą gdy Dudycz rzucił okiem, schował ją zaraz do kieszeni.

Monti, który zdala się temu przypatrywał, chwilę stał jakby niepewny i zdumiony. Zwrócił wzrok natarczywy na obcego tego, ale spotkały się ich wejrzenia i nieznajomy oczy natychmiast odwrócił.

Kto i jakiego stanu to mógł być człowiek, trudno było odgadnąć. Typ twarzy wskazywał Włocha, a suknie kogoś co zarówno mógł należeć do dworu, i do bogatego mieszczaństwa. Twarz niepiękna nadzwyczaj była rozumną, wejrzenie bystre, wyraz oblicza pełen przebiegłości i energii, która się w zręczność umiała przestroić.

Monti tak patrzał na przybysza jak gdyby szukał w nim kogoś dawniej znanego lub przynajmniej widzianego, co zdawało się niepodobać natrętowi, odwracającemu oczy w inną stronę.

Ponieważ Dżemma z nikim, oprócz Bianki mówić nie chciała, Monti mógł swobodnie odstąpić nieco i zbliżyć się do przybysza. Dudycz korzystał z tego, chcąc Biankę przynajmniej wciągnąć w rozmowę a przez nią się przypomnieć Dżemmie.

Monti tymczasem zwolna się przysunął do nieznajomego.

— Signore — rzekł — zdaje mi się, że się nie mylę.

Czarnemi oczyma zmierzył go z wyrazem surowym obcy.

— Jeśli się nie mylisz pan — odparł śmiało — to powinieneś pamiętać, że gdy kto chce i ma powody nie dać się poznać, uszanować to potrzeba. Mógłbyś panie źle się zalecić tam, gdzie pewnie chcesz być dobrze zapisanym.

Ostatnie słowa dodał z naciskiem.

— Rozumiecie mnie — powtórzył ciszej.

— Doskonale — odparł śpiewak — i możecie być pewni, że jesteście dla mnie nieznajomym, którego widzę raz pierwszy, ale to nie przeszkadza dwóm Włochom, spotykającym się w kraju obcym, mówić z sobą.

— Tak — rzekł nieznajomy — lecz jeżeli zdradzicie mnie, pamiętajcie, że ten, na którego dworzeście widzieli... kogoś podobnego do mnie, będzie wiedział i nie przebaczy.

— A! bądźże Signor spokojny — dodał śpiewak — lecz przebacz, kim chcecie tu być?

— Jestem kupcem z Wenecyi — rzekł żywo przybysz — a może wysłańcem rzeczypospolitej... to mi obojętne!

Dudyczowi rozmowa z Bianką nie powiodła się bardzo. Tymczasem dwaj Włosi przeszli ku dalszemu kątkowi izby, Petrekowi straż nad kobietami pozostawiwszy.

Nieznajomy, który chciał uchodzić za kupca, teraz sam pierwszy począł żywo, natrętnie, natarczywie badać Montiego, który posłusznie i z pewną odpowiadał mu uniżonością.

— Widzieliście starą królowę?

— Codziennie śpiewam u niej — rzeki Monti. — Nie szczędzi mi oklasków, ale podarków nie szczodra! Winien temu zapewne zły humor, jaki ją uciska.

Kupiec błysnął oczyma.

— Przegrała sprawę — szepnął, uśmiechając się.

— Wątpię, by ją miała za straconą. Ona tu pani — mówił Monti.

— Kto są te dwie Signoriny? — zapytał nieznajomy wskazując na Dżemmę, która odsłoniwszy czarny kwef, w całym blasku piękności swej się ukazała.

Monti pochylił mu się do ucha.

— Bellissima jest kochanką młodego króla teraźniejszą, a druga przeszłą!

Mówiąc to uśmiechał się.

Kupiec marszczył czoło, a oczy ciekawe zdały mu się z powiek wyskakiwać, tak Dżemmę niemi pożerał.

— Ta więc jest! — szepnął.

Ponieważ miejsc było niewiele, a dwie panny królowej twarzyczkami wabiły przechodzących, do drzwi się zaczęto dobijać. Natychmiast Monti porzucił kupca, a Dudycz poszedł bronić najętej izby... Ale to się okazało nader trudnem i Petrek musiał wyjść do sieni, aby tam walkę stoczyć broniąc progu i przystępu do Dżemmy.

Panowie bywający na dworze, cudzoziemcy, którzy mieli protekcyą Bonera, Decyusza i innych Dudycza znajomych, cisnęli się gwałtem. Petrek nie wiedział jak się opierać. Jakkolwiek go to wiele kosztowało, kilku starszych ichmościów wpuścić musiał.

Piękna Włoszka na żadnego z wchodzących nawet oczu nie zwróciła. Bianka za to wesoła, trzpiotowata, rada gdy ją kto wyzywał, śmiała się i odpierała zaczepki po włosku i po polsku z odwagą wielką. Kilka razy zamknęła usta Montiemu, który zamilkł nadąsany, bo śpiewał lepiej i prezentował się pokaźniej niż dowcipował, a upokorzonym być nie lubił.

Wśród tego gwaru upłynęło dosyć czasu, i w ulicach nagle ruch się zwiększył, tłum stojący w porządku począł się ściskać pod domy.

— Jadą! jadą! — wołano ze wszech stron.

Był to ów orszak młodego króla, którego część kobiety widziały na zamku, wyciągający właśnie naprzeciw Elżbiecie.

Dżemma wstała, poszła do okna, wychyliła się, wsparła na niem i oczy wlepiła w ulicę. Ale nierychło ukazał się ten, którego szukała, którego wzrok, jak się jej zdawało, powinien ją był tu przeczuć i znaleźć.

Naostatek, w towarzystwie Ks. Pruskiego i Cieszyńskiego, Zygmunt August ukazał się w sukni białej srebrzystej, niemieckim krojem, na gniadym rumaku w perłowej dece.

Jechał piękny, zadumany, poważny, szlachetnem obliczem królewskiem tak się odróżniając od wszystkich co go otaczali, iż twarze wyraziste, dumne ale pospolitszych rysów dwóch książąt jadących u jego boku, wydawały się dziwnie barbarzyńskie... Postawa, wejrzenie, wszystko w nim króla znamionowało.

Dżemma zbladła, a Bianka mogła dostrzedz drżenie, którem każdy muskuł jej twarzyczki się poruszał.

Oczy nadjeżdżającego Augusta, który dotąd patrzał chłodno przed siebie, nic nie zdając się widzieć, jakby pociągnięte jakąś siłą tajemniczą, nagle zwróciły się ku narożnej kamienicy, i, tak jak przeczuła Dżemma, padły na nią.

Spotkały się te dwa wzroki i na chwilę utonęły w sobie; gniady wierzchowiec króla, jakby drżenia ręki usłuchał, zatrzymał się chwilę i żywiej poskoczył.

Dżemma natychmiast opadła na swe siedzenie. Więcej już nic widzieć nie chciała.

Bianka, Monti i inni widzowie wskazywali w orszaku przejeżdżających, mianując ich po nazwisku. Dudycz o niektórych miał ciekawe rzeczy do powiedzenia, Włoszka nic nie słyszała.

W ulicy też, po przejeździe króla, znowu się wszystko rozsypało, rozlało, rozluźniło, bo wiedziano, że zaledwie za godzin kilka powracać będzie August towarzysząc narzeczonej, z którą miał się w rozbitych namiotach spotkać za miastem.

Dudycz, ponieważ wiele czasu zostawało jeszcze na oczekiwanie, przygotował się na przyjęcie swych gości. Chciał wystąpić przed Włoszką, ale nie potrzebował nieznajomych i natrętów ugaszczać. Wysunął się więc i sam osobiście przyniósł na tacy wina i słodycze.

Dżemma ręką białą odepchnęła tacę, Bianka zagarnęła wszystko...

Ożywiona rozmowa zawiązała się pomiędzy dziwnie tu zgromadzonemi osobami, mało lub wcale nieznajomemi.

Monti mówił dużo, choć nie miał wiele do powiedzenia, kupiec wenecki tak samo słuchał pilnie i gorliwie. Zdawało się, że lękał się stracić słowo i uszami był wszędzie. Pochylał się, wciskał, łapał latające wyrazy, rzucał pytania; a sam tak się umiał obwarować, aby mu ich nawzajem nie zadawano.

Monti, który śledził za nim oczyma, mógł się przekonać, że nie było nikogo z przytomnych tu, oprócz Dżemmy, któregoby nie wybadał kupiec wenecki i coś z niego nie wyciągnął. Ciekawość ta była tak niewinną i naiwną, że nikogo razić nie mogła.

Cudzoziemcy, po raz pierwszy w kraju obcym, często się tak o wszystko dopytywać muszą, nie mogąc z nim oswoić. W kupcu tylko to uderzało, że twarz jego niepospolitą znamionowała pojętność. Śpiewak, który z początku go tak napastliwie zaczepił, teraz zdawał się już z umysłu unikać i nie zwracać uwagi na niego. Drudzy też nie mieli powodu zważać na przybysza, który wśród bardzo licznych naówczas w Polsce Włochów, codzień prawie przybywających, nie był żadnem osobliwem zjawiskiem.

Oczekując na widowisko spodziewane, obie Włoszki pozostały na swych miejscach. Bianka ciągle niezmiernie ożywiona, zaczepiająca mężczyzn wzrokiem i słowem, zalotna, wesoła — Dżemma w sobie zatopiona i milcząca.

Ci, co ją znali, łatwo sobie tłómaczyli smutek, z którym się nie kryła. Żartobliwe, nieustające szczebiotanie towarzyszki, niekiedy widocznie przykrem było Dżemmie, krzywiła się, odwracała, ale miejsca swego opuścić nie chciała.

Monti parę razy spróbowawszy z nią zawiązać rozmowę nadaremnie, nie odebrawszy odpowiedzi, został na miejscu milczący, pożerając ją oczyma.

Była tego dnia cudnie piękną w swoim czarnym stroju, z tym smutkiem tragicznym na twarzy, który wśród ogólnego wesela odbijał tem wyraziściej.

Dość długi czas upłynął, a przed oknem się nic nie odmieniło; lud przepływał gwarząc, niektórzy stawali, aby się Włoszkom przypatrzeć — znajomi podchodzili pozdrawiając je. Od czasu do czasu w Rynku, na drodze do zamku zjawiał się jezdny głośno opowiadając co słyszał. Gdzie był młody król, gdzie orszak prowadzący narzeczoną; a że w ścisku i tłumach nie obchodziło się bez wypadków, ukazywały się to prowadzone napowrót do zamku skaleczone konie, to ludzie, którzy szwankowali i musieli się wycofać z pocztów.

Już dobrze zpołudnia, znajomy Dżemmie i Biance, ulubiony sługa młodego Augusta, dworzanin Merło, który do orszaku jego się nie liczył, ale był do posyłek na zamek przeznaczony, ukazał się czwałem pędząc ku Wawelowi.

Przystrojony był, jak wszyscy dnia tego, z wielką elegancyą, ale bez ciężkiej zbroi, bo się musiał ciągle kręcić. Był to chłopak żywy, śmiały, wesół i ulubiony młodemu panu, bo dla niego na wszystko gotów.

Dla Merły, gdy szło o usłużenie królowi, nie było niepodobieństw i trudności. Nie raz już też dla niego naraził się i krew przelał, królowi staremu stał niemiłym, ale wszystko to przetrwał i służył mu wiernie jak nawykł od dzieciństwa.

Zobaczywszy Merłę, Bianka śmiała wychyliła się chustką mu dając znaki, domyślała się bowiem, że musiał mieć wiadomość o spotkaniu. Możeby jej nie wysłuchał, na zamek spiesząc do starej królowej, ale zobaczył razem Dżemmę i konia zawrócił pod okno.

Zaledwie tu stanął, kupą ścisnęli się około niego ciekawi.

— Mów — krzyknęła Bianka — widziałeś młodą panią?

Merło z konia się pochylił ku oknu.

— Wracam ztamtąd — odparł — jadę od namiotów. Królowa już przybyła, ale to biedactwo wątłe i blade, że nie wiem jak ten dzisiejszy dzień wytrzymać potrafi. Gdy ją od powozu do namiotów prowadzili margrabia Jerzy z księciem Lignickim zdało się, że co chwila nogi jej się zachwieją i padnie. Ubrana cała w złotogłów, okryta klejnotami, uginała się pod ich ciężarem. Nie królową się wydawała, ale nieszczęśliwą ofiarą, aż litość brała.

Dżemma rzuciła na Merłę okiem gniewnem, a ten ciągnął dalej.

— Spotkał narzeczoną August, nasz pan, na pół drogi i tu się sobie pokłonili, ująwszy za ręce. Dopieroż mowy się rozpoczęły i nie wiem kiedy temu koniec będzie, bo z obu stron oratorów dosyć, a kto się do mowy przygotował, ten jej nie podaruje!

— A król młody? król? — zapytała Bianka.

— No i ten jak skazany stoi — rzekł Merło — blady i umęczony. Złota narzeczona a srebrny pan! — dodał śmiejąc się. — Gdyby u nas wiedziano, że panią całą w złoto oprawią, mybyśmy też może naszego pana choć w szkarłat wystroili, a tak się on ubogo im wydał.

— A prędkoż się wjazd pocznie? — zapytała Bianka.

— Widzicie jak się tam ściągają na zachodzie chmury? — rzekł — otóż nie potrzeba na to proroka, aby zgadł, że nim oni powoli ciągnąc od namiotów do miasta nadążą, niezawodnie deszcz zacznie kropić i naszym paradnym ufcom atłasy i aksamity pomoczy!

Merło śmiał się wesoło.

— Jeżeli oracye się skończyły — dodał koniowi cugli popuszczając — musieli już ruszyć z miejsca, ale choćby deszcz wisiał nad niemi, nie pospieszą, bo takiej uroczystej kawalkacie nie przystało inaczej jak stępią.

To mówiąc przyłożył rękę do beretu, pozdrowił kobiety i krzyknąwszy na tłum, aby mu się rozstąpił, puścił się dalej ku zamkowi.

Znowu tedy dobry kawał czasu upłynął, nim od Floryańskiej bramy przez ściśnięte tłumy doszedł szmer oznajmujący, że uroczysty pochód się przybliżał. I, jak przepowiedział Merło zawczasu, w istocie chmura wiosenna nadciągnęła powoli, niebo się oblekło szaro,

deszczyk powoli kropić zaczął, a że się to działo ku wieczorowi, starzy ludzie wróżyli iż się zasłoci.

W ulicy lud się rozstąpił naostatek i pierwsze ufce pokazywać zaczęły. A było patrzeć na co! Każdy z panów pierwszym chciał być; poczty więc nietylko wspaniałością ale i liczbą mieć pokaźne — zatem po dwu jechali ludzie, najwięcej po trzech, aby każdy oddział wydawał się liczniejszym i dłuższym. Przyjaciele i nieprzyjaciele, radzi nieradzi, wpośród wszystkich tych dworów pańskich, które królowę młodą otaczały, musieli przyznać pierwszeństwo arcybiskupowi prymasowi, Gamratowi. Człowiek ten nowy, wyprzedził okazałością i przepychem, a nawet mnogością ludzi, i Tarnowskich i Kmitów. Szło mu o to. Zadawano mu nieustannie plebejuszowstwo, tu on się większym panem okazać chciał od najmożniejszych panów. Lud jego dobrany był z nadzwyczajnem staraniem, chłop w chłopa, urodziwi, silni, postawy pięknej. Większa część po polsku była ubrana w szkarłatne żupany i kontusze z tkaniny złocistej barwy, ale czoło składali pancerni arcybiskupi — srebrne zbroje, czerwone czamary, a u bark skrzydła z białych piór strusich w srebrnej oprawie.

Co to wszystko kosztować mogło Gamrata! Z przekąsem mówili nieprzyjaźni mu, że się pewnie srebrom kościelnym dostać musiało, a drudzy szeptali, iż u kupców się zadłużył srodze.

Obok tego pocztu arcybiskupiego, który na oko licząc, mógł do trzechset głów wynosić, jeden tylko, ale liczbą mniejszy, hetmana Tarnowskiego wytwornością mógł stanąć na równi. Lecz stary pan z panów — nie potrzebował się wysilać, nie myślał popisywać, gromadka jego była nie tak wielka i odziana na sposób hiszpański; przystroiłby ją pewnie po polsku także, lecz dowiedziawszy się o Gamracie, nie życzył sobie iść z nim o lepszą. Tu też najpiękniejsze konie były, a ludzie nie tak młodzi, ale za to wielkiego animuszu, prawi rycerze, którzy niejeden bój zwycięzki przebyli.

Kasztelan poznański, Andrzej z Górki, zwłoska sam się ubrał i ludzi poubierał. Książęta Radziwiłłowie roty wiedli polskie, którym dla osobliwości Tatarów litewskich w żółtych atłasach przydali, a do prowadzenia koni czterech murzynów strojnych paradnie. I tu przepych był wielki, książęcy, z jakim ród ten lubił występować zawsze.

Chodkiewicz, podczaszy litewski, nie rad im i innym Litwinom ustąpić, urozmaicił swoje poczty, postroiwszy je różnie. Sam jechał przodem w zbroi całej złoconej przedziwnego kunsztu i szyszaku podobnym, z tarczą misternie rzeźbioną. Za nim naprzód czterech w szkarłatnym adamaszku, dwa małe poczty po pięciu ludzi w jedwabnych sukniach białych, dalej ośm w srebrnych zbrojach ze srebrnemi przyłbicami, na których herbowe siedziały gryfy.

Lecz kto to policzy i opisze!?

Kościeleccy, Rozdrażewski, nawet p. Seweryn Boner, który gorszym od innych być nie chciał, odznaczali się wśród tego nieobrachowanego, długiego orszaku, ciągnącego zwolna ku zamkowi i poprzedzającego królowę młodą.

Patrzący, którzy w początkach cisnęli się, wydając okrzyki podziwienia, znużyli się w końcu, gdy się królowej doczekać nie mogli. Szedł poczet jeden za drugim, mieniały się barwy, coraz nowe stroje następowały po sobie, ale powozów nie było i nie było. Deszcz zacząwszy kropić zrazu, padał już teraz spokojnie, ale tak jakby nie myślał ustać rychło.

Dopiero po przeciągnięciu tych hufców, szmer i krzyki zwiastowały powóz królowej. Dżemma głowę podniosła. Obok niej musiał jechać August.

Tak było w istocie.

Młoda pani blada, zmęczona siedziała w kolebce złocistej, wybitej szkarłatnym aksamitem, którą ciągnęło ośm siwych koni cudnie dobranych, a przy niej szło piętnastu paziów po włosku strojnych i sześciu pachołków w aksamitach czerwonych.

Przy drzwiach otwartej kolebki widać było jadącego Augusta, któremu ks. Pruski i ks. Jerzy towarzyszyli. Młody pan w białym srebrzystym stroju wyglądał pięknie i pańsko, ale twarz jego nie promieniała wcale radością wesela, a oczy się nie zwracały ku narzeczonej, ale wlepione były w tłumy, przed siebie.

Dżemma podniosła się, zbliżyła się ku oknu żebrząc i wyzywając wzroku — lecz z gniewem opadła na siedzenie. Przejechał i pominął kamienicę August, nie obróciwszy wejrzenia, zapomniawszy że ją tam widział przed chwilą.

Włoszka nie mogła utaić gniewu swojego. Chciała natychmiast, zerwawszy się, na zamek powracać, ale było zupełnem niepodobieństwem przez ulice się przecisnąć. Orszakowi królowej nie było końca, a ciżba wszędzie tak wielka, że ani Dudycz z Montim, ani kilku służby gdyby ich w pomoc wzięto, nie zdołaliby utorować drogi.

Kobiety więc czekać musiały, aż tłumy się cokolwiek rozrzedzą. Tymczasem powozy szły jedne za drugiemi, bo teraz kolej na nie przyszła.

Za królową naprzód w takiejże pozłocistej kolebce z aksamitem czerwonym, sześć koni pod dekami aksamitnemi, jechały Krystyna z Szydłowieckich księżna Oleśnicka i siostra jej żona hetmana, które na spotkanie młodej pani wysłane były.

Dwie siostry niechcąc z sobą się ubiegać o wspaniałość, wozy i woźniki miały zupełnie podobne. Za kolebkami ich w kolebkach mało co skromniejszych, siedziały panie i panny fraucymeru młodej pani, Niemki po większej części, dwór niewieści hetmanowej i księżnej.

Co dalej szło, to już do orszaku uroczystego nie należało i na to ciekawy tłum, który się począł rozpływać, nie zwracał uwagi.

Wszyscy teraz pragnęli się dostać na zamek, aby tam być świadkami przyjęcia młodej pani, ale podworce były przepełnione, kościół do którego naprzód wstąpić miała przybyła pani, nie mógł zmieścić tylko wybranych; próżno więc gawiedź miejska zatoczywszy się jakby falą, u wrót zamkowych strzymana, postawszy nazad ku miastu powrócić musiała.

Włoszka niecierpliwiła się dawno, usiłując wyrwać; chciał i Dudycz powrócić do swych obowiązków, lecz nierychło można było próbować nawet dostać się na Wawel. Szczęściem Merło, który to przewidywał, a szło mu o Dżemmę, ulubienicę pańską, znalazł woźnicę i krytą kolebkę dworską niezajętą i kazał jej jechać do kamienicy zabrać panny królowej. Monti i Dudycz wybierali się już na piechotę z niemi, gdy zbawcza kolebka nadciągnęła. Woźnica niemający polecenia zabrania nikogo oprócz kobiet, gdy te siadły, ruszył nieczekając na nikogo więcej.

Porzuciwszy Montiego, Petrek, który konia sobie szukać dla pospiechu nie mógł, puścił się pieszo na zamek.

Wszyscy zgromadzeni wypadkiem na dole w kamienicy naprzeciw św. Wojciecha, rozstali się nie żegnając; Włoch tylko ów gibki i żwawy, który dał odprawę Montiemu, do Dudycza dobrowolnie przystał, i wybrawszy go sobie, jakimś szczególnym afektem, ofiarował się go ku zamkowi przeprowadzić. Ujął nawet dla bezpieczeństwa pod rękę, i począwszy wesołą rozmowę, okazywał wielką chęć bliższego z nim poznajomienia się.

Dowodziło to niepospolitej trafności oka w nieznajomym kupcu weneckim, bo poczciwy ale niedaleko widzący Dudycz, do którego ludzie nie zwykli byli lgnąć, przez wdzięczność dla tych, którzy mu okazywali jakąś sympatyę, łatwo do nich przystawał. Raz zaś z kim zawiązawszy stosunek dobroduszny człek dawał siebie ciągnąć, co kto chciał i był dla takiego ciekawego cudzoziemca nieocenionym skarbem. Powiadano o nim żartobliwie, że niekiedy od niego o tem się było można dowiedzieć, czego on sam nie wiedział.

Gadatliwy, żwawy, wesoły Włoch, naprzód się wyspowiadał Dudyczowi, iż dla handelku tu przybył czasu wesela, a handel wymagał stosunków i znajomości. Życzył więc na dworze się rozsłuchać.

Nawzajem ofiarował nowemu przyjacielowi, usługi swe, chociaż, czem one być miały i jakie, trudno było wyrozumieć.

Dudycz nie odepchnął Włocha. Powiedział mu gdzie mieszka, kiedy i jak się z nim spotkać można. Tak razem doszli aż do zamku, a z czasu tego doskonale skorzystać umiał ów nieznajomy, iż Dudycz ust prawie nie zamykał, na coraz nowe odpowiadając pytania. Wszystkie one tyczyły się naturalnie osób do dworu należących, gdyż kupiec zapewne z towarem najwięcej rachował na nie.

Gdy pożegnawszy Włocha u wrót Dudycz wcisnął się na zamek, już pierwsze spotkanie i powitanie w kościele na Wawelu, błogosławieństwo duchowieństwa i modlitwy były skończone.

Stary król, który się niezmiernie o to troszczył, aby młoda pani nadto zmęczoną nie była, cały dzień zmuszona w stroju niewygodnym jechać, stać, kłaniać się, słuchać — uprosił duchownych, aby ceremonia kościelna niedługo się przeciągnęła.

Dudycz dowiedział się w podworcu, iż królowa Bona, która z początku słabą się uczynić chciała aby nie wyjść na spotkanie do kościoła, w końcu zmuszoną została razem z mężem się tu stawić i trzema córkami swemi.

Na wszystkich młoda przybyła pani uczyniła jedno wrażenie: obudzała politowanie i sympatyę. Wydawała się biedną, a łagodną i dobrą. Staremu Zygmuntowi uśmiechała się z naiwnością dziecięcia, czując w nim ojca i opiekuna.

Za to królowa Bona ani słowom, ani twarzą nie okazała dla niej najmniejszego uczucia, nic, oprócz zimnej i dumnej obojętności.

Ci, którzy mieli zręczność mówić tego wieczora z hetmanową Tarnowską i ks. na Oleśnicy, roznosili, iż dwie panie młodej przyszłej królowej odchwalić się nie mogły, wynosząc jej dobroć, uprzejmość, grzeczność, cierpliwość, a prorokując Augustowi z tym aniołem najszczęśliwsze pożycie.

Dwór, którego oczów nic nie uszło, szeptał, że król August też bardzo zimno się zachowywał względem przyszłej małżonki, oprócz tego co ceremoniał dnia mu nakazywał, nie dając najmniejszego dowodu rodzącej się życzliwości.

W ciągu powolnej jazdy od namiotów na zamek, oczy młodej pani szukały ciągle narzeczonego, zwracając się ku niemu z ciekawą a serdeczną sympatyą — ale król nie odpowiadał na te wejrzenia. Nie przemówił do niej nawet, gdy do powozu prowadząc miał czas i sposobność do tego.

— Wszystko się to rychło odmieni — mówili jedni. — Pani piękna i dziwnie dobrą być musi, król przywiąże się do niej.

Drudzy przewidywali inaczej i potrząsali głowami.

Na zamku po powrocie z kościoła wprędce zasiedli goście dostojniejsi do stołów. Posadzono przyszłą parę obok siebie, lecz naprzeciw siedzący stary Zygmunt więcej się synowej przypatrywał, częściej do niej przemawiał, czulej o nią troszczył niż August, który prawie oczów podnieść nie śmiał na nią.

Królowa Bona siedziała też dumnie milcząca, z zakąszonemi wargami, nie ukrywając gniewu swego, a ile razy wejrzała na przyszłą synowę, oczy jej złowrogiego nabierały blasku.

Tylko ojciec weselem i humorem, i kółko jego przyjaciół, dwie panie towarzyszki, Tarnowska i Oleśnicka, ożywiały towarzystwo.

Znużenie podróżą, po której nazajutrz ślub i koronacya nastąpić miały, zmusiły przez wzgląd na wątłe siły Elżbiety, do rychłego odpuszczenia jej na spoczynek.

Biedna ofiara, upadająca pod ciężarem sukni i znużenia dnia tego, uśmiechała się do końca, usiłowała mężnie wytrwać, bladła i rumieniła się, ale nie okazała po sobie, że sił ostatek dobywała.

Gdy się to działo w komnatach wielkich, oświeconych i strojnych, w całym blasku i przepychu królewskim, mieszkanie tymczasowo przeznaczone dla Elżbiety fraucymer jej spiesznie przygotowywał tak, aby w niem spocząć mogła.

Niespokojna, blada, ale mężna ochmistrzyni, przyjaciółka, zastępująca matkę, Kätchen Hölzelinowna, w mgnieniu oka usłała łoże, dobyła suknie i bieliznę, i chodziła modląc się niespokojna w oczekiwaniu na swą biedną panią.

Znała ona ją i jej siły lepiej niż ktokolwiek w świecie, bo była przy niej od dzieciństwa, bo ją jak matka kochała. Dlatego taki niepokój ogarniał Kätchen teraz, gdy rozważała czy dziecku starczy mocy na podołanie wszystkim wrażeniom i ciężkim trudom, jakie ją tu czekały.

Kätchen nie chciała nic jeść, nie usiadła, nie mogła się uspokoić, ażby swej pani się doczekała.

Co chwila podbiegała ku drzwiom, przysłuchiwała się szmerom dochodzącym tu od pokojów, i łamała ręce, gdy coraz później się robiło, a pani jej nie przybywała.

Czas wydawał się jej nieprzebytym. Naostatek kroki ciche dały się słyszeć w korytarzach, Hölzelinowna porwała świecę i wybiegła. Odprowadzano jej nieszczęśliwą ofiarę, która szła blada z uśmiechem na ustach, ale jedno wejrzenie starczyło piastunce, by się przekonać, że ostatkiem sił już wlokła się do niej znużona.

Szczęściem nie nalegano u drzwi, gdy Kätchen wprowadziła do sypialni, na dłuższe dworowanie młodej pani, i ochmistrzyni mogła natychmiast drzwi zaryglować. Elżbieta padła na krzesło blada, bez tchu, w oczach jej łzy się kręciły, ale uśmiechała się jeszcze.

Z pośpiechem wielkim poczęła ją sama rozbierać piastunka, odpinać suknię, zdejmować łańcuchy, uwalniać od pasa, zrzucać obuwie. Dwoje dziewcząt pomagało, nikt nie odzywał się słowa. Skinęła nareście Kätchen na nie aby odeszły, i narzuciwszy nocny płaszczyk na Elżbietę, chciała ją zaraz położyć w łóżko, gdy biedna ofiara podniosła ręce, zawiesiła je na szyi piastunki, wybuchnęła płaczem stłumionym; twarz jej okryła bladość śmiertelna, oczy się zamknęły — omdlała.

Byłoż to omdlenie? Hölzelinowna znała pewnie ten stan wątłego swego dziecięcia, gdyż, pomimo przestrachu jaki doznała na widok jego, pozostała nieruchoma, nie tchnęła jej palcem, nie usiłowała obudzić gwałtownie.

Białe ręce młodej pani stężały tak, całe ciało się wyprężyło boleśnie, oddech zdał ustawać w piersi, a na zbladłych wargach ukazała się biała pianka, którą cierpienie dobyło z piersi.

Kätchen stała nieruchoma, ale nie tracąc przytomności. Złożyła chorą zwolna na kraju łóżka, i dała jej woń jakąś do oddychania, zaczęła lekko ocierać skronie.

Nie odzywała się do niej, nie śpieszyła z przywróceniem przytomności, jakby wiedziała z doświadczenia, że ten stan pewien czas trwać musi i że go gwałtownem niczem przerywać się nie godzi.

Marmurowo bladą była twarz Elżbiety, ale wyraz jej łagodny niewiele zmieniło cierpienie. Przykrzejsze nad nią wrażenie czyniły wyprężone, zesztywniałe ręce i ciało.

Hölzelinowna stojąc nad nią, modliła się ze złożonemi rękami, łzy ciekły jej po policzkach, a wzrok ze strachem biegał ku drzwiom, bo lękała się, aby ktoś obcy nie wparł się nagle i nie zobaczył chorej w tym stanie, który dla wszystkich musiał być tajemnicą.

Królowa leżała długo nieruchoma z wyprężonemi rączętami, jakby umarła... a piastunka stała tak nad nią niema i drżąca, gdy nareście z ust jej dobyło się lekkie tchnienie, odrętwiałe członki poczęły się uginać i bezsilnie opadać, powieki podniosły się nieco. Kätchen zlekka ocierała skronie i przygotowany już napój ostrożnie do ustek przybliżyła. Niedostrzeżony prawie rumieniec ożywił lica zbladłe, życie powracało.

Elżbieta poruszyła się, powieki otwarły całe; zobaczyła nad sobą stojącą Kätchen, wyciągnęła ku niej ręce i zarzuciła na szyję. Uśmiech łagodny, dziwny, jak gdyby ze zwykłego snu przebudzonej przebiegł po jej ustach. Nie zdawała się rozumieć, ani pamiętać co się z nią działo. Wracała do tej chwili, w której siły ją opuściły.

Słabszą tylko i straszliwie czuła się zmęczoną, ale napój podany ją orzeźwił.

— Kätchen — szeptała — bardzo, bardzo to wszystko trwało długo! Nieprawdaż. Widziałaś go? mojego króla narzeczonego? Nieprawdaż, że bardzo piękny jest? Takim ja wyobrażałam go sobie z obrazka przysłanego matce. Co za szlachetne rysy, jaka postawa pańska! I strój dla mnie wdział niemiecki. O! ja to zrozumiałam dobrze. Nie śmiał spojrzeć na mnie, abym ja bardziej się jeszcze nie zmięszała. Nogi się uginały podemną, ćmiło mi się w oczach!

Z jaką wspaniałością oni mnie przyjmowali, z jaką serdecznością. Stary król ściskał mnie jak własne dziecię. Widziałam i czułam łzy jego. A! będę go kochać jak ojca.

Hölzelin słuchała nie odpowiadając, trzymała szklankę w ręku, przykładała jej napój do ust. Smutny wyraz twarzy malował duszną trwogę.

Elżbieta półgłosem mówiła ciągle.

— Prawda że on bardzo piękny? O! ja go kocham od dawna i on też kochać mnie musi. Nieśmiały jest. Spoglądałam często na niego gdy jechał przy mnie, ale rzadko zwrócił oczy w tę stronę... obawiał się! Tyle tysięcy ludzi na nas patrzyło.

Z tych tysiąców, prawda Kätchen? on najpiękniejszy, on najpierwszy? O! jak ja kochać go będę!

Hölzelin milczała, niekiedy ruchem głowy nieznacznym to potwierdzając, to dając czuć, że słuchała bacznie.

— A starą królowę — szepnęła — widziałaś ją?

Elżbieta uśmiechnęła się jak wprzódy.

— Patrzałam na nią ciągle — rzekła. — Mówiono mi, że zazdrosną jest o serce syna, którego kocha bardzo, ale się przekona, że ja, ja pomagać mu będę do kochania jej... musi być łaskawą na mnie. Oblicze ma surowe, groźne, ale się dla mnie rozjaśni ono, gdy pozna jak dobrą będę córką dla niej.

Zamilkła nieco i myśl wróciła znowu do narzeczonego.

— Kätchen, uważałaś ty jak mu na tym koniu przy moim powozie było pięknie? Ani książe Pruski, ani ten drugi z nim się mierzyć nie mogli. Wyglądali jak pachołkowie.

Rozśmiała się.

Hölzelin pochyliła się nad nią.

— Jutro — poczęła cicho, starając się ją w łóżku wygodnie położyć — jutro dzień jest ciężki dla ciebie, moje dziecko, królowo, zmęczona jesteś bardzo, bardzo. Spocznij już.

— A! tak! — westchnęła młoda pani — ale w głowie tyle obrazów, przypomnień, myśli się plącze. Nie wiem czy zasnę. I raduję się i lękam. Kätchen, i śmiaćbym się chciała i płakać.

Wyciągnęła ku niej rączkę białą.

— Siedź nademną, moja ty piastunko droga — poczęła — tak jak niegdyś u mojej kolebki; gdy czuję cię przy sobie, spokojniej mi, bezpieczniejszą jestem.

Powoli oczy się jej przymykać zaczęły, ale nagle powieki podniosła.

— Kätchen — rzekła — prawda? on mnie kochać będzie? Ja go tak już kocham teraz, a stanę się dla niego taką łagodną, posłuszną, tak miłującą.

On wygląda smutnie, ale będzie musiał być szczęśliwym i wesołym.

— Śpijże i nie marz! — rzekła otulając ją Kätchen. — Zbudzą cię zrana i męczyć będą znowu dzień cały.

Nie dokończywszy westchnęła. Posłuszna Elżbieta przymrużyła powieki, ciągle uśmieszkiem zwodząc piastunkę, chociaż czuła się straszliwie znękaną. Hölzelinowna nie odstąpiła od łóżka, aż ją zobaczyła naprawdę uśpioną — otarła łzy i siedząc modlić się poczęła.

Gdy się to działo w sypialni młodej królowej, dalej w głębi, na korytarzach pustych i ciemnych żywej nie widać było duszy. Dwór jeszcze ucztował na dole. Królestwo tylko i dostojniejsi goście rozjechali się i rozeszli.

Królowa Bona w sypialni swej zrzucała z siebie szaty i klejnoty nie kryjąc gniewu i zniecierpliwienia. Panny służebne stojące i klęczące około niej, drżały od jej wzroku i ruchów gwałtownych, któremi je potrącała. Łańcuchy z brzękiem opadały na ziemię; zasłony zrywała szarpiąc, pilno jej było z tego stroju jak z kajdan się oswobodzić.

Żadna ze sług słowem się odezwać nie śmiała. Zaledwie rozebrana padła na krzesło Bona, gdy August jeszcze w sukni paradnej dnia tego ukazał się w progu.

Matka wyciągnęła ku niemu ramiona, a gdy się zbliżył uścisnęła go namiętnie.

Przytomność sług odezwać się jej nie dozwalała, lecz na widok młodego króla, natychmiast wszystkie pierzchnęły.

August siedział ze spuszczonemi oczyma, z pomięszanym i smutnym wyrazem twarzy.

— Ojciec twój — poczęła Bona — zmusza mnie, abym ją przyjmowała jak synowę... ja ją nienawidzę! Ona mi chce wydrzeć serce twoje, ona jest nieprzyjaciółką.

Bądź mężczyzną, oprzej się uczynionemu nam gwałtowi. Niech weźmie koronę, ale serca twego, miłości twej mieć nie będzie.

To dziecko jest, a jak wątła!

Choroby wzięła po rodzicach... miłość jej, życie z nią może być trucizną. Ja nie chcę abyście żyli z sobą, ja muszę cię bronić!

Mówiąc tak przerywanym głosem, Bona chwytała syna za ręce, natarczywie ścigała jego wejrzenie, starała się myśli odgadywać. August siedział zimny i nieodgadniony.

Niezmierne jakieś znużenie tylko poznać w nim było można.

— Idź już — odezwała się w końcu Bona — idź, nie chcę by cię widziano u mnie. Doniosą staremu, że ja cię buntuję i podmawiam.

August się schylił do pocałowania ręki matki, która ucałowała go w czoło i powtórzyła: idź.

W małej komnatce swej Dżemma, w wieczornym stroju zaniedbanym, z rozpuszczonemi włosami złotemi, które ją jakby płaszczem okrywały, siedziała na ziemi, twarzą w dłoniach, i płakała.

Była samą. Zwykle blada, miała teraz policzki gorączką spalone, oczy zmęczone, usta zaschłe.

Najmniejszy szmer w korytarzu ją poruszał, jakby ku drzwiom biedz chciała.

Usłyszała zbliżające się zwolna kroki i podniosła się. Rękę przyłożyła do serca, dech wstrzymując czekała.

Chód powolny zdawał się zwracać ku progowi jej mieszkania, zatrzymał, ucho pochwyciło szelest u klamki — drzwi uchyliły się zwolna. Przed nią stał August.

Obie ręce wyciągnąwszy ku niemu Włoszka chciała się porwać z ziemi, lecz nim się poruszyła, on siedział już przy niej, objął ją wpół i całował.

Wśród uścisku odepchnęła go nagle od siebie.

— Nie! ty jej kochać nie będziesz! — zakrzyknęła — powiedz? Ty mnie dla niej nie zdradzisz? Ja jej nie zazdroszczę korony... będzie królową, ja pozostanę kochanką.

August odpowiedział uściskiem.

— Uspokój się Dżemma — dodał głaszcząc ją po twarzy — powinnaś mi wierzyć i być cierpliwą.

Muszę spełniać wolę ojca.

— Ale ona za kotarę waszego łoża, w tajemnice życia sięgać nie może — zawołała namiętnie Dżemma. — Okaż jej zawczasu, że na serce i miłość narzucona rachować nie powinna.

A! zgniotłabym ją i zdusiła to pisklę niemieckie, gdyby ręce moje jej dosiągnęły. Nienawidzę jej. Z jakim słodkim uśmieszkiem patrzyła na ciebie, bezwstydna!

Dżemma zakryła sobie oczy.

Po chwili milczenia odsłoniła je, twarz pałała.

— A! mamy królowę matkę za sobą — rzekła — ta nie dopuści, aby ona tu panowała, ta rozdzieli was, bo ją nienawidzi! Królowa jest tu wszechwładną... król musi uledz w końcu. Byleby przeszły te uroczystości weselne, byle się to raz skończyło, byleśmy zostali sami.

August wstał. Godzina była spóźniona. Dżemma próżno zawisłszy mu na szyi, wstrzymywała go, służba z Opalińskim czekała na niego, a wkrótce o przygotowaniach do ślubu i koronacyi myśleć było potrzeba.

Dla królowej Bony były to dni do przebycia najcięższe, najstraszniejsze, za które dobrze się pomścić obiecywała.

Niezdolna do poskramiania się i udawania, czuła, że na jej twarzy obcy i swoi czytają, iż została zwyciężoną, że musiała być posłuszną, ona, która tu chciała i była w istocie panią.

Król Zygmunt nie dopuszczając do sporów, dawał rozkazy — potrzeba się było stosować do nich; lecz królowa na każdym kroku, w każdym ruchu dawała czuć publicznie, iż ulegała tylko chwilowo konieczności.

Twarz jej wyrażała oziębłość, pogardę, zaledwie stłumiony gniew i dumę.

Następny dzień był naznaczony na ślub i koronacyą młodej pani, i od wczoraj już w katedrze przysposabiano trony, zawieszano makaty i szpalery, wyścielano kobierce. Korona Jadwigi ze skarbca koronnego dobyta na aksamitnem wezgłowiu, pokryta kosztowną zasłoną, czekała na wielkim ołtarzu na tę wątłą główkę, która pod jej ciężarem ugiąć się miała.

Stary król od rana naglił z gorączkowym pośpiechem, aby się obrzęd rozpoczął wcześnie, troskliwym będąc o synowę, której bladość i lice delikatne obudzało w nim niepokój.

O świcie posłał się dowiedzieć jak spała? a gdy nadeszła godzina, gdy do kościoła udać się było potrzeba, chciał aby go coprędzej wyniesiono na spotkanie z Elżbietą. W wielkiej sali do której go na krześle, na ramionach wnieśli paziowie, Elżbiety nie było jeszcze. Zamiast niej stała Bona z córkami, z twarzą rozpłomienioną i przystąpiła natychmiast, nie zważając na przytomny dwór i urzędników.

— Najjaśniejszy panie — rzekła zburzonym głosem, z ironicznem poszanowaniem. — Słyszę tu, że młoda wasza synowa ma mnie poprzedzać w pochodzie i miejsce zająć przedemną...

To nie może być!

Zygmunt zwrócił się do marszałków.

— Takie jest prawo i obyczaj — rzekł jeden z nich.

— Prawo i obyczaj, mnie starszą, mnie matkę oddzielićby chciało od boku męża i zepchnąć gdzieś...

— Uspokój się — szepnął król cicho po włosku. — Zmienić tego nie możesz, a dasz ludziom na urągowisko... *Tace!*

Królowej oczy zaświeciły blaskiem krwawym, cofnęła się dumna.

W chwilę potem wszystko się ustawiło w takim porządku, jaki ceremoniał dworski wyznaczał.

Młoda królowa blada, z oczyma zmęczonemi, ale uśmiechem na ustach weszła, a Zygmunt Stary naprzód ją powołał ku sobie.

Na czele orszaku postępował król młody, u którego boku szedł książę Pruski; za nim niesiono na krześle, bo pieszo iśćby nie mógł, Starego Zygmunta.

Tuż za nim szła młoda królowa Elżbieta z rozpuszczonemi na ramiona włosami, z wyrazem dziewiczym, smutnym, czystym, jak Włosi się wyrażali — Madonna starego mistrza z Fiesoli. W istocie przypominała je wdziękiem, słodyczą, czemś anielsko-dziecięco-panieńskiem. Za nią dopiero miejsce wyznaczone zajęła Bona, której pierś podnosiła się oddechem gwałtownym, a usta ścięły spazmatycznie. Trzy córki i cały szereg pań i panien fraucymeru ciągnął się za Boną. Na przedzie, umyślnie za panią Salm ochmistrzynią postawiono Dżemmę, pięknością swą uderzającą, świetną, chwytającą za oczy, przeznaczoną na to, aby biedną osłabioną Elżbietę zgasiła i uczyniła godną tylko politowania chyba.

W przepełnionym kościele, w którym od tłumu, od świec, mimo pootwieranych okien panowało nieznośne gorąco, na tronie w chórze ustawionym zasiadł August w koronie na głowie. Narzeczona stanęła naprzód u boku jego. Ceremonie ślubem się rozpoczęły. Pruski i Lignicki książęta wiedli Elżbietę do ołtarza.

Wszystkich oczy zwrócone były na nią, obawiano się że może osłabnąć — ale lice jej teraz nabrało wyrazu energii i siły, który piastunkę zdaleka śledzącą ruch każdy, wprawiło w zdumienie. Elżbieta zdawała się zmienioną, wzrok jej podnosił się śmiało i ruchy stały żywsze. Prostowała się i rosnąć zdawała u ołtarza.

Stary ojciec patrzał na nią ze łzami w oczach, a gdy korona ciężka spoczęła na jej główce, począł szeptać stojącemu przy nim Herbersteinowi.

— Gdy na tronie usiądzie, pójdziesz powiedzieć jej odemnie, może zdjąć koronę. Wiem, że to ciężar na jej siły. Położą ją na poduszce pod ręką.

W istocie gdy Elżbieta po koronacyi z tą koroną zapowiadającą męczeństwo, z jabłkiem w jednej, z berłem w drugiej dłoni siadła na majestacie przy mężu, Herberstein przecisnął się przez tłum i szepnął radę a raczej rozkaz starego króla.

Elżbieta spojrzała na męża, nie chciała się okazać słabą w oczach jego i odpowiedziała.

— Nie, korona mi nie cięży, wytrwam tak do końca!

Po trzykroć w czasie nabożeństwa wracał Herberstein z tem posłannictwem do Elżbiety nadaremnie. Napróżno zdala błagała ją oczyma piastunka, młoda królowa nie zgięła się pod tem brzemieniem.

Przebrzmiały wreszcie pieśni ostatnie, młody król wstał z tronu i szedł pierwszy ku zamkowi, za nim młoda królowa, król stary, Bona i córki strojne wspaniale na końcu.

Obrzęd i nabożeństwo przeciągnęły się tak długo, a Zygmunt Stary sam już był tak znużonym i wątłą swą synowę chciał zaoszczędzić, iż oprócz uczty na zamku dla dostojniejszych gości, nic na ten dzień zapowiedzianem nie było.

U stołu, oprócz Zygmunta, który wesołość obudzić się starał i rozmowę ożywić był rad, dając znaki swoim, aby milczeniu ogarnąć się nie dopuszczali, na niczyjej twarzy nie widać było swobodnego wyrazu. Spoglądano na siebie badająco, niespokojnie, Bona nie przemówiła słowa, August siedział martwy z oczyma spuszczonemi przy żonie. Niekiedy głośniejsze odezwanie się ks. Samuela, uśmiech wymuszony hetmanowej Tarnowskiej przerywały milczenie uparte, które natychmiast ołowianem brzemieniem wracało. Na licu młodej królowej nie widać było smutku ani zafrasowania, choć może połykała łzy, usta zmuszała do uśmiechu, oczy zwracała na męża.

Powtarzała sobie w duszy.

— O! on mnie kochać musi!

Dla wszystkich, nie wyjmując Zygmunta czas ten przebyty u stołu wydał się nieznośnie długim, a gdy w ostatku dano znak wstawania, ciężar wielki zdawał się spadać z piersi

wszystkich. Skinieniem ręki młodą królowę powołał ku sobie ojciec i odezwał się do niej po niemiecku.

— Kochane dziecię moje, tyś znużona, ja stary także... dziś potrzebujesz spoczynku, idź więc spocząć sama, swobodna, abyś na dni następne, na turnieje, na uczty, na skoki sił nabrała.

Schyloną pocałował w głowę.

Posłuszna młoda pani skierowała się natychmiast ku wyjściu, na próżno próbując pożegnać królowę matkę, która zdala głową zaledwie skinęła, na jej pokłon odpowiadając.

August stał w niepewności jakiejś, postąpił kroków parę, lecz już panie, które młodej królowej towarzyszyć miały, wzięły ją między siebie. Spojrzała tylko na męża wzrokiem go żegnając, chociaż nie była pewną, czy się wejrzenia ich spotkały.

Natychmiast cały dwór się rozsypywać począł i komnaty opróżniły.

Miano dosyć do czynienia na jutro i dni się gotując następne.

Dudycz, który ze swym oddziałem dworzan i sług zajęty był od rana i ledwie zdala miał zręczność na swe bóstwo spojrzeć, gdy szła do kościoła i powracała z niego, nad wieczór nareszcie chwilę mając na spoczynek swobodną, wydostał się z murów zamkowych, powietrzem wiosennem odetchnąć.

Maj dotąd dosyć łaskawy, nie był ani zbyt słotnym, ani tak zimnym jak w kilka dni później.

Myśląc ciągle o Dżemmie, bo mocniej niż kiedykolwiek trwał w postanowieniu dobijania się o nią, sam nie wiedział, jak znalazł się u wrót zamkowych. Machinalnie jakoś skierował się ku miastu. W chwili gdy już miał wnijść w bramę usłyszał pozdrowienie, i z nader uprzejmym uśmiechem powitał go natarczywie wczorajszy kupiec wenecki.

— Jakże się to szczęśliwie stało — rzekł — że ja was spotykam. Znajomych nie mam, błąkam się dzień cały, nie przemówiwszy słowa do nikogo. Nigdzie się docisnąć nie było można.

— A! jakże chcecie? — odparł Dudycz — dziś był najcięższy dzień ze wszystkich; dzięki Bogu, że po stole stary król dał nam i sobie spoczynek.

— A młodzi państwo? — zapytał kupiec ciekawie. — Poszli zapewne razem?

Uśmiechnął się Dudycz i potrząsnął głową.

— Młoda pani ma być bardzo zmęczona — rzekł — a królowi Augustowi podobno nie śpieszno do żony.

Włocha twarz wyraziła wielkie zdziwienie.

— Możeż to być? — zapytał — tak śliczna i miła pani, młodziuchna, wychowana...

— Widzieliście ją? — przerwał Dudycz, którego z kolei pochwała ta zadziwiła.

Włoch się zmięszał.

— Widziałem ją zdaleka tylko — rzekł — ale wszyscy wszędzie to głoszą.

Szli, chwilę milcząc, ku wrotom. Kupiec ujął Dudycza pod rękę, jak gdyby go puścić nie chciał, a zależało mu wielce na przedłużeniu rozmowy.

— Od czasu jak tu jestem w Krakowie — odezwał się po chwili — ciągle się spotykam z różnemi pół-słówkami i alluzyami, których niedobrze rozumiem. I nie dziw, bo obcy jestem a widzę, że u was na dworze niełatwo wszystko zrozumieć i kto chce się zbliżyć do ludzi, ostrożnie stąpać musi. Bodaj czy nie dzieli się i dwór i kraj na dwa obozy?

Dudycz, który obszernie się rozgadywać o tem nie lubił, głową tylko kiwnął potwierdzając.

Kupiec uśmiechnął się.

— A wy, czcigodny panie, do którego się obozu liczycie?

— Ja? ja? — odparł Petrek zamyślając się — prawdę rzekłszy, trudno mi to oznaczyć. Jestem dworzaninem króla JMości starego, miałem zamiar wpisać się do dworzan młodego, a u królowej starej jestem też zapisany niezgorzej.

I po chwili namysłu dodał naiwnie.

— Ja trzymam przedewszystkiem z sobą samym.

Zdawało mu się to dowcipnem i uśmiechnął się zadowolony z siebie, patrząc w oczy kupcowi, który dał mu aprobatę.

— Macie słuszność, to najbezpieczniej — rzekł.

— Jeśli się nie mylę — dodał Weneta po małym przestanku — przyznajcie się, ta wczorajsza piękna bardzo Włoszka, co tak dumnie siedząc, do nikogo się odzywać nie raczyła, nieprawdaż? wpadła wam w oko?

Dudycz się nie zaparł, był z tego dumny.

— Ha! nieprawdaż? na królowę wygląda? Taką panią w domu posadzić byłoby się czem pochwalić.

— Alem słyszał — przerwał kupiec — jakoby młody król się też do niej zalecał?

Petrkowi nie czyniło najmniejszej przykrości przyznać się do tego. Rozśmiał się.

— No to co? — spytał. — Młody król żeni się z piękną i młodą królową, będzie więc musiał Włoszkę pożegnać. Na to czekam i rachuję.

Kupiec przyjął wyznanie z wyrazem współczucia.

— Można wam będzie powinszować — odparł. — Uważałem ją wczoraj, przypatrywałem się pilno: piękna, młoda, pełna uroku, a król przecie o niej i o jej mężu pewnie będzie pamiętał.

— To się rozumie — rzekł Dudycz, choć ja na to nie rachuję wiele. Stanie mnie na zaspokojenie wszystkich fantazyj jej, byłem się ręki dobił.

— Sądzicie, że wam to teraz przyjdzie bez trudności? — zapytał Włoch niepomiernie ciekawy.

Petrek dziwnie głową zaczął kręcić.

— Ale, ale! — rzeki zwolna — nie tak to łatwo jak się zdaje... Włoszka wysoko patrzy, a co gorzej, starej królowej ona potrzebna, więc ją niełatwo puści.

— Potrzebna? na co? — badał Weneta.

Szli tymczasem ku miastu. Dudycz był w takiem usposobieniu, że z niego wszystko łatwo mógł pytający wydobyć.

— Między nami mówiąc — odezwał się Petrek, z miną poważną, jakby zdradzał wielką tajemnicę stanu — królowa Bona, niewiasta nadzwyczaj przebiegła i zacięta, gdy co raz postanowi, nie cierpi młodej synowej, którą jej gwałtem narzucono. Zatrzyma więc kochankę, aby nie dopuścić syna do żony.

— A stary król czyż na to dozwoli? — mówił Włoch.

— Pewnie, że nie radby, ale czy starowina podoła? — rzekł Dudycz. — On i jego pomocnicy idą prostą drogą, a królowa przez manowce i na przełaj; rychlej więc ona niż oni celu dosięgną.

— Zatem wasza sprawa źle stoi! — westchnął Weneta.

Dudycz wtórował mu westchnieniem.

— Nie desperuję — odezwał się — nie desperuję.

— Cóż myślicie?

— Jeszcze nic nie postanowiłem — rzekł Dudycz. — Ja jestem sobie prosty człek, przebiegłością wielką się nie pochwalę. Mam za sobą dwie rzeczy tylko: upor i trochę pieniędzy.

— Obie nie do pogardzenia — odparł Włoch. — Można z niemi zajść daleko. Lecz — dorzucił — oczywista rzecz, że gdy tak rzeczy stoją, musicie trzymać ze starym królem. On i jego przyjaciele pomódz wam mogą.

— Tak i ja sądzę — przerwał Petrek. — Jednakże ze starą królową niech Bóg mnie broni zrywać i jej się narazić. Takiego robaka jak ja zgniotłaby odrazu.

Nadzwyczaj uprzejmy kupiec wenecki, w tej chwili doszedłszy do Rynku, obejrzał się po kamienicach.

— Ja tu mieszkam u Montelupich — rzekł — bo mnie gościnnie przyjęli. Nie zechcecie na chwilkę zajść do mnie?

Dudycz się skłonił, a kupiec wprowadził go do mieszkania na dole, które zajmował. Tu w progu zaraz spotkała ich służba odziana po włosku, skromnie ale z pańska; i z gospody też poznać było można, iż Włoch, acz prosty kupiec, musiał być chyba zamożnym bardzo. Dziwna rzecz tylko, w jego mieszkaniu nic stanu, do którego się liczył, nie zdradzało. Na stole leżały książki, w kącie stała piękna broń, dokoła widać było dostatek. Lecz że wielu naówczas handlujących zajmowało w społeczeństwie stanowiska wysokie, nie zdziwiło to Dudycza. Siedli, podano na skinienie wino doskonałe, łakocie wytworne, a i podróżny sprzęt wyglądał bardzo pokaźnie. Gdy słudzy się oddalili, kupiec rozmowę zerwaną zawiązał na nowo.

— Życzę wam powodzenia — rzekł — i bylebyście wziąć się umieli do rzeczy, sądzę że zwycięzko wyjdziecie z tej imprezy.

Dudycz się uśmiechnął.

— Z osób wpływowych przy królu starym — rzekł — znam dobrze pana Seweryna Bonera, znany jestem panu Decyuszowi i innym. Jak skoro im kochanka króla pocznie ciężyć i przeszkadzać, sądzę, że mi pomogą do ożenienia.

— A ona? — spytał Włoch.

— Ona! teraz — rozśmiał się Petrek — ani chce patrzeć na mnie, bo się jej zdaje, że zostanie przy królu młodym. Później rozum mieć musi... nikt się jej lepszy nademnie nie trafi, to pewna.

Weneta słuchał ciągle z zajęciem.

— Hę! — rzekł — wyście ludzie północy, u was tu wszystko idzie inaczej, powoli i nieśmiało. U nas na południu, ktoby jak wy chciał poślubić pannę, a kochał się gorąco, zamiast długo czekać, urządziłby sobie porwanie jej. Potem gdy to królowi na rękę, wziętoby was w opiekę i wszystko skończyłoby się gładko i prędko.

Dudycz głową potrząsał.

— Jeszcze nie czas, owoc nie dojrzał — rzekł. — Królowi staremu nie dosyć dokuczyła kochanka, mało się o nią troszczy. Trzeba czekać aż poczuje, że mu zawadza i młodej królowej serce męża odbiera.

— Ale nie dawajcież się zrazić i odbić — przerwał Weneta — bo ją wam pochwyci kto inny.

— Oto się nie ma co obawiać — rzekł Dudycz. — Mówiłem wam, upartym jestem. Tymczasem staram się sobie Włoszkę podarkami pozyskać.

— Przyjmuje ona je?

— Umiałem prawie gwałtem narzucić — uśmiechnął się Dudycz — ale toż takie były zaprawdę, żeby i królewnie żal było je odtrącić, kosztowały też niemało.

— Nie żałujcie na to — dodał Włoch. — Opłaci się później.

Po chwili kupiec znowu rozpoczął badanie.

— Cóż na jutro się zapowiada?

— Jutro młodej królowej składać będą podarki wszyscy — rzekł Dudycz — no... i nareście młode małżeństwo z sobą się połączy. Dano dziś słusznie spocząć królowej młodej, bo wczoraj strasznie się wydawała umęczoną.

— Ale nie chorowała? — zapytał Włoch, niespokojnie oczy wlepiając w Petrka.

— Nie słyszałem o tem — odparł Dudycz. — Wydaje się delikatną i słabowitą w istocie, a ma przed sobą jeszcze kilkanaście dni tych festynów, któremi dobrze się umęczyć musi. Na turnieje choć z galeryi będzie patrzeć zmuszoną, a potem rozdawać nagrody. Wieczorem od tańca się nie uwolni.

— I myślicie że to potrwa aż dni kilkanaście? — zapytał Włoch.

— Tak mówią — potwierdził Dudycz.

Zaczęli potem ogólną rozmowę o osobach do dworu wchodzących, o które się Weneta pragnął poinformować. Zdziwił tem prostodusznego Petrka, że od niedawna dopiero przybywszy do Polski, zdawał się już tu większą część ludzi znać nietylko z nazwiska, ale ze stosunków i położenia.

Niemniej dopytywał troskliwie, a Dudycz dla niego dogodnym był, bo mu wiernie powtarzał ten *vox populi*, który, bądź co bądź, najczęściej trafnie choć niewykwintnie ocenia człowieka.

Sam on sądu nie miał o ludziach i charakterach, lecz słuchał i przejmował co mówili drudzy.

Rozmowa przy kubku jednym i drugim wina przedłużyła się do późna, i Dudycz siedział tu jeszcze, gdy właściciel domu, poważny, bogaty Montelupi, którego znał zdaleka, wszedł gościa swojego odwiedzić.

Obejście się z Włochem tym możnego i w kupiectwie zajmującego stanowisko wysokie Montelupiego, dało Petrkowi do myślenia. Był bowiem z Wenetą jakby z osobą wyżej od siebie położoną i o której łaski mu chodziło, z wielkiem poszanowaniem i względami.

Dudycz ztąd ten wyciągnął wniosek, iż nowy jego przyjaciel, przynajmniej bogatym być bardzo musiał, ale z rozmowy całej niepodobna się było domyśleć, ani czem handlo-

wał, ani jakie tu miał interesa; wprost zaś o to się dopytywać nie śmiał Petrek, i widząc że noc nadchodziła, pożegnał go.

Wygadał się tak ze wszystkiem co miał na sercu i w pamięci, iż wyszedłszy z domu Montelupich, poczuł sam, że może nadto był otwartym i gadatliwym. Ale obcy zdradzić go nie mógł.

Powrócił na zamek dosyć zmęczony. Tu wszystko spoczywało na pozór. Po kurytarzach i galeryach było cicho, ale w oknach wszędzie światła migały i przysłuchując się szmer wszędzie pochwycić było można.

Dudycz śpieszył już do swej izdebki przy kredensach myśląc odpocząć, bo na jutro wiele miał do czynienia, gdy mijając jedne ze drzwi wiodących do mieszkań królowej Bony, zetknął się w nich z Zamechską.

Szła pośpiesznie i byłaby go pominęła, nie zdając się mieć ochoty do rozmowy, gdy Dudycz, który dawno jej nie widział a chciwy był zbliżyć się, pozdrowił ją.

— Sto lat jakem do miłości waszej nie mógł przemówić słowa! — zagadnął.

— Bo też na swobodną gawędę nie pora — odparła ochmistrzyni kwaśno. — Daj mi pokój.

— Chwileczkę! — błagał Dudycz ścigając ją do jej mieszkania.

— Czegoż chcesz?

— Czyż się pani moja nie domyślasz? — zawołał rozmiłowany — słodko jest choć pomówić o niej!

Weszli do komnaty ochmistrzyni, która szydersko się rozśmiała.

— Co ci w głowie? Wybijże to sobie — rzekła — przekonać się mogłeś przecie, że ona ani na ciebie chce patrzeć!

— A ja czekam aż się zmiłuje — dodał Dudycz — i właśnie myślę, że czas na trzeci podarek, który dwa poprzedzające zakasuje.

— I po nim królowa cię znowu pośle do Kmity — rozśmiała się ochmistrzyni.

— Nie, teraz już nie — rzekł wesoło Dudycz. — Zmieniło się położenie.

Ochmistrzyni litościwie na niego spojrzała.

Zamechskiej, która zmęczona usiadła, w istocie żal być musiało biednego Dudycza.

— Szkoda mi cię — rzekła tonem protektorskim. — Jeżeli kiedy się może co zmieni, nie wiem, ale do tej pory ja nie widzę nic takiego, coby wam było korzystnem.

— Ależ król się ożenił? — odparł Dudycz — jasna rzecz!

Zamechska spojrzała w stronę ku pokojom Bony, i wskazując je ręką, szepnęła.

— Tak, ożenił się, ale na przystęp do żony i poznanie się z nią bliższe pozwolenia ztamtąd nie ma. Nasza stara zła, zła i roznamiętniona przeciw staremu panu, przeciw młodej królowej, przeciwko wszystkim. Nigdym ją taką nie widziała. Długo się powstrzymała, teraz wybucha.

Przy koronacyi dano jej iść za młodą panią... tego darować nie może. Jest upokorzona, poprzysięgła zemstę. Przy pierwszej zręczności stary pan będzie miał co słuchać. Szczęściem teraz pełno gości i sam na sam się z nim nie spotykają, ale nie minie go chłosta.

A tymczasem na młodej będzie zemstę wywierać.

Zamechska pochyliła się ku niemu.

— Wiesz gdzie jest teraz młody, świeżo ożeniony pan?

Petrek podniósł głowę ciekawie.

— A gdzieżby być miał? u siebie.

Zamechska się śmiać zaczęła.

— Siedzi u kochanki, a matka pilnować każe, aby mu tam nie przeszkadzano — mówiła dalej ochmistrzyni.

Skrzywił się słuchając dworzanin.

— Jeżeli tak jest — rzekł — no, to stary król przecież dowie się o tem, i temprędzej zechce pozbyć Włoszki. To na moje koło woda!

— A! a! — przerwała Zamechska. — Starego króla, chorego, zmęczonego, nikt takiemi doniesieniami trapić nie zechce, a gdyby nawet się dowiedział, myślisz że on może Bonie pannę z jej fraucymeru odprawić, i że ona na to zezwoli. Na przekorę ją przy sobie trzymać będzie.

— Miał słuszność Włoch! — szepnął zadumany Dudycz.

— Jaki? co? — spytała ochmistrzyni.

— Jaki? — odparł Petrek — nie umiem wam odpowiedzieć. Tak sobie, porządny Włoch, kupiec, z którym się poznałem przypadkiem. Radził mi wprost ażebym Włoszkę porwał gwałtem... królby mi za to podziękował.

Spojrzał na zdziwioną ochmistrzynię.

— A wy, miłościwa pani, wy, ja sobie myślę, powinnibyście mi dopomódz do tego.

Z załamanemi rękami Zamechska odskoczyła od niego.

— Tobie się w głowie pomięszało? — krzyknęła — albo drwisz sobie ze mnie.

Dudycz wygadawszy się nic do rzeczy, spuścił głowę jak winowajca.

— Na prawdęby można myśleć, żeś ty z tej głupiej miłości oszalał — rzekła. — Nigdym nie przypuszczała nawet, ażebyś coś podobnego wymyślił.

— Ja tego nie skomponowałem — przerwał Dudycz. — Jejmość miałaś słuszność, jabym takiej sprawy sam się nie domyślił, ale Włoch powiada, że u nich to rzecz pospolita.

Ochmistrzyni wpatrywała się w niego z podziwieniem.

— W twoim wieku! w twoim wieku! — zamruczała — tak się zadurzyć w kobiecie, która na ciebie spojrzeć nie chce, niepojęta rzecz.

Dudycz był dumny tem.

— Mniej stary jestem niż się wydaję — rzekł — no i zobaczy miłość wasza, że na swojem postawię.

— Teraz kiedy Włoszka starej królowej najpotrzebniejsza? — spytała Zamechska.

— A staremu królowi największą zawadą? — dodał Petrek.

— Ale cóż nasz dobry, stary król znaczy? — zaszeptała ochmistrzyni.

Dudycz głową potrząsał.

— Da się to widzieć — zamknął — da się to widzieć.

To mówiąc wstał.

— Łasce i względom waszej miłości się polecam — rzekł z ukłonem.

— Abym ci do wykradzenia dopomagała! — szydersko zawołała Zamechska. — Nie takam głupia.

Dudycz już szedł ku drzwiom, i zawrócił się jeszcze ku ochmistrzyni.

— Jutro młoda królowa podarki przyjmować będzie — rzekł cicho. — Ciekawym co też Bona dla niej nagotowała. Wszak to nie musi być tajemnicą.

— Mylisz się i w tem — odparła ochmistrzyni. — Daję ci słowo, żeśmy wszyscy, równie jak wy ciekawi, dowiadywali się u podskarbiego królowej, a jeżeli kto to Bruncaccio, który tu przybył z Chęcin, wiedziałby pewnie. Włoszysko mi się zaklinał, że dotąd na jutro żadnego rozkazu nie ma.

— Jak? królowaby miała tak jawnie, w obec książąt i panów okazać swą niechęć, nie dając żadnego podarku? To nie może być, nadto jest mądrą.

— Zobaczym jutro, powiadam ci — potwierdziła Zamechska — nie da nic.

— Wypowie wojnę.

— Dawno ona zapowiedziana — zawołała ochmistrzyni.

— Król tego nie przebaczy! — odezwał się Dudycz.

— Potrafi się z nim rozprawić — dodała Zamechska. — Czekała nadto długo, chce wybuchnąć.

Petrek ręce podniósł do góry.

— Gdzie dwóch się kłóci — rzekł po cichu — tam trzeci korzysta.

Dobranoc życzę miłości waszej.

Na zamku w wielkich salach była uczta zapowiedziana, lecz wprzódy jeszcze urządzono z polecenia króla Zygmunta w izbie złotej zwaną, owo uroczyste oddawanie darów młodej królowej, o którem była mowa.

Pierwsze naturalnie miejsce i tego dnia zajmowała młoda Elżbieta, której twarzyczka zmęczona, blada, oczy sińcami podbite, odbijały dziwnie od uśmiechu, na który się siliła. Spoglądała na siedzącego obok męża i jakby z niego siły czerpać chciała, szukała wzroku jego, który unikać się jej zdawał.

I tego dnia Hölzelinowna wzdychając, czując jak pani ciężko będzie to dźwigać na sobie, musiała ją przybrać jak najkosztowniej, obwiesić klejnotami, aby przy wszystkich tych kosztownościach, jakiemi ją obsypać miano, nie wydawała się zbyt ubogo.

Bona z nietajoną radością i ironią widoczną przypatrywała się zmęczonej, zżółkłej, biednej ofierze.

Stary król nie widział nic, był szczęśliwy. Zdawało mu się, że już odniósł zwycięztwo.

Naprzód tedy wniesiono dary męża, które stary król sam w jego imieniu z własnego skarbca przygotować kazał. Były to trzy przepyszne naszyjniki: dyamentowy jeden, z rubinów i szmaragdów drugi, trzeci z szafirów z perłami. U każdego z nich zawieszony był klejnot, rodzaj medalionu, który duże wiszące perły kształtu gruszyczek zakończały.

Osiemdziesiąt par czarnych soboli i na okrycie ich złotogłów wschodni, dopełniały ślubny podarek. Za nim szedł dar ojca, Zygmunta, znowu trzy naszyjniki, jeden w kształcie łańcucha do kołnierza dyamentowy cały, dwa z innych kamieni drogich z perłami, z wiszącym klejnotem i krzyżem.

Ostatni był jakby błogosławieństwem.

Cesarz Karol V. przez margrabiego Brandeburgskiego słał swoje godło zwykłe, aby dawcę przypominało. Był to wielki dwugłowy orzeł cesarski z dyamentów i rubinów, zawieszony na dziesięciu łańcuszkach dyamentowych. Z drugiej strony jego stały dwie dumne kolumny dyamentowe, z godłem *Plus ultra!* Karol V. prześcigał Herkulesowe słupy.

Drogi klejnot do noszenia na szyi z dyamentów i rubinów, odznaczał się perłą ogromną, gruszeczką na hiszpańskim łańcuszku.

Były to zaprawdę piękne klejnoty, lecz drobne ich po większej części kamyki, wysokiej wartości nie miały. Wydawały się jednak wspaniale.

Królowa Izabella węgierska złożyła u stóp synowicy cesarza cztery roztruchany pozłacane roboty Niemców siedmiogrodzkich, łańcuch szmelcowany i kilka drobiazgów innych.

Od siebie Jerzy Brandeburgski, mąż Jadwigi, córki starego króla, Ludwik Palatyn, Otto Henryk, książę Palatyn Neuburgski i kilku innych książąt niemieckich, a naostatek i Piotr wojewoda multański, każdy przez posła osobnego składali w ofierze po większej części srebra kunsztownie trybowane i złocone.

Z miast królestwa celowały Kraków z trzema roztruchanami złoconemi, pięknej roboty, z których jeden z herbem miasta i Gdańsk z misternem naczyniem podobnem, na którem Judyth wyrażoną była. Elżbieta wcale do niej nie wydawała się podobną.

Żydzi także nieśli roztruchan złocony.

Mijamy wiele pomniejszych podarków.

Gdy po królu starym w początku zaraz kolej się zdawała przychodzić na Bonę, zatrzymał się na chwilę margrabia Brandeburgski z podarkiem cesarza. Zygmunt obejrzał się niespokojnie. Bona siedziała z zaciśniętemi wargami, z wyrazem ironii na twarzy, nie patrząc ani na synowę, ani na męża, zimna, obojętna.

W istocie od niej nie było podarku żadnego, nic.

Uderzyło to wszystkich, szczególniej może posłów cesarza i tych co z Elżbietą przybyli.

Stary król spuścił oczy, drgnął, poruszył się spoglądając na Maciejowskiego, potem z wyrzutem na Gamrata, który rozparty w arcybiskupim krześle swem w inną stronę spoglądał. Młoda królowa dziękująca ciągle oczyma i ukłonami, nie zdawała się ani czuć ani widzieć tego braku. W zgromadzeniu czynił on wrażenie wielkie, które się dawało rozpoznać po nieśmiałych spojrzeniach, jakie przytomni rzucali ukradkiem na swych przyjaciół i na dwór Bony.

Chwilowy ten tryumf odniosła Włoszka wprawdzie, bo w gniewie postanowiła okazać synowej swą niechęć, ale nadto była przebiegłą, ażeby wnet po fizyognomiach posłów cesarza i króla, po twarzy pani Solm i innych nie poznała, że się to w Wiedniu i Pradze odbije, a na Izabelli w Węgrzech i na jej posiadłościach neapolitańskich czuć dać może.

Widać było pewne pomięszanie na jej twarzy i jakby chęć zatarcia zbyt śmiałego kroku.

Trudno jednak było to co się stało odmienić.

Przy uczcie potem Bona, która siedziała obok męża, kilka razy go usiłowała wciągnąć w rozmowę. Zwracał się do niej chmurny, z twarzą pogardliwą i dumną, lecz nie odezwał się ani słowa.

Milczenie to wprawdzie u Zygmunta nie było dziwnem, ale w dniu tym miało znaczenie wielkie. Nie spoglądał na żonę nawet, i zajęty był synową a gośćmi.

Zygmunt August, jak sądzić było można z jego fizyognomii, miał matce za złe wystąpienie publiczne, którego dobra polityka nie doradzała. Bona czytała potępienie w oczach wszystkich.

Wprawiało ją to w gorączkę jakąś. Gniewać się na siebie nie umiała, zła była na wszystkich.

Dzień ten zatruty od rana fałszywym krokiem Bony, ciągnął się długo niby na zabawach, a w istocie w męczących ceremoniach. Królowa stara usiłowała zapobiedz, aby małżeństwo młode nie zbliżyło się i nie połączyło dnia tego; ale Zygmunta rozkazy, z góry oznaczony ceremoniał nieubłagany, zmusił ją uledz — i królowę Elżbietę wraz z mężem do ich sypialni odprowadzono.

Zaledwie się to dokonało, a król stary kazał się zanieść do swojego mieszkania, potrzebując wielce spoczynku, Gamrat z sali jadalnej pośpieszył za Boną do jej komnat.

Włoszka szła poruszona, zarumieniona gniewem i nie spostrzegła, gdy się zbliżył do niej. Dopiero gdy się zwróciła w mieszkaniu swem do towarzyszących jej panien, zobaczyła idącego za nią arcybiskupa.

Miał czoło zmarszczone i twarz zasępioną. Królowa rzuciła się na krzesło, odpinając łańcuchy i ściągając klejnoty, które na stół ciskała z gniewem.

Arcybiskup stał przed nią.

— Miłościwa pani — odezwał się — pozwólcie powiedzieć sobie, źle się stało! zaprawdę źle!

— Cóż się stało? — wykrzyknęła podnosząc się Bona.

— Jedna tylko matka nie dała nic synowej! — rzekł Gamrat — a stało się to wobec posłów, którzy jutro, jeśli nie dziś doniosą o tem cesarzowi i królowi ojcu. Pomszczą się oni, nie daj Boże na Izabelli, na waszych księztwach.

Włoszka trzęsła się prawie konwulsyjnie z gniewu.

— Milcz! — krzyknęła groźnie, nie mogąc się pohamować. — Tak chciałam i tak uczyniłam... źle czy dobrze, stało się. Gdy zechcę, wynagrodzę to.

— Nigdy — odparł Gamrat — żaden dar publicznie wyrządzonej krzywdy nie opłaci. W. miłość, co gorzej, zdradziliście się.

— Nie czyń mi wyrzutów — przerwała królowa. — Stało się, stało się.

— A! lecz bardzo źle się stało.

Nogą uderzyła królowa o podnóżek i syknęła. Gamrat skłonił głowę i zamilkł.

Bonie łzy bezsilnego gniewu zakręciły się w oczach.

Wtem szmer we drzwiach się dał słyszeć — marszałek wzywał pokornie najjaśniejszą panią, aby się do króla imości udać raczyła.

Znaczenie tego wezwania łatwo było odgadnąć. Bona się musiała przygotować na srogie, gorzkie wymówki. Przewidywała to z góry i gotową była raz długo odciąganą wojnę rozpocząć.

Gamrat szepcząc coś, starał się ją napróżno uspokajać — wstała coraz się mocniej burząc i rzucając. Nie odpowiedziała mu nawet, szła szybkim krokiem wprost przez puste komnaty wewnętrzne do sypialni Zygmunta.

O tej porze król stary zwykle w łóżku już bywał; zastała go siedzącym w krześle jeszcze, a kapelan, który się do odmówienia z nim wieczornych modlitw, odroczonych, gotował, stał u drzwi drugich i pod pachę ująwszy książkę zniknął.

Nim Bona przystąpiła bliżej, nie śpieszący się zwykle z mową król, wybuchnął tak, jak od dawna już nigdy nie trafiało mu się gwałtownie.

— Przed całym światem potrzeba ci było okazać te rany, które nam zadajesz, tę truciznę, którą nas poisz, kobieto bezrozumna!

Dumnie stanęła Bona, wyciągając rękę.

— Przyprowadziliście mnie do ostateczności — poczęła wrzaskliwie. — Chcieliście ze mnie lalkę jakąś zrobić, która tak skacze jak jej każą. Taką ja nigdy nie byłam i nie będę. Syna mi odbierają.

Zygmunt po włosku, cicho, pojedyńczemi wyrazy, przerywanemi, poprostu już łajał królowę.

— Nie krzycz̀e — zawołał w końcu — potrzeba ci aby na całym zamku wiedzieli wszyscy aż do pachołków, że u nas zgody nie ma, ani między małżeństwem, ani w rodzinie.

Chciałaś uderzyć Elżbietę, a własną córkę, swoją najukochańszą Izabellę raziłaś. Myślisz, że ci to cesarz przebaczy?

Bona słuchając rzucała się i płakała razem, a przeklinała.

— Miałam ja jej dawać podarki? Za co? Za to, że mi się tu wparła między mnie a syna, między mnie a ciebie... ta blada, wynędzniała, schorowana dziewczyna, która chorobę może przynieść jedynemu synowi memu!

Miałeś się dobijać o co! Nawet lichych trzydziestu tysięcy złotych, na które ze stu zeszło, nie mają czem za nią wiana zapłacić!

Ja tu przecie coś przyniosłam, i coś znaczyć powinnam. Wy mnie chcecie pognębić, odsunąć, zaćmić dać tej niemieckiej...

Mówiła ciągle, a Zygmunt jedno powtarzał, równie gniewny jak ona.

— Milcz! milcz.

— Nie będę milczała! będę głosić całemu światu — wołała — jestem matką, jestem królową, mam tu prawa, których sobie wydrzeć nie dam. Potrafię się zemścić...

Sceny podobnych wyrzutów, kłótni, które dochodziły niekiedy do tego, że Bona się na podłogę rzucała jak bezprzytomna, powtarzały się bardzo często. Zygmunt był do nich nawykły i wiedział też, że nigdy z nich nie wychodził zwycięzko. Złamany, osłabiony musiał ustępować w końcu.

Dnia tego jednak zbyt czuł mocno obelgę synowej uczynioną, by mógł uznać się winnym i zwyciężonym.

Wejrzeniem groźnem mierzył Bonę, ręką uderzając o poręcz krzesła.

Włoszka lamentowała jak zawsze z tego samego wiekuistego tematu, który się ciągle przez długie powtarzał lata.

— To wasza wdzięczność za to, żem tobie staremu i twojemu barbarzyńskiemu krajowi poświęciła moją młodość, żem was mojem złotem ratowała, żem tu prześladowana, nieszczęśliwa! zmarnowała się, otoczona wrogami.

Łzy i przekleństwa przerywały te wykrzyki, Włoszka ruchami rąk konwulsyjnemi to na sobie rwała odzienie, to na starego króla zdawała się godzić, który siedział nieruchomy, zasępiony, ale nieprzebłagany.

— Ty i twoi — wtrącił — nie daliście mi nigdy spoczynku. Czegom ja chciał, temuś się sprzeciwiała. Twoi zausznicy stawali mi na drodze. Przez ciebie u ludu mojego i u świata straciłem poszanowanie.

Twoje spiski...

Bona poskoczyła mówić mu nie dając.

— Gdyby nie ja — zawołała — gdyby nie pieniądze moje, nędzarzem byś był. Musiałam łożyć na dzieci, wspomagać ciebie, zasilać skarb.

— A te pieniądze nie z twoich neapolitańskich dzierżaw, ale z moich nadań i łaski ciągniesz! — rzekł Zygmunt. — Milcz̀e i upokórz się, niegodziwa!

Wyrzuty króla wcale do uspokojenia dopomódz nie mogły. Bona unosiła się coraz więcej, mocniej coraz i wkrótce niepodobna było zrozumieć co mówiła, tak dzikim zawodziła głosem.

Walczyć z nią na słowa Zygmunt nie umiał nigdy. Kilkakroć powtórzywszy swe zwyczajne:

— *Tace, fatua!* — zamilkł, podparł się na ręku i słuchał wołania, łajania, krzyków, jęków najobojętniej. Nie robiły one na nim żadnego wrażenia, czekał końca.

Bona wysilona wreszcie, zamiast na krzesło rzuciła się na ziemię, i łkała zanosząc się płaczem gniewliwym.

— Słuchaj — odezwał się Zygmunt poważnie — jeżeli ci twoje szaleństwo rozumne słowa da pojąć. Nie sądź ażebym uległ tam, gdzie idzie o przyszłość jedynego syna mojego i tej synowej, którą ukochałem jak własne dziecię! Ty chcesz przed Bogiem poprzysiężone małżeństwo rozdzielić... ja tego nie dopuszczę.

Okażę ci, że panem tu jestem i być potrafię.

Na chwilę ucichłszy gdy mówił te słowa, Bona zerwała się z ziemi i rozśmiała szyderśko.

Śmiech ten, niespodziany, straszny, biednego Zygmunta przeszył jak najstraszniejsza groźba, pobladł, zatrząsł się, zamilkł.

Nie mówiąc nic Bona, zmierzyła oczyma bezsilnego starca, dumnie wyprostowała, podnosząc głowę, skrzywiła usta i rzekła obojętnie:

— Masz mi co więcej powiedzieć jeszcze? Gróźb twoich wcale się nie lękam. Kocham syna mojego i póki żywa bronić go będę.

— Cóż mu to grozi? — przebąknął król gniewnie, co?

— Pożycie z nienawistną, z narzuconą, ze wstrętliwą kobietą, która tu będzie szpiegiem i sługą cesarza i swego ojca, nieprzyjaciół moich i Izabelli.

— Mogłaś ich pozyskać jako sprzymierzeńców a robisz ich sama wrogami.

— Bo oni nigdy niczem innem być nie mogą i nie będą — zawołała Bona. — Ciebie zdzieciniałego starca uwodzą, mnie nie potrafią.

Zygmunt nakazał znowu milczenie, a królowa odpowiedziała mu śmiechem.

Sprzeczka i waśń byłyby się przedłużyły pewnie, gdyby nie zaskrobano do drzwi.

Gniewnym wzrokiem rzuciła królowa na nie, nie pojmując kto mógł tak zuchwale dobijać się tu, gdy ona była na rozmowie z królem. Łatwo się wszakże Zygmunt domyślił, iż kto inny być nie mógł nad lekarza.

Co dziwna nie króla doktór zwykły, ale królowej Nicolo Catignani, ukazał bladą, długą twarz, otoczoną włosami czarnemi, w prostych kosmykach spadającemi na ramiona i do królowej po włosku się odezwał, że Zygmuntowi potrzebnym był odpoczynek o tej godzinie.

Choć zwykle Catignaniego rady i rozkazów słuchała, Bona była nadto wzburzona tym razem, aby milcząc przyjęła przestrogę.

— A pocóż mnie tu zawołano? — odezwała się na wpół do doktora, wpół do męża. — Nie myślałam mu wcale przerywać spokoju. Kazano mi przyjść jak dziecku, aby je skarcić.

Król syknął, nierad był tym zwierzeniom przed obcym — ale Bona dla niego tajemnic żadnych nie miała.

Catignani wszedł, wcale niezmięszany, pokłonił się Zygmuntowi, rękę kładnąc na piersi, zbliżył do Bony, z poszanowaniem ale nalegając szeptać jej coś zaczął i opierającą się, gniewną w ostatku swoją powagą potrafił do wyjścia nakłonić.

Trochę opodal odedrzwi czekali komornicy ze światłem, którzy Bonę, jeszcze całą poruszoną i ledwie oprzytomniałą do jej pokojów odprowadzać mieli.

Tak była zaślepioną gniewem, iż Catignani po kilkakroć wskazywać jej musiał kierunek w jakim iść miała.

W pokojach czekał na nią Gamrat, który chciał wiedzieć, na czem się skończyła ze starym rozmowa. Pytać o to nie bardzo potrzebował. Dosyć było spojrzeć na wywróconą, zmienioną twarz Bony, istną głowę Meduzy.

Gamrat to wysłał Catignaniego, aby zbyt długi spór i dla obojga królestwa niebezpieczne wybuchy poskromił.

Włoch posadziwszy panią swą w krześle, poszedł po lekarstwo na zburzoną krew i nerwy. Przyniósł kubek zgotowanego napoju, część jego naprzód wypił sam, gdyż w obawie trucizny Bona nigdy inaczej lekarstw i pokarmów nie przyjmowała, i otarłszy ręcznikiem kubek, podał go pani.

Wzdrygała się wziąć go do ust.

— Lekarstwo? co mi ono pomódz może? Jestem prześladowaną, upokorzoną, zagrożoną.

Gamrat przerwał uspokajająco.

— Miłościwa pani — rzekł — więcej zagrożeni są nieprzyjaciele twoi. Potrzeba tylko ażebyś zachowała tę zimną krew, którąśmy tak długo w tobie uwielbiali. Wrogom okazać że ich pociski nas dosięgają, jest to im dawać zwycięztwo. Oni drżą teraz, a wasza miłość możesz się im urągać.

Zwolna mowa arcybiskupa razem z napojem lekarza poczęły działać na Bonę. Otarła łzy, zacięła usta, słuchała pochlebstw i dumała.

Catignani sprawiwszy co było jego obowiązkiem, usunął się do drugiej izby i siadł tam na zawołanie, przy pannach, które na służbę wyznaczone, jak on skinienia czekały.

Ze stosunkowo szybkiego uspokojenia Bony wnosić było można, iż wybuch gwałtowny u króla starego był może umyślnym i gniew wymuszonym dla postrachu, któremu Zygmunt często ulegał.

— Postawili na swem — szepnęła Bona Gamratowi. — August musiał pójść tam... lecz tem gorzej, tem gorzej. Wiem że ze wstrętem z nią pozostał. Na oczach Elżbiety zobaczycie jutro ślady łez.

Od jutra potrafię ich rozdzielić. Catignani i inni lekarze wszyscy zgodnie mówią, że jej choroba może się przenieść na małżonka. Któż wie? Elżbieta ma starą niemkę przy sobie. Ostrzegłam aby w łożnicy nic nie pił... Mogą mu zadać filtr jakiś, mogą użyć czarów, aby go ku niej pociągnąć.

Nie odzywał się Gamrat długo.

— Miłość wasza — rzekł w ostatku — trwożysz się zbytnio. Król młody jest panem rozumnym, ostrożnym, włada sobą i nie dopuści się ani upoić, ani oczarować.

Młoda królowa, dziecko, do tego nie jest zdolną, stara ochmistrzyni nazbyt tu obcą i onieśmieloną, aby się ważyła.

— Rozdzielić, rozerwać potrzeba koniecznie to małżeństwo wstrętliwe — dodała Bona pośpiesznie. Postaram się o to co najprędzej, aby Zygmunta wysłano.

— Dokąd? — zapytał Gamrat.

— Na Litwę — odparła Bona. — Król możeby mu dał rychlej Mazowsze, bo o swą Litwę zazdrośny, ale ja nie chcę aby zawładnął Mazowszem. Mam inne zamiary.

Arcybiskup głową potrząsnął.

— Na Litwę — rzekł — gdy wyprawicie go, a posiedzi dłużej, doniosą o tem do Pragi, dopomni się groźno ojciec aby żona jechała za nim. Oprzeć się temu będzie trudno. Stracicie ich z oczu oboje, a naówczas...

Bona rękami strzepnęła.

— Masz słuszność — zawołała — ja ich od siebie puścić nie powinnam, ale oboje razem tu trzymając, zapobiedz będzie trudno, aby się nie zbliżyli do siebie. Król stary jest uparty, August ma serce miękkie... może w nim litość obudzić. Trzeba ich rozłączyć, trzeba znaleźć środek jakiś...

Gamrat przerwał.

— Nie widzę żadnego innego, oprócz wyprawienia na Litwę lub Mazowsze, ale pilno czuwać przyjdzie, aby mu tam stary król małżonki nie posłał.

— Może się zapobiedz, ściągnąć — szepnęła królowa. — Będę pracować, czuwać, przeszkadzać.

To mówiąc, rękę białą położyła na ramieniu arcybiskupa.

— Jesteś przyjacielem moim, ty jeden — odezwała się — widzisz jak ja niebezpieczeństwo i pomożesz mi do zapobieżenia złemu.

Dopóki stary król żyje, jam tu panią. Jeśli Augusta serce stracę i władzę nad nim, po śmierci męża zostać mi przyjdzie służebnicą! Nigdy! nigdy!

Nie stworzoną jestem do ulegania, nie potrafię kłamać. Augusta miłość, Augusta uległość muszę pozyskać teraz, a ta kobieta, to dziecko mi go odebrać może.

Wolę wszystko nad to! wolę aby umarła! — dodała zniżając głos.

Gamrat nie odpowiedział nic, lecz nie dał znaku przyzwolenia. Słuchał zimny i znużony.

Bona mówić nie przestawała.

— Cesarz — ciągnęła dalej — ma zbyt wiele do czynienia w cesarstwie, aby się zbyt pilno dowiadywał, co się u nas dzieje. Listów potajemnych od niej nie dopuścimy.

Gorzej będzie z ojcem, jest bliżej, a od niego zależy los Izabelli!

A! trzeba mi było tego, ażeby sprawa jednego dziecka z drugiego losem była w przeciwieństwie!

Izabellę i jej dziecię ratując, musiałabym Augusta stracić. Nie! nie!

— Mamy Turcyą za sobą — rzekł Gamrat — zyszczemy może króla francuzkiego. Bądź co bądź, poganin jest z nami. Kolą nam tem oczy, że z nim się tajemnie znosimy.

Oburzyła się królowa tym zarzutem.

— Głupi tylko ludzie mogą mi to mieć za złe — wykrzyknęła. — W polityce nie ma pogan ani chrześcian, są tylko sprzymierzeńcy i wrogowie!

Gamrat zdawał się być tegoż samego zdania, bo nie zaprzeczał.

— W tych dniach Greka się spodziewam, którego mi wysłać obiecano — dodała królowa. — Przekupię go aby stanęli po stronie Izabelli i Węgrów sobie wydrzeć nie dali. Francuz wyjechał czy nie z listami memi do Paryża?

Arcybiskup głową potrząsnął.

— Niepodobna go było odprawić — rzekł pocichu. — Treść listów trzeba dobrze rozważyć.

— Ale właśnie teraz — dodała królowa — wśród tego przeklętego zamętu weselnego, niepostrzeżenie najłatwiej było wysłać je.

Pomyślcie o tem.

— Turnieje i zabawy potrwają jeszcze dni kilka — odezwał się Gamrat. — Czas mamy. Stary król zdaje się bawić niemi.

— On? — rozśmiała się Bona — zmęczony jest straszliwie — ale to czyni dla nienawistnej tej Niemki. Sądzi, że jej tą świetnością oczy zakryje, aby nie dostrzegła jak ją tu nienawidzą wszyscy.

— Nareście kiedyś się to skończyć musi — przerwał Gamrat. — Książęta Pruski i Lignicki długo siedzieć nie będą. Porozjeżdża się to powoli, zostaniemy sami.

Zadumała się królowa. Gamrat dał jej tak ukoić się trochę i widząc uśmierzoną, rzekł powolnie.

— Powrócić wam trzeba, miłościwa pani, do dawnego trybu, do obojętności pozornej, do chłodu. Wiele rzeczy niewidzieć, niesłyszeć i nierozumieć.

— Tak, uniosłam się — odparła królowa — przyznaję to, alem wytrzymać już nie mogła, tak długo w sobie zmuszona ukrywać to wrzenie, które przybycie Elżbiety do wybuchu doprowadziło !

— Starego króla ukołyszcie! — dodał Gamrat. — Wnoszę z tego coś miłość wasza tu z sobą przyniosła, że burza musiała być niemała, a rozstanie bez pojednania.

Bona wstrząsła ramionami.

— Gdy zechcę — odezwała się — jednem skinieniem go uspokoję. Potrzebuje stary wypoczynku, ulegnie.

— I z tem będzie lepiej — dokończył powstając arcybiskup. — Wstępnym bojem my tu nic nie poradzimy, ale podstępnym tylko!

Uśmiechnął się, królowa rękę mu podała.

— Nie opuszczajcież mnie — dorzuciła szybko. — Ty, Kmita, Opaliński, na was rachuję. Opaliński teraz wiele może. Stanie na straży młodej królowej, krokiem od niej nie powinien odstąpić... ani Augusta, ani jej nie spuszczać z oka.

— Na Opalińskiego miłość wasza rachować możesz — odezwał się Gamrat — a on dobrze rozumie położenie.

— Powtórzcie mu, że na wdzięczność moją liczyć może. Jutro rano chcę się z nim widzieć.

— Ta noc, ta noc — szepnęła Bona wstając — a Augusta wyrwać ztamtąd nie mogę.

Zaledwie drzwi się za Gamratem zamknęły, gdy w drugich ukazała się trupia, straszna twarzyczka mniszki Maryny, tej sługi królowej, która jak cień stała wszędzie i zawsze przy niej za nią, gdy nikogo nie było, gdy wszystko stało zaparte, a żadne ludzkie oko ni ucho nie mogło się wcisnąć.

Gdy cała służba odchodziła, gdy zamki wszystkie zapadały, gdy Bona pozostawała samą, Maryna musiała stać przy niej. Szła tak że słychać jej nie było, a jednak królowa wiedziała, że ma ją za sobą. Skinęła ku szafie, nie mówiąc słowa, Maryna poszła ku niej powolnym krokiem, dobyła szkatułkę, przyniosła ją i postawiła na stole przed Boną. Z brwiami zmarszczonemi, zwolna królowa kluczyki wzięła z woreczka u pasa, otworzyła zamek i wzrokiem niespokojnym poczęła się przypatrywać leżącym w niej klejnotom. Z głębi świeciły, błyszczały, promieniały różnobarwnie drogie kamienie, rubiny krwawe, szmaragdy i szafiry, opasane brylantami; drżącą ręką chwyciła Bona dwa czy trzy kanaki, które z kolei rzuciła nazad, naostatek dobyła naszyjnik podobny do jednego z tych, które zrana ofiarowano Elżbiecie. Pochodził on zapewne z klejnotów wyprawnych królowej,

gdyż z jednej strony herb Sforzów stał wyemaliowany, wąż ów pożerający dziecię — ale złotnik omyłką, zamiast dziecka, w paszczę smokowi rzucił gorejące płomię.

Bona obejrzała klejnot bacznie, jakby chciała wartość jego ocenić, i wziąwszy w ręce, zamknęła szkatułkę, którą Maryna na miejsce odniosła.

Podeszła kroków kilka, a służka co jej każdą myśl tak doskonale odgadywać umiała, nie potrzebowała wskazówki, by wiedzieć co ma czynić. Wzięła w rękę świecę i szła poprzedzając panią.

W kurytarzach panowała cisza, i z dołu tylko od służby i dworu, który jeszcze się nie udał na spoczynek, dochodziły stłumione głosy. Bona szła długo za Maryną, a gdy ta stanęła u drzwi i uchyliła je, znalazła się w mieszkaniu Dżemmy.

Słabe światło stojącej w kątku lampki komnatkę w półmroku zostawiało. Nikogo widać nie było, tylko jęk jakiś stłumiony doszedł uszu Bony.

Dżemma z włosami rozrzuconemi leżała na podłodze z twarzą na kobiercu... nie widziała nic, nie słyszała wchodzącej. Królowa stanęła nad nią długo się przypatrując, nim otwarłszy oczy Włoszka ją zobaczyła i poznała.

Zwolna podniosła się, ale ból, który ją rzucił obezwładnioną i bezprzytomną na podłogę, odebrał siły, wstać nie mogła.

A coż dla niej znaczyła w tej chwili królowa i wszystkie w świecie królestwa, gdy ten jedyny, co dla niej był światem, porzucił ją, stał się jej niewiernym.

Zazdrość odbierała jej przytomność — wpatrzyła się w Bonę nie mówiąc słowa, jakby pytała wzrokiem czego ona od niej chcieć może?

— Dżemmo! co tobie? — cicho poczęła królowa, łagodząc głos w którym brzmiał gniew ranny i zburzenie — co tobie *poverina?* podnieś się, przyszłam cię pocieszyć, dziecko moje. Ja tak samo jak ty cierpię... i mnie go odebrano, ale to nie potrwa długo, my go mieć będziemy i nie dopuścim aby wydarto.

Jęknęła Dżemma podnosząc się.

Wstydziła się użalać i boleć przed królową, ale czyż cała jej postać, łzy, twarz, niemota nawet nie mówiły za nią?

Bona była dziwnie czułą i litościwą, pochwyciła ją za głowę, ścisnęła, zaszeptała coś i dobywszy klejnot z za sukni włożyła go w ręce Dżemmie.

— Widzisz — rzekła — wszyscy jej dziś przynosili podarki, ja nie dałam nic, umyślnie! a tobie, dziecko moje, którą serce syna mego wybrało, zawieszam na piersi ten stary mój panieński klejnot, który August zna dobrze. Możesz się w niego przystroić. Ale męztwa Dżemmo! męztwa. Łzy nie pomogą, bo nikt się nie ulituje nad nami... trzeba walczyć zuchwale... w Auguście znajdziemy sprzymierzeńca. Ja cię nie opuszczę.

Dżemma całowała, płacząc, ręce królowej.

— Oczu sobie nie wypłakuj, serca nie psuj... to chorowite dziecko oddamy doktorom; nie ma obawy aby się w niej August rozkochał.

Poszeptawszy jeszcze na ucho Dżemmie, Bona pogłaskała ją po twarzy, po głowie, obejrzała się dokoła i wyszła, a mniszka Maryna w milczeniu, cicho stąpając, odprowadziła ją do sypialni.

Dniało, ale wiosenne niebo całe powleczone było gęstemi chmury szaremi, które leniwo, powoli zdawały się z boku na bok obracać. Na wschodzie, tam gdzie słońce ukazać się miało, z za oparów różowy, słaby blask przyświecał czasami i sine chmury przysłaniały go natychmiast.

Nad rankiem dopiero w mieście i na zamku sen zmorzył nawet najzawziętszych opojów i kosterów, którzy korzystali z wesela, aby się upoić i oszaleć. Wśród ciszy tej ledwie szmer jakiś z lekkim jak westchnienie wiatrem przebiegał powietrze.

W sypialni młodych królestwa otwarły się zcicha drzwi i kroki ostrożnemi wyszedł ktoś z niej. Lampka dopalała się zdala, za zasłoną łoża drganie jej zdradzało życie.

Łoże stało na pół opróżnione, a z drugiej strony jego siedziała, z rękami na piersiach złożonemi, z włosami rozpuszczonemi, młoda królowa zadumana.

Była sama. Uśmiechniętego owego dziewczęcia, które tak wdzięcznie przyjmowało dary i powinszowania, trudno było poznać w tej twarzyczce smutnej i głęboko zadumanej, jakby nagle czarodziejskiej różdżki dotknięciem dojrzałej. Oczy jej patrzały przed się

nieruchomie w mrok komnaty, ale nic nie widziały, nie dostrzegły nawet na palcach, po cichu, ostrożnie zbliżającej się Hölzelinownej, która uchyliwszy kotary, szukała dziecka swego macierzyńskiemi, niespokojnemi oczyma.

Piastunka nie śmiała się zbliżyć długo — z postawy chciała odgadnąć coś. Elżbieta postrzegła ją wreszcie i obie ręce chciwie ku niej wyciągnęła.

Zbliżyła się Kätchen, a królowa wedle dawnego zwyczaju objęła ją białemi rączkami za szyję, głowę złożyła na ramieniu i pozostała tak milcząca, przymknąwszy oczy, jakby spoczynku potrzebowała.

Westchnienie się z jej ust wyrwało.

— A! Kätchen — szepnęła — Kätchen... Co za noc okropna, jaka ona była długa. Kätchen, jak ja ją inaczej wyobrażałam sobie... On! on! ten, którego ja tak kocham od dzieciństwa, mój pan, mój król, miał raz pierwszy zbliżyć się do mnie, mieliśmy być sami. Przygotowałam się tak serdecznie paść w jego ramiona, i płacząc mu powiedzieć wszystko. Jak go kochałam, jak tęskniłam za nim, jak teraz jestem szczęśliwa. Kätchen... był tak zimny jakiś, zastygły, milczący, obojętny... nie wiem, może nieśmiały, może jak ja bojaźliwy, że usta mi zamknął. Kätchen... nie śmiał się nawet przybliżyć do mnie, jakże ja miałam zdobyć się na odwagę?

Westchnęła młoda królowa.

— Ale, nieprawdaż? to tak zawsze z młodemi małżeństwami być musi.

Hölzelinowna nie odpowiedziała nic, a królowa poczęła po małym przestanku.

— Może on mnie nie kocha? może on się mnie lęka? może on wie, że ja czasem nagle zapadam w ten sen, jakbym już była umarłą i lękał się, abym ze wzruszenia nie omdlała?

Kätchen przerwała nagle.

— Ani on, ani nikt z tych, co tu są nie wie o tem, nikt wiedzieć nie powinien; powinnaś zapomnieć o tem, nie myśleć, aby się to nie powtarzało. To nie jest chorobą żadną, ale wprost zmęczeniem. Sił ci przybędzie, sny te ustaną.

Elżbieta zamyśliła się.

— A! żebyś wiedziała — rzekła — jak się ja obawiałam ciągle, aby mnie to nie napadło przy nim, teraz. Drżałam i modliłam się. Gdy wszyscy wyszli, zwrócił się ku mnie, zaledwie siłę mając powiedzieć mi, że muszę być bardzo zmęczoną i potrzebuję odpoczynku. Patrzałam na niego wzywając aby się zbliżył... nie miał odwagi, stanął z daleka. Wzrok miał roztargniony. Siadł na krześle przy łóżku, głowę pochylił na dłonie... ale napróżno udawał, że nie patrzy na mnie, spotykałam wzrok jego. Mnie pierwszej odezwać się, Kätchen, wszak prawda? nie wypadało? alem się nie kładła, siedziałam na łóżku zwrócona ku niemu.

Na starej, osmuconej twarzy Hölzelinownej malował się niepokój i trwoga a łzy stawały na powiekach.

— A! on dobry jest, łagodny — poczęła Elżbieta — a tak szlachetną ma postawę, a tak miłe, słodkie wejrzenie, ale nieśmiały bardzo! Wiem pewnie, że tak jak ja musiał szukać słów, chcieć i nie módz się odezwać, że czekał może, abym ja poczęła, a mnie biednej brakło tego czarodziejskiego słowa, coby jemu i mnie usta i serce otworzyło. Ale jutro, jutro! a przyjdzie już łatwiej... jutro będziemy starzy znajomi, ja spodziewam się być śmielszą, nie tak bić mi będzie serce!

W miarę jak królowa mówiła, lice Hölzelinownej smutniało coraz, rozpłakana poczęła drobne, białe, zastygłe rączki dziecka swojego całować, położyła je na poduszki, okryła.

— Zaśnijże teraz! — zawołała — spocznij, potem cię znowu zbudzą na te festyny męczeńskie, a ty i tak już wszystką wyczerpałaś siłę.

Kätchen chwilę pomyślała.

— Król młody — rzekła — postąpił sobie bardzo rozumnie. Kazał odpoczywać, nie rozpoczynał nawet rozmowy, aby cię nie męczyć, siedział na straży. Trzeba go słuchać.

— On mnie kocha? nieprawdaż? — zawołała królowa — on mnie kocha tak jak ja jego?

— Kocha, kocha, dziecko moje — potwierdziła piastunka — ale miłość się musi ośmielać i objawiać powoli, to prawo rycerskie! Daje ci czas, abyś się z nim oswoiła, przywykła, spoufaliła.

Elżbieta słuchała. Znała tak dobrze starą swą ochmistrzynię, że ją zaczęła posądzać o trochę przesady, o chęć pocieszania tylko.

— I miłość zawsze z początku jest tak zimna? — zapytała królowa.

— Śpij moja królowo, śpij, nabierz sił, abyś jutro miała rumieńce — przerwała Kätchen. — Nie trwoż się, nie myśl o niczem, wszystko będzie pomyślnem, pójdzie szczęśliwie, bo nie ma człowieka na ziemi coby na tobie, skarbie mój drogi, nie poznał się, nie ocenił cię, nie pokochał.

Pochyliła się nad nią, znowu ręce jej całować zaczęła, znowu otuliła pościelą — ale zaledwie przymrużywszy oczy, Elżbieta porwała się niespokojna.

— Kätchen, ja bo spać nie mogę! jabym tyle, tyle ci miała do powiedzenia, ale ty... ty...

— Czyż na to nie będziemy mieli czasu jutro? później? — nalegała Kätchen. — Tyś powinna zasnąć, aby mieć rumieniec na jutro! Stary król będzie się trwożył bladością twoją, a młody niepokoił.

— A barwiczka? — odparła Elżbieta — od czegoż ona?

— Ona nie zastąpi ci rumieńca — rzekła Kätchen — patrz na pożyczany rumieniec starej królowej, któż w niego uwierzy?

Posłuszna młoda pani przyłożyła głowę do poduszki, ale oczy się jej zamknąć nie mogły, patrzała na piastunkę siedzącą u łoża na straży. Usta się mimowolnie poruszać zaczęły.

— Miałam wczoraj cały gotowy w głowie obrazek tego pierwszego spotkania — rzekła — jak to nigdy, nigdy nic odgadnąć niepodobna!

Chciałam całe moje życie, całe dzieciństwo mu opisać, opowiedzieć, miałam mówić o matce, o tobie, o ojcu, o siostrach, o naszych zabawach, o tem jak cesarz mnie na kolanach posadził, jak bawiliśmy się w ogrodzie, jak jego obrazek pierwszy i drugi chowałam i przypatrywałam mu się, jakem go tu zaraz poznała, tylko mi się wydał piękniejszym nierównie od malowanego!

Ja proszę cię, Kätchen, ani słowa nie mogłam powiedzieć... nic, nic. Patrzyliśmy się na siebie zdaleka, milczeli, aż do rana.

Hölzelinowna zagryzła usta.

— Królowo moja, uśnij proszę — nalegała.

Elżbieta uśmiechając się zamknęła oczy. Ćwierć godziny może trwało milczenie, zdawała się usypiać. Kätchen już na palcach oddalić się chciała, gdy przymrużone powieki nagle otwarły się szeroko, i jedna ręka królowej za suknię chwyciła piastunkę.

— Kätchen! powiedz mi! czy on mnie kocha? Dlaczegoby on nie miał kochać, kiedy ja tak w nim jestem rozmiłowana? Dlaczego on był tak strasznie zimny, tak okrutnie milczący, tak nielitościwie nieczuły?

— A! królowo moja! zamiast usnąć, ty się dręczysz — schylając się nad nią zawołała Hölzelinowna.

Elżbieta porwała się i usiadła.

— Gdyby mnie nie kochał — rzekła — naówczas... naówczas co ja pocznę?

Uściskiem zamknęła jej usta Hölzelinowna i siadła przy łóżku.

— Gdyby cię nie kochał, byłby chyba ślepym i bezrozumnym! — zawołała. — Ale miłość, dziecko moje, nie przychodzi nigdy gwałtownie. Jeżeli on jest zimny, ty masz prawo przymileć mu się i poruszyć jego serce. Jeżeli on jest nieśmiały, ty bądź odważną.

Podumała chwilę piastunka czy jej odrazu wszystko odkryć mogła.

— Nie zrozumiesz tego — dodała cicho a poważnie — że matki bywają o synów zazdrośne. Zdaje mi się, że właśnie taką jest Bona, której się może zdaje, iż miłość syna dla ciebie, coś serca jego dla niej odbierze.

— Bona? królowa matka? — szepnęła Elżbieta. — A! jak ja się jej lękam! jaka straszna kobieta. Zdaleka gdy spotkam jej oczy, zdaje mi się, że pożrećby mnie chciała.

Ona mi słówka jednego nie powiedziała, aby ośmielić i pociągnąć ku sobie. A ja ją będę musiała nazywać matką!

Załamała ręce Elżbieta.

— A! tak! tak! tyś doskonale odgadła wszystko — poczęła żywo — temu winna ta królowa straszna, o której jeszcze w Pradze słyszeliśmy, że ona tu rządzi wszystkiem i królem samym.

Zygmunt taki dobry dla mnie. Lecz czyż starej tej Włoszki niczem rozbroić, przebłagać nie można? Byłabym tak pokorną, tak posłuszną, byleby mi Augusta kochać i jemu mnie pozwoliła?

Kätchen uśmiechnęła się.

— Przymilać się starej królowej — odezwała się — byłoby napróżno. Zachowaj się poważnie i nie okazuj tylko bojaźni. Masz za sobą powagę ojca, opiekę cesarza, których ona potrzebuje obu, nie waży się nic począć przeciwko tobie.

Nie trwoż się tylko i nie okazuj po sobie, gdybyś nawet cierpieć miała. Wszyscy tu oczy mają zwrócone na ciebie, i wszystkie serca już pozyskałaś sobie. Stary Zygmunt łzy ma na powiekach gdy patrzy na ciebie, Tarnowska i jej siostra z uwielbieniem mówią o tobie, cały dwór unosi się nad twą pięknością i łagodnością. Bona nie dokaże przeciwko tobie nic, i ludzie więcej tylko niż dotąd będą ją nienawidzili.

Zamyślona słuchała młoda pani.

— Bona — rzekła po cichu — wiesz ty o tem, gdy wszyscy podarki przynosili, ona jedna nie dała mi nic, nic... Gdy przyszła kolej na nią, czekano... widziałam na twarzy starego króla podziwienie i gniew, ale nie okazałam nawet żem to zrozumiała.

A! Boże mój — dodała — czyż ja potrzebuję tych darów, tych bogactw, bylebym miała jego serce. Oddałabym Bonie co mam, niech tylko kochać się nam nie przeszkadza.

Dzień już był biały. Na zamku ruch w początku słaby, stawał się żywszym z każdą chwilą. Na podworcach zamkowych, pomimo przejmującego chłodu, gotowano plac do turniejów, wysypując go piaskiem, bijąc koły, okrążając go łańcuchami i sznurami.

Do starego króla poczęli się zjeżdżać senatorowie, dla odprawienia co pilniejszem było nimby się rozpoczęły zabawy, igrzyska i przyjmowanie cudzoziemskich gości.

Król Zygmunt po stoczonym wczoraj boju z żoną, spocząwszy mało co, wstał znużony, spodziewając się przy pierwszej zręczności nowego wybuchu. Nic go tak nie dręczyło jak te starcia krzykliwe, gwałtowne, które godności jego uwłaczały.

Postanowił też unikać spotkania z Boną.

Zwykle dowiadywała się ona o zdrowie męża gdy wstawał. Dnia tego nie spodziewał się jej Zygmunt, gdy drzwi się otworzyły, Bona weszła, z twarzą pofałdowaną, zmęczona, dumna, ale na oko spokojna. Za nią kroczył tuż Catignani, co zapobiegało kłótni. Król odetchnął swobodniej.

— Daj mi siły jeźli możesz — rzekł do Włocha — widzisz że ich potrzebuję. Człowiek zarówno, niestety, potrzebuje ich do zniesienia boleści i do podołania szczęściu. Mnie już i zabawa cięży.

Catignani wybuchnął narzekaniem na chłód majowy, naówczas gdy we Florencyi od skwaru już wytrzymać nie było można w mieście. Narzekał na kraj tak nieszczęśliwy, w którym przez ośm miesięcy najmniej marznąć było potrzeba.

Król odezwał się półgłosem.

— Signor Nicolo, błogosławić trzeba może chłód ten, jeżeli on nie dopuści szerzyć się morowemu powietrzu, o którem już słychać, a upały je zwiększają.

Catignani zbladł i przeżegnał się.

— Bóg nas od niego uchowa — szepnął.

Królowa stała milcząca, zagryzała usta, rzuciła kilka pytań i razem z doktorem wkrótce zabrała się do wyjścia.

Król odetchnął swobodniej; na resztę dnia mógł być spokojnym i zapewnionym, że burza nie nadejdzie. Jak poprzedzające, dzień ten cały upłynął na zabawach, które w owych czasach zwykły były zawsze towarzyszyć każdej większej uroczystości.

W podworcu zamkowym urządzono turnieje, chociaż przeraźliwy chłód, który zimę przypominał, postrojonym rycerzom i giermkom, paniom przypatrującym się z galeryi, dokuczał mocno.

Królowa Bona pokazywała się mało; chciano wyczytać z jej twarzy co czuła i zamierzała, lecz po gwałtownym wybuchu trzymała się na wodzy. Gamrat i inni zaklinali ją, aby przy obcych nie objawiała tak jawnie niechęci dla synowej, o której natychmiast donieść miano do Wiednia i Pragi. Zdaje się usłuchała tej rady.

Nie była wprawdzie uprzejmiejszą dla Elżbiety, ale w ciągu turniejów i następującej po nich uczty, rozdawania nagród i tańców, nie okazała po sobie co miała w duszy i obracała się do otaczających, rozpoczynając rozmowę.

Stary król przyglądał się żonie, i dosyć rad był zmianie Pochlebiał sobie, że na tem wojna się skończyć miała, a synowa swą dobrocią przebłagała Włoszkę.

Wieczorem Bona, nie mieszając się do niczego na pozór, potrafiła tak ułożyć wszystko, iż August nie zajrzał nawet do małżonki, powiedziawszy jej sucho i zimno przy odprowadzaniu do sypialni, że powinna spocząć i snem się pokrzepić.

Sam on, z pewną ostentacyą od żony powrócił do matki i u niej pozostał tak długo, do tak poźnej godziny, iż go nie widziano gdy wyszedł.

Mało kto wiedział o tem, że przez pokoje królowej matki przejście było niepostrzeżone aż do mieszkania Dżemmy, do której August mógł się prześliznąć pod opieką Bony, nie zwracając na to oczów. Pomiędzy kobietami tajemnica ta ukryć się nie mogła.

Dżemma z wesołą, zwycięzką twarzą, z ustami uśmiechniętemi przesuwała się znowu pomiędzy towarzyszkami, które jej okazywały uszanowanie.

Król Zygmunt przed którym utaić nie było można, że młody król zaniedbał swą żonę, zmarszczył się, podumał, nazajutrz czulszym jeszcze okazał się dla synowej, ale ani Bonie, ani Augustowi nie powiedział nic.

Tylko w miarę jak Elżbiecie starano się zatruć pierwsze chwile pożycia z mężem, on coraz o nią był troskliwszym.

W parę dni potem stosunki trwały jeszcze nie zmienione.

A Elżbieta? zkąd słaba ta istota, której siły powinny się były wyczerpać po takiej próbie strasznej, brała je na dalszą walkę, jak ona mogła z wesołem prawie obliczem występować publicznie, uśmiechać się, tańcować, udawać, że nie słyszy i nie widzi coby ją obrażać mogło? jak to dziecię potrafiło na chwilę nie okazując słabości, wahania się, podołać ciężkim obowiązkom tych uroczystości, to wytłómaczyć trudno.

Być może, iż sama duma i uczucie ucisku dawało jej tę moc duszy, być może, iż rozumna Hölzelinowna dawała jej wskazówki, że naostatek miłość dla Augusta natchnęła ją do wytrwania z twarzą pogodną.

Bona, która w początkach była pewną, iż tę biedną istotę osamotnioną tu, osieroconą, bez porady, łatwo znęka i zwycięży, nie mogła się wydziwić — burzyła się mocniej jeszcze na widok uśmiechów i pogodnych wejrzeń swej ofiary.

Przechodziło to jej pojęcie.

Zygmunt August też może innego skutku się spodziewał swej oziębłości dla żony. Elżbieta wcale mu nie okazywała gniewu, witała go zrana uśmieszkiem i grzecznem słowem, wesoło, bez urazy żegnała go wieczorem. W ciągu dnia nie dostrzegał najlżejszej chmurki na jej twarzy.

Dwór podzielony na dwa obozy, ciekawy, mniej więcej wtajemniczony w rozpoczętą walkę, patrzał na to widowisko z najżywszem, można powiedzieć, z gorączkowem zajęciem.

Co było szlachetniejszego, stało naturalnie po stronie ofiary, obudzającej współczucie, politowanie, a umiejącej z taką godnością znosić cierpliwie prześladowanie niegodne.

Najmniejsza oznaka nie uchodziła oczu ludzi; patrzano na Bonę i Elżbietę, jak na dwóch zapaśników w arenie staczających bój z sobą.

Dotąd, stronnictwo królowej starej wcale się nie miało czem cieszyć, zadawało razy dotkliwe, ale nieprzyjaciela zbroja nawet nie poniosła szwanku. Gamrat, Kmita, Opaliński, Bona wreście zżymali się, burzyli niedokazawszy w istocie nic.

Co gorzej, pochwały Elżbiety będące w ustach wszystkich tak ze wszech miar były usprawiedliwione, iż nawet nieprzyjaciele potakiwać im musieli.

Z zamku wieści o tem co się na nim działo przechodziły na miasto, w którem tak dobrze jak na Wawelu miał swoich Zygmunt, miała i Bona.

Oprócz tego dalej od pola walki tłum stał neutralny, sądzący bez uprzedzenia. Tu w ogóle też wszyscy brali w obronę króla, Elżbietę, a sarkali głośno na Bonę, na Włochów i Gamrata.

Wyraz ten publicznego sądu, dochodząc do Bony, raził ją. Obóz więc królowej nie mógł pokryć tego, że się mu nie po myśli działo.

Arcybiskup Gamrat przypisywał niepowodzenie temu, iż królowa stara zbyt jawnie okazała swą niechęć i wypowiedziała wojnę, gdy do niej słusznych przyczyn nie miała, żadnej wymówki.

Pomiędzy królową a jej doradzcą powstały spory — w obozie Bony wszyscy czynili sobie i drugim wyrzuty.

Włoszka w końcu wyłajawszy Opalińskiego, spojrzawszy groźnie na Gamrata, krótko, nie tłómacząc się zapowiedziała, że to wszystko naprawi sama, że niczyjego rozumu nie potrzebuje.

Oczekiwano więc ciekawie tej naprawy.

Z królem nie wznowiły się kłótnie. Parę razy tylko Bona z przekąsem się wyraziła o posagu synowej, którego ani grosza nie spłacono, a trzecią część jego dopiero obiecywano na przyszłe Boże Narodzenie

Zygmunt w parę dni potem zdziwił się mocno, gdy Bona mu zrana zapowiedziała, że chce gości, synowę z synem i jego przyjąć u siebie wieczorem i gotuje im *collazione*.

Staremu się twarz rozjaśniła, a że chciwym był spokoju, upatrzył w tem oznakę jego i nawrócenia Bony. Przez cały dzień się tem radował, a ktokolwiek do niego przystąpił, pytał go czy jest zaproszony przez królowę, lub oznajmywał, że wieczorem młodzi królestwo u niej będą wraz z gośćmi.

W kołach Bony wiadomość ta sprawiła podziwienie. Zdania były podzielone. Gamrat wielce ten krok pochwalał, nazywając go dobrą polityką, inni naganiali, bo dawał napozór zwycięztwo nieprzyjaciołom.

Bona wcale się o te sądy nie troszczyła. Wydała rozkazy na wieczorne przyjęcie, które nie różniło się od zwykłych podobnych, na jakie czasem zapraszała.

Dumna a skąpa, chcąca się okazać możną a nie rada do ofiar, Bona umiała połączyć u siebie pewien rodzaj przepychu z oszczędnością. Tak samo gotowano ową *collazione* na sposób włoski, przy której miały wystąpić srebra, naczynia, tuwalnie, szkła i przybory bardzo piękne, ale jadła i napoje bywały zawsze i teraz być miały oszczędnie, skąpo i nieobficie roznoszone.

Króla starego w krześle przeniesiono na pokoje żony, gdzie i młode małżeństwo się znajdowało. Wszyscy się nie mogli odchwalić postawy godnej, spokojnej, szlachetnej Elżbiety, która nie okazywała po sobie, ani zbytniego upokorzenia, ani przesadzonej dumy, ani nadewszystko żeby się czuła dotkniętą czemkolwiekbądź.

Była tak spokojną i naiwną, jakby się tu znajdowała najszczęśliwszą.

Zygmunt August, który z ciekawością śledził każdy ruch i wyraz żony, musiał też być zdumionym, choć nie dawał tego znać po sobie. Pewien rodzaj niepokoju chwilami dawał się postrzegać na jego twarzy.

Bona dotąd tak prawie jak nie mówiła i nie zbliżała się do synowej. W gościnie u siebie przyjęła ją tak samo zimno, a na pokorny pokłon odpowiedziała zaledwie skinieniem.

Jakież było miłe zdumienie króla Zygmunta, gdy przed pójściem do stołu, choć może w sposób niezbyt czuły i grzeczny, Bona zbliżyła się do Elżbiety niosąc w ręku alsbant (naszyjnik) z przepysznych kamieni, z klejnotem zawieszonym przy nim, i kilka niezrozumiałych słów rzuciwszy jej do ucha, włożyła go na szyję Elżbiecie.

Stary król czule spojrzał na żonę — Bona tryumfowała.

Wprawdzie spóźniła się z podarkiem, ale ten nietylko wyrównywał innym, lecz może stosunkową wartością i pięknością je przechodził. Posłowie cesarscy i króla nie mogli zarzucić Bonie okazania niechęci.

Dopełniwszy tego Bona, była zmuszoną udawać wesołą — mówiła wiele, uprzejmą okazywała się dla gości. Sama niektórym przynosiła kubki słodkiego wina.

Hetmanowa Tarnowska, która należała do liczby zaproszonych gości, dostała też jakiś napój z rąk Bony, i szepnęła siostrze w ucho.

— Miałażby Włoszka wszystkich nas tu struć przez zemstę?

Pół żartem to powiedziała, ale nie jej jednej na myśl przyszła trucizna, tak naówczas już sądzono Bonę.

Przy wieczerzy, która składała się z owoców, z słodyczy, ciastek i win, wystąpił Monti ze śpiewem, dwóch cytarzystów z muzyką — ale nie wielką to wesołość obudziło.

Zmagano się na nią, nie mogąc przyjść do istotnego rozweselenia. Oczy wszystkich zwracała umyślnie po za młodą królową postawiona przez Bonę, strojna przepysznie, jaśniejąca pięknością nadzwyczajną Dżemma.

Nie było tajemnicą, że król młody się w niej kochał. Mimowolnie porównywano tę Juno wspaniałą, ze śliczną, ale słabiutką, delikatną królową, której lice blade jakieś wewnętrzne zdradzało cierpienie. Stary król jeden może ani jej nie spostrzegł, ani wiedział dlaczego ją tu postawiono.

Dżemma była strojna, tak że wśród fraucymeru, dosyć jednostajnie ubranego, nawet suknią i klejnotami ściągała na siebie oczy.

Na szyi jej błyszczący alsbant jakby naumyślnie włożony, miał takie podobieństwo do tego, który Bona dała Elżbiecie, iż w ich zbliżeniu myśli jakiejś dorozumieć się było można.

Zygmunt August postrzegł to najpierwszy może, drgnął, zarumienił się i oczy spuścił, jakby go to niemile dotknęło.

Elżbieta nie widząc stojącej za sobą, nie domyślała się niczego.

Gdy nadeszła godzina, w której goście się rozejść mieli, oznaczona tem, iż stary król kazał się odnieść do swej sypialni, goście królowej byli pozornie wszyscy rozgrzani, rozochoceni, uśmiechający, ale każdy z nich wyniósł jakieś przykre uczucie z tego wieczoru, który się wydał długim, a zostawił po sobie uczucie niepokoju.

Jak innych dni poprzedzających, August powrócił do matki i pozostał tu do późna.

Nikt nie wiedział co się z nim stało.

W sypialni królowa młoda siedziała sama ze swą powiernicą i piastunką Kätchen Hölzelin i obie po cichu szeptały.

Lampka paliła się przez noc całą, można się było każdej chwili młodego króla spodziewać, lecz jak poprzedzających dni, tak tego, August się nie pokazał u żony.

Zrozpaczona ochmistrzyni potrzebowała całej mocy wypróbowanego charakteru, aby sama nie upadła i powierzonej sobie młodej pani nie dała rozpłynąć się we łzach.

Bezsenne noce upływały na naukach, na pocieszaniu, na rozmowach.

Hölzelinowna przewidując i obawiając się najgorszych następstw tej walki niegodziwej, nie mogła już nic taić przed Elżbietą, musiała ją uzbroić tak, aby na wypadek wszelki sama sobie poradzić mogła. Nie czas było łudzić się, uwodzić i pocieszać kłamstwami.

Mając do czynienia z dzieckiem prawie, nieprzygotowanem do pojęcia wszystkich życia obrzydliwości i niegodziwości, Hölzelinowna była w najtrudniejszem w świecie położeniu.

Potrzeba było nagle przed istotą nieświadomą, niewinną odsłonić niewidziane dotąd przepaście, natchnąć ją męztwem.

Samo wychowanie bogobojne, ciche, domowe, czyniło przeszłość tak z teraźniejszością niezgodną, jak gdyby nowy świat oczom królowej się odkrywał.

W dzieciństwie jej wszystko wydawało się miłością, szlachetnością, wszystko czystem i jasnem; tu, na dworze męża, w matce jego trzeba było ukazać potwora, w ojcu bezsilną ofiarę, w mężu słabą istotę powodującą się despotyzmowi czy czarom matki.

Czary w owym wieku tłómaczące wszystko co było niezrozumiałem, służyły jako postrach — posługiwano się niemi wszędzie.

Przypisywano więc otwarcie tę władzę jaką Bona miała nad synem czarom, mówiono o tem powszechnie. Starą Włoszkę równie skłonni byli wszyscy uznawać czarownicą, jak trucicielką.

A cały czar, jakim Bona nad synem uzyskała przewagę, było jej uleganie wszystkim zachciankom młodzika, fantazjom dorastającego.

Król trzymał syna surowo dosyć, nie folgował mu. Karcił często, nie chciał go widzieć rozrzutnym, pamiętając na marnotrawstwo Aleksandra, Olbrachta i dziada Jagiełły.

Bona jakkolwiek skąpa, gdy szło o pozyskanie syna, nie żałowała nic, zasilała go pieniądzmi obficie, obsypywała podarunkami, a naostatek, widząc do miłostek skłonnym, ułatwiała mu je z rodzajem lekceważenia, które nie było w polskim obyczaju.

Cały fraucymer Bony był jakby haremem młodego pana. Zapobiegano skandalom przez ożenienia, zamykano usta podarkami, wysyłano do Włoch, wydawano za mąż w oddalone strony.

Dżemma nie była pierwszą, chociaż przywiązanie do niej przechodziło wszystkie dawne miłostki. Inne dziewczęta były płochemi — ta kochała nie króla ale Augusta i przywiązała się do niego namiętnie. Lecz Bona nie wierzyła w to, ażeby miłość ta mogła później stanąć na zawadzie, stać się ciężarem — rachowała na płochość niewieścią.

W końcu maja, gdy się to wszystko działo, goście obcy powoli się rozjeżdżać zaczęli, zamek powracał do trybu życia zwykłego, ale królowa młoda jak była tak pozostała — samą.

Nic się nie zmieniało, stosunki tylko naprężały, a każdy czuł, iż pozostać nie mogą takiemi jak się ułożyły ostatecznie.

Niepodobieństwem było, aby August ożeniony nie żył z żoną, aby jawnie powrócił do kochanki, aby królowa odosobniona, coraz nieprzyjaźniejszemi otoczona i obcemi sługami, skazaną była na rodzaj niewoli. Jadała nawet zwykle sama z Hölzelinowną, która przez poszanowanie usiąść nie śmiejąc, posługiwała swej pani. Król młody pokazywał się u niej bardzo rzadko. Z królową Boną spotykały się też nie codzień i na krótko, a staremu królowi nawet umiano przeszkadzać i przystęp do synowej utrudniać.

Cudowną siłę okazywała Elżbieta wśród tego powolnego męczeństwa, chodząc z pogodną twarzą, spokojna, jak gdyby nigdy, na chwilę, nie zwątpiła o swej przyszłości. Małżonkowi nie okazywała najmniejszego żalu, uśmiechała mu się, witała go przyjaźnie.

Hölzelinowna obawiała się wielce, aby wzruszenia, jakich doznawała Elżbieta, nie wywoływały powtórzenia tych napadów choroby, którą starano się ukrywać przed wszystkiemi.

Dziwną sprawą natury, zmuszona do walki Elżbieta zdobywała się na taką siłę, iż nawet chorobie, której podlegała zwykle, opierać się mogła.

O tych napadach omdleń długich Bona była zawiadomioną, rachowała na nie, aby one syna zraziły od żony; tymczasem nawet najsilniej podrażniona Elżbieta znosiła wszystko.

Tajemnicą siły tej była miłość dla męża.

Poczciwa Kätchen, choć sama może nie wierzyła w to, wmawiała swej wychowance, iż cierpliwością spokojną zmoże nieprzyjaciół, a męża ku sobie nawróci i pozyszcze.

Powtarzała jej to codziennie.

— Nie zrażaj się, on ma serce dobre, wszyscy mu to przyznają; matka go psuje, ale prędzej czy później uczuje błąd, pokocha cię i będzie się go starał naprawić.

Elżbieta tę słodką nadzieję przyjęła — było to jedyną jej pociechą.

— Kätchen — mówiła do niej wieczorem — wiesz? on dziś trzy razy spojrzał na mnie ukradkiem, gdy Bona tego widzieć nie mogła. Uśmiechnął się nieznacznie. Gdyśmy stali razem w loggij, upadł mi wachlarz... zamiast go kazać podnieść paziowi, schylił się, wziął go i sam mi oddał. Stara rzuciła na nas okiem bazyliszka, a ja wachlarz ten pocałowałam. Nie unika teraz tak odemnie. Parę razy po cichu zamieniliśmy słów kilka. A! Kätchen! jaki on ma głos miły, jak słodko w jego ustach brzmi mowa nasza. On i stary król wcale dobrze mówią po niemiecku, ale Bona języka tego nie rozumie i boi się go, więc przy niej odzywać się boją. Gotowa posądzić, że coś się przeciwko niej knuje, tak jak ona ciągle coś przeciw mnie snuje i wymyśla.

A w kilka dni potem, rzucając się na szyję piastunce zwiastowała jej Elżbieta, że August, gdy byli sami, pytał się jej o rodzeństwo, że mogła mu rozpowiedzieć o matce, o siostrach, o swem życiu, o tem co jej było upodobanem.

— Ale wtem Włoszka nadeszła — dodała — i rozmowa przerwać się musiała.

Na dwór swój, z wyjątkiem Opalińskiego, nie mogła się skarżyć młoda pani. Jeden on, sługa gorliwy Bony, pilno przestrzegał, aby była jak najbardziej odosobnioną.

Hölzelinowna spostrzegła, że i jej listy i te które Elżbieta do rodziców pisywała, wszystkie przechodziły przez ręce Opalińskiego, a zatem pewnie przesuwały się przed oczyma Bony i mogły albo ginąć lub zdradzać.

Potrzeba więc było znaleźć jakąś drogę, którąby zwierzenia się poufne, opis wierny tego co się tu działo, mogły dojść do rodziców i cesarza. Hölzelinowna we dworze nie wierzyła nikomu, ale pod pozorem pokupek dla siebie, wykradła się na miasto, starając znaleźć kogoś z kupców, któryby w Wiedniu i Pradze miał stosunki.

Nie potrzebowała szukać długo — domyślny bardzo, a oddany cały młodej pani Seweryn Boner sam się jej nastręczył. Wiedziała, że jemu zaufać mogła, bo wiernie stał przy starym królu.

Do niego się więc udała. Podskarbi przyrzekł listy przesyłać i zaręczył za ich całość, ale trzeba było jeszcze pośrednika niepodejrzanego, któryby przenoszenie potajemne ułatwiał.

Boner wahał się długo, nie znalazł nikogo lepszego nad Dudycza, który miał w tem własny interes, aby pomódz młodej królowej.

Dudycz niepozorny, nieposądzany, powszechnie za prostaczka uważany, nadawał się do tego doskonale.

Na wezwanie Bonera odpowiedział gotowością do usługi.

— Jeżeli ty młodej pani wiernie pomożesz — rzekł Boner — możesz się tego spodziewać, że my ci do twej Włoszki pomożemy, która nam już kością siedzi w gardle.

Petrek uśmiechnął się i pokłonił. Położył rękę na piersiach.

— W. miłość możesz na mnie polegać — rzekł — nikogo nigdy nie zdradziłem. Dobrowolnie się podejmuję, wiem co czynię. Ale miłościwy panie! miłościwy panie, za posługę tę pamiętajcie o mnie. Ja Włoszkę zaślubić muszę!

Boner śmiał się.

— Nieszczęśliwy człecze — rzekł — ja ci pewnie nie przeszkodzę! Bierz ją! a wywieź jak najdalej, aby młody król za nią nie szalał!

Stanęła tak ugoda i Dudycz został Hölzelinownie wskazany.

Drugi już miesiąc upływał od przybycia królowej Elżbiety do Krakowa, czerwiec się miał ku końcowi.

Ruch i życie jakie tu panowały przez dni kilkanaście ustały, wracał zwykły tryb i porządek, cisza, pod której płaszczem wikłały się intrygi, toczyła walka gorączkowo, ale ostrożnie prowadzona przez królowę Bonę.

Włoszka na chwilę w niej nie spoczywała, ale się jej zdawało, że potrafi omamić wszystkich, udając spokojną, napozór niemal bezczynną.

Tymczasem widoczne skutki jej zabiegów wskazywały, że nie próżnowała. Jawnie stała ona na stronie, lecz młoda królowa coraz bardziej odosobniona, opuszczona, ściśnięta, dozorowana, czasem tygodniami całemi niewidująca męża, cierpliwie znosząca prześladowanie, obudzała we wszystkich politowanie.

Skarga nigdy się z jej ust nie wyrwała, a łzy przychodziły w nocy, gdy była sama z Hölzelinowną i nikt ich ani posłyszeć, ani widzieć nie mógł.

Kätchen dodawała pani swej siły i męztwa, ale i w samej królowej wyrobiła się energia, jakiej się po młodziuchnej i nieprzygotowanej do takiego losu kobiecie spodziewać nie było można.

Raz postanowiwszy nie skarżyć się i znosić w milczeniu los, który się zmienić musiał, królowa, ile razy się ukazywać publicznie musiała, wychodziła z twarzyczką uśmiechniętą, której bladość tylko zdradzała wewnętrzne cierpienie.

Bona, która miała wiadomość o chorobie jakiej podlegała Elżbieta, rachowała na ucisk, na rozdrażnienie, mające wywołać nieochybnie, wedle doktorów, których się radziła, napad może publicznie, wśród jakiej uroczystości. Rachuby te ją zawiodły.

Najboleśniejszym ciosem jaki zadać mogła synowej, było odciąganie od niej męża, trwające dotychczas. Zygmunt August dawał się Dżemmie trzymać przy sobie, a Bona miłostki te ułatwiała. Ale i to nie zdołało młodej królowej wycisnąć łez, zniechęcić i doprowadzić do rozpaczy.

Piastunka jej powtarzała.

— Wytrwaj tylko cierpliwie a zwyciężysz. August do ciebie powróci. Znajdą się nareszcie co staremu królowi o intrydze doniosą i Włoszkę potrafi oddalić od dworu.

Z pomocą Dudycza pisała Hölzelinowna ciągle do ojca i matki, donosząc bez ogródki żadnej co się tu działo, skarżąc się na Bonę, wyświecając jej czynności.

Zygmunt Stary nie o wszystkiem mógł być zawiadomiony. Chory i osłabiony, nie znosił wiadomości, które drażniły, musiano go oszczędzać. Maciejowski i inni przyjaciele znajdowali, że nawet interwencya gwałtowna starego króla przeciw Bony knowaniom niewieleby pomódz mogła, i oni więc woleli nalegać na ojca i na cesarza, aby użył jedynego środka, jaki być obiecywał skutecznym — zagrożenia Bonie pomstą na królowej Izabelli i na posiadłościach neapolitańskich.

Lecz wystąpienie stanowcze ze strony ojca, musiało być na czemś oparte, i trzeba było z umiarkowaniem poczynać, aby Elżbiety położenia nie pogorszyć.

W Wiedniu i Pradze mówiono sobie, iż król jest stary i niedługowieczny, a z jego panowaniem wszystko się odmienić musi. Zwlekano więc.

Ośmielało to Bonę, chociaż nie zdobywała się dotąd na środki gwałtowne. Szła powoli i zawsze w ten sposób, aby się wycofać mogła.

Zygmunt August korzystał z tego, aby z rozkochaną Włoszką, jak ona niepomny jutra, spędzać dni na rozmowach i marzeniach. Oboje się upajali sobą. Dżemma nie zaglądała

w przyszłość, lub wystawiała ją sobie fałszywie w barwach najświetniejszych. August też unikał myślenia o następstwach.

Baczne oko, pomimo jego rozkochania się we Włoszce, która umiała miłość tę rozżarzać i utrzymywać, możeby dojrzało czasem politowania nad Elżbietą, rodzącego się jakiegoś zajęcia jej losem.

Najobojętniejszy człowiek nawet nie mógłby się był oprzeć współczuciu, jakie ta ofiara, znosząca tak cierpliwie swe męczeństwo, wzbudzała. Zygmunt August serce miał dobre, lecz był namiętny, a namiętność czyni samolubnym i zaślepia.

Urzędowa miłość małżonki nie miała dla niego uroku tej zakazanej, kradzionej a poetycznym wdziękiem jakimś przyodzianej. Nic tak nie wywołuje namiętności jak przywiązanie, poświęcenie, miłość jednem słowem. Dżemma była szalenie rozkochaną. Powtarzała sto razy na dzień, że gdy ją August opuści, życie sobie odbierze.

Chociaż król młody nie okazywał najmniejszego dla małżonki uczucia tak, aby ono zazdrość Włoszki obudzić mogło, Dżemma była szalenie zazdrośną o każdą życia jego godzinę spędzoną bez niej, podejrzywała, obrzucała wymówkami, płakała. Sceny te przykre kończyły się zawsze roznamiętnieniem z obu stron większem jeszcze.

Bona, Opaliński, wszystkie kobiety dworu starej pani, stosunkom tym króla z Dżemmą starały się posiłkować, zabezpieczać je i ukrywać.

Z młodą królową nawet ci co z nią sympatyzowali nie byli w bliższych stosunkach, obawiali się jawnie jej dopomagać, bo na wszystko Bona miała baczne oko.

Dudycz jeden bardzo gorliwie służył Hölzelinownie, ale nikt go nie podejrzywał, tak dalece, że się wyśmiewać poczęto posądzając go o matrymonialne zamiary, chociaż Kätchen, niepiękna, miała lat przeszło czterdzieści.

Nosił listy, chodził z wiadomościami i skargami do Bonera, z radami od niego powracał.

Jednego dnia czerwcowego właśnie z pismem ukrytem za suknią kroczył najdziwaczniej ubrany pseudo-Włoch ku kamienicy Bonera, zboczywszy w Rynek dla jakiegoś sprawunku, gdy z kamienicy Montelupich, około której przechodził, usłyszał sykanie. Obejrzał się, bo nie było blizko nikogo i domyślał się, że się ono do niego stosować mogło. W oknie domu stał ów niemal już zapomniany kupiec wenecki, którego poznał czasu wesela, dając mu znaki.

Dudycz przypomniawszy go sobie, zbliżył się. Włoch miał twarz nadto wyrazistą, aby ją zapomnieć lub omylić się można.

Pośpieszył do kamienicy i znajomego mieszkania, w którem odwiedzał był Wenetę. Stał on tu w progu grzecznie i uprzejmie witając dawnego znajomego.

Petrek znalazł go jakoś innym. Coś w nim było zmienionego, nietylko w postawie i twarzy, która miała wyraz poważniejszy i pewniejszy siebie, ale strój też, łańcuch na szyi, paradne ubranie czarne, mieczyk u boku podobniejszym go czyniły do dworaka jakiegoś, do urzędnika, niż do prostego, choćby majętnego kupca.

Ta mała metamorfoza niezbyt jednak zdziwiła Dudycza — strój ten mogły wywołać okoliczności.

— Szczęściem to nazwać mogę — odezwał się kupiec, biorąc za rękę Petrka i do krzesła go prowadząc — że mi się spotkać z wami nadarzyło. Potrzebowałem widzieć się z wami.

— Jestem na usługi wasze — odparł Dudycz.

— Tymczasem — mówił dalej Włoch — nic więcej od was nie potrzebuję nad to, ażebyście zapomnieli o tem, żeście mnie widzieli w Krakowie.

Dudycz się zdumiał nieco.

— Tak — dodał kupiec — potrzeba żebyście mnie nie znali, ani ja was. Tym razem przybywam tu do Krakowa nie jako kupiec, ale jako wysłany od cesarza i ojca królowej Elżbiety, spodziewając się, że mi tu przy młodym królu zostać pozwolą.

Dudycz milczał niedobrze rozumiejąc, a kupiec uśmiechał się i mówił dalej.

— Wiem, że wy służyliście Hölzelinownie, a zatem trzymacie z nami. Nasza młoda pani jest tu bez opieki, otoczoną obcemi, potrzeba aby kogoś przy małżonku miała przyjaznego sobie. Mam zalecające listy, mógłbym królowi Augustowi służyć za tłómacza, za sekretarza. Językami władam kilku.

Dudycz zwolna zaczynał się domyślać celu poselstwa.

— Rozumiem — rzekł — i życzę powodzenia. Bardzobyście się tu przydali, ale do kogóż macie listy polecające?

Włochowi oczy wesoło się uśmiechały.

— Do wszystkich — odparł — do króla starego, do młodego, do biskupa Samuela, do hetmana, do pana Bonera.

Do wszystkich — powtórzył — oprócz do królowej Bony, bo do tej pisać było próżno.

Zamyślił się mocno Petrek.

— Życzę aby się wam powiodło — odparł — ale nie wiem zpełna, jak potraficie ciężkiego dokonać dzieła.

— Starać się będę — rzekł Włoch z pewnością jakąś. — Królowa stara Włoszką jest, ja też Włochem, jedną bronią walczyć z nią potrafię.

Dudycz milczał.

— Macie więc wiedzieć — dodał kupiec — iż na teraz, kupcem już wcale nie jestem, ale posłem króla ojca i zowię się, do usług waszych, Giovanni Marsupin.

To mówiąc pokłonił się nizko.

— Przybyłem dzisiaj rano — mówił dalej po chwili — małom co miał czasu dotąd rozsłuchać się i rozpatrzyć. Cóż się u was dzieje?

Dudycz zagadnięty znalazł się w trudnem położeniu; na zapytania pojedyńcze byłby łatwo znalazł odpowiedź, do takiego ogólnego odmalowania położenia nie czuł się na siłach. Wymównym nie był, a myśli błąkały mu się zwykle samopas po głowie.

Odparł poruszeniem ramion i miną skwaszoną.

— Młodą królowę Bona widocznie postanowiła zamęczyć — odezwał się Marsupin. — Co ona zrobiła z tego małżeństwa! Prawdaż to, że król August nie jada nawet z małżonką, nie widuje się z nią po dni kilka... nie odwiedza. Mówią mi, że jej zbywa niemal na wygodach do życia. Zrobiono z niej niewolnicę! Ale co oni sobie myślą? że król pan mój i cesarz to zniosą, nie starając pomścić?

Milcząc słuchał Petrek — miał jedno na myśli, że jego własna sprawa mogła w Marsupinie pozyskać walnego sprzymierzeńca.

— Król młody ma kochankę — rzekł. — Widzieliście ją! przypomnijcie sobie... Wszystko na tem aby ją od niego oddalić!

— Wiem — odezwał się śmiejąc signor Marsupin — i to nawet, że wybyście się chętnie podjęli uwolnienia nas od niej.

Dudycz uśmiechnął się także.

— Ale kochanka ta... fraszka! — dodał Włoch.

— Jakto? fraszka? — przerwał Petrek.

— Tak jest — mówił Marsupin — weźmiemy mu tę, Bona potrafi drugą dostarczyć. Piękna dziewczyna jest narzędziem. Musimy złamać Bonę i nie dać jej znęcać się nad Elżbietą groźbą odwetu na ukochanej jej Izabelli.

— Ale Włoszka — zawołał niespokojny o siebie Dudycz — wy jąlekceważycie, widzę.

— Bynajmniej! — rzekł Marsupin —piękna jest, rozkochana lub dobrze udaje rozmiłowaną, wszystko to prawda, ale po za nią stoi Bona. Na nią uderzyć potrzeba.

Po chwili milczenia Dudycz, choć nie krasomówca, jąkając się wywód rozpoczął.

— Pewna rzecz, że na Bonę trzeba tak czy owak działać, ale, miły panie, choć wierzę w to, że będziecie mieć poparcie, choć sądzę, że wam nie zbędzie na zręczności, powiem jedno tylko. Król Zygmunt od lat wielu, dwudziestu kilku bodaj ożeniony, a jeszcześmy nie widzieli ani jednego przykładu, aby z Boną on czy ktokolwiek inny walcząc wyszedł zwycięzko.

Marsupin słuchał zmarszczony.

— Tak mi źle wróżycie — szepnął — no, ale ja męztwa nie tracę.

— A ja wam życzę powodzenia — dodał Dudycz — ale, wiecie co powiem. Ja przysięgnę, że gdy my tu rozmawiamy z sobą, a o was w mieście i na dworze nikt nie wie, ona już o przybyciu, o listach, o wszystkiem jest zawiadomioną.

Na dworze cesarza ma swoich, ma ich w Pradze, ma wszędzie... sypie gdy potrzeba pieniądzmi, a ma ich więcej niż król i skarb koronny. Za te pieniądze kogo chce kupuje.

Marsupin położył mu rękę na ramieniu.

— Nie sądzę ażeby na dworze polskiego króla wszyscy byli sprzedajni — rzekł — ani biskup Samuel, ani hetman, ani wielu innych kupić się nie dadzą jak Kmita, Gamrat i Opaliński. Bona dokuczyła już wam, jest znienawidzoną, panowanie jej się kończy.

— Daj Boże! — westchnął Dudycz.

Marsupin żywo począł po izbie się przechadzać. Petrkowi już na myśl wróciła jego nieszczęsna Włoszka.

— Szanowny panie — odezwał się — nie potrzebuję wam zaręczać, iż na usługi wasze jestem i będę. Że mi wierzy pan Boner i Hölzelinowna, najlepszym dowodem (tu dobył z za sukni list) oto to pismo, które niosę do podskarbiego. Rób pan co uznasz dobrem dla młodej królowej, ale nie zapominaj, że póki tu Włoszka jest, póty król młody od żony stronić będzie.

Marsupin śmiać się począł.

Poklepał go po ramieniu.

— Rozumiem — odparł — chociaż zaprawdę dziwuję się jakiemi czarami ona was sobie pozyskać mogła, bo wielkiego z nią szczęścia spodziewać się wam trudno.

— To moja rzecz — zawołał Dudycz. — Ja jestem człowiek uparty jak muł, a uporem się wiele robi. Bylem Włoszkę miał, dam sobie z nią rady.

Wypłacze się, wyzłości, a w końcu zgodzi ze swym losem, który ja jej ozłocę.

Dudycz uderzył się po kalecie.

— Bylebym pomocy i opieki pewnym był, choćby wykraść ją gotów jestem.

— Jakże? i królowej Bony, którą mnie straszycie, nie boicie się? — zawołał Marsupin.

— Nie tak bardzo, bo ona ma kilkanaście dziewcząt jeszcze na miejsce tej, którą wezmę.

— To prawda — potwierdził Włoch — ale gdyby tak było, niewiele nam pomoże usunięcie jednej.

Poruszył ramionami.

— Lecz co tu o tem rozprawiać przedwcześnie — dodał — naprzód potrzeba bliżej poznać młodego króla.

Ja znam go tylko ze słuchu. Opowiadają, że ma zdolności wielkie, serce i charakter szlachetny, a słabość jego dla kobiet tłómaczy po części młodość, w części to, że matka nietylko jej pobłażała, ale się starała w niej utrzymać, aby korzystać. Niepodobieństwem jest, aby młody król nie poznał się na tym skarbie jaki mu daliśmy. Chwilowo jest upojony, lecz wytrzeźwić się musi.

Dudycz wstał nie mając już co dodać, a chcąc pośpieszyć do Bonera.

— Tak więc — żegnając go dorzucił Marsupin, który do drzwi odprowadzał — pamiętajcie że się nie znamy, a razem że macie we mnie chętnego pomocnika w tem wszystkiem, co interesowi młodej królowej służyć może.

— Mam o was powiedzieć panu Bonerowi? — zapytał Dudycz.

— Wie on już o mnie — odparł Marsupin — a jutro z listami idę... do młodego króla naprzód.

Petrek, któremu zjawienie się tego posła zdawało się dobrą dla niego wróżbą, wesoło pośpieszył do podskarbiego; tu krótko zabawiwszy, ponieważ nowe odebrał zlecenie do Hölzelinownej, powrócił zaraz na zamek, wypatrzył chwilę dogodną i spełniając co mu Boner rozkazał, oznajmił razem o przybyciu Marsupina.

Niemka wprawdzie tego lub innego posła spodziewała się, lecz wiadomość o przybyciu uradowała ją wielce. Pobiegła z nią do młodej królowej jako ze zwiastunką pomyślniejszego obrotu rzeczy.

Marsupin znanym był jej z wziętości jaką miał na dworze króla ojca, który się nim oddawna posługiwał w sprawach, największej przebiegłości i wytrwania wymagających.

Przebrany pod rozmaitemi postaciami, nieraz Włoch wędrował do Węgier, do Turcyi, do Włoch, po rozmaitych dworach, to jako kupiec, to jako uczony, to jak cudzoziemiec ciekawy.

Gdy potrzeba było coś odkopać, wyśledzić, wyszpiegować, Marsupin nie miał sobie równego. Nadzwyczaj zręcznie robił znajomości, wciskał się, podsłuchiwał, zyskiwał ludzi, i nie było przykładu aby go pochwycono.

Najczęściej dawano mu misye takie, które wcale na jaw nie wychodziły; teraźniejsza tem się od poprzedzających różniła, że Marsupin musiał oko w oko stawić się przed królową starą, przeciw której miał walczyć, zarazem starając się wywiedzieć o wszystkiem co się młodej królowej tyczyło.

Zuchwałem było nieco ze strony ojca królowej Elżbiety polecenie Marsupina na sekretarza i tłómacza Augustowi, gdy łatwo było Bonie przewidzieć w nim nieprzyjaciela.

Czy w istocie rachowano na to, że się go tu umieścić uda? niewiadomo. Marsupin może sam niebardzo w to wierzył, ale bądź co bądź zaklinał się, że go ztąd niełatwo wypędzić potrafią.

Wiadomem było, że Zygmunt August kochał się w ludziach wykształconych, znających świat, mogących utrzymać rozmowę o tem co w danej chwili zajmowało umysły. Marsupin właśnie miał wszystkie przymioty takiego dworaka umiejącego pana zabawić, zająć, rozerwać i dopomódz mu do obeznania się z tem co świat na zachodzie zaprzątało.

Znał signor Giovanni wszystkie dwory, wielu panujących, wielu uczonych, czytał nowości, mówił doskonale językami kilku, a oprócz tego był niezrównanie giętki, zręczny i w potrzebie wymowny. Ani na energii ani na chytrości mu nie zbywało. Naostatek przywiązanie jego do rodziny króla było wypróbowane.

Na dworze polskim wcale Marsupina nie znano, bo się tu nigdy nie pokazywał, ale Włosi Bonę otaczający wiedzieli o nim.

Gdy nazajutrz ubrany paradnie signor Giovanni oznajmił się Opalińskiemu, jako przybywający z listami do młodego króla Marsupin, ostrożny marszałek przyjął go nader grzecznie, lecz do pana przypuścić jakoś nie chciał i zażądał listów na swe ręce.

Marsupin z wielką uniżonością oświadczył, iż miał polecenie tylko do rąk własnych Augusta je oddać. Prosił o posłuchanie.

Marszałek, który podejrzywał coś Bonie niemiłego, pobiegł do niej.

Królowa już była nietylko zawiadomioną o przybyciu Włocha, ale wiedziała kto on był.

— O! szpiega tu na mnie wysłali — zawołała. — Ta niegodziwa Niemka (Hölzelin) nie wiem jakiemi sposobami listy i doniesienia wysyła, opisała mnie w nich. Pomocnik dla niej przybywa. Moi ludzie go znają, najniebezpieczniejsza żmija. Okupić go nie można. Syna ja uprzedzę, posłuchanie odłóżcie do jutra, a bądź co bądź, trzeba mu życie uczynić tak gorzkiem, aby się niegodziwiec wyniósł coprędzej. Ja go tu cierpieć nie będę. Za nic, za nic!

Nazajutrz więc dopiero Marsupin mógł listy oddać królowi Augustowi, który go przyjął, ostrzeżonym będąc, grzecznie ale zimno.

Włoch rachował, że w dłuższej rozmowie przypodobać się, ująć sobie potrafi króla — lecz Opaliński czuwał nad tem i nie dopuścił mu się rozgadywać, przypominając pilne zajęcia.

Przeciw wszystkim tym zawadom Marsupin musiał odegrywać obojętną pewność siebie, jakby się nie poznawał na tem, iż się go pozbywano.

Oznajmił Augustowi, iż miał listy do młodej pani, dodając również, iż mu zlecono je oddać do rąk jej własnych i przekonać się o tem jak N. Pani wyglądała i czy zdrowie jej na zmianie życia nie ucierpiało.

Zygmunt August odpowiedział nieoznaczoną jakąś obietnicą.

Opaliński odprawił Marsupina co żywiej, zapowiadając, że postara mu się widzenie z Elżbietą ułatwić, a o dniu i godzinie doniesie.

Przyjazd Marsupina Bonę nieco poruszył, bo w nim widziała skutek doniesień, których się obawiała. Widocznie Włocha wysłano jako szpiega, aby się przekonał w miejscu o tem, co dochodziło do Wiednia i Pragi.

Tegoż dnia rozpoczęły się narady, biegali posłańce, wszyscy doradzcy i pomocnicy królowej zwołani zostali; a ponieważ wiele na starym Zygmuncie zależało, Bona postanowiła jego na przód przygotować tak, aby Marsupinowi pozostać tu nie dał, za uwłaczający sobie poczytując ten nadzór nad młodą królową, który dowodził braku zaufania.

Chwila do działania na króla była dosyć dobrze wybraną. Zmęczony walką Zygmunt Stary znajdował się w tym stanie i usposobieniu, które pragnąc spokoju, łacno się pozorami jego łudzić dawały.

Maciejowski i inni u boku króla będący, choć wiedzieli jak się obchodzono z młodą panią, ażeby nie martwić Zygmunta, nie wszystko przed nim mówili, ukrywali wiele.

Bona wstrzymała swe wybuchy, i udawała obojętną. Stary więc spodziewał się, że zwolna wszystko się ułoży najlepiej, bez uciekania się do ostatecznych środków, bez kłótni i wrzawy.

Gotów był nawet do małych ustępstw żonie, byle go nie zmuszała do gniewu. Elżbietę widywał ciągle uśmiechniętą, z wypogodzoną twarzą, nie skarżącą się na nic... i łudził się, pochlebiał sobie, że syn przywiązać się do niej musi.

Przez parę tygodni Bona dawała królowi tak spoczywać, nie drażniąc go niczem — przychodziła dowiadywać się o zdrowie, mówić o swoich osobistych interesach, nie napomykając wcale o synu i synowej. Zygmunt ulegał łagodnie.

Wieczorem dnia tego gdy Marsupin miał posłuchanie u Augusta, postanowionem zostało, iż Bona króla o nim uprzedzić musi.

Trochę wcześniej niż zwykle ukazała się w sypialni, a z twarzy jej poznał małżonek, iż niosła coś z sobą, że nie przyszła z próżnemi rękami. Po kilku słowach obojętnych zasiadła naprzeciw męża.

— Zapewne ci już doniesiono — odezwała się — o przybyciu tego osobliwego posłańca od ojca Elżbiety?

— Nie wiem o żadnym — rzekł król.

— Przysłano z Pragi Włocha — mówiła coraz się ożywiając królowa. — Ma listy do Augusta, do was i jeśli się nie mylę do wielu innych. Chcą go tu nam posadzić jak dozorcę, jak szpiega. To rzecz dla ciebie obelżywa! więc wiary w nas nie mają? Są więc ludzie, którzy im donoszą, że Elżbiecie się dzieje krzywda?

Włoch chce się w jakikolwiek sposób wcisnąć tu i pozostać. Polecają go za tłómacza i sekretarza Augustowi, ale ani on, ani my nie potrzebujemy nikogo, mamy dosyć sług swoich.

— Włoch? któż jest ten Włoch? — odezwał się król.

— Nie znają go tu, ale ma sławę przewrotnego, niebezpiecznego, zuchwałego człowieka.

Bona wstała z krzesła.

— Nie powinieneś dopuścić, aby ci go narzucono — zawołała.

Zygmunt milczał obojętny.

— Zobaczymy — rzekł — rozsłuchamy się i rozpatrzymy.

— Włoch będzie pewnie jutro lub wkrótce dobijał się o posłuchanie — dodała Włoszka. — Jeżeli przyjmiecie, bo ks. Samuel pewnie go przyprowadzi, nie róbcież mu nadziei, żeby tu mógł pozostać.

Królowa z początku dosyć spokojna, w miarę jak mówiła, coraz się bardziej unosić zaczęła.

— Wiedziałam dobrze — rzekła — że biorąc tu wnuczkę waszą, kupimy sobie podległość i niewolę, że nam cesarz i król tchnąć nie dadzą bez swojego pozwolenia, dlategom się temu związkowi opierała.

Oto masz skutki! Listy potajemne biegają ciągle, skargi, obwinienia i król ojciec waży się nam na nasz dwór wysyłać dozorcę, który nad nami rozciągnie straż.

Poruszyła ramionami.

— Godności króla to uwłacza! — dodała.

— Uspokój się — odparł król — pomówię o tem z moją radą, a ujmy sobie wyrządzić nie dam.

— Jeżeli przyjmiesz tego Marsupina — dołożyła Bona — zaklinam, abyś się na słodkie jego słowa wziąć nie dał, ani pokorą nie pozwolił omamić. Szpieg jest... złoczyńca!

Podniosła do góry pięść ściśniętą.

Zygmunt unikając burzy, postanowił nie odpowiadać, dał się Bonie wyburzyć, wygadać i odprawił ją nic nie przyrzekłszy.

Lecz był już przygotowany.

Król nazajutrz spytał o posła przybywającego zrana biskupa Maciejowskiego, który nie przywiązując umyślnie zbytniej wagi do zjawienia się go, odpowiedział królowi, iż w istocie Włocha przysłano, lecz ten szczególniej polecony był młodemu królowi, a królowej przywiózł listy, pozdrowienia i podarki od matki.

— Nie napierał się on dotąd o posłuchanie u miłości waszej — dodał Maciejowski — lecz pewnie o nie prosić będzie. Królowa jejmość zbytnią do tego posła przywiązuje wagę i nadaje mu znaczenie.

Uspokoił się chętnie król stary, bo mu nadewszystko pokój był pożądanym.

Marsupin bardzo zręcznie w istocie zamiast napraszać się do Zygmunta, naglił na Opalińskiego, aby młodej królowej został przedstawiony, bo miał do niej listy i posłanie.

Sługa najwierniejszy Bony, Opaliński, znalazł się w położeniu bardzo trudnem, bo nie chciał zdradzić jak dalece tu wszystko od Bony zależało i było w jej rękach, nie życzył sobie aby Włoch jasno widział stosunki. Tymczasem bez starej królowej wiedzy i pozwolenia nie mógł dopuścić Marsupina. Musiał się więc uciekać do tysiącznych wybiegów — królowa młoda była nieco znużoną, drugiego dnia nabożeństwo i posłuchania zająć ją miały i t. p.

Marsupin kłaniał się, czekał, ale dokuczał, bo przychodził po kilka razy na dzień i nużył marszałka upartem staniem, jakby nie rozumiał, że się go pozbywano.

Opaliński pobiegł do Bony.

— Za nic w świecie nie dam mu się z nią widzieć na osobności! — krzyknęła stara. — Trzeba go pilnować.

Po dość długiej i burzliwej naradzie postanowionem zostało, iż dwie królowe, stara z młodą, nazajutrz zrana spotkać się mają i... o cudo! przechadzać razem po wirydarzyku, który był przez Bonę około zamku założony na wzór włoskich ogrodów.

Zajmował on przestrzeń niewielką, ale w nim pełno było kwiatów i wonnych roślin; ścieżki i małe labirynty, kilka kamiennych naczyń dla ozdoby, nawet wodotrysk urządzony przez jakiegoś Włocha dla królowej. Widok ztąd dosyć piękny zwabiał tu niekiedy młodą królowę.

Nie miło jej było spotykać się z Boną, która słowa się do niej nie odzywała zwykle, wybierano więc godziny takie, gdy stara pani zajętą była. Tego dnia Opaliński podjął się tak przechadzkę urządzić, zachęcić do niej, aby dwie królowe spotkały się nim Marsupin na zamku się zjawi.

Opaliński rzeczy ułożonej zawcześnie miał nadać pozór przypadku i zaprowadzić posła a okazać mu, iż dwie królowe w najlepszej w świecie zgodzie obcowały z sobą, prawie się nie rozdzielając.

Jeżeli sądził, że Włocha tem oszuka? mylił się. Bonie tylko zdawać się mogło, iż tak niezręcznemi wybiegami uniewinnić się potrafi.

Ranek czerwcowy był prześliczny, chociaż po chłodach majowych, gorąca nadeszły szybko, i dnie już były skwarne. Na Wawel wiatr z dolin od rzeki przynosił powiew orzeźwiający.

Królowa Elżbieta wyszła zaledwie z Hölzelinowną swą do wirydarzyka, gdy w drugim końcu jego ukazała się Bona z dwoma karłami swemi. Młoda pani cofnąć się chciała, lecz Opaliński przytomny podszepnął, że byłoby to za złe wziętem.

Powolnym więc krokiem, nieśmiała młoda pani poczęła się przechadzać nie odważając zbliżyć do Bony, gdy ta sama do niej podeszła. Pozdrowienie było milczące. Zamiast odezwać się do synowej, którą tylko wzrokiem trzymała przy sobie, Bona poczęła rozmawiać z Opalińskim.

Elżbieta z tym uśmiechem obowiązkowym, który z ust jej nie schodził, z gałązką lawendy w ręku stała milcząca. Niestrwożona dawała patrzeć na siebie i spoglądała spokojnie na Bonę, która tem żywszą wiodła rozmowę z marszałkiem, iż się co chwila Marsupina spodziewała.

Opaliński zawczasu tak ułożył wszystko, iż Włoch przybywszy miał tu być przez dworzanina przyprowadzonym.

Spełniło się wszystko jak było obrachowane.

Zdala ukazał się Marsupin.

Bona doskonale udała, że o nim nie wiedziała dotąd wcale i okazała nawet radość z jego przybycia. Mogło to uwieść patrzących z boku, ale nie Marsupina, który wiedział po jakim stąpał gruncie.

Z niewymowną radością, której ukryć nie umiała, ujrzała go Elżbieta, przypomniawszy zaraz sobie.

Przynosił jej żywe wspomnienie rodziców, lat szczęśliwszych, był dowodem, że tam o niej nie zapomniano.

Postawa przebiegłego Włocha, który bił czołem przed starą królową i z pokorą jej się do kolan kłaniał, Bonę więcej przestraszyła niż uwiodła. Czuła w nim nieprzyjaciela.

Nie odstąpiła ani na chwilę od synowej i nie bardzo się posłańcowi dała z nią rozmówić, sama natychmiast zwracając się ku temu, że w interesie córki Izabelli rada była Marsupinowi dać zlecenia.

— Spełnię je — odparł Włoch — chociażby listownie, gdyż na teraz, stosując się do rozkazów pana mojego, czas jakiś tu zatrzymać się będę musiał.

Bona zagryzła usta.

Marsupin odprawy zrozumieć nie chciał. Zwrócił się do Elżbiety, dając jej wiadomości o rodzeństwie, ojcu i wręczając listy jakie miał do niej.

Królowa młoda przyjęła je z radością, lecz nie rozpieczętowując za suknię włożyła.

Pytaniom nie było końca — lecz przytomność uparta Bony zmuszała Elżbietę i Włocha do ograniczenia się ogólnikami... otwarcie się rozmówić nie było podobna. Marsupin tylko wejrzeniem, oczyma dawał do zrozumienia, iż więcej przynosi, niż w tej chwili oddać może.

Nie okazał ani niesmaku, ani zakłopotania — udawał wesołego tak dobrze jak Bona.

Po krótkiej rozmowie, gdy Marsupin przekonał się, iż sam na sam z Elżbietą tym razem pozostać nie będzie mógł, nie chcąc być natrętnym, żegnał obie królowe.

Nieco opodal stała, oczekując na swą panią Hölzelinowna. Do tej starej znajomej zbliżyć się nikt nie mógł zabronić. Signor Giovanni bardzo zręcznie z tej sposobności skorzystał.

Doskonały komedyant umiał zdala wcale co innego okazywać postawą, a co innego mówić ustami. Powitanie Kätchen mogło się Bonie wydawać niewinnem, a Marsupin pewien, że głosu jego nie dosłyszą, pośpieszył kłaniając się rzucić jej:

— Nie dano mi się nawet widzieć na osobności z królową. To najlepszy dowód, że na sumieniu się nie czują czyści. Na miły Bóg, musimy choć my, panno Katarzyno, spotkać się gdzieś, abym całą prawdę tę wiedział, której już kawałki pochwytałem.

Hölzelinowna tak była przestraszona, iż nierychło mu odpowiedziała.

— Obmyśl sam środki, ja nic nie potrafię, siedzimy otoczone strażami jak w niewoli.

— Królowa się uśmiecha — dodał Marsupin podwajając fałszywe ukłony — ale jakże jej z twarzy patrzy męczeństwo!

— Twarz nie kłamie! — westchnęła Hölzelinowna. — Na Boga — dodała — nie opuszczaj nas, zostań tu, jeżeli można, bądź świadkiem tego co się dzieje. Małżeństwo wcale z sobą nie żyje. Król młody ma kochankę czy kochanki. Ta nieszczęśliwa wzgardzoną jest.

Marsupin obawiał się mówić więcej, pokłonił jeszcze i za murem zniknął, nim dwie królowe, które już się zbliżały, nadeszły, bo stara chciała przeszkodzić podejrzanej rozmowie.

Pierwsze te kroki Włocha wśród dworu dotąd mu prawie obcego, były ostrożne i baczne — pochlebiał sobie może, iż bez jawnego występowania przeciwko starej królowej potrafi się obejść.

Bona też w początku sądziła, że łatwo go ztąd wygna.

Obić rachuby zawiodły.

Marsupin dowiadując się coraz lepiej o stanie rzeczy, o pożyciu małżeńskiem, o zabiegach królowej matki, przekonał się, że wystąpienie otwarte będzie nieuniknionem.

Większa część faktów biła w oczy, wszyscy o nich byli uwiadomieni. Wojna stała się nieuniknioną.

Po posłuchaniu w ogrodzie signor Giovanni naprzód zameldował się z poszanowaniem do starego króla. Boner lub Maciejowski mieli go tu wprowadzić.

Ale podskarbi przed posłuchaniem wziął do siebie Włocha.

— Przed królem starym nie występuj z zażaleniami — rzekł — nie wytaczaj sprawy. Na nic się to nie przyda. Zygmunt nasz zgryzie się, oburzy, a nie uczyni nic. Działać musisz w inny sposób. Nie taj się z tem, że król ojciec za córkę pomści się na królowej Izabelli. Jednym tym postrachem możesz Bonę zmiękczyć i zmusić do zmiany postępowania. Wy i my zresztą, wszyscy będziemy pracowali nad tem, ażeby młodego króla wraz z żoną albo

na Mazowsze lub do Litwy wyprawić. Zdala od Bony, od kochanki, jaką tu ma, pozna lepiej Elżbietę i przywiąże się do niej. Króla starego nie drażnij, a wojny nie wypowiadaj zawcześnie.

— Mnie się zdaje — rozśmiał się Marsupin — że Bona zbyt jest przebiegłą, aby już jej nie czuła w powietrzu, a mnie z oczu nie wyczytała, iż się oszukać nie dam.

— Jeżeli król stary was przyjmie — dodał Boner — pokłoniwszy mu się, choćbyście nie chcieli, musicie prosić o posłuchanie u królowej matki, aby jej nie obrazić.

Skłonił się Marsupin.

— Nie ulęknę się tego — dodał. — Wiedziałem wyjeżdżając z Pragi, co wziąłem na ramiona. Pobyt mój tutaj słodkim nie będzie.

Następnego dnia król Zygmunt przyjmował Marsupina, ale było to posłuchanie czysto urzędowe, grzeczne, zimne, na którem nie mówiono o niczem. Dowiadywał się stary o zdrowie króla, o rodzinę, pytał o nowiny dworu cesarskiego, rozmawiał o rzeczach obojętnych.

Nie dotknięto nic drażliwego, a Włoch po sobie nie okazał nawet jaką miał troskę na sercu.

Gdy tegoż dnia wieczorem Bona rozgorączkowana wpadła do męża, domagając się bez ogródki wypędzenia Włocha, zowiąc go szpiegiem i zdrajcą — król Zygmunt przyjął to niechętnie, kwaśno i rzucił jej w oczy, że się ludziom okłamywać dawała.

— Włoszysko jakieś pokorne, o złem nie myśli — rzekł — i co go masz zniechęcać, lepiej pozyskać się staraj dla Izabelli. Niech powróciwszy popiera jej sprawę u króla Ferdynanda.

Napróżno usiłowała Bona króla nawrócić na swe obawy — Zygmunt słuchać nie chciał.

Marsupin siedział uparcie i ani myślał się ruszać z Krakowa; wypędzić go nie było podobna, a pobyt ten do najwyższego stopnia gniewał i niecierpliwił królowę.

Mówiła tylko o nim, nie myślała tylko o środkach pozbycia się.

— On tu wszystkie kłamstwa i potwarze pozbiera i będą nam niemi wykalać oczy.

Szpiegi nasadzone chodziły krok w krok za Włochem; donoszono, że przesiadywał to u Bonerów, to u Decyuszów, to u biskupa Samuela, to u Andrzeja z Górki.

Kilka razy spróbował przebojem do królowej Elżbiety się wcisnąć — Opaliński mu drzwi zamknął. Znajdował zawsze mniej więcej słuszną wymówkę, dla której teraz się z królową widzieć nie było można.

Marsupin dopytywał kiedy mu to będzie dozwolonem.

Marszałek ubolewał, że czasu nie mógł oznaczyć. Z jednej strony opór, z drugiej naleganie nie ustawały z równą wytrzymałością.

— Mam czas — mówił kłaniając się Marsupin — będę czekał aż się z królową rozmówić mi będzie wolno. Nie wyjadę przecie inaczej.

Gdy się to działo, dnia jednego nadbiegł zatrważający goniec z listami od królowej Izabelli. Błagała ona matkę, aby korzystając ze stosunków z królem Ferdynandem, starała się opiekę jego i pomoc uzyskać dla wdowy i sieroty.

Ze wszystkich dzieci swych Bona może najczulej kochała Izabellę, najgoręcej się losem jej zajmowała. Cała miłość macierzyńska na jaką się zdobyć mogła, przelewać się zdawała na to jedno swe dziecię, bo syn pieszczony był tylko dopóki go sobie podbić chciała i spodziewała się.

Odebrawszy listy Bona pół dnia łamała ręce, nie wiedząc co czynić. Jedno z dwojga: potrzeba było albo zmienić postępowanie z Elżbietą, lub poświęcić Izabellę.

Ale oddać Zygmunta Augusta, którego słabość znała, żonie, znaczyło abdykować zawczasu!

Miłość dla dziecka, przeważył interes własny.

Królowa musiała chwilowo choć spróbować dwie nieprzejednane sprawy pogodzić z sobą.

Do późnej nocy trwały narady z Gamratem.

Arcybiskup, nie ten już co był niegdyś (mówiła o nim Bona), smutny ciągle, ostygły, nie biorący nic do serca, skarżący się na zdrowie coraz gorsze — potakiwał nie radził.

Był jednak za tem, aby starać się pozyskać Marsupina.

— Mówią, iż ma ucho i wiarę u króla swego — dodał — choć człek mały, lekceważyć go nie można.

— Ale wiem, że się kupić nie da! — wykrzyknęła królowa — a gdy to niemożliwe, to zdradzi!

Właśnie gdy się toczyły te narady, Włoch poszedł za skazówką Bonera i królowę Bonę o posłuchanie prosił.

Oświadczył mu marszałek, iż chętnie przyjęty zostanie.

Królowa pragnęła wystąpić dosyć wspaniale, kazała się przystroić służbie, karłom, fraucymerowi. Sama wdziała najpiękniejsze klejnoty, komnatę obrała najokazalej przyozdobioną. Synowi naostatek poleciła, aby był przy niej czasu posłuchania.

Występowała z całą dumą królewską w majestacie.

Marsupin odziany czarno, z łańcuchem od cesarza, na którym był wizerunek złoty Karola V, przyszedł z tą pokorą i uniżonością przesadzoną, niezmierną, która Bonę gniewała, bo niemal w niej widzieć było można szyderstwo.

Zmierzyli się oczyma nieprzyjaciele. Bona nie dopuściła w rozmowie ani dotknąć nic drażliwego, żadnych żalów, żadnych wymagań. Natomiast rozpoczęła o córce i o królu, którego sobie dla niej zjednać chciała.

Włoch przyrzekał, ale razem usiłował przypomnieć królowę Elżbietę — lecz Bona ani słuchać nie chciała. Powtarzała jedno.

Zdawało się to jakby postawionym warunkiem targu i Marsupin w początku tak to zrozumiał. Chciał ze swej strony też położyć za warunek inne obejście się z młodą królową. Bona nie rozumiała.

— Możecie zapewnić króla, że my nad powierzoną nam córką jego, czuwamy jak nad własnem dziecięciem. Zdrowie jej niedobre, aleśmy temu nie winni, taką do nas przybyła.

I jak najprędzej, natychmiast zagaiła o królowej Izabelli, prosząc Marsupina, aby sprawę jej popierał.

Włoch w końcu przyrzekając donieść co mu polecono, dodał, że nie był upoważnionym do mięszania w sprawy, do których innych pośredników użyćby należało.

Całe to posłuchanie upłynęło na szermierce słów próżnej, bo ani Bona sobie mogła pochlebiać że pozyska Marsupina, ani on że ją rozbroi.

Zamiast zbliżenia, rozmowa pozostawiła po sobie gorzkie wspomnienia.

Gdy po wyjściu Włocha królowa się znalazła sama z arcybiskupem, zawołała gniewna.

— O! król Ferdynand umiał dobrze wybrać posła! Zaprawdę życzyłabym sobie mieć takiego sługę, ale pozbyć się go jako szpiega, jako najniebezpieczniejszego intryganta... konieczna!

Nie będziemy mieli pokoju, dopóki on tu pozostanie. Precz z nim! precz z nim! Co to za wejrzenie bazyliszka! co za uśmiech, jaka podła pokora i udanie, a szyderstwo drga mu na ustach.

Wieczorem u króla Bona ciągle mówiła tylko o Marsupinie — nie schodził jej z ust, aż Zygmunt musiał kazać milczeć.

— Dajże mi pokój z tym Włochem, robisz z niego większego niż on jest. U stracha wielkie oczy.

Po wszystkich tych audyencyach skończyło się na tem, iż Opaliński zakazał Włocha puszczać na zamek.

Jeżeli Marsupinowi udało się oszukać straże i wśliznąć się między dworzan królewskich, którzy mu tak sprzyjali, że go nietylko chętnie przyjmowali, ale gotowi mu byli pomagać, czujna Bona natychmiast zapobiegała przez kogoś ze swoich, aby dalej nad przedpokoje się nie dostał.

Widząc go tak zbiedzonym, biskup Samuel i hetman sądzili, że mu utrzymać się w Krakowie o własnym koszcie dłużej będzie trudno; chciał więc biskup łożyć nań, a inni się do tego przyczynić — ale signor Giovanni odmówił. Znajdował, że to dla pana jego uwłaczającemby było, gdyby sługa królewski cudzej potrzebował pomocy.

Ile biedny, zabiegliwy Włoch wycierpiał, co się nabiegał, jakich środków używać musiał, aby się rozwiedzić o wszystkiem i choć próbować módz docisnąć gdzie go nie puszczano, opisać trudno.

Niezmordowanym był w tej pracy, do której go i rzeczywista miłość dla młodej królowej zagrzewała.

Bona wiedząc o wszystkiem, powzięła ku niemu nienawiść nieubłaganą. Zaczęła od tego, iż staremu królowi codzień tem głowę nabijała, iż żywił na dworze nieprzyjaciela, szpiega, potwarcę, donosiciela i że dla godności swej pozbyć się był go obowiązanym.

Z początku król zbywał to milczeniem, w końcu znudzony, słysząc ciągle powtarzające się żale, dał się im uwieść i sam na Marsupina przed ks. Maciejowskim narzekać zaczął.

Nie przyjmował już Włocha, a król młody, bojąc się matki, ani go też chciał widzieć.

Młoda królowa, choć najmocniej życzyła spotkać się z nim, tak ją trzymano, otaczano, zamykano a Włocha odpędzano, że jej nawet zdaleka nie widywał, chyba w kościele, gdy w loży mszy świętej słuchała.

Wszystek jego stosunek ograniczał się do tego, że przez Dudycza posyłał listy i przez niego je odbierał. Był więc doskonale uwiadomionym, co się działo na dworze młodych państwa: że August zupełnie żonę zaniedbywał, i że ją Bona jak niewolnicę strzegła, sługi jej mieniając, liczbę ich zmniejszając, w wielu rzeczach skąpiąc i odmawiając wygód nawet do których była przywykłą.

Czas jakiś wytrwawszy na tem stanowisku poleconego Augustowi za tłómacza i sekretarza — Marsupin, widząc że najmniejszej przyjęcia nie miał nadziei — zrzucił w końcu maskę i głośno mówił, że był posłem króla Ferdynanda, przeznaczonym do pozostawania przy osobie królowej Elżbiety.

Bona i o tem słyszeć nie chciała.

— Tłómaczów mamy dosyć, Elżbiety dwór pełen, nikogo ona nie potrzebuje, na donosicielach nie zbywa. Marsupin musi iść precz.

Tego znowu Włoch zrozumieć nie chciał i nie mógł. Starano go się pozbyć, on ani się myślał ruszać. Mieszkał u Montelupich. Napadano na nich aby mu wymówili gospodę, czego oni uczynić nie chcieli. Wiele osób, z obawy prześladowania Bony, unikało go, ale przystęp do tych, do których miał listy polecające, do Bonera, Maciejowskiego, Decyusza, Górki, hetmana, został mu wolny. Tym nikt zabronić nie mógł go przyjmować — a Bony łask wcale się nie starali pozyskać.

Dudycz, który wiele miał do stracenia i obawiał się, unikał z nim otwartych stosunków, ale po nocy chodził do niego i pomagał mu. Tak samo Boner się nim gorliwie zajmował.

Wszystko to na niewiele się przydać mu mogło, gdy do nikogo już przystępu nie miał. Opaliński szczególniej trzymał go na oku i przez swoich śledził kroki, a do zamku nie dopuszczał.

Marsupin począł tedy coraz się jawniej dobijać, jako sługa i wysłaniec króla, tego czego mu odmawiano. Odzywał się bez ogródki z tem, iż na nowe listy czeka, a choćby rok tu miał siedzieć nadaremnie, odpędzić się nie da.

Donoszono Bonie iż ciągle to powtarzał, że na Węgrzech królowej Izabelli oddadzą to co tu Elżbieta cierpiała. Nie taił się i z tem, że do cesarza pisał nalegając, aby księztwa włoskie Bonie odebrał, a komu innemu je nadał.

Choć na pozór niby gardziła Bona temi pogróżkami, jednakże niepokój one obudzały. Lecz ustąpić dla nich, duma nie pozwalała.

Całą więc siecią intryg opasano Marsupina, próbując czy nie ma słabostki jakiej za którąby go pochwycić można. Na pieniądze, na wdzięki kobiet, na inne takie przynęty, Włoch się okazał zupełnie obojętnym. Miłość własna i przywiązanie do rodziny panującej dawały mu siłę i wytrwanie.

Krzątał się nieustannie, mówił głośno i otwarcie, a że każde jego słowo szpiegowie na zamek odnosili, Bona wiedziała iż szerzył pogłoski o jej prześladowaniu synowej i zniechęcał ku niej ludzi.

Nie pozostawało nic, tylko jakimkolwiek kosztem pozbyć się Marsupina! Bądź co bądź! Niełatwo jednak było to dokonać.

Włoch naigrawać się zdawał z pogróżek, coraz żarliwiej zabiegając i dając się czuć wszędzie. Na zamek już mu się nawet pokazywać nie godziło.

Nieustraszony we wszystkiem, Włoch miał jedną słabą stronę: jak inni współcześni wierzył on w czary i obawiał się ich.

Był przekonanym, że władza Bony nad starym małżonkiem, nad synem i nad wielu jej zaprzedanemi nie inne miała źródło tylko — czary!

Wiedziano, że się często naradzała ze swym doktorem, astrologiem, Włochem, który ciągle w tyglach smażył, a królowa do niego nawet późno w nocy z mniszką Maryną chadzała. Czyniono ją więc czarownicą, która napojami, pierścieniami, podarkami ludzi w moc swą zaprzęgała.

Marsupin za żadne skarby świata nicby był od niej nie przyjął; ostrzegał innych, aby zetknięcia się z niebezpieczną czarownicą unikali.

Na mieście pospolity lud dość był skłonnym w to uwierzyć. Widziano króla ulegającego jej z dziecinnem posłuszeństwem, syna którego na sznurku jako chciała prowadziła — Gamrata posłusznego ślepo, Kmitę dotąd nawet dającego się jej powodować, Opalińskiego naostatek, który jak ostatni ze sług czynił co kazała.

Chociaż cały czar Bony stanowiła silna jej wola i środki bardzo proste jakiemi sobie zyskiwała ludzi, było w istocie coś zdumiewającego w tej kobiecie cudzoziemce, samej jednej tu, słabej na pozór, której wszystko ulegać musiało.

Marsupin lękał się o życie nawet, bo od czarów do trucizny krok był tylko, a włoskim obyczajem, wiedział że i w ten sposób się pozbywano zawadzającego wroga. Trwoga ogarniała go jeszcze niemal większa o młodą królowę, dla której obawiał się także trucizny, jeśli nie w pokarmach i napojach, to bodaj w perfumowanych rękawiczkach, w tem co naówczas noszono na sobie.

Uspokajało go to jedno, że Elżbieta dotąd, z powodu choroby starego króla, jadała sama, osobno — a choć mąż, który powinien był jej towarzyszyć, rzadko się pokazywał, ale podczaszowie i krajczy pokarmy próbowali podając.

Zalecał Hölzelinownie, aby na stół miała baczne oko, a podarków żadnych od starej królowej przyjmować nie dopuszczała.

Sama zresztą poczciwa piastunka, widząc się nieprzyjaciółmi otoczoną, czuwała dzień i noc nad swem dzieckiem ukochanem, nie mogąc wyjść z podziwienia nad tą siłą ducha z jaką męczennica znosiła wszystko, nieprzyjaciołom nawet nie dając się ucieszyć wyrazem boleści... bo cudnie udawała wesołą i spokojną.

— Anioł jest! — wołała stara Kätchen — a nie wiem czy kiedy kobieta to zniosła co ona, z takiem bohaterstwem. Klękać przed panią moją!

*

Wśród tej walki, którą Marsupin wiódł z zażartością swego włoskiego temperamentu, niespodziany zwrot nadać jej miały, na pozór żadnego z nią związku nie mające wypadki.

W drewnianem starem domostwie na Okolu, była od wieków już gospoda bednarska. Zamożnemu cechowi temu z dawnaby było przystało wybrać sobie inną pokaźniejszą, bo budynek był na pół w ziemię zapadły, popodpierany z tyłu, a dach na nim wysoki i ciężki pogarbił się i powypaczał, lecz stary obyczaj trzymał tu towarzystwo. Nie chciało one przez jakąś obawę niemal przesądną, przez przywiązanie do pamiątek, opuszczać tych progów, które nogi pokoleń wielu powyżłabiały.

W ogromnej izbie na dole, nizkiej i ciemnej, mieściły się: tak zwany stół, skarb towarzyski i trunek. Tu się zbierano na rady, na wybory, na przyjmowanie czeladzi, wyzwalanie jej. Tu wędrowni towarzysze stawili się, aby ich wedle obyczaju przyjęto.

A kto „obyczajnie" (to jest wedle zwyczajów i form) żądał, temu się „stawał obyczaj".

Obok izby radnej, w komorze mieszkała wdowa po bednarzu, Raczkowa, która się zwała Matką i sprawiała obowiązki gospodyni.

Niemłoda już, przygarbiona sciatyką, chadzała o kiju, stukając nim i butami kutemi, ale się poruszała żywo, a odpowiedzi na języku nigdy jej nie zabrakło — i co do niej należało, trzymała pod kluczem strzegąc pilnie.

W pierwszej izbie wielki stół zajmował miejsce główne, u przedniej ściany między oknami, nad nim krzyż Chrystusów i wielki obraz patrona cechu był zawieszony, ale dla starości na desce mało co, prócz złoceń, rozpoznać było można.

Oprócz stołu, przy którym nie wszystkim zasiadać było wolno, w kącie ławy były osobne dla trybownych, daclów i chłopców. Stały przy ścianach i szafy proste, w których

różny sprzęt i znamiona zachowywano, była i skrzynia zamczysta, kuta, na przywileje, księgi i pieniądze, a na półkach stało kilka pyłem okrytych misternych, drobnych wyrobów — owych majsterskich sztuk, któremi cech mógł się pochlubić, choćby przed obcemi.

A było na nie warto popatrzeć, bo beczułeczki i baryłki drewniane, choć drewniane tak były wypieszczone, jakby je kunsztmistrz robił z czystego złota i obręczyki się na nich splatały, jakby ze lnianych plecionek nie z drewnianych gałązek.

W cechu bednarskim, jak podówczas w innych też rzemiosłach, wyrobił się już był obyczaj towarzyski, pewne formy, które już tradycyą uświęcone musiał każdy znać, nauczyć się ich i przez nie przechodzić[2].

Tu się towarzysz nowy, zarówno jak wędrowny dowiadywał, kogo miał czcić i szanować: naprzód Pana Boga z wszystkimi Świętymi, Najśw. Pannę z aniołami Bożemi, dalej pana ojca domu tego, z panią matką, dziatkami i czeladką jego, także gości przychodzących i odchodzących. Tu się on uczył, że przychodzących witać należało *pełnemi*, a odchodzących słowy dobremi, że w miejscach u stołu jeden drugiego podsiadać nie powinien (pod winą), ścian u pana ojca nie podpierać (pod winą) — bo pan ojciec miał cieślę dobrego, co mu ściany dobrze pobudował; stołów sklenicami nie fugować, krzyżów na podnóżkach nie zakładać (pod winą), bo pan ojciec miał stolarza dobrego, co mu stoły dobrze pofugował — sklanic też tłuc nie było wolno, bez czapek za próg pierwszy wychodzić, w fartuszkach z orężem za stół siadać.

Uczono tu za stołem ani po łacinie, ani po węgiersku nie rozmawiać; obiecywano, że w cechu sprawiedliwość najlepsza, bo sprawa u wójta do tygodnia, u pana burmistrza do dwóch niedziel, a u towarzyszów do zachodu słońca. Przestrzegano, aby wracając do domu po wesołej wieczerzy, bram nie wysiekiwać (bo ręka w tem), przez mury ścieżek nie czynić (bo gardło w tem), po bruku szablą ani podkówkami nie krzesać (bo wina w tem), wieńców, które wiszą nad winem i piwem nie obcinać (ręka w tem), beczkom, które stoją na mieście na miejską potrzebę, obręczy nie rzezać itp. Takich co po nocy chadzali, znajdowali się anieli stróże, którzy im oręż odebrawszy, do ciemnego raju zachowywali i t. p.

Tu przypominano naostatek, jak poczynać było potrzeba z trybowaniem kątek, szpontowaniem, frazowaniem, berowaniem, odbijaniem, z baryłkami, konwiami, konewkami, wanienkami, donicami, trunkalami, garncami i t. p.

Wieczór nadchodził, izba radna dosyć była pełną, a gwar z niej aż na ulicę dolatywał. Starsi ojcowie kilku, towarzyszów kilkunastu młodszych i czeladź w kącie ciekawa zgromadzenie składała.

W pośrodku przed stołem wędrownik świeżo przybyły właśnie odbywał urzędową próbę, która poprzedzała przyjęcie do cechu.

Postawa jego, twarz, cera, wśród rumianych, zażywnych, silnych a barczystych starszych, przy towarzyszach, na których policzkach kwitły zdrowe rumieńce, dziwnie smutno odbijała.

Słuszny, wyrosły bujnie, młody wędrownik, który z Wielkopolski powracał wyzwolony do Krakowa, stał zbiedzony jak winowajca, niezmiernie blady, dysząc ciężko, za piersi się chwytając i za głowę, a mdłym, złamanym, chorym głosem odpowiadając na pytania. Bladości tej i zmęczenia nie można było przypisywać tej próbie, jaką teraz przebywał towarzysz. Widać było z wycieńczenia, że przyniósł z sobą chorobę, z którą walczył całą siłą woli i młodości.

Chociaż niektórym ze starszych ojców żal było może biednego towarzysza, zmuszonego przechodzić uciążliwy obrzęd przyjęcia, uwolnić go od tego nie mogli.

Siły biednego wędrownika coraz bardziej zdawały się wyczerpywać, tak że zaledwie się już mógł utrzymać na nogach.

Znaczniejsza część pytań i odpowiedzi załatwioną została, ale pozostawały jeszcze niektóre.

Ojciec zadawał pytania, słuchali towarzysze i matka odpowiedzi głosem coraz słabszym dawanych, gdy prawie w chwili, kiedy go miano „ująwszy za boże poszycie na wannę posadzić", biednemu wędrownikowi naraz zupełnie tchu i siły zabrakło. Zachwiał się na

[2]Wszystkie szczegóły wedle rękopismów źródeł cechowych. [przypis autorski]

nogach i zatoczył jak pijany, choć wiedziano, że nic w ustach nie miał. Dwóch daclów podbiegło go za ręce pochwycić.

Przerwano próbę, bo nie było już odpowiadać komu. Blady ów wędrownik, gdy go chciano do ławy odprowadzić, padł ciężko na ziemię całem ciałem i jęczeć począł.

— Panowie! ojcowie! księdza proszę! abym Bogu duszę polecił! Życie ze mnie uchodzi... Męki dalej nie strzymam.

Szedłem, szedłem dopóki sił stało, przebojem się wlokąc, abym nie umarł nigdzie jeno tu, gdzie ojciec leży i matka i gdzie ja chcę spocząć, na swojej ziemi... na swojej! Tum kolebkę miał, tu grób mieć chcę...

Uciekałem od *moru*, ale mnie niepoczciwe dogoniło *powietrze*, bo taka snadź była wola Boża, której nic oprzeć się nie może.

Mówił powoli, cicho, jęcząc, a starszyzna z towarzyszami porwawszy się z ław obstąpili go załamując ręce, bo nigdy, jak gospoda gospodą, podobny się tu nie trafił przypadek.

Lecz gdy posłyszano z ust wędrowca wychodzące złowrogie wyrazy: *mór*, *powietrze*, o których już z różnych stron dochodziły wieści, zaczęli się wszyscy bojaźliwie usuwać i zmięszali a struchleli. Towarzysz Sylwek, chwyciwszy drugiego pod rękę, rzucił się zaraz po księdza do Franciszkanów, a ze starszyzny jeden pomyślał o lekarzu, rachując do którego bliżej było. Wszyscy zaś prawie mieścili się około zamku, bliżej Wawelu i przy św. Annie a akademii.

Choć wedle ustawy a obyczaju cechowego bez czapki nie było wolno za pierwszy próg wychodzić, nie zważał na to starszy Skalski, iż z włosami rozwianemi, łamiąc ręce znalazł się w ulicy przeciw gospody.

Wtem właśnie, jakby go tu sam Pan Bóg zesłał, zjawił się ów sławny Struś doktor, powracający od chorego. A oka jego nigdy nic nie uchodziło.

Przypadł więc ze swą powagą i odwagą doktora, za ramię chwytając Skalskiego.

— Człecze! co ci jest?

Skalski jako starszy cechowy, byłby może, choć w tak krytycznej chwili, zaprotestował, że go po prostu tak człekiem nazwano, ale poznał Strusia, a temu wiele było wolno.

— A! ojcze mój! wykrzyknął. Stało się u nas wielkie nieszczęście w gospodzie! Przyjmowaliśmy towarzysza wędrownika, który z Wielkopolski powracał. Krakowianin nasz jest, dziecko cechu. Wtem u przyjęcia zaniemógł, osłabł, padł i przyznał się że od *moru* uciekał, więc mógł go przynieść ze sobą.

Struś, nic nie odpowiadając, jak stał, na bok odsunąwszy Skalskiego, nie oglądał się już i biegł żywo ku drzwiom gospody, u których cała gromada czeladzi i daclów stała.

Rozepchnął ich i wbiegł śmiało do radnej izby.

Właśnie promień zachodzącego słońca, z za chmur się dobywszy, przez okno wpadł i oświecił leżącego na ziemi, wijącego się w boleściach, posiniałego wędrowca. Leżał w pośrodku sam, bo się nikt nie śmiał zbliżyć do niego.

Spojrzał Struś, podszedł tuż, przykląkł nad chorym i wpatrywać się w niego począł pilno.

Głosem dogorywającym umierający wołał.

— Wody!

Struś mu jej kubek podać kazał, bo miał tę pewność, że natura wie lepiej od lekarza, czego jej potrzeba.

Milczący, długo wlepiając oczy w tę twarz zsiniałą, na którą już nadchodząca śmierć kładła piętno swoje, naostatek załamał dłonie.

Wstał i na najbliższej ławie przysiadł, jakby i jemu sił zabrakło.

Dokoła stało towarzystwo lamentując, szepcząc, stękając, ręce ku niebu podnosząc.

Struś po chwili ruszył się. Przypomniał sobie u Franciszkanów apteczkę i na kawałku papieru nakreśliwszy coś, biedz kazał po lekarstwo. Ale z twarzy jego widać było, że niebardzo ufał, aby ono na czas przyszło i pomódz miało.

Choremu jeszcze wyrazy urywane z ust się dobywały ciężko.

— Na swej ziemi umierać... na swojej ziemi leżeć.

Potem zaczął wzywać opieki Świętych i Matki Bożej, a ręką bezsilną chciał się w piersi uderzyć.

Nim z apteki lekarstwo przyniesiono, czeladź księdza od Franciszkanów prowadziła. Szedł spiesznie z wiatykiem, dzwonkiem poprzedzany, a wszyscy po drodze klękali i schylali głowy.

Do niego też doszło straszne to słowo: *mór* — a wiedział i pomniał Kraków dobrze co ono znaczyło, bo straszna ta klęska już go kilkakroć nawiedzała i opustoszała.

Lecz kapłanowi tak jak lekarzowi nie przystała obawa; bo jeden z nich rycerzem Chrystusa a drugi żołnierzem miłosierdzia ludzkiego jest.

Przykląkł u boku umierającego kapłan i spojrzawszy na twarz ostatniemi drgnieniami życia dogorywającego, pospieszył z rozgrzeszeniem i komunią.

Odżył nieco zapowietrzony, oczy mu się podniosły i wnet jakby powłoka mglista je zasnuła. Życie w tej chwili uszło w ostatniem tchnieniu, a głowa kamieniem na podłogę opadła.

Struś zbliżył się do trupa.

Oznaki moru zbyt były jawne, aby mógł powątpiewać o nim. Zwrócił się do starszych nakazująco:

— Ojcowie starsi, siebie i miasto ratujcie. Niech zwłoki nie leżą długo, aby domu, ulicy a może i całej, uchowaj Bóg, stolicy nie zapowietrzyły.

Co rychlej ślijcie po trumnę, po wóz i wywieźcie go na najdalszy cmentarz, a pogrzebcie jak najgłębiej... odzież i rzeczy z nim.

Pod wrażeniem strachu, jaki *mór* sprowadzał, towarzystwo i czeladź poruszyły się żywo, spiesząc spełnić rozkaz doktora. Matka gospody w drżących rękach niosła już zapalone kadzidło, oczyszczając niem mieszkanie, otwierano drzwi i okna.

Wynosili się bojaźliwsi, ksiądz tylko modlił się jeszcze przy zwłokach, i Struś pozostał chwilę, smutnem, zadumanem wejrzeniem wpatrując się w umarłego. Zawrócił się potem ku miastu.

Tu wieść o wypadku w bednarskiej gospodzie błyskawicą obiegła już wszędzie, niosąc popłoch z sobą. Wieczorem przyniesiono ją na zamek do biskupa Samuela i na dworzec biskupi do Gamrata.

Nie pobiegł jednak z tem nikt ani do króla, ani do starej królowej. Po twarzach dworu, po cichych szeptach i trwożliwem gromadzeniu się dworzan, poznać było można, iż umysły zaniepokojone zostały, a ludzie radzić sobie nie umieli. Nazajutrz w blizkości gospody mówiono o chorych i umarłych.

Strwożeni mieszczanie spotykali się, jedno mając na ustach : Mór! mór! — dokąd chronić się przed nim?

Dwie królowe

Powieść historyczna

(Bona i Elżbieta)

TOM III

Skwarnego dnia lipcowego, w jednej z izb kamienicy Seweryna Bonera, przy otwartem oknie, stał pan podskarbi z młodym człowiekiem, po którego stroju poznać było można, iż zaledwie z kurzu się otrząsnął po długiej podróży.

Oba zdawali się oczekiwać na kogoś, bo Boner często się przez okno wychylając, spoglądał na ulicę, a młody jego towarzysz także niespokojnie śledził przejeżdżających nią ku Floryańskiej bramie.

Okno otwarte, dla wielkiego gorąca, niewiele powietrze ochładzało, a co gorzej, wpuszczało do komnat dym gorzki, który się z wielkiej kupy liści nagromadzonych u wrót podnosił. Kraków bowiem już zagrożony morem, ratował się od złego powietrza, z przepisu lekarzy paląc po placach i ulicach liście dębowe i piołunowe.

— Cóż się Marsupinowi stało — odezwał się młodszy — iż dotąd nie przybywa?

— Nic zapewne złego — rzekł Boner — ale poczciwy Włoch lata i pracuje niezmordowanie, mógł go posłaniec w domu nie zastać.

A, ma co robić! zaprawdę, bo wypowiedział wojnę otwartą Bonie, która też w środkach nie przebierając, odpiera dzielnie jego zamachy.

Gdyby nad tą sprawą, biorąc do serca los młodej królowej, krwawemi łzami płakać nie było potrzeba — dodał podskarbi, — zaiste śmiać by się można, widząc złość Bony i do jakiej wściekłości ją zuchwalstwo Marsupina doprowadziło; ale czekajmy, on to wam sam rozpowie.

— Sprawiłże co Marsupin? — spytał młody podróżny.

— Dotąd nic, zaprawdę — rzekł Boner — ale się położenie wyjaśniło, i ucisk jawny nie jest dla nikogo tajemnicą. Zawsze to zysk jest oczewisty.

— Niewielki — szepnął młody — a przyznam się wam, że i ja tu, na poparcie Marsupina przysłany umyślnie, wiele więcej zyskać się nie spodziewam.

Niestety! panie mój! Smutna to rzecz, ale cała nadzieja nasza w tem, że król stary, że życie jego nie długie, zatem i panowanie Bony...

— Tak — odparł podskarbi smutnie — ale do dziś dnia, tak dobrze panuje Bona młodemu jak staremu, synowi jak ojcu. Marsupin widzi w tem czary! W istocie trudno pojąć jak młody pan, tak wielkiego umysłu, tak szlachetnego serca, w tak ciężką i sromotną popaść mógł niewolę.

— U matki? — podchwycił podróżny.

— My mówimy u matki i przypisujemy to czarom zbrodniczym — rzekł Boner — lecz ponoby właściwiej było rzec, popadł w niewolę namiętności! a czarem jest ta piękna maseczka kochanki!

Rozmawiając nie dosłyszeli jak na wschodach szybkie kroki zatętniały, i drzwi otwarły się z trzaskiem, nagle. Wszedł Marsupin.

Lecz jakże go pobyt ten w Krakowie, nieustanne utrapienia, praca, troski, obawy o życie zmieniły! Wychudł, poczerniał, wysechł, i podróżny, który go witać pośpieszył, dając mu rękę wykrzyknął.

— Nie chory jesteś, signor Giovanni?

— Chory! zabity! zamęczony, półżywy jestem! ledwie dyszę — zawołał Włoch. — Że mnie ta żmija w śmierć nie zagryzła, Panu Bogu dziękuję! Zwijam się jak ryba w ukrop rzucona! Dzięki Bogu, że wy mi na pomoc przybywacie!

— A! ja! — zawołał młody zakłopotany. — Wprawdzie jestem posłem króla i cesarza, ale cóż ja tu zdołam, gdy wy nie mogliście nic uczynić. Chyba powaga ojca mojego...

Przerwał nagle zadumany.

Był to syn Justa Decyusza krakowianina, służący przy królu Ferdynandzie.

Marsupin padł znużony na ławę.

— Do wszystkich utrapień — rzekł — dodajcie to, żeśmy w Krakowie morem zagrożeni, że w każdej chwili śmierć może pochwycić za gardło.

— Więc i dwór ztąd uchodzić powinien — rzekł Decyusz.

— Stanie się to zapewne — odparł Marsupin.

— Cóż natenczas z wami będzie? — spytał Boner Włocha.

— Ze mną? Ja pociągnę za dworem — szepnął, czoło z potu ocierając Marsupin i westchnął ciężko.

Decyusz się przysiadł do niego.

— Mówcież mi, jak stoicie z Boną?

— Ha! po włosku! na noże! — rozśmiał się Marsupin. — Robiłem com tylko mógł, aby ją przebłagać i w dobry sposób przyjść do jakiegoś porozumienia, napróżno.

Prosiłem o posłuchanie naprzód, a to jak najpokorniej. Jednego dnia, stałem u drzwi napróżno, ochmistrz dworu przyszedł mi powiedzieć, że była zatrudnioną i przyjąć mnie nie może.

Sądziła zapewne, że nie będę śmiał naprzykrzać się więcej, ale wróciłem nazajutrz.

Ochmistrz mi przyszedł oznajmić znowu, że królowa lekarstwo bierze, odszedłem po raz drugi z niczem.

Trzeciego dnia gdym nalegał i widzieli, że się mnie nie pozbędą, naznaczono mi godzinę dziewiętnastą. Dobrze przed nią czekałem już w antykamerze.

Sekretarz wyszedł, królowa mnie zobaczyła przez okno i oznajmił, że godzina dziewiętnasta zajęta, abym się stawił zaraz po obiedzie.

Lękając się aby mnie to nie chybiło, pozostałem na zamku.

Sekretarz dotrzymywał mi bardzo grzecznie towarzystwa, usiłując wybadać z czem przychodziłem, i co mam mówić królowej. Zbyłem go żartobliwie.

Skończył się obiad, widziałem jak stara odprawiła młodego króla, jak kazano ustąpić wszystkiemu dworowi.

Dwie tylko starsze jejmoście ze dworu Bony pozostały przy niej. Ona z Elżbietą ukazały się na galeryi i stara dała mi znak abym szedł za niemi.

Gdyśmy na pokoje królowej przyszli, młoda pani usunęła się, zapewne z rozkazu Bony w głąb, zostałem tak jak sam na sam ze starą.

Z największą pokorą, pomimo że twarz jej gniew i pogardę wyrażała, przykląkłem przed nią.

— Mów! czego chcesz odemnie? - poczęła głosem, w którym złość wrzała.

— Wiadomo W. K. Mości, iż przychodzę w sprawie młodej królowej, z polecenia rodziców!

— Cóż się to dzieje tej młodej królowej, że takiej opieki potrzebuje — poczęła z ironią. — Widzisz ją przecie, zdrowa, wesoła, krzywda się jej żadna nie dzieje!

— Królowa młoda — rzekłem — nadto jest bogobojnie, skromnie i miłościwie wychowaną, aby się uskarżała na to co cierpi; znosi ona, ale cały świat wie, że pożycie młodych małżonków nie takie jest jakiem być powinno.

Bona jaszczurczem okiem rzuciła na mnie.

— Tak jest — dodałem — młody król wcale nie żyje z żoną, unika jej, ani we dnie ją odwiedza, ani się nią zajmuje.

— A cóż to do mnie należy? — odparła Bona - ma swoją wolę.

— Wiadomo przecież — dodałem — że jest synem posłusznym. Dla czegóż W. K. Mość, która masz nad nim władzę, nie nakażesz mu, aby nie zaniedbywał żony. Jeżeli od dawnych miłostek odrazu się uwolnić nie może, niechby przez to nie cierpiała żona. Taka wzgarda dla córki pana mojego, dla synowicy cesarskiej jest dla obu obrażającą. Cesarz nie zniesie zniewagi takiej.

Rzecz jest publiczności wiadoma, opowiadają o niej w Niemczech, Czechach, po całej Polsce, a tu w Krakowie piosenki o tem składają.

Przybyłem w tej sprawie; zamiast załatwienia jej, W. K. Mość jawnie starałaś się mnie ztąd wygnać. Gdybym nie miał wytrwałości w służbie pana, musiałbym dawno precz iść.

Gdym to mówił, twarz jej się mieniła, bladła, purpurową się stawała, gniew nią taki owładnął, że się utrzymać nie mogła.

Jakiemi wyrazami wpadła na mnie, powtórzyć nie mogę, bobym wiary nie zyskał.

Wprost łajać mnie poczęła, trzęsąc się i pięści nastawiając.

— Zamknę ja ci usta, zuchwalcze... pokażę ci co to jest przeciwko mnie się porywać.

Pan Bóg łaskaw, iż z zupełną zimną krwią wytrzymawszy tę napaść, odpowiedziałem jej z największem uszanowaniem; ale przyznam się, złośliwie nader.

Dałem jej uczuć, że wszystko mi jest wiadomem, że wyliczyć mogę ile razy król młody odwiedzał żonę i że od niej po nocach chronił się do panien fraucymeru, za wiedzą jej.

— Jesteś podłym, nikczemnym szpiegiem! — krzyknęła.

— Tak — odparłem — niestety! Pan mój szpiegów potrzebował, bo nie tak W. K. Mość obchodzisz się z córką jego, jak na królowę matkę przystało.

Wszczęła się tedy walka między nami na słowa, w której ja tę miałem wyższość, żem krew zimną zachowywał ciągle, gdy ona ją coraz bardziej traciła, unosząc się i zamiast argumentów obsypując mnie obelżywemi wyrazami.

W ciągu rozmowy byłem zmuszony nietylko własne moje przekonanie wygłosić, ale się podeprzeć tem com słyszał z ust ks. biskupa Samuela i oto tu przytomnego Bonera.

Podskarbi słysząc to uśmiechnął się i skłonił.

— Wie ona zdawna co trzymam o niej — rzekł zimno.

Marsupin ciągnął dalej opowiadanie.

— Przyszło do tego, że się Bona ze złości rozpłakała.

— Byłam i jestem królową — zaczęła wołać — chcecie mnie tu sługą uczynić i niewolnicą.

Na to jednem słowem odpowiedziałem.

— Nie, tylko matką!

Na wyrzuty najrozmaitsze, sprawę mając dobrą, znalazłem zawsze odpowiedź słuszną, gotową, której odeprzeć nie mogła.

W ostatku mnie przyparła posagiem, że z wielkich obietnic, grosza jednego dotąd niewidziano. I na to rzekłem, że przecie termin nie przeszedł, a w nim należytość spłacona będzie.

Wiedziałem o tem od ks. Samuela, że królowa, gdy nie może nic ze starym królem, ucieka się do łez i gniewu... toż samo było ze mną. Znowu się jej łzy rzuciły, a złość ją dusiła, łkała i łajała.

Potem odwiódłszy mnie dalej, aby nas nie usłyszano, wpadła na mnie.

— Ty, sługo nikczemny — krzyknęła — jak ty, robactwo plugawe, śmiesz mnie, królowej, mówić takie rzeczy, czynić takie wyrzuty?

— N. Pani — rzekłem — to com mówił, niczem jest jeszcze. Mam zlecenie pana mojego powiedzieć daleko więcej, i to takich rzeczy, o których W. K. Mość sądzisz, że jednemu Panu Bogu są wiadome, a te ja będę obowiązanym cesarzowi przedłożyć, wraz z tem com tu widział, słyszał i wyrozumiał.

Usłyszawszy to, widziałem jak pobladła, drżeć zaczęła i wielką siłą zdawała się uspokajać pozornie. Głos zniżyła razem i złagodniała, zmieniła przedmiot, tak że osłupiałem.

Spojrzała mi w oczy dziko.

— Spodziewam się — rzekła — że wy cesarzowi polecicie córkę moją Izabellę, żądam tego po was. Zaświadczcie i o mnie, że nie jestem złą matką, że to są potwarze ludzi podłych, którzy chcą nas poróżnić.

Osłupiałem w początku, nie pojmując nagłego zwrotu.

— Dosyć, dosyć — rzekła — niech się to wszystko skończy, niech o tem więcej mowy nie będzie, niech nastanie zgoda. Milcz, proszę.

Sądząc, że na tę obietnicę rachować mogę — mówił dalej Marsupin — zapewniłem ją, że co do mnie, obowiązkiem czuję pokój i miłość, o ile sil moich, popierać.

Tak się owo sławne moje posłuchanie u królowej skończyło, a raczej walna bitwa, w której jak sobie pochlebiałem, odniósłem zwycięztwo. Lecz któż zna tę przewrotną i chytrą niewiastę?

Nazajutrz po tej porażce dowiedziałem się od biskupa Samuela, że szła z płaczem do starego króla skarżyć się na mnie, iż bez należytego poszanowania, grubiańskie śmiałem jej czynić wyrzuty, na co Zygmunt miał odpowiedzieć połajaniem a groźbą, że ona sama temu winna, i że postępowaniem swem, uchowaj Boże śmierci na niego, narobi sobie nieubłaganych nieprzyjaciół i zgotuje los ciężki.

Tegoż samego dnia, pomiarkowawszy się snadź, poszła do młodej królowej, udając wielką dla niej serdeczność. Rozmawiała z nią długo, i Hölzelinowna zaraz mi o tem z największą wdzięcznością doniosła.

— A no! — przerwał młody Decyusz — toć lepiej poszły sprawy niż mówicie i pochlubić się tem możecie.

— Posłuchajcie do końca! — westchnął Marsupin. — Pokój ten i nadzieje pojednania nie trwały długo. Wprawdzie na rozejmie zyskała młoda pani nasza, która sił nowych

nabrała. Musieliśmy na nią patrzeć z uwielbieniem, z podziwem nad mocą ducha, nad męztwem jakie okazywała.

Ze strony Bony, chwilowym strachem wywołane pomiarkowanie, udawana czułość, nie potrwały długo. W sercu gadziny jad się zbierał. Nie śmiała występować jawnie, ale w drobnych rzeczach, gdzie tylko młodej pani dokuczyć mogła, nieomieszkała.

Jednego ranka przychodzi do mnie poczciwy Dudycz... (spojrzał Marsupin na Bonera, i uśmiechnęli się oba) i powiada, że kilka dni temu, nasza pani młoda posłała do szafarza starej królowej prosząc o kawałek sera parmezanu. Szafarz go dał natychmiast, ale Włoszki, które młodej królowej nie lubią, bo im kochanka odebrać może, natychmiast o tem doniosły Bonie, mówiąc, że młoda pani sobie pozwala rozkazywać, nie pytając matki.

Rozgniewana królowa natychmiast wydała szafarzowi rozkaz, aby się nie ważył nic dawać młodej królowej.

Śmiech mnie wziął z tego i przyszedłszy tu do pana Bonera, powiedziałem mu o tem.

— I, rozumie się — rzekł Boner — żem natychmiast kazał trzydzieści funtów parmezanu posłać młodej królowej, prosząc, aby się do mnie z rozkazami udawała, a ja dostarczę czego tylko potrzebować będzie.

— Ser już był u królowej — ciągnął dalej Marsupin. — Marszałek się o tem dowiedział, zaczęto mówić o nim, a jam też głośno się nie wahał odzywać, że królowa Bona nie zbyt uprzejmie i teraz się obchodzi z synową, opowiadając na dowód historyjkę o serze.

Szpiegowie Bony, dworzanie młodego króla, cała gromada zauszników, okrutną zaraz tragedyę zrobili z tego sera. Bona ją wzięła do serca.

Przysyła do mnie sam pan marszałek Opaliński, domagając się abym wyznał, kto mi o tym serze mówił.

Obróciłem to w żart, niechcąc biednego Dudycza gubić, który truchlał, bo by się na nim mszczono.

— To nie są żarty — odparł mi marszałek Opaliński — królowa domaga się koniecznie imienia tego, który ją o ser oskarżał.

— Imienia tego ani na mękach nie powiem — odpowiedziałem stanowczo — nie przystało mi nikogo zdradzać. Moim obowiązkiem tu wszystko słyszeć, wszystko widzieć, wszystkiego dochodzić, to służba moja, ale nikogo oskarżać i mianować nie mogę.

Nazajutrz przybiega komornik starej królowej, wzywając mnie do niej; byłem prawie pewien, że o ser chodzi. Jakoż się nieco myliłem.

Biegnę, grzecznie mi chwilkę czekać każą. Patrzę, ciągną jak na wielkie sądy, panowie senatorowie, marszałek Opaliński, dalej ks. Samuel Maciejowski, który śmiech ma na ustach, za nim Gamrat... dworzanie do sali wnoszą podnóżki, kobierce, opony, gotują siedzenia, stoły... trybunał się układa.

Wpuszczono i mnie, obwinionego. Dworzanom i komornikom na ustęp iść kazano. Nadeszła Bona w całym majestacie, nakazując zająć miejsca Gamratowi, Maciejowskiemu, Zebrzydowskiemu, naostatek mnie i panu Bonerowi.

Można było sądzić, widząc ten poważny areopag, że się tu miała rozpocząć narada o najważniejszej sprawie państwo obchodzącej, o pokoju z Turcyą, o królestwo dla Izabelli na Węgrzech, o przymierze lub wojnę!

W istocie o serze zapomniałem, dziwując się tylko, że i mnie do tak ważnej narady wezwać raczono, gdy królowa poczęła:

— Śmiać się panowie będziecie, że tak dostojnych dygnitarzy, radę króla JMości, wezwać musiałam dla bardzo błahej sprawy, ale dla mnie ona niemałej wagi jest, tkwi w niej zaród wielkiego zła. Idzie tu o mnie, o potwarze, jakiemi mnie obrzucają; chcę, abyście byli wszyscy świadkami niewinności mojej.

Wskazała na mnie palcem.

— Oto ten, ten, co tu przysłany został dla zgody i pokoju, waśnie i swary między nami krzewi. Rzecz idzie o mizerny sera kawałek. Muszę wiedzieć, kto mnie przed Marsupinem oskarżył, kto mu mówił o tym serze. Proszę was, wymóżcie to na nim, aby zdrajcę mianował, ja muszę o nim wiedzieć. Nie zdołacie wy nic, udam się do królów obu, aby oni władzą swą zmusili go do zeznania, kto mu to doniósł?

Pierwszy tedy pośpieszył ze zwykłą swą żywością Gamrat, dowodząc: że potwarzom bezkarnym nie ma końca, że raz trzeba pomścić królowę i że Marsupin powinien imię winowajcy wyznać.

Zatem Opaliński, jakby na sejmie był, długą mowę zwrócił do mnie i nalegał usilnie.

Rozumie się, iż oblężony srodze nie zachwiałem się, bo o cześć moją chodziło; oparłem się całą siłą, biorąc winę na siebie, lecz na żaden sposób nie chcąc wydać człowieka, który mi zaufał. W końcu dodałem trochę szydersko, iż zaprawdę szkoda było takich dostojnych osób dla takiej fraszki.

Królowa wpadła w niezmierny gniew i krzyknęła do mnie.

— Co ty mi będziesz prawa przepisywać? pleciesz od rzeczy! Mów coś powinien, a nie powiesz kto ci to podszepnął, oskarżę cię, żeś sam zmyślił.

— N. Pani — odparłem — *quod dixi, dixi;* więcej odemnie się nikt nie dowie.

Królowa wstała z krzykiem i gniewem, wybiegła do przyległej komnaty pana Bonera za sobą wołając — i zgromadzenie się rozeszło.

— Poleciła mi o tem donieść królowi — dodał śmiejąc się Boner.

— Myślicie że na tem koniec? nie jeszcze. Opaliński poszedł do królowej Elżbiety, domagając się od niej, aby ona mi nakazała wydać tego człowieka *sernego*.

Ale i na żądanie młodej królowej, która mi je objawiła łagodnie, odparłem, że jestem sługą króla JMci Rzymskiego nie czyim innym, i tylko jego rozkazów słucham.

Oto macie próbkę tego co się tu dzieje, i co ja tu cierpię.

Marsupin zamilkł głowę zwiesiwszy. Młody Decyusz stał zadumany.

— Nie widzę — rzekł po chwili — co ja bym tu mógł pomódz i na co się przydać potrafię, gdy signor Giovanni, który zna lepiej teraźniejsze położenie niż ja, zdawna już bawiący na dworze Ferdynanda, ledwie się umie obronić napaściom i wyjednać dla królowej ulgę małą.

— Tyle możecie — odrzekł Marsupin, głowę podnosząc — iż się rozpatrzywszy w położeniu, zdacie z niego sprawę, aby środków szukano ratowania biednej królowej, której moje zabiegi mało co pomogły.

Król młody jak nie żył z nią, tak nie żyje; poszedłszy za mąż odrazu wdową została.

— A teraz — dodał Boner — nowe się święcą rzeczy. Mór w Krakowie, choć jeszcze nie groźny, ale się z każdym dniem wzmaga. Zaprzeczyć temu nie można. Z przedmieścia wejdzie rychło na miasto, a ztąd na zamek. Królestwo gdzieś bezpieczniejszego schronienia szukać muszą. Bodaj to nie było nowym pozorem do rozłączenia młodego małżeństwa, pod pokrywką troskliwości o nie. Już słyszę Bona młodą królowę chce przy sobie zatrzymać, a Augusta albo na Litwę, lub na Mazowsze odprawić.

— Wyjadą więc z Krakowa? — zapytał Marsupin.

— Rzecz to jeszcze niepostanowiona — odparł Boner — ale wkrótce się rozstrzygnąć musi.

— Młody król! młody król — przerwał Marsupin — żeby się zaś dał tak powodować matce, jakby jeszcze dzieckiem był, woli nie miał... niepojęta rzecz! Mówcie co chcecie! ona i jej astrologowie, czarnoksiężnicy, doktorowie poją go i rozum mu odejmują, a kto wie jakich zażywają środków.

Trzebaż jeszcze na domiar wszystkiego, aby mór przyszedł, który nas może porozpędzać, dwór wygnać.

Włoch zamilkł, ręce we włosy swe gęste utopiwszy, jakby je sobie chciał powyrywać.

— Ja tu nie pomogę nic — dodał zamyślony Decyusz — odniosę tylko królowi com widział i słyszał.

— Nie, nie dosyć na tem — przerwał Marsupin — musicie prosić o posłuchanie u starego pana i powiedzieć mu z czem przybyliście, poprzyjcie mnie. Królowa Bona obwinia, że na swoją rękę czynię bez rozkazu co mi do głowy przyjdzie. Poświadczycie, iż mam polecenia i że internuncyuszem tu jestem.

Boner poruszył ramionami.

— Jak gdyby ona posłów szanowała! — rzekł. — Jednym strachem pomsty cesarza nad Izabellą i jej księstwami można ją pokonać, musicie w to bić.

— Wyróbcież mi posłuchanie u Zygmunta — odparł Decyusz zwracając się do Bonera.

— I u młodego musicie być, i u młodej królowej — dodał Marsupin — ale ani pan Boner, ani nawet ks. biskup Samuel nie potrafią nic, jeżeli stara żmija przeszkadzać zechce.

Stali tak wszyscy ze smutnemi twarzami, gdy Boner chód posłyszał, a że się tu nikogo ani spodziewał, ani życzył sobie, poszedł ku drzwiom. Ukazał się w nich z twarzą pomięszaną, trwożliwie Dudycz, jak zwykle fantastycznie i śmiesznie ustrojony, co przy jego twarzy postarzałej i brzydkiej, odbijało dziwnie i oczy Decyusza ciekawe ściągnęło.

Marsupin, który tego *sernego* człowieka wielkim strachem nabawił, ale go cenił, bo mu służył dobrze, poznawszy z miny, iż troskę jakąś niósł z sobą, postąpił ku niemu.

Boner skinieniem głowy go witał.

— Z zamku idziesz? — spytali.

— Tak jest — zawołał głosem niespokojnym Dudycz. — Znowu podle zamku kilku ludzi zapowietrzonych zmarło. Strach wielki u nas. Ks. Samuel nalega, aby stary król jechał do Nowego miasta albo na Mazowsze, gdziekolwiek bądź, byle w miejsce bezpieczne. Rozumie się, że królowa Bona go samego nie puści.

— A August? — zapytał Marsupin.

Dudycz ruszył ramionami.

— Nie wiem — rzekł — ale zdaje się, że jego prędzej jeszcze wyprawią.

Bona chwyciła się moru, aby małżeństwo rozdzielić.

Mowa o tem jest, aby król młody jechał sam na Litwę, a królestwo z młodą królową do Korczyna.

Wszyscy milczeli chwilę, Marsupin się oburzył pierwszy.

— Znowu coś nowego! — zawołał — królowa Elżbieta na to pozwolić nie powinna i oświadczyć, że z mężem pojedzie. Nie jest niewolnicą, jest małżonką... ma obowiązki.

Nikt się nie odzywał przez długą chwilę. Marsupin się odwrócił do Bonera.

— Gdyby podróż nie po myśli się składać miała — rzekł — pan Boner ma moc jej przeszkodzić.

— A to jak? — spytał podskarbi.

— Łacno — rzekł Marsupin. — Młodemu królowi na Litwę pieniędzy będzie potrzeba, gdy ich mu nie dacie, nie poślą go.

— Albo pieniądze w mej woli? — odparł Boner — pod moim kluczem, prawda, ale nie ja rozporządzam. Zresztą, po co się to zdało. Królowa Bona ma więcej w Chęcinach, niż ja w królewskim skarbcu w Krakowie; uprze się, to da synowi pieniędzy.

— Skąpa jest — odparł Marsupin.

— Ale nie tam, gdzie jej idzie o panowanie — rzekł Boner. — Nie pożałuje na nie.

Dudycz słuchając przewracał oczyma, widocznem było, że mu coś po głowie chodziło, z czem się odkryć wahał. Wziął Marsupina w stronę.

— Wiecie — rzekł — mnie się zdaje, że pora przyszła, gdy ja przy jednym ogniu dwie pieczenie upiekę, swoją i waszą.

— Jakie? — zapytał Marsupin, który w rozum i przebiegłość Dudycza nie wierzył.

— Jeżeli król młody wyjedzie a porzuci swą Włoszkę, pora będzie się swatać do niej i was od niej uwolnić.

Rozśmiał się Włoch.

— Słuchajno — rzeki — albo ci ją Bona da, a wtenczas nam po niej nic; albo, jeśli się to na co przydać nam może, nie dopuści.

Dudycz potrząsnął głową.

— Zobaczymy — rzekł — ale ja wam tylko to z góry zapowiadam, że kto mi do Włoszki pomoże, temu ja służyć będę.

— Choćby Bonie? — spytał Marsupin.

— Choćby staremu szatanowi! — zawołał zapalony Dudycz.

Wieczór nadszedł, wniesiono światło, w ulicy nie ustawał ruch. Wyglądano oknami otwartemi, dwa czy trzy wozy z trumnami przesunęły się pod oknami.

— Mrą ludzie okrutnie — odezwał się Boner. — Nie idzie zatem, aby to już powietrze być miało, lecz śmiertelność z upałów duża. Ja jeszcze w mór nie wierzę.

— Ba! — przerwał Marsupin — widziałem kilku doktorów; starsi, co już patrzyli na powietrze, twierdzą, iż na trupach znaki jego widzieli: sine plamy i wrzody. Nie szerzy się ono jeszcze zbyt gwałtownie, lecz że przyszło, to pewna.

— Różnie twierdzą — rzekł Boner — lecz jeżeli istotnie zaraza się wzięła, nic pilniejszego nad to, by dwór ztąd wyprawić. Na królu naszym starym i życiu jego leży wiele.

Rozmowa o powietrzu rozpoczęła się nieśmiało, bo nikomu o niem mówić nie było miło; a i ci co wierzyli, iż mór się szerzył, woleliby byli o tem wątpić.

Lecz z każdą chwilą smutne wiadomości się potwierdzały.

Pomimo spóźnionej godziny, Boner postanowił na zamek jechać i konia, który zawsze pogotowiu stał, podać sobie kazał. Chciał i o przybyciu Decyusza oznajmić królowi i dowiedzieć się co myślano i zamierzano na zamku.

Gości więc pożegnawszy, bo młody Decyusz do ojca wracał, sam w bramie dosiadł spokojną szkapę i dwóm pachołkom rozkazawszy za sobą jechać, ruszał do zamku.

W ulicach pusto było już, ale w niektórych miejscach, tam gdziekolwiek przypadek śmierci się trafił, cisnęli się ludzie dowiadując.

Wprawnemu oku podskarbiego łatwo rozpoznać było stan miasta niezwykły, jakby w przededniu klęski. Wszędzie po ulicach, pod domostwami zamożniejszych, po placach dymiły palące się liście i zioła różne, a że powietrze było ciężkie, gorzkie dymy przepełniały je i oddychać było trudno. Tu i owdzie przesuwał się za latarką ksiądz z wiatykiem, o którym dzwonek chłopca oznajmywał. Gdzieniegdzie z wrót buchała wrzawa niespokojna, a, jak się to pod najcięższe czasy dzieje, gdy trwoga ludziom głowy odejmuje, gospody, browary, piwnice pełne były ludzi, co się odurzyć chcieli i z trunku zaczerpnąć odwagi.

Na zamek z trudnością wpuszczano, ale Boner klucz miał od furty każdego czasu.

W izbie sypialnej króla postrzegł światło, równie jak w komnatach starej pani, około których na galeryach przemykały się kobiety i służba. Około króla starego już nikogo nie było z Rady, kapelan tylko, starych dworzan kilku i doktor Polak.

Zygmunt zabierał się do spoczynku.

Boner chcący się dowiedzieć coś, nikogo nie znalazł w pustych antykamerach nad drzemiącego na ławce, na kiju swym spartego Stańczyka, który gdy nie błaznował, do ascety i filozofa podobniejszym był niż do trefnisia.

Podskarbi zbliżył się do niego.

— Czołem! — rzekł.

— Hę? — odparł stary. — Jeżeli wy mnie czołem, a czemże ja wam się pokłonię?

Rozśmiał się Boner.

— Co słychać u was? — spytał.

— Zawsze jedno — począł trefniś — od lat wielu nic innego nie słyszę, jeno narzekanie.

— Dziwicie się temu — rzekł Boner.

— Dziwię się — zawołał Stańczyk — bo za głupca mam, kto gdy go słuchać nie chcą, jedno klekce zawsze i próżno gębę studzi.

Boner popatrzał na zastygłego jakby, ze spuszczoną głową siedzącego starca.

— Człowiekowi lżej gdy się wystęka, sercu spokojniej gdy się wypłacze — rzekł zcicha.

A po chwilce dodał.

— Dwór, słyszę, od moru chce z Krakowa precz. Prawdali to? cóż wy naówczas myślicie sobą?

— Ja? — rzekł trefniś — muszę iść za dworem — bo jeśli kiedy, to czasu utrapienia błazen potrzebny, aby choć odrobinę dobrej myśli wlał do tej goryczy.

— Słyszeliście co o podróży? — dodał Boner.

— Nie wiem nic — rzekł Stańczyk — a jam zawsze do wszelkiej gotów, choćby z tego świata na lepszy. Skrzyń i sepetów nie mam, czapkę i kij zabrawszy, wszystko moje niosę w jednem ręku. Reszta w głowie.

Ze Stańczyka nigdy się tak nic dopytać nie było można. Dał więc podskarbi pokój, i postawszy chwilę, rzekł tylko:

— Jeżeli wam moru nie strach, a podróż dla was ciężka, wiecie że u mnie wam gospoda otwarta zawsze!

Stańczyk podniósł bladą swą twarz pomarszczoną i uśmiechnął się.

— Chcielibyście u waszego skarbca takich stróżów mieć jak ja, którzy na złoto nie łasi? hę? ale Stańczyk wie, że pilnując skarbów najłatwiej dostać po grzbiecie! Bóg zapłać.

Nazajutrz jak świt na korytarzach zamkowych roiło się dworzanami i posłańcami. Stary król dodnia posłał po swoich panów Rady a najpierwej do podkanclerzego, królowa wyprawiła komornika po Gamrata, młody król siedział już u niej, a Opaliński tej nocy spać się wcale nie kładł.

Z miasta ten to ów prawdziwe i fałszywe przynosił wieści o ludziach nagle zmarłych. W istocie mór zdawał się nagle szerzyć i ci co go w wątpliwości podawali z początku, przeczyć już nie mogli, że na mieście umierano. Ale jedni spodziewali się, że po upałach burza nadchodząca oczyści powietrze, drudzy że zaraza sama przez się za łaską Bożą ustanie.

Po kościołach wystawiano relikwie i odprawiano modły uroczyste. Doktorowie wszyscy byli na nogach, a po aptekach gotowano napoje i kadzidła przez nich zalecane.

Królowa Bona, ze wszystkich członków rodziny królewskiej, największym była ogarnięta strachem.

W jej komnatach wszędzie paliły się trociczki wonne, balsamy różne i powietrze przejęte było wyziewami silnemi środków, które doktorowie przynosili i jedne nad drugie zalecali.

Nie zmniejszało to niepokoju jej o siebie, o męża i syna.

Lecz nawet w chwili tej grozy nie zapominała Włoszka o tem co na sercu miała, o swej nienawiści dla młodej królowej, o obawie aby ona ze swą łagodnością, cierpliwością, wdziękiem serca syna jej nie wydarła.

Morowe powietrze dawało zręczność wysłania syna, pod pozorem bezpieczeństwa jego, na Litwę.

Dniem wprzódy mówiła o tem Zygmuntowi, który długo ani Litwy ani Mazowsza puścić mu nie chciał, namawiając aby Augusta dał do Wilna, bo go tam Litwini z upragnieniem oczekiwali.

Stary pan zgadzał się na wysłanie syna, lecz chciał aby, jak przystało, żona z nim jechała.

Oparła się temu Bona.

— We dwojgu tam pojechawszy, dworu, ludzi, pieniędzy we dwójnasób potrzebować będą, na to skarb nie starczy. Niech jedzie sam.

Nie było zgody, przerwała się rozmowa bez żadnego skutku.

Bona miała tysiące argumentów na to, ażeby syna osobno odprawić, a Elżbietę mieli starzy królestwo zabrać z sobą.

Zrana, nim Bona z nowemi naleganiami przyszła, król o tem mówił z Maciejowskim. Biskup głosował naturalnie za tem, ażeby małżeństwa nie rozdzielać.

Bona wcześniej niż zwykle wcisnęła się do małżonka, który czuł się więcej cierpiącym niż zwykle.

Pozostawiono ich samych z sobą.

Długo trwała sprzeczka, nalegania, spór, których do sąsiednich komnat pojedyńcze tylko głosy i wyrazy dolatywały.

Naprzemiany to głos starego króla, to piskliwe krzyki Włoszki górowały.

Dworzanie, którzy w antykamerze stali, z doświadczenia wnioskowali zawczasu.

— Królowa długo siedzi, postawi na swojem. Znak to pewny. Chceli król się jej oprzeć, rychło pozbyć musi. Im dłużej trwa, tem pewniej wygra.

Stało się tak w istocie.

Bona wyszła z rozpłomienionemi policzkami, z zapłakanemi oczyma, ale z uśmiechem zwycięztwa na ustach. Zygmunt zmęczony w końcu zgodził się na wszystko; ktoby o tem nie wiedział, domyśliłby się z twarzy Włoszki.

Wprędce potem rozeszła się wieść (była to sobota), iż młody król na Litwę jedzie sam... i to nie później jak w poniedziałek.

Hölzelinowna, która z panią swą i bardzo szczupłym jej fraucymerem, zawsze wśród zamku i dworu odosobnione wiodła życie, czując się nieprzyjaciołmi otoczoną, nie rychłoby się może dowiedziała o tem, gdyby wiadomość dla pani jej złą i smutną nie była.

Ze złem zawsze ktoś pośpieszy.

W korytarzu przebiegająca Włoszka schyliła się jej do ucha.

— Postanowiono — rzekła szybko — młody król na Litwę jedzie sam. Wasza pani z nami kędyś w świat z Krakowa na lepsze powietrze.

Hölzelinowna nie uwierzyłaby była temu, lecz przechodzący Opaliński, którego spytała, potwierdził ten posłuch.

Ścisnęło się serce starej piastunce, gdy z tem weszła do swej pani. Bolało ją nowym ciosem zranić biedną a dziwnie cierpliwą męczennicę.

Przez cały ten czas niemal trzech miesięcy, które się długiemi jak lata wydawały, mężnie walczyła Elżbieta z tem co ją tu spotykało. Wszyscy co, jak Marsupin, stawali w jej obronie, choć chwilowo, pozornie czasem wyjednali jakąś folgę — staraniami swemi drażnili Bonę, nienawiść jej powiększali, pragnienie zemsty rozbudzali.

Położenie Elżbiety wcale się nie polepszyło, lecz moc jej duszy urosła, męztwa przybyło młodziuchnej pani. Wiedziała że nie jest przez rodziców opuszczoną, osamotnienie swe przypisywała tylko Bonie, najmniej obwiniała męża, i była pewną, że wszystko się skończy szczęśliwie, tryumfem, pojednaniem i słodkiem pożyciem z tym, którego kochała.

Hölzelinowna utrzymywała ją w tych przekonaniach, które stan obecny znośniejszym czyniły.

Pomimo codziennych ukąszeń tej matki męża, którą Marsupin żmiją nazywał, Elżbieta nie płakała, nie skarżyła się obliczem, udawała szczęśliwą i często nawet, jak po historyi sera parmezanu, śmiała się po cichu, gdy prześladowanie się nie powiodło.

Kätchen dziękowała Bogu, jak za osobliwą łaskę jego, że ta słaba istota z taką niesłychaną mocą ducha i wytrwałością opierała się prześladowaniu.

W istocie na twarzyczce królowej, która w początkach znacznie była pobladła i nosiła wiadome ślady cierpienia, odkwitał znowu rumieniec świeży. Patrzyła śmiało — jedna tylko Bona, na którą patrzeć nie mogła, wrażała w nią trwogę, której zwyciężyć nie umiała.

Nawet naówczas gdy Włoszka się starała być dla niej uprzejmą, gdy przemawiała słodko (przy świadkach), Elżbieta nie czuła się ośmieloną.

W głosie tym zawsze brzmiała nienawiść, warczała jakaś groźba.

Wiele czasu spędzając sam na sam z Hölzelinowną i kilku pannami dworu, królowa ożywiała się, czytać sobie kazała, modliła się, zajmowała robótkami.

Przynoszono jej plotki, których słuchała, zbytniej do nich nie przywiązując wagi.

Raz w dni kilka czasami przychodził do niej mąż, który z obawy Bony, śledzącej każdy krok jego, nigdy nie bawił długo, zaledwie słów kilka obojętnych zamieniwszy, uciekał.

W nim ten strach matki był tak widoczny, iż Elżbieta mu nawet za złe wziąć nie mogła zimnego obejścia się z sobą.

— Któż wie — mówiła sama sobie, powtarzając to co jej Hölzelinowna szeptała — gdyby okazał najmniejszą czułość, Bona mogłaby mnie kazać otruć.

Obawa trucizny była powszechną, mówili o niej wszyscy i królowa Elżbieta rzeczy pochodzących od Bony tknąć nie śmiała. Rękawiczki, tkanina, klejnoty mogły być zatrute tak, że jedno dotknięcie do nich zabiłoby.

Potrawy i napoje ze stołu Bony próbowano, albo je niezużytkowane precz wyrzucano.

Ostrożności te czyniły życie nieznośnem.

Starając się pani swej cierpień oszczędzić, Hölzelinowna sama, dzień i noc zalewała się łzami, które ocierała tylko gdy Elżbiecie chciała pokazać twarz jasną.

Wiele rzeczy taiła przed nią, ale Marsupin wiedział najmniejszy szczegół, a choć pilno śledzono, kto ztąd donosił Włochowi o każdym kroku młodej królowej, dotąd zdrajcy wykryć nie zdołano.

Dudycz był nadzwyczaj ostrożny, a przed królową starą kłaniał się tem niżej, im się czuł winniejszym. Wszystkie jego czynności jeden cel miały: dostać Włoszkę, którą wybrał sobie.

Hölzelinowna wszedłszy ze złą wiadomością do swej pani, potrzebowała chwili, aby twarz ułożyć.

Elżbieta szyła w krośnach, a zobaczywszy ją w progu, uśmiechnęła się.

— Nie znałabym mojej Kätchen — rzekła — gdybym nie odgadła, że nie z próżnemi rękami przychodzi!

— Gdybyż te dłonie co dobrego wam przynieść mogły! — westchnęła Hölzelinowna.

— Alem ja i do złego przywykła — odparła zimno królowa, badając piastunkę oczyma.

— Złe też przynoszę — odezwała się Kätchen. — Król nasz młody jedzie, a jedzie sam pono na Litwę. My także jedziemy, od moru uciekając, ale razem ze starą królową, która nas ze swych szpon nie chce wypuścić, nie wiem dokąd.

— A! — powstając od krosien odezwała się Elżbieta. — Mnie się zdaje, że to tylko początek podróży tak smutny. W Bogu nadzieja, że gdy król pan mój osiedzi się w Wilnie, zatęskni za mną i przyjedzie po mnie... albo, albo ja się zbiorę na męztwo i pogonię za nim.

— A! a! — wykrzyknęła Kätchen — gdybyż synowica cesarza, przed którego potęgą drży świat, zebrała się na to postanowienie, na to męztwo.

Elżbieta zamyśliła się.

— Kätchen moja — zawołała — miałabym je przeciwko wszystkim... jedna jest w świecie istota, która mnie strachem śmierci przejmuje. Jej głos dreszczem mnie przechodzi, jej chód odzywa się w sercu mojem, jakby każdy krok stawiła na niem, jej dotknięcie ziębi mnie jak ostrza miecza, jej wzrok jak oko bazyliszka zabija. Mam odwagę gdy jej nie widzę, gdy się zbliży siły mnie opuszczają, nie śmiem podnieść oczów, głos mi zasycha w gardle, życie ustaje.

Hölzelinowna milczała, nie chciała się przyznać do tego, że i na niej Bona niemal takie same czyniła wrażenie.

— Król pan mój jedzie? — zapytała Elżbieta zadumana nieco. — Mówisz Kätchen, że to zła wiadomość? Ja nie wiem, mnie się zdaje, że chwila wyzwolenia naszego się zbliża.

Spojrzała na piastunkę.

— Jedzie sam — dodała ciszej — nie bierze mnie, ale też i przyjaciółek swych ztąd zabierać z sobą nie może.

— Znajdzie inne gdy zechce — szepnęła Kätchen.

— A! nie sądźże tak źle o nim — przerwała Elżbieta. — To są pozostałości z dawnych czasów, on teraz będzie innym. Ze starych więzów rozkuć się trudno.

— Dałby to Bóg.

Królowa pomyślała chwilę, uściskała piastunkę i usiadła do krosien spokojnie.

W tej samej chwili Opaliński przychodził Zygmunta Augusta wzywać do matki.

Bona w bok ująwszy się ręką jedną czekała na syna z obliczem tryumfującem. Usta się jej uśmiechały.

Chciano ją oderwać od syna! ona wyjazd ten miała uczynić nowym węzłem łączącym go z nią, a rozłączającym z żoną!

Zaledwie ze swą twarzą, zawsze jakieś znużenie ale razem powagę wyrażającą, August ukazał się na progu, gdy matka odezwała się szydersko.

— Najjaśniejszy Pan, z woli ojca jedziesz do Wilna! Jedziesz sam, bo żony na podróż długą, niewygodną teraz narażać nie można.

Uśmiech dziwny, złośliwy towarzyszył tym wyrazom.

— Tak jest — dodała Bona — jedziesz sam do Wilna! Wiem — poczęła żywiej — żeś W. K. Mość życzył sobie, będąc już królem koronowanym i W. książęciem, zacząć rządzić i okazać, że potrafisz miecz i berło podźwignąć. A więc winszuję.

Skłoniła się przed synem.

— Co się tyczy królowej — rzekła — bądźcie spokojni! Pojedzie z nami, na niczem jej zbywać nie będzie. Wprawdzie i nasz i jej dwór zmniejszyć musimy, ale pozostanie zawsze próżniaków dosyć!

Skrzywiła się królowa, patrząc na syna, w którego twarzy chciała dopatrzyć się wrażenia, jakie ta niespodziana wiadomość na nim uczyniła.

Oblicze Zygmunta Augusta, nawet w jego młodości, wcześnie złudzeń pozbawionej, niełatwo w sobie czytać dawało. Zachowywał zawsze powagę i chłodną krew stanowi swemu właściwą. Ale matka odgadywała łatwo najlżejszy odcień twarzy synowskiej. Patrzała na nią pilno, spodziewając się poruszenia radości, a dostrzegła, a raczej domyśliła się pewnego pomięszania i zafrasowania raczej.

Zdziwiło ją to.

— Jakże? — podchwyciła zawsze w tym tonie. — W. K. Mość nie cieszysz się tem? Król ojciec długo się temu opierał, masz nareście czego sobie życzyłeś sam i drudzy dla was życzyli.

August stał jakby zadumany.

— Jestem królowi ojcu wdzięczen za zaufanie — rzekł — jadę na Litwę z ochotą, ale się lękam, czy na pierwszym kroku nie obudzę w Litwinach więcej politowania niż radości. Wy, miłościwa matko moja, lepiej to wiecie niż ktokolwiekbądź, jak szczuple byłem i jestem wyposażony.

Nie mam stosownego ani dworu, ani ludzi, ani zapasów i skarbu, który panującemu jest potrzebny. Mamże począć panowanie od tego, że będę rękę wyciągał do moich poddanych, aby oni mi dali zasiłek?

Bona zdawała się przygotowaną na to pytanie, uśmiech nie schodził z jej ust, a wyraz tryumfu malował się coraz dobitniej na promieniejącej twarzy.

— Zapominasz, że masz kochającą matkę, zawsze dla ciebie do ofiar gotową, która dumną jest synem i upokorzyć go nie dozwoli. Byłam odrazu pewną, że Boner, zwłaszcza gdy się dowie że Elżbieta z wami nie jedzie, wyposażyć was na tę drogę nie zechce, jak należy. Ale od czegoż stara włoska księżniczka, która z sobą posag przyniosła w złocie i dla dzieci przyzbierać coś umiała!

August stał jakby zawstydzony, ze spuszczonemi oczyma. Matka mu pieszczotliwie rękę położyła na ramieniu.

— Jedź — rzekła. — Brancaccio ma już rozkaz odemnie. Daję ci na tę podróż piętnaście tysięcy czerwonych złotych, a że i występować musisz, a w Wilnie pewnie jednej misy srebrnej nie znajdziesz i nie masz ich wiele do zabrania ztąd, a żona też nie ma ci co dać, kazałam półsetka puharów srebrnych i mis wydać ze skarbca, odłożyłam łańcuchów, klejnotów com mogła.

August pocałował ją pokornie w rękę, dziękował; ale ani ten dar, ani wiadomość nie czyniły go tak szczęśliwym jak się Bona może spodziewała.

Zrozumiała ona opacznie chłód jaki się objawiał w nim; na myśl jej przyszło, że rozstanie się z Dżemmą mogło być powodem smutku. Dwuznacznie, zawsze z tym samym ironicznym uśmiechem, dodała.

— Co się tyczy towarzystwa, jakie z sobą zabierzesz w podróż, ja także o tem pomyślę... bądź spokojny.

Rozumiem dobrze, iż ci się z wielą osobami, do których nawykłeś, rozstawać będzie boleśnie.

Postaram się o to, aby ci w Wilnie nie zbywało na niczem i na nikim. Ale, musimy być ostrożni. Ludzie mnie oczerniają, za moją miłość dla dziecka, wymyślają potwarze...

Znajdziemy środki, aby ci, co z tobą nie pojadą, za tobą wyruszyć mogli. Rozumiesz mnie...

Trzeba tylko nadać temu pozór jakiś, ażeby w tem znowu przeciwko mnie i tobie przyjaciele Elżbiety nie znaleźli oręża. A! kochany Marsupin! ma dobre oczy... oczy kota i kocie pazury... niegodziwy! zuchwalec!

Samo wspomnienie o Marsupinie już ją wprawiało w gniew. Czoło się zachmurzyło, usta zatrzęsły się. Przeszła się dla uspokojenia parę razy po komnacie. August stał, jakby jeszcze z nowem tem rozporządzeniem potrzebował się oswoić — zadumany.

Bona zbliżyła się z pieszczotami do niego.

— Zrobiłam co tylko mogłam dla ciebie — rzekła. — Kosztowało mnie to niemało u ojca twego, bo stary im więcej sił traci, tem jest upartszy a ks. Samuel więcej nad nim ma władzy. To coby się mnie należało, po tylu latach pożycia, wydzierają mi z rąk zausznicy. Łzami się nieraz zalewać muszę... serce, zaufanie, wiarę tracę, gdy ich mi najwięcej potrzeba.

Bądźże dobrej myśli, proszę; widzisz, że wszystko się składa, jeźli nie dla mnie to dla ciebie najlepiej? Wiem, że i teraz będą krzyczeli na mnie: że ja was z Elżbietą rozdzielam... ale obojgu jechać było niepodobieństwem.

August milczący zawsze, nic nie odpowiedział na to. Dziękował tylko matce, ale twarz miał ciągle posępną.

— Wyjazd twój na poniedziałek naznaczony — dodała Bona. — Mówiłam o tem Opalińskiemu; wydaj stosowne rozkazy, a jeżeli ci co jeszcze zabraknie, mów mnie, udaj

się do mnie, nie do Bonera, nie do nich... tam... ja dostarczę ci co potrzeba. Brancaccio jest na twe rozkazy.

Augustowi nie pozostawało nic nad nowe podzięki matce, która nie widząc w nim radości, szepnęła na ucho.

— Niepodobna Dżemmy natychmiast wysłać, ale wkrótce będzie w Wilnie i to tak, że nikt nie potrafi nam tem oczu wykałać. Bądź spokojny, obmyślę, zrobię wszystko czego potrzeba do twojego szczęścia. Pamiętaj, że masz kochającą cię matkę, że nikt lepiej ci nie życzy i lepiej poradzić nie potrafi. Radź się mnie... mam stare doświadczenie, znam ludzi, wiem jak z niemi postępować potrzeba, czem ich ująć... Dla ciebie żyję.

I namiętnie pochwyciwszy go za szyję zaczęła ściskać.

Serce Augusta poruszyło się też temi dowodami macierzyńskiej miłości, całował ją po rękach i dziękował.

Bona zaczęła szeptać poufnie, przygotowując go do postępowania wedle jej wskazówek, chcąc zapobiedz, aby oddalenie się syna nie oderwało go od niej i nie wyzwoliło z pod tego wpływu, jaki dotąd na najmniejsze jego czynności wywierała.

Długo dosyć trwała ta narada poufna z matką, po której Bona z uśmieszkiem wskazała synowi drogę zwykłą przez swoje pokoje do mieszkania Dżemmy.

— Idź ją pociesz — rzekła — musi być biedna w rozpaczy, bo już we dworze o twoim wyjeździe wiedzą. *Poverina!*

Młody król w istocie pożegnawszy matkę, wprost udał się do Dżemmy.

Teraz, jak w początku rozmowy z Boną, piękne jego lice nosiło na sobie to niezmazane piętno, które przez życie całe skazanym był dźwigać, nieprzezwyciężonej tęsknicy. Nigdy nikt nie widział Zygmunta Augusta prawdziwie wesołym i swobodnym, jak gdyby losów swoich miał przeczucie i świadomość; ostatni z Jagiellonów napróżno usiłował życie swe czemś umaić, wszystko mu się z rąk wyślizgało — nie miał szczęścia.

Szedł pogrążony w myślach, gdy trzpiotowata Bianka, nim się zbliżył do drzwi mieszkania Dżemmy, zabiegła mu drogę, z zuchwałym swym na koralowych wargach uśmiechem.

Jak stara, dobrze z nim spoufalona dworka, podbiegła wprost do króla.

— A! — zawołała — śpiesz W. K. Mość pocieszyć tę biedną Dżemmę, bo się we łzy rozpłynie, choć dobrze wie, że zapomnianą nie będzie... i że dziś czy jutro pojedzie przecie za wami.

— A! a! — dodała — Dżemma! Dżemma, ale wam, miłościwy królu, potrzebaby raczej takiej łotrzycy wesołej jak ja, jak stara Bianka, aby fałdy waszego czoła wygładzała. Weźcie-bo mnie z sobą.

August się uśmiechnął do niej, a żwawe dziewczę, poprzedzając go, otworzyło mu drzwi sypialni Dżemmy. W głębi w drugiej komnacie widać ją było z rozpuszczonemi włosami, w rozpiętej sukni przechadzającą się po izbie. Posłyszawszy szelest, rzuciła się ku wchodzącemu królowi i wykrzyk płaczliwy z ust się jej wyrwał.

Zimno jakoś, chociaż z politowaniem August się zbliżył do niej; oko baczniejsze mogło dostrzedz pewnej zmiany w obejściu się z nią Augusta i nie uszła ona pewnie wejrzenia Bianki, a może sama Dżemma przeczuwała już pewne ostygnięcie.

W istocie trzy te miesiące, nieznacznie, powoli oddziałały na serce króla.

Miłość jego dla Włoszki od początku była więcej podsycaną jej namiętnością ku Augustowi, niż uczuciem jego własnego serca. Było w niej więcej zmysłowego pociągu, uroku wielkiej piękności, młodości, niż uczucia głębokiego.

Samą gwałtownością swą Dżemma stawała się ciężarem, budziła obawę, nużyła króla, który potrzebował spokoju.

Kochał ją jeszcze — lecz już nie tak jak w pierwszych chwilach, gdy się ten węzeł zadzierzgnął, gdy cały był tylko nią zajęty i nie widział nic, oprócz niej.

Przyczyniła się do tego ostygnięcia królowa Elżbieta. August zaczął od tego, że ją przyjął z uprzedzeniem, ze wstrętem, podbudzany przez matkę, podmawiany do okazywania obojętności.

Niezmierna cierpliwość i poddanie się swemu losowi młodej pani, zdumiały naprzód, potem wywołały ciekawość, naostatek współczucie.

Począł od tego młody król, iż się ulitował nad nią, iż bardzo nieznacznie, ostrożnie ostrzegał ją i podszeptywał co czynić miała, aby nie drażnić Bony.

Łagodność królowej, jej posłuszeństwo, bo mu się ani narzucała, ani wymówek nie czyniła, pociągnęły go powoli ku niej.

Byłby może August okazał jawniej to współczucie żonie, ale wiedząc jak ją Bona nienawidziła, jak się jej obawiała, lękał się, aby najmniejsza oznaka przybliżenia się do Elżbiety nie wywołała zemsty i prześladowania.

W ciągu tych kilku miesięcy, ostygając dla Dżemmy, August nabierał poszanowania, współczucia, zajęcia serdecznego dla tej ofiary cichej, która z uśmiechem anielskim witała go, przyjmując wszystko wdzięcznie i nie uskarżając się nigdy.

Czy się tego królowa młoda domyślała, czy przeczuwała ten szczęśliwy zwrot, który jej Hölzelinowna przepowiadała? trudno było odgadnąć.

Jeżeli nadzieja wstąpiła w jej serce, nawet tej piastunce, dla której nie miała żadnych tajemnic, nie powiedziała nic, nie przyznała się do niej.

Obawiała się zawodu, drżąc czekała czy się to sprawdzi, czego zdawała się blizką, a lękała utracić. Oczy dwojga małżonków spotykały się czasem trwożliwe i natychmiast odwracały. Dosyć było takiego pochwyconego jednego wejrzenia, któreby w Bonie obudziło podejrzenie, iż małżeństwo się zbliżyło, porozumiało, a Elżbieta mogła zyskać łaskę w oczach męża, aby Bona do ostateczności doprowadzoną została.

Syn nawet nie łudził się, wiedział dobrze, iż była zdolną namiętności panowania poświęcić wszystko, chwycić się najokropniejszych środków. Ci co ją otaczali, gotowi też byli na jedno skinienie dopuścić się największej zbrodni.

W obawie tej o żonę, Zygmunt August, którego serce już ku niej ciągnęło, musiał się okazywać zupełnie zimnym i obojętnym.

Dosyć było, aby na jej twarzy zajaśniał promyczek radości, a Bona mogła się mścić, dorozumiewając co go wywołało.

Litością naprzód zyskała Elżbieta męża, potem łagodną cierpliwością swą i spokojem w męczeństwie.

Teraźniejsza podróż na Litwę, chociaż go rozdzielała chwilowo z żoną, nie wydała mu się groźną. Zyskiwał na niej więcej niezawisłości, mógł potem odebrać żonę, musiał się o nią upomnieć. Sam król rzymski powinien był mu w tem dopomódz i młoda pani mogła rychlej być wyzwoloną, a ręka Bony, chociaż sięgała daleko, nie tak już silnie dawała się czuć na Litwie.

Wszystko to snuło się po głowie młodemu panu, gdy szedł zamyślony do Dżemmy.

Włoszka na widok jego wybuchnęła płaczem, rzucając mu się na szyję.

— Chcą nas rozdzielić — poczęła wołać — ja się zabiję, ja nie przeżyję rozłączenia.

Król począł ją uspokajać pieszczotami.

— Nie trwóż się — rzekł — idę od królowej matki, przyrzekła mi znaleźć sposób, abyś mogła połączyć się ze mną wkrótce.

— Na cóż tu szukać sposobów — wybuchnęła Włoszka. — Cóż nas to obchodzi, że mnie palcami wytykać będą jako królewską kochankę? Ja o to nie dbam wcale, ja się tem pysznię. Siądę na wóz, kolebek będzie dosyć i pojadę.

— Tak — rzekł August zimno — tak, a matce i mnie to wyrzucać będą. Przyjaciele i szpiegi króla rzymskiego patrzą, wiedzą wszystko, królowę i tak czernią, zrzucą winę na nią, mścić się będą na królowej Izabelli.

Dżemma z niecierpliwością zaczęła włosy rozrzucać na głowie i suknię szarpać na sobie.

— Nie kochasz mnie już — zawołała — chcesz śmierci mojej — mówiła płacząc. — Ja tego nie przeżyję.

— Musisz dla mnie i dla siebie przeboleć tę chwilę — odparł August. — Uspokój się. Ja i królowa matka postaramy się o to, ażeby rozłąka nie trwała długo.

Dżemma stanęła nagle przed królem z brwiami ściągniętemi.

— Więc cóż? jak? Mam tu pozostać? królestwo oboje jadą także z młodą panią, nie wiem dokąd. Dwór będzie zmniejszony, przy królowej tylko kilka nas zostanie. Cóż ze mną?

— Zdaje mi się, że nic jeszcze nie postanowiono — odezwał się August — ale mam przyrzeczenie królowej najuroczystsze, iż wkrótce pojedziesz za mną, a matka moja umie spełnić to, co zamierza.

Włoszka zadumała się rozpaczliwie.

— A! — zawołała — królowie! wy, królowie! jesteście niewolnikami tylko... Boicie się oczów ludzkich, nie śmiecie słuchać serca, kochać i nienawidzieć musicie jak wam każą wasze polityczne interesa... Wolałabym pachołka kochać niż króla, bo ten, gdybym serce jego miała, mógłby mi swoją miłość okazać, a wy...

Zakryła sobie oczy.

Milczał August nie odpowiadając.

Dżemma po cichu płakać zaczęła.

— Tak więc skończyło się owo krótkie marzenie szczęścia — zawołała rzucając się na podłogę u nóg Augusta — nielitościwa ręka losu budzi do cierpienia... Szczęście nie wróci...

— Dżemmo! — przerwał król czule.

— Nie pocieszajcie mnie — odparła. — Wy nie wiecie nic jak ja, jesteśmy na łasce losu, a co on pocznie z nami, któż zgadnie? Serce moje czuje, iż wszystko skończone... żyć mi się nie chce... Co było nie wróci!

Płakała znowu.

— Dżemmo — szeptał August — nie wierzysz chyba we mnie ani w siebie. Prawdziwa miłość cierpliwą jest i więcej ufa własnej sile. Ja wierzę obietnicom matki, jadę i spodziewam się was wkrótce zobaczyć w Wilnie. Pozostawiam cię pod opieką najlepszą.

— Na co mi to wszystko — odparło dziewczę, spuszczając głowę smutnie. — Chcę umrzeć. Szczęście nie wróci... a! nie wróci!

W przededniu wyjazdu na Litwę, sama królowa Bona kazała przywołać syna zajętego wyborem w podróż.

Przybycie Decyusza młodego od króla Ferdynanda, który dla niej był szpiegiem niebezpiecznym, zmusiło do pewnych dla Elżbiety względów. Obawiała się, aby ją nie oskarżano, że małżeństwo rozrywała, a że wszystkiem chciała sama rozporządzać, że najmniejszy krok syna musiał być przez nią obrachowany, zapytała wchodzącego:

— Kiedy i jak myślisz się z żoną pożegnać?

August myślał o tem wprawdzie, ale się obawiał narazić matce, i był pewnym że ona wcześnie ułoży jak się ma odbyć pożegnanie. Sądził nawet, iż zechce mu być przytomną.

Lękając się narazić żonę, zmilczał. Spojrzał pytająco na matkę.

— Nie wiem jeszcze — rzekł.

Bona podeszła ku niemu; obojętność ta udana podobała się jej.

— Później nie będzie czasu, idź dziś, nie baw długo, kilka grzecznych słów, to dosyć — rzekła. — Nie trzeba abyś jej więcej okazywał, niż jest w istocie... niech się nie łudzi. Narzucona nigdy nam miłą nie będzie.

Syn starał się szczególniej w tej chwili okazać posłusznym.

— Pójdę dzisiaj — rzekł chłodno.

Bona spytała o wozy, kolebki, konie, sługi, ich liczbę, bo o każdej rzeczy zawiadomioną być chciała — rozporządziła kto i jak miał jechać. Szło kilka krytych szkarłatem kolebek, szły nieokryte wozy, konie powodne, dwór był niezbyt liczny, lecz po królewsku i wytwornie dobrany.

Bona w wyborze służby nalegała na to, aby wiernych sobie dodała synowi. Chciała codziennie mieć listy od niego.

— Do żony pisać nie potrzebujesz — dodała. — To co się znajdzie w listach moich dla niej, ja jej sama powiem. Zwierzać się jej nie możesz ze wszystkiego, bo przez nią nieprzyjaciele nasi dowiedzą się o tem, czego nie powinni być świadomi.

Ja potrzebuję mieć codzień gońca, koniecznie.

August przyrzekł być posłusznym.

Wprost od matki poszedł do pokojów żony.

Tu on był, niestety, bardzo rzadkim gościem, chociaż wielce pożądanym.

Nawet przy Hölzelinownie, której wierności był pewnym, nie mógł okazać żonie najmniejszego współczucia. Radość, jakąby ono obudziło, mogła zdradzić.

Jak zawsze tak i tym razem August wszedł żywym krokiem, a gdy mu piastunka drzwi otworzyła do pokoju w którym siedziała Elżbieta, na widok jego żywo powstająca od krosien, zbliżył się ku stołowi, o który stanęła oparta.

Rumieniec oblał dziecinną twarzyczkę młodej królowej; król mógł dostrzedz, gdy go pozdrawiała, drżenie i wzruszenie. Podniosła ku niemu oczy.

— W. K. Mość wyjeżdża? — spytała cicho.

August obejrzał się niespokojnie, chciał mówić i obawa wyrazy mu na ustach wstrzymywała... milczał dość długo.

— Tak — odparł nareście z jakiemś wahaniem, wzrokiem niespokojnym okazując, iż się lękał być zbyt otwartym — tak — powtórzył — muszę jechać na Litwę, sam.

Zniżył głos bardzo i prawie niedosłyszanym szepnął.

— Miejcie cierpliwość... Bóg da, wszystko skończy się szczęśliwie.

Elżbiety twarz rozpromieniała — oczki, w których krążyły łzy, błysnęły wyrazem wdzięcznym.

Więcej jeszcze niż mógł usty, król powiedział także wejrzeniem.

— Mam najlepszą nadzieję — dodał — proszę miejcie i wy ją, a ufność we mnie.

Podał nieśmiało rękę królowej, która ją pochwyciła, lecz wtem zdało się Augustowi, jakby u drzwi dosłyszał szelest jakiś i cofnął się natychmiast przelękły, dodając głośno po niemiecku.

— Bądźcie zdrowi.

Ukłonił się i nieoglądając już na królowę, która szła za nim ku drzwiom, pośpieszył wyjść. W progu tylko wejrzenie, które Elżbieta zrozumiała, nakazało jej tajemnicę.

Wszystko to razem zaledwie kilka minut potrwało, a król właśnie chciał tego, aby rozpowiadano, iż pożegnanie było zimne i krótkie.

Hölzelinowna oburzona tem wbiegła do pokoju królowej z załamanemi rękami i zastała ją w progu spokojną, niemal wesołą.

Nie mogła zrozumieć już swej wychowanicy, Elżbieta przyznać się jej nawet nie śmiała. Między nią a mężem była teraz tajemnica, której ona zdradzić nie chciała, która ją wbijała w dumę i czyniła szczęśliwą.

Ciężko jej było zaprawdę kłamać wobec piastunki, lecz czuła potrzebę, obowiązek.

Rzuciła się jej na szyję, aby ukryć twarz, jak gdyby płakała, a Kätchen pocieszać ją zaczęła.

Serce biło żywo.

Ta radość, którą musiała osłaniać łzami, przejmowała całą jej istotę. Tak błogo się jej stało na sercu, tak jasną i piękną ujrzała przed sobą przyszłość, iż blask ten zaćmił jej umysł i po błyskawicy szczęścia otoczyły ją mroki.

Na rękach piastunki skostniała i zastygła... wyprężyły się ręce, podniosła głowa, otwarły usta. Kätchen przerażona poznała w tych symptomatach napad choroby, którą ukrywała tak starannie i która, szczęściem, tak długo w najprzykrzejszych godzinach oszczędzała biedną ofiarę.

Teraz przychodziła ona we śnie szczęścia, ale Hölzelinowna nie wiedziała o niem i tłumaczyła ją sobie, jako skutek wielkiej, przenikającej boleści.

Zwolna, nietykając prawie, zdołała ją na rękach przenieść na łóżko i złożywszy na niem, pośpieszyła drzwi zaryglować, aby żadne żywe oko królowej w tym stanie, na który czyhała Bona, zobaczyć nie mogło.

Hölzelinowna jedna wiedziała z doświadczenia, iż ani budzić, ni trzeźwić jak w zwykłem omdleniu królowej nie było można — że potrzeba było spokojnie czekać, aż to odrętwienie straszne przejdzie samo i życie powróci.

Nazajutrz Elżbieta spokojnie przez okno przypatrywała się odjazdowi męża, którego kolebki, konie, dwór, służba, psy, musiały przeciągać w podworcu przed oknami starego króla. Chciał je widzieć i przekonać się, że syn ani nadto wspaniale, ani zbyt ubogo nie wystąpi przed Litwinami, niecierpliwie na niego oczekującemi.

August czy za wyraźnie objawioną wolą matki, czy aby jej nie drażnić, nie przyszedł już w ostatniej chwili pożegnać żony. Bona tylko wyprowadziła go aż na galeryę, z całym swoim dworem, ale oczy ciekawych napróżno w nim szukały Dżemmy.

Włoszka, niepohamowana w objawianiu swych uczuć, byłaby się zdradziła; nie dozwolono jej wyjść i Biankę posadzono na straży. Płacząc i łkając rzucała się po swej izdebce, odgrażając na wszystkich, a nawet na ukochanego, którego w dniach ostatnich znajdowała ostygłym i obojętniejszym dla siebie.

Serce jej przeczuwało, że miłość ta, na której ona trwanie liczyła, doszedłszy do najgorętszego rozpłomienienia, stygła i słabła.

Augustowi nie mogła zarzucić nic, nie zaniedbywał on jej, nie chybił w niczem, ale też same dowody miłości, które dawniej starczyły, teraz jej zdawały się skąpemi.

Królowa też matka, w początkach tak troskliwa i pieszcząca Dżemmę, teraz ją powoli zaniedbywała nieco. W chwili odjazdu zdawało się Włoszce, iż powinna była starać się ją pocieszyć i upewnić o tem, iż wkrótce ją wyprawi za synem do Wilna.

Tymczasem dzień cały upłynął, Dżemma rozpływała się we łzach naprzemiany i wybuchała gniewem, a oprócz Bianki, nikt nie przyszedł jej pocieszyć, nikt nawet dowiedzieć się do niej.

Na zamku wszyscy byli zajęci przygotowaniami do podróży. Mówiono o wyjeździe do Nowego miasta Korczyna, królowa wyznaczyła już była kobiety, które jej towarzyszyć miały — Dżemma nie wiedziała jeszcze jaki ją los spotka.

Sama się królowej przypominać nie chciała, miłość Augusta wbijała ją w dumę; sądziła się potrzebną i godną tego, aby Bona pierwsza krok uczyniła ku niej.

Tymczasem Bianka, która się nią najwięcej zajmowała, po kilkakroć wybiegając na zwiady, powracając i przynosząc różne wiadomości — o tem co postanowiono o Dżemmie, albo się dowiedzieć nie mogła, lub jeśli wiedziała coś, powiedzieć jej nie chciała.

Opuszczenie to, zaniedbanie coraz mocniej, dolegliwiej dotykało biedną Dżemmę. Płakała, ale płacz jej przy temperamencie namiętnym, przeradzał się w gniew i pragnienie zemsty, tak że Bianka zaledwie ją wstrzymać potrafiła od krzyków i wybuchów.

Drugiego dnia jeszcze nie nadszedł nikt, a Dżemma do królowej iść pytać, żalić się, prosić nie chciała. Zawsze się jeszcze nadto czuła potrzebną, aby się do błagania za sobą poniżać miała.

— August mnie kocha, jestem mu dla życia konieczną, mówił mi to i poprzysięgał razy tyle... nie obejdą się bezemnie.

Królowa Bona w istocie myślała o tem, jak miała synowi wysłać kochankę, której była pewną, że ją zdradzić nie powinna, lecz daleko trudniejszem się to okazało w wykonaniu, niż sądziła.

Marsupin czuwał, młody Decyusz siedział w Krakowie, biskup Maciejowski był o wszystkiem zawiadomiony i nie wahał się królowi staremu donosić o tem co czci królewskiej i powadze szkodliwem sądził. Nie można było wprost, jawnie Włoszki wysłać, mówionoby o tem nadto, a Marsupin doniósłby nieochybnie ojcu królowej.

Cicha doradczyni Bony, mniszka Maryna, która przez jakąś niewytłómaczoną zawiść Dżemmy cierpieć nie mogła, pierwsza szepnęła jej, że ludzie mieli na kochankę zwrócone oczy, i zawczasu królowę obwiniali, iż ją za synem wyprawi.

Królowa się wahała, chociaż mocne miała postanowienie, przez Dżemmę zapobiedz, aby kto inny nie opanował syna.

Tak stały rzeczy, gdy Dudycz, który widział że ta chwila dla niego stanowczą być mogła, nadaremnie przez dni parę nastręczając się oczom Bony, która na niego uwagi nie zwróciła, pobiegł do Zamechskiej.

— Królowo moja! — zawołał od progu — ratuj mnie! Włoszka została na koszu, król odjechał, nikt o niej nie myśli... przypomnijcie jej, królowej, komu chcecie, mnie, który się ofiaruję żenić.

Ochmistrzyni zdumiona popatrzyła na niego.

— Daj ty mi pokój — odparła — ja żadnego się pośrednictwa nie podejmuję. Gdybyś się powiesić chciał a mnie o stryczek prosił, prędzejbym ci może go dała. Ja nad Włoszkami żadnej mocy nie mam, a z królową też niewiele poufałości. Idź sam, proś, to będzie najlepiej.

Napróżno ubłagać ją i ująć się starał Dudycz, tyle tylko wymódz potrafił, że mu czas i miejsce wskazała, kiedy i gdzie Bonę będzie mógł znaleźć mniej zajętą i otoczoną.

Dudyczowi tak było pilno, tak się obawiał aby go kto nie uprzedził, iż o mało się na gniew Bony nie naraził. Schwycił ją przechodzącą ze skarbca do komnat swych, rzucił się do nóg; naprzód łajać go poczęła królowa, precz kazawszy. Ale ją Petrek przebłagał pokorą, pozwoliła mu iść z sobą, gotowa prośby wysłuchać.

Musiała się nawet domyślać o czem mówić będzie, gdyż nie okazała się zdziwioną gdy Dudycz oświadczył, że prosi o rękę Dżemmy.

Długie milczenie nastąpiło potem, Bona zacięła usta, popatrzyła na dziwaka tego, nie od powiedziała nic, kazała mu przyjść nazajutrz rano.

Dudycz nabrał otuchy.

Wieczorem, gdy Włoszka chodziła coraz więcej zrozpaczona po swojej komnatce, w której każdy sprzęt jej króla przypominał, cicho, powolnym krokiem wsunęła się Bona.

Dżemma nadto była swem położeniem przejęta i poruszona aby dostrzegła jak teraz inną tu przychodziła królowa matka, dawniej pieszczotliwie i serdecznie się z nią obchodząca.

W istocie zimna, zamyślona, obojętna, dumna, stanęła przed zbolałą Włoszką, która w pierwszej chwili nie wiedziała jak ma ją witać. Rzucić się do nóg? okazać rozpacz i zwątpienie? prosić o litość?

Oko starej pani badało pilno Dżemmę i wszystko około niej, nim się do niej odezwała. Chciała wyrozumieć, w jakim stanie ją znalazła i do tego zastosować rozmowę.

Dżemma popłakiwała, ale z za łez spoglądała płomiennemi oczyma na Bonę.

— Daj pokój tym łzom — odezwała się Bona — powoli zajmując miejsce w krześle — pomówmy rozumnie. Uspokójże się, słuchaj!

Włoszka usiłowała łkanie stłumić napróżno.

— Oddawna chciałam mówić z tobą — poczęła sucho i z wyrazem nieukontentowania królowa — ale ze łzami i lamentami rozmówić się trudno, a ja czasu nie mam słuchać próżnych słów. Cóż ty myślisz?

— Spodziewałam się, spodziewam, król mi przyrzekł, miłościwa pani, wy wiecie jak ja go kocham! ja muszę jechać za nim, do niego, gdy z nim jechać nie mogłam.

— Tak! — przerwała Bona — tak! gdyby to była rzecz tak łatwa do wykonania jak do powiedzenia! Ale to wszystko na mnie spada! wam z tem nic, jemu to nie szkodzi, ja pokutuję za niego... na mnie rzucą kamieniem.

Jutro, gdybyś wyruszyła po nocy nawet i nikt cię nie widział, jutro wszyscy na dworze i w mieście powiedzą, a raporta poślą do Pragi i do Wiednia, że Bona cię wyprawiła dla syna, aby mu obmierzić żonę!

Dżemma sobie oczy zakryła.

Królowa oddychała ciężko, bo gniew na wspomnienie młodej królowej, współzawodniczki, ją ogarniał.

— Ja muszę coś poświęcić dla syna — dodała — ale i ty z siebie powinnaś jakąś uczynić ofiarę.

Włoszka odjęła od oczów ręce i facolet, którym je osuszała.

— A! miłościwa pani, jam na wszelkie ofiary gotowa! Cześć moją, młodość, wszystko oddałam.

Jak gdyby trudnem jej było wypowiedzieć o co chodziło, królowa się zatrzymała nieco, spuściła oczy i machinalnie palcami po poręczy krzesła przebierać zaczęła.

Dżemma oczekiwała.

— Ja cię tak samą wysłać nie mogę — rzekła po bardzo długim przestanku. — Poszukaj sama w swojej główce, jakby się to ułożyć dało, abyś miała prawo opuścić dwór i nie narażając mnie wyjechać, gdzie ci się podoba.

Rozwiązanie tego zadania, które Bona rzuciła z uśmiechem ironicznym, nie było łatwem dla Włoszki, która usłyszawszy je stała zdumiona, zamyślona, nie pojmując co ono znaczyć miało.

— Jakto? więc ty rozumna i przebiegła sama na tę myśl wpaść nie możesz? — zapytała królowa — a jednak rzecz to bardzo prosta.

Słuchała Dżemma.

— Możesz być swobodną tylko wychodząc za mąż! — dodała królowa.

Włoszka wydała okrzyk boleśny.

— Ja? za mąż? — zawołała z odrazą — ja stać się jemu niewierną? ja!

— A! — odparła Bona obojętnie — jak gdyby nie mógł znaleźć się człowiek, który cię poślubi i nic za to od ciebie wymagać nie będzie, pozostawi cię wolną.

— Ale jabym przysięgać musiała.

— Przysięgi tej natychmiast dotrzymywać nikt cię nie zmusi. Mąż się zgodzi być powolnym — szepnęła Bona.

Włoszka, której się to ni w głowie ani w sercu pomieścić nie mogło, rzucać się zaczęła dziwnie i niezrozumiałemi wyrazy urywanemi protestować.

Bona powstała z siedzenia.

— Pomyśl o tem — rzekła — to sposób jedyny, ja innego nie widzę.

Dodam tylko, że takiego powolnego męża wynajdę może dla ciebie. Musisz się przygotować wszakże, iż powabnym nie będzie, ani młodym, ale za to posłusznym.

Nie tłómacząc się więcej Bona powstała, popatrzyła na osłupioną Dżemmę i wyszła.

Zostawszy samą biedna Włoszka, długo się z miejsca nie poruszała. Myśli chodziły jej po głowie poplątane, dziwne, niezrozumiałe; dreszcz ją przejmował na samo przypuszczenie małżeństwa jakiegoś, związku, któryby moc nad nią dawał nienawistnemu człowiekowi obcemu.

Jeszcze w myślach tak zatopioną stała, gdy w progu dały się słyszeć kroki nadbiegającej Bianki. Szła tak prędko, jakby była posłaną na pociechę biednej dziewczynie.

Dla tej poczciwej ale ze wszystkiemi przewrotnościami dworu oswojonej dziewczyny, która się nigdy nie dziwiła niczemu, myśl królowej nie wydała się bynajmniej zdrożną, ani wstrętliwą, raczej zręczną i zamykającą usta wszystkim.

Bianka wiedziała o niej. Polecono jej przyjaciółkę z nią oswoić.

Wbiegła wesoło.

— Cóż ty się we łzach tak kąpiesz — zawołała — gdy właśnie wszystko się jak najlepiej składa!

— Co? jak?

— Wyjdziesz za mąż, będziesz panią swej woli! pojedziesz za królem, usta zamkniesz ludziom!

Zbliżającą się ku sobie, Dżemma odepchnęła zlekka.

— To okropne! — zawołała.

— Mój Boże! cóż w tem tak strasznego? — szczebiocząc i około Dżemmy biegając, poczęła Bianka. — Mąż ten przyszły na wszystko się zgodzi! Rachuje na łaski króla, da ci swobodę zupełną. Alboż to raz się tak ludzkim plotkom zapobiegało? to rzecz nie nowa!

— Bianko — krzyknęła odsłaniając twarz Dżemma — dla mnie, dla mnie jest ona nową i niespodziewaną, nie przewidywałam tego nigdy. Nie dosyć, że jemu narzucono żonę, mnie tak samo chcą narzucić męża.

Bianka śmiać się zaczęła.

— Ale ty go znać nie będziesz, tylko chybaby mu jak słudze rozkazywać.

Włoszka znużona zwolna, pozornie się uspokajać zaczęła. Nogi pod nią drżały, rzuciła się na siedzenie we framudze okna.

Myślała ktoby to mógł być ten mąż, który jej miał dać nazwisko, swobodę i sprzedać się za łaskę królewską. Wzgardę miała ku temu człowiekowi nie znając go.

— Kogoż królowa stręczy? — przebąknęła ze wstrętem.

— Królowa nie stręczy, ale on się sam naprasza — odparła Bianka. — Przypomnij sobie te tajemnicze podarki.

Lice Dżemmy okryło się rumieńcem. Zupełnie inaczej wyobrażała sobie tego co ją tak po królewsku obdarował, i tego co teraz tak podle sięgał po jej rękę.

Nie umiała pogodzić z sobą tych dwóch, tak w jej pojęciu różnych ludzi.

Podniosła głowę. Bianka patrząc na nią uśmiechała się ciągle.

Na twarzyczce Włoszki miejsce oburzenia zajął podziw jakiś, zdumienie, ciekawość. Towarzyszce zdawało się, że mogła począć odsłaniać tajemnicę.

— Mam ci powiedzieć kto on jest, ten zakochany w tobie, którego miłość idzie tak daleko, że się gotów twojemu szczęściu poświęcić?

Milczała Dżemma, ale milczenie to znaczyło: mów!

Zawahała się Bianka nieco.

— Człowiek jest — rzekła — bogaty bardzo, wcale niemłody, a niestety figurą i twarzą śmiech obudzający. Wielu mówi, że dobry ma być, nikt nie powiada, że złym być może. Czegoż można więcej wymagać od takiego słomianego męża?

Myśli Dżemmy, w miarę jak mówiła Bianka, musiały biegać i szukać we dworze kogoś coby wizerunkowi odpowiadał, ale go znaleźć nie mogły.

Poruszyła ramionami i jeden wyraz tylko z ust się jej wyrwał:

— Bogaty?

Bianka śmiała się.

— A! tak! powiadają, że jest bardzo zamożnym — odezwała się — a najlepszym dowodem tego są podarki, za które nawet spojrzenia nie wymagał.

Włoszka jeszcze błądziła gdzieś myślami, po łysinach starych dworaków, gdy towarzyszka jej uderzając w ręce, zawołała.

— Piotr Dudycz! królewski dworzanin.

Nazwisko to, niemal zapomniane, nieznane prawie, nierychło Włoszce na myśl pocieszną postać przywiodło, do której się odnosiło.

Skrzywiła usta z odrazą, drgnęła cała ze wstrętu i nie odpowiedziała nic.

— Nie będę się starała dowodzić, że się do jego maszkary przyzwyczaić można — wtrąciła Bianka — możesz bowiem niepatrzeć na niego. Królowa powiada, że się na wszelkie warunki zgodzi, byle w oczach ludzi za męża twojego uchodził.

Z drugiej strony, kochana Dżemmo, możesz być pewną, że inaczej jak czyjąś żoną, królowa ci nie pozwoli jechać za synem. Nadto już mówiono o tem, że ona się opiekowała tobą, na złość młodej królowej. Chce żebyś jechała, ale boi się aby na nią to nie spadło.

Nie masz wyboru... biedna!

A gdy Dżemma ciągle jeszcze ani słowa nie odpowiadała, dodała prędko.

— Tak! nie masz wyboru, i wiesz co? Przyjmiesz go czy nie? zrobisz co ci się podoba, pozwól mu się widzieć z sobą, rozmów.

— To znaczy jak gdybym go już przyjęła — odparła Dżemma — a warunki tylko chciała układać, a ja jego i małżeństwa nie chcę! nie chcę!

— Zostaniesz więc w Krakowie — odezwała się Bianka. — Szkoda mi cię bardzo. Wiem od naszej ochmistrzyni, że na regestrze tych co królowej towarzyszyć mają, ty się nie znajdujesz. Zatem będziesz tu męczyć się na zamku, wśród powietrza, które już na mieście panuje, a jutro i tu, na Wawel ten ogień wtargnąć może.

Dżemma załamała ręce i poczęła płakać pocichu. Bianka nawet, dawno ostygła i płocha, nie mogła na nią patrzeć bez litości i poczęła pieszczotami, słodkiemi słowy starać się ją pocieszyć a ból ten łagodzić.

Lecz czemże mogła osłodzić gorycz takiego położenia bez wyjścia innego nad jedno — upokarzające i sromotne.

Popłakały się obie i długiem milczeniem zamknęła rozmowa.

Biance jednak zdawało się, że po głębszym rozmyśle, nieszczęśliwa ofiara zgodzić się była powinna na warunki, jakie jej podawano. Cała noc pozostała do rozmysłów.

Nazajutrz zaś potrzeba było stanowczo coś odpowiedzieć, bo królestwo wybierali się już w drogę i wyjechać mieli wkrótce. Jeden tylko arcybiskup Gamrat, dopóki on tu był, a on też wybierał się precz z Krakowa, wraz z tą którą naówczas arcybiskupową nazywano, mógł ślub bez żadnych wymaganych formalności dać kazać albo sam pobłogosławić na żądanie Bony.

Wszystko to pocichu wyszeptała Bianka na ucho Dżemmie, gdy ją opuszczała późno już w noc, namówiwszy aby szła spocząć.

Nazajutrz Dudycz, który stawił się do Bony, jeszcze piękniej ubrany niż zwykle, otrzymał pozwolenie widzenia się z Dżemmą.

— Idź sam swoją sprawę popierać — odezwała się Bona — ja przymuszać jej nie mogę. Wszystko zależy od tego, jak sobie poradzisz. Pamiętaj tylko, że dumną jest i że bądź co bądź, ona tobie, nie ty jej wyświadczasz łaskę.

Dudycz pokłoniwszy się do ziemi, wyszedł; ale zaledwie za progiem postrzegł, że mu samemu iść nie wypadało i nie było dogodnem.

Zamechska, którą niemal na kolanach prosił o pomoc, wręcz mu odmówiła. Bianka, czatująca na niego także z nim wchodzić nie chciała, ale dodała mu odwagi, doprowadziła do samych drzwi, wpuściła go i uciekła.

Dudycz wszedłszy drżący do znanej komnatki, w której oknie Włoszka zwykła była siadać, nie znalazł jej tu. Dopiero po chwili wyjrzała z sypialni, zmarszczyła się, pochwyciła zasłonę we drzwiach wiszącą, zawahała chwilę czy wnijdzie, i gdy ją Dudycz zobaczył a pokłonem pozdrowił, powoli, krokiem majestatycznym wsunęła się do izby. Szła tak nie mówiąc nic, opinając na sobie suknię, z brwiami ściągniętemi, gniewna ale panująca nad sobą.

Dudycz szukał po głowie od czego rozpocznie.

— Królowa JMość — począł jąkając się, cicho — królowa JMość uczyniła mi nadzieję, że zechcecie mnie wysłuchać!

— Wiem co mi powiedzieć macie — odparła sucho Dżemma, po krótkim namyśle. — Ważycie się na sprawę trudną a dla was... no i dla mnie sromotną. Mnie zresztą niewiele obchodzi co ludzie powiedzą, wiem co mi za to zapłaci, ale wam!

Dudycz się zmięszał

— Dawno już, dawno — odezwał się — serce moje wam oddałem. Na wszystkom gotów.

— Aby nic za to oprócz wzgardy nie otrzymać — przerwała mu Włoszka. — Nie rozumiem rachuby waszej. Rękę wam dać mogę być zmuszoną, ale więcej nic, nic... nawet litości.

Dudycz podniósł oczy ku niej. Nie pałała w nich namiętność — on sam przestraszonym się wydawał, ale bynajmniej rozkochanym.

Dżemma odstąpiła kilka kroków, poszła ku oknu nie patrząc na niego. W ciągu długiej nocy porachowała wszystko, gotową była wyjść za tego nikczemnego w swem przekonaniu człowieka, lecz chciała zawczasu odjąć mu wszelką nadzieję, aby małżeństwo to kiedykolwiek czem innem być mogło nad udanie i kłamstwo.

Dudycz zaś postanowił na wszystko się zgodzić, rachując iż przyszłość zmieni warunki, a Włoszka będzie musiała się im poddać.

Milczeli oboje, gdy Dżemma się odwróciła, stanąwszy zdaleka przy oknie.

— Wiecie warunki — rzekła — rękę wam dam, więcej nic. Żadnej mocy nademną. Po ślubie natychmiast wyjeżdżamy za młodym królem do Wilna.

— Wiecie że ja się zgadzam na wszystko — rzekł krótko Dudycz.

— A wy powinniście wiedzieć — dodała Włoszka — że jeźli myślicie mnie oszukać, zawieść, siłą przemódz, zawiedziecie się na tem. Mam obrońcę w królu, w królowej, ale i w sobie samej, tak.

To mówiąc z za sukni dobyła sztylecik w misternej oprawie, obnażyła jego ostrze i schowała napowrót.

Dudycz milczał.

— Przygotujcież się do ślubu razem i do podróży. Jedna z moich towarzyszek pojedzie z nami, ale i służby i wozu, jaki przystał mi, potrzebuję.

— Kolebkę mam szkarłatem wybitą — odparł Dudycz. — Cztery woźniki jak najlepsze. Służbę znajdę i dwór pokaźny. Na niczem wam zbywać nie będzie.

— Oprócz klejnotów moich, sukień i sprzętów — dodała zimno Włoszka — nie mam nic. Pieniędzy, gdyby mi je dała królowa, nie podzielę z wami, ani wam dać tknąć, muszę je mieć na wszelką przygodę.

— Ja ich nie potrzebuję — odparł Dudycz, który widząc, że wszystko się nadspodziewanie jego lepiej i łatwiej składało, odzyskiwał męztwo i zaufanie w sobie.

Dżemma stała straszliwie blada i drżąca. Spełniła ofiarę, ale w głowie jej jeszcze nie mogła się pomieścić ta straszna myśl umowy z człowiekiem wstrętliwym, który w niej obawę obudzał, równą i odrazę — i łzy rzuciły się jej z oczów.

Dudycz postąpił kroków parę, jakby rękę jej chciał ująć i pocałować — Włoszka z krzykiem się schroniła we framugę okna, odpychając go rękami.

— Nie zbliżaj! nie zbliżaj się do mnie. Idź przygotowuj co potrzeba... dziękuj królowej, mnie nie! Nigdy...

Zmięszany Petrek cofnął się do progu i zamruczał, że i dla ślubu i dla wyjazdu naradzić się z nią, aby wedle myśli jej postąpić, będzie potrzebował.

— Możecie przyjść, jak teraz — odparła dumnie — lecz żadnej poufałości. Nie znoszę jej, pamiętajcie o tem.

Petrek posłuszny, zwolna doszedłszy do drzwi, wysunął się z komnaty, a znalazłszy się w kurytarzu, jak pijanym się uczuł, otarł czoło okryte potem, musiał stać chwilę nim oprzytomniał.

Dżemma po swojej izdebce latała także jak oszalała, chwytając i rzucając co jej pod rękę wpadło, stając zadumana i rwąc piękne swe włosy, a Dudycz zbierał myśli rozbite, doszedłszy nagle do celu, i nie wiedząc sam czy dobrze czy źle się stało. Wierzył w to, że Włoszkę ugłaszcze i pokona, ale teraz wydała mu się zblizka daleko dzikszą niż ją wyobrażał sobie.

Przywykły do oszczędności Dudycz, obrachowywał też w myśli na jak wielkie ofiary narażą go wymagania kobiety, która wcale żałować go nie myślała.

Zamechska, do której poszedł z tak zwieszonym smutnie nosem, jak gdyby mu się nie powiodło, teraz mu już nie odmówiła pośrednictwa. Zwołano Biankę, Dudycz potrzebował wiedzieć jak się miał do podróży przygotować, aby w samym początku nie być wystawionym na przykre z żoną zatargi.

Przyjaciółka podjęła się chętnie wybadać Dżemmę, ale nietylko ją, trzeba było pytać królowę o pozwolenie na służbę i wybór w drogę.

Dudycz musiał dobrych parę godzin siedzieć, nim mu przyniesiono wyrok na niego wydany. Potrzeba było dwie kolebki przystojne pod panią i jej dwór. Królowa chciała aby jej towarzyszyła Bianka, która donosić miała o wszystkiem. Oprócz tego dwoje dziewcząt służących i stara Włoszka wyznaczona przez Bonę, miały towarzyszyć pani Dudyczowej.

Choć niemłody już, Petrek nie miał prawa siedzieć w kolebce z żoną, powinien był wraz z ludźmi jechać konno przy jejmościnej kolebce.

Nie koniec na tem; gdzie szły dwie kolebki, z których jedna musiała być aksamitem obitą i złoconemi mosiężnemi balasami przyozdobioną, druga suknem szkarłatnem — co najmniej dwa wozy pod skórami trzeba było mieć dla przyborów podróżnych, pod skrzynie i sepety jejmości, pod żywność dla ludzi i koni, pod zapaśną zbroję, pościele, wojłoki, kobierce, wezgłowia, poduszki, które każdy z sobą woził, kto wygody potrzebował. Dalej jeszcze przy czterech wozach i tylu wożnikach, ludzi też musiało być dla bezpieczeństwa i posługi najmniej kilku i to nieladajakich.

Gościńce leśne ku Litwie niewszędzie były bezpieczne, często po kilka i więcej mil piasczystą drogą wlec się było potrzeba nie znajdując ani gospody, ani wsi, ani szopy. Na wszelki przypadek i namiocik jeden, drugi, i żłoby a sochy do nich dla koni wieźć z sobą było potrzeba, a do kuchni miedź i naczynie, a dla pragnienia baryłek parę. Wszystko to, ze śmiejącą się Bianką, która awanturniczej podróży dosyć była rada, rozmówiwszy się i ponotowawszy Dudycz za głowę się pochwycił, choć miał ochotę za mieszek ująć, bo rachował co to go kosztować będzie.

Włoszka widząc go zafrasowanym, krzyknęła mu.

— Zawczasu się rozmyślcie! macie jeszcze czas się wycofać, jutro będzie zapóźno! Klamka zapadnie.

Ale Dudycz przez samą miłość własną cofać się nie myślał i odparł, że mu nie o pieniądze szło, ale o czas krótki na pościąganie wszystkiego, bo w Krakowie, choćby Dżemma się nawet nie tak niecierpliwiła, powietrze coraz groźniej występujące pozostać dłużej nie pozwalało.

Dudycz więc pobiegł co rychlej na miasto, gdzie za pieniądze zawsze wszystkiego dostać było można. A choć przyjaciół nie miał, pomocników płatnych stręczyło się podostatkiem.

Po drodze spotkawszy się z panem Bonerem, nie zaparł się przed nim, że Włoszkę miał zaślubić, ale więcej mu nie powiedział nic. Resztę dnia tego, nie spoczywając na chwilę, użył Petrek na zamawianie ludzi, kupno koni, uprzęży, jednej kolebki, której mu brakło, wozów itp.

Późno w nocy w gospodzie jeszcze gwarno u niego było... i izba zarzucona uprzężą, bronią, naczyniem, wyglądała jak szpichrz nieporządny, gdy wpadł do niej Marsupin.

Wiedział on już od podskarbiego o małżeństwie, ale mu niespełna dawał wiarę — przybiegł się czegoś dowiedzieć.

Wyszli razem do alkierza.

— Widzę z waszmości zajęcia, że chyba prawda iż żenisz się, i z żoną do majątku wraz jedziesz. Prawdali to?

— Prawda — odparł Dudycz — ale co mam wam kłamać, kiedy to rychło na wierzch wynijdzie. Jadę z żoną do Wilna.

Marsupin odskoczył od niego i spojrzał z pogardą.

— Że się z kochanką króla żenisz — zawołał — to jeszcze mniejsza; znalazłoby się wielu coby ją wzięło, lecz żebyś ją potem królowi wiózł, toć nie do wiary!

— A któż mówi, że ja ją wiozę królowi — odezwał się Dudycz. — Jedziemy, aby z jego łaski korzystać i pod opiekę się oddać. Na Litwie ziemi ma do rozdania dosyć.

Włoch ruszył ramionami.

— Ślepy jesteś jak kret — rzekł. — Królowa matka na to wesele dzwoni, za jej wiedzą jedziecie, jawna rzecz o co chodzi, aby król do żony nie tęsknił i z nią nie żył.

Cóż wasza za powinność będzie — rozśmiał się szydersko Marsupin — na straży stać, gdy się J. K. Mość z waszą żoną zabawiać będzie.

Dudyczowi twarz pobladła i poczerwieniała zaraz, zabełkotał coś niewyraźnego.

— Pozwólcie — dokończył — to moja sprawa, niczyja!

— Pewnie — odparł Marsupin — jak sobie pościelesz tak się wyśpisz; ale pamiętajcie, że gdyście dotąd niewiele mieli miru u ludzi, teraz go mniej jeszcze pozyskacie, choćbyście łaskę młodego króla mieli.

Włoch, któremu pono o to tylko szło, aby się przekonał, jak rzeczy stały, a nie o nawrócenie Dudycza, którego upor i głupotę znał dosyć, pożegnał go od niechcenia i precz szedł.

Wszystko potem wedle programu się dokonało, z tym dodatkiem, iż, mimo skąpstwa swego, Bona starając się ująć kochankę syna, około której ciągle teraz pilno się krzątała, wyprawę jej dała obfitą i kosztowną. Nie brakło ani tkanin na suknie, ani futer, łańcuszków i naczynia, ani pięknych drobnostek, tak, że Dudyczowi Bianka dała znać, iż bodaj jednego wozu pod skrzynie będzie mało, a Dżemma nic nie chciała w Krakowie zostawiać. Ślub potem odbył się zrana o świcie w katedralnym kościele, przy którym mało co świadków było i wkrótce po nim, padłszy do nóg Bonie płacząc, Dżemma wraz z dworem swym wyruszyła ku Litwie.

Bianka i stara Włoszka dodane jej były nie tak dla niej samej, jak dla interesu Bony, która o synu chciała być zawiadomioną, a na rozkochaną Włoszkę nie mogła się zdać we wszystkiem.

Chociaż ożenienie pośpieszne i zaraz po niem wyjazd z Krakowa Dżemmy trzymany był w tajemnicy, cały świat wiedział i mówił o nim. Bona tylko głośno się odzywała, że Dudycz z żoną do majętności swych wyjechali w Krakowskie, a nie, jak fałszywie utrzymywano, na Litwę. Marsupin głową potrząsał i głośniej jeszcze twierdził, że Bona trwała w niegodziwym zamiarze rozdzielania młodego małżeństwa, i że ona to małżeństwo skleiła, aby Dżemmę do Wilna wyprawić, nie narażając siebie.

Wyjazd królowych obu i starego pana, przybory do niego, popłoch jaki powietrze w Krakowie obudzało, nie dozwalały w pierwszej chwili bardzo się szerzyć tym pogłoskom. Wysłano młodego króla, wyjeżdżała reszta dworu, uciekał Gamrat do dóbr arcybiskupich, panowie wszyscy opuszczali nieszczęśliwy Kraków, więc i bogatsze mieszczaństwo i kupcy uciekali gdzie kto mógł, w lasy, na wsie i folwarki, gdzie bezpieczniejszemi czuli się od zarazy.

Nieszczęśliwego Marsupina los był nie do pozazdroszczenia. Gdy pierwszych dni sierpnia naostatek królestwo z młodą panią wyjeżdżali na Mazowsze, napróżno domagał się, prosił, napierał, zabiegał, aby go dopuszczono do Elżbiety. Bona czuwała tak i przez Opalińskiego ostawiła strażami synowę, że Włoch się do niej docisnąć nie mógł w żaden sposób.

Opaliński mu z zimną krwią dowodził, że poselstwo, jakie sprawiał do królowych, królów obu i innych osób, spełnił już, że nie miał tu nic więcej do czynienia, a uwłaczającego sobie szpiegowania czynności królestwo oboje dopuścić nie mogą. Nalegano na Włocha aby precz jechał.

Lecz tu się w istocie sprawdziło przysłowie: trafiła kosa na kamień. Nikt nigdy Bonie tak srodze i zuchwale nie dojadł i nie dokuczył jak ziomek jej, Włoch, ów Marsupin. Oprócz gorącego temperamentu człowieka, przywiązania jego do króla rzymskiego, któremu służył, politowania nad losem królowej młodej, w grze była dla Marsupina jego miłość własna. Im bardziej starała się go poniżyć, odepchnąć Bona, tem zajadlej trwał na stanowisku nie dając się ni ująć, ni ustraszyć.

Było w tem i coś zemsty za pomiatanie nim i grubijańskie obchodzenie się i chęć gorąca postawienia na swojem.

Odepchnięty od dworu, gdyż i król Zygmunt Stary dał sobie wmówić, iż szpiega cierpieć był nie powinien, Marsupin pozostał pomimo powietrza w Krakowie, wysławszy

listy do króla, prosząc o nowe pełnomocnictwo, o pismo dla doręczenia Elżbiecie, o coś takiego, coby go upoważniało dobijać się do drzwi zamkniętych.

Mówiono, iż królestwo po kilkodniowym spoczynku w Nowem mieście Korczynie, udać się mieli na Mazowsze i tam w lasach przebyć ten czas, dopókiby mór w Krakowie nie ustał. Spodziewano się, że za parę miesięcy, gdy upały ustaną, jesień i zima się zbliżą, powietrze zniknie. Włoch gotów był, jak tylko listy otrzyma, ruszyć za dworem i do Korczyna i na Mazowsze, chociaż pieniędzy mu już brakować zaczynało, zdrowie szwankowało, a pomocy od nikogo nie przyjmował, aby panu swemu ujmy przez to nie czynić.

Włoch krzyczał w niebogłosy przeciwko rozłączeniu młodej pary, dowodził, że siłą wstrzymano królowę Elżbietę, która i chciała i powinna była towarzyszyć mężowi do Wilna; bił w to, ażeby jej dozwolono natychmiast się z nim połączyć.

Dopomagali mu w tem i potakiwali biskup Maciejowski i podskarbi Boner, ale oni nie występowali pierwsi, jemu pozostawiając aby intonował i trąbił o tej krzywdzie i ucisku.

Z pewną pociechą dla siebie, Marsupin w pustym i coraz puściejszym Krakowie pozostawszy sam prawie, dowiedział się trzeciego dnia po odjeździe obojga królestwa z Elżbietą, że król Zygmunt Stary czy to skutkiem wzruszeń jakich doznawał, czy podróży w porę skwarną, zaraz do Niepołomic ledwie dojechawszy zachorował, a lekarze mu tu spoczywać kazali, dopókiby sił nie odzyskał. Chociaż zameczek w Niepołomicach i mieścina niebardzo do długiego pobytu się nadawały, położenie wśród lasów, odosobnione było rękojmią, iż powietrze tu niełatwo przeniknie.

Wszelkie oprócz tego ostrożności przedsięwzięto, aby z Krakowem zapowietrzonym zerwać całkiem stosunki, nikogo tu nie dopuszczać i odosobnić dwór zupełnie.

Włoch wiedział o tem i przeczuwał, że mu do Niepołomic niełatwo się będzie dostać, ale upartym był i rachował na biskupa Maciejowskiego, który mu powinien był przystęp ułatwić.

Oczekiwane listy od króla Ferdynanda zaledwie nadeszły, gdy już nazajutrz Marsupin siadł na koń i ruszył ku Niepołomicom.

Ledwie milę ujechawszy, spotkał dworzanina królowej starej, Morawę, którego często widywał i który go znał dobrze. Zdziwionym był bardzo dowiadując się, iż o jego zamiarze dostania się z listami do króla, Bona już była zawiadomioną i kazała mu powiedzieć, żeby się nie ważył zbliżać, bo dopuszczonym nie będzie.

— Muszę być dopuszczonym — odparł Włoch.

— Z Krakowa nikomu nie wolno do nas — odparł Morawa — królowi i wszystkim przez to grozi niebezpieczeństwo. Darmo jechać będziecie, straże stoją i rozkaz mają.

Włoch się rozsierdził.

— Mam listy i przesyłkę od ojca królowej — zawołał — z królem i młodą królową widzieć się muszę. Niczyich rozkazów nie słucham. Moru nie przywiozę, bom dzięki Bogu zdrów, a lada czem się zastraszyć nie dam.

Tak odprawiwszy tego posła, Marsupin gniewny i rozjątrzony, sam, gdy się ten zawrócił, podążył za nim dalej ku Niepołomicom.

Ustąpić nie mógł.

Już prawie pod samemi Niepołomicami, bo miasteczko w dali widać było, zabiegł mu drogę sekretarz biskupa Maciejowskiego, młody Drwęcki. Wysłanym on był umyślnie i z frasobliwą miną zbliżył się do Włocha.

— Na Boga miłego — zawołał witając Włocha — ani myślcie się do nas dostać, królowa Bona przeciwko wam rozżalona, gniewna, gotowa na wszystko, a jej ludzie nie będą was szczędzić... ks. biskup w największej o was trwodze. Życie możecie stawić na kartę. Zaklinam was, nie jedźcie.

Marsupin się nie strwożył.

— Życie oddawna ważyłem — rzekł — cofnąć mi się niepodobna. Listy mam, które mi polecono oddać, rozkaz spełnić muszę i spełnię.

Drwęcki objął Włocha, odwiódł na stronę i łagodzić go począł.

— Wiecie dobrze, iż ks. biskup płocki sprzyja młodej królowej, a waszą gotowość do jej usług wysoko ceni, posłuchajcie go. Nie narażajcie się nadaremnie. Do króla z listami czy bez listów nie dostaniecie się, bo chory jest; a gdy choruje, Bona go na krok nie odstępuje i ona przy jego łożu panią. Nikt i nic nie pomoże.

— Wrócić nie mogę — odparł Marsupin.

— Ks. biskup radzi udać się tymczasem do Bochni i tam czekać — rzekł Drwęcki. — Tymczasem on wyrobi to przynajmniej, ażebyście listy odesłać mogli. Co się tyczy was, Bona się zaklęła, że was nie dopuści.

— A jam się zaklął, że przebojem dostanę się bodaj — zawołał Marsupin. — Powiedzcie ks. biskupowi, iż dla czci króla pana mojego, jako poseł jego ustąpić nie mogę. Mam listy, mam szkatułkę dla królowej Elżbiety, nie oddam inaczej jak do rąk własnych.

Chciał Drwęcki jeszcze trwogę wrazić Marsupinowi, ale napróżno.

— Wiecie — rzekł — iż Bona ludzi ma, którzy gdy jawnie czego nie potrafią dokazać, nie zawahają się i zasadzkę uczynić i potajemnie człowieka sprzątnąć. Królowej dokuczyliście wielce, odgraża się przeciwko wam, bądźcie ostrożni.

Po długim sporze Włoch się dał przekonać o tyle tylko, że tymczasowo obiecał czekać w Bochni, ale prosił Drwęckiego, aby biskupowi oświadczył, że co odłożone to nie porzucone, i że on poselstwo, bądź co bądź, spełnić musi.

Wskazał tedy Drwęcki drogę do Bochni Włochowi, kawałek go jeszcze przeprowadziwszy — i tak się rozstali.

Marsupin ruszył do Bochni jak przyrzekł i tu w lichej bardzo gospodzie postanowił czekać.

Jak mu się tu działo, mówić nie trzeba. Wygód wszelkich brakło, lecz Marsupin na to był obojętnym. Kawałkiem chleba i zieleniną obchodzić się był gotów.

Cały tydzień upłynął na tych smutnych rekollekcyach bocheńskich Marsupinowi, który już i żupy opatrzył i z ludźmi się poznał i do proboszcza trafił i czem tylko mógł czas zabijał.

Zniecierpliwiony Włoch, dłużej już czekać bez wiadomości żadnej ze dworu nie mogąc, wystosował list błagający do króla starego, aby mu poselstwo sprawić dozwolono.

Ale list wyprawić nie dosyć było, musiał posłańca wyszukać takiego, któryby się podjął to pismo oddać do króla naówczas, gdy przy nim się znajdował Maciejowski, na którego pomoc rachował.

Nastręczył się urzędnik od żupy, który pieniądze wiózł, a którego Włoch sobie ujął datkiem, zakląwszy go, aby nie inaczej jak przy ks. Samuelu list wręczył. Tak się też stało.

Ale oprócz biskupa, nieodstępna Bona siedziała u łoża, bo ile razy król chorował, chodziła około niego z pieczołowitością wielką, wiedząc, że życie małżonka stanowiło o jej panowaniu.

Ufała miłości syna, lecz przewidywała, iż zawsze nad nim władzy jaką miała utrzymać nie potrafi.

Zaledwie ks. Samuel list otworzywszy czytać rozpoczął, gdy królowa się porwała z krzykiem.

— Za nic w świecie nie chcę tu mieć Marsupina... za nic!

Król zwrócił się flegmatycznie z zapytaniem ku niej.

— Dlaczegóżby nie miał przybyć do nas? — zapytał.

Nim królowa zebrała się na odpowiedź, Maciejowski się odezwał.

— Wiem o tem na pewno, że Marsupinowi zabroniono przystępu na dwór w Krakowie i zakazano mu jechać za nami. Musiał pozostać. Jest to obraza dla króla rzymskiego, gdy się jego posła poniewiera.

Bona krzykiem i płaczem mówić biskupowi nie dała, który zamilkł.

Krzyknęła Bona, coraz się bardziej unosząc.

— Nie chcę tu tego zuchwalca. Dosyć od niego cierpiałam. Nie dopuszczę go. Nie pozwolę.

— Pozwolisz W. K. Mość mnie przynajmniej — przerwał Maciejowski — iż ja słowo rzeknę za posłem, bo dla króla i dla nas igrać z cesarzem i królem rzymskim niebezpieczna. Mścić się będą, Włocha raczej trzeba ugłaskać niż jątrzyć.

— A ja! ja tu już u was nic nie znaczę — poczęła wrzaskliwie królowa. — Wszystko dla młodej czynicie, dla mnie nic. Cóż wam ta młoda przyniosła? co? ja wam skarby wniosłam, a ona grosza nie ma.

Zygmunt się począł gniewać i zawołał.

— *Tace fatua!* (milcz głupia). Tyś mi nic nie przyniosła! nic!

— Jakto — przerwała z wściekłością Bona — nie przywiozłam-że 50.000 dukatów i skrzynkę drugie tyle wartającą?

Maciejowski nie wtrącał się już, ale król aż drżał z oburzenia i powtórzył.

— Niceś mi nie przyniosła! Co przyniosłaś, to trzymasz dla siebie, ja twojego szeląga nigdy nie widziałem, a niemałom dał. Elżbieta jest tak jak córką moją, za córkę ją mam, krew to moja; nie da posagu ojciec, ja go jej dam, bo chcę, aby posag miała.

Zawrzało tedy okrutnie.

— Tak! — krzyknęła królowa — synowi swemu odbierzesz a jej dasz.

— Synowi dosyć po mnie pozostanie — rzekł król uspokajając się — a ona jest córką moją. Jakem raz powiedział tak będzie i słowa dotrzymam. Gdybym jutro umarł, to przedewszystkiem ze skarbu mego przeznaczyłem dla niej 50.000 sztuk złota, a z tego co zostanie, kto wie? może i grosza synowi nie dam, gdy mi się podoba.

Tu nastąpiła zwykła scena, na której zawsze się w takich razach kończyło. Gdy Bona nic słowami, prośbami, groźbami wymódz nie mogła, poczynała krzyczeć, włosy rwać na głowie, na podłogę padać, i jak szalona się rzucać, nie zważając na przytomnych, na służbę, na nikogo.

Król najczęściej zmożony nieznośnym wrzaskiem ulegał i odpuszczał ją, godząc się na wszystko dla spokoju, lecz tym razem przytomność biskupa, czy przywiązanie do Elżbiety nie dozwoliły mu uledz.

Bona unosząc się krzyknęła.

— Polacy są najgorsi ludzie w świecie.

Biskup obrażony wstał i odparł.

— N. Pani, Polacy źli nie są, ale do zbytku cierpliwi.

Zygmunt natychmiast ręką uderzywszy o krzesło silnie, nakazująco zawołał.

— Milczeć!

Bona z płaczem padła na krzesło.

Korzystając z tego Maciejowski, ciągnął dalej.

— Okazuje się z listów, że Marsupin, oprócz nich, ma dwie szkatułki do wręczenia królowej. Byćby mogło, że się w nich część posagu znajduje.

Zygmunt słysząc to spojrzał na Bonę. Nastąpiła chwila milczenia.

— Więc niech przyjedzie — zawołała królowa — niech przyjedzie, odda szkatułki, ale potem natychmiast precz! Ja tu szpiega tego cierpieć nie mogę, tego niegodziwego potwarcy.

Ks. Maciejowski wstał, czekając rozkazów króla.

— Pisz do niego ks. biskupie, aby przybywał.

Nazajutrz Marsupin uszczęśliwiony odebrał list i chwili nie tracąc siadł na koń do Niepołomic. Miał zezwolenie, ale znając usposobienie królowej dla siebie, wiedział dobrze, co go tu czekało.

Niechęć Bony miała go ścigać zawsze, bo Włoszka nie zapominała nic i nie przebaczała nigdy.

Przed miasteczkiem jeszcze na drodze od Bochni spotkał Marsupina sekretarz biskupa.

Niepołomice strzeżone ze wszech stron, wyglądały jak czasu wojny, a około zameczku pozapalane kupy liści dymiły i wyziewem gorzkim przepełniały powietrze.

Marsupin jechał z miną tryumfującą.

— A co? — zawołał wesoło, witając nizkim ukłonem Drwęckiego. — Widzicie? Ja i moje szkatułki zdobyliśmy szturmem nieprzystępne Niepołomice. Cóż królowa?

Drwęcki miał poważną twarz i lice niewesołe.

— Tak — odparł — księdzu biskupowi i szkatułkom winniście, że was tu dopuszczono, ale nie pochlebiajcie sobie, ażebyście wielkie i trwałe odnieśli zwycięztwo. Królowa musiała ustąpić, ale tem gorzej. Nigdy ona wam tego nie przebaczy. Wszyscy co ją znają wiedzą, że nienawiść i chęć zemsty ku wam wzmogła się przez to. Miejcie się na baczności.

Marsupin był w tak szczęśliwem usposobieniu czując, że na swem postawił, iż się śmiać począł.

— Oczarować mnie, tak jak czarami starego i młodego króla przykuła do siebie, nie będzie miała czasu — rzekł śmiało — otruć się nie dam, bo jeść u jej stołu nie będę, a zechce nasadzić zbirów na mnie, mam nadzieję w Bogu, że obroni.

— Zbytnio nie ufajcie tylko gwieździe waszej — dodał Drwęcki.

Od sekretarza dowiedział się Włoch, że miał wprawdzie pozwolenie oddania listów i szkatułek, ale razem zastrzeżono, że natychmiast potem oddalić się musi.

Nie dozwalano nikomu, pod żadnym pozorem, przybywającemu z Krakowa pozostawać dłużej w Niepołomicach, zerwano ze stolicą wszelkie stosunki, i nie bez przyczyny, gdyż w istocie powietrze coraz się więcej srożyło w mieście, a już w Niepołomicach i po drodze, mimo wszelkich ostrożności, kilku pachołków i służby poumierało.

— Ks. biskup Maciejowski — dodał Drwęcki — kazał was ostrzedz, że zaprawdę nie wie, jeżeli noc wam tu przepędzić przyjdzie, gdzie się pomieścicie. My na zameczku w Niepołomicach tak ciasno siedzimy, że ks. Samuel ma ledwie jedną izbę dla siebie, drugą dla nas, a służba i zarząd dworu cała w rękach królowej, więc pewnie wam kwatery nie znajdą. Na mieście wszędzie pełno, a gdzie ludzi gęsto tam pod ten czas powietrza, nie jest bezpiecznie.

Marsupin ręką zamachnął.

— Ale! ba! — zawołał — o to się ja bynajmniej nie troszczę i gotówem pod gołem niebem koczować, bylebym spełnił polecenie mego pana, listy do rąk pooddawał, a z królową Elżbietą się widział.

Nie będę nawet, wiedząc o tem, nikogo prosił o pomieszczenie, a gdzie konie moje w jakiej szopie staną, tam i poseł króla rzymskiego na słomie lub na ziemi spocznie.

Oczekiwano już w Niepołomicach na Marsupina, aby się go pozbyć co najprędzej. Zaledwie przed pierwszem podworcem z koni zsiedli, tuż przy owych kurzyskach z liści dębowych i piołunu, ledwie Włoch zdołał dobyć szkatułki owe sławne, w których nie było posagu, ale małe podarki matki, ojca i rodzeństwa dla królowej, wysłani dworzanie szeregiem postawieni, ofiarowali się Marsupina prowadzić do Elżbiety.

Włoch złośliwy a chytry, umyślnie — dopiąwszy już celu — zwółczył tak, aby z tą ceremonią oddawania listów i szkatułek przeciągnąć prawie do wieczora. Wiedział bardzo dobrze, iż w skrzynkach ozdobnych nie było pieniędzy, ani tak dalece nic kosztownego, ale nadał tej ceremonii taką cechę uroczystą, jakby skarby lub relikwie przywoził.

Urągał się tem królowej Bonie.

Sam strojny, przy szpadzie, z miną pełną powagi, służba napuszona jakby świętości dźwigała, skierowali się pochodem wolno wskazaną drogą, do pokojów szczupłych, w których Elżbieta oczekiwała posła.

Marsupin pysznił się zwycięztwem, nasycał niem, przedłużał z namysłem przyjęcie, tak aby dnia tego nie spełnić całego poselstwa i mieć powód pozostania dłużej na przekór królowej.

Zobaczywszy Elżbietę, która go bardzo uradowana, wesołą twarzą i wzrokiem jasnym przyjęła, zdziwił się nieco widząc ją daleko rzeźwiejszą, mniej cierpiącą, odżywioną więcej niż się spodziewał.

Obok Elżbiety tylko jej piastunka i pozostałe cztery panny cały dwór składały.

Długą, rozwlekłą mową Włoch począł ją pozdrawiać, położył listy, oddał dwie szkatuły i w końcu oświadczył, że ponieważ dnia tego późno było, musiał rozmowę z królową do innego odłożyć, a oprócz tego i królowi Zygmuntowi i królowej Bonie oddać dla nich przeznaczone pisma.

Królowa spytała o zdrowie rodziców, wymieniono słów kilka i Włoch, gdy już zmierzchać zaczynało, usunął się, wprost zmierzając do ks. biskupa Samuela.

Znalazł swojego protektora i pośrednika zakłopotanym wielce.

— Spełniliście poselstwo wasze? — zapytał go wprowadzając do siebie Maciejowski — chwalcież Boga za to i nie drażnijcie złego!

— Ale ja mojego poselstwa zaledwie cząstkę spełniłem — odparł nizko się kłaniając Marsupin. — Choćbym miał podrażnić, nie ustąpię aż się z królową Elżbietą rozmówię i powiem jej co mi nakazano, aż królowi wręczę list, no i królowej też Bonie.

— Lecz wiecie jak dla was usposobiona jest? — odparł biskup.

— Wiem i mam tego dowody — rzekł zimno Marsupin — ale to mnie od spełnienia obowiązku nie powstrzyma. Nie ruszę się ztąd, aż mi miłość wasza wyjedna posłuchania.

Biskup westchnął.

— Nie wiem — rzekł — czy to dobra polityka z waszej strony, że Bonę zagniewaną przywodzicie do ostateczności.

— Ustąpić nie mogę — odparł Marsupin. — Com zamierzył, dokonać muszę. Mam za sobą króla rzymskiego i cesarza, a pogróżek się nie obawiam.

Biskup spojrzał nań błagająco.

— Żal mi was, są tysiączne sposoby pozbycia się dokuczliwego człowieka, bez ściągnienia za to odpowiedzialności. Miarkujecie...

— Ważyłem już — zimno odezwał się Marsupin — o jedno proszę, abyście mi waszej opieki nie odmawiali.

— O ile ona starczy! — westchnął Maciejowski.

Chwilka milczenia przerwała rozmowę.

— Frasuję się o nocleg wasz — odezwał się biskup. — Widzicie jak ja tu się mieszczę, przyjąłbym was, ale nie mam gdzie, a na zamku w istocie jak śledzie w beczce się ściskamy. W miasteczku nie lepiej.

Marsupin się rozśmiał.

— Prosić o gościnność nie będę, aby nie mieli przyjemności mi odmówić jej. Konie gdzieś w szopie którejś musiały znaleźć pomieszczenie, przenocuję przy nich na lada barłogu.

Tak się w istocie stało i Włoch, gdy po dłuższej rozmowie rozstał się z Maciejowskim, naprzód musiał iść już po ciemku koni swych i ludzi szukać. Znalazły się one po za zameczkiem w nędznej, na pół rozwalonej szopie, w której oprócz nich gawiedź od wozów najbrudniejsza i najlichsze szkapy się mieściły. Ciasno było, a co gorzej, szopa w cieniu za murami i u ścieków leżąca, wpół zgniła, ziemię miała wilgotną. Słomy na posłanie za nic dostać nie mógł Marsupin.

Królowa zakazała surowo, aby mu w czemkolwiek, choćby płacił, usłużono.

Kątek zdobywszy prawie przebojem, Włoch na zgniłych liściach i śmieciu rozesławszy kobierczyk, musiał ledz i całą noc nie śpiąc nad ranem poczuł przejmujące go dreszcze.

Znał się z tem, wiedział że dostał febry upartej, z którą mu długo walczyć przyjdzie. Lecz rycerski ów duch, który go utrzymywał w tej walce z królową, chorego nie opuścił.

Wstał jak złamany, ubrał się i powlókł do biskupa, którego nie zastał, bo już u króla był. Tu go Drwęcki przez litość, polewką winną, ciepłą napoił i orzeźwił trochę.

Biskup nierychło wrócił od króla z oświadczeniem, że dla cierpień pedogrycznych w nogach przyjąć posła nie będzie mógł Zygmunt; radząc Marsupinowi aby się o posłuchanie nie upierał i jemu wręczył listy.

Włoch zgodził się na to, choć niechętnie.

— Przecież — rzekł — z królową starą i młodą widzieć się muszę.

Nie sprzeciwiał się Maciejowski, a po chwili odwrócił się do Marsupina, szepcząc cicho.

— Nienasycony człecze! cieszże się tem coś zdobył, nie żądaj nadto abyś sprawy nie popsuł. W istocie wczoraj otrzymałeś wiktoryę wielką, bo gdy się król Zygmunt o owych uroczyście niesionych i oddawanych szkatułkach dowiedział, które wam usłużyły tak dobrze, choć, zamiast posagu zawierały pono wachlarze i kolce, począł się tak śmiać, iż mi potem sam rzekł, że od lat dziesięciu nigdy tak się nie uśmiał serdecznie jak wczora.

Marsupin skrzywił się nieco.

— Daj mu Boże na zdrowie! — dodał — bardzo się z tego cieszę.

Dziś do królowej Elżbiety się wpraszam, bo z nią rozmówić się sam na sam muszę.

Z tem żądaniem posłany Drwęcki, nie rychło powrócił.

Bona pragnęła co najrychlej nieznośnego Marsupina pozbyć się z Niepołomic, znała upor jego, zgodziła się więc w końcu na to, aby go puszczono, sadząc, że po tej konferencyi precz nazad do Krakowa go odprawi zaraz, gdyż tu go cierpieć nie mogła i nie chciała.

Marsupin żegnając biskupa zapowiedział mu po cichu, iż co najmniej godzin kilka pozostanie u młodej pani, a przynajmniej najdłużej jak będzie mógł.

Dla Włocha wczorajsze krótkie widzenie się z Elżbietą było w istocie niewystarczającem. Nie mógł jeszcze zrozumieć położenia, wytłómaczyć sobie twarzy pogodnej i rozweselonej przy tym ucisku o jakim wiedział.

Chciał rozmówić się otwarcie, obszernie, szczerze.

Elżbieta rozumiała to dobrze, ale zupełnie się zwierzyć Marsupinowi nie chciała. Ta nadzieja pozyskania serca męża, którą teraz żywiła wspomnieniem ostatnich słów wy-

rzeczonych przy pożegnaniu, była jej najdroższą tajemnicą, serdeczną, nikomu, nawet piastunce niedostępną. Wyznać jej Marsupinowi nie mogła.

Wchodząc znalazł ją samą Włoch, stojącą przy stoliku, świeżo ubraną i tak jak wczoraj uśmiechniętą, spokojną, bez troski na czole. Nie mogło to być skutkiem nieczułości, obojętności, bo choćby męża nie kochała, sama miłość własna obrażona musiała uciskać. Marsupin tej mocy ducha w młodziuchnej pani pojmował.

— Przynoszę W. K. Mości — odezwał się na wstępie — pozdrowienia najczulsze, ale razem wyrzuty i wymówki, których zataić nie mogę. Kazano mi nastać na to, aby W. K. Mość jako córka potężnego monarchy, synowica cesarza, rzuciła tę dziecinną nieśmiałość, to posłuszeństwo niewolnicze, które ją tu niewolnicą czyni.

Elżbieta wzrokiem go błagać się zdawając, milczała.

Marsupin mówił dalej, coraz się bardziej ożywiając.

— Królowa Bona korzysta z nieśmiałości waszej, rozkazuje dlatego, że słuchacie, ale nie będzie mogła nic uczynić, gdy objawicie otwarcie wolę waszą, a z pewnością król Zygmunt ją poprze.

Dlaczegoż byś W. K. Mość nie jechała za mężem, jeśli sobie życzysz tego?

Zawahała się nieco Elżbieta i rzekła nieśmiało.

— Dlatego, że nie wiem czy to jest życzeniem króla, pana mojego, a jemu się sprzeciwiać nie chcę.

Marsupin odparł żywo:

— Król August z pewnościąby tego nie miał za złe, i owszem. Co się tyczy starej królowej, ta się uzuchwala posłuszeństwem. Wiem o tem, że nawet sługi wasze, więcej Bony niż was słuchają.

Uśmiechnęła się królowa obojętnie.

— Cierpliwością i łagodnością — odezwała się — wiele też dokazać można — rzekła cicho.

— Nie ze wszystkiemi? — przerwał Marsupin — nadewszystko nie z królową Boną! Idzie tu o godność waszą, o cześć rodziny; nie można się tak dać deptać, upokarzać, i w Bonie jeszcze coraz zuchwalsze tą uległością obudzać zachcianki.

Elżbieta jakby się lękała aby rozmowy nie podsłuchiwano, dawała mu znaki; Marsupin wcale na to nie zważał, jakby jej nie rozumiał. Owszem unosił się coraz mocniej, otwarcie mówiąc przeciw Bonie, co zdawało się mięszać i onieśmielać Elżbietę.

Rozmowa cała w ten sposób prowadzona, chociaż się Marsupin wysilał na to, aby natchnęła męztwem i przekonała młodą panią, że zmienić była powinna postępowanie, na młodej, bojaźliwej, słabej na pozór Elżbiecie, bardzo małe uczyniła wrażenie.

— Zostawcież mi też coś własnej woli — rzekła. — Może to nie jest chwila w którejbym mogła wystąpić i powinna.

Marsupin czuł, iż nie chciała się przed nim otwarcie wynurzyć, usiłował wydobyć z niej wyznanie jakieś, zwierzenie się i zdziwił nadzwyczajnie, w istocie tej tak bojaźliwej i wątłej znajdując opór łagodny wprawdzie, ale niezwyciężony.

Im Elżbieta mocniej przy nim obstawała, tem Włoch upierał się silniej chcąc ją nawrócić — nadaremnie.

Nadeszła wśród tych rozpraw Hölzelinowna, która potakiwała Marsupinowi i chciała mu przyjść w pomoc, lecz i ona nie potrafiła zmienić usposobienia wychowanicy.

Naostatek Elżbieta odezwała się łagodnie.

— Idzie mi o zdobycie serca małżonka a pana mego, nie o chwilowe zwycięztwo nad królową JMością. Dlatego pozwólcie, abym naprzód uniknęła wszystkiego co może króla Augusta podrażnić. Wiecie jak jest przywiązanym do matki.

— To nie przywiązanie syna — wybuchnął Marsupin — to są niegodziwe czary i uroki, które ta kobieta rzuciła na starego i młodego. Ale trwać one nie mogą. Król młody wyzwolony otrząśnie się z tego zdrętwienia.

Zaczął ponownie nalegać Marsupin na to, aby królowa do męża jechała. Elżbieta odpowiedziała, że musi czekać aż August tego zażąda, a jest pewną, iż to nastąpi.

Czy Marsupin pochwycił tę pewność, z którą się wygadała Elżbieta, trudno było się domyśleć, lecz Hölzelinowna posłyszała o tem zdumiona, a znając swą panią nie wzięła tego za próżną przechwałkę.

Wedle postanowienia swego Marsupin, wiedząc iż długi jego pobyt u królowej Elżbiety do najwyższego stopnia zniecierpliwi Bonę, umyślnie się kilka godzin zasiedział, zwlekał, a gdy w końcu zmuszonym był ją opuścić, jeszcze na odchodnem nalegania ponowił.

Bystry i przenikający Włoch, tym razem wobec pełnej prostoty młodej królowej znalazł się w tem niepojętem dla siebie i upokarzającem położeniu, że odchodząc, wyznać musiał, iż jej nie rozumiał.

Jak go witała tak pożegnała uśmiechem jasnym, podając białą rączkę do pocałowania, i upewniając go, że da Bóg, wszystko szczęśliwie się ułoży.

Broniła Augusta, nie skarżyła się na nikogo.

Chociaż późno dnia tego było, Bona chcąc się pozbyć Włocha, byłaby może dała mu posłuchanie, wiedząc iż miał listy, ale Marsupin, który dla szpiegowania i rozsłuchania się, rad był tu jak najdłużej pozostać, poszedł do biskupa i do dnia następującego odłożył audyencyę.

Resztę dnia przesiedział u ks. Samuela, przeszedł się po miasteczku, przegadał na ustroniu z różnemi ludźmi.

Czekał go nocleg taki sam jak poprzedzający, którego skutkiem febra we dnie zgubiona, powróciła gwałtowniejszą jeszcze. Pierwszą rzeczą nazajutrz było dreszcze okrutne przemódz gorącym i mocnym napojem, i lekarza się poradzić, ale doktorów królowej Bony Marsupin się obawiał, lekarstw od nich nawet biskup ma przyjąć nie radził, musiał więc poprzestać na jakichś babskich lekach.

Blady, zmęczony, ledwie się na nogach trzymając, bo gorączka wewnętrzna go trawiła, poszedł z listami do Bony.

Łatwo było przewidzieć, jak zostanie przyjęty. Królowa wcale nie myślała udawać nawet, iż nienawiści dlań nie ma.

Posłuchanie trwało bardzo krótko.

Włoch listy oddając, dołożył do nich nietylko gorące życzenia króla Ferdynanda, ale żądanie jego usilne, aby małżeństwo połączone zostało.

— A cóż to do mnie należy? — ofuknęła królowa. — Król syn mój może żonę wezwać, przyjechać do niej, robić co mu się podoba. Czynicie mnie odpowiedzialną za niego!

To nie moja rzecz!

Odwróciła się pogardliwie, a Włoch dodał.

— Cały świat wie o tem, że tu się tylko to dzieje co W. K. Mość rozkażesz. Dlatego też na nią oczy wszystkich są zwrócone.

Bona z oburzeniem poruszyła się.

— Pozdrów króla Ferdynanda odemnie uprzejmie i powiedz mu, że syn mój ma własną wolę.

Na tem skończyło się posłuchanie. Bona wyszła.

Nazajutrz gdy zrana przyszedł biskup do króla i zastał tam ją, z rozpłomienioną twarzą, odezwała się do niego.

— Oddał mi ten zuchwalec list króla Ferdynanda! Co ten łotr plecie i kłamie, a w oczy mi rzuca! W liście nie ma nic. Ja go każę kijmi obić.

Maciejowski, który nierad drażnił królowę, tym razem nie mógł się wstrzymać i stanął w obronie Marsupina.

— W. K. Mość przebaczysz — rzekł — ale Włoch to powtarza co wie cały świat, i co na dworze królewskim i cesarskim jest we wszystkich ustach.

Zarzucają W. K. Mości obchodzenie się z synową nielitościwe, królowej Elżbiecie nie wolno jest mieć własnego lekarza, w taki czas jak dzisiejszy. Każde jej słowo, każdy ruch i czynność podlegają rozkazom, kroku stąpić samowolnie nie może.

Dlaczego nie ma własnej służby, kuchni własnej? Z tego plotki i podejrzenia rosną, że W. K. Mość jawnie jej nie lubiąc, czyhasz na jej życie.

— Myślą, że ja ją chcę otruć? — podchwyciła Bona gwałtownie.

— Jeżeli głośno tego mówić nie śmieją, to niezawodnie potajemnie podejrzenie to jest we wszystkich — odezwał się Maciejowski. — Przykro mi to wyznać, ale spytany prawdę mówić muszę.

Działo się to w sypialni króla i Zygmunt słuchał rozmowy, co biskupa ośmielało.

Zwykły więc koniec nastąpić musiał — Bona z krzykiem, łkaniem, płaczem rzuciła się na podłogę.

Stary król patrzył obojętnie, z ukosa niekiedy rzucał oczyma ku biskupowi — oba milczeli.

Po chwili porwała się królowa z ziemi.

— Odtąd — krzyknęła — ja jej nic posyłać nie będę. Niech dla niej kupują i gotują osobno. Niech robi co chce.

— Tak będzie lepiej — dodał biskup spokojnie.

Padła potem na krzesło Bona i siedziała dysząc ciężko długą chwilę, aż się jej z ust wyrwało.

— A! gdybym nie miała dóbr, które są w mocy cesarza! dałabym ja naukę temu łotrowi, który mi się tu urągać śmie, i siedzi na przekorę mnie, kiedy ja go mieć nie chcę.

Ks. Maciejowski powróciwszy od króla zastał u siebie Włocha, który się upierał pozostać jeszcze w Niepołomicach.

— Czyń jak chcesz — rzekł ks. Samuel — ale i moją i króla jest radą, abyś do ostateczności nie przywodził królowej. Wierzaj mi, iż ci grozi niebezpieczeństwo. Gdyby ona nie wydała rozkazów, ma sługi, które się domyślą co jej miłem być może. Życie ratuj dla usług królowi. Jedź, proszę.

— Nie dalej jak do Krakowa — odparł Marsupin — i to do czasu. Chociaż mi tam powietrze grozi, choć sam chory ztąd ruszam, nie opuszczę Polski, dopóki mnie tu nie będzie komu zastąpić lub odwołanym nie zostanę.

Po rozmowie z ks. Maciejowskim, widząc że dłuższy pobyt w Niepołomicach stał się niemożliwym, szczególniej dla febry, której się tu pozbyć nie mógł — Marsupin zmuszony został wracać do Krakowa.

Choroba w stajni nabyta na noclegu nie opuściła go rychło, lecz walcząc z nią, uparty Wioch nie zszedł ze stanowiska.

Otoczony morem, narażony na niebezpieczeństwo, wycieńczony febrą złośliwą, trudno było wiedzieć czy przez wierność panu swojemu, czy przez zajadłość przeciw Bonie nie chciał z miejsca ruszyć.

Hetman Tarnowski słał, aby na wieś się schronił do niego, Marsupin odmówił, aby dworu i królowej z oczów nie tracił.

Wyprawa młodego króla na Litwę, w oczach wszystkich uchodziła za ustępstwo rządów wielkiego księztwa na rzecz syna.

Mówiono powszechnie: — Puścił stary W. księztwo Augustowi.

Wyposażenie przez Bonę zdawało się to potwierdzać. Wiedziano że zdawna litewscy panowie się o to dopraszali.

Młody pan wyjechał do Wilna, ale o zdaniu mu rządów i władzy przez ojca mowy nie było tymczasem. Zdawało się jakby pobyt ten miał go przygotować do rządzenia, ułatwić mu poznanie ludzi, obyczaju i kraju.

Tłómaczeniem, dlaczego nie zabrał z sobą żony, mogło być, że przed niewielu laty spalony dolny zamek wileński, w którym wielcy książęta mieszkali, potrzebował odnowienia i wyporządzenia.

Litwa cieszyła się samym odgłosem podróży, widząc w niej nieochybną zapowiedź nowych rządów, o które teraz tem natarczywiej się upominać miała, że nic im nie zdawało się stawać na zawadzie.

Blizko trzy wieki upływały od połączenia dwu narodów pod dynastyą jedną. Polski obyczaj i prawa silnie oddziałały na organizacyę kraju, wychodzącego z barbarzyństwa wiekowego, ze stanu pierwotnego. Działanie to jednak nie zlało dwóch państw choć je połączyło, a swobody jakie Polska przynosiła Litwie, same się przyczyniały do wyrobienia pragnień autonomii i oddzielności pewnej.

Niebezpieczeństwo od Moskwy i Tatarów, od czasów Aleksandra przekonało Litwę, iż sojusz ścisły z Polską był dla niej rękojmią ocalenia od zagłady — niemniej jednak chciano mieć wielkich książąt udzielnych i stanowić całość odrębną.

Mimo swobód zdobytych raczej obyczajem niż prawem, Litwa zawsze odmienną była od Polski, rządy w niej więcej władzy dawały panującemu, który tu był dziedzicznym nie

wybieralnym — szlachta mniej miała znaczenia, wielkie rodziny kniaziowskie przeważały w zarządzie i radzie.

Jagiellonowie czuli się tu aż do ostatniego swobodniejszymi panami niż w Polsce. Litwa też wyglądała, żyła, mówiła, obradowała inaczej. Ogłada europejska tylko w wielkich rodzinach czuć się dawała. W szlachcicu widać było niedawno klejnotem ozdobionego bajorasa.

Jak szaraczkowa barwa sukni odznaczała szlachtę litewską, tak i prostota obyczajów. Łączyły się małżeństwami dwa narody, wiązały rozlicznemi stosunkami, lecz odrębność ich była jeszcze bardzo wyrazistą. Bronili jej szczególniej magnaci, choć znaczenie swe i głos przeważny winni byli od Polski zapożyczanym prawom i obyczajowi. Dla młodego króla chwila ta wyprawy na Litwę była w życiu jego stanowczą. Po raz pierwszy czuł się sam, wyzwolony z pod czułej, troskliwej, ale ciężącej opieki macierzyńskiej.

Teraz mógł być sobą i próbować spełnić marzenia te, które dojrzalsza młodość zrodziła. Wychowaniec ludzi takich jak Lismanin i Włosi, którzy go otaczali, Zygmunt August stał umysłowo na wysokości wszystkich zadań wieku.

Widział w Polsce i Litwie wiele do zrobienia, do poprawienia, do dźwignięcia. Temperament i charakter zmiękczony wychowaniem niewieściem nie czyniły go zdolnym do walki, do zdobywania praw utraconych przez poprzedników, ale w granicach swej władzy miał pole szerokie do działania.

Pomimo przywiązania do matki, które zarazem było pewną obawą i znużeniem a nałogiem dla spokoju przyjętym, Zygmunt August widział jasno, jaki nieład, jakie zgorszenie, ile zła rodziło przekupstwo, faworyci, Gamrat i Kmita.

W Polsce i w Litwie obiecywał sobie po tych latach rozstroju, świetne nowe odrodzenie.

Najszlachetniejsze, młodzieńcze popędy biły w sercu jego, marzył iż uczyni dobrego wiele. Wprawdzie miękkim był, leniwym nieco, rozpieszczonym, zawczasu zużytym młodością, na której rozwięzłość matka patrzyła przez szpary, ale jemu samemu znużenie wydawało się skutkiem tego, że do czynu nigdy powołanym nie był.

Opuszczając Kraków, Zygmunt August widział przed sobą najświetniejszą przyszłość, na którą już teraz mógł pracować.

Ojciec obchodził się z nim zawsze surowo, czując że go matka popsuła, a naprawić nie mając odwagi — wyzwolenie od niego dawało mu swobodę. Lecz zarówno musiał pragnąć oswobodzenia z więzów matki, na pozór nie tak ciężkich, a w istocie daleko groźniejszych. Nie mógł nie widzieć tego, że dawała mu pieniądze, kochanki, aby sama w jego miejscu krajem z faworytami rządzić mogła.

O wartości takich ludzi jak wszechmocny Gamrat, jak dumny a chciwy Kmita, w porównaniu ich do Maciejowskiego i hetmana Tarnowskiego, Zygmunt August zdrowo sądził, choć nie mógł dać tego poznać po sobie. Matka stała po stronie, dla której szacunku nie miał nikt, nawet może ona sama.

Dwa obozy przeciwne matki i ojca wiodły z sobą walkę, do której on nie należał wcale, lecz w pierwszego z nich był mocy.

Małżeństwo z Elżbietą, dzieło ojca, który w niej krew swoją braterską ukochał, znalazło Augusta obojętnym. Matka aby się zabezpieczyć, poddała mu Dżemmę, dla której miłość i namiętność przewidziała, obrachowała z góry.

Dziewczę było urocze, niewinne, rozmiłowane, a August znajdował w niej wdzięk nowy i miłość ta zdawała się na długo zabezpieczać od wszelkiej innej. Przez Dżemmę miała nim rządzić Bona.

Dotąd składało się wszystko po myśli starej królowej, która choremu Zygmuntowi wmawiała co chciała. Marsupin łamał jej szyki. Dlatego pałała taką nienawiścią ku niemu, nie domyślając się, że w samym charakterze syna znajdzie wkrótce niebezpieczniejszego nieprzyjaciela.

Najmocniej roznamiętniony król młody, nawykł był do zmiany płochej, żadna kobieta długo utrzymać go nie mogła.

Dżemma gwałtownością przywiązania wkrótce zaczęła być mu ciężarem.

Na Elżbietę patrzył zrazu obojętnie, później z politowaniem. Ta biedna wygnanka prześladowana przez matkę, osamotniona, dla której on musiał chłód okazywać i niemal

pogardę, obudziła w nim współczucie. Była młodą i piękną, a charakterem łagodnym tak się różniła od Dżemmy, że sam kontrast z nią czynił ją ponętną.

Zniewieściały August serce miał miękkie, nowość była zawsze dla niego urokiem.

W przeciągu kilku miesięcy odpychany przez Bonę od żony, Zygmunt przywiązał się do niej potajemnie. Zresztą, chcąc się wyswobodzić z więzów matki, nie miał lepszego sposobu, mniej gwałtownego, skuteczniejszego nad to przywiązanie się do żony.

Lecz, dopóki byli w Krakowie, musiał zmyślać obojętność, lękając się narazić żonę na prześladowanie, którego rozmiary i doniosłość znał dobrze. Wiedział, że matka nie cofnie się przed najostateczniejszemi środkami. O życie nawet Elżbiety obawiać się było można.

Udawał więc chłód i wstręty, choć w chwili wyjazdu myśl połączenia się z żoną już go zajmowała. Rachował na ojca, a potem na oddalenie, gdyż w Wilnie, Bona zmuszona czuwać nad chorym mężem, czynną być nie mogła.

Wyprawując w drogę matka, która chwilowo sobie go zjednała, nakazała do siebie pisywać codziennie, do żony listy były zakazane, Bona miała ją żywić swojemi.

Na rękę było młodemu królowi rozstawać się z Włoszką, do której zmysłami tylko i nałogiem był w ostatku przywiązany. Jej wymówki, wymagania, zazdrość, nużyły go już wielce.

Matka szepnęła mu na wyjezdnem, iż znajdzie sposób wyprawienia za nim Włoszki, lecz rzecz ta nie zdawała się łatwą. Bona była wystawioną na potwarze, patrzono zblizka na to, co poczynała; na Dżemmę zwrócone też były oczy — nie spodziewał się jej Angust rychło.

W podróży dziwnie się uczuł swobodnym i wesołym. Świat mu się uśmiechał cały.

Chociaż podróż w początkach na Mazowsze projektowana, w Litwie nie była oznajmioną — zaledwie się o niej wieść rozeszła, natychmiast Litwini znajdujący się w Krakowie znać o niej dali do Wilna.

Tam ona radość obudziła i nadzieje. Kto mógł tylko śpieszył i wybierał się naprzeciw młodego króla, aby miejsce przy nim zdobyć, pozyskać łaski i zapewnić sobie stanowisko na przyszłość.

August jechał zwolna, gdyż musiał wymijać miejsca zapowietrzone; poprzedziły więc gońce na Litwie i panowie Radziwiłłowie, Chodkiewicze, Wirszyłłowie, Kiszkowie, Pruńscy, kto mógł pobiegli ku granicy na powitanie młodego pana.

Wszystkim im wydał się wielce poważnym, nad wiek swój rozumnym, umiarkowanym i pełnym majestatu. Znajdowano go tylko nieco zamkniętym w sobie i dumnym.

Przyjazd do Wilna, choć z licznem już gronem panów, którzy się po drodze przyłączyli, nie miał żadnego charakteru uroczystego. Nie był to wjazd na W. księztwo, bo Zygmunt August rządów objąć nie miał jeszcze prawa.

Zamek dolny, chociaż naprędce przez Wirszyłła w części na przyjęcie króla przygotowany, po pożarze ostatnim smutną przedstawiał ruinę. Przez długie lata stał pustkami, otaczające go place, ogrody, budowy, wszystko było zaniedbane, a że się nigdy nie odznaczał wytwornością, po Krakowie, po włoskich budowach, jakie się tam wznosiły, robił wrażenie przykre.

Na pierwszy rzut oka Zygmunt August mimowolnie wykrzyknąć musiał, że zamek z gruntu trzeba było odnowić i przebudować, a po zdolnych robotników słać do Krakowa. Miał odrazu pilne i niewstrętliwe zajęcie.

Tymczasem w jednem skrzydle oczyszczonem naprędce, król i dwór się pomieścili. Zygmunt August zamieszkać tu stale nie myślał, dopókiby zamek nie był gotów na pomieszczenie jego i żony, ale miał do poznania Litwę, kraj cały prawie sobie nieznany.

Stare zamczyska w Trokach, w Lidzie równie były zaniedbane jak w Wilnie; mieściły się tam szczupłe załogi, a najlepsze izby nie miały nic nad ławy i stoły, nie wszędzie nawet podłogi, częściej tokowiska.

Panowie otaczający króla, zapraszali w gościnę — młody pan nie był od tego.

Zaledwie się rozpatrzywszy, począł wycieczki dokoła.

Gdy powracał do Wilna, zastawał tu zawsze oczekujących panów wojewodów z ziem odległych, którzy już przyszłemu panu czołem bić śpieszyli.

Czynności nad to nie było innych, oprócz codziennych doniesień matce. Myśl króla czasem biegła ku Krakowu i Niepołomicom.

Matka w listach, które przejęte być mogły, o Dżemmie nic nie donosiła. Król dla niej tem więcej mógł ostygnąć i spodziewał się być oswobodzonym.

Tymczasem Dudycz z żoną wyruszywszy w podróż, kosztował pierwszych osobliwego z nią pożycia przyjemności, ciężko je opłacając. Jejmość od ślubu ani słowa się nie odezwała do niego. Gdy potrzeba było wydawać rozkazy, posługiwała się Bianką.

Petrek w paradnym stroju podróżnym, na koniu wytwornie przybranym, z rzędem i siodłem świecącemi od srebra, pozłoty i kamieni, jechał u stopni kolebki na straży, od strony po której siedziała Dżemma.

Włoszka niekiedy spoglądała na niego, przypatrywała mu się, krzywiła i w końcu wydała rozkaz, aby jej widoku nie zasłaniał, a jechał po drugiej stronie kolebki. Dudycz musiał spełnić wolę małżonki.

Na popasach i noclegach wnijść do izby zajmowanej przez kobiety nie było mu dozwolonem. Całą jego pociechę stanowiła litościwa, wesoła, trzpiotowata choć już nie zbyt młodziuchna Bianka, która wybiegała niosąc rozkazy, a przytem pocieszała go i bawiła rozmową.

Dżemma jechała milcząca, dumna, niecierpliwiąc się długością podróży, znajdując wszystko niedogodnem, a unikając nietylko spotkania z mężem, ale nawet wspomnienia o nim.

Dudycz, gdyby był chciał, stanu rzeczy tego zmienić nie mógł, miał przeciwko sobie cały pułk kobiecy, a na jego czele, oprócz Dżemmy, starą, złośliwą, krzykliwą Włoszkę. Petrek niejeden raz ze dworem odbywał podróże, znał wszystkie ich w kraju niedogodności, ale mu one nigdy się jak teraz nie dały we znaki.

Podróż wszystkim równie wydawała się długą, a Dudyczowi musiała stać się nieznośną, gdyż tej nawet pociechy nie miał, aby swobodnie oblicze małżonki oglądać. Siedziała w głębi kolebki, najczęściej zasłoną twarzyczkę tak mając obwiązaną, że jej mało co lub nic widać nie było.

Gdy stawali wchodziła do izby, do której mężowi przystęp był wzbroniony. Skarżył się o to Biance, powiadając zprosta: „jużci bym nie zjadł oczyma", Włoszka się śmiała i radziła cierpliwość.

W końcu podróży, gdy się już do stolicy zbliżali, Dudycz przeszedłszy przez rozmaite rodzaje i stopnie męczarni, dobił się aż do gniewu i pragnienia zemsty. Przeklinał piękną swą panią, która z nim obchodziła się jak ze sługą i niewolnikiem. — Czekaj-no! — mówił w duchu — przyjdzie koza do woza, naówczas ja ci za te wszystkie męczarnie moje zapłacę.

Nie wiedział tylko, kiedy do tego szczęśliwego terminu mógł się dobić.

Nie dojeżdżając do Wilna wydała rozkaz Dżemma, iż nie gdzieindziej tylko wprost do zamku zajechać mają.

Nie rozumiała inaczej położenia, tylko że tu, gdzie nad Augusta nikogo wyższego nie było, gdzie on rozkazywał, ona musiała otwarcie zająć miejsce jego ulubienicy.

Wstydzić się tego nie myślała wcale; jak wprzódy, tak teraz była swoim tytułem dumną.

Dudycz oparł się w początku zajeżdżaniu do zamku, chciał szukać gospody w mieście, Włoszka się pogniewała, poczęła go łajać i stanęło na tem czego żądała. Bianka wprawdzie czyniła jej uwagi, iż młody król może tu w obcem miejscu nie rad będzie tak jawnemu ukazaniu się kochanki — Dżemma nie dała jej mówić nawet.

Cały więc tabor bramą od Trok wjechał, powoli ciągnąc w mury miasta, a Dudycz po drodze już dowiedział się, że króla w Wilnie nie było, siedział pod czas w Olicie i nie wiedziano kiedy powróci.

Oznajmił o tem Biance, ona Dżemmie, ale Włoszka nie zmieniła postanowienia, hardo odpowiedziawszy, iż ją przecie zna dwór i urzędnicy młodego pana.

Zwolna przyciągnęli aż do bram zamkowych, zkąd widać było dolną budowę całą ostawioną rusztowaniami, na których mnóstwo robotników pracowało. Na jednej części dolnego zamku dach kryto, drugą murowano jeszcze, niektóre ściany tynkowano.

Gdy stanęli u bramy, powychodzili dworzanie królewscy niektórzy i służba, a naostatek podkomorzy starszy i Merło ulubiony Augusta komornik. Dudycz oznajmił im o Dżemmie, która sama się wychyliwszy z kolebki, upominała o gospodę na zamku.

Merło, znający ją dobrze, głową potrząsając przystąpił.

— Króla nie ma — rzekł — a co gorzej izb nie ma. W zamku wszystko się przerabia, ani kąta, gdzieby spocząć można.

Szepnął ciszej zaraz, że król mu na wszelki wypadek dał zlecenie, aby Dżemma przybywszy gospodą stanęła w mieście.

Gdzie? Merło nie dostał żadnego w tej mierze rozporządzenia.

Włoszka zapaliła się gniewem wielkim i rozpłakała klnąc i narzekając razem, na wzór królowej Bony. Bianka musiała ją tulić, uspokajać, a Merło Dudyczowi wskazał w mieście dom dostatniego kupca, do którego się wprosić mogli, szepnąwszy mu na ucho, iż król się tą niewiastą zajmował i miał ją w opiece. Kupiec zwał się Sopoćko.

Tak tedy zawróciwszy od zamku, nazad musieli, a Dżemma sobie oczy zakrywała ze wstydu. Przez zamkową bramę wrócili do miasta i tu dopiero przy Trockiej ulicy Sopoćkę odszukali.

Kupiec, pół Rusina, pół Litwina, trochę po polsku mówiący, skrobał się po głowie, bo miał rodzinę, a dla Dżemmy kilka izb trzeba było opróżnić. Lecz dla króla i Wielkiego księcia nie godziło się odmawiać posługi.

Tu nim kobiety do wygód nawykłe i Dżemma, co się niemal za królowę miała, znośnie się rozłożyły, nim im dostarczono wszystkiego co potrzebowały — parę dni upłynęło. Dudycz na dole w małej komórce razem z chomątami, uprzężą i siodłami, na podłodze legiwał, a o żonie tylko tyle wiedział, że mu dla niej Bianka ciągle pieniądze z kalety wyciągała. Do zamku posyłano dwa razy na dzień, bo się Dżemma niecierpliwiła, ale król nie powracał, a Merło nie wiedział wcale kiedy się go spodziewać było można.

Wielka i gorąca miłość Dżemmy, zaczynała się w rozpacz zamieniać i gniewy. Nie pojmowała tego, że o niej tak zapomniano, tak zaniedbano ją i nie przewidziano przybycia. Na przemiany Bianka to łzy jej ocierać musiała, to zburzenie i odgrażania się uśmierzać.

Chciała gonić za ukochanym do Olity, ale Merło stanowczo się temu sprzeciwił, opowiadając, że młody pan otoczony był litewskimi senatorami i musiał dawać baczność na siebie, więcby pewno niemile przyjął przybywającą.

Wszystko to w główce rozkochanej Dżemmy pomieścić się nie mogło.

Dudycz się cieszył i czekał.

Tak upłynęło długich dni dziesięć, a o królu wiadomości nie było żadnej; Merło kłamał czy prawdę mówił, zapewniał, że August już Olitę opuścił i gdzieindziej przebywał, zatem cierpliwie na niego czekać było potrzeba.

Bianka pierwsza jednego poranka, wyszedłszy na ulicę do blizkiego kościoła św. Ducha, dowiedziała się o powrocie króla i co prędzej dobrą tę wiadomość przyniosła przyjaciółce. Dżemma porwała się z łóżka, w którem większą część dnia spędzała, kazała się stroić, czesać, chciała uczynić najpiękniejszą i była pewną, że jak tylko król się o niej od Merły dowie, natychmiast pośpieszy. Chciała zaraz wszystko kazać pakować, zbierać rachując na to, że tego dnia jeszcze na zamku będzie panować.

Upłynął czas do południa, rosła niecierpliwość, nadszedł wieczór, Dżemma płakać i narzekać zaczęła, noc ciemna w końcu okryła miasto — króla nie było, a nawet żadnego posła od niego.

Bianka na zamek nie chciała się ważyć, stara Włoszka obawiała się, musiano posłać Dudycza.

Bardzo nierychło wrócił Petrek donosząc, iż król był bardzo zajęty, miał z Kijowa i Smoleńska gości, i na chwilę oddalić się nie mógł.

Merło radził cierpliwość a zaprzysięgał się, iż panu natychmiast o Dżemmie oznajmił, na co otrzymał w odpowiedzi tylko głowy skinienie.

Dla dumnej a biednej dziewczyny upokorzenia tego i zawiedzionych nadziei było za wiele, wpadła więc w takie rozdrażnienie, iż dom cały poruszyła i ledwie ją około północy ukołysano.

Następny dzień cały zszedł znowu tak samo na próżnem oczekiwaniu i już noc nadchodziła, gdy sam, w towarzystwie tylko wiernego Merły, przebrany i z twarzą okrytą nadjechał król.

Dżemma wybiegła naprzeciw niemu z wyrzutami, z płaczem, zostawiono ich samych; słychać było szlochanie, krzyki, jęki, potem gwałtowny słów potok płynący z ust Włoszki, a wkrótce potem wyszedł król zimny, blady, zniecierpliwiony wewnątrz, zasępiony — siadł na koń i odjechał.

Bianka, która wbiegła się dowiedzieć od przyjaciółki jak się skończyła rozmowa, znalazła ją w stanie dziwnym, rozgorzałą gniewem tłumionym, milczącą, niechcącą się przyznać do doznanego zawodu, lecz widocznie okrutnie cierpiącą.

Z początku przed przyjaciółką nawet żalić się nie śmiała, bała się zarówno urągania i litości, ale boleść ją zmogła.

— A! — zawołała, zapłakane oczy tuląc do ramienia Bianki — wszyscy oni są jednacy, królowie i chłopi, serca nie mają, kochać z nich stale nie umie żaden. Padamy ofiarami.

August, August! który mi żonę poświęcił, poprzysiągł miłość wiekuistą, przestał mnie kochać... Serce jego wystygło.

Jestem nieszczęśliwa... najnieszczęśliwsza.

Bianka usiłowała ją tem pocieszać, że król młody musiał tu wiele rzeczy poświęcać, aby się nie narazić Litwinom, nie dać powodu do plotek, któreby doszły do Krakowa do króla starego, że potrzeba było mieć cierpliwość.

Dżemma wszystkiego tego nie rozumiała, chciała zająć miejsce na zamku, a król wprost jej oświadczył, że to ani dziś, ani później nie będzie możliwem, że musi pozostać w mieście. Obiecywał zresztą postarać się o osobny dwór, w którymby ją umieścił, ale i o ten łatwo nie było, bo zamek restaurowano i robotnika było mało, a dwory książęce na mieście stały prawie wszystkie opuszczone.

Oprócz tego, według Dżemmy, młody król tak się jej okazał zmienionym, tak okrutnie chłodnym, obojętnym, iż na wspomnienie jego Włoszka w rozpacz wpadała.

Do późnej nocy musiała przy jej łóżku siedzieć Bianka, starając się ją pocieszyć. Dżemma miała jeszcze nadzieję dawną miłość wskrzesić w sercu Augusta, lecz widać już było, że zawiedziona, okrutną jakąś zemstę mu gotowała.

— Dziecko ty moje — westchnęła nad nią Bianka. — To co ciebie spotyka dzisiaj, przez tośmy przeszły wszystkie, nie w naszej mocy się pomścić, nie mamy na to siły! Jedno ci pozostało tylko, dawnej miłości wspomnienie, jeżeli ona nie powróci, wyzyskać. Zgodzić się ze swym losem i zostać bogatą panią Dudyczową.

O Dudyczu, z obrzydzeniem imię jego wymawiając, Dżemma ani słuchać nie chciała.

Biedny Petrek od stajni chodził do ciemnej komory, w której miał legowisko, wysuwał się czasem w ulicę na piwo lub miód i powracał, czekając co będzie dalej.

Chociaż mu się nie zwierzano, jak stały z królem stosunki, sam on doskonale je widział i oceniał. Cieszył go ten zwrot nad wszelkie nadzieje pomyślny.

Żona musiała przeboleć, wypłakać się, a on pojednany z nią, obiecywał sobie korzystać z łaski królewskiej, na którą rachował.

Po pierwszem burzliwem widzeniu się z królem, Dżemma się go zaraz nazajutrz spodziewała, ale się nie pokazał i nie przysłał nawet nikogo. Czekała dwa dni na niego, zjawił się znowu wieczorem, potajemnie, skarżył się że go oblegają panowie litewscy, że swobodnym nie jest itp.

Napróżno go Dżemma starała się ubłagać, ani wyrzuty, ani łzy nie pomagały. Następnego dnia długie listy do starej królowej ze skargami przygotowano, przypisując zmianę intrygom — któż wie, zabiegom może potajemnym młodej królowej. Listy potem za listami biegły do Niepołomic, opisujące życie króla.

On sam pisywał też do Bony w początku codziennie, potem zwolna coraz rzadziej.

Królowa stara, która tej podróży na Litwę obawiała się wielce, z listów Dżemmy i z pism syna wyrozumiała, że w istocie dla niej położenie to było groźnem.

August się starał widocznie z pod władzy matki wyłamać, pisał mniej, chłodniej, nie ze wszystkiego się zwierzał, nie słuchał jej jak wprzódy.

Samo podejrzenie o chęć wyzwolenia się, Bonę, która wielkie dla syna w swem przekonaniu uczyniła ofiary, wprawiła w gniew straszny!

Wielka miłość dla syna w jednej chwili mogła w jej sercu zmienić się w nienawiść ku niewdzięcznikowi.

Lecz nie chciała wierzyć jeszcze ogarniającym ją obawom. Czekała.

Z Niepołomic wyprawiony potajemnie zaufany dworzanin, przybył do Wilna podpatrywać młodego króla, rozsłuchać się w tem co się tu święciło.

Wprawdzie August pokornie zawsze matce zdawał sprawę ze wszystkiego, lecz w tonie listów, w sposobie postępowania czuć było odmianę, większą niezawisłość, różnicę przekonań, której nie taił tak bardzo.

Nie dała po sobie poznać Bona co się w duszy jej działo, lecz wrzała wewnątrz gniewem po chybionych rachubach. Jeżeli syn ją miał zdradzić, przyszłość stawała się okropną. Ona! ona zepchnięta ze stanowiska, które zajmowała, Elżbieta królująca nad nią! Tego znieść nie mogła

Przyjaciele pomódz jej musieli, gotową była kraj zawichrzyć, wojnę ściągnąć wewnętrzną, ale nigdy się poddać...

W Niepołomicach król chory prawie miesiąc odpoczywać musiał. Bona, Elżbieta, dwór, byli przy nim. Pomimo zerwania wszystkich związków z Krakowem, nie było prawie dnia, żeby ktoś ze służby nie zmarł nagle. Powietrze okazywało się w sąsiedztwie, w Krakowie gdzie Marsupin leżał na febrę chory, mór się szerzył z gwałtownością coraz większą.

Do wszystkich utrapień królowej, strachu o króla i siebie, walki z Elżbietą, obaw o przyszłość — Marsupin niepozbyty był dla niej jednym z najnieznośniejszych; nie tyle się go może obawiała, ile obrażoną była tem, że ją lekceważył.

Wiedziała Bona, iż się ciągle odgrażał bodaj ścigać dwór i młodą królowę, czyby mu dozwolono czy nie.

Maciejowski, o którego uszy się obijały gniewy królowej, przestrzegał Włocha napróżno aby się nie narażał. Marsupinowi szło o postawienie na swojem.

Gdy już z Niepołomic się wybierać miano do Korczyna naprzód, potem do hetmana Tarnowskiego do jego majętności, dotąd od moru wolnych — Włoch zaczął się także wybierać w ślad jechać za dworem.

Chory, bo febra go dotąd nie opuszczała, pomimo to konie i ludzi gotował do podróży, która była postanowioną. Ta tylko zaszła zmiana w przygotowaniach do niej, że niewielu swym sługom Marsupin kupił oręż lepszy, aby nie być bezbronnym, w razie napaści.

Sam on jednak w nią nie wierzył, choć biskup, Boner i posłaniec hetmana usiłowali go przekonać, iż Bona szczędzić nie będzie życia jego.

Ażeby doniesienia Marsupina o Elżbiecie osłabić, Bona bardzo zręcznie zwróciła się do znajomego sobie Herbersteina z listami, w których dowieść usiłowała, iż to co szpiegi donosiły fałszem było wierutnym.

Herberstein wiele miał względów dla możnej pani, ale odpowiedzi jego dały Bonie do zrozumienia, że w Wiedniu i Pradze miano bardzo dokładne wiadomości o losie jaki spotkał młodą królowę. Radził więc zmianę, większą troskliwość, więcej względów dla młodej pani, a w grzecznych jego listach czuć było groźbę i niepewność przyszłości.

Wszystko to Bona przypisywała Marsupinowi. On to ją oczernił, on donosił, on pierwszy obudził podejrzenie. Nienawiścią i pragnieniem zemsty pałała niewypowiedzianem.

Odgrażała się przed Maciejowskim biskupem, iż obić każe Włocha, ale w kółku swoich powierników, groziła mu śmiercią i wołała, że tenby się jej zasłużył, ktoby ją od łotra, wroga nikczemnego wyswobodził.

Słuchali tego ludzie, do Krakowa nie było daleko.

Marsupin właśnie się miał wybierać naprzód do Bochni, potem w ślad za dworem, odprawiwszy listy do króla Ferdynanda, w których gwałtowne środki doradzał, odebranie Bonie księztw włoskich i t. p., gdy jednego wieczora, leżąc już na łóżka, wychudły Włoch ujrzał wsuwającego się, płaszczem otulonego, zgiętego człowieka, który ostrożnie oglądał się dokoła.

Z pod płaszczyka cieńki koniec mieczyka, jaki Włosi nosili, dał mu się w nieznajomym domyślać ziomka. Lecz że Włosi prawie wszyscy tu do Bony obozu należeli, Marsupin ostrożny, zobaczywszy wsuwającego się bojaźliwie gościa, natychmiast z łóżka się zerwał i za pas sztylet wepchnął.

Lampka maleńka słabo izbę dużą oświecała, twarzy więc zbliżającego się nie mógł łatwo rozpoznać. Dopiero gdy podszedłszy kroków kilka, gość kołnierz płaszcza odrzucił i stara pomarszczona jego twarz z głową łysą płomykiem lampki oświeconą została. — Marsupin poznał w nim jednego ze sług królowej Bony, starego Moncaccio, z którym lepiej był niż z innemi. Moncaccio Neapolitańczyk należał do tych, którzy z Boną tu pierwsi przybyli. Na dworze pełnił funkcye różne.

Uchodził za zaprzedanego swej pani i gotowego na wszystko. Chociaż go nigdy nie schwytano na uczynku, przypisywano różne tajemnicze a krwawe zamachy.

Człowiek był niebezpieczny, lecz dla Marsupina mniej może niż innych. Włoch miał zręczność w początkach swego pobytu oddać mu wielką przysługę. Moncaccio miał córkę zbiegłą, do której był przywiązany bardzo, Włoch pomógł do jej odszukania. Po kilkakroć zaklinał się zbir stary, że tego nigdy Marsupinowi nie zapomni, a będzie, da Bóg, odwdzięczyć mu się starał.

Ta obietnica przyszła teraz na myśl Włochowi, gdy niespodzianie ujrzał go przychodzącego po nocy, a wiedział o nim, iż z królową był w Niepołomicach.

Nie okazując po sobie najmniejszej trwogi, Marsupin powitał go zapytaniem: — co tu robi?

Moncaccio nie odpowiedział, zamruczał coś, kapelusz rzucił na stół, obejrzał się dokoła pilno, pochylił ku gospodarzowi i spytał.

— Jesteśmy sami?

— Najzupełniej.

— Wy się słyszę jutro wybieracie w drogę? — rzekł Moncaccio.

— Tak jest.

— Jeżeli do Pragi, z Bogiem — mówił dalej przybyły — jeżeli za królową i królem, signor Giovanni, wam dobrze życzę, nie jedźcie.

— Dlaczego?

— Szkoda mi was — odparł Moncaccio.

Marsupin się rozśmiał.

— Strachem mnie nie wziąć — rzekł.

Zmilczał gość patrząc na stół.

— Wiem, że się nie boisz — rzekł po chwili — ale jechać nie życzę.

Zawahał się chwilę.

— Mam dla was obowiązek wdzięczności, ostrzegam — dodał — królowej naraziliście się śmiertelnie. Ona wam nie przebaczy, życie wasze zapłacone, zabiją was.

Marsupin podparty na ręku dumał.

— Słuchaj — dodał Moncaccio — ja wiem o wszystkiem. Zrobiliście co tylko było w mocy ludzkiej uczynić, więcej nie zdołacie nic. Życie więc dacie nadaremnie.

— Ależ mój Moncaccio — odparł Marsupin — kto na moje nastawać będzie, ten swoje też narazić musi, nie wiadomo kto kogo zabije.

— Ilu was będzie? — rzekł zimno Włoch.

Marsupin nie chciał kłamać, razem z nim mogło być najwyżej pięciu.

— Gdy przeciwko wam młodych, zręcznych, niespodziewanie, w obrachowanem miejscu i czasie stanie piętnastu — żadna siła was nie obroni.

Zdradzam moją panią — dodał — ale wasza śmierć nic jej nie da oprócz tego, że jej zemstę nasyci. Na drodze w trzech miejscach na was czekają zasadzki, nie ujdziesz ich. Czyń co chcesz. Jam swoje spełnił, nie będę miał nic na sumieniu, i jeżeli się znajdę naprzeciw was, tak dobędę miecza jak i drudzy.

Marsupin pogardliwą miną odpowiedział na to.

— Jeżeli życie masz za co ważyć — dodał przybyły, biorąc za kapelusz — czyń co wola.

Chciał już powstać, gdy Marsupin rękę jego pochwycił i zatrzymał go.

— Nie są to próżne strachy, aby się mnie pozbyć? — zapytał.

— Na patrona mojego świętego Januaryusza, na krew jego żywą — odparł Moncaccio — przysięgam ci, że nietylko nie powiększam niebezpieczeństwa, alem ci oszczędził tego co już zbyteczne, a co je znacznie czyni straszniejszem. Czyń co chcesz.

Marsupinowi znękanemu chorobą zabrakło sił, westchnął i zadumał się.

— Zostanę przynajmniej na stanowisku w Krakowie — odezwał się — aż mnie odwołają a kogo innego wyślą.

— Tak uczyń — wtrącił żywo Moncaccio — bo życie dasz daremnie. Nie uczynisz nic. Naraziłeś się tak, że gdybyś teraz królowej Izabelli synowi przyniósł koronę, a Bonie inwestytury na księztwa, jeszczeby ci nie przebaczyła.

— A! nieszczęśliwa Elżbieta moja! — zawołał w uniesieniu Marsupin — dziecko niewinne w szponach takiej harpii... Co ją czeka!

Moncaccio spuścił głowę, usta ścisnął, nie rzekł ani słowa pociechy.

— Nie znacie — odezwał się po długim przestanku — królowej naszej. Nigdy dotąd nic się jej oprzeć nie zdołało. Panowała, panuje, rządzi, kupuje ludzi lub strachem ich łamie; na starość nie dopuści, aby jej dyktowano prawa.

— Ale król stary chory jest i życie mu obiecują niedługie — rzekł Marsupin.

— Będzie władała młodym.

— Czary są, czary! — szepnął zabobonny Włoch — nic innego.

Moncaccio uśmiechnął się tylko.

— Gdyby niczem innem nie mogła, pewnie, że i czarówby się użyć nie zawahała — odezwał się. — Astrologowie patrzą dla niej w gwiazdy, aby chwilę pomyślną wyznaczyli, doktorowie przyprawują napoje, Brancaccio zbiera złoto, dla młodych i rozpustnych ma swe dziewczęta, starego króla zmoże zawsze łzami i krzykiem; sług jej takich jak Gamrat i Kmita nie zbywa.

Ruszył ramionami nie kończąc.

— Tak — rzucił chmurno Marsupin — wszystko to waży, ale niech Bona strzeże się zemsty króla rzymskiego i cesarza. W ich mocy jest za Elżbietę odpłacić, jeźli włos z głowy jej spadnie.

Nie odpowiadając na to Moncaccio, powtórnie kapelusz ujął i ruszył się z siedzenia.

— Męztwo wasze uwielbiać muszę — rzekł — wolałbym z pięciu zbójami naraz mieć do czynienia, niż z powietrzem, wśród którego wy siedzicie. Wbiegłem tylko do Krakowa, aby was ostrzedz, a to com tu widział strachem mnie przejęło. Naostatek — dodał mając się ku drzwiom — nie potrzebuję mówić, że idąc do was, gardło moje stawiłem, dotrzymajcie mi tajemnicy.

Marsupin podał rękę smutny.

— Bądźcie spokojni — rzekł — wiecie żem przecie człowieka *sernego* nie zdradził, choć mi królowa kijmi groziła, a miałżebym wydać tego co życie moje ocalił?

Znikł Moncaccio. Włoch chodził po izbie długo nim się układł na spoczynek.

Nazajutrz listy wysłał do Pragi, prosząc o nowego posła coby go zastąpił, gdyż on już wyczerpał wszelkie środki dopomożenia młodej królowej.

Pobyt w Krakowie stawał się ze dniem każdym mniej możliwym, tak ludzie marli strasznie, a ratunek przypadkowy, nieumiejętny, nie mógł szerzeniu się moru zapobiedz Jedynym środkiem skutecznym było rozbieganie się ludności, chronienie się po lasach. Mór wprawdzie niekiedy się tym sposobem roznosił też, ale ustawał gdy mu pastwy zabrakło.

Opustoszało znacznie miasto, wyludniło się z uczniów, pozamykano szkoły, na ratuszu, na zamku siedzieli tylko urzędnicy, a duchowieństwo zastępowało z cudowną rezygnacyą poświęceniem, gdziekolwiek brakło rodziny, opieki i pomocy.

Pobożność też wzrosła, jak zwykle gdy ciężka ręka losu ludzi dotyka, którzy w nieszczęściu dopiero wracają do Boga.

W kilka dni potem, chory jeszcze Marsupin, pożegnawszy Decyuszów na Woli i swoich kilku znajomych w Krakowie, zniknął z miasta nie opowiadając się co miał uczynić z sobą.

Niespokojna królowa Bona, która się nauczyła niedowierzać mu i lękać się człowieka, niedającego się zastraszyć niczem, gdy jej doniesiono, że Marsupin wyjechał, a nikt nie wiedział dokąd, tem większą czujność nakazała, zawsze się obawiając aby nie wtargnął znowu.

Nigdy może tak ściśle nie strzeżono młodej królowej, króla starego i biskupa Maciejowskiego, o którym Bona była przekonaną, że Włochowi pomagał.

Niejedna ta troska nie dawała jej spoczywać. Król stary, około którego zdrowia chodziła z nadzwyczajną troskliwością, bo jego życie stanowiło o jej panowaniu, pomimo starań lekarzy nie miał się dobrze. Zaledwie uspokojony cokolwiek sił odzyskał, najmniejsze znużenie, frasunek, zniecierpliwienie je wyczerpywało.

Królowa, otaczając go strażą pilną, zapobiegała aby wiadomości żadne nie dochodziły do niego, tylko te, które przez nią były dopuszczone. Ale nadzoru tego nie mogła rozciągać nad Maciejowskim, z zimną krwią, bez obawy, z powagą duchownego, spełniającym swe obowiązki, a króla nieodstępującym. Tego ani pozyskać ani zastraszyć nie było można, a czytała w nim, że ją znał i że żaden krok jej nie uszedł baczności jego.

Drugą przyczyną niepokoju dla Bony był syn.

Wychowywany od dzieciństwa tak, aby matkę miłować i słuchać jej tylko się nauczył, częstokroć na przekorę ojcu, August aż do tej pory zależał od niej i szedł niewolniczo za jej wskazówkami.

Nawet po ożenieniu tryumfowała tem, iż go od żony młodej, pięknej, dobrej, mimo ojca, mimo ludzi, całego świata, potrafiła odciągnąć.

Wyjazd na Litwę obmyślany troskliwie czynił ją jednak niespokojną. Z początku listy syna były codzienne i poufne, zwolna dawała się w nich czuć pewna emancypacya z pod władzy matki, pewne zachcianki własnej woli, nieco zobojętnienia.

Drażliwa, podejrzywająca, nieufna, czytała w listach, wnioskowała z doniesień może więcej niż na pozór dozwalały, miała przeczucie, że August wyswobodzić się zechce i że się ku żonie zwróci.

Obawę tę potwierdziły listy rozpaczliwe Dżemmy i Bianki, ustne opowieści posłańców z Wilna.

Odepchnięcie obojętne Włoszki, którą mu posłała królowa, obeszło ją jako symptom groźny.

Przestraszyła się wpływu panów litewskich, nowych ludzi, któż wie? może zwrotu ku Elżbiecie. Listy Bony pośpieszyły, nieokazując obawy, przypomnieć Augustowi jego zobowiązania względem matki i wszystkie ofiary jakie ona czyniła dla niego.

Oczy Bony niespokojnie odtąd poczęły się zwracać na Wilno.

Nakoniec, ostatnim niepokoju dla niej powodem była niepojęta, niezrozumiała dla niej Elżbieta. Tu wszelkie rachuby zwykłe okazywały się chybionemi.

Bona rachowała na łzy, na rozpacze, na skutek zmartwienia, który powinien był sprowadzić chorobę i, któż wie, przyśpieszyć rychły zgon, który jej astrologowie przepowiadali.

Tymczasem Elżbieta, jak to już Marsupin przy widzenia się z nią uważał, nietylko nie wyglądała gorzej, ale odzyskała rumieńce. Uśmiech jej był weselszy, spokój ducha niezachwiany.

Zdawała się zupełnie szczęśliwą, nie czyniła wymówek, nie uskarżała się, nie obwiniała Bony, a okazując jej poszanowanie wielkie, unikała wszelkiego pozoru rozdrażnienia.

Ale właśnie ten spokój, ta zimna krew, to wesele młodej pani najmocniej Bonę rozdrażniło. Chciała aby płakała i cierpiała, a doczekać się tego nie mogła.

Elżbieta znosiła wszystko. Odbierano jej sługi, ograniczała się pozostałemi, osamotniano ją, znajdowała zajęcie w samotności i żyła ze swoją Hölzelinowną.

Bona byłaby rada i tę podejrzaną powiernicę usunąć, oddalić pod pozorem jakimś, oskarżała ją o fałszywe doniesienia, lecz dowodów nie było, a matka Elżbiety zawczasu zastrzegła sobie aby stara piastunka przy niej pozostała i nie mogła być odsuniętą.

Ją i Hölzelinownę szpiegowano na każdym kroku; w liczbie czterech panien, które pozostawiono przy Elżbiecie, połowa była przekupioną przez Bonę i służyła jej raczej niż swej pani.

Żadne słowo, czynność, nie uszły baczności Włoszki, ale zręczna Kätchen umiała się tak urządzić, iż starą królowę dochodziło to tylko co ona chciała

Od czasu wyjazdu młodego króla, stosunki jego z żoną były zerwane. Nie pisał do niej.

Bona tem głośniej, na złość synowej, podnosiła to, iż do niej listy przychodziły codziennie. Ale i to nie zdawało się wielkiego na Elżbiecie czynić wrażenia.

Słuchała opowiadań królowej i zaspakajała się niemi.

Hölzelinowna zniecierpliwiona, już w Niepołomicach nalegać zaczęła na swoją panią, ażeby ona pierwsza pisała do męża i przypomniała mu się. Ze zwykłą swą chłodną krwią pozorną, Elżbieta odpowiedziała jej, że powinna czekać aż mąż pierwszy do niej sam napisze, że naówczas chętnie pośpieszy z odpowiedzą, ale jej się narzucać mu nie przystało.

Kätchen napróżno starała się jej dowieść, że to bynajmniejby jej godności nie uwłaczało, a dowiodło przywiązania — młoda królowa, w obawie aby Bony tem nie zniechęciła, oparła się.

Każdego posłańca z Wilna dopytywano o listy od Augusta, żaden z nich nie przyniósł nic do żony. Ale i do matki posły się stały rzadszemi.

Jak skoro król cokolwiek się uczuł silniejszym, Bona, której sąsiedztwo Krakowa było niedogodnem, przyśpieszyła wyjazd do Korczyna. Tu, nie zapowiadano jak długo się miano zatrzymać, a o dalszych planach podróży głucho było.

Jednego dnia ruszyły się tabory królewskie, przodem niektóre, inne wraz z kolebkami, które wiozły Zygmunta, Bonę i Elżbietę.

Młoda pani jechała z Hölzelinowną, ze swoim bardzo szczupłym dworem i służbą, tuż za starym, który się pilno o tę — jak ją nazywał — córkę dowiadywał.

Podróż bardzo powolna, naprzód obmyślana tak aby się nigdzie z powietrzem nie spotykać, a miejsca zarażone, jeżeli ominąć ich nie było podobna, przejeżdżać bez zatrzymywania się, szła nieznośnie długo, a nie zawsze wygodnie. Rzadko gdzie się rozłożyć było można i pomieścić bez ścisku. Elżbieta znosiła to z dziecinną niemal wesołością niedoświadczonej, którą wszystko bawiło — sam nawet czasem niedostatek czegoś i pozbawienie tego, do czego była nawykłą.

Piękniejsze dni jesienne, ostatnie kwiatki, blade słońca promyki, widoki osad, zamków, dworów, spotykanych ludzi, rycerstwa, duchownych, budziły jej ciekawość i nie dawały uczuć znużenia.

Wszystko to nieznośnem było dla Bony, która jechała niespokojna, gniewna, a widmo Marsupina, nagle znikłego, prześladowało ją wszędzie.

Obawiała się spotkać go na każdym noclegu, widziała w każdym spotykanym przejeżdżającym, dopytywała swój dwór, zalecała baczność. Tajemnicze nagłe usunięcie się Włocha, którego upor znała, napełniało ją strachem.

W Nowym Korczynie pobyt nie był długi. Hetman Tarnowski zapraszał króla do jednej ze swych majętności, w której spokojnie i bezpiecznie mógł przebyć czas jakiś. Zygmunt rad był przyjąć ofiarę, ale Bona niecierpiała, obawiała się hetmana. Był to wróg Kmity, nieprzyjaciel Gamrata, sprzymierzeniec Maciejowskiego, jawny królowej starej antagonista, mąż wielkiego i niepodległego ducha, jeden z tych niewielu bardzo, których Włoszka ani złamać, ani oszukać, ani ugłaskać nie mogła.

Piastując najwyższą godność hetmańską, Tarnowski nie miał już nic do zdobycia, ogromne posiadłości na swój czas czyniły go jednym z najbogatszych magnatów nietylko w Polsce, ale na cywilizowanym świecie. W XVI. wieku pięćdziesiąt tysięcy czerwonych złotych dochodu, przy buławie hetmańskiej i wielkiem imieniu, stanowiły potęgę ogromną.

Bona rozporządzała wielkiemi skarbami jak on, ale daleko od niego zależniejszą była, a tylko przebiegłość jej, intrygi, nieprzebieranie w środkach czyniły ją niebezpieczną.

Kmita, którym się ona posługiwała przeciwko Tarnowskiemu, wróg jego ogłoszony, przy całym wysiłku do walki z hetmanem, nie dorósł do jego powagi i znaczenia.

Tarnowski obchodził się z nim niemal lekceważąco, nie wyzywając nigdy, ale tam, gdzie starcie było nieuchronne, utrzymując wyższość swoją. Oba oni w oczach kraju, który ich znał, powagą i zacnością mierzyć się nie mogli i nie stali na równi. Kmicie zarzucano gwałty, szaleństwa, wybryki, jego bandę złoczyńców, jakiemi się posługiwał, gdy hetmanowi nigdy, nikt nic nie mógł zadać, coby sławę jego zaćmić zdołało.

Zwycięzca w tylu bojach, był czystym i niepokalanym i cnotę swą nosił wysoko, nie lękając się nawet potwarzy, która do niego przystać nie mogła.

Nie było powodu odrzucenia zaprosin Tarnowskiego, które, choć Bonie były niemiłe, przyjęte zostały.

Dwór przeniósł się do spokojnej osady, przygotowanej naprędce na jego przyjęcie. Pobudowano tu szopy, wzniesiono nowe dwory, a hetman z gościnnością staropolską przyjmował pana, nie dając mu nic pożądać, bo życzenia były przewidziane.

Wiejskie to było schronienie, ale nic nie brakło i w porównaniu z Niepołomicami, wygodniejsze od nich. Król je upodobał sobie. Dokoła nigdzie o strasznym morze słychać nie było i z Krakowa tylko zawsze złe przychodziły wieści, tak że o powrocie do niego prędkim marzyć nawet nie było podobna.

Elżbieta znajdowała się tu, jak wszędzie, szczęśliwa ze wszystkiego i cierpliwą na to co ją spotykało.

Bona przeciwnie coraz objawiała większy niepokój, z jednej strony o zdrowie i życie męża, z drugiej o syna. August pisywał rzadziej.

Nie wchodziło w plan Bony, aby synowi Litwę król oddał do rządów; chciała go mieć u boku swojego, pod bezpośrednim wpływem.

Tymczasem pobyt w Wilnie, zbliżenie się do panów tutejszych, podbudziło nadzwyczaj dawne ich wymagania, aby Zygmunt im syna dał na W. księztwo.

Wszyscy posłańcy ztamtąd przybywający przynosili listy z naleganiami, z pochwałami dla młodego pana, z prośbami o niego.

Wiedziano już w Polsce, że na przyszłym sejmie, którego się Litwa domagała dla spraw pilnych, jednozgodnie wszyscy będą o Augusta prosili.

Aby zapobiedz temu, by Zygmunt skłonić się nie dał do zadośćuczynienia prośbom, Bona zawczasu starała się mężowi dowieść, że władzą się dzielić nie powinien. Chciała mieć syna przy nim, na oku, znajdowała go młodym i niedoświadczonym.

Król, który unikał sporów, milczał.

Im mocniej przekonywała się Bona z doniesień, które jej słano, że August niezupełnie szedł za jej wolą, tem więcej nalegała na męża, aby dopóki żyw nie puszczał z rąk wodzów.

Ze wszystkich na dworze osób, znoszących cierpliwie tę wędrówkę po kraju dla zabezpieczenia się od moru, Bona najmniej umiała z nią się pogodzić i poddać konieczności.

Wyrzekała i niecierpliwiła się, co nie pomagało wcale. Brakło jej kogoś i czegoś, coby ją zająć mogło żywiej.

Męczennica, ofiara, królowa Elżbieta, była nieczułą, milczącą — August, którego rada chciała napowrót sprowadzić, nie słuchał jej i znajdował się na Litwie swobodniejszym.

Z polecenia Bony, aby dokuczyć synowej, podszeptywano Hölzelinownie o tem, iż wydana za mąż Dżemma, kochanka Augusta, pojechała do Wilna. Sądzono że ona o tem oznajmi swej pani, ale piastunka zmilczała, a Elżbieta, gdyby jej o tem doniesiono nawet, zbyłaby uśmiechem obojętnym wiadomość.

Ona żyła ostatniemi słowy męża i tą błogą nadzieją, jaką one jej przyniosły. Kochała go i wierzyła mu.

Całe jego postępowanie tłómaczyło się obawą matki tak dobrze, iż ją zupełnie uspokajało.

Naostatek po długiem oczekiwaniu, jeden z posłańców przywiózł list od męża do młodej królowej.

Był-li on z rozkazu, za pozwoleniem, czy mimo wiedzy Bony pisany, nie umiała dociec Elżbieta, lecz miarkując z tego jak Bona o nim wieść przyjęła, stanowczo musiał jej być niemiłym.

Królowa młoda rozpromieniona, nosiła go na piersiach, nie rozstawała się z nim i natychmiast zaczęła myśleć o odpowiedzi.

Było to dla niej zadanie trudne. Jak w liście pogodzić czułość, którą chciała wyrazić w nim, a nie obudzić w Bonie podejrzeń? (bo ta nieochybnie czytać go miała — szedł przez jej posłów do Wilna).

Hölzelinowna nalegała na wyrażenia jak najczulsze, na opis szczegółowy życia, jakie wiodła królowa, tęskniąca za mężem. Elżbieta potrząsała główką, milczała, a gdy list był gotowym i odczytała go piastunce, wydał się jej zimnym; Elżbieta nic w nim zmienić już nie chciała, nie mogła.

Szepnęła tylko Kätchen swej, że Bona czytać go będzie, że się przed nią ze zbytnią czułością zdradzać nie trzeba.

Kätchen była przeciwnego zdania zawsze. Ona, jak Marsupin, radziła śmielsze postępowanie, nie tyle uległości i pokory, a żadnej obawy.

— Król rzymski ma w ręku losy Izabelli, córki Bony, ona wie o tem dobrze! Macie w niej najlepszego zakładnika i nic się wam stać nie może.

Lecz nawet przed tą piastunką nie śmiała królowa wydać się z tem, że liczyła więcej na męża teraz niż na ojca, na miłość, którą zdawało się jej że zdobyła, niż na łaskę jakąś.

Hölzelinowna próżno listu wyprawienie zwlec chciała, wyszedł on takim jakim go obmyśliła Elżbieta i brzmiał jak następuje:

„Lubo powinnam mieć nadzieję, że się wkrótce z sobą zjedziemy, ponieważ czas mi się dłuższym daleko wydaje niżbym chciała, postanowiłam tym listem jeszcze gonić za W. K. Mością. Gdy nie mogę ręki podać, ani z Nim ustnie rozmawiać, niechże nieobecna choć listem się przypomnę.

Niech W. K. Mość to o swej wiernej małżonce i słudze wiedzieć raczy, iż niczego tak nie pragnę, jak żebyś mnie W. K. Mość w pamięci swej zachować raczył i szczerze z duszy kochającą, nawzajem miłował. Niech Pan Bóg zachowa W. K. Mość w dobrem zdrowiu i zsyła nań pomyślność wszelką, a mnie jak najprędzej z W. K. Mością, królem, panem i małżonkiem moim najmilejszym połączy"[3].

List ten Hölzelinowna znajdowała za słabym, za krótkim, mówiącym za mało, nie bacząc na to, że miał być otwartym i czytanym, że w nim szukać miano pozoru do nowego ucisku.

Elżbieta czuła, że więcej napisać się jej nie godziło, a że mąż zrozumie ją.

Naówczas już, gdy go do Wilna wysyłano, młoda królowa po pobycie na wsi u Tarnowskiego, potem w Piotrkowie, znajdowała się z Zygmuntem Starym w Warszawie. Była wiosna, długi czas upłynął od wyjazdu Augusta. Sejm dla Litwy zapowiadano w tym roku wkrótce, a August miał przybyć z panami litewskiemi do Brześcia.

Wszystkiemu temu Bona, przy całej swej zabiegliwości, zapobiedz nie umiała. Zwlekała mając nadzieję, że coś zjazdowi przeszkodzi, ale nadzieje wszelkie ją zawodziły.

Zygmunt Stary, listami króla Ferdynanda i naleganiami Maciejowskiego pokonany, mimo odradzań Bony, postanowił zawczasu iż Elżbieta się z mężem połączy i pojedzie z nim do Wilna.

Otwarcie Bona się nawet sprzeciwiać temu nie mogła. List Herbersteina dawał jej do myślenia, trwożyła się zarówno o córkę jak o zagrożone neapolitańskie dobra swoje.

Cała jej polityka polegała na odkładaniu, na zwłokach, na wynajdywaniu pozorów w stanie zdrowia króla, w pogłoskach o powietrzu, które wszędzie groźniejszem się stawało, gdzie było wielkie zbiegowisko ludzi. W Brześciu właśnie sejm ten miał się zgromadzić ze wszech stron.

Lecz mór srogi naostatek i w Krakowie ustawać począł, mniej o nim słychać było, a Litwa nalegała mocno.

Postanowiono więc w czerwcu z Mazowsza się udać na granicę do Brześcia, gdzie już przygotowania czynić poczęto na pomieszczenie dworu.

August obiecywał przybyć nieochybnie.

Elżbieta wyglądała przyjazdu jego jak wybawienia z niewoli, ale niemniej niespokojnie czekała na niego Bona.

Miał jej on powrócić tak poddanym i posłusznym jak był, czy zmienionym i zbuntowanym? Ostatnie listy kazały się tego domyślać, a przynajmniej ciężkiego przejścia nimby wyrywający się niewolnik znowu został w kajdany zakuty.

Ze wszystkiego miarkując, co jej donoszono, królowa nie rachowała już na Dżemmę. Na dworze swym miała ją czem zastąpić.

Oprócz tego liczyła na znaną sobie rozrzutność syna a skąpstwo ojca, gdy szło o niego. Musiał potrzebować posiłków, które matka była dać gotową, nawzajem żądając za nie powrotu do dawnej uległości.

— Hölzelin, duszo moja! — wołała, dni licząc młoda królowa — w czerwcu przybywa! Dwa księżyce nowe się zmienią, a my go zobaczymy!

Kätchen z jakąś nieufnością i niedowierzaniem całowała ją po rękach.

— Królowo moja — szeptała — bodaj lepszym wrócił niż odjechał.

Dwuznaczny uśmieszek Elżbiety i milczenie jej dla piastunki były zagadką.

Losy nieszczęśliwego Dudycza i pięknej jego małżonki, nie mogą nam być obojętne. Dżemma spodziewała się zawsze powrotu króla do dawnej miłości, roiła, że zostanie na zamek wprowadzoną, oczekiwała codzień nagłej zmiany szczęśliwej.

Ale nadzieje te okrutnie zawiedzione zostały.

Gdy znowu przez dni kilka nie ukazał się król na Trockiej ulicy, a Dżemma sobie wytłómaczyć nie mogła tego zaniedbania, choć Bianka usiłowała ją tem pocieszać, iż miał gości dostojnych i zajętym był bardzo — zniecierpliwiona już chciała biedz na zamek, i Bianka obawiając się porywczości jej, musiała sama ofiarować się w zastępstwie.

Na zamek dostać się było niełatwo. Jedna jego część nieprzystępną się stała, bo koło niej pracowano, w drugiej ciasno było od natłoku dworu i urzędników. Ale Włoszka była

[3]Przezdziecki, *Jagiellonki*. [przypis autorski]

rozważną, zręczną i ostrożną. Potrafiła niezbyt na siebie oczy ściągając dostać się do Merły, ulubieńca Augusta.

— Mój miły panie — zawołała zobaczywszy go nadchodzącego — radź coś na to, aby król jegomość tak okrutnym nie był dla biednej Dżemmy. Ona oszaleje z rozpaczy.

— A cóż ja na to radzić mogę — odparł Merło. — Król nasz w Wilnie, to nie ten co był w Krakowie. Tu się on musi na wsze strony oglądać, bo zewsząd na niego patrzą. Dobre jest miłowanie, ale całego życia oddać mu nie można.

— Niechże o niej nie zapomina! Litość mieć powinien! — zawołała Bianka.

— A ona też nad nim — rzekł Merło. — Królowi ona zawsze miłą, ale teraz gdy męża ma...

— Męża? — rozśmiała się Włoszka. — Aleć to stajenny nie mąż. On na próg do niej wejść nie śmie!

— O to mniejsza — dodał dworzanin, który z przyjemnością z piękną jeszcze, choć przywiędłą Bianką gawędził. — Król się wszakże opamiętał, że żonę wziął i myśli o niej.

— Król? a w Krakowie ani znać jej nie chciał! — odparła Włoszka.

— Co innego było w Krakowie — począł poufnie Merło. — To pewna, że teraz do niej nabrał serca. W Krakowie obawiał się matki, a tu my nikogo się nie lękamy.

— Zapomnieliście, że królowa stara długie ręce ma — rzekła Bianka.

— Na Litwę przecie niemi sięgnąć będzie trudno — odparł Merło — a jeżeli królowa matka syna kocha, to mu żony odbierać nie zechce, gdy się przekona, że się do niej przywiązał.

Śmiać się poczęła Włoszka.

— Przywiązał się! teraz, nie widząc jej! Co wy prawicie, jakbyście ze mnie żartowali.

— Mówię prawdę — począł Merło — i mam na to dowody. Powtarzam wam, że w Krakowie co innego było, a tu się inaczej święci. Najlepszy dowód, że król o niczem nie myśli, tylko o tem aby na zamku jak najprędzej izby dla swej pani godne jej urządził. Śpieszą robotnicy jak mogą, a on sam się niemal codzień dowiaduje. Sprowadza kobierce, opony, malarzy i pilno się stara aby gniazdo usłał piękne i miękkie.

Chcecie widzieć? — dodał Merło — poprowadzić was mogę. Komnaty już mają przeznaczenia.

Chodźcie.

To mówiąc, zdziwioną i smutną Biankę wprowadził do wnętrza dolnego zamku, gdzie w istocie ludzi dużo się krzątało.

Jedni zewnątrz wygładzali ściany, drudzy w środku układali podłogi, wstawiali okna, dopasowywali drzwi, malowali i przybijali.

Merło pokazał jej naprzód pokoje dla króla przeznaczone, potem wspólne, około sypialni przedzielającej je rozłożone, naostatek dla fraucymeru, dworu, sług i dla pani. Ostatnie były ozdobniejsze, jasne i wesołe, jakby młodości królowej odpowiadać chciały świeżością swoją. Pod oknami sadzono drzewka i kwiaty.

Merło tłómaczył jej przeznaczenie każdej komnaty i przeprowadziwszy tak milczącą przez cały szereg sal i izb, które pośpiesznie kończono, a część ich już tak jak gotową była na przyjęcie — dodał po cichu.

— Mnie się widzi żeśmy się wszyscy mylili, a biedna Dżemma najbardziej, gdy tak na królewską miłość rachowała. Wiedział on co czynił!

Teraz mu tu na Litwie nie przystało, żonę rzuciwszy, kochankami się chwalić, bo starzy panowieby mu to bardzo za złe mieli. Tu obyczaj surowszy.

A król też sam dla żony wcale nie jest tak usposobiony jak się nam zdawało. Bodaj obojętność dla niej udawał tylko, aby nie narażać na niebezpieczeństwo, na prześladowanie.

Bianka słuchała uszom nie dowierzając.

Merło się jej do ucha nachylił.

— Król z żoną swą ma pewnie potajemne stosunki i jest w porozumieniu. Nie wiem ja nic, bo i przedemną się z tem tai, ale domyślam się na pewno.

Mówię wam dlatego o tem, że mi Dżemmy żal. Niech się darmo nie uwodzi. Co niemożliwe, to niemożliwe. Król ci ją wyposaży i dopomoże im do gospodarstwa, ale dawna miłość nie powróci.

Włoszka tak zdumiona jeszcze była i przerażona tem co jej Merło zwierzał, że się w początku słowa odezwać nie mogła.

— Co się z moją biedną przyjaciółką stanie — rzekła wreście — nie wiem zaprawdę. Ona kocha, może dziś gwałtowniej niż kiedy, ale o jej los nikt się oprócz mnie nie zafrasuje. Taka nasza dola, bo my wam tylko służymy za igraszkę.

Z Dżemmą król uczyni co chce, ale coż będzie z matką?

Myślicie że Bona zniesie połączenie się małżeństwa, którego nie chciała i poprzysięgła je rozłączyć. Nie zapominajcie, że dopóki król stary żyje, ona tu wszechmogąca.

Kochała syna bardzo, prawda — dodała Bianka — ale gdy się pogniewa i nienawidzieć zacznie, choćby dziecku własnemu zdrady nie przebaczy.

Merło wąsa pokręcał.

— Nie już my mieliśmy być wiecznie w niewoli u niej? — rzekł po cichu.

— Młody król — przerwała Włoszka — rachuje może nadto na miłość matki, sądząc że ona mu dla niej przebaczy wszystko, ale...

Bianka nie kończąc, po włosku, ruchami rąk i twarzy starała się pokazać Merle, iż Bona raz rozjątrzona będzie nieubłaganą.

— Ale my od niej ucieczemy na Litwę — śmiejąc się rzekł dworzanin. — Co ona nam tu zrobi?

Ironicznie uśmiechnęła się Bianka.

— Zobaczycie — rzekła. — Co zrobi, ja nie przepowiem, lecz że nie przebaczy ani synowi, tego jestem pewna.

I zatrzymawszy się chwilę, szepnęła zamyślona.

— Ma więc z żoną potajemne stosunki?

— Ale, ja tego nie mówię — rzekł zmięszany nieco Merło. — Domyślam się, nie wiem nic. Patrzę że dla żony obmyśla wszystko, słucham że o niej tylko codzień mówi, widziałem że wizerunek jej przywiózł z sobą i przygląda mu się codzień... jakże nie mam posądzać że ją kocha?

Bianka, która do serca brała sprawę swej przyjaciółki, stanęła słuchając z załamanemi rękami, i łzy się jej w oczach zakręciły.

W piersiach jej zawrzał gniew, może obudzony tem, że sobie własny los przypomniała.

— A zatem — odezwała się po chwili, wychodząc z zamku na podwórze ku miastu — nie mam ja tu co robić, a teraz myśleć tylko muszę jak smutną prawdę powiedzieć Dżemmie, która się jej ani domyśla, ani przeczuwa.

Bądźcie zdrowi — dodała żegnając wymuszonym uśmiechem Merlę — muszę pośpieszać do tej biedaczki

Przez całą drogę myślała w istocie posłana z czem powróci do domu. Odrazu wszelką odebrać nadzieję Dżemmie nie chciała.

Skłamała więc na pytania natarczywe odpowiadając, że Merło był zajęty, że na zamku nieład wielki panował, bo pośpiesznie odnawiano mieszkalne komnaty, i z tego powodu nic się prawie dowiedzieć nie mogła.

Dżemma chciała już lecieć sama, ale ją towarzyszka powstrzymać zdołała. Nie przeciwiła się gdy zrozpaczona i zniecierpliwiona, znowu króla się spodziewać zaczęła i czekała na niego.

Lecz dzień ten i następny upłynął, a król nie dał znaku życia. Zniecierpliwienie i gniew rosły z każdą chwilą.

Trzeciego dnia już utaić nie było można, iż król znowu na czas dłuższy wyjechał do Olity, żadnych nie wydawszy rozkazów względem pobytu i pomieszczenia Włoszki.

Widząc ją podrażnioną i oszalałą, Bianka naostatek postanowiła nie taić dłużej i nie dać się jej próżną uwodzić nadzieją. Wieczorem przysiadła się do jej łóżka i począwszy od narzekania na niestałe serca mężczyzn, w końcu wyjawiła co mówił Merło.

Domysły jego w ustach Bianki przybrały barwę inną; Włoszka zaręczała, że była pewną stosunków potajemnych króla z żoną.

Wrażenie, jakie te smutne wieści sprawiły na Dżemmie, było niezmiernie gwałtowne, krzyki jej i łkania całą kamienicę rozbudziły, ukoić nie było podobna przywiedzioną do szaleństwa.

Nad ranem już Dżemma poprzysięgała zemstę królowi i szukała środków jakiemiby ją na nim i na żonie jego wywrzeć mogła.

Rachowała na Bonę, będąc pewną, że ona we własnym interesie sprawę jej poślubi.

Sama niewiedząc co czynić, to się zrywała jechać, goniąc Bonę do Piotrkowa lub Warszawy, to namyśliwszy się potem, gońca wyprawić do niej.

Ale kogo? List nie mógł wypowiedzieć wszystkiego. Dudycz, który jej przyszedł na myśl, nie był zdatny do sprawienia poselstwa, zaczęła prosić o to Bianki.

Włoszka sama jedna obawiała się podróżować.

Cały dzień następny strawiły na naradach, do których stara Włoszka też wezwaną została. Ale, ani ona, ani Bianka nie chciały się puścić w tę podróż i narazić na pierwszy wybuch gniewu starej królowej.

Stanęło więc na tem, iż Dudycz z listem miał jechać.

Bianka poszła mu oznajmić o tem, nie rozszerzając się nad treścią listów, które miał do rąk oddać królowej.

Rozkaz pani swej, posłuszny dotąd Petrek, przyjął zimno.

— Nie pojadę — rzekł krótko. — Dosyć już wam zadarmo się wysługuję, żebym miał stare kości tłuc po drogach dla jejmościnej fantazyi. Niechaj śle kogo chce, ja się nie ruszę.

Niespodziany opór, którego Bianka przełamać nie mogła, zdziwił Dżemmę — pierwszy raz śmiał się jej niewolnik przeciwić.

Lecz teraz, nawet jego oszczędzać było potrzeba, bo gdyby i on opuścił?

Po namyśle Włoszka go przywołać kazała. Ten dowód łaski jeszcze go dotąd nie spotkał. Dudycz poszedł się ustroić, wąsy posmarował i poważnym krokiem wszedł do pokoju żony. Dżemma musiała udawać łagodną, ale nie mogła wesołej.

— Pierwszy raz mam prośbę do was — rzekła — a i tej zadość uczynić odmawiacie.

— Bo mi już ciężko dźwigać to jarzmo — rzekł Dudycz. — Jam oprócz rozkazów, dobrego słowa od was nie słyszał.

Dżemma spojrzała na niego i wzdrygnęła się. Wydał się jej okropnym, pomyślała że to był mąż, pan, i łzy się jej z oczu puściły.

— To czego po was wymagam — odezwała się — nie dla mnie samej potrzebne. Jest to pilny interes królowej matki, która wam wdzięczną będzie. Dlatego, skarbiąc dla was jej łaskę, chciałam abyś waćpan sam pośpieszył.

Niewymowny Dudycz, z oczyma spuszczonemi, strzępił machinalnie pióro od kapelusza, który trzymał w ręku.

— Pojedziecie? — zapytała Dżemma łagodnie.

— Ten raz, cóż robić! — odparł Petrek — choć przyznam się, że i dla królowej nawet, ochoty nie mam. Koń ciągnie — dodał — ale mu też obroku dać potrzeba, a jam go nie widział jeszcze.

Dwuznacznie się uśmiechnęła Włoszka.

— Zdaje mi się — rzekła — że obrok i za mnie i za siebie da królowa.

Jedźcie tylko śpieszno, sprawcie się dobrze, a będą was pytać, potwierdzcie to co królowa w liście moim znajdzie.

Bianka podjęła się na wpół wtajemniczyć Dudycza, który się powoli udobruchał.

Tak w końcu, po naradach, pisaniu i wyborach, które się parę dni przeciągnęły, Dudycz wyruszył, zostawiwszy ludzi żonie, samowtór z jednym pacholikiem.

Jak przebył Litwę do granicy, jak się potem rozpytywać musiał gdzie królowej starej szukać, bo mu o niej coraz inaczej mówiono i jedni kazali do Piotrkowa, drudzy do Warszawy jechać, tego opowiadać nie potrzebujemy.

Miał czas Dudycz o sobie i swem położeniu rozmyślać, stękać i wzdychać na ciężką pańszczyznę jaką dla pięknych oczu swej pani odbywał. Królestwo byli naówczas w Mazowieckim grodzie nad Wisłą, zkąd im do Brześcia na sejm litewski bliżej być miało. Gród ten nieznany Dudyczowi, opasany lasami dokoła, na małem wzgórzu nad samą Wisłą, ciasno murami opasany, po Krakowie mu się nie wydał zbyt pokaźnym, a i Wilno przy nim nie traciło. Zameczek stary, budowany i przebudowywany składał się z murów polepionych razem i niewiele obiecujących. W mieście gospody niełatwo wyszukać było.

Petrkowi, który zły przyjechał i wszystko mu kwaśno smakowało, nawet wymowa mazurska śmieszną, a jak on powiadał, chłopską się wydała.

Zmuszony niebardzo się wydawać ze swoim przyjazdem i celem podróży, Dudycz strawił dzień niemal na rozpatrywaniu się, nim kogoś zaufanego ze dworu Bony natrafił,

któremu się opowiedział, iż z panią potajemnie widzieć się potrzebował, bo przywoził ważne wiadomości.

Zaledwie zmierzchło, gdy do gospody jego podle Panny Maryi, nieopodal zamku, bo tam wszystko jeszcze było na kupie, przyszedł Włoch, aby go zaprowadzić do Bony.

Posadzono go naprzód w ciasnej antykamerze, gdzie skrzyń i sepetów podróżnych pełno było, listy mu odebrawszy. Upłynęło sporo czasu nim je odczytano i samego Dudycza przyprowadzono do królowej, za której krzesłem stała jedna tylko owa mniszka Maryna, z jaszczurczemi oczyma, towarzysząca pani wówczas, gdy nikogo nie dopuszczano więcej ze dworu.

Na stole zobaczył Petrek poszarpane listy, które przywiózł, a Bona siedziała z twarzą jakby obrzękłą, pomarszczoną, obwisłą, tak straszna jak jej sobie nie przypominał Dudycz.

Nim się zbliżył, zdawała się go piorunować oczyma, i krzyknęła ręką potrząsając listy.

— Coś mi to przywiózł? prawdali to? Nie może być, Dżemma oszalała! Cóż się tam w Wilnie dzieje?

Petrek zimno, ale ze szczegółami opowiadać zaczął, jak się napróżno do króla dobijali, który tak dobrze jak znać ich nie chciał.

Potwierdził i to, że zamek dla młodej królowej pośpiesznie przygotowywano, a co się tyczy podejrzeń, iż August potajemnie znosił się z żoną, nie umiał powiedzieć nic.

Bonie wiadomość ta tak była nieprzyjemną, iż niebardzo jej wierzyć chciała. Odzyskać straconą władzę nad chorym mężem było jej łatwo, ale nad synem, który się raz z rąk wyrwał, wiedziała, iż się stać może niepodobnem. Znała jego słabość, serce miękkie i przeczuwała, że tak samo żona go opanuje, jak wprzódy ona nim władała.

Odstępstwo syna wprawiało ją w rozpacz. Przypisywała je niezręczności Dżemmy, głupocie Bianki i na wszystkich wyrzekać zaczęła, łając ich i grożąc.

Dudycz niewielu słowami uniewinniać się starał.

Po krótkiej rozmowie, gdyż królowa nadto była rozgniewaną aby ją prowadzić długo, Dudycza odprawiono do jutra.

W przedsieni czatujące pochwyciły go panny dworskie Bony i zaprowadziły do siebie, domagając się, aby im o żonie swej i Biance opowiadał. Ale Dudycz ostrożnym był i mało co się od niego dowiedziały; z humoru tylko jego i królowej domyślać się mogły, iż zaszło coś niespodziewanego i niepożądanego.

Dudycz nie mogąc na króla, narzekał na „boćwinę“ litewską, jak on ją zwał, na obyczaj dziki, na wszystko.

Drugiego dnia o zmroku zaprowadzono go do królowej, która już była nieco ostygła, ale rozczytawszy się w listach i rozmyśliwszy, doniesienie Dżemmy wzięła do serca. Nie wątpiła już o zdradzie syna, o podstępach Elżbiety, o tajemnych stosunkach.

Nienawiść jej ku synowej spotęgowała się jeszcze obrażoną miłością własną, iż ją śmiano i potrafiono podejść i oszukać. Odgrażała się w duchu zemstą srogą.

Jedyną pociechą było, że astrolog jej ciągle w gwiazdy patrząc, stanowczo młodej pani nie obiecywał długiego życia.

Ale i krótki tryumf odniesiony nad nią, był nieznośnym.

Serce Augusta straciła, a czy je odzyskać mogła, było wątpliwem. Myślała już w miejsce Dżemmy wyprawić do Wilna inne dziewczę młodziuchne, urody wielkiej, na które niegdy król rzucił był okiem, lecz niedoświadczone dziecko samo jedno nic nie mogło sprawić.

Ostro nakazała Bona Dudyczowi, aby się z żoną z Wilna nie ruszał i starał dostać koniecznie do króla, a do Dżemmy napisać poleciła, aby jej donosiła o wszystkiem i utracone względy (własną winą) starała odzyskać.

Poselstwo to w ogóle bardzo dla Bony pożądane, dla królowej Elżbiety groźne, Dudyczowi nie przyniosło nic a nic. Bona mu ani dała ani obiecała od siebie nagrody za służbę, zburczała i odprawiła nazad do Wilna.

Petrek nie śmiejąc w Warszawie gościć długo i nie mając też co poczynać, niebawem też wyruszył z powrotem, niebardzo śpiesząc, bo nic się dobrego w Wilnie zastać nie spodziewał.

W czasie tej jego podróży, Włoszka wysławszy zażalenie do królowej, nie zaniedbywała mimo to kołatać do króla, ujmować Merlę przez Biankę, którą on mile widywał, i czatować na Augusta, rzadko i na krótko pokazującego się w Wilnie dla rozpatrzenia

w robotach zamkowych, tak że często, gdy Dżemma się dowiedziała iż przybył, i słała do niego, on już do Trok lub do Lidy wyruszył.

O zobojętnieniu króla wątpić już nie było podobna, nietylko ostygł zupełnie, ale nawet zapominał, że coś dla niej uczynić był powinien.

Merło się przysięgał, iż panu przypominał Dżemmę, ale za każdym razem król milczeniem i spojrzeniem znaczącem go zbywał.

Męczyła się namiętna Włoszka, płakała, chorowała, wymyślała rozmaite sposoby zbliżenia się, których wykonać nie mogła, naostatek śmiertelnie nudzić się zaczęła.

Był wówczas na dworze Augusta między innymi Włochami jeden, który się zwał Testa, a dano mu od jego obowiązków przydomek *il Cavalcatore*, bo konie królewskie ujeżdżał. Mężczyzna był urody i postawy bardzo pięknej, młody jeszcze, wesół, a że łaski u pana miał, butny i śmiały.

Raz natrafiwszy na Biankę gdy z Merłą rozmawiała, rad był, że Włoszkę znalazł i nazajutrz po wyjeździe Dudycza do niej się stawił.

Bianka, która go przyjąć nie miała gdzie, choć rada mu była, zaprowadziła do Dżemmy. Tę Włoch zobaczywszy, łatwo się domyśleć jaką dla niej miłością rozgorzał.

Dumna pani, choć jej to pochlebiało, w początkach go bardzo surowo przyjmowała, nie dając przystępu do siebie, lecz Włoch był zręczny, pochlebnik, znał kobiety i wcale się tem nie zraził.

Oprócz innych talentów Testa śpiewał choć nie uczenie ale przyjemnie wesołe piosenki ludowe.

Nieznacznie weszło w zwyczaj, że przychodził wieczorem, siadywał bałamucąc obie Włoszki, niekiedy je do śmiechu pobudzając, a w końcu i pożądanym się stał, bo je bawił.

Dżemma zaczęła na niego patrzeć okiem łaskawszem. Miał łaski u króla, chciała go użyć za pośrednika, bo Merło się jej wydawał niezręcznym.

Włoch przyrzekał więcej daleko niż się spodziewał dotrzymać, bo w istocie nie miał tej poufałości i zaufania u Augusta, aby śmiał mu coś powiedzieć.

Łudzona obietnicami Dżemma, coraz Włocha więcej potrzebowała i dała mu wstęp do domu, w którym się on zasiadywał.

Tak się to dosyć długo ciągnęło, a Augusta w ciągłych przejażdżkach schwycić nie mogła Włoszka, aż naostatek za poradą Testy, wybrała się za miasto, gdy miał wieczorem z Trok powracać i zuchwale mu zastąpiła drogę.

Szczęściem król tak jak sam był, bo nie miał nikogo oprócz dworzan przy sobie. Zatrzymał się zobaczywszy ją, bo litość może powziął nad nią, i oddawszy konia dworzaninowi, pieszo dalej szedł z nią razem.

Dżemma wiedząc, że się jej może niełatwo uda drugi raz z nim spotkać, wybuchnęła wyrzutami i narzekaniem straszliwem.

Przypominała mu dawne obietnice i przysięgi, opłakiwała swą niedolę, groziła, że życie sobie odbierze. Scen takich August nie lubił, a serce miał miękkie.

— Uspokój się, na Boga — rzekł — nie zapomniałem o tobie, ale się okoliczności zmieniły; król nie jest panem siebie, a rychlejby nas niewolnikami niż królmi zwać przystało. Nie wymagaj odemnie czego dać nie mogę.

— Ja nic nie chcę oprócz serca! — płacząc odparła Włoszka.

— Nie odebrałem ci go, masz je — rzekł król — lecz przed całym światem z tą miłością się okazywać nie mogę. Nie dość, żem ja żonaty, ty wyszłaś za mąż nie spytawszy mnie, a to samo nas rozdziela.

— Jako? — krzyknęła Dżemma — moje małżeństwo żadnem jest! Męża mojego nie znam. Wzięłam go jedynie dlatego, abym mogła sobą władnąć i tu przybyć, a wy mnie, królu i panie, karzecie za to, co mnie najwięcej kosztowało i było ofiarą dla ciebie.

Zygmunt nie odpowiedział nic, zwolnił kroku.

— Słuchaj Dżemmo! — rzekł stanowczo — uczynię dla was i dla ciebie co tylko mogę, lecz na życie ze mną nie rachuj. Dziś ono niepodobieństwem. Samo przebywanie twoje tutaj niemiłem mi będzie, jedź dokąd chcesz. Mężowi i tobie dam zapomogę, gdy tylko władzę odzierżę, a to nastąpi wkrótce.

Usłyszawszy wyrok ten Dżemma zachwiała się i byłaby z krzykiem padła na ziemię, gdyby nieopodal stojąca Bianka nie pochwyciła jej w silne ramiona. Król natychmiast konia sobie podać kazał i na zamek odjechał.

Gdy do siebie przyszła pani Dudyczowa, rozpacz jej zmieniła się w gniew i pragnienie zemsty okrutne. Straciła wszelką nadzieję, życie jej było zwichnięte.

Przez dni kilka Bianka musiała czuwać nad nią, chować sztylety i zapobiegać aby nie dostała trucizny. W końcu jednak uspokoiła się tyle, iż z odgróżkami na ustach, postanowiła powrócić do królowej.

Merło z rozkazu Augusta w parę dni potem przyniósł paręset czerwonych złotych i radę, aby się z Wilna oddaliły. Dżemma rzuciła pieniądzmi o ziemię, ale je Bianka skrzętnie pozbierała. Nie chciała nawet czekać na powrót męża, a że Testa wypraszał się do Krakowa i ofiarował jej towarzyszyć, wszystkie Włoszki razem z nim puściły się w drogę ku Warszawie.

Los dziwny chciał, by z Dudyczem się gdzieś rozminęli niepostrzeżenie, tak iż ten do Wilna przyjechawszy, znalazł izby puste i dług tylko niezapłacony, który uiścić musiał.

Gospodyni mu bez ogródki opowiedziała, że żona jego z Włochem kawalkatorem w świat ruszyła.

Co się tam z Dudyczem działo, gdy się dowiedział o swoim losie, nikt nie odgadł, bo zasępił się, gębę zwarł mocno, zębami zgrzytnął, ale słowa nie powiedział.

Milcząc dług zapłacił, koniom odpoczął, sam się wyspał, a gdy nie było tu co robić, poszedł Merłę pożegnać i zabrał się żonę gonić.

Zobaczywszy go dworzanin królewski zdziwił się widząc tak na pozór obojętnym. O Włochu kawalkatorze mowy nie było. Dudycz wyjazd jejmości składał na nieporozumienie. Spytany o to kędy bywał i co słyszał, powiedział że nic nie wie nad to, iż stara królowa z młodą w Warszawie siedzą.

Zamkniętym i milczącym znalazł go Merło aż do zbytku.

Nazajutrz rano Dudycz już był na koniu i ruszył rozpytawszy o jak najbliższą drogę do Warszawy, pewien, że tam żonę zastanie.

Ponieważ królowej nie była już potrzebną, myślał ją zabrać na wieś do siebie i tam zamknąwszy ugłaskać a zmusić do lepszego z sobą pożycia.

Lecz Petrek lepiej się znał na soli i na handlu nią, niż na sercach kobiet i włoskim temperamencie.

Próżne były wszelkie starania Bony, aby zjazd w Brześciu został odroczony. Wydano listy i stary król, choć nie zbyt silny, na dni kilkanaście przed terminem wyprawił część dworu, za którym sam i dwie królowe z nim puściły się małemi dniami, kierując ku Bugowi.

Bona jechała milcząca, blada, z oczyma zapłakanemi, nie mówiąc do synowej, mierząc ją wzrokiem zjadliwym, którego wyraz przejmował trwogą Elżbietę. Pokora, uległość, posłuszeństwo, wszystkie środki przebłagania tego tłumionego gniewu, który nie wybuchał, bo nie miał najmniejszego pozoru, coby go mógł usprawiedliwić, napróżne były ze strony Elżbiety.

Codzień prawie spotykały ją dotkliwe przykrości, które w milczeniu połykać musiała, taić i twarz, na przekór im, okazywać wesołą. Bona za poradą swego astrologa i lekarzy, przestrzeżona, iż młodej królowej drażnienie niebezpiecznem być mogło, właśnie zdawała się rachować na nie, aby chorobę, o której wiedziała, na której objawy czatowała, wywołać.

Lecz szczególnem zrządzeniem jakiemś, Elżbieta, którąby może szczęście zmogło, ucisk wytrzymywała bohatersko. Hölzelinowna, czuwająca nad nią, każdego dnia dziękowała Bogu, gdy przeszedł bez wypadku. Lękała się, aby kiedy paroksyzm ów straszny nie pochwycił królowej w chwili, gdy na nią dwór i stary król patrzał.

Zygmunt dotąd, gdy o chorobie synowej Bona mu mówiła, kłam jej zadawał. W istocie kilka razy ze znużenia, po łzach, po wielkiem zmartwieniu w nocy dostawała Elżbieta tego zdrętwienia, gdy oprócz piastunki, nikt nie był jego świadkiem. Przechodziło to snem do rana, a choć nazajutrz bladą była i twarz świadczyła o znużeniu, Hölzelinowna zaprzeczała chorobie i sama Elżbieta zaręczała, że jest zdrową. W tem, jak w innych sprawach, nie powodziło się teraz Bonie, a przy jej charakterze gwałtownym łatwo się domyśleć do jakiego stanu to ją doprowadzało. Gotowa się była chwycić środków ostatecznych.

Codzienne potajemne narady z lekarzami, nie samym stanem zdrowia króla były spowodowane.

Podróż do Brześcia, osłabioną wiosennem powietrzem królowę Elżbietę, nadzieja połączenia się nareście z mężem, wyzwolenia z więzów nieznośnych, dźwignęła cudownie. Twarzyczka jej zarumieniła się znowu, usta uśmiechały jeszcze milej, ściskała Kätchen i zaręczała jej, że nigdy, nigdy już chorować nie będzie.

Hölzelinowna jechała z wielką i nieustającą obawą. Wiedziała ona, iż wszelkie wstrząśnienie moralne, cierpienie duszne mogło nagle sprowadzić paroksyzm, a na tych nie zbywało, dzięki Bonie.

Naostatek po długiej, powolnej podróży nad rozlanym jeszcze szeroko Bugiem wiosennym, ukazał się naprzód Błotków, a potem szary, po większej części z drewnianych domostw składający się Brześć litewski.

Wiosenna pora dobraną była na zjazd, dlatego też, że w miasteczku Litwa zebrana na żaden sposób pomieścić się nie mogła.

Leżała obozem dokoła.

Oprócz panów litewskich, prócz szlachty, Polaków też urzędników znaczniejszych i senatorów do boku króla przystawiło się niemało.

Gdy Zygmunt Stary i obie królowe przyjechały do Brześcia, Augusta tu jeszcze nie było, obiecywano go na jutro.

Jeżeli kto to Bona czekała na syna z najżywszą niecierpliwością, czując że spotkanie to o przyszłości wyrokować miało. Nie żeby się ona jej wyrzec chciała, znajdując Augusta zmienionym dla siebie, miała jeszcze siły do walczenia z nim, ale wolałaby była uniknąć gorszącego zajścia z dzieckiem własnem, które liczbę jej przeciwników zwiększyć musiało.

Serce matki, kobiety, ma przeczucia i widzenia wczesne — i Bona, choć się jeszcze łudzić starała tem, iż Augusta potrafi znowu pozyskać, że mu się wyzwolić nie da, czuła iż miał jej, po jedenastu miesiącach spędzonych na Litwie, innym niż jechał powrócić.

Wszyscy ci panowie litewscy, którzy go tu poprzedzili i króla wyjechali na moście między Błotkowem a Brześciem powitać, zgodnie wynosili Augusta, chwalili go i dziękowali zawczasu ojcu, że im takiego pana miał dać do rządów.

Król tych zbytnich pochwał nie lubił i przyjął je w milczeniu. Bona oczami zdawała się nakazywać oratorom powściągnięcie się od nich. Elżbiecie serce rosło.

Nazajutrz wedle obietnicy przybył Zygmunt August, wiedząc już o ojcu, matce i żonie, i uroczyście w kościele się spotkał z niemi. Wszyscy co go tak długo nie widzieli, żona pierwsza, wielce na korzyść znaleźli zmienionym.

Wyjeżdżał z Krakowa, można było powiedzieć, młodzikiem, powracał z Wilna poważnym mężem.

Dojrzałość ta malowała się w wejrzeniu, twarzy, w postawie i ruchu każdym. Pięknym był i krasa młodości niezwiędła kwitła na jego obliczu.

Przy powitaniu ojca i matki, oko jego padło na stojącą za niemi żonę, która od tego wzroku zadrżała, poczuła nawet ów tajemniczy powiew[4], który zwykł był poprzedzać odrętwienie, lecz wielka siła woli zwyciężyła to niebezpieczeństwo.

Z żoną powitanie publiczne było stosunkowo chłodne, ale Bonie wydało się obrachowanem na oszukanie ją kłamstwem.

August, znający dobrze matkę, która w tej chwili radość udawać usiłowała, widział, że była gniewną i zmagała się tylko na okazanie mu czułości.

Burza nadchodząca była nieuniknioną... król młody na nią zrezygnowany.

Po odśpiewaniu hymnu dziękczynnego i błogosławieństwie, królowie stary i młody, obie królowe, towarzyszący im dwór świetny, wszyscy na zamek jechali.

Kilka godzin zajęły uczta, rozmowy, przyjęcia osób przybywających, i Bona cofnąwszy się pierwsza do swoich komnat, przez dworzanina oznajmiła synowi, że tam na niego tegoż dnia czekać będzie, a widzieć się i rozmówić nieodzownie potrzebuje.

Dawniejszym obyczajem byłby August pośpieszył zaraz do matki, tym razem jednak dosyć na siebie czekać kazał, tak że wysłany dopiero po niego Opaliński przyprowadził go Bonie.

Królowa siedziała oparta o stół i nie rzuciła mu się na szyję jak niegdyś, oczy jej pałały ogniem, usta drżały i ręce, pierś miotała się gwałtownie.

Syn wszedł z twarzą wesołą, ale chłodny.

[4]*ów tajemniczy powiew, który zwykł był poprzedzać odrętwienie — Aura epileptica.* [przypis autorski]

Milczenie Bony było już groźne.

— W. K. Mość — odezwała się z przekąsem — bardzo mi spoważniałeś na Litwie i zapomniałeś o matce. Nie wiem czy ja na to zasłużyłam...

Oddech jej mowę zatamował.

Nie schyliwszy się do pocałowania ręki matki, August stanął.

— Zdaje mi się — odparł — że i ja na wymówki nie zasługuję. Czemże zawiniłem?

Bona poruszyła się na krześle.

— Nie kłam — zawołała unosząc się nagle — powracasz innym. Dałeś się ująć ludziom, którzy są wrogami moimi.

— Ja? — odparł August — ja? do tego się wcale nie czuję...

— Wierz mi — przerwała gwałtownie Bona — iż każdy twój krok, niemal myśl jest mi wiadomą. Kochałam cię i kocham, pragnę twojego dobra. Jesteś niewdzięcznym.

— Ale czemże zawiniłem? — chłodno zapytał Zygmunt August.

— O! uderz się W. K. Mość w piersi! — poczęła szybko królowa. — Łatwiej to uczuć mnie, matce, niż wypowiedzieć i wyliczyć. Od kilku miesięcy listy ustały prawie, ton się ich zmienił, w kilku znalazłam zdania zupełnie moim przeciwne. Naostatek...

Zamilkła nagle, chustkę, którą miała w ręku, rzuciła na stół i dłonią otarła oczy płakać poczynając.

Wtem we drzwiach, które się po za królową znajdowały, tak iż ona ich widzieć nie mogła, drgnęła zasłona ciężka, część jej uchylono i blada twarz Dżemmy, z oczyma gniewnemi, wlepionemi w Augusta, ukazała się na tle ich ciemnem.

Młody król spojrzał groźno i już mając odpowiedź na ustach, wstrzymał się z nią, Bona poruszyła się gwałtownie na siedzeniu — widmo Włoszki znikło.

Królowa tak była nawykłą zawsze do gniewu mięszać łzy i odegrywać sceny z mężem, któremi go nużyła a w końcu pokonywała, iż mimowoli z synem teraz miała rozpocząć podobną sprzeczkę, gdy spojrzenie na niego zmieniło to usposobienie. Nie potrzebowała z nim używać tych wybiegów, miała prawo powagą macierzyńską go pokonać.

Podniosła głowę dumnie.

— Dałeś mi W. K. Mość uczuć — poczęła głośniej — iż nawet na dziecko własne liczyć nie można, że ja tu jestem otoczona zdrajcami i zdradą. Od kilku miesięcy zmieniłeś się widocznie, królowa Elżbieta i jej przyjaciele pozyskali sobie afekt W. K. Mości.

— Nie miałem z niemi stosunków — rzekł August.

— Jawnych nie, ale potajemnie.

— Ja nic nie robię skrycie — odparł król.

— Maż to być wyrzutem, że ja sobie w ten sposób poczynam? — krzyknęła królowa.

August zmilczał.

— Starałam się godność królewską rodziny waszej ocalić opierając się rozkazom króla rzymskiego, który wraz z cesarzem chciałby z nas niewolników swych uczynić. Szlą nam tu posłów z wymaganiami coraz cięższemi, grożą, zmuszają, a my mamy uledz i być posłuszni? Na mnie spada cała ich złość dlatego, że ja was bronię z narażeniem moich dóbr w Neapolitańskiem, siebie...

Zamiast wdzięczności, król stary, jego rada przekupiona przez cesarza, który, wiem że ks. Samuelowi podarki przesyła, a nareście i wy bierzecie stronę Elżbiety przeciwko mnie...

August wysłuchał tej mowy cierpliwie, a Bona dodała jeszcze w końcu.

— Nawet tu, do Brześcia, jeszcze wysłali znowu posła z nowemi wymaganiami.

— Ale pozwól mi W. K. Mość powiedzieć — rzekł młody pan — iż domagania się te są słuszne.

Zmarszczyła się Bona i uderzyła o stół ręką.

— Tak już teraz sądzicie! tak — zawołała — a ja broniąc was od pożycia z niewiastą chorą, która i was może zakazić swoją chorobą, nie miałam słuszności?

— Królowa Elżbieta wcale nie jest chora.

— A zkądże o tem wiesz W. K. Mość, coś jej jedenaście miesięcy nie widział, gdy ja na nią codzień patrzę? — podchwyciła Bona. — Wyznajesz więc sam, że miałeś potajemne doniesienia, mnie nie wierząc.

— Nie potajemnie, ale jawnie świadczą o królowej ci, co ją też widywali ciągle —- rzekł August.

Bonie, widząc że jej syn nie ustępuje, łzy stanęły w oczach.

— Myślisz więc — wykrzyknęła — zgiąć się przed królem Ferdynandem i posłuszny rozkazom jego żonę zabrać? Słyszałam, żeś dla niej na zamku przygotował już pomieszczenie?

— Tak jest — odparł król sucho. — Nie mam i nie mogę mieć żadnej wymówki, jestem jej mężem, powinienem z nią żyć.

Sama W. K. Mość w liście do Herbersteina pisałaś mu, że ja mam własną wolę i mogę postąpić jak chcę. Czynię więc wedle rady W. K. Mości, korzystam z prawa mojego.

Bona się podniosła z krzesła.

— Któż W. K. Mości mówił o liście do Herbersteina? — krzyknęła.

— Aleć on tajemnicą nie był — odpowiedział Zygmnnt August.

Królowa już nie miała co rzec na to, płakała gniewna, ocierając łzy i poruszając się na krześle, jak gdyby z trudnością na niem utrzymać się mogła.

— Tak więc — dodała z za łez — W. K. Mość także zrywasz ze mną, nie chcesz ani rady, ani dobrodziejstw moich, ani serca! Bardzo dobrze! ale raczcie pomnieć, że ze mną rozbrat wziąć można, ale mnie przebłagać potem, nigdy! raczcie pomnieć, że ja tu jeszcze w tem królestwie, dopóki pan mój i król żyw, coś znaczę, a gdyby nawet Bóg mi go wziął, mam przyjaciół i obrońców mieć będę.

— Boli mnie — zimno odezwał się August — że W. K. Mość mnie już dziś jakby nieprzyjacielem swym a nie dzieckiem liczysz, gdy nic nie uczyniłem.

— Jakto nic? — przerwała Bona. — Przypomnij jakeśmy się rozstawali, a jak się dziś spotykamy. Padałeś mi do nóg, gdym wyposażyła na drogę, bo nie miałbyś z czem pójść na Litwę, gdyby nie dobrodziejstwa moje.

— Za które i dziś wdzięczen jestem — odparł August — ale nie wiem jak mam okazać wdzięczność moją.

— Ja nie potrzebuję żadnych oznak wdzięczności... dla siebie nic — poczęła podnosząc głos Bona — ja pragnę waszego dobra. Nie powinniście się dać upokarzać królowi Ferdynandowi i pozwalać narzucać żonę.

Spojrzała na syna, którego twarz wyrażała stałe postanowienie.

— Nie dla króla Ferdynanda ani dla cesarza to czynię, iż żonę zabiorę — rzekł sucho — ale dla sumienia własnego. Jest to obowiązek. Biedna królowa wycierpiała dość, czas jest, aby zajęła stanowisko, do jakiego ma prawo.

— Prawo!? — ironicznie powtórzyła Bona — prawo? Jednego grosza posagu dotąd nie wniosła, żyje z naszej łaski.

To niezręczne wtrącenie przymówki o posag, rumieńcem okryło twarz młodego króla, który dodał żywo.

— W liście swym król Ferdynand zapowiada wypłatę części znacznej posagowej summy za kilka miesięcy.

— A! na obietnicach u nich nigdy nie zbywa — rozśmiała się Bona.

Rozmowa zdawała się wyczerpaną. Królowa wiedziała to o czem się przekonać chciała, młody król też czuł, że stosunek dawny z matką może na zawsze został zerwany i zmieniony.

Wielką, namiętną miłość miała zastąpić nienawiść.

Nie zbliżając się nawet do matki, która w krześle swem siedziała rozparta, skłonił się nizko i zwrócił ku drzwiom. Bona, zapewne spodziewając się czegoś więcej, rzuciła się jakby gonić za nim chciała i pomiarkowawszy zaraz, głową skinęła, padła na poręcze siedzenia.

Zygmunt August krótko się zatrzymawszy w przedsieni, gdzie na niego czekali komornicy, zwrócił się do mieszkania żony, którą widział tylko zdaleka.

Zajmowane przez nią izby były tak szczupłe i niewygodne, że w głównej z nich zasłona wielka zawieszona w połowie oddzielała część jej od sypialni, w której Hölzelinowna siedziała.

Elżbieta zdawała się oczekiwać na męża, siedziała przy stole przebierając w otwartej szkatułeczce, zawierającej listy ojca, matki i rodzeństwa. Wyraz niemal dziecinnego wesela twarzyczkę jej nieco bladą ożywiał. Widać było, że w tej chwili nadzieja czyniła ją szczęśliwą.

Zdala posłyszawszy kroki, domyśliła się ukochanego, upragnionego męża, którego we drzwiach zapowiedziawszy dworzanin, sam ustąpił.

August wszedł z postawą swobodną i obliczem jasnem, obejrzał się po mieszkaniu, uśmiechnął.

Królowa powstała i nieśmiało, hamując się, kilka kroków naprzód postąpiła, nizkim ukłonem go pozdrawiając.

— Przychodzę na chwilę tylko — rzekł August — śpiesząc oznajmić W. K. Mości pani mej miłej, że ztąd razem połączeni pojedziemy do Wilna. Chciejcie więc do tego czynić przygotowania.

Elżbieta złożyła ręce i nie umiejąc słowem, odpowiedziała wdzięcznem spojrzeniem długiem.

— Jak długo w Brześciu zostać musimy, nie wiem — dodał August. — Wierz W. K. Mość, iżbym rad jak najkrócej.

Mówiąc młody król, który zdawał się nie śmieć przystąpić bliżej, i ręki jej nawet nie dotknął, badał ją pilno oczyma, a twarz jego świadczyła, iż skromna, łagodna, bojaźliwa pani młoda za serce go chwytała.

— Mamy tu ludzi tylu do widzenia, tyle spraw do załatwienia — dodał August — iż mi się dziwić nie będziesz W. K. Mość, że wiele z nią czasu spędzać nie mogę. Nagrodzę to sobie w podróży i na miejscu w Wilnie.

Mówiąc to skłonił się z galanteryą rycerską, ręką pozdrowił królowę, która schyliła się przed nim, i wyszedł szybko.

Hölzelinowna tak się dla pani swej obawiała silnego wrażenia przy tem spotkaniu, iż przez cały czas u zasłony stała na straży, a zaledwie się drzwi zamknęły, przypadła do Elżbiety, która osiadła w krześle.

Z niepokojem, przykląkłszy przed nią, badała jej twarzyczkę, która na chwilę zbladła, lecz rumieniec życia powrócił na nią. Ręce królowej splotły się na szyi piastunki.

— Widziałaś go? — szepnęła — Jaki on śliczny, jak bosko piękny, jak poważny, jak głos ust jego słodki, jakie wejrzenie życiem karmiące, co za muzyka w tych słowach, co za wdzięk w ruchach! Widziałaś gdy mnie żegnał.

A, ale ty, ty, moja Hölzelin, nie czytasz jak ja w jego oczach, głosie i mowie, która dla mnie ma znaczenie inne. Ja czuję to co on chce powiedzieć a nie mówi, co myśli. Kätchen! my będziemy szczęśliwi!

I przytuliwszy się jej do ucha szepnęła:

— A! Bona! Bona się będzie wściekała, ona co mnie tak chciała widzieć pod nogami swemi, błagającą litości!

Uspokojona piastunka wstała, starając się rozerwać panią swą, aby się nazbyt uczuciom silnym opanowywać nie dała, usiłowała ją zabawić, poprowadziła do okna okazując poczty, konie i oryginalne stroje ciągle na zamek przybywających panów.

Brześć był pełen, zjazd ogromny i nawet posłowie króla Ferdynanda się tu znaleźli, którzy, za radą Marsupina, pokoju nie dawali królowi staremu.

Zygmunt August zaledwie powrócił do kamienicy, którą zajmował w mieście, gdy mu oznajmiono podkanclerzego, ks. Samuela.

Biskup płocki pośpieszał tu, chcąc uprzedzić wpływy inne, i działać na korzyść młodej królowej, nie wiedział bowiem jak młody król był usposobiony, a Bony się obawiał.

Wyszedł na spotkanie jego Zygmunt August z tą twarzą weselszą, którą przywiózł z Litwy.

Biskup powitał go uprzejmie... siedli we dwu w pierwszej komnacie.

— Śpieszyłem powitać W. K. Mość — odezwał się ks. Samuel — a uprzedzić ją, iż król ojciec pragnie tego mocno, aby się raz nieporozumienia z królem Ferdynandem skończyły. Przybyły aż tu posły nalegając na to, aby królowa Elżbieta na Litwę z W. K. Mością jechała.

— Ale to jest rzecz postanowiona — rzekł młody król — przeszkody ku temu nie widzę żadnej. Zgodni jesteśmy wszyscy. Dotąd naprawdę nie było gdzie w Wilnie pomieścić królowej, zamek po pożarze nie był wyrestaurowany, a nim przyjedziemy, stanie gotów.

— Dzięki Bogu! — odparł, ręce składając. — Stanie się więc zadość prawom boskim i ludzkim, słusznym żądaniom rodziny i starego króla.

— Tak jest — potwierdził August — ja się tem równie cieszę jak król ojciec mój, bom tego pragnął.

Znalazłszy tak niespodziewanie powolnym młodego pana, biskup już tylko mógł winszować i błogosławić. Niemniej nagła w nim zmiana budziła ciekawość, bo zgoda na przyjęcie żony albo zwiastowała zerwanie z matką, lub z jej strony podstęp jakiś.

Tego się biskup obawiał i pragnął lepiej objaśnić.

— Tak więc — odezwał się — W. K. Mość potrafiłeś szczęśliwiej niż my, cośmy nad tem nadaremnie pracowali, przekonać królowę matkę, iż dłużej się zwlekać nie godziło.

Spojrzał na młodego króla, który oczy trzymał wlepione w posadzkę.

— Królowa JMość ma uprzedzenia, które nie łatwo zwyciężyć — rzekł. — Inaczej się na to zapatruje, nie zgadza się dotąd, lecz będę musiał wbrew jej życzeniom postąpić.

Sama ona, odpowiadając Herbersteinowi, wyraziła w liście, iż mam własną wolę, której użyć jest w mej mocy. W ten sposób całą odpowiedzialność zrzuciła na mnie.

Musiałem to J. K. Mości przypomnieć i do tego się odwołać.

Podniósł oczy na biskupa, który radośnie przyklasnął.

— Bardzo szczęśliwie! bardzo słusznie postąpiłeś W. K. Mość. Biorąc do słowa odpowiedź królowej, całą winęby na W. Miłość składano.

— Królowej Elżbiecie oznajmiłem, że ztąd razem jedziemy do Wilna — dodał August.

Maciejowski odetchnął. Rozmowa o przyszłym sejmie przeciągnęła się jeszcze czas jakiś, poczem odjechał Maciejowski.

Na chwilę pozostawszy sam, król podkomorzego dworu swego przywołać kazał.

— Włochowi kawalkatorowi Testa zechciejcie oznajmić — rzekł — iż usług jego na przyszłość potrzebować nie będę. Wypłacić mu polecić jego lenung i niech wraca zkąd przybył.

Nie tłómacząc się więcej, król na tem zakończył. Obrażonym się czuł przez Dżemmę, naprzód tem wyjściem za mąż, potem płochem przyjęciem za towarzysza podróży Włocha. W ten sposób dawna kochanka królewska czyniła panu ujmę, okazując się lekką i pospolitą dworką.

Dżemma powróciła na dwór Bony jak widzieliśmy, która może jeszcze na jej chęci pomszczenia się i na piękności i na miękkiem sercu syna coś budowała.

Przed przybyciem króla, zjawił się też ścigający żonę Dudycz, która znać go nie chciała.

Musiał prosić o posłuchanie królowej Bony, aby się skarżyć przed nią i prosić o wydanie małżonki, ale zagniewana królowa wyłajała go, że się z żoną obchodzić nie umiał, że na jej względy nie zasłużył, że wcale godzien nie był takiej połowicy i pozbyła się go nic nie obiecując.

Dżemma została przy fraucymerze, a dla męża była niedostępną.

Dudycz niewiedząc co począć, gdzie się zwrócić, czekał na przyjazd Augusta, poszedł z prośbą do Merły, aby mu posłuchanie wyjednał i postanowił prosić pomocy jego.

Nie łatwo było przy takim natłoku ludzi i zajęć o chwilę wolną. Król młody nie miał też ochoty wdawać się w tę sprawę, ale dozwolił Merłowi zrana, gdy się ubierał, wpuścić biednego Dudycza, który do ziemi się skłoniwszy, skargi wywodzić zaczął.

Żalił się na Testę; wtem król mu usta zamknął tem, że już odprawę dał i sługą jego nie był.

— Wstaw się W. K. Mość do najmiłościwszej matki swej — dodał Petrek — aby mi żonę oddała.

Król ramionami poruszył.

— Mogę to uczynić — rzekł — lecz z góry przewiduję, iż mojej prośby nie posłucha.

Piszczał i bolał srodze Dudycz, rachując straty ogromne, jakie już poniósł na niewdzięczną. Kazano mu przyjść dnia następnego.

Sam na sam z matką rzadko się teraz znajdował August i unikał tego, aby na próżne wymówki się nie narażać; ale szło mu o to, aby Dżemmę oddalić. Wstydził się jej teraz.

Na chwilę po obiedzie zszedłszy w jadalnej izbie na stronę, August przebąknął, iż mu się skarżył Dudycz i o żonę domagał.

— Gotowi i o to mnie ludzie obwiniać — zakrzyknęła Bona — iż ja jej daję przytułek! Ale to dawna moja wychowanka i sługa. Schroniła się pod opiekę do mnie, bo męża ma

gbura nieokrzesanego, który się z nią obchodzić nie umie. Nie trzymam jej, może jechać kędy chce, ale wypędzić nie mam serca.

Spojrzała jakby z wymówką na syna, że on serca nie miał.

August szepnął o tem, iż z Wilna uszła z Testą i okazała się płochą.

— Testa! — odparła Bona — towarzyszył jej razem i Biance. On też litość miał nad opuszczoną przez wszystkich, boś i W. K. Mość w Wilnie ją nieludzko przyjął, choć mu dawniej była bardzo drogą.

— W Wilnie na mnie tysiące oczu patrzało — odparł August. — Nie mogłem tego uczynić co chciała, bo się wprost na zamek dobijała.

— Kocha cię — rzekła Bona ciszej — winy jej nie widzę.

Król zamilkł.

— Zdaje mi się — dodał odchodząc od Bony — że najlepiejby uczyniła dziś do męża powracając.

— A! powracać nie może — rozśmiała się Bona — bo nigdy z nim nie była!

Na tem się skończyło pośrednictwo króla. Zagadnięta Dżemma, dumnie odparła, że Dudycza, prostego parobka znać nie chce i żyć z nim nie myśli. O Tescie nie było mowy, który jako kawalkator dawny młodego króla szukał sobie miejsca na dworze u jednego z możnych panów i łatwo je mógł pozyskać.

Gdy potem Dudycz stawił się do młodego króla, Merło mu w jego imieniu powiedział, że u królowej i u Dżemmy nic nie zyskał.

— Cóż ja mam robić? — lamentował Dudycz.

— Ba! na waszem miejscu — odparł Merło śmiejąc się — dałbym takiej jejmości za wygranę i znaćbym jej nie chciał.

— To nie może być — zawołał Dudycz — śmiać się ze mnie będą ludzie.

— Oni się już i tak śmieją — rzekł Merło.

— No, to trzeba przekonać, że ja kiedym co postanowił, umiem na swem postawić.

— Jak? — zapytał Merło.

Petrek miał, jak się okazało, plan już cały w głowie.

Królowej panny chodziły się kąpać do Buga, towarzyszyła im pani Dudyczowa. Miejsce w którem pod wierzbami i łozą szukały chłodku i wypoczywały, było od miasta i obozów oddalone. Uparty Petrek chciał urządzić tu zasadzkę, porwać żonę i uwieźć ją do domu. Przyznał się do tego Merle, który śmiał się a potakiwał.

— Jak sądzicie — spytał Dudycz — każe mnie stara królowa ścigać, będzie prześladować?

— Nie myślę — rzekł Merło — ma ona tu dosyć do czynienia, a Dżemma jej teraz nie tak potrzebna, aby miała zbytnio się o nią troszczyć. Jeżeli wy to potraficie, aby na razie wam jej nie odebrano, nikt pewnie za nią gonić nie będzie, chyba Testa, a ten siły nie ma i ludzi nie zbierze.

W kilka dni potem wieczorem wieść się rozeszła, iż z fraucymeru królowej starej piękną Włoszkę porwano i wpadła jak w wodę, poszedłszy do kąpieli. Ochmistrzyni i panny, które z nią były, szczególnie Bianka, opowiadały, że widziały gdy ją ludzie jacyś zbrojni pochwycili, usta jej zawiązali i do wozu zanieśli, który natychmiast w czwał puścił się ku gościńcowi.

A że i Dudycz zniknął, a Merło do zachowywania tajemnicy nie był obowiązany, wiedziano wkrótce, iż on własną swą żonę odebrał, czego mu tak bardzo za złe nie miano.

Testa też, który u Chodkiewiczów znalazł miejsce, nie mógł ani myślał gonić za nią. Królowa Bona skarżyła się o gwałt ten synowi, który najmocniej ręczył, że nie wiedział o niczem.

— W. K. Mość wydaliście ją za tego człowieka — rzekł — o czem ja wcale nie wiedziałem, nie można się dziwić, że o własność swą się upomniał.

Królowa Elżbieta wiedziała dobrze o Dżemmie i zawsze się jej obawiała, wielki więc ciężar spadł z jej piersi, gdy Hölzelinowna przyszła oznajmić, iż Włoszkę mąż porwał i wywiózł, dokąd, nie wiadomo.

— Byle królowa Bona winy tego wypadku na nas nie złożyła — odezwała się Elżbieta — bo co się kolwiek stanie, zawsze to na mój rachunek składają!

Odgadła dobrze młoda pani, gdyż w istocie puszczono ze dworu starej pani wieść, że posłowie i ludzie króla rzymskiego, z naprawy królowej Elżbiety, podmówili do wykradzenia i dopomagali do niego.

Chociaż Włoszka nie wydawała się już niebezpieczną, cieszyli się wszyscy iż się jej pozbyto, a August na opowiadanie o tem Merły, nie odparł ani słowa. Miłość jego dla niej dawno była wygasła.

Im więcej zbliżał się oznaczony dzień zamknięcia sejmu i wyjazdu młodych królestwa na Litwę, tem Bona gorączką większą miotana, zabiegała na wszelki sposób, aby jeżeli nie wzbronić odjazdu, przynajmniej go odroczyć.

Przyszło do tego, iż okazywała politowanie nad Elżbietą, która na Litwie lekarzy miała być pozbawioną, gdy w Krakowie do wyboru ich było, a stan zdrowia pilnej wymagał pieczy.

Ale August miał dwu doktorów — Polaka i Włocha, którzy, choć może Strusiowi i astrologom, doktorom Bony sławą nie równali, zdaniem jego starczyli.

Wiedząc jak dalece każde zbliżenie się czulsze do żony matkę rozdrażnia, król młody w czasie pobytu w Brześciu, mało, krótko i zdala ją tylko widywał, co ona rozumiała dobrze i nie żaliła się na to.

Żyła cała w tej błogiej przyszłości, jaką sobie obiecywała.

Napróżno też potajemnie zabiegała Bona, aby puszczenie rządów Litwy Augustowi choćby odroczyć. Dotąd powolny Zygmunt, usilnym naleganiom nietylko Litwy ale senatorów polskich uległ, znajdując słusznem, aby ten, co po nim miał objąć rządy całego kraju, uczył się na części jego trudnej sztuki rządzenia ludźmi.

Rzecz została postanowiona, ogłoszona, i Bona ze swym obozem, który w Litwie miał mało sprzymierzeńców, poniosła wielką klęskę.

Było to jakby zapowiedzią strat większych jeszcze.

Nadewszystko bolało ją to, że syn w ciągu pobytu w Brześciu nietylko się nie starał odzyskać łask, poddać na nowo, przejednać, ale widocznie unikał wszelkich zręczności widywania sam na sam i z wielkiem poszanowaniem, ale z większym jeszcze chłodem się z nią obchodził

Płakała temi łzami gorzkiemi gniewu, które boleści ulgi nie przynoszą, ale zatruwają jeszcze. Wszyscy co się do niej zbliżali, znajdowali ją dzikszą, przykrzejszą, niedostępniejszą niż kiedykolwiek. Pozostawał jej oręż jeden tylko, niezmierne skarby nagromadzone w Krakowie i Chęcinach, które i teraz jeszcze powiększać umiała. Król stary, choć osłabły, żyć jeszcze obiecywał, a dopóki on był na tronie, czuła się panią. Na syna już nie rachowała wcale, lecz nie myślała mu ustąpić.

Dzień zgonu Zygmunta miał być rozpoczęciem walki.

Jakim sposobem zjazd zwołany do Brześcia, ściągnąwszy tu królów obu, zatrzymał ich w tej nadgranicznej mieścinie, na niewygodnem obozowisku aż do października?...

O rozwiązanie tego pytania potrzeba było może spytać starą królowę, która na pozór nie mięszając się do niczego, umiała, nie sama ale przez swoich zabiegać tak zręcznie, iż zawsze coś wyjazd z Brześcia hamowało.

Im pilniej było młodemu małżeństwu połączyć się z sobą, a Augustowi objąć naostatek rządy Litwy, tem Bona rachując jeszcze na rozdzielenie syna z żoną, na utrzymanie się przy swej władzy, zwlekała mądrzej ostateczne rozwiązanie.

Chlubiła się ona tem, że na Litwie miała wielu przyjaciół i sprzymierzeńców; tymczasem ci co za panowania Starego Zygmunta istotnie przez nią i Gamrata stanowiska tam wyjednywali i płacili za nie, czując że Bona traci władzę nad synem, zwrócili się wszyscy ku niemu. Pomoc, na którą rachowała, zawiodła ją.

Z Augustem zaś, zamiast przejednania, stosunki tak się stały nieprzyjaźne, iż już w Brześciu dwór młodego króla, który mu był oddany, z dworem Bony i Gamrata stanął na jawnie nieprzyjacielskiej stopie.

Gdziekolwiek Augustowi zetknęli się z Bony służalcami, przechodziło do przymówek, odgróżek, i starsi tylko zapobiegali, aby do bójki nie dopuścić.

Młody król z dobrej woli nie przychodził do matki, widywał ją tylko przy ojcu lub publicznie, nie zapraszał się do niej, a ona też, okazując mu gniew, nie przywoływała go do siebie.

Rozjątrzona i gniewna dawała to czuć Elżbiecie równie jak Augustowi i obojgu starała się szkodzić u ojca.

Co do pierwszej, jak dawniej tak i teraz nie wiodło się królowej, co do drugiego Zygmunt, trochę zazdrośny iż synowi miłości wiele okazywano, łatwiej potwarzom i posądzeniom ucha nakłaniał. Nie okazywał mu i teraz twarzy łaskawszej, burczał, żalił się i zawsze coś miał mu do wyrzucenia. Przez cały ten czas Bona trzymała Elżbietę przy sobie i Zygmuncie, tak, że przystęp do niej mężowi był prawie niemożliwy. August przychodził żonę pozdrowić na krótko, podszeptywał jej aby miała cierpliwość, ona mu się uśmiechała biedna, w wejrzeniu jego czerpiąc do wytrwania siłę, i tak miesiące całe upływały na wyczekiwaniu.

Tymczasem Zygmunt, jeśli nie chorzał, to słabł i siły tracił widocznie, a ze zdrowiem moc ducha dawniejsza uchodziła. Aby pozyskać swobodę, często, sam nie wiedząc czego Bona się domagała od niego, przystawał na wszystko. Włoszka umiała wyzyskiwać to położenie.

Naostatek gdy po tych wysiłkach nadaremnych podróż Augusta na Litwę niezmiennie trwała na programie, a jesień nadchodząca groźną być zaczynała dla dróg i powietrza, trzeba było oznaczyć dzień wyjazdu.

Z jaką radością usłyszała o nim młoda królowa, August i Litwini, którzy oczekiwali na swego przyszłego W. księcia aby go prowadzić na stolicę Witołdową — opisać trudno. Bona zacinała usta a oczy jej mówiły: — I tam was moja dłoń dosięże!

Naostatek nadszedł ten dzień pożegnań uroczysty, z nabożeństwem w kościele, z pokłonami, z uściskami, ze łzami, i cały orszak młodemu królowi towarzyszący puścił się ochoczo ku Tykocinowi, Grodnu do Wilna.

Okazały był ten poczet najmożniejszych panów, najznakomitszych rodzin potomków, który Augusta otaczał. Z dumą spoglądać nań mogła młoda pani.

Radziwiłłowie, Chodkiewicze, Pruńscy, Wirszyłłowie, Gastoldowie w tych strojach, jakie onego czasu w używaniu były po całym Bożym świecie, każdy z dobraną i strojną też garstką ludu, z kolebkami, końmi powodnemi, paziami, giermkami, otaczali kolebkę szkarłatną młodej swej pani.

Pomiędzy temi młodemi i poważnemi magnatami, niektóre postacie odznaczały się takim smakiem i elegancyą, iż oczy porywały.

Starzy z brodami spływającemi na zbroje, młodzież w piórach na hełmach i złocistych napierśnikach, z tarczami barwnemi u siodeł, z Tatarami, których barki przyozdobiały kołczany złotem szyte, barwy służby jaskrawe, przepyszne konie, na gościńcu ciągnęły się milę drogi. Z kolei to jedna to druga garstka zbliżała się do kolebki i straż około niej obejmowała.

August też nie mógł razem z żoną odbywać podróży w kolebce, ale siadł na koń w towarzystwie Radziwiłłów i Chodkiewicza towarzysząc jej u stopni.

Elżbieta z Hölzelinowną zajmowała powóz na poły otwarty, tak, że swobodnie wzrokiem mogła ścigać ukochanego małżonka. Naostatek po tak długiem utęsknieniu byli razem, byli sami i nic i nikt nie mógł im przeszkodzić miłować się a być z sobą, wiecznie, wiecznie...

Z bijącem sercem myślała o tem tylko królowa i zdawało się jej, że w oczach męża czytała myśl tę samą, obietnicę stałej miłości.

A! straszne, długie przebyli próby miesiące, przeboleli przystęp do tego raju, który ich czekał.

Gdy teraz na myśl jej przychodził surowy, naigrawający się wzrok Bony, drżała jeszcze. Zdawał się ją ścigać, zdawała się te oczy nachmurzoną okryte powieką widzieć przed sobą.

Naówczas zwracała wejrzenie na Augusta, który jechał wesół, uśmiechnięty a tak piękny...

Trącała Kätchen i szeptała jej na ucho.

— Patrz! patrz! nie widaćże w nim króla i pana! nie jestże to najpiękniejszy z rycerzy i najszlachetniejszy z ludzi?

A w duchu powtarzała:

— Teraz nic, nic nas rozdzielić już nie może, nic, chyba śmierć. Nawet śmierć nie rozłączy, bo nasze trumny na wieczny spoczynek staną obok siebie.

Widząc ją tak wzruszoną, Kätchen z trwogą wielką starała się ją uspokajać. Obawiała się ona tego wstrząśnięcia całą istotą rozkochanej długo, a teraz nagle szczęściem swem aż do szału uniesionej wychowanki.

Jesień choć późna, jak gdyby niebo sprzyjało długo prześladowanym, zdobyła się na dni pogodne i piękne. Na drzewach trzymały się liście pofarbowane żywo barwami jesieni, w powietrzu ulatywały srebrne nici czarodziejskiej przędzy, słońce łagodnie świeciło na błękicie turkusowym. W powietrzu była woń liści zwiędłych i kłosów, nad drogą ostatnie kwiatki blademi główkami witały królowę, która wszystkiem się bawiła jak dziecko.

A choć kraj po drodze nie był wcale piękny, choć często długo żółte piaski z czarnemi jodłami i czarniejszemi jeszcze krzakami jałowców się ciągnęły, królowa wszystko znajdowała pięknem, zachwycającem.

Noclegi i popasy z powodu znacznej liczby ludzi i koni musiały być tak wyznaczone, aby dla młodej pary przynajmniej parę izb się znalazło na spoczynek. Reszta obozowała po chatach, szopach i pod bogatemi a zawczasu rozbitemi namiotami, w których nieraz może wygodniej było niż pod dachem.

W obozie panowała wesołość, uczucie jakiegoś wyswobodzenia, które się na wszystkich odbijało twarzach, odbrzmiewało w każdem słowie.

Na kogo spojrzała młoda pani, uśmiechał się jej każdy, biegł rad usłużyć i przydać się na coś.

Zdawali się wszyscy, panowie i słudzy, równie w niej rozkochani. Nie słychać było nic, tylko przechwały piękności, wdzięku i wyrazu dobroci rozlanego na jej twarzy.

Słońce zaszło jaskrawo za ciemne lasy, gdy cały orszak ten stanął wreście u starego dworu, który stanowniczowie przygotowali dla króla i królowej.

Ówczesnym obyczajem na takie przyjęcie dosyć było ścian czterech, ław i stołów, reszta na wozach jechała. Rozścielano kobierce, rozpinano opony, okrywano podłogę, stoły, drzwi nawet i okna, przynoszono sprzęt podróżny i w mgnieniu oka pustka się czarodziejsko przeistaczała w coś do pałacu podobnego.

Zupełnie tak samo na zamku krakowskim, gdy w jednej z sal pustych królestwo mieli zasiąść z gośćmi, służba je wyporządzała.

Na kominie płonął już ogień z suchych drewek olchowych, które tak ślicznym różnobarwnym, spokojnym płomykiem się palą.

Izb dosyć było dla wszystkich i sypialnia już z zasłanem łożem czekała na małżeństwo; a naprzeciw na stołach okrytych misy i dzbany pełne przynoszono, aby na wieczerzę nie czekali.

Wszystko się czarodziejsko składało a najpiękniej to, że wzroku Bony nie lękała się spotkać nigdzie Elżbieta, że mogła śmiało podnieść oczy, patrzeć i mówić do męża, a on się też nie obawiał jej okazać miłości swojej.

Nigdy też Hölzelinowna od lat dziecięcych nie widziała swej ukochanej pani tak szczęśliwą, tak wesołą i tak szczęściem tem piękną, promieniejącą. Nie mogła się jej napatrzeć.

Tylko ten blask jej oczu niezwykły, to poruszenie wielkie, trochę ją niepokoiły.

— A Boże mój! — myślała sobie — jeżeli przetrwała boleści tyle bezkarnie, czyżby szczęścia znieść nie mogła. Ono uzdrawia i życie daje!

Przy stole królestwo oboje siedzieli razem i piła Litwa zdrowie młodych państwa długich lat życząc, a wierność i miłość im poprzysięgając.

Nawet zwykle poważna i trochę smętna twarz Augusta nabrała wyrazu weselszego — odmłodniał.

Hölzelinowna stała ciągle za krzesłem pani swej sama jej służąc, jakaś obawa nie dozwalała się na krok oddalić.

Niekiedy czując ją po za sobą Elżbieta zwracała się z uśmiechem, nalewała jej wino, podawała potrawy, ale starej ani się pić ani jeść nie chciało.

Po wieczerzy król z Litwinami wyszedł przed dwór, bo noc była gwiaździsta i piękna, a dokoła ludek się weselił, aż miło słuchać go było.

W duszy Augusta jak w sercu Elżbiety dziwny spokój jakiś i uczucie wyswobodzenia zalegało. Pierwszy raz był panem woli swej i panem nad krajem, nad którym daleko

większą miał władzę niż ojciec w Polsce. Ojcowie jego i praojce królowali tej ziemi, to była jego ojczyzna. Czuł się tu w domu i było mu błogo.

Było mu błogo myśląc o tej biednej żonie, od której go okrutna dłoń matki dzieliła tak długo. Obiecywał sobie tej ofierze nieszczęśliwej nagrodzić wszystko co ona wycierpiała dla niego. On najlepiej wiedział czem być mogło to prześladowanie na każdym kroku, ta nienawiść nieprzebłagana.

W sypialni Hölzelinowna sama nie dając nikomu zbliżyć się do królowej, zdejmowała z niej suknie podróżne, które dość jej ciężyły, bo w kolebce na oczach ludzi strojną być musiała. Sama rozpuściła jej włosy, aby je ująć na noc w siatkę jedwabną; sama włożyła suknię białą do łoża przeznaczoną, zapaliła lampkę, opatrzyła czy czego nie brakło i cofnęła się ucałowawszy jej ręce, nie dalej jak do drzwi, które wiodły do izby dla kobiet przeznaczonej.

Z bijącem sercem, modląc się, stanęła tu na czatach.

Szpara we drzwiach i uchylona umyślnie zasłona, dozwalały jej widzieć wszystko, co się w sypialni działo. A niezdrożna ciekawość przykutą ją trzymała u proga — lękała się o biedne dziecko swoje. W mroku ujrzała jak się ukazał król, który tylko lekką, futrem okładaną, długą suknię miał na sobie.

Elżbieta, której głowa spoczywała na poduszkach, podniosła się.

Wolnym krokiem August zbliżył się do łoża i ujrzał dwie białe ręce wyciągnięte ku sobie.

— Królu mój! panie mój! — szeptały usta.

— Elzo ty moja! — odezwał się pochylając ku niej August — tak długo na tę chwilę szczęścia czekać nam było potrzeba... tak długo...

— A! wszystko zapomniane — szepnęła królowa — tyś mój, jam służebniczka twoja.

I widziała Hölzelinowna jak August pochylił się ku Elżbiecie, aby pocałunek złożyć na jej ustach, jak ręce go objęły białe — i krzyk rozpaczliwy wyrwał się z ust króla.

Ręce te, które objąć go chciały, nagle ostygły, wyprężyły się, stężały, opadły; oczy powlokły się mgłą, głowa na poduszki się zsunęła; Augustowi zdało się, że trupa już tylko trzymał w drżących dłoniach.

Okrzyk ten zaledwie posłyszawszy, wpadła Hölzelinowna przerażona. To czego się obawiała, o czego odwrócenie się modliła, przyszło jak piorun zatruć pierwszą szczęścia godzinę.

Król stał przelękły, gdy piastunka dając mu znaki, wcisnęła się do łoża i zwolna królowę układając, uklękła przed nim.

August stał niemy i jakby obłąkany.

— Omdlenie — odezwała się cicho Kätchen — miłościwy panie, trzeba ją tak zostawić, nie tykać, nie czynić nic, to przejdzie samo... A! to nic! to nic!

Ale mówiła napróżno, August jakby nie słyszał. Przychodziło mu na myśl co opowiadała matka; uczucie to, że trupa trzymał na rękach dreszczem strachu zabobonnego i wstrętu jakiegoś go przejęło.

Tak więc wszystko, los sam spikał się przeciwko niemu i w momencie tym, gdy miał być szczęśliwym, rozpocząć żywot błogi z kochającą go istotą, ręka zimna przeznaczenia stawała między nim a nią.

Z oczyma wlepionemi w bladości trupiej, zastygłą twarz żony, August stał, ruszyć się nie mogąc; stał jak przykuty, i oczy mu paliły łzy, które z nich wytrysnąć nie mogły.

Przekleństwo matki... fatalizm jakiś.. nieprzebłagane przeznaczenie... Szczęście jak rozbite naczynie wątłe leżało u nóg jego. Pozostawała istota biedna, niewinna, którą litość kochać kazała, a od której strach odpychał.

Hölzelinowna nachylona nad królową śledziła znamiona, po których o trwaniu paroksyzmu nauczyła się wnioskować.

Tym razem musiał on być długim i długim snem po nim pokrzepić się musiała królowa.

Ułożywszy ją na wezgłowiach, okrywszy, piastunka ciągle stojącego w osłupieniu Augusta zlekka pociągnęła za suknię i poprowadziła z sobą ku drzwiom.

Uklękła przed nim ze złożonemi rękami.

— Miłościwy królu — poczęła głosem, który łkanie przerywało — miłościwy królu, panie! A! nie trwoż się. Zbytek szczęścia sprowadził omdlenie... królowa tak was kocha, a tak długo była nieszczęśliwą i wycierpiała tyle! A! niech jej to serca waszego nie odbiera...

I chwyciła kraj sukni króla, całując ją a oblewając łzami. Podniosła oczy. August stał posępny, blady, przybity.

— To nie było omdlenie — odezwał się, z ciężkością zdobywając na słowo — to nie było omdlenie! To była, to jest ta nieszczęsna choroba, którą mi grożono.

Załamał ręce. Hölzelinowna umilkła spuszczając głowę.

— Jutro — rzekła cicho — ona o niczem wiedzieć, nic pamiętać nie będzie! Przysięgam wam N. Panie, przez cały rok niemal nie było nigdy podobnego wypadku. Zbytek wzruszenia...

August powiódł ręką po oczach i czole.

— Taka jest dola moja i jej — odezwał się sam do siebie. — Gdziekolwiek sięgnie dłoń moja, wszystko się w proch rozsypie. Nie doniosę do ust nic, czegoby mi los nie zatruł. Serce ojca odjęła mi matka, serce matki odjęła mi żona, a żonę wyrywa mi ręka Boża!

Załamał ręce.

— Czem zawiniłem?

I nie odpowiadając ani patrząc na Hölzelinownę, August jakby senny, wszedł do izby swojej, dopadł zaledwie krzesła i rzucił się na nie, głowę kryjąc w dłoniach.

U łoża Elżbiety klęczała Kätchen i płakała we łzach się rozpływając. Patrzała na martwą twarzyczkę, na skostniałe, wyprężone ręce, na trupią postać dziecięcia.

Nierychło począł paroksyzm odchodzić, poruszyły się palce u rąk i usta zdały znowu składać do uśmiechu. Westchnienie się z nich wyrwało lekkie. Ale oczy się nie otwarły. Opanował znużoną i osłabłą sen głęboki, kamienny, który Hölzelinowna znała dobrze. Miał on trwać do rana, a po nim następowało osłabienie straszne i długie.

O świcie już w obozie ruch się czuć dawał, lecz około starego dworu podkomorzy z rozkazu króla najgłębsze zalecił milczenie. August obojętnie zapowiedział, że sam się czuje trochę niezdrów i może spocząć tu będzie musiał.

Dowiedziawszy się o tem niespokojny nadbiegł podczaszy Radziwiłł. Wszystka tu Litwa, co otaczała króla, ludzie byli jeszcze starego kroju i obyczaju. Żaden z nich nie rozumiał ani choroby, ani znużenia. Padali na gołą ziemię dla spoczynku po kilkodniowych trudach, a wstawali z niej rzeźwi i zdrowi.

Chorzy szli do łaźni i pili stary miód.

Radziwiłł też królowi nic innego radzić nie umiał nad łaźnię.

— Nie potrzeba mi nic, oprócz spoczynku trochę — rzekł mu król, gdy go do izby wprowadzono. — Sądzę też, iż królowa spocznie trochę rada, bo wątła jest i dosyć się umęczyła w Brześciu.

Niektóre poczty już przodem wyruszyły o świcie, potrzeba więc było słać za niemi, aby się do tej zmiany zastosowały.

Dzień już był, ale przysłonięte okna nie wpuszczały go do sypialni, gdy królowa się obudziła i ujrzała przy łóżku swem siedzącą Hölzelinownę.

Z wejrzenia jej poznała piastunka, iż sobie przypomnieć nie mogła, ani gdzie była, ani co się z nią stało.

Z przestrachem oglądała się dokoła.

— Kätchen moja — szepnęła cicho — gdzie my jesteśmy? Co się stało ze mną? Śniłam? nieprawdaż? śniłam. A! to było rozkoszne marzenie.

On przyszedł do mnie, czułam go przy sobie, pochylił się ku mnie, wtem mroki nocy osłoniły mi wszystko... ciemność pożarła szczęście moje... zasnęłam kołysana jakby na morzu czarnem, cała w całunach. I spałam.

— Uspokójże się królowo moja — odparła Hölzelinowna. — Byłaś bardzo, bardzo znużoną podróżą. Cóż dziwnego! Sen przyszedł nagle.

— A on? — spytała niespokojnie królowa.

— On kazał, aby cicho było i żeby cię nie budzono — rzekła piastunka.

— Widział mnie?

— Śpiącą, zdaleka. Ja pilnowałam u drzwi.

— A! — odezwała się Elżbieta ręce łamiąc — ten sen nieszczęsny! zawsze ten sen, co jak kamień spada na mnie.

Łzy poczęły płynąć z jej oczów.

Szmer rozmowy posłyszeć musiał król z komnaty sąsiedniej, wszedł na palcach.

Uczuła go i trwożliwie osłoniła się okryciem. August zbliżał się powoli z widoczną na twarzy obawą, układając ją do uśmiechu.

Królowa się zarumieniła, spojrzała na Kätchen, która umyślnie nie ustępowała. Nie zważając na nią August, podszedł zwolna aż do łóżka i rzekł łagodnie.

— Potrzebujecie spoczynku, kazałem się tu zatrzymać. Używajcie, proszę, wczasu, bo podróż jeszcze długą i nużącą mamy przed sobą.

To mówiąc schylił się ku niej i zawahawszy nieco, w czoło ją pocałował.

Elżbieta podniosła się zarumieniona i szczęśliwa.

— Królu mój — zawołała — a! jak mi wstyd, jakim ja śpiochem jestem niegodziwym. Powinieneś mnie ukarać.

Ta wesołość, która trochę zdumiała Augusta, zdawała się go uspokajać. Usiadł na stojącem przy łożu krześle.

— Sądzę — odezwał się — iż najlepiej będzie, gdy cały dzień tu przestojemy, a wy, królowo moja, pozostaniecie w łóżku i wypoczniecie lepiej. Nikt wam nie zakłóci spokoju, a ja się nie oddalę.

Elżbieta schwyciła milcząc rękę króla i chciwie całować ją zaczęła, ale poczuł na niej łzy ciepłe i drgnął biedny król.

Zwrócił się do piastunki.

— Proszę was, czuwajcie nad królową — rzekł — a gdy dla was przyjdzie obiadu czas, każcie tu nakryć i mnie przywołać. Nie chcę, aby się królowa ubierała do ludzi, a do mnie nie potrzebuje.

Wyszedł.

— Hölzelinowno moja! — zawołała ręce drobne składając królowa. — Słyszałaś? nie jestże to anioł dobroci? nie jestże to ze wszystkich ludzi najlepszy człowiek, ze wszystkich mężów najlepszy małżonek, a ja najszczęśliwszą z istot na ziemi.

Hölzelinowna zbliżała się żywo, lecz nim zdołała ująć główkę królowej, padła na poduszki oblana bladością trupią, zamknęły się oczy, otwarły usta, wytężyły ręce. Elżbieta leżała nieprzytomna, a piastunka u łoża wiła się łamiąc ręce z rozpaczy.

Długi, długi przeciąg czasu upłynął, młody król z żoną siedział na zamku w Wilnie. Ludzie, co na pożycie małżeństwa patrzyli zdala, cieszyli się szczęściem jego.

Gdy młodziuchna, dziewiczo wyglądająca, blada, wątła ale piękna jak biały kwiatek wykwitły w cieniu, królowa ze spuszczonemi oczyma, w towarzystwie swej ochmistrzyni przechodziła do zamkowego kościoła, do kaplicy grobu św. Kazimierza, zwracały się ku niej wszystkich wejrzenia, odkrywały głowy i ciągnęła serca za sobą.

Nie pominęła żadnego ubogiego bez jałmużny, uśmiechnęła się najbiedniejszemu, dzieci biegły do niej ośmielone z wyciągniętemi rączkami.

Ci co bliżej dworu stali, co ją częściej widywali, nie mogli się dosyć nachwalić łagodności i dobroci.

Nazywali ją jedni Lilią białą, drudzy Aniołem i nie było człowieka, coby nie wielbił tej królowej.

Duchowni sławili pobożność jej, dwór łaskawość, młodzież unosiła się nad pięknością, poeci porównywali do Heleny greckiej i opiewali ją wierszem łacińskim.

Król zdawał się troskliwie czuwać około skarbu tego.

Ale ani na twarzy jego, ani na obliczu postarzałem piastunki, nie widać było tego wesela i błogiego uczucia szczęścia, jakiego ludzie się tu domyślali.

August chodził poważny nad wiek, zadumany, smutny, jakby mu życie i rządy, z których się wszyscy cieszyli, ciężyły.

Czasami nagle wśród tego spokojnego, jednostajnego trybu życia, zachmurzały się czoła, królowa się nie pokazywała. Nie widać jej było idącej do kościoła, ani na przechadzce w ogrodzie, który pod zamkiem nad rzeką król założył, i gdzie Elżbieta karmić była zwykła białe łabędzie swoje.

Naówczas gdy się niespokojnie pytano Hölzelinownej o zdrowie pani, przeczyła żeby była chorą, mówiła że spoczywa znużona trochę.

I po niejakim czasie, ukazywała się znowu na drożynie wiodącej do kościoła z tym samym uśmiechem dziewiczym i pogodą na twarzyczce bladej.

Do Krakowa kto przybywał z Litwy, a pytał go stary król jak się tam syn rządzi, wszyscy mu odpowiadali wynosząc go pod niebiosa, a Bona usta zakąsywała ironicznie. A stary nasłuchawszy się pochwał, mruczał jak zwykle:

— Zostawcież też co do naganienia.

Gdy o młodej królowej mówiono, odwracała się Bona słuchać nie chcąc, zburzona, a choć z Wilna o zdrowiu jej przychodziły wieści uspokajające, ona zawsze wiedziała o jakiejś chorobie, i staremu mężowi nie przestawała wyrzucać, że synowi dał żonę, która mu życie zatruje i wstrętnem uczyni.

— Chorobę ma — powtarzała — z której ją nikt nie uleczy.

— Baśnie to są — zaprzeczał Zygmunt i milczeć nakazywał żonie.

Wtem naraz przyszły do Krakowa zatrważające wieści, potwierdzały je i listy Dantyszka, wielkiego wielbiciela Elżbiety. Królowa ciężko, niebezpiecznie zapadła.

Skarżył się na to sam August, posłano po lekarzy do Krakowa.

To co dotąd tajemnicą było, stało się przez nich jawnem — królowa miała straszną tę chorobę którą *wielką* zwano, a na nią doktorowie lekarstwa nie znali żadnego.

Przez czas jakiś zwątpiono o życiu. August chodził pogrążony w smutku wielkim. Gdy już wszelka prawie nadzieja stracona została, Elżbieta cudem podniosła się z łoża i powróciła do życia.

A gdy do niej przyszedł mąż potem, chwyciwszy rękę jego, patrząc mu w oczy z miłością wielką, szepnęła mu:

— Wyprosiłam u Boga, aby mi jeszcze z wami, królu mój, pozostać pozwolił.

Stanęły Augustowi w oczach łzy, i wyszedłszy od żony gdy spotkał Strusia, który z Krakowa był sprowadzony, wziął go do swej komnaty.

— Proszę was — rzekł — uczyńcie co jeno w ludzkiej mocy jest, abyśmy się żywotem i zdrowiem ukochanej małżonki cieszyć mogli.

Nie ma ofiary, którejbyśmy dla tego nie byli uczynić gotowi.

— Miłościwy panie — odparł lekarz, który pochlebiać ani kłamać nie umiał — co w ludzkiej mocy jest, nie na wiele się przyda. Myśmy z nauką naszą ślepi, a Bóg jeden wszechmocny.

Westchnął stary i zamilkł.

— Hipokrates, ojciec nasz — począł po chwili — całą księgę o chorobie tej napisał, a tyle z niej wiemy, żeśmy przeciw niej bezsilni.

— Mówią — odparł król — iż angielscy monarchowie moc mają od Boga przy namaszczeniu daną, leczenia chorób takich dotknięciem lub przesłaniem pierścienia, o który postarać się będziemy musieli.

Struś spuścił oczy.

— Wszystkiego próbować należy — rzekł chłodno — choćby i pierścienia. Mocy tajemniczej rzeczy nie znamy, ale jeżeli choroba dziedziczną jest, trudno ją zmódz.

August odparł.

— O chorobie w rodzinie nie słyszałem, a w Pradze, się nieprzyznają do tego. Astrologówby pytać potrzeba. Królowa dzięki staraniom waszym ma się znacznie lepiej, codzień życie i siły wracają, mam otuchę, iż napady te nie powrócą.

— Miłościwy panie — rzekł Struś — jako kwiatu delikatnego strzedz potrzeba wątłej pani od wszelkiego powiewu gwałtowniejszego, czy on z południa, czy z północy przychodzi.

Zarówno wielka radość jak smutek wielki szkodliwe jej są, nad tem czuwać należy.

Zygmunt August wiedział o tem bardzo dobrze, czuwano nad królową, osłaniając ją zewsząd.

Lecz Bona też przez swoich lekarzy wiedziała to samo, a nienawidziła kobietę, która jej serce syna wydarła.

Z piekielnem wyrachowaniem Włoszka dobijała swą ofiarę. Trucizny, o którą ją pomawiano, dawać jej nie potrzebowała, dosyć było aby zręczna ręka podrzuciła paszkwil Elżbiecie, aby jej do uszu dopuszczono wieść, która nią wstrząsnąć mogła.

Ani król, ani Hölzelinowna zapobiedz nie mogli, by w ogrodzie na uliczce, w zamku na ścianie, nawet w książce pobożnej królowej, na klamry złote zamkniętej, nie znalazł się świstek, po którego przeczytaniu Elżbieta bladła i padała jak nieżywa.

Po każdym takim paroksyzmie wstawała słabsza, a sama obawa nowej napaści życie jej czyniła nieznośnem.

Nieprzyjaciółkę oddaloną, nieubłaganą czuła i widziała nieustannie, krok w krok idącą za sobą, stojącą w nocy u łoża, we dnie za siedzeniem.

Jej siepacze skryci, niewyśledzeni, tak umieli się osłonić, tak kłamali wierność, iż ich pochwycić nie było podobna. Sprawę tylko rąk tych niegodziwych każdy niemal dzień przynosił.

Mnóstwo papierów niszczyła Hölzelinowna, król naznaczył znaczną nagrodę na wykrycie sprawców tego katowskiego prześladowania — nie pomagało nic. Śladu odkryć nikt nie umiał.

Ostatnia, najcięższa słabość spowodowaną była paskwiluszem niemieckim, który Elżbieta w ławce swej zamczystej znalazła w kościele.

Podłe piśmidło urągało się jej i przepowiadało śmierć rychłą, obrachowane było aby dobiło. Wyniesiono Elżbietę zdrętwiałą z kościoła, długi czas była na skraju grobu i cudem potem powstała jeszcze.

Odżyła, jakby zapomniała co wycierpiała.

Wtem nadeszła wieść z Krakowa radośna, że posłowie króla rzymskiego przybyć tam mieli wioząc znaczną część posagu we złocie i srebrze. Wzywano Elżbietę i Augusta na odebranie i pokwitowanie. Zygmunt Stary zapraszał oboje do siebie, rad pragnął widzieć uzdrowioną synowę.

August przyszedł żonie odczytać listy. Zarumieniła się i pobladła. Stała zadumana i stroskana, i długo musiał czekać na odpowiedź.

— A! królu mój, panie mój — rzekła głosem drżącym — jam służebniczka twoja, jam na rozkazy gotowa w ogień i wodę, ale, czy ja tam potrzebna jestem w Krakowie?

Ojciec mi rad może być, ale drudzy? Widok mój gniew rozżarzy, podrażni. Jedźcie sami.

Zapłakała, otarła łzy i mówiła dalej:

— A! rozstać się z wami, królu mój, panie mój, tak mi ciężko będzie jak z życiem. Wolałabym u twego boku dotrwać do końca, a taka trwoga mnie ogarnia gdy z oczów stracę słońce moje.

Powiedźcie, trzebaż bym jechała do Krakowa?

— Poradźmy się lekarzy — odparł August. — Wolałbym was mieć z sobą, a wiem ile to kosztować będzie. A! i mnie też, królowo moja. Ani ja, ani wy nie wyrokujcie, niech dekret wydadzą doktorowie.

Spytano ich dnia tegoż, ale wszyscy zgodni byli aby królowa w Wilnie pozostała. Starcia z królową Boną w Krakowie były nieuchronne, a dla Elżbiety groźne.

Gdy ręce nieubłaganej nieprzyjaciółki sięgały aż tu nad Wilję, jakże daleko silniej musiały się dać czuć tam, gdzie ona wszystkiem władała.

Królowa musiała więc pozostać.

Lecz gdy przyszła chwila pożegnania z mężem, rozpłynęła się w łzy, straciła odwagę i Hölzelinowna ledwie potrafiła zapobiedz nowemu napadowi choroby.

August napróżno ją upewniał, że wróci rychło, że chwili nie zabawi nad konieczny czas do odebrania pieniędzy i pokwitowania.

Stosunki z matką były z powodu tych prześladowań Elżbiety tak naprężone, iż król młody postanowił zawczasu nie stać nawet na zamku, zamówić kazał dla siebie kamienicę w Rynku, a cały dwór jego, urzędnicy, komornicy dali sobie słowo ani znać, ani widzieć, ani mówić, ani jeść i pić razem z ludźmi Bony i Gamrata.

Przy pożegnaniu słów zabrakło, łzy je zastąpiły.

Dopiero gdy August na koń siadł, a królowa odjeżdżającego krzyżem z relikwiami żegnała, odezwała się do Hölzelinowej.

— Kätchen, coś mi mówi w serca głębi, jakby głos słyszę jakiś, ja go więcej nie zobaczę.

Nie dała jej mówić piastunka, używając tego środka co zwykle, gdy się obawiała bardzo, naówczas groźno i surowo powstawała i Elżbietę zmuszała do milczenia.

Poczęła jej czynić wymówki, iż była Bogu niewdzięczną, który ją z choroby ciężkiej podźwignął do życia, że teraz miała się lepiej niż kiedykolwiek, a przywidzeniami sobie truła życie i zdrowie niszczyła.

Elżbieta zamilknąć musiała.

Z podróży listy od męża przychodziły często.

Jechał młody król niespokojny, wiedząc co go w Krakowie czekało, bo otwartą wojnę z matką prowadzić musiał, a usposobienie Bony odbijało się w królu Zygmuncie, we wszystkich co dwór składali, w całej niemal ludności tej, o którą się ocierać było potrzeba.

Nie było dla nikogo z dworzan Augusta tajemnicą położenie to i jego wymagania. Młody król umiał taką miłością ku sobie natchnąć tych co go otaczali, iż nie było jednego, któryby z zapałem nie gotował się do walki.

Owe paskwilusze podle przeciwko Augustowi, przeciw niewinnej królowej, rozpuszczane wieści, potwarcze plotki i zmyślane baśnie, do szału doprowadzały dwór, w którym domyślano się zdrajców.

Chodziło im o cześć wiernych sług. August też jechał z mocnem postanowieniem dać uczuć matce, iż jej prześladowanie przypisywał i że je brał do serca.

Jakby naumyślnie przygotowano się na przyjęcie uroczyste młodego króla w Krakowie. Dnie były ciepłe, stary król kazał się zanieść do kościoła, wyszła Bona z córkami, a choć Gamrat uciekł z Krakowa, znalazło się duchowieństwo na powitanie przyszłego pana.

Zygmunt August musiał się poddać temu ceremoniałowi i wobec świata okazać się jako syn uległy i miłujący rodziców.

Bona, w kościele nawet i wobec Boga, nie przybrała oblicza kłamanego — zasępiona, z zagryzionemi wargami, dumna przyjęła syna.

Dwa dwory stały naprzeciw tak groźno, milcząco, jak gdyby wnet rzucić się miały na siebie.

Wedle rozporządzenia młodego pana, miał on zająć mieszkanie w Rynku, dom dla niego stał gotowy, ale Zygmunt ojciec nie pozwolił na to. Bona chciała go mieć na zamku.

August ojcu poddać się musiał. Tem straszniejsze było to zbliżenie się w obawie starcia jawnie nieprzyjaźnych dwóch dworów.

Zaraz pierwszego dnia u wspólnego marszałkowskiego stołu, gdy przezdrowie pić poczęto, wstawali jedni, drudzy wino wylewali.

Młody król jednak zaraz surowo zakazał, aby z jego otoczenia nikt pierwszy nie dał powodu do zajścia. Bona też i ludzie jej ostrożni byli. Obchodzono się wzajem milcząc, oczyma sobie urągając i wyzywając.

Sam na sam z matką August się nie zszedł ani razu, ona też nie wyzywała do tego. Król stary badał o synowę pilno, mówiono mu że się ma lepiej i że do nóg jego kłaniała się i pozdrawiała.

Nie chciał długo tu pozostać August i natychmiast liczenie, ważenie, a pisanie poręczeń i kwitów się poczęło. Lecz znalazły się formalności, papierów brak było, jakby naumyślnie zwlekało się ukończenie i wyjazd z powrotem na Litwę.

Król od Elżbiety w początku listy niemal co dni parę odbierał. Pisała ona, donosili urzędnicy o zdrowiu królowej i nie było żadnych zatrważających wieści.

Z szatańską zajadłością codzień Bona przy starym królu, łagodząc głos, zapytywała syna:

— Jak się ma królowa JMość? mieliście wiadomości?

W głosie jej było szyderstwo i jakby zapowiedź nieszczęścia, oczekiwanie jego.

August w końcu znużony, odpowiadał matce tylko mruczeniem niewyraźnem, a Zygmunt Stary podnosił oczy znużone ku Bonie, ale wymówek jej czynić nie śmiał, bo możnaż było wyrzucać jej tę troskliwość o zdrowie synowej?

Pobyt Zygmunta Augusta już się zbliżał ku końcowi, mówiono o wyjeździe, gdy nagle listy i posły z Wilna przybywać przestały. Nie uderzało to w początku, nie obudzało niepokoju, lecz po kilku dniach milczenia, młody król trwożyć się począł.

Matka zawsze prześladowała go pytaniem tem szyderskiem, na które teraz wiedziała dobrze, iż nie otrzyma odpowiedzi, bo ona również miała swe sługi na Litwie.

Zygmunt Stary niespokojnym się okazał i posyłać już chciał do Wilna.

Lecz około dwunastu dni naówczas potrzeba było, aby mieć odpowiedź, a listy co chwila były spodziewane.

Wśród dworu młodego króla niepokój coraz większy przerodził się w posądzenia Bony, że ona przejmowała listy.

Niektórzy wyrywali się jechać, aby przywieźć wiadomość.

August milczał usiłując zapanować nad niepokojem, jaki go ogarniał.

Dnia jednego gdy Bona, stojąc przy Zygmuncie, rzuciła znowu owo urągające pytanie synowi, August zamruczał zniecierpliwiony.

— W. K. Mość wiesz jak ja, że wiadomości z Litwy nie mamy.

— Nie było mi to wiadomem — odparła Bona zimno.

Późnym wieczorem August siedział w swych izbach w niewielkiem kółku urzędników i starych znajomych, gdy w progu ukazał się, teraz unikający młodego pana, Opaliński i z miną tajemniczą oznajmił mu, iż królowa matka do siebie go prosiła.

W tem zaproszeniu było coś tak nadzwyczajnego, groźnego, niezrozumiałego, iż w pierwszej chwili August się zawahał czy ma być posłusznym.

Ale Bona w oczach ludzi była zawsze jego matką, należało jej poszanowanie.

Nie mówiąc nic, wstał i udał się za Opalińskim, który dość długo idąc przy królu, nie odezwał się ni słowa, a August, czując w nim nieprzyjaciela, w rozmowę wdawać się nie chciał.

W progu komnat starej królowej znikł Opaliński.

Bona nie siedziała, jak zwykle, na swem krześle, na kształt tronu wysłanem i podwyższonem. Stała z podniesioną głową, a twarz jej i wejrzenie takim dziwnym jaśniały blaskiem, że Augusta dreszcz przeszedł.

Brwi namarszczone starały się napróżno oblicze to posępnem uczynić — usta ironiczny uśmiech wykrzywiał. Tak śmiać się mógł tylko kat, patrząc na ofiarę swą w pętach u nóg leżącą.

August zbliżył się. Bona jakby dla przedłużenia chwili niepewności i trwogi, milczała; podobną była do zbira, który waży jak najgłębiej sztylet zatopić w piersiach skazanego.

W. K. Mość kazaliście mi się stawić — wyjąknął syn.

— Tak, chciałam osłodzić W. K. Mości boleśną wiadomość, która z ust matki, nie wyda się może tak srogą, bo usta te zawczasu ją przepowiadały.

Królowa Elżbieta, żona W. K. Mości nie żyje.

August stał jak wryty, bladość śmiertelna okryła twarz jego, wyrazów mu zabrakło w ustach.

Było to nowe okrucieństwo, osłonione szyderstwem bezlitośnem.

Długiego czasu potrzebował młody król, nim potrafił odpowiedzieć.

— Srodze dotknęła mnie ręka Boża!

Bona zbliżyła się, chcąc z chwili korzystając zawiązać rozmowę i rachując na złamane serce syna, ale August nie chciał dopuścić, aby się napawała jego rozpaczą, a swojem zwycięztwem.

Skłonił głowę.

— W. K. Mość — rzekł — skróciłaś jej życie.

Poruszył się żywo i usłyszawszy tylko krzyk za sobą, nieprzytomny pobiegł do swoich.

Lecz już w kurytarzach otoczyli go dworzanie — goniec z Litwy nadjechał. Jeden z nich padł królowi do nóg płacząc i ściskając je zawołał.

— Królowa! królowa nasza...

— Módlmy się za jej duszę — odparł mężnie Zygmunt August — albo raczej prośmy, aby się ona do Boga za nami wstawiła. Męczennicą umarła!

Właśnie w czasie, gdy Zygmunt August był w Krakowie, na ulicach miasta zaczęto widywać człowieka milczącego, w odartej i wyszarzanej opończy, który, do nikogo nie mówiąc, przesuwał się powoli pod domostwy, zachodził do kościołów, stawał na Rynku, błąkał się jakby niewiedział co ma począć z sobą.

Niektórzy przypatrując mu się, znajome jakieś, dawniej widywane rysy sobie przypominali.

On nie znał i nie poznawał nikogo.

Raz jeden z dworzan królowej Bony, blizko się o niego otarłszy i zajrzawszy w oczy, pochwycił za rękę i zawołał.

— Dudycz! — ale nieznajomy wyrwał mu się i mówić z nim nie chciał.

Drudzy potem śledząc poznali w nim także zbiedzonego wielce i na pół obłąkanego Petrka. O nim i o żonie oddawna nikt nic nie słyszał.

Gdy dworzanie oznajmili o nim królowej, kazała go przyprowadzić na zamek do siebie.

— Co się z twoją żoną stało? — spytała Bona.

— Jam temu nie nie winien! — zamruczał Dudycz.

— Gdzież ona jest?

— Pewnie w piekle — odparł Dudycz.

— Nie żyje?

— Nosiła zawsze sztylet u pasa, jam nic nie winien — rzekł Dudycz.

I więcej od niego trudno się dopytać było.

Sąsiedzi Petrka powiadali, że ją pochowano ze sztyletem w piersi i ręką na nim skostniałą. Żyć nie chciała.

Drezno 1883–4.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dwie-krolowe

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, Dwie Królowe: powieść historyczna (Bona i Elżbieta), tom I-III, Spółka Wydaw. Księgarzy w Warszawie Gebethner i Wolff: M. Glücksberg [etc.], Kraków 1884.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (http://pl.wikisource.org). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0427-2

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.